

# PIEKARA

JACEK

Ja, inkwizytor  
Przekłete  
krajiny



fabryka słów  
Wrocław



## JACEK PIEKARA

Jeden z najpopularniejszych pisarzy fantastycznych. Prowokujący. Zaskakujący. Potrafi rozbawić, zbulwersować, dotknąć do żywego.

Debiutował w sierpniu 1983 r. opowiadaniem „Wszystkie twarze szatana” na łamach miesięcznika „Fantastyka”. Jego pierwszą powieścią był „Labirynt” wydany w 1986 r.

Od tego czasu opublikował kilkadziesiąt opowiadań i powieści, z których największą sławę przyniósł mu Cykl Inkwizytor-ski – opis świata, w którym Jezus nie umarł na krzyżu, ale zstąpił z niego i pokarał swych wrogów ogniem i żelazem.

W 1990 r. otrzymał Nagrodę Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction dla autora roku, w 1989 r. nominowany do Nagrody im. J.A. Zajdla.

Jako redaktor naczelny czasopisma „Fantasy” otrzymał w 2005 r. nagrodę Złoty Meteor.

Fanatyk historii, wytrawny kucharz i miłośnik adrenaliny.

# Spis treści

Karta tytułowa

Cykl Świat inkwizytorów

Cykl Ja, inkwizytor

Przedmowa

Rozdział pierwszy. Daleko od domu

Rozdział drugi. Dom więdźmy

Rozdział trzeci. Dom miłości

Rozdział czwarty. Dom bez ścian

Rozdział piąty. Dom potworów

Rozdział szósty. Dom zwiastowanej śmierci

Ja, inkwizytor. Przeklęte kobiety

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK  
PIEKARA

Ja, inkwizytor  
Przekłete  
krajiny

Ilustracje  
Paweł Zaręba

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

## **Cykl Świat inkwizytorów**

1. Płomień i krzyż – tom 1
2. Płomień i krzyż – tom 2
3. Płomień i krzyż – tom 3

## **Cykl Ja, inkwizytor**

1. Ja, inkwizytor. Wieże do nieba
2. Ja, inkwizytor. Dotyk zła
3. Ja, inkwizytor. Bicz Boży
4. Ja, inkwizytor. Głód i pragnienie
5. Ja, inkwizytor. Przeklęte krainy
6. Ja, inkwizytor. Kościany Galeon
7. Ja, inkwizytor. Sługa Boży
8. Ja, inkwizytor. Młot na czarownice
9. Ja, inkwizytor. Miecz Aniołów
10. Ja, inkwizytor. Łowcy dusz





# Przedmowa



**A**kcja powieści „Przekłete krainy” rozpoczyna się w chwili, kiedy inkwizytor Mordimer Madderdin zostaje porzucony na Rusi przez swych towarzyszy. Perypetie te opisałem w trzecim tomie powieści „Płomień i krzyż”. Znajomość „Płomienia i krzyża” nie jest konieczna, by zrozumieć fabułę, która zostanie poniżej przedstawiona, tam bowiem, gdzie trzeba, wprowadzam krótkie retrospekcje, by przypomnieć czytelnikom, co działo się wcześniej i jaka była geneza zdarzeń, o których czytają w tej chwili. Oczywiście jeśli przeczytacie tom trzeci „Płomienia i krzyża”, to będziecie wiedzieć nieco więcej o ruskich tradycjach, o ruskiej historii i o występującej w „Przeklętych krainach” peczorskiej księżnej Ludmile, która jest ważną bohaterką poniższej powieści. Ale powtarzam, nie jest to bynajmniej konieczne, by zrozumieć zdarzenia „Przeklętych krain”. Ba, powiem Wam więcej: znajomość żadnej z książek z cyklu inkwizytorskiego nie jest tak naprawdę wymagana, by właśnie tu i teraz rozpocząć przygodę ze światem alternatywnego renesansu. Jeśli nie znacie jeszcze inkwizytora Mordimera Madderdina, prawowiernego chrześcijanina, Sługi Bożego i Młota na kacerzy oraz czarownice, to możecie go poznać właśnie dzisiaj i właśnie tutaj. Co prawda spotkacie go w nietypowym otoczeniu i niezwykłych okolicznościach, ale nic nie szkodzi...

Pomysł napisania o przygodach Mordimera Madderdina w części świata innej niż Cesarstwo kiełkował od dawna.



Początkowo zastanawiałem się nad bliskim naszemu sercu Królestwem Polskim, ale w efekcie zdecydowałem się na Ruś. Nawiasem mówiąc, nie oznacza to jednak, że odrzucam pomysł przeniesienia akcji do Polski w którejś z kolejnych opowieści lub w którymś z opowiadań i skonfrontowania waszego pokornego i uniżonego sługi z polską szlachtą i polską wolnością. A dlaczego teraz odwiedzamy Ruś? Ano dlatego, że zobaczymy inkwizytora w innej roli niż zazwyczaj. Nie jest tu figurą, lecz pionkiem. Nie jest „psem Bożym”, jak lubi się określać, ale „psem stróżującym” barbarzyńskiej władczyni. Nie jest chroniony potęgą instytucji, ale wręcz przeciwnie, otoczony nienawiścią. Nie ściga heretyków i odstępców jako przedstawiciel prawowiernej większości, lecz sam znajduje się w prześladowanej mniejszości. Jak mówi: jest dziką zwierzyną otoczoną przez wściekłe wilki. Poza tym akcja rozgrywa się naprawdę, naprawdę daleko. W „Przeklętych krainach” towarzyszymy Mordimerowi Madderdinowi w podróży na sam kraniec Europy, pod góry Uralu nazywane Kamieniami. Znajdujemy się w krainie ciągnących się na wieleset kilometrów puszczy i trzęsawisk, gdzie ludzka cywilizacja jest zaledwie niedawnym i niezbyt jeszcze dobrze umocowanym gościem. To miejsce, w którym istnieje pradawna magia, jakiej trudno szukać w cywilizowanym Cesarstwie. A poza tym to miejsce intryg, wojen, zwad i zamachów, miejsce okrucieństwa przeplatanego podłością i doprawionego nienawiścią. Tam właśnie najsilniej wybrzmiałyby słowa Szekspira: „Biada nędznym istotom, gdy wejdą między ostrza potężnych szermierzy”.

Pisany przeze mnie cykl inkwizytorski pełni dwie role. Po pierwsze, każda książka ma być osobną historią i przygodą, ma oczywiście pozwolić czytelnikom, by ciekawie spędzili czas, dostarczyć trochę wiedzy (pomimo usytuowania w rzeczywistości alternatywnego renesansu wiele historycznych wtrętów jest prawdziwych z punktu widzenia naszego świata),

pobudzić do myślenia, zaskoczyć; jeśli trzeba, również zdenerwować, rozweselić, zasmucić lub nawet rozgniewać. Krótko mówiąc, ma pełnić dokładnie taką rolę, jaką powinno pełnić każde dzieło fabularne (nieważne, czy mówimy o filmie, czy o książce): dostarczyć odbiorcom szeroko pojmowanej rozrywki. Jeśli ktoś dodatkowo uzna, że jest to rozrywka inteligentna, pobudzająca do myślenia czy dostarczająca emocji, to będę tym bardziej zadowolony. Ale cykl inkwizytorski pełni również drugą rolę. Przypomina stopniowo wypełniającą się mozaikę, w której poszczególne książki są szkiełkami, mniejszymi lub większymi. Kiedy zbierzecie już wszystkie szkiełka razem, wtedy zobaczycie prawdziwy obraz wykreowanego przeze mnie świata. Oczywiście nie każdy czytelnik chce układać taką mozaikę, nie każdemu jest to potrzebne do szczęścia. Jeśli interesują Was tylko osobne przygody i perypetie i nie chcecie składać wszystkiego w całość, to nie mam nic przeciwko temu. Bawcie się dobrze! Jako miłośnik serialu „Z Archiwum X” najbardziej lubiłem te odcinki, w których bohaterowie zajmowali się konkretną sprawą (tak zwane *monster of the week*), a wątek teorii spiskowej był nieobecny lub na drugim planie. Znałem jednak osoby, które oglądały ów serial, głównie by podążać śladem teorii spiskowej. Można więc i tak, i tak...

Zwolenników *monster of the week* zapraszam do lektury i mam nadzieję, że odłożycie książkę usatysfakcjonowani. Zwolenników teorii spiskowej zapewniam, że tekst, który za chwilę przeczytacie, jest jedną z części składających się na pełny obraz tworzonych przeze mnie świata. Wszystkie nitki splatane w różnych tomach cyklu doprowadzą nas do labiryntu, którym będzie powieść „Czarna Śmierć”. A kto wie, przy pewnej dozie szczęścia może nas nawet z tego labiryntu w ten czy inny sposób wyprowadzić! :-). Ale nawet gdyby trzymana przez Was książka nie była (choć jest!) częścią inkwizytorskiej mozaiki, to

przypomnę, że od wydania ostatnich przygód Mordimera Madderdina, waszego pokornego i unizonego sługi, absolwenta przesławnej Akademii Inkwizytorium, minęły już cztery lata („Kościany Galeon” ukazał się w 2015 roku). Chyba więc najwyższy czas, aby ten bohater, z charakterystyczną dla niego skromnością i pokorą, przypomniał Wam o sobie. Bo nie mówcie, że nie tęskniliście, mili moi... Gdyby Mordimer mógł mówić za mnie, powiedziałby, że świetnie wyczuwał zapach Waszej tęsknoty dzięki swemu nadzwyczaj czułem powonieniu. À propos, pamiętacie, że jest to bohater obdarzony zmysłem znakomitego węchu? Jeśli zapomnieliście, to nic nie szkodzi. Przypomnę Wam o tym na pewno nie raz w trakcie lektury. A teraz już uchylam przed Wami drzwi na Ruś. Ze szpary śmierdzi krwią i brudem, a od progu powitają was okrucieństwo oraz zdrada. Ale spójrzcie, gdzieś tam żarzy się małe światełko. To miłość i wierność. Zobaczymy, czy zostaną zdeptane, a jeśli tak, to kto to uczyni i z jakich powodów... A na razie wchodźcie i rozgoście się, przyjrzyjcie się bohaterom bardzo uważnie, bo niedługo wszyscy oni zginą. No dobrze: żartowałem. A może wcale nie? Zresztą sprawdźcie sami...





## Rozdział pierwszy

# Daleko od domu



**T**ak więc porzucono mnie w tym barbarzyńskim kraju. I uczynili to moi towarzysze, ludzie, którym ufałem, których chronilem własną pierśią i którym uratowałem życie. Zostawili mnie na łaskę i niełaskę dzikiej księżnej, która mieszkała w komnatach obitych złotą blachą, a jadła drewnianą kopyścią z drewnianej misy. Zostawili mnie w kraju obłąkanych kapłanów, pomylnych wiedźm i otępiałego ludu, po którym nigdy nie było wiadomo, czego się spodziewać. Czy złorzecząc, wbije komuś widły w plecy lub rozłupie mu głowę siekierą, czy błogosławiąc, padnie mu do stóp. Porzucili mnie niczym starego, bezzębego psa, a ja jedyne, co mogłem zrobić, to patrzeć z murów, jak kawalkada inkwizytorów oraz żołnierzy odjeżdża na zachód. Do Nowogrodu, a potem do Cesarstwa. Do cywilizacji. Tysiące mil ode mnie. Tam, gdzie nie tylko nie można z wież fortecy ujrzeć Kamiennych Gór, za którymi rozciągają się już azjatyckie królestwa pogan, lecz istnienie lub nieistnienie tych gór kompletnie nikogo nie obchodzi. Dopiero od wczoraj wiedziałem, że nie powrócę do znanego mi świata, a już tęskniłem do niego całym sercem i całą duszą.

Był początek września, więc do Peczory i do całego Księstwa Peczorskiego zima nadchodziła wielkimi krokami, a zeszłej nocy spadł nawet pierwszy śnieg. Przez chwilę szary, błotnisty podworec wyglądał czysto i świeżo, kiedy lśnił nieskalaną bielą i iskrzącym się srebrem w promieniach jasno świecącego

księżycą. Ale zaraz potem buty żołnierzy i służby rozdeptały ten pierwszy puch i mieszały go z błockiem. A rano przyszła odwilż i błotnista maź zalegająca podworzec sięgnęła już ludziom za kostki. I zupełnie nikt się tym nie przejmował.

Usłyszałem kroki i zobaczyłem zbliżającego się Andrzeja, sługę księżnej, jednego z nielicznych ludzi na tej potępionej dziczy, który był na tyle cywilizowany, by znać łacinę. Kiedy przesłuchiwałem skrytobójcę usiłującego zamordować księżną Ludmiłę, właśnie Andrzej tłumaczył moje rozumne pytania na ich mowę. Był to mężczyzna jeszcze młody, na pewno młodszy ode mnie i charakteryzujący się zarówno pewną obyczajnością zachowania, jak i delikatnością rysów, tak niezwykłą w krainie zamieszkiwanej przez tych barbarzyńców. Nie miał też bujnej i skudlonej brody jak większość Rusinów, a jedynie jasny, niezbyt mocny zarost. W połączeniu tych cech z zadbanym strojem wyglądał na tyle cywilizowanie, że mógłby wręcz uchodzić za obywatela Cesarstwa. Teraz zawołał donośnie:

– Pani wzywa, pospieszajcie, inkwizytorze.

I tak ma wyglądać od tej pory moje życie, pomyślałem z goryczą. Jak chłopca na posyłki albo psa mającego przybiegać na każde gwizdnięcie czy każdy gest pana. Taki los spotkał mnie – inkwizytora. Sługę Bożego i absolwenta najuczciwszej, najczcigodniejszej i najsławniejszej Akademii Inkwizytorium. Ale cóż było czynić? Mogłem utyskiwać, lecz gorzka i smutna prawda przedstawiała się tak, iż znajdowałem się całkowicie w mocy peczorskiej księżnej. W mocy kobiety, która, przypomnę wam, mili moi, własnego męża kazała zapakować do żelaznej klatki i wywiesić za bramę fortecy, gdzie skonał z głodu, pragnienia i zimna. Nie trzeba było wielkiej mądrości, by dojść do wniosku, iż Ludmiła nie była i nie jest (a zapewne również nigdy nie będzie) osobą zdolną polubić humory czy kaprysy cudzoziemca. Cudzoziemca, który w dodatku w Cesarstwie piastował godność inkwizytora – a więc na Rusi był jedynie znienawidzonym



przybyszem, którego wynikająca z powagi urzędu władza kończyła się jakieś trzy tysiące mil od granic księstwa.

– Prowadź – rzekłem.

Andrzej uśmiechnął się szeroko i poklepał mnie poufale po ramieniu.

– Przyzwyczajcie się do nas, inkwizytorze – powiedział. – Jej Wysokość jest sprawiedliwą władczynią. Dobrze się jej przysłużycie, a zostaniecie nagrodzeni ponad oczekiwania i ponad pojęcie.

– Najbardziej by mnie nagrodziła, gdyby pozwoliła mi wrócić do domu – mruknąłem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– O tym to długo nawet mowy nie będzie. – Machnął ręką. – Księżna ma wobec was wielkie plany, inkwizytorze Madderdin...

Nie brzmiało to dobrze. Wielkie plany możliwych tego świata oznaczają zazwyczaj, że ludzie objęci tymi planami giną w szybki i nieprzyjemny sposób. Oni giną, a plany zostają. Dla następnych...

– Jeśli tylko w międzyczasie nie umrzecie, to wierzę, że zostaniecie z nami przez wiele lat. Przez wiele wspaniałych lat... – dokończył.

Nie byłem pewien, czy widząc moje przygnębienie, kpi sobie ze mnie, czy też mówi szczerze. Zresztą naprawdę mogło być przecież zarówno tak, jak i tak.

Dotarliśmy do prywatnych komnat księżnej, przepuszczeni przez wartowników, a potem obrzuceni nieprzychylnym spojrzeniem przez grubą dworkę ubraną w brudną spódnicę. Dworka nawarczała coś po rusku na Andrzeja, na mnie łypnęła nad wyraz podejrzliwie, potem jednak machnęła ręką, byśmy wchodzili, roześmiała się i nawet chciała mnie pogłaskać po włosach, czego na szczęście udało mi się uniknąć.

Ludmiła leżała na potężnym, szerokim łożu z baldachimem, którego dwie boczne zasłony były opuszczone (jedna była

również fatalnie postrzępiona, jakby poszarpał ją pies lub kot). Zauważyłem od razu, że rusztowanie podtrzymujące tkaninę, czy to z uwagi na upływ czasu, czy to z powodu złego wykonania, było mocno skrzywione. Pomyślałem złośliwie, że tylko patrzeć, jak cała ta konstrukcja runie księżnej na łeb, zwalniając peczorski stolec książęcy dla kolejnego barbarzyńcy.

– Wasza Wysokość! – Skłoniłem się. – Raczyłaś mnie wezwać.

Ludmiła odłożyła książkę na stolik przy łóżku i przyjrzała mi się uważnie.

– Będiesz w nocy czuwał pod moimi drzwiami, inkwizytorze – stwierdziła. – Nikogo nie przepuścisz, póki śpię. Rozumiesz?

Wspaniale. Z profesji inkwizytora pasującego się ze złem, zwalczającego wiedźmy i czarnoksiężników, niszczącego heretyków, kacerzy i pogan zostałem przemianowany na psa stróżującego. Może dostanę jeszcze kolczastą obrozę na szyję?

– Oczywiście, Wasza Książęca Mość – odparłem tylko.

– Nie martw się – skrzywiła usta w uśmiechu – to nie potrwa wiecznie. Ale teraz, póki jest, jak jest... – Jej twarz ściągnęła się. – Musisz być ze mną.

– Wasze zaufanie, pani, poczytuję sobie za wielki zaszczyt – odparłem.

Oczywiście, że mi ufała. Dlaczego miała mi nie ufać? Wiedziała, że jest jedyną osobą, która może pomóc mi wydostać się z tej dziczy i wrócić do cywilizacji. W związku z tym ja wiedziałem, że będę dbał o nią niczym młoda mniszka o dziewictwo. No nie, może to akurat zły przykład. Ale powiedzmy, że będę jej strzegł, jak pies strzeże ukochanej kości, będę dbał o nią, jak kapitan statku dba o żagle, wiedząc, że tylko kiedy pozostaną w jednym kawałku, pozwolą mu na bezpieczny oraz szybki powrót do domu.

– Jeśli będziesz się dobrze spisywał, zostaniesz hojnie nagrodzony – obiecała. – A jeśli kiedyś wrócisz do Cesarstwa, to już do końca życia nie będziesz musiał się kłopotać o to, co

wsadzisz do garnka i założysz na grzbiet.

Z tych czczych zapewnień wychwyciłem tylko słowa „jeśli” oraz „kiedyś” i wcale a wcale nie poprawiły mi one humoru.

Teraz księżna rzekła coś po rusku do Andrzeja, wskazując wzrokiem na mnie, a on odpowiedział jej i wyraźnie się zasepił. Później Ludmiła machnęła niecierpliwie ręką, dając nam znać, że możemy iść, i znowu sięgnęła po książkę. Skłoniliśmy się, Andrzej z prawdziwym oddaniem, ja raczej z rezygnacją, i wyszliśmy z komnaty.

– Księżna lubi sama czytać? – odezwałem się już za progiem, byle coś powiedzieć. – Zazwyczaj to służące czytają lektury wielkim damom.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma tu żadnej kobiety, która umiałaby ładnie czytać po łacinie. Księżna miała dość tego, jak dukwały, mruzczały i myliły się. Więc woli czytać sama... Miała też kiedyś mnicha... – urwał.

Wyszliśmy na korytarz. Żółtopomarańczowe światło lampy migotało, ledwo co rozjaśniając panujący mrok. Ruszyliśmy w stronę balkonu na dziedziniec.

– Mnicha... – poddałem po chwili.

– Dwadzieścia mil od Peczory jest klasztor – wyjaśnił Andrzej.

– Pod wezwaniem Błogosławionego Mikołaja Rohatyńca...

– Rohatyńca?

– A bo taki miał zwyczaj, że głowy wrogów nabijał na rohatynę – skrzywił usta Andrzej.

– Ciekawe.

– No i żyje tam sobie kilkunastu mnichów, a wśród nich nawet są tacy, co poznali łacinę i grekę. Więc księżna ściągnęła jednego, by przydał się jej jako sekretarz, osobisty pomocnik... – Wzruszył ramionami.

– Z tym że widzicie, mnich uznał, że będzie zdolny pomóc księżnej również w tych sferach, w jakich ona pomocy ani nie potrzebowała, ani sobie nie życzyła – kontynuował, a potem



zerknął na mnie, by sprawdzić, czy rozumiem aluzję.

– I księżnej się to nie spodobało – odgadłem.

– Ano nie spodobało – zgodził się ze mną. – A wiecie, jak objawił się jej brak upodobań, zgody oraz zrozumienia?

– Ufam, że zaraz mi wyjawicie.

Wyszliśmy na krużganek biegnący nad wewnętrznym dziedzińcem. Powietrze z wilgotnego i nasyconego smrodem butwiejącego drewna zmieniło się na wilgotne i nasycone smrodem płonących gdzieś niedaleko nasmołowanych szczap.

– Kazała, by kamieniem rozgnieciono mu przyrodzenie na miazgę – rzekł, patrząc na mnie.

– Uhuu – mruknąłem. – Wyjątkowo nieprzyjemny sposób kastracji.

– Bolesny – przyznał. – I również wskazujący każdemu mężczyźnie, który obserwował owo wykonanie kary, wyraźną i jasną granicę, której w stosunkach z miłościwą panią przekraczać nie wolno. A nadmienię, że przyglądać musieli się wszyscy. Rozumiecie mnie?

– Rozumiem.

– Ale czy na pewno mnie dobrze rozumiecie? – Spojrzał na mnie zaskakująco twardym wzrokiem.

– Rozumiem was doskonale – odpowiedziałem stanowczo. – I zapewniam, że ani mi w głowie powstało, by nagabywać księżną w tak pozbawiony rozumu i uprzejmości sposób.

– No to już wiecie wszystko. – Uśmiechnął się, a jego spojrzenie złagodniało.

– A jeśli wolno... – zagadnąłem jeszcze. – Księżna coś powiedziała, jak wychodziliśmy, prawda?

Znowu wzruszył ramionami, tym razem dodał jeszcze do tego pokręcenie głową z niezadowoleniem.

– Mam was uczyć naszej mowy – rzekł.

– Pan każe, sługa musi – odparłem tylko.

Podobnego obrotu spraw można było się spodziewać. Jeżeli

księżna planowała, że przetrzyma mnie u siebie kilka lat, to logiczne, iż chciała, bym rozumiał, co mówią inni ludzie. Choćby dlatego, że będę mógł wtedy sprawniej jej bronić. W końcu miałem służyć nie tylko za kły i pazury, ale również za oczy i uszy.

– Poza tym na dzisiaj wieczór macie być gotowi do podróży – dodał. – Księżna zabierze was na przejażdżkę. Ja też jadę z wami.

– Na przejażdżkę – powtórzyłem z przekąsem. – A mogę zapytać, jakiego rodzaju będzie to przejażdżka?

– Sami zobaczycie – odparł, jakby to miało wszystko tłumaczyć. – Jeszcze jedno: wolno wam poruszać się wszędzie, gdzie chcecie na terenie fortecy, ale nie wolno wam wychodzić za bramę. Rozumiecie?

– Musiałbym być durniem, by myśleć o ucieczce – odpowiedziałem całkiem szczerze. – Tysiące mil pustkowi do przewędrowania, bez map, bez przewodników, nie znając języka i będąc tropionym przez doświadczoną pogoń. Możesz zapewnić księżną, że nie jestem durniem i nie zamierzam uciekać, jeśli do tej pory w to wątpiła.

Andrzej spojrzał na mnie właśnie jak na durnia, którym tak zastrzegłem się nie być.

– Księżna wie, że nie uciekniecie, inkwizytorze – wyjaśnił pobłażliwym tonem. – Zabrania wam opuszczać fortecę, żeby was za jej murami natychmiast nie zabito.

No tak, mogłem się tego spodziewać... Cóż, inkwizytorzy na Rusi nie byli lubiani. Zresztą gwoli szczerości na Rusi nie lubiano nikogo, kto nie pochodził z Rusi. Chociaż po głębszym zastanowieniu można nawet powiedzieć, iż samych Rusinów Rusini również nie lubili. Przecież wielcy książęta żarli się ze sobą niczym wściekłe psy, tyle że w odróżnieniu od zasadniczo dość przewidywalnych wściekłych psów oni stosowali oprócz siły również zdradę, truciznę, podstęp, intrygi. Jeśli nie dało się zabić przeciwnika na polu bitwy, kazali tropić go w łóżku,

w wychodku, przy biesiadnym stole, w kąpielu. Jeśli nie mogli położyć trupem samego księcia – rywala, mordowali jego żonę, dzieci, kochanki lub przyjaciół. Jeśli nie mogli lub nie chcieli pozbawić życia jego najbliższych, starali się ich nakłonić do zdrady za pomocą zastraszenia, kłamstwa lub przekupstwa. Taka właśnie była Ruś... Jedynym szczęściem w całym tym nieszczęściu był fakt, że Peczora, wschodnia dzielnica państwa podlegającego władzy Włodzimierza, wielkiego księcia Nowogrodu, nie znajdowała się w centrum intryg. Była daleko od Moskwy, jeszcze dalej od Nowogrodu i równie daleko od Kijowa. Daleko nawet od Wielkiego Księstwa Kazania, gdzie rządził władca sprzymierzony z Mongołami i będący ich lennikiem. A to między tymi czterema stolicami rozgrywała się główna walka na Rusi. Peczora w porównaniu z nimi była głęboką, zatęchłą prowincją. Miejscem, gdzie nie tyle diabeł mówi dobranoc, ile nie chciałby mówić nic i do nikogo, a najlepiej nie chciałby nawet wiedzieć, że takie miejsce istnieje na świecie.

– Nie tak łatwo zabić inkwizytora – mruknąłem jedynie.

Nie były to bynajmniej czcze przechwałki. Nas, inkwizytorów, nie tylko szkolono w modlitwie oraz znajomości świętych ksiąg. Nie tylko uczono nas walki z najpodlejszymi szatańskimi pomiotami, edukowano w sztuce rozpoznawania czarnej magii i rozprawiania się z tymi, którzy owej magii używali. Nasi preceptorzy słusznie uważali, iż o życiu inkwizytorów może również zadecydować umiejętność radzenia sobie z fizycznym zagrożeniem ze strony różnego rodzaju opryszków czy złoczyńców. Stąd posługiwaliśmy się biegle mieczem i sztyletem, umieliśmy strzelać z łuku (choć ja akurat wolałem tego nie robić), znaliśmy się na wykrywaniu i stosowaniu trucizn. Ba, radziliśmy sobie również z otwieraniem zamków, wychodząc ze słusznego założenia, że nikt uczciwy nie pragnie przecież mieć tajemnic przed Świętym Officjum. Kiedy o tym pomyślałem, uzmysłowiłem sobie, że jestem więcej wart niż jakikolwiek



człowiek na przestrzeni setek mil, i od razu zrobiło mi się różniej. Odetchnąłem głęboko powietrzem, które byłoby zapewne całkiem orzeźwiające, czyste i klarowne, gdyby nie fakt, że do pomieszanego z mgłą dymu z mokrego, nasączonego smołą drewna wmieszał się smród gnoju ze stajni. A potem wspomniałem jeszcze jedną ważną naukę, jaką pobieraliśmy w Akademii Inkwizytorium. Otóż uczono nas postępowania z ludźmi i zjednywania sobie stronników. Tak, tak, może i ja byłem teraz psem księżnej Ludmiły, mili moi, ale nie minie wiele czasu, a zapewniam was, że księżna zostanie moją suką i będzie mi jadła z ręki... A przynajmniej taką właśnie myślą mogłem się pocieszać oraz ku takiemu właśnie rozwiązaniu mogłem usilnie dążyć z właściwymi mojemu charakterowi bystrością oraz ostrożnością.



Wiecie, mili moi, co w Peczorze było najbardziej dojmujące? Wilgoć. Jeśli akurat nie grzało południowe słońce, to natychmiast wszędzie wdzierała się wilgoć. Wilgotne powietrze i wilgotna mgła. Wilgotny wiatr. Błotnista ziemia, z mlaskiem wsysająca stopy. Mokra trawa, mokre deski. Również nawilgłe sienniki, przesiąknięte materace i zatęchła pościel (jeśli ktoś był na tyle szczęśliwy i bogaty, że w ogóle sypiał w pościeli). Wilgotne ubrania, kiedy ubierałeś się rano, wilgotne ubrania, kiedy chodziłeś w nich w dzień, i wilgotne ubrania, kiedy ściągałeś je wieczorem. Oddychałeś wilgotnym powietrzem, a jeśli już musiałeś ścisnąć czyjeś dłonie, to one również były wilgotne. Oczywiście można było odzież suszyć czy chociaż ogrzać, można było napalić w kominkach (co czasami robiono z takim zapalem, że w pokojach z trudem dawało się oddychać), ale wilgoć odsunięta na chwilę, wyrzucona, zdawałoby się, za próg czy za okno, wracała w jednej chwili, kiedy tylko wygasał ogień.

Wiedziałem, że w końcu przyzwyczaję się zarówno do samej wilgoci, jak i do jej charakterystycznego odoru, ale wiedziałem również, że co jak co, lecz z całą pewnością ich nie polubię.

Wszędzie w okolicy było też mnóstwo komarów. One nie latały sobie z wesołym bzyczeniem pojedynczo, pod dwa lub po trzy. Unosiły się wielkimi chmurami, kłębami przypominającymi szare obłoki przemieszczające się od jednej żywej istoty do drugiej. Rusini chronili się przed nimi, chodząc w takich strojach, w których nie pokazywali nagich ramion czy nóg. Nie irytowali się, nie krzyczeli i nie klęli. Ataki krwiopijców przyjmowali z wynikającą z doświadczenia obojętnością. Ubijali je na twarzach czy głowach plaśnięciami dłoni, nie przerywając sobie nawet rozmowy czy zajęć, którym właśnie się oddawali. Oczywiście w samej fortecy, w pokojach i na korytarzach, pilnowano, by tych komarów nie było wiele, ale przecież wraz z towarzyszami, którzy mnie tu porzucili, podróżowałem za wielkie góry zwane Kamieniami, oddzielające Europę od Azji, więc wiedziałem, jak bezlitośnie owady tną na łąkach, w lasach czy nad brzegami rzek. Czemu było ich tutaj, w Księstwie Peczerskim, tak dużo? No cóż, może dlatego, że księstwo owo składało się z setek mil podmokłych lasów i setek mil niezbadanych trzęsawisk, ciągnących się ze wschodu na zachód i z północy na południe...

Pamiętałem rozmowę księżnej Ludmiły z inkwizytorem Arnoldem Löwefellem, rozmowę, jaką toczyli, jeszcze zanim wyruszyliśmy na misję, której powodzenie Inkwizytorium zawdzięczało mojej determinacji oraz zimnej krwi.

– Ech, wasze bagniska – mówiła wtedy z pogardą. – Bagniska, też mi coś... Raczej wasze bagienka. Drogi przez lasy i góry żeście puścili, mosty na rzekach żeście postawili, bagna żeście osuszyli... A u nas ani dróg, ani mostów nie ma. A nasze mokradła...

Pamiętałem, że kiedy wypowiedziała to słowo, jej twarz nagle zrobiła się ponura.

– Wiecie, że są u nas takie miejsca, gdzie nigdy stopa żadnego człowieka nie powstała od samego początku świata? A kto chciał w te miejsca wejść lub przypadkiem się do nich zabłąkał, nigdy już nie wracał? Nasze trzęsawiska ciągną się dziesiątkami mil. Martwe, burobrązowe, przezarte zgnilizną. Okryte całunem mgły, bulgoczące i smrodliwe. Zabójcze.

Słuchali jej wówczas zaciekawieni, ale oczywiście nieszczególnie przejęci tonem księżnej. Bo jak świat światem inkwizytorzy byli przyzwyczajeni, iż ludzka wyobraźnia to narowisty, dziki rumak, który galopuje na manowce, zrzucając z grzbietu zdrowy rozsądek.

– Są u nas jednak tacy, co nieźle znają ścieżki wśród bagien – mówiła wtedy dalej księżna. – A kiedy czasem tak się zdarza, że zwykły człowiek nie może znaleźć pomocy ani u Boga, ani u księcia, wtedy idzie jej szukać na bagnach. Prosi tych, co znają ścieżki, by go poprowadzili, gdzie trzeba. No i go prowadzą...

Pamiętałem, że kiedy księżna wypowiadała te słowa głosem naprawdę wyjątkowo ponurym i z twarzą zmienioną oraz zasepioną, jedna z towarzyszących jej dworek zaczęła bezgłośnie płakać. Stała ze skrzyżowanymi ramionami, a łzy spływały ciurkiem po jej twarzy.

– A bo to wiadomo, dokąd oni idą? – ciągnęła Ludmiła. – Niektórzy mówią, że gdzieś w samym środku bagien są wsie, a może i miasta, gdzie żyją tacy, co wcale nie wyglądają jak my, dobrzy chrześcijanie... Może to demony, a może po prostu inny rodzaj ludzi? Kto to wie, kto to będzie wiedział, kto się tego dowie? Nikt. Może to wszystko bajdy i kłamstwa?

– Tak czy inaczej, bagna są niebezpieczne – dokończyła wtedy opowieść księżna. – Nawet jakby nie mieszkali na nich źli ludzie, a mieszkają, to wystarczy, że dróg tam nie ma. A nawet jak są jakieś ścieżki czy ścieżynki, to tak porwane i splątane, że trudno się wyrozumieć. Nikt obcy bagien nie przejdzie, a wielkie będzie miał szczęście, jeśli wejdzie i da radę wrócić cało po swoich

własnych śladach.

Taką to opowieść, jedną z wielu, usłyszeliśmy wtedy o peczorskich trzęsawiskach. Czy naprawdę wykluwał się na nich inny rodzaj ludzi, czy rodziły się potwory lub pokazywały demony? Nie mnie o tym sądzić i nie mnie to oceniać. Na dzisiaj mogłem powiedzieć jedno: peczorskie bagna były gigantycznym, niezmiernym siedliskiem komarów, które stamtąd, z tej smrodliwej głuszy, wysyłały swe wampirze armie na podbój świata rozumnych istot.

Na szczęście moi towarzysze nie zostawili mnie całkiem bezbronny wobec tego iście przerażającego żywiołu. Otrzymałem od nich maści i specyfiki dwojakiego rodzaju. Celem jednych było odstraszenie owadów, by tylko latały nade mną, może nawet siadały na skórze, lecz nie kłuły. Celem drugiego rodzaju leków było łagodzenie swędzenia i opuchlizny, jeśli już doszło do ukłucia. Może wam się wydać, mili moi, dziwne czy nawet zabawne, że tak potężni ludzie jak inkwizytorzy, ludzie kłopotający się o losy chrześcijaństwa i całego świata, przejmowali się komarami. Otóż zapewniam was, że gdybyście pobyli miesiąc lub dwa w pobliżu peczorskich bagien, to moglibyście dojść do wniosku, że walka z tymi odrażającymi owadami jest równie potrzebna światu jak walka z herezją oraz czarnoksięstwem.





## Rozdział drugi

# Dom więdźmy



**W**ieczorem, zgodnie z nakazem księżnej powtórzonym mi przez Andrzeja, byłem gotowy na przejażdżkę. Wszedłem na mur i spoglądałem na mgły ścielące się w wieczornej szarówce. Sinymi kłębam i wily się leniwie nad polem i sięgały aż po rzekę, której nurtu nie było nawet widać spoza zasłony. Z drugiej strony, od rzeki, powinienem widzieć las. Wysokie szczyty potężnych jodeł ciągnące się setkami mil na zachód, północ i południe. Ale nie widziałem nic poza mgłą. Gdyby w tej mgle maszerowała wroga armia, nie zobaczyłbym jej również; gdyby w tej mgle stąpały demony przybyłe z piekielnych otchłani, ujrzałbym je dopiero wtedy, gdy rozwarłyby paszcze przy mojej twarzy.

– Inkwizytorze – usłyszałem wołanie Andrzeja – możecie schodzić.

Siedział na koniu obok księżnej, a przed nimi i za ich plecami znajdowało się sześciu konnych żołnierzy. Trzech z przodu i trzech z tyłu. Ludmiła miała na głowie stalową misiurkę z opadającym aż na ramiona czepcem kolczym. Odziana była w gruby płaszcz, lecz byłem pewien, że pod to okrycie również założyła kolczugę. Nie widziałem jej jeszcze w takim stroju i nawet z odległości kilkunastu kroków ciężko było się zorientować, że jest kobietą i księżną, a nie żołnierzem, zwłaszcza że nie było widać jej włosów, gdyż hełm kończył się nad samymi brwiami, a kolczy czepiec osłaniał również usta.

Zbiegłem ze schodów, by księżna nie musiała czekać (na razie i tak żołnierze kręcili korbą przy bramie, by podnieść kratę), i dosiadłem konia.

– Widzę, że jedziemy na wojnę – zauważyłem.

Księżna nie raczyła nawet zwrócić się w moją stronę.

– Tutaj zawsze jesteśmy na wojnie – odparł Andrzej, a po wyrazie jego twarzy poznałem, że z całą pewnością nie jest zachwycony faktem, iż musi brać udział w tej eskapadzie.

Krata podniosła się, wierzeje uchyliły się z potępieńczym zgrzytem i ruszyliśmy we mgłę. Była już ona tak gęsta, że co prawda widziałem księżną jadącą po mojej prawej ręce i widziałem zad konia stąpającego z jeźdźcem tuż przede mną, ale nie dostrzegałem ani Andrzeja, ani głowy i pleców żołnierza na przedzie.

– Parszywa pogoda na wycieczki – mruknąłem sam do siebie, a mgła wessała moje słowa.

O dziwo, Ludmiła usłyszała jednak, co mówię. Albo miała wyjątkowo wyczulony słuch, albo mgła płatała figle i jedne dźwięki głużyła, a inne niosła dalej i silniej, niżby człowiek się spodziewał.

– Z mgły płyną również pożytki, inkwizytorze – powiedziała.

– A to ciekawe jakie – odparłem tak szybko, iż nie zdążyłem nawet pomyśleć, że może nie jest to właściwa forma zwracania się do władczyni.

Ludmiła jednak albo nie zwróciła uwagi na moją bezpośredniość, albo nie uznała jej za niewłaściwą.

– Może i my nie widzimy wiele, ale i nas nie widać, prawda? – zapytała. – A teraz siedź już cicho – dodała ostrzejszym tonem.

Dopiero po tych słowach zauważyłem, że ani żołnierze, ani Andrzej nie odzywali się, owszem, słychać było czasem parsknięcie zwierzęcia i oczywiście odgłos mlaskania kopyt w błocie. Ale jak na konną podróż dziewięciorga ludzi, jechaliśmy, można powiedzieć, w niemal kompletnej ciszy. Żaden

z jeźdźców nie miał też w dłoniach pochodni czy latarni, więc byliśmy nie tylko cisi, lecz również niewidoczni.

A więc Ludmiła bała się zamachu (i to bała się go nie na żarty), a także uważała go za całkiem prawdopodobny. W sumie nic dziwnego, zważywszy na fakt, że chroniący ją wołch, czyli potężny kapłan i magik ruskiego obrządku, został zamordowany za pomocą czarnej magii. Razem z nim zginęła służąca mu dziewczyna, ktoś, kogo można byłoby nazwać, stosując pojęcia cywilizowanego świata, wizjonerką lub mistyczką. Ludmiła była przekonana, że teraz ona sama stanie się następnym celem nieznanego czarnoksiężnika. Że napastnik zniszczył tarczę chroniącą księżną, aby zabrać się za nią samą. Niestety, ku mojej rozpaczy to właśnie ja miałem zostać kolejną tarczą władczyni. Liczyła na moje umiejętności inkwizytorskie (w sumie słusznie, bo przecież gdyby nie skromność, to miałbym wiele powodów, by chełpić się moimi przewagami) i zdecydowała się mnie uwięzić (oficjalnie stosując oczywiście łagodniejsze pojęcie „wynająć”, które jednak w rzeczywistości oznaczało tak naprawdę to samo, co uwięzić). Na rok, może dwa, jak zapewniała moich towarzyszy. Jednak równie dobrze teraz, kiedy byłem wydany na jej łaskę i niełaskę, mogła z tego roku lub dwóch zrobić dziesięć, dwadzieścia, a nawet całą wieczność. I nikt nie mógł jej ani tego zabronić, ani zmusić, by zmieniła decyzję. No, może władny do tego byłby jedynie wielki książę Nowogrodu Włodzimierz, lecz musiałyby mieć ważne powody do podobnej ingerencji. Tak czy inaczej, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że w Peczorze zapanował groźny czas dla księżnej. Lecz jednocześnie owa księżna uznała, że dzisiejszy wieczorny wyjazd jest tak ważny, iż trzeba zaryzykować własne bezpieczeństwo. Co takiego czekało nas na końcu tej podróży? Jak długo miała ona trwać i po jakiego diabła w ogóle żeśmy wyjechali z fortecy? Nie żeby ta forteca była oazą bezpieczeństwa, ale jednak za murami czułem się pewniej niż na otwartej przestrzeni, w której oprócz



sinej mgły widziałem zaledwie niewyraźne kształty ludzkich i zwierzęcych postaci.

A jeśli z tej mgły obserwują nas oczy, dla których nie stanowi ona żadnej przeszkody? A jeśli ktoś patrzy na nas i śledzi każdy nasz ruch? A jeśli zbliża się coraz bardziej i bardziej? Bezszelestnie stawiając stopy w błotnistej mazi, niesłyszalny i niewidoczny, lecz tym bardziej przez to groźny? A jeśli przekonamy się o jego obecności dopiero wtedy, kiedy poderżnie nam gardło? Jeśli JA przekonam się o jego obecności dopiero wtedy, kiedy poderżnie MI gardło? Zamrugalem oczami i zagryzłem usta, by nie dać się ponieść wyobraźni, która w tej mglistej, mokrej ciemności zdawała się pleść gęstą, lepłą nic niczym pająk czyhający na ofiarę. Dotknąłem palcami szyi i karku i pożałowałem, że są osłonięte zaledwie kołnierzem, a nie tak jak szyja i kark księżnej kolczym kapturem. Przyznam, że czułbym się wówczas o wiele pewniej, i obiecałem sobie, że jeśli podobne przejażdżki kiedyś jeszcze się powtórzą, na pewno będę przezorniejszy niż teraz.

Zastanawiałem się, kto nas prowadzi i jak ten ktoś znajduje drogę w ciemności i we mgle. Czy na pewno jedziemy tam, gdzie trzeba, czy też okaże się za godzinę lub dwie, że kręciliśmy się w polu? Tutaj jednak powinienem mieć zaufanie do księżnej i jej żołnierzy. W końcu ta dzika i wroga ludziom kraina wychowała ich, a więc zapewne również wiele nauczyła. To, że ja byłem tutaj ślepy niczym kret wyrzucony na południowe słońce, wcale nie oznaczało, że wszyscy cierpią na tę dolegliwość w tym samym lub podobnym stopniu. Zresztą może żołnierze Ludmiły nie musieli kierować się tylko wzrokiem? Może, podobnie jak marynarzom na morzu, wystarczał im czasami zaledwie zapach powietrza, by wiedzieć, gdzie się znajdują? Cóż, tak czy inaczej, zmysł wzroku jest chyba królem wszystkich zmysłów. A cenić potrafimy go tym bardziej, gdy zostaliśmy pogrążeni w ciemności. I jeśli ciemność ta dodatkowo pełna jest dziwnych

odgłosów, to szacunek dla oczu wzrasta jeszcze bardziej.

Coś zaskrzeczało przeraźliwie nad moją głową, jakby metalem piłowano po szkłe, i aż się wzdrygnąłem, słysząc ten dźwięk.

– To jery – wyjaśniła księżna i usłyszałem ulgę w jej głosie.

– Co to są jery? – spytałem.

– Takie małe ptaszki – dobiegł mnie głos Andrzeja, choć jego samego nadal nie widziałem spoza mgły. – Jezu Bogu dziękować – dodał z prawdziwym uczuciem.

– Czemu to dobrze, że ptaszki? – Mimowolnie skrzywiłem się, gdyż ten głośny, nieprzyjemny dźwięk rozległ się znowu i znowu miałem wrażenie, że to coś, co je wydawało, obojętne, czy ptak, czy wrzeszcząca zmora, przeleciało tuż nad moją głową.

Ale nikt mi już nie odpowiedział, więc musiała mnie tylko pocieszać myśl, że moi towarzysze najwyraźniej wiedzieli więcej. A skoro oni, znający tutejsze obyczaje i tutejsze tereny, poczuli się bezpieczniej, to i ja nabrałem większej pewności siebie. Choć nadal nie rozumiałem, w jaki sposób upewniło ich o bezpieczeństwie skrzeczenie ptaków.

Nagle nasza kawalkada zatrzymała się, a z przodu, z pierwszego szeregu, usłyszałem głos. Brzmiał niczym skrzypienie starego drzewa na wietrze i chociaż nauczyłem się już rozróżniać niektóre ruskie słowa (oczywiście ogromnej większości z nich nadal kompletnie nie rozumiałem), to w tym wypadku nie byłem w stanie wychwycić żadnej nawet znajomo brzmiącej sylaby. Ale w przeciwieństwie do mnie porucznik księżnej, który prowadził naszą wyprawę, najwyraźniej świetnie rozumiał, co się do niego mówi, gdyż usłyszałem, jak odpowiada owemu głosowi.

– To ja, Ludmiła! – krzyknęła księżna pełnym głosem, a Andrzej machinalnie przetłumaczył mi jej słowa. – Dajże nam wolną drogę!

Potem uderzyła konia piętą i podjechała w stronę pierwszego szeregu. Przez chwilę widziałem jej plecy, potem jeszcze zad

wierzchowca, aż wreszcie zniknęła cała we mgle i w mroku. Później słyszałem tylko, jak mówi coś stanowczym tonem, tak jakby się z kimś sprzeczała. Po chwili nastąpiła cisza.

– Inkwizytorze, zsiadaj z konia i za mną! – usłyszałem wreszcie rozkazujący głos księżnej. – Andrzej, idziesz z nami. Reszta zostaje.

Zsunąłem się z siodła i podałem wodze jeźdźcowi z trzeciego szeregu, który zbliżył się do mnie. Wraz z Andrzejem przeszliśmy na czoło naszej małej wyprawy, a tam stała już księżna, sądząc po wyrazie twarzy, zagniewana, a dwa kroki przed nią stało coś, co przypominało kupę burych szmat z siwymi wiechciami na szczycie. To coś, ni to mężczyzna, ni to kobieta, ni to cudak, ni to dwunożny zwierz, miało opuszczoną nisko głowę, stąd nie było widać nawet kawałka twarzy. Zresztą może ta istota wcale jej nie miała, a tylko pysk lub mordę? Kto wie co lęgnie się w tych przeklętych ruskich lasach i na tych przeklętych ruskich bagnach?



– A co to za plugawa pokraka? – zapytałem Andrzeja.  
Szarpnął się nerwowo, pokręcił głową i położył palec na ustach.

– Nie gadajcie byle czego! – warknął, ale tak przytłumionym głosem, że ledwo go usłyszałem.

Potem sięgnął we mgłę, wziął coś do ręki i następnie podał mi wyciągniętą z tumanu zdobycz. Był to koniec liny.

– Będziemy się wspinać? – burknąłem.

– Trzymajcie się tej liny jak wizji zbawienia – rozkazał kąśliwym tonem. – Puściecie, a przepadniecie we mgle i zaraz bagno was wessie.

Ach, więc tak miała wyglądać nasza przeprawa! Najwyraźniej tylko przybysz znał drogę prowadzącą w miejsce, do którego chciała dotrzeć Ludmiła, i najwyraźniej droga ta wiodła przez pułapki. Oczywiście trzęsawiska takie jak na Rusi były niespotykane nigdzie indziej, rozległe, dzikie i niezbadane, ale przecież u nas, w świecie cywilizowanym, również mieliśmy jeszcze bagna i bagniska. I wiedziałem doskonale, jak niebezpieczne dla człowieka nieznanego szlaków są próby sforsowania mokradeł. A już w nocy oraz we mgle spacer po grzęzawiskach były proszeniem się o pewną zagładę. Dlatego wiedziałem, że podanej mi liny będę rzeczywiście trzymał się tak, jak przykazał mi Andrzej – niczym wizji zbawienia. Oczywiście my, inkwizytorzy, jesteśmy zawsze gotowi, by z modlitwą na ustach i z wdzięcznością w sercu ponieść śmierć za wiarę, ale jednak jest różnica pomiędzy bohaterską śmiercią z orężem i krzyżem w dłoni, kiedy człowiek staje twarzą w twarz z demonicznymi hordami, a pomiędzy banalnym, pospolitym oraz nieprzynoszącym nikomu korzyści utopieniem się w smrodliwym błocku. I jeżeli na pierwszą ewentualność byłem gotowy każdego dnia i o każdej godzinie (żałując oczywiście, iż tak precyzyjne narzędzie jak wasz uniżony sługa zostanie zaprzepaszczone), to na drugą zgadzać się nie miałem najmniejszego zamiaru.

Ruszyliśmy powoli w gąszcz, a drzewa zamknęły się nad nami tak ścisłym całunem, że nie widziałem już nie tylko pleców



Andrzeja, ale nawet własnych dłoni trzymających linę. Smród bagniska, czyli smród butwiejących i gnijących roślin, który przed ścianą lasu był całkiem wyraźny, teraz już niemal obezwładniał. Inkwizytorzy są przyzwyczajeni do różnego rodzaju miazmatów i wyziewów, zwłaszcza tych, które produkuje ludzkie ciało poddawane torturom, ale nawet mnie zrobiło się niedobrze w tej zatechłej puszczy. Nie mogłem już wytrzymać (zwłaszcza że, przypominam wam, moi mili, Pan raczył obdarować waszego unizonego sługę niezwykle czułym powonieniem, czym co prawda zazwyczaj się nie chwale, ale o czym aż zbyt często przypominają mi parszywe okoliczności), więc starałem się oddychać samymi ustami. Ale mimo to zaczęło mi się kręcić w głowie. Czułem się, jakby kazano mi wejść do dusznego kurnika, gdzie na grzędach leżały setki rozbitych, zgniłych jaj, a obok nich truchła kur napuchnięte od gazów gnilnych. I czułem się tak, jakby wszystkie te ścierwa w jednej chwili wybuchły wprost w moją twarz, oblepiając ją breją złożoną z flaków, strzępów napęczniałego mięsa i burej, galaretowatej krwi.

I wtedy nabrałem pewności, że otacza mnie nie tylko zwykły smród. On oczywiście istniał w wyjątkowo nieprzyjemnej, zdegenerowanej i wzmocnionej formie, ale oprócz niego były tu więcej nawet niż wyczuwalne ślady czarnej magii. A więc komuś, kto mieszkał w tej głuszy, nie wystarczały naturalne puszczańskie przeszkody, lecz zdecydował się zwiększyć swoje bezpieczeństwo, stosując mroczną sztukę. Cóż, w Cesarstwie, widząc skutki czynu tak haniebnie odrażającego, wezwałbym natychmiast braci inkwizytorów i ogniem prawdziwej i świętej wiary oczyścilibyśmy teren wraz z mieszkającymi na nim oraz odpowiedzialnymi za pogańskie praktyki ludźmi. Tutaj i w tym wypadku mogłem tylko zacząć się modlić. Tylko i aż, gdyż modlitwa szkolonego inkwizytora ma moc nieporównanie większą niż pacierze zwykłego człowieka. Wzywałem siłę, która

dzięki łasce Pańskiej przepelnia każdego głęboko wierzącego członka Świętego Officjum. Nie o słowa tu chodzi, nie o recytacje formuł takich czy innych, nie o symbole i znaki (choćby były najświętsze), lecz o szczere wyznanie miłości do Pana i o bezgraniczną ufność, jaką pokładamy w Jego potędze. Czy odmawiać będziemy przy takiej okazji „Ojcze nasz”, czy „Credo”, czy „Antyfonę”, czy inwokację do Świętego Michała Archanioła – nie ma to żadnego znaczenia, gdyż w modlitwie wznoszonej przeciw złu nie o wierność słowom chodzi, lecz o wierność sercu. I nie o zaufanie do rymów takich czy innych, lecz o zaufanie do niezmiernych mocy Pana. Mocy, dzięki której każdy inkwizytor obleka pancerz pomagający mu ostać się przeciw podstępny zakusom diabła. Modliłem się z zamkniętymi oczami, jedynie w myślach i poruszając bezdźwięcznie ustami, gdyż nie w mowie, jak cymbał brzmiającej, skrywa się prawdziwa wierność dobrego chrześcijanina. Modliłem się i im bardziej pogrążałem się w hymnie wysławiającym wielkość i słowa Pana, tym lżej mi się szło i tym swobodniej mi się oddychało powietrzem, które co prawda nadal śmierdziało zgnilizną, ale już nie dusiło ani nie powodowało zwidów. A kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem, że mgła wcale nie jest już taka gęsta, jak była jeszcze niedawno, a wszystkie przedmioty i ludzie nabrali nadzwyczajnej ostrości, jakby ustawiono ich w słoneczny dzień na górskim szczycie.

– Inkwizytorze... – usłyszałem nagle stłumiony i spłoszony głos Andrzeja.

– Co takiego? – Obróciłem twarz w jego stronę.

– Wasze oczy...

– Co z moimi oczami?

– Błyszczą niczym gwiazdy – rzekł z pełnym obawy, lecz i szacunku zadziwieniem.

Ludmiła usłyszała te słowa, bo zerknęła na mnie przez ramię, po czym uśmiechnęła się.

– Czyli to dzięki tobie nie będę dziś rzygać – stwierdziła. –

Znakomicie. Starucha będzie zachwycona – zachichotała, po czym z powrotem odwróciła głowę.

– Starucha? – zapytałem Andrzeja.

Machinalnie otulił się szczelniej płaszczem.

– Sami zobaczycie – burknął tylko. – Chyba jesteśmy już blisko.

Stanęliśmy na skraju polany. O dziwo, nie zalegała tutaj mgła i w świetle pobłyskującego zza gałęzi księżycy świetnie widzieliśmy każdy szczegół wznoszącej się przed nami budowli. Wyglądała niczym pochodząca z innego świata, wysrebrzona i wyostrzona na tle niewyraźnego, zasnutego oparami, ciemnego lasu. Bardziej jednak zastanowiło mnie, że dom ten stał na litej skale wypiętrzającej się jakieś trzy stopy nad bagnisko i równej niczym stół. Skądkolwiek pośrodku trzęsawiska wzięła się ta skała, to trzeba przyznać, że stworzyła idealne miejsce do wzniesienia budynku, któremu nie groziło, że pewnego dnia utonie w smrodliwej brei.

– Niezwykłe – powiedziałem.

Andrzej skinął głową.

– Mówią, że matka Olga zbudowała swój dom na wielkim kamieniu, który spadł z nieba tak dawno temu, że żaden człowiek tego upadku nie pamięta.

Matka Olga, pomyślałem. A więc czarownica. Wiedźma. Adeptka mrocznej sztuki. Cóż, w Cesarstwie miałem styczność z kobietami parającymi się czarnoksięstwem i kilka z nich poprowadziłem na spotkanie z błogosławionymi i oczyszczającymi płomieniami stosu, więc byłem ciekaw, jak będzie się zachowywać ta, którą za chwilę spotkam.

Domostwo, gdyż trudno ten budynek nazwać chatą, było zdumiewająco duże i porządnie zbudowane. Ściany wzniesiono z grubych poprzecznych bali przetykanych słomą, a dach z półokrągłych balików, a nie z samej słomy czy darni. Jedynie dziwne mogło się wydawać, iż w tym budynku nie było żadnych okien. Z początku sądziłem, iż zasłonięto je okiennicami, ale nie.

Ich po prostu nie było. Na pewno taki sposób konstrukcji zapewniał dużo większe bezpieczeństwo w tej dziczy i na tym odludziu. A poza tym we wnętrzu pozbawionej otworów (oprócz jedynych wąskich i niskich drzwi) budowli z całą pewnością łatwiej przetrzymać zimowe mrozy.

Dziwny, karłowaty człowiek, którego nazwałem wcześniej pokraką (co tak obruszyło Andrzeja), zastukał mocno kołatką. I już za chwilę drzwi się uchyliły, zostawiając szparę tak wąską, że wiedziałem, iż odziana w kolczugę i płaszcz księżna, kobieta solidnej przecież budowy, będzie miała kłopoty, by się w niej pomieścić. Ludmiła najwyraźniej też to zrozumiała, gdyż zawołała coś gniewnym tonem, a wtedy z wnętrza usłyszeliśmy śmiech i wejście nieco się poszerzyło. Wchodziliśmy do ciemnej sieni po kolei, najpierw księżna, potem ja, Andrzej i wreszcie ów tajemniczy pokrak, który zatrzasnął za nami drzwi, po czym usłyszałem, jak zamyka je na skobel.

Przeszliśmy długim, wąskim korytarzem przed kolejne drzwi, które Ludmiła tym razem pchnęła bez zastanowienia i bez pytania. Ukazało się przed nami jasno oświetlone pomieszczenie. Duży, czysty pokój z wybieloną podłogą, tak wyszorowaną, że niemal lśniącą. Przy ścianie stał wielki piec, szeroki i niski, o dziwo, wyglądał, jakby nie pochodził z Rusi, ale z jakiegoś cywilizowanego kraju, tak był porządnie zrobiony. Na kaflach leżały piernaty, materace, poduszki i poduszcзки. Wszystkie haftowane, zdobione, wyszywane we wzory i obrazki. Nie przypominał ten dom siedziby czarownicy, a w każdym razie nie przypominał jej w taki sposób, jakiego oczekują poczciwe ludziska, które nasłuchiwały się za dużo bajęd o pająkach, nietoperzach, zwojach czarciego ziela, wilczych jagodach, zasuszonych żabach czy czarnych kotach oraz psach śledzących z ukrycia każdy krok przybysza pałającymi oczami. Aha, i o krukach łopoczących skrzydłami i kraczącym głuchym, cmentarnym głosem. Tymczasem w tej komnacie nawet ukryć się

nie byłoby gdzie, bo kąty były czyste i jasno oświetlone.

A gospodyni? Cóż, gospodyni była stara, miała pomarszczoną twarz (ale raczej przyjemnie pomarszczoną, jak pieczone jabłuszko, a nie jak mięso, które za długo leżało w wilgoci) i siwe kudły. Wcale jednak nie była odziana w rozpadające się, plugawe łańchmany, jak wypadałoby ubierać się wiedźmie mieszkającej na bagnisku, lecz w solidnie utkaną (i sprawiającą wrażenie czystej) obszerną suknię, czy może nawet lepiej powiedzieć: w coś na kształt krótkiego habitu o rozszerzonych rękawach. Na stopach miała futrzane buty, a na piersi dziwny naszyjnik z nanizanymi na sznur kosteczkami zwierząt. A ściślej mówiąc, żywiłem nadzieję, że są to tylko kosteczki zwierząt...

– Ach, to on! – zawołała, wskazując na mnie paluchem.

– Witaj, matko Olgo – powiedziała z uszanowaniem księżna. Potem odwróciła się do Andrzeja i coś do niego rzekła po rusku.

– Księżna nakazała, bym wam tłumaczył wszystko, co tu zostanie powiedziane – poinformował mnie Andrzej o życzeniu władczyni.

– Tak, to właśnie on – kontynuowała Ludmiła, z powrotem obrócona już w stronę wiedźmy. – Przyprowadziłam go, żebyś i ty go obejrzała, i żeby twoje dziewczęta go obejrzały, i żebyś pomogła nam, mateczko, najlepiej, jak tylko umiesz.

Gospodyni pokiwała głową, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Słyszałam, jak się modli – zachichotała. – Za słaby jest, by przerwać moje pajęczyny, ale potrafił się całkiem zgrabnie zasłonić. Ma moc. Będziesz miała z niego pożytek...

Zrozumiałem, że kiedy stara mówi o „pajęczynach”, ma na myśli zaklęcia, które utkała na bagnach i które miały chronić jej dom. Oczywiście potrafiłbym siłę tych czarów zniweczyć, ale musiałbym mieć więcej czasu. No i trzeba przyznać, że naprawdę była biegła w czarnoksięskiej sztuce. Tym lepiej, skoro jak właśnie słyszałem, miała stanąć po naszej stronie i nam pomagać. Bo muszę to powiedzieć wyraźnie: wasz uniżony



i pokorny sługa nie należał do ludzi, którzy w obcym kraju, w kraju rządzącym się odmiennymi obyczajami i prawami, zaczną krzyczyć: „Spalić czarownicę, spalić czarownicę!”, kiedy tylko rzeczoną czarownicę zobaczą na własne oczy. Zapał może jest i dobry, ale wierzcie mi, mili moi, że przezorność oraz rozum są zazwyczaj jeszcze lepsze. Zwłaszcza kiedy jest się samotnym wędrowcem otoczonym przez wilcze stado.

– I ja mam taką nadzieję. – Ludmiła poważnie skinęła głową. – Bo w nieszczęściach, jakie mnie spotkały, pilnie potrzebuję pomocy.

– Tak, tak. – Starucha usiadła na wyłożonej kilimem skrzyni i gestem pokazała księżnej, by spoczęła naprzeciwko niej. – Złe rzeczy się dzieją po bagnach i lasach. Twój Jegor i jego dziewczyna to tylko początek nieszczęść... – Czarownica najwyraźniej świetnie wiedziała o śmierci starego wołcha i jego pomocnicy i najwyraźniej ją również ta śmierć zaniepokoiła.

Ludmiła zacisnęła usta.

– Jak temu zaradzić?

– Zrobimy, co zrobić możemy, a czego zrobić nie możemy, tego nie zrobimy, bo tak na świecie rzeczy się układają, nie inaczej... – wzruszyła ramionami wiedźma. – Tak jak chciałaś i tak jak prosiłaś, dam ci jedną z moich dziewczyn, niech połączy się z inkwizytorem. – Zerknęła w moją stronę i uśmiechnęła się lekko. – To powinno cię przez chwilę obronić. Może chwilę dłuższą, może chwilę krótszą, a może tak dobrze się zdarzy, że całkiem długą... Po wołchów posłałaś?

– Posłałam, matko Olgo. Ale jeśli któryś miałby przybyć, musi mieć zgodę księcia Nowogrodu. A księżę mnie nienawidzi, od kiedy zmarł mój małżonek, świętej pamięci księżę Dymitr.

Jasne, że jej nienawidził, pomyślałem, skoro Dymitr był jego krewniakiem, stronnikiem i przyjacielem, a ona kazała go zagłodzić na śmierć w żelaznej klatce.

– Ech... – Starucha skrzywiła się i machnęła ręką. – Tacy wy już

jesteście. Żaby bijące się w kałuży i niewidzące, że w ich stronę pełźnie żmija.

– A pełźnie? – zapytała szybko Ludmiła.

– Ano pełźnie, ano pełźnie – mruknęła wiedźma. – Pojesz coś, dziecino? – zmieniła nagle temat.

Ludmiła potrząsnęła głową.

– Pięknie dziękuję – odparła.

Starucha westchnęła i ku mojemu zdziwieniu, bo niezgodnie z ruskim obyczajem, nie namawiała już więcej na poczęstunek.

– Ano pełźnie złe z bagien – wróciła do pytania księżnej. – Skąd się wzięło, po co wylazło... – Wzruszyła ramionami. – Mnie to nie obchodzi, Ludmiło. Moja chata z kraja...

– Kiedy nas chce zeżreć, to i ciebie, matko, w końcu ukąsi – przerwała jej ostrym tonem Ludmiła.

Starucha znowu machnęła ręką.

– Peczora padnie, Moskwa padnie, Nowogród padnie, Kijów padnie, a moja chata zostanie – odparła lekceważącym tonem.

Zdziwiło mnie w tej wypowiedzi nie to, że wiedźma miała tak nadzwyczajne wyobrażenie o swojej wszechmocy, gdyż skromność i adekwatna ocena własnych możliwości były cechami rzadkimi również u czarownic w Cesarstwie. Zdziwiło mnie natomiast, że starucha tak dobrze zna geografie. Bo gdzie Peczora, a gdzie Kijów? Kogo na trzęsawiskach z końca świata mógł obchodzić Kijów?

– Kiedyś i ciebie, i twoich bagno również pochłonie – nie zgodziła się Ludmiła.

Czarownica wzruszyła ramionami.

– Może tak, może nie, ale nie zdarzy się to ani nagle, ani szybko.

Znowu spojrzała na mnie i zachichotała.

– Twój inkwizytor sądzi, że jestem starą wariatką, że lubię się przechwalać i chełpić. Myśli, że gdyby go tak zostawić ze mną samego, to bardzo łatwo dałby sobie radę... A może i jakiś

zgrabny stosik by dla mnie zbudował? – Przyglądała mi się ze złośliwym wyrazem twarzy.

Ja przypatrywałem się jej obojętnie i nie opuściłem wzroku, kiedy mierzyła mnie spojrzeniem. Nie widział bowiem nikt na świecie, by prawowierny inkwizytor cofał się przed czarownicą. A czy ja bym jej dał radę, czy ona dałaby radę mnie, gdyby przyszło co do czego, to tego nikt pod ludzkim niebem nie potrafiłby teraz ustalić z całkowitą pewnością. Wiedziałem jedno: wiele krwi by się polało, zanim ktokolwiek zatańczyłby na grobie inkwizytora.

Starucha odwróciła wzrok i zaśmiała się znowu chichotem suchym jak szelest liści na wietrze, ale tym razem też jakby mniej wesołym i mniej przyjemnym.

– Uważaj na niego – zwróciła się do Ludmiły, mówiąc w najoczywistszy sposób o mnie. – Gdyby nie to, że może wrócić do swoich tylko z twoją pomocą i twoim pozwoleniem, to w łyżce wody by cię utopił.

Nie było to stwierdzenie szczególnie odkrywczym, zważywszy, że byłem na Rusi więźniem. Żaden więzień nie lubi przecież swoich strażników, chyba że na wolności czekają go jeszcze większe kłopoty niż w niewoli. Ja, aby wrócić do mojej wolności, potrzebowałbym przemierzyć tysiące mil po wrogim, dzikim kraju, więc zrozumiałe, że musiałem jakoś pogodzić się z więzieniem. Ale nie miałem zamiaru kochać strażników, zwłaszcza że księżna Ludmiła sama mi sprokurowała niewolniczy los, szantażując moich towarzyszy. Czy jednak „utopiłbym ją w łyżce wody”? Moi mili, Ludmiła i zarządzana przez nią kraina, los samej Ludmiły i jej poddanych interesowały i obchodziły mnie tylko dlatego, że sam teraz stanowiłem część tego świata. Gdybym mógł uciec, to cała Ruś razem z jej książętami, bojarami, mieszczanami i włościanami mogłaby się bezpowrotnie zapaść pod ziemię. Albo mogłaby sobie istnieć. Aby tylko nie musiała istnieć w mojej pamięci. Krótko mówiąc, los

Rusi i Rusinów był mi doskonale obojętny. Ani nie żywiłem do nich sympatii, ani nienawiści. Najbardziej chciałbym nie musieć o nich nigdy myśleć.

– Przyzwyczaj się – zapewniła pobłażliwym tonem Ludmiła. – I do mnie się przyzwyczaj, i do naszego kraju się przyzwyczaj. A oddam go nie prędzej, aż mi się znudzi albo nie będzie mi już potrzebny.

Byłem pewien, że to zdanie zostało wypowiedziane na mój użytek, po pierwsze, by mnie pogiębić, a po drugie, po raz kolejny wbić mi w głowę, że mój los zależy tylko od dobrego humoru Ludmiły. Cóż, i bez przypominania naprawdę świetnie o tym wiedziałem.

– Mam teraz pięć dziewcząt – rzekła wiedźma tym razem już poważnie. – Pięć młodych i utalentowanych stworzeń. Każda mogłaby łatwo zostać przewodniczką wołcha. A jak zobaczą, że zamiast starego, brudnego dziada dostaną takiego młodzieńca jak ten tutaj – pokazała mi ruchem głowy – to będą piszczeć z radości jak szczeniaczki do matczynego sutka... – W głosie tłumaczącego jej słowa Andrzeja usłyszałem rozbawienie.

Ludmiła gestem właściciela poklepała mnie po pośladku.

– To prawda, że to ładny chłopiec. A słyszałam też, że potrafi całkiem zręcznie zadowolić kobietę. – Obróciła na mnie kpiący wzrok. – Myślisz, że nie wiem, jak tarosiłeś tę waszą czarnoskórą ślicznotkę? Pół Peczory słuchało nocami jej krzyków.

Oczywiście, że wolałbym być znany z niezwyklej świętości oraz z mocy zwalczania herezji, czarnoksiężników oraz demonów, ale miano mistrza *ars amandi* było epitetem, który mogłem z pokorą dźwigać i nie sądziłem, by przynosił mi powody do wstydu. A rzeczywiście w Peczorze miałem przyjemność obcować cieleśnie z piękną Nontle, znaną w cywilizowanym świecie pod imieniem Hildegardy Reizend, i rzeczywiście wszyscy o tym wiedzieli. Zresztą na małym,

znudzonym dworze księżnej Ludmiły wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich... Ale teraz Nontle zmierzała wraz z misją inkwizytorów w stronę Nowogrodu, a ja siedziałem tutaj. W chacie na bagnach. Co za parszywy los!

Wiedźma spojrzała na mnie i wyszczerzyła się.

– Wygląda niczego sobie, ale czy da radę moim dziewczynom, to jeszcze zobaczymy. Sama wiesz, Ludmiło, że one, jak się rozhasają, to potrzebują tych rzeczy więcej i częściej niż wierzba wody.

Usłyszałem oczywiście, że w głosie Andrzeja znowu pobrzmiwa rozbawienie. Ale jednocześnie zauważyłem, że zerknął na mnie chyba z czymś na kształt zazdrości. No cóż, na razie nie byłem pewien, czy będzie mi czego zazdrościć. To, że dziewczyny były młode i magicznie uzdolnione, wcale nie oznaczało, że będą urodziwe lub zgrabne. Rzeczywiście, biedna Swietłana, którą zniszczyła czarna magia skierowana na jej opiekuna, wołcha, była stworzonkiem całkiem przyjemnym dla oka (przynajmniej jakby ją domyto i uczesano), ale czy dziewczęta, które zaraz pokaże nam starucha, potrafią jej dorównać?

– A ty co? – Wiedźma obróciła na mnie kpiące spojrzenie. – Zastanawiasz się, czy aby na pewno będą urodziwe te moje dziewczuszki? Brzydkie nie są. – Skrzywiła usta. – A ty przynajmniej nie będziesz miał kłopotu z wyborem, bo też nic tutaj od ciebie nie będzie wcale zależało...

No cóż, do tego akurat zdążyłem się na Rusi przyzwyczaić, a miałem wrażenie, że przyzwyczajając będę się coraz bardziej.

– Zresztą czymże jest piękno? – Wzruszyła ramionami. – I ja byłam kiedyś młoda i choć tego wcale teraz nie widać, ludzie mówili też, że byłam bardzo piękna. – Wydawało się, że starucha na moment posmutniała. – Krasawica, tak o mnie gadali, a ja nawet nie pamiętam, jak wtedy wyglądałam. Czy wiesz, Ludmiło... – obróciła zgaszony wzrok na księżną – że za nic

w świecie nie pamiętam nawet własnej twarzy sprzed lat? Usiłuję sobie przypomnieć i nic... Jedynie pustka.

W głosie staruchy zabrzmiał nieudawany smutek, a ja zastanawiałem się, czy został on w większym stopniu wywołany utratą pamięci, czy też utratą urody.

– Ja przynajmniej mam portrety, które mi malowano – odparła księżna. – Na starość, jeśli jej dożyję, właśnie one będą mi przypominały, jak kiedyś wyglądałam. Może nie pięknie... – westchnęła. – Ale na pewno przynajmniej młodo.

Cóż, żałobne pienia tych dwóch kobiet nad utraconą młodością i urodą naprawdę niewiele mnie obchodziły, natomiast bardzo ciekaw byłem podopiecznych wiedźmy, które miały się pokazać i z których jedna, jak rozumiałem, miała mnie sobie wybrać za towarzysza. Oczywiście wolałbym, aby decyzja spoczywała w moich rękach, jednak na razie nic nie zapowiadało, że w ogóle ktokolwiek będzie słuchał moich opinii, a tym bardziej liczył się z moim zdaniem. Nie zamierzałem się jednak buntować. Zły pies, który warczy na pana, tylko dostaje baty za karę, a polecenie i tak prędzej czy później musi wykonać. Więc czyż nie lepiej ominąć niefortunny rozdział zatytułowany „Warczenie oraz baty”? Nas, inkwizytorów, nauczono, że aby osiągnąć ostateczne zwycięstwo, należy czasem zaznać bolesnego upokorzenia. Czyż nie mieliśmy w tej mierze najlepszego przykładu, jakim było postępowanie Jezusa Chrystusa, który wpierw oddał się na cierpienie i pośmiewisko, by potem złamać krzyż swej męki i w bitewnej, świętej chwale wkroczyć do Jerozolimy, zapewniając triumf wszystkim tym, którzy poszli Jego śladem i za Jego przykładem?

– Chodźcie no, dziewczęta! – zawołała starucha silnym głosem. Potem wskazała palcem środek pokoju.

– Stawaj tu, inkwizytorze – rozkazała.

Posłusznie wystąpiłem dwa kroki do przodu i zatrzymałem się w miejscu, które wskazywała wiedźma. Wtedy uchyliły się drzwi

z naprzeciwka i do pokoju rządkiem weszło pięć dziewcząt. Mając w pamięci Swietlanę, która żyła na dworze Ludmiły i która w dramatyczny sposób zginęła na tym dworze, ugodzona ostrzem czarnej magii, spodziewałem się rozczochranych, półprzytomnych stworzeń odzianych w byle łachmany. A oto pojawiły się jednakowo ubrane w czyste białe gieźla młode kobiety. Wszystkie były domyte i uczesane, wszystkie nieśmiało się uśmiechały i wszystkie miały skromnie opuszczone oczy. Przyznam, że w porównaniu ze Swietlaną, którą przecież miałem okazję doskonale widzieć (i niestety, również powąchać), była to ogromna różnica. I również, co tu dużo gadać, spora niespodzianka. Trzy dziewczyny były jasnowłose, szarookie i na tyle podobne jedna do drugiej, że mogły być kuzynkami lub siostrami. Czwarta była ruda niczym wiewiórka i miała twarz upstrzoną drobnymi piegami, a piąta miała lśniące czarne włosy, ciemną cerę i skośne oczy. Wyraźnie płynęła w niej krew któregoś z jugryjskich szczepów. Wszystkie były zgrabne, średniego wzrostu i raczej ładne, chociaż Jugryjka podobała mi się najmniej, a ruda wiewióreczka najbardziej.

– Przyjrzyjcie się uważnie temu mężczyźnie – przykazała surowym tonem starucha. – Jedna z was z nim właśnie się połączy i teraz zdecydujemy, która to będzie. Młody jest, silny i ma w sobie moc – zachwalała mnie wiedźma. – A widzę też, że jak będziecie dla niego dobre, to potrafi o was zadbać.

Wiewióreczka zachichotała i spojrzała na mnie zalotnie spod opuszczonych rzęs. Coraz bardziej mi się podobała. Ale w tym momencie zastanowiłem się, co będzie, jeśli nie jedna, lecz dwie dziewczyny zechcą mnie wybrać. Albo trzy? Albo wszystkie pięć, co przecież nie byłoby w sumie niczym zaskakującym, zważywszy na moje przymioty (zwłaszcza iż zalety te mogły wywrzeć szczególnie silne wrażenie na stworzonkach wychowanych w odosobnieniu). A jak sprawy by się potoczyły, teoretycznie przyjmując tak absurdalną hipotezę, gdyby nie



chciała mnie żadna? Jakie wtedy decyzje zostaną podjęte? Czy to starucha samodzielnie wyda werdykt?

– Chcę go dotknąć – odezwała się cichutko jedna z trzech jasnowłosych dziewcząt.

– Śmiało, Nataszko, śmiało – zezwoliła wiedźma pobłażliwym tonem i nawet pokiwała na nią palcem, by dodać jej odwagi.

Dziewczyna zbliżyła się, cały czas nie podnosząc głowy ani nie patrząc na mnie. Podeszła tak blisko, iż czubki naszych butów zetknęły się, a ja poczułem woń jej skóry, włosów i oddechu. Trzeba przyznać, że pachniała nawet dość przyjemnie. Tak jakby ściśniętymi w dłoni świeżymi liśćmi. Wyciągnęła ramiona i przytuliła się do mnie. Teraz już była tak blisko, że gdyby nie fakt, iż miałem na sobie gruby kaftan i płaszcz, to na pewno poczułbym bicie jej serca.

– On jest mój – powiedziała cicho, a ja zrozumiałem te słowa bez pomocy Andrzeja.

W chałupie przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Jesteś pewna, dziecko? – zapytała w końcu wiedźma z wyraźnym wahaniem w głosie.

– Pewna, mateczko – odparła natychmiast Natasza, cały czas mocno we mnie wtulona. – Należy do mnie, tak jak słońce należy do dnia, a księżyc należy do nocy.

Starucha znowu milczała przez chwilę.

– A więc niech się stanie, jak ma się stać – zawyrokowała wreszcie uroczystym tonem. – Jesteś jego, Nataszo, a on jest twój. Pilnuj go, a on upilnuje ciebie. – Odetchnęła głęboko. – Wracajcie do siebie, dziewczęta – nakazała. – I pomóżcie waszej siostrze przygotować się do wyjazdu. No już, puść go – zwróciła się bezpośrednio do Nataszy. – Nigdzie on ci już nie ucieknie – dodała rozbawiona.

Dziewczyna posłuchała jej nakazu, wyzwoliła mnie z objęć i zaraz wraz z towarzyszkami zniknęła za tymi samymi drzwiami.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy.

– To powinna być ta ruda dziewczyna, prawda? – Księżna spojrzała uważnie na gospodynię.

Wiedźma skinęła głową.

– Masz bystre oko, Ludmiło. To naprawdę powinna być Tamara. Przysięgłabym, że to będzie Tamara. Jemu – poruszyła głową w moją stronę – też się całkiem spodobała.

– Dlaczego więc zgodziłaś się na Nataszę?

– Ty wiesz czemu? – Spojrzała na mnie.

Potrząsnąłem przecząco głową.

– Umiesz wędrować po świecie za światem, co? – zapytała.

Przez moment nie byłem pewien, o co jej chodzi, ale wreszcie potwierdziłem.

– Po nie-świecie? – upewniłem się.

– Tak to nazywasz? Niech i tak będzie. Umiesz tamtędy chodzić, co?

– Raczej przemykać dręczony bólem trudnym do zniesienia – odparłem zgodnie z prawdą.

Sam usłyszałem ponury ton w swoim głosie, ale w sumie tej posępności nie można było się dziwić. Podróże do nie-świata niosły ze sobą nie tylko zagrożenie życia, a może i groźbę zagubienia nieśmiertelnej duszy, lecz również obezwładniający ból. A po wszystkim także chorobę i osłabienie. Nawet nie zdumiało mnie aż tak bardzo, że czarownica potrafiła rozpoznać, iż dysponuję właśnie tą zdolnością, gdyż była naprawdę bardzo, bardzo mocna. Ciekawe, w jakim stopniu by jej to pomogło, kiedy stanęłaby do konfrontacji z dobrze przygotowanym inkwizytorem?

– W świecie za światem coś drgnęło, kiedy dotknęliście jedno drugiego – oznajmiła starucha poważnym tonem. – Pisane jest wam bycie razem, chociaż nie wiem jeszcze dlaczego. – Znowu pokręciła głową. – Przysięgłabym, że to będzie Tamara – powtórzyła.

– A może to drgnięcie nie było zachętą, lecz ostrzeżeniem? – spytałem.

Milczała dłuższą chwilę.

– Podoba ci się? Polubiłeś ją? – nie odpowiedziała na moje pytanie.

– Tamara podobała mi się najbardziej – rzekłem, znowu nie uchylając się przed szczerą odpowiedzią.

– Ech, mężczyźni... – westchnęła czarownica. – Spojrzysz na nich filuternie, zatrzepoczesz rzęsami, uśmiechniesz się słodko, a oni już przebierają nogami, by dostać się do twojego miodu... – Andrzej tłumaczył teraz z wyraźnym rozbawieniem. – Proste z nich stworzenia i żadna z nas, choćby nawet nie za mądra, nie powinna mieć kłopotów, by wziąć ich na smycz i poprowadzić, gdzie sama zechce...

– Tacy oni właśnie są – zgodziła się rozpogodzona Ludmiła.

Nie zamierzałem, rzecz jasna, wtrącać się do dyskusji ani sprzeczać z usłyszanymi opiniami, jednak trudno nie zauważyć, że co dotyczyć mogło zwykłych zjadaczy chleba, ludzi pospolitych, zwyczajnych i ordynarnych, z całą pewnością nie dotyczyło wyszkolonych inkwizytorów, którzy wszelkie pokusy niesione przez świat potrafili oceniać, zachowując przy tym chłodny umysł.

Drzwi do pokoju, z którego wcześniej wychodziły dziewczęta, otworzyły się, ale tym razem za próg przeszła tylko Natasza. Miała na sobie wełniany szary płaszcz z odrzuconym na plecy kapturem. Jej jasne włosy spleciono w koronę na czubku głowy, przez co twarz dziewczyny wydawała się jeszcze jaśniejsza i jeszcze delikatniejsza. Zbliżyła się do wiedźmy, przyklękła przed nią i pocałowała ją w rękę.

– Dziękuję ci za wszystko, mateczko – powiedziała i w jej głosie słychać było szczerą wdzięczność. – I dziękuję ci, że mi go dałaś, chociaż wiem, że wcale nie miał on być dla mnie.

Starucha uczyniła nad jej głową znak krzyża, a potem zgmiotła

dłoń i ucałowała własną pięść.

– Będzie, co ma być, Nataszko. Ani mniej, ani więcej – rzekła.

– Zobaczę cię jeszcze kiedyś, mateczko?

– Na pewno zobaczysz mnie, dziecko, tam, gdzie wszyscy ludzie kiedyś się spotkają i gdzie dokładnie zobaczą jeden drugiego – odparła poważnie wiedźma. – Ale czy na tym świecie... – Przechyliła głowę, jakby nasłuchiwała. – Tego nie jestem pewna – dodała, a ja usłyszałem w jej głosie wahanie.

Po twarzy Nataszy zaczęły płynąć łzy.

– No już, wstawaj i idź do swojego mężczyzny – rozkazała starucha ostrym tonem. – Nie masz co lamentować. Taki jest nasz los i wszystkie o tym dobrze wiemy.

Dziewczyna posłusznie wstała z klęczek i zbliżyła się do mnie. Miała opuszczoną głowę, więc nie widziałem, czy ciągle płacze. Nie bardzo wiedziałem, co zrobić, więc położyłem jej dłoń na ramieniu.

– Potrafisz jeździć konno? – zapytałem.

Ludmiła i wiedźma, obie równocześnie, tak zgodnie, jakby się umówiły, wybuchły śmiechem.

– Już ona ci pokaże, jak umie dosiadać rumaka! – zawołała starucha.

Andrzej śmiał się również, lecz odpowiedział sam z siebie:

– Zabierzecie ją na swojego wierzchowca i będziecie na nią uważać. Nigdy nie jeździła konno, ale będziemy wolno jechać, więc macie tylko pilnować, żeby nie spadła z siodła.

– Przynajmniej jeden zrozumiał moje pytanie dosłownie, nie metaforycznie – burknąłem.

Obie kobiety zaśmiały się jeszcze głośniej.

– Młode ciała, młode żądze, młode pragnienia – powiedziała wiedźma z wyraźną tęsknotą w głosie. – A ja już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na Nocy Przesilenia. Ech... – Machnęła ręką.

– Oj, w Noc Przesilenia to i ja niegdyś tańczyłam do utraty tchu

– uśmiechnęła się szeroko Ludmiła i nagle jej twarz złagodniała i odmłodziła o dobrych kilka lat.

– Jestem pewna, że nie tylko tańczyłaś, latawico – zażartowała starucha, obnażając spróchniałe trzonki zębów.

– Ano nie tylko. – Księżna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Krzepkie tam były chłopaki, nie powiem. – Pokręciła głową. – Rano, jak trzeba było wracać, to ledwo nogami powłóczyłam, tak potrafili mnie przemaglować.

Nie byłem pewien, czy to dobrze, iż wraz z Andrzejem słyszymy podobne wspominki z czasów szalonej młodości. Ale być może w ruskich zwyczajach było to coś pospolitego i taka przeszłość nie szkodziła władczyni w oczach poddanych. Zresztą skoro Andrzej tłumaczył mi owe słowa, to znaczyło, że nie widział w nich ani nic zdroźnego, ani nic dziwnego. No cóż, co kraj, to obyczaj. W końcu już rzymscy kronikarze wspominali, że słowiańskie zachowania miłosne różnią się od tych, jakie znamy z krain wchodzących w skład Cesarstwa, a wielu postępków, które w naszych oczach wydają się naganne, tam wcale nie uważa się za grzech. A jeśli już, to za taki, który może być lekko i łatwo wybaczony.

– Idźcie już – rozkazała czarownica. – Załatwiliście ze mną wszystko, co mieliście do załatwienia, i nic tu dłużej po was. Pilnuj jej i bądź dla niej dobry. – Obróciła się w moją stronę. – Bo jak nie będziesz, to dwakroć zło cię spotka...

Przez chwilę jej twarz rozmazała się przed moimi oczami, tak jakby te oczy zaszyły mi łzami. Zamrugalem szybko, ale i tak zrozumiałem, że starucha rzuciła zaklęcie, jakiś rodzaj uroku czy klątwy. Diabli wiedzą, czy skutecznego, czy nie. I Bóg mi świadkiem, że nie wiedziałem, w jaki sposób potrafiła to zrobić tak sprawnie i tak błyskawicznie. Ludmiła i Andrzej potraktowali te słowa, jakby były tylko zwykłym ostrzeżeniem, ale wiedźma wiedziała, że ja wiem, jaka głębia kryje się za nimi, i uśmiechnęła się do mnie samymi ustami, czy raczej lepiej powiedzieć:

skrzywiła wargi w złośliwym grymasie. Potem strzepnęła palcami.

– Wynocha wszyscy – nakazała. – Zmęczona jestem.

Odwróciła się do nas plecami i podeszła do pieca. Zwaliała się z westchnieniem na piernaty.

– Żegnaj, mateczko – powiedziała z uszanowaniem Ludmiła. – Będę miała we wdzięcznej pamięci twoją dobroć.

– Jesteś mi winna przysługę – odburknęła wiedźma. – Wielką przysługę. I lepiej o tym pamiętaj.

– Nigdy nie złamałabym danego słowa, matko Olgo. – W głosie księżnej zabrzmiała uraza.

A kiedy gospodyni się nie odezwała, wszyscy zrozumieliśmy, że naprawdę nic już tu po nas. Poza tym ów pokrak, który nas przeprowadził przez bagniska, otworzył szeroko drzwi i zachrzakał niczym świnia nurzająca ryj w błocie, co miało zapewne oznaczać, że jest gotów do drogi i czeka, by nas zabrać z powrotem.

Kiedy wyszliśmy za chatę, znowu wręczono nam linę. Natasza chciała stanąć za mną, ale zatrzymałem ją łagodnie.

– Będiesz szła między mną a Andrzejem – powiedziałem. – Ja pójdę na samym końcu, żeby dbać, aby nic złego ci się nie przytrafiło...

Dworzanin Ludmiły przetłumaczył moje słowa, a słuchająca uważnie Natasza skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie nieśmiało. Potem odezwała się cichym głosem.

– Mówi, że macie dobre serce – wyjaśnił Andrzej z kamienną miną.

No tak, to właśnie ja: Mordimer Madderdin, nazywany inaczej poczciwcem, człowiekiem o gołębiu sercu i zacności duszą.

– Komu, jak komu, ale jej nic złego na tych bagnach się nie przytrafi – dodał już od siebie. – Prędzej was licho tu zeżre, niż jej włos z głowy spadnie.

Kto wie, mogło tak być naprawdę, ale nie musiało. To, że

dziewczyna wychowywała się w chacie na trzęsawiskach, wcale nie musiało oznaczać, że знаła same mokradła i otaczającą je magię oraz że była na nich całkowicie bezpieczna. Jeśli chodzi o wiedźmę, z pewnością mogłaby biec tam, gdzie my byśmy pełzali lub się potopili, ale czy jej podopieczna była podobnie uzdolniona?

Tym razem w czasie wędrówki obyło się bez sensacji i przykrości podobnych do tych, jakie spotkały nas w trakcie zbliżania się do chaty wiedźmy. Otaczały nas oczywiście ciemność, mgła, wilgoć i bardzo, ale to bardzo silny smród, lecz zarówno mrok, wilgoć, jak i odór zostały wywołane naturalnymi przyczynami, nie za pomocą mrocznej magii. Kiedy wyszliśmy z lasu, mgła, niestety, zgęstniała jeszcze bardziej, nie zobaczyłem nawet wierzchowców naszej eskorty, lecz tylko usłyszałem stłumione i ledwo słyszalne rżenie. Miałem nadzieję, że ta nasza eskorta, żołnierze i oficer Ludmiły, jeszcze żyje. Bo w tej chwili przyszła mi do głowy myśl, iż kto wie czy ktoś ich nie podusił lub nie wyrznął, korzystając z okrycia tą mleczną, gęstą zasłoną, i teraz ten ktoś czeka cierpliwie na nas, by dokończyć dzieła. Przyciągnąłem bliżej Nataszę i wysunąłem z pochwy kordelas. Dziewczyna powiedziała coś szybko, a Andrzej obrócił głowę w moją stronę.

– Mówi, że nic nam nie grozi – powiedział półgłosem. – Możecie schować miecz.

Cóż, nie wiem, czy inkwizytor doświadczony w walkach i bitwach powinien słuchać młodej kobiety, która z wojną nie miała nigdy do czynienia, lecz ja posłuchałem. Wsunąłem kordelas z powrotem do pochwy, na wszelki wypadek jednak nie zdjąłem palców z rękojeści. Podchodziliśmy w stronę, z której poczułem już zapach końskiego potu, a jeszcze wyraźniej końskiego kału. Ucieszyło mnie, że nie dobiegła do mnie woń krwi, a kiedy moment później zobaczyłem prześwitujący zza mgły koński łeb, a za chwilę równie niewyraźną głowę jeźdźca,



to naprawdę się uspokoiłem. Nie powiem może, że kamień spadł mi z serca, lecz byłem szczerze zadowolony, że nie czeka mnie walka. Bo po pierwsze, miałem pod opieką dziewczynę, a po drugie, kto lubi bić się w oparach tak gęstych, że trudno nawet dostrzec, przeciw komu się walczy, ilu tych napastników jest i skąd nadchodzą.

– Wasza miłość! – Porucznik zeskoczył z siodła i szybko pochylił się przy koniu księżnej, by Ludmiła mogła dosiąść wierzchowca po jego grzbiecie.

Mnie oczywiście nikt nie wyświadczył podobnej grzeczności, zresztą musiałem wpierw zadbać o moją podopieczną. Zrobiłem ze złączonych dłoni podpórkę i pokazałem, że ma na nią wejść lewą stopą. Uczyniła to nad podziw zgrabnie, zręcznie też ulokowała się w siodle, siadając ku mojemu zadowoleniu po męsku, z nogami przerzuconymi po obu bokach wierzchowca. A ponieważ musiała przy tym wszystkim podkasać suknię, więc z przyjemnością miałem okazję zauważyć, że ma pięknie wytoczone, zgrabne łydki. Umościłem się za dziewczyną, by mieć ją w każdej chwili jazdy pod kontrolą. Teraz była chroniona z przodu przez koński łeb, z tyłu przeze mnie, a z boków otaczały ją moje ramiona, w których trzymałem wodze. Nawet zważywszy na całkowity brak doświadczenia w jeździe konnej, nie powinno się jej nic złego przytrafić. Chyba że będziemy galopować przez wertepy ścigani przez wrogów wypuszczających chmary strzał. No ale w takiej sytuacji coś złego przytrafić się będzie mogło każdemu z nas. Miałem jednak szczerą nadzieję, iż do fortecy dojedziemy tak samo bezpiecznie, jak żeśmy z niej wyjechali.

Truchtaliśmy przez mrok i mgłę w milczeniu, zauważyłem jednak, że Natasza oparła się o mnie plecami, a dłonie, które najpierw miała wplecione w końską grzywę, po pewnym czasie położyła na moim przedramieniu.

Mgła i szarówka rozwiewały się, widzieliśmy coraz lepiej wszystko i wszystkich wokół. Przez kłębowisko chmur przed

nami prześwitywały różowe pasma.

– Słońce – powiedziałem na głos – to jest wschodzące słońce.

Andrzej obrócił się w moją stronę.

– Ano wschodzące słońce – zgodził się. – Kto by pomyślał, że tyle czasu spędziliśmy na bagnach, co?

Nie odpowiedziałem, bo i co mógłbym uczynić poza wydawaniem głośnych okrzyków zdumienia? I na pewno bym je wydawał, gdybym nie był inkwizytorem, człowiekiem zaznajomionym z wszelakimi machinacjami diabła. Wiedziałem jedno: jakkolwiek by liczyć naszą podróż przez moczary oraz nasze odwiedziny w chacie czarownicy, nie mogło to zabrać całej nocy. Czy zaklęcia broniące domu wiedźmy były tak mocne, iż otępiły nas, spowolniły lub nawet pozbawiły przytomności? Czy możliwe, bym nie tylko nie potrafił obronić się przed takim czarem, ale nawet nie wiedział, że został on rzucony? Byłem człowiekiem przygotowanym do walki z mroczną magią i przywykłem, by liczyć na własne siły, własny rozum i własny spryt. Ale wierzcie mi, mili moi, że naprawdę szczerze żałowałem, iż nie ma ze mną ani Barnaby Bibera, ani Arnolda Löwefella, starych, doświadczonych inkwizytorów, którzy z niejednego pieca chleb jedli i niejednen stos rozpalili. Cóż, nie mówiąc już o powabnej i uczonej Nontle, której towarzystwem mógłbym cieszyć się też na inne sposoby niż zaledwie korzystanie z jej wybitnego rozumu.

– Jak to możliwe? – spytałem Andrzeja. – Nie dziwi was to?

Spojrzał na mnie obojętnym wzrokiem.

– Na bagnach nic nas już nie dziwi – odparł. – Przyzwyczailiśmy się, więc i wy się przyzwyczajcie.



Nataszę zabrano ode mnie, kiedy tylko przejechaliśmy przez bramę fortecy. Zaraz wzięły ją między siebie dwie dworki

księżnej. Zauważyłem, że zachowywały się w stosunku do niej ze zdumiewającym szacunkiem, można wręcz powiedzieć: czołobitnie. I jednocześnie trzymały się od niej na tyle daleko, by przypadkiem nie dotknąć jej, nie potrącić, nie otrzeć się o nią. Ten szacunek był tym bardziej zdumiewający, że obie kobiety były niezbyt powabne i dość stare. A przecież nie ma na całym świecie większego wroga młodej, ładnej i nieśmiałej dziewczyny niż starsza od niej, brzydka i bezczelna baba. A w tym wypadku proszę bardzo... Obie dworki sprawiały wrażenie, że gdyby Natasza poprosiła o bryczkę, to same by się do niej zaprzęgły i jeszcze by się dla dodania animuszu wzajemnie wybatożyły. To, co zobaczyłem, ucieszyło mnie, bo nie chciałem, by dziewczyna przeżywała dodatkowe zmartwienia z powodu dworskich intryg. A doskonale wiedziałem, jak podłe i okrutne potrafią być kobiety. Nie to, co my, mężczyźni, natury proste, lecz jednocześnie uczciwe i honorowe. Gdy coś jest nie tak pomiędzy jednym a drugim mężczyzną, to ci wyzwą się paskudnymi słowami, pobiją, w najgorszym wypadku jeden z drugiego wypruje flaki, a potem pójdą razem na piwo lub gorzałkę (oczywiście tylko pod warunkiem, że ten z wyprutymi flakami jeszcze żyje). A kobiety? Albo będą sobie prawić słodkie słówka, a za plecami obmawiać, albo będą nad tą słabszą i podległą wyzłośliwiać się, wydziwiać, kpić z niej i szydzić. A kiedy już osiągną stan ostatecznej wściekłości, to nawet wtedy nie spiorą się po pyskach, lecz co najwyżej jedna drugiej podrzuci truciznę... Albo potajemnie doniesie na nią do Inkwizytorium (i z bólem przyznam, iż trafiali się inkwizytorzy, którzy owe fałszywe świadectwa o czarnoksięstwie, wiedźmiarstwie lub uprawianiu demonologii czy herezji brali za dobrą monetę, zamiast kazać delatorkę solidnie wygrzmocić kijami). Oczywiście nie zawsze tak bywało, gdyż zdarzały się również niewiasty krewkie i prostoduszne, które wolały posługiwać się pięścią lub pałką, a nie obmową i donosem.

– Nie martw się, inkwizytorze. – Księżna dostrzegła spojrzenie, którym odprowadzałem Nataszę. – Wskaż jej kwaterę, pomogą się odziać, nakarmią, zaprowadzą do łaźni, jeśli zechce. Nie będzie jej się działa krzywda.

Zaraz potem przestała zwracać na mnie uwagę i poszła w głąb podwórza, rozmawiając z uniżenie pochylonym i idącym pół kroku za nią porucznikiem.

– Mój Boże, jakże ja się cieszę, żeśmy wrócili – usłyszałem nadzwyczajnie szczery i pełen ulgi głos Andrzeja.

Zamaszyście nakreślił w powietrzu wielki znak krzyża i ślad po nim zgniótł w dłoni (był to ruski sposób, by uroczyście się przeżegnać, nieznany w cywilizowanym świecie, lecz tutaj powszechny). Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Kiedy zeszła ta mgła, myślałem, że już po nas – przyznał prosto z mostu.

– Co niby miało się wydarzyć we mgle? – Zmrużyłem oczy.

– Wszystko, co najgorsze. – Tym razem przeżegnał się i ucałował swoją zaciśniętą pięść.

No i taka to była rozmowa. O strachu pozbawionym realnych podstaw. Ale przecież nie powiem, że i ja nie odczuwałem niepokoju, kiedy brodziliśmy w tej piekielnej mgle. Jednak chciałem wiedzieć, czego bał się Andrzej? Zbrojnych wrogów? Potworów? Czarów? Zapytałem go o to.

Potrząsnął głową.

– Wszystko się mogło zdarzyć – odparł.

Wzruszyłem ramionami. Wszystko albo nic, pomyślałem.

Stajenny odebrał od nas konie i ruszyliśmy w stronę głównej bramy budynku. Rzeczywiście tutaj, na dziedzińcu peczorskiej fortecy, człowiek czuł się jakoś raźniej. Śmierdziało co prawda paloną smołą, śmierdziało końskim gównem, śmierdziało zatechłym błockiem (w którym buty tonęły po cholewki), ale jednak to wszystko było swojskie. Obrzydliwe, lecz jednoznacznie kojarzące się z bezpieczeństwem.

– Zgłodniałem przez tę naszą wyprawę – rzekł Andrzej. – Zajrzycie ze mną do kuchni? Zobaczymy, co gotują.

Pokręciłem głową, bo ja wręcz przeciwnie, wcale nie miałem ochoty ani na solidny posiłek, ani nawet na niewielką przekąskę. Może co najwyżej na wizytę w łaźni albo chociaż na kąpiel w cebrzyku z gorącą wodą. Cały czas czułem się nieswojo po wędrówce przez mgłę. Tak jakby owa mgła oblepiła mnie niczym śluz z rozgniecionych robaków. Miałem nadzieję, że ciepła woda zmyje owo wrażenie, które mimo że było jedynie fantazją wrażliwego umysłu, za nic w świecie nie chciało ustąpić.

– Czy czujecie się brudni? – zagadnąłem mojego towarzysza.

– A co? Śmierdzą?

Oczywiście, że śmierdział. Wszyscy tu śmierdzieli. Nawet jeśli nie zastarzałym potem i brudem, to przynajmniej niepraną odzieżą. A nawet jeśli praną, to wilgotną i źle wysuszoną. Przyzwyczajałem się do tego wszechobecnego odoru, bo co niby miałem zrobić? W naszym cywilizowanym Cesarstwie też nie wszyscy wonieli miętą, lawendą czy lukrecją i goździkami, a ludzie nierozumiejący, że odzież można w ogóle prać, trafiali się częściej, niż życzyłyby sobie ktoś o tak wrażliwym powonieniu jak ja.

– Myślałem o tej mgle – odparłem szczerze. – Mam wrażenie, jakby się do mnie przylepiła.

– Wiem, co macie na myśli. – Skinął poważnie głową. – Taką mgłę nazywamy... – zastanawiał się przez chwilę i zrozumiałem, że szuka najlepszego tłumaczenia z ruskiego na łacinę – wyziewem topielców.

– Wyziewem topielców? – zdziwiłem się.

– Mówią, że to oddech tych, którzy potopili się na mokradłach – rzekł, obniżając głos niemal do szeptu. – Cały ich oddech, jaki stracili z winy bagien, a mogliby mieć, gdyby dalej żyli, został po ich śmierci właśnie na bagnach – wyjaśniał niezbyt składnie, ale zrozumiałem ideę, jaka przyświecała tym wyjaśnieniom. – Kto

potrafi tego oddechu użyć, ten jest zdolny zesłać taką diabelską mgłę.

No i kolejna ruska bajda, pomyślałem. Oddech topielców zsyłający mgłę, mój Boże. Oczywiście każdy inkwizytor słyszał o wiedźmach umiejących zasnuwać pole magicznymi oparami czy nawet przywoływać burze lub ulewy (co było tym łatwiejszym zadaniem, jeśli w czasie wypowiedzenia zaklęcia akurat na niebie wisiały czarne chmury), ale oddech topielców? Może było to i poetyckie, ale za to diablo nielogiczne. Niemniej prostaczkowie nie w takie rzeczy wierzyli i nie w takie rzeczy chcieli wierzyć. Ach, gdybyż ludzie mieli pociąg do cudowności tylko w jej formie wdzięcznej, pachnącej i melodyjnej. Gdybyż zachwycali się fruwającymi postaciami o kolorowych skrzydełkach, których uderzenia wzbudzałyby podmuchy o zapachu fiołków lub róż i których mowa brzmiałaby niczym najśłodsze trele wildamory. Ale nie! Ludzie musieli wymyślać sobie potwory. Tak jakby tych prawdziwych było im mało...

– Ponura historia – rzekłem na głos.

– Historia ponura, bo i świat, który nas tutaj otacza, jest ponury – odparł sentencjonalnie. – No ale co zrobić, skoro innego nie mamy?

– Świat jest ponury nie tylko pod Kamieniami – powiedziałem.  
– Świat jest ponury wszędzie, tylko że w niektórych miejscach na zgniłe ciało nakłada zdobne szaty, a twarz ukrywa pod uśmiechniętą maską. A u was, na Rusi, po prostu nie ma ani tych szat, ani tej maski, dlatego możecie oglądać go w jego najprawdziwszej postaci i formie.

– Wszyscy inkwizytorzy oceniają świat z taką pogodą ducha? – zakpił.

– Widzimy więcej niż inni ludzie, więc dzięki temu również rozumiemy więcej niż inni ludzie – rzekłem poważnie. – Ale dość o tym. – Machnąłem ręką. – W końcu wróciliśmy szczęśliwie, więc po co kłopotać się teraz paskudnymi myślami?

– To ta mgła – westchnął. – Wam oblepia skórę, a mnie jakby siedziała w głowie. – Wstrząsnął się. – A nic, prześpię się, to przejdzie... Musi przejść.

Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu, wreszcie zagadnąłem go:

– Wiecie, jak to się dzieje, że dziewczyny trafiają do tej czarownicy?

– Nie ważcie się mówić „czarownica” – warknął na mnie. – Dla was i dla wszystkich innych to jest matka Olga, wiedząca z bagien.

– A odpowiedź na moje pytanie jak brzmi? – zignorowałem jego zastrzeżenia.

Wzruszył ramionami, pomilczał chwilę, zapewne by pokazać, jak bardzo jest zagniewany, po czym odparł:

– Mówią, że szuka właściwych dziewcząt po osadach, po wsiach, gdzieś może i po odległych miasteczkach. Widzieliście, że jedna z tych dziewczuszek miała nawet krew Jugrów. Nie wiem, skąd matka Olga ją wzięła, bo zdarzają się Jugrowie, choć nieliczni, mieszkający z nami, ale tych wszystkich znamy. Więc pewnie ta dziewczyna pochodzi zza Kamieni. A zresztą kto ją tam wie?

– Jak niby wiedźma ich szuka?

Spojrzał na mnie ostro, lecz zrozumiał, że celowo go prowokuję, więc naganę zamienił w wyrzut. Potem wzruszył ramionami.

– Czemu nie spytaliście sami?

– Nie mówcie, że nie znacie odpowiedzi na moje pytanie. – Uśmiechnąłem się. – O takich kobietach jak wasza matka Olga zawsze wiele się mówi i wiele się baje. Więc, z łaski swojej, powiedzcie mi, co baje się na temat jej czynów?

– Mówią, że... – obniżył głos do szeptu – ona lata.

– Jak lata? Na miotle?

Prychnął.



– Na jakiej niby miotle?

– Nie wiem na jakiej. Z gałęzi brzozy. Z końskiego włosia. Obojętne.

– Nie na miotle – skrzywił się. – Matka Olga ducha swego wyzwala, by latał niczym ptak po niebie – powiedział dziwnie uroczystym tonem, tak jakby cytował czyjeś słowa.

– Ducha swego wyzwala – powtórzyłem.

Kto wie, kto wie, może w tej akurat opowieści było ziarno prawdy. W końcu wiedźma pytała mnie o podróżę po nie-świecie, więc było możliwe, iż sama potrafiła uprawiać tę wściekle niebezpieczną i zsyłającą wielki ból sztukę magiczną. Być może, obserwując nasze uniwersum z poziomu nie-świata, dostrzegała w niezwykle sposób ludzi obdarzonych magicznym talentem. Może dziewczyny, którymi mogła się posłużyć, lśniły dla niej lub przybierały nieludzki kształt? Któż to mógł wiedzieć, nie-świat rządził się swoimi własnymi prawami, a w dodatku postrzeganie go było zależne również od umiejętności obserwatora. Zostałem obdarzony (choć czasami wydawało mi się, że mądrzejsze byłoby w tym wypadku użycie słowa „przeklęty”) zdolnością odwiedzania nie-świata. I jak do tej pory udawało mi się z podobnych eskapad wrócić w jednym kawałku. Co nie znaczyło oczywiście, że nie był to w chwili powrotu kawałek składający się z wszechogarniającego bólu i obezwładniony dojmującą słabością. Czy możliwe, by wiedźma z bagien potrafiła poruszać się po nie-świecie sprawniej, skuteczniej, bez bólu oraz strachu, jakie mnie przenikały i przewiercały w czasie każdej wizyty? Kto wie? Jak mogłem odpowiedzieć na to pytanie, skoro magia starej kobiety była dla mnie zagadką? Zdawałem sobie jedynie sprawę, że jest to magia silna. I chociaż przechwałki, jak to świat cały upadnie, a jej chata zostanie bezpieczna, można włożyć między bajki, to na pewno udowodniła, iż byłaby wymagającym przeciwnikiem, zwłaszcza dla samotnego inkwizytora w obcym kraju.

My, inkwizytorzy, wiedzieliśmy, że kiedyś, w Mrocznych Wiekach, czarownice były o wiele potężniejsze niż dzisiaj. Ba, mówiono, że bez strachu latały po niebie nad wsiami i miasteczkami, tak jakby stanowiły one ich własność. Mawiano, że istniały, zwłaszcza w Brytanii, szkoły czarownic, wcale nawet nie tajne, gdyż inkwizytorów działało na Wyspach niewiele, a możnowładcy i włodarze miast woleli z wiedźmami żyć w zgodzie. Dzisiaj, w naszych bezpiecznych i spokojnych czasach (w porównaniu oczywiście z Mrocznymi Wiekami), nie mogło być nawet mowy o takim panoszeniu się czarciego pomiotu. Ale może na Rusi, gdzie nie sięgnęła jeszcze przeczysta i chwalebna moc Inkwizytorium, wiedźmy były tak mocne i tak groźne jak kilkaset lat temu w niektórych zakątkach Cesarstwa? Kto wie...

– Coście się tak zamyślili? – Andrzej spoglądał na mnie ciekawie.

– Niegdyś czarownice w Cesarstwie były potężne i prawdziwie groźne – rzekłem. – Niektórzy mówią, że kiedy królowie, książęta i baronowie żarli się niczym wściekłe psy, kiedy inkwizytorzy byli nieliczni i słabi, to właśnie wiedźmy panoszyły się po wsiach i miastach, całkiem jawnie uprawiając mroczną sztukę i nękając dobrych chrześcijan.

– Wierzycie, że tak było naprawdę?

Wzruszyłem ramionami.

– Mówią też, że w tych samych czasach demony bez strachu i w świetle dnia przechadzały się ulicami miast. Któż to może dzisiaj naprawdę wiedzieć? A nawet jeśli ktoś wie na pewno i bezbłędnie, to czy politycznie byłoby o tym mówić na głos? Lepiej powiedzcie mi, o co chodziło z tą przysługą? Co to była za cena za tę moją dziewczynę? Przysługa...

– Wielka przysługa – poprawił Andrzej.

– No właśnie – odparłem. – Zastanawiałem się, jakąż zapłatę taka starucha może chcieć od księżnej, bo przecież ani złoto, ani futra jej niepotrzebne, więc co?

– Przysługa to przysługa – wyjaśnił. – Wszystko, czego zażąda, zapewne.

– Tronu książęcego? – zakpiłem.

– A po co by jej był tron? – zdziwił się mój towarzysz. – Przecież jej z bagien toby nie ruszyli nawet końmi, a co dopiero żeby poszła sobie z nich z własnej dobrej woli.

– Tylko żartowałem. – Wzruszyłem ramionami. – Zaciekawilo mnie, czego może chcieć taki ktoś jak ona. Bo przecież dziewczki odchowala i chyba byla dla nich dobra. A przynajmniej Natasza ani nie sprawiala wrazenia skrzywdzonej, ani nie byla, jak widzieliśmy wszyscy, szczęśliwa, że ją opuszcza.

– Napijcie się piwa? – zagadnął nagle.

Potrząsnąłem głową.

– Niech Bóg mnie broni przed piciem ruskiego piwa. W najgorszej karczmie Cesarstwa pies oberżysty wydała smaczniejsze szczyny niż wasze piwo.

– Lepiej się przyzwyczajcie – burknął Andrzej.

– Nie muszę, mam wino w pokoju. Moi zacni towarzysze pomyśleli, zanim mnie opuścili na łaskę i niełaskę waszej księżnej oraz na zgubę... – wtrąciłem ironicznym tonem – by przynajmniej zagwarantować mi w umowie prócz wynagrodzenia i oporzędzenia również dwie kwarty wina tygodniowo... Dużo to nie jest – westchnąłem. – Ale przynajmniej każdy łyk przypomni mi utraconą ojczyznę...

Zaśmiał się.

– Lepiej przyzwyczajcie się do myśli, że tu jest wasza nowa ojczyzna. I pokochajcie ją, bo innej mieć nie będziecie.

Nie zamierzałem się z nim kłócić, więc tylko machnąłem ręką.

– Chodźcie ze mną – zaproponowałem. – Ja was poczęstuję winem, a wy mi w czymś pomożecie.

– A niby w czym? – spytał podejrzliwie.

– Chcę porozmawiać z moją nową narzeczoną – odparłem lekkim tonem. – A ponieważ ani ja nie znam jej języka, ani ona

mojego, więc wasza pomoc bardzo się przyda.

– O, na pewno sobie poradzicie – odpowiedział szybko. – Użyjcie uniwersalnego języka miłości – dodał. – A poza tym nie macie z nią gadać, bo wasze obowiązki są całkiem inne – dokończył z przekąsem.

– Pójdziecie ze mną i koniec – nakazałem mocnym tonem. – Aby wypełnić zadania zlecone mi przez księżną, muszę porozumieć się z dziewczyną. A może mam powiedzieć waszej pani, że nie chcecie mi pomagać, bo macie lepsze rzeczy na głowie niż służenie własnej władczyni?

Prychnął rozdrażniony i nic nie odpowiedział.

– Wy się jej boicie – zrozumiałem nagle.

I przypomniało mi się, jak biesiadnicy księżnej opuszczali wzrok i kulili się, kiedy przechodziła obok nich Swietłana. Biedna Swietłana. Pamiętałem jeszcze jej objęcia. Tak troskliwie i delikatnie głaskała mnie po włosach, tak przemawiała do mnie łagodnie i czule. Zupełnie jakby starała się, abym się jej nie przestraszył. No i to właśnie zapewne było jej zamierzeniem, skoro przyzwyczała się do tego, że w Peczorze wszyscy w trwodze chowają się przed nią po kątach. Tak czy inaczej, nieszczęsna Swietłana leżała teraz metr pod ziemią, zniszczona uderzeniem czarnej magii, a ja miałem nadzieję, iż podobna rzecz nie przydarzy się Nataszy. Nie żeby mi szczególnie zależało na jej życiu (bo przecież każdy z nas kiedyś umrze, a może nawet lepiej udać się przed najsurowszy Sąd Pański, niż mieszkać na Rusi?), ale nie byłby to powód do chluby dla inkwizytora, gdyby czarnoksiężnicy zamordowali pod samym jego nosem należącą do niego kobietę. Oczywiście nie chodziło o mnie jako o Mordimera Madderdina, szeregowego i młodego inkwizytora, gdyż przecież zniósłbym w imię Boże i na chwałę Pana każde, nawet najdotkliwsze i najboleśniejże upokorzenie. Chodziło mi wyłącznie o dobre imię, szacunek oraz powagę Świętego Officjum, które to podobna klęska na pewno by nadszarpnęła.

Andrzej potrząsnął niecierpliwie głową i odwrócił wzrok.

– Dziwne. Dlaczego właściwie się jej boicie? – zapytałem po chwili. – Przecież to niemal dziecko. Że wychowała ją wiedźma? O to chodzi?

Nazywając Nataszę „niemal dzieckiem”, celowo przesadzałem, gdyż była ona po prostu młodą, ładną kobietą. Ale rzeczywiście miała ten typ nadzwyczaj delikatnej urody, jakby rysy jej twarzy zostały naszkicowane za pomocą najcieńszego malarskiego pędzla czy też wyrzeźbione za pomocą najcieńszego rzeźbiarskiego dłuta. Tym razem Andrzej również nie zwrócił mi uwagi, że nie powinienem matki Olgi nazywać „wiedźmą”.

– Przysiadźmy na chwilę. – Wskazał nisko położony, szeroki parapet i sam od razu na nim usiadł. Zastanawiał się chwilę, a ja domyślałem się, że zbiera myśli, jak wyrazić to, co chce mi przekazać, tak, bym go zrozumiał.

– Wiecie, że ona mogłaby pójść nago do najgorszej speluny pełnej najpodlejszych szumowin i nikt jej nie ruszy, chyba że ktoś kompletnie nieprzytomny z opilstwa albo szalony? – odezwał się wreszcie.

– Niezwykłe – odparłem. – To objaw... szacunku?

Zaśmiał się ironicznie.

– To objaw strachu, inkwizytorze. Panicznego, ogłupiającego i ogłuszającego strachu przed nią i jej umiejętnościami.

– A cóż ona takiego może zrobić? Strasznie nakrzyczy na gwałciciela? No zresztą tego nawet nie wiem, czy dałaby radę. Taka jest cichutka...

Celowo prowokowałem Andrzeja, gdyż chciałem, by wyjawiał mi całą prawdę, a sądziłem, że bardziej będzie do tego skłonny, kiedy zlekceważę jego słowa i skwituję je niedowierzaniem.

– Kiedyś bywało, że ktoś tam pomyślał, że taką dziewczynę to można uszczypnąć albo pomacać, zwłaszcza że ładne są i chadzają często bez wstydu niemal kompletnie gołe, jak żeście sami widzieli wtedy Swietłanę... A ot, widzicie, za mojego życia

zdarzyło się, że na uczcie jeszcze za życia księcia Dymitra taki jeden kupiec, Mikołaj Durow nazywał się, jak dziś pamiętam, chwycił dziewczynę wołcha i posadził sobie na kolanach. Nie sądzę, żeby chciał jej zrobić krzywdę, bo gdzie tak przy wszystkich ludziach... – Andrzej zamyślił się. – Raczej pijany był i rozweselony, a prawie naga dziewczyna tańcząca wśród gości to rozweselenie... pobudziła.

– I cóż się stało z owym Durowem?

– Wbiła mu pazury w oczy, a potem wywinęła się, zeskoczyła mu z kolan i przy wszystkich gościach te jego oczy, które trzymała w dłoniach, połknęła.

– Hu, hu! – Pokręciłem głową. – Nie wiem, czy ja bym potrafił tak zręcznie uderzyć, by wyłupić komuś palcami źrenice.

– A ona potrafiła, wyobraźcie sobie...

– Cóż na to goście?

– Książę się śmiał, to i oni się śmiali – wzruszył ramionami Andrzej.

– A kupiec?

– Zaraz go wyprowadzili, ścięli na dziedzińcu i rzucili psom na pożarcie. Ale tylko sprawili mu tym przysługę, bo to i tak przeklęty już był człowiek. – Andrzej machnął ręką.

– Ładne obyczaje – powiedziałem, zastanawiając się jednocześnie, czy mój towarzysz opowiada prawdziwą historię, czy też wymyślił ją sobie, korzystając z mojej niewiedzy o ruskich zwyczajach i chcąc mnie zadziwić lub nastraszyć.

Trudno mi było wyobrazić sobie, że łagodna, sprawiająca wrażenie nieobecnej Natasza mogłaby komuś zrobić krzywdę. Ale czyż okazywanie słabości nie było jednym z forteli wojennych? Może w tym wypadku sama natura obdarzyła te magiczne dziewczęta z jednej strony subtelnym wizerunkiem, z drugiej zaś morderczymi zdolnościami?

– Jego syn był tam, na tej uczcie – dodał Andrzej.

– Syn tego kupca?

– Tak jest – potwierdził.

– I co uczynił?

– A co miał uczynić? Pił i jadł z innymi, kiedy trupa ojca rzucano psom – wzruszył ramionami mój towarzysz. – A co niby miał według was uczynić?

– Ja was tylko słucham...

– Trochę się martwił z początku, jednak potem poweselał, kiedy przypomniał sobie, jaki odziedziczy majątek. Tak to już jest, że nieszczęście jednego bywa szczęściem drugiego, a upadek jednego może oznaczać wyniesienie drugiego.

– Niezwykle odkrywczе stwierdzenie – skwitowałem.

Nawet się na mnie nie obraził za złośliwość.

– Cóż chcecie – powiedział. – Świat jest z reguły mało odkrywczy. I ja osobiście wolę, aby taki pozostał, przynajmniej dla mnie.

Oczywiście, tak było na pewno bezpieczniej. Siedzieć na wozie jadącym wytyczonymi koleinami, a nie ruszać poprzez pustkowia i wertepy na podbój nowych obszarów. Szkopuł w tym, iż my, inkwizytorzy, nie mogliśmy sobie na taką wygodę i takie bezpieczeństwo pozwolić. To do nas należało przecieranie nowych szlaków, by zwykli ludzie mogli potem bezpiecznie nimi podążać.

– No dobrze, wróćmy jeszcze do waszej opowieści, jeśli pozwolicie...

– Tak?

– Dlaczego złoczyńcy mieliby się jej bać? Gdyby było ich kilku i zdecydowanych, nie mówcie mi, że dziewczyna by sobie poradziła.

– To na pewno nie. – Pokręcił głową. – Mogliby ją zgwałcić czy zabić, prawda. Ale ściagałaby ich wtedy zemsta wołchów i zemsta książąt. Nigdy niewygasająca zemsta, gdyż taka wina jest nie do odkupienia żadnymi czynami czy żadnymi grzywnami. A kara, jakiej poddano by przestępcę, wierzcie mi, zapadłaby wszystkim



w pamięć. Poza tym... – obniżył głos – ludzie u nas mówią, że taka dziewczyna jak Natasza potrafi wziąć odwet na swoich oprawcach nawet po śmierci...

O tak, to na pewno była legenda świetnie wspomagająca bezpieczeństwo tych niezwykłych kobiet, pomyślałem od razu.

– ...i możecie sobie myśleć, że to bajki, ale tutaj, na Rusi, o podobnych rzeczach słyszano – dokończył Andrzej.

– Widzieliście kiedyś, by ktoś skrzywdził taką dziewczynę?

Potrząsnął głową.

– Poza historią kupca Durowa, ale przecież ciężko powiedzieć, by skrzywdził tamtą dziewczynę wołcha, czy nawet chciał skrzywdzić, to widziałem tylko tę biedną Swietlanę, jak ją zwęglili na popiół. Ale to uczyniła czarna magia, nie zwykły człowiek. Ktoś na tyle mocny, by nie musiał się lękać ani wołchów, ani ich dziewcząt.

Skinąłem głową.

– Na uczcie, kiedy poznaliście Swietlanę, pamiętacie, sami mogliście wtedy zobaczyć, że dziewczyna była niemal naga i tańczyła w sali pełnej pijanych mężczyzn, a nikt nawet nie myślał, by ją zaczepić – dodał.

– Ona sama mnie zaczepiła. – Uśmiechnąłem się.

– W was dojrzała coś specjalnego. – Uniósł znacząco palec. – Dostrzegła mianowicie waszą moc inkwizytora i uznała, że będziecie przydatni jej celom. Ale czasem zdarza się, że dziewczyny wołchów chcą tylko posiedzieć mężczyźni na kolanach albo pobawić się jego włosami czy łańcuchami lub pierścieniami. Biada temu, kto dostrzeże w tym coś więcej niż tylko zainteresowanie kota powiewającą wstążką.

– I tu wszyscy o tym wiedzą?

– Oczywiście. I strach jest tak silny, że przewycięża nawet pijaństwo.

– Nie do wiary, że aż tak się boją. – Pokręciłem głową ze zdziwieniem.

Bo przecież zarówno jako inkwizytor, jak i jako mieszkaniec wielkiego miasta słyszałem wiele historii świadczących o głupocie ludzi, którzy z brawury, lekkomyślności czy na skutek pochopnego zakładu decydowali się narazić swoje życie na szwank w niecodziennym wyzwaniu lub dziwnych zawodach. Sam pamiętałem prawdziwą lub nie, bo tego nikt nie był pewien, historię o cesarskim lwie. Mianowicie dwaj dworzanie, i to wcale nie jacyś młodzi i głupi, założyli się o sto koron, że jeden z nich utnie lwisku kilka włosów z grzywy. Drapieżnik był stary, niemal oswojony, bo przyzwyczajony do ludzi, ale jednak to zawsze był lew. Dzikie zwierzę. A ponieważ cesarz zabronił wyrwania mu zębów i pazurów, więc nadal była to śmiertelna bestia, mimo że zgnuśniała od obżarstwa i lenistwa. Może by zamysł się udał, kto wie, może by lew nawet dał sobie szczęknać nożycami przy uchu, gdyby nie to, że ów odważny dworzanin był mocno spity. Bo jaki miał niby być, skoro zakład zawarty został w czasie tęgiej popijawy? No i pech chciał, że kiedy już był przy samym zwierzęciu, to czy to od nadmiaru trunków, czy od smrodliwego odoru dzikiej bestii zachciało mu się rzygać. A jak rzygnął, to lew się przestraszył i pacnął go łapą. Mówili, że od razu skręcił mu kark tym jednym uderzeniem... Ale czy ta historia była prawdziwa, czy nie, tego nigdy się nie dowiedziałem. Z pewnością i przekonaniem mogę tylko zaświadczyć o jednym: cesarze naprawdę sprowadzali różne dzikie zwierzęta do swoich ogrodów. A wasz uniżony sługa widział też, że obecny cesarz posiada nawet dwa lwy. Oba potężne, oba grzywiaste i oba, niestety, hołdujące przypadłości, która w ludzkim świecie uważana jest za grzech i karana śmiercią jako potępione wspomnienie mieszkańców Sodomy.

– Boją się i bać się będą – rzekł Andrzej. – A dla was to teraz lepiej, bo kto by was chciał ukrzywdzić, ten dwa razy się zastanowi, zanim tak uczyni. Bo wie, że będzie miał wtedy do czynienia z waszą dziewczyną.

Zachowałem kamienny wyraz twarzy, chociaż oczywiście rozbawiła mnie sama myśl, iż inkwizytor i absolwent przesławnej Akademii Inkwizytorium, człowiek, który z niejednego pieca chleb jadał i niejedną czarownicę oraz niejednego heretyka spalił, ma zawdzięczać bezpieczeństwo dziewczynie, która miała może z siedemnaście lat i wychowała się w chacie na bagnisku. Rzecz jasna, to, że owa myśl była zabawna, wcale nie oznaczało, że była nieprawdziwa. Zabobony i przesady rządziły bowiem ruskim ludem. Więc jeśli te zabobony i te przesady mówiły, iż kochanic wołchów należy się lękać, to lud prosty i głupi naprawdę się ich lękał. Inna rzecz, że jeśli historia kupca Durowa była prawdziwa (przykazałem sobie, by wypytać o nią kogoś innego i upewnić się, czy Andrzej nie przesadzał lub nie kpił sobie ze mnie), to tamta dziewczyna musiała dysponować siłą, zimną krwią i zręcznością. Bo wyrwać człowiekowi oko naprawdę nie jest łatwo. Czy Natasza potrafiłaby dokonać podobnej sztuki? Sprawiała wrażenie spokojnej, delikatnej i łagodnej, ale przecież znałem wiele kobiet, które kiedy chciały, udawały rozkoszne kociaczki, a kiedy nadepnięto im na odcisk, zamieniały się w coś, co najbardziej przypominało przekłety pomiot wyrosły ze skrzyżowania harpii z gorgoną...

– Ale skoro wy jesteście dla mnie grzeczni i będziecie, jak ufam, grzeczni dla niej, to przecież i wam nic nie grozi – powiedziałem.

Wzdrygnął się, jednak potem skinął niechętnie głową.

– Wasza dziewczyna stąpa jeszcze dość twardo po naszym świecie, ale im więcej będzie mieć wizji i objawień, im więcej ujrzy fantasmagorii, tym bardziej należeć będzie do krainy widm i duchów. A wtedy nikt nie zgadnie, co i dlaczego może uczynić... Macie więc rację, że teraz, skoro jestem wam życzliwy i skoro to wy, jej mężczyzna, prosicie mnie, bym wam pomógł, to nic złego stać się nie powinno.

– Chcecie powiedzieć, że Natasza pograży się w szaleństwie? – Zmarszczyłem brwi.

– Rzecz jasna – odparł bez wątpliwości w głosie. – Jeśli chcecie to nazywać szaleństwem – dodał po chwili wahania. – Bo nie do końca wiem, czy to właściwe określenie. Czy grecką Pytię nazwalibyście szaloną?

– Na pewno nazwałbym ją półprzytomną od wdychanych trujących oparów i pogrążoną w majaczeniach nimi wywołanych. – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie z czasem stawała się od tego również szalona.

– Jak zwał, tak zwał. Zważcie tylko jedno: jeśli sądzicie, że Natasza w przerwach pomiędzy mistycznymi wizjami będzie wam tkąła koszule, haftowała gobeliny albo bystro konwersowała na zajmujące tematy, to możecie się bardzo rozczarować.

– Na razie nic nie sędzę ani o niej, ani o naszej wspólnej przyszłości – odparłem szczerze. – Poza tym, że oboje zostaliśmy niekoniecznie z własnej woli wrzuceni jedno w objęcia drugiego – westchnąłem. – I trzeba sobie z tym poradzić tak, abym ja jej nie znienawidził, a ona w nocy nie poderżnęła mi gardła.

Zaśmiał się i machnął ręką.

– Jak będziecie sobie z nią poczynać tak dzielnie jak z tą cesarską ślicznotką, która wróciła już do swoich, to na pewno nic wam nie zagrozi.

Cóż, Andrzej miał na myśli zachwycającą Nontle i to, że połączył mnie z ową piękną i mądrą kobietą płomienisty romans.

Rzeczywiście, o romansie owym wiedzieli zapewne wszyscy w Peczorze, ponieważ Nontle niechętnie trzymała buzię na kłódkę, w czasie kiedy była dziarsko i umiejętnie ujeżdżana. Ująłbym to nawet w ten sposób, że marcujące koty można by uznać przy tej kobiecie za ciche oraz spokojne. Teraz cudnej Mauretanki nie było już u mojego boku, ale jak sądziłem, zapewne uwiozła do Cesarstwa wyryty w sercu mój obraz. Bo

przecież nie tylko umiałem doprowadzić ją do ekstazy, ale również uratowałem jej życie. Oczywiście nie jestem człowiekiem, który bez zastrzeżeń wierzy w dobrą pamięć i wdzięczność bliźnich, lecz miałem wrażenie, że mnie i niezwykłą Nontle połączyła szczególna więź. I coś mi mówiło, że jeszcze się zobaczymy, a spotkanie to będzie niczym zderzenie pędzących z naprzeciwka płomieni.

– Moi towarzysze są jeszcze niedaleko nas – mruknąłem. – Ale mają tę nade mną przewagę, że tak jak oni z każdą upływającą godziną zbliżają się do świata cywilizowanego, tak ja z każdą upływającą godziną pograżam się coraz głębiej w świecie barbarzyńskim.

O dziwo, wcale się nie obraziłem, a tylko parsknąłem.

– Mówię wam: przyzwyczajcie się.

– A wy? – Zerknąłem na niego. – Byliście kiedyś gdzie indziej? W Moskwie, w Nowogrodzie?

– W Nowogrodzie – odparł. – Ale niemal nic nie pamiętam, bo ile miałem wtedy lat? – Wzruszył ramionami. – Pięć czy sześć. I w Kazaniu też byłem, duże miasto...

Wiedziałem, że Księstwem Kazańskim rządzi jeden z ruskich wielkich książąt. Nie tak potężny jak władcy Nowogrodu i Moskwy, ale silny dzięki mongolskiej przyjaźni. Choć z tego, co czytałem i słyszałem, za przyjaźń tę płacił nie tylko złotem, ale również okrutnym wiernopoddańczym upokorzeniem.

– No dobrze, chodźcie wreszcie ze mną do Nataszy. – Podniosłem się z parapetu. – Aha, jeszcze jedno... – Zastanowiłem się chwilę. – Mielibyście dla mnie jakieś rady?

– Rady? – Chyba się zdziwił.

– Co może ją zasmucić, a co rozgniewać, co jej się spodoba...

– A wy co? Nie wiecie, co może się spodobać młodej dziewczynie, czy też nie wiecie, jak poznać, czy jej się to coś podoba? – zarechotał.

Spojrzałem na niego ostro.

– Pytam was o takie rzeczy, bo chcę jak najlepiej przysłużyć się księżnej, więc byłbym wdzięczny, gdybyście nie odpowiadali mi facecjami rodem z szynku czy zamtuza.

– A co ja wam mogę niby poradzić? – obruszył się. – Musicie sami ją poznać i zrozumieć, jeśli tego właśnie pragniecie. Ja Bogu dziękuję, że to nie mnie spotkało, tylko was. Chociaż przyznam, że dziewczyna jest młoda, ładna i zgrabna, a pewnie będzie też, jak mówiła matka Olga...

– Że co?

– Że tych rzeczy, które można dostać od mężczyzny, ona i jej podobne łakną niczym wierzba wody. – Skrzywił usta. – Więc tak zapewne wygląda to naprawdę i w tych sprawach szkodować sobie nie będziecie. Ale i tak bym się z wami nie zamienił.

– Ładna, młoda, miła, chętna i całkiem za darmo. – Uśmiechnąłem się. – Czego więcej wymagać od kobiety?

– Obyście nie powiedzieli w złą godzinę – stwierdził niespodziewanie poważnym tonem.

– W zaskakująco ponurych barwach widzicie świat. – Pokręciłem głową.

– Nie jesteście wołchem, inkwizytorze – odparł. – I ani nie znacie takich dziewczyn jak Natasza, ani nie wiecie, jak z nimi postępować i jak pojmować to, co ukazują. Może z waszego związku z Nataszą wyjdzie tyle, co z pierdnięcia kota, ale równie dobrze, kto wie, może narodzi się wybuch, który zmiecie wszystkich na swojej drodze...

– Z pierdnięcia kota... – Pokręciłem głową. – Też coś... Wstawajcie, Andrzej, idziemy.

Podniósł się z wyraźną niechęcią.

– Muszę was nauczyć jak najszybciej naszego języka, bo mogę wam służyć za tłumacza, gdzie chcecie i z kim chcecie, aby nie z Nataszą – wymruczał.



## Rozdział trzeci

# Dom miłości



**P**okój, który został przydzielony Nataszy, nie był bardzo duży, ale stało w nim szerokie łóżko z piernatami, kołdrami i poduchami, stała malowana skrzynia tak obszerna, że mógłby się do niej zmieścić człowiek, i stał niski stolik, obok którego przycupnął szeroki zydziel. Ściany pokryte były spłowiałymi kilimami, oświetlenia nie było żadnego poza świecznikiem na trzy świece. Okna można było zamknąć na solidne okiennice, a zarówno przy tych okiennicach, jak i przy drzwiach zauważyłem stalowe skoble. A więc księżna przewidziała, że ktoś może jednak nie bać się Nataszy aż tak bardzo i próbować wyrządzić jej krzywdę. Ciekawe...

Kiedy weszliśmy, dziewczyna siedziała na skraju łóżka i wpatrywała się w okno. Za tym oknem nie było zresztą wiele widać poza murem, strażniczą wieżyczką i kawałkiem nieba. Zerwała się na równe nogi, kiedy nas usłyszała, i cofnęła się pod ścianę. Było jej niewygodnie, bo zdjęła wcześniej buty i grzała teraz nogi w futrzanej mufce.

– Usiądź – powiedziałem łagodnym tonem. – Chciałem z tobą porozmawiać i poprosiłem Andrzeja – pokazałem ruchem dłoni na mojego towarzysza – by pomógł tłumaczyć twoją mowę na moją, a moją mowę na twoją. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Andrzej mówił coś po rusku dość długo, więc spytałem go:

– Co tam dodajecie od siebie?

– Mówię, że wyście kazali mi przyjść i że ja sam nie chciałem



jej w niczym przeszkodzić, i że pójdę sobie, jeśli tylko tak rozkaże.

Pokręciłem głową.

– Przecież to ona się boi – powiedziałem. – Bez sióstr, bez gospodyni, która ją chowała... Obca z obcymi ludźmi.

Wyciągnąłem powoli rękę i ująłem jej dłoń. Nie cofnęła ręki, ale opuściła głowę.

– Usiądź – poprosiłem. – Nie jesteś głodna? Nie chce ci się pić?

Znowu przysiadła na skraju łóżka. Tym razem podciągnęła nogi do góry na kołdrę i zawinęła je pod siebie. Niechcący musnęła mnie stopą i poczułem, że ta stopa jest niemal lodowata. Sięgnąłem po leżącą na ziemi mufkę i otuliłem nią nogi Nataszy. Andrzej odsunął się pod przeciwległą ścianę. Spojrzałem na niego i tylko pokręciłem głową.

– Jakbyście od dziecka słyszeli historię o kupcu Durowie i wyrwanym oku, to też trzymalibyście się z dala – stwierdził. – Może jestem i tchórzem, ale za to, daj Boże, wszystkie członki będę miał, jak Pan Bóg przykazał: w całości.

Nie chciałem peszyć Nataszy, siadając obok niej, więc przysunąłem sobie zydel tak, abyśmy siedzieli jedno naprzeciw drugiego.

– Powiedzcie jej, że jestem tu obcy tak samo jak ona. A nawet bardziej, bo nie znam tego kraju, nie znam jego obyczajów, jego wiary ani ludzi tu żyjących. Powiedzcie jej, że wszyscy mnie nienawidzą, bo jestem inkwizytorem.

Przetłumaczył, a potem zwrócił się do mnie.

– Jedna rada, jeśli wolno. Kiedy powiedzieliście „wszyscy”, to brzmiało tak, jakbyśmy zarówno księżna, jak i ja również was nienawidzili. A to nieprawda. Uważajcie na słowa, kiedy zwracacie się do niej. Dlatego przetłumaczyłem: wielu.

Skinąłem głową.

– Rozumiem – rzekłem.

Natasza podniosła głowę i łagodnym ruchem położyła dłoń na

mojej dłoni. Powiedziała coś cicho. Miała melodyjny głos.

– Mówi, że nie pozwoli was skrzywdzić – przetłumaczył Andrzej. – I że kto nienawidzi was, jest jej wrogiem. – Pokręcił głową. – Mówiłem wam, że tak może być.

– Powiedzcie, żeby się nie martwiła ani nie złościła, kiedy uzna, że robię coś dziwnego lub coś nieodpowiedniego. To tylko dlatego, że nie znam ruskich obyczajów. I powiedzcie też, że chciałbym ją we wszystkim wesprzeć, w czym tylko będzie potrzebowała pomocy.

Kiedy Andrzej przetłumaczył moje słowa, Natasza uniosła głowę. Przyglądała mi się uważnie i chyba z lekkim zdziwieniem w spojrzeniu. Zauważyłem, że miała bardzo ładne oczy. Szaroniebieskie, duże i błyszczące. Teraz pomyślałem, że błyszczące były zapewne dlatego, iż płakała przed naszym przyjściem. I nie było się czemu dziwić. Została zmuszona, by przenieść się z małego i bezpiecznego światka, pełnego znanych i przyjaznych ludzi, do obcej rzeczywistości, nieznanej i wrogiej, do obcowania z mężczyzną pochodzącym z dalekich stron i nawet nie umiejącym władać jej mową. A czy bała się poza tym szaleństwa, które, jak twierdził Andrzej, niechybnie nadejdzie, czy też nie wiedziała o tym zagrożeniu? A może uważała je za część swojego dziedzictwa, za oczywistość, nad którą nie warto się nawet zastanawiać?

– Powiedzcie jej też, że jeśli chce poznać świat, który nas tu otacza – powiodłem dłonią w powietrzu – to chętnie będę jej towarzyszył i ją oprowadzę, chociaż sam jeszcze niewiele wiem. – Uśmiechnąłem się lekko. – I powiedzcie również, żeby nie czuła się tu więźniem, bo jest wolnym człowiekiem...

Andrzej z zauważalnym wahaniem przetłumaczył moje słowa, a potem zwrócił się do mnie.

– Ona jest więźniem, inkwizytorze. – Mocno zaakcentował słowo „jest”. – Nie księżnej, nie waszym, lecz własnego przeznaczenia.

Jednak dziewczynie chyba spodobały się moje słowa, bo uśmiechnęła się do mnie nieśmiało i ujęła moją dłoń. Nasze palce się splotły.

– Każdy z nas dostał wolną wolę od Pana – odparłem poważnie. – I każdy z nas może zmierzać ścieżką niegodziwości lub ścieżką prawości albo lawirować pomiędzy nimi. Niczyjogo losu nie wykuto raz na zawsze, nie przekłeto go nieuchronnością. Nam Parki nie utkały nici życia, lecz sami ją pleciemy z boską pomocą...

Andrzej milczał dłuższą chwilę, zaskoczony chyba moimi słowami i powagą głosu, po czym otrząsnął się.

– O, to świetnie, będziecie sobie w takim razie pleść waszą nic powrotu do Cesarstwa. – Uśmiechnął się kpiąco. – Ciekawe, jak szybko uda wam się to uczynić...

– Wszystko w ręku Boga. Nasz Pan pomoże mi w tym, co uzna za najlepsze dla chrześcijaństwa – rzekłem. – Ale jeśli Bóg zapragnie i zdecyduje, bym tu żył i umarł, to niech się stanie Jego wola.

– Bardzo wielkodusznie z waszej strony – zakpił znowu. – No dobrze. – Zatarł ręce. – Czy mogę was już zostawić?

Spojrzałem na Nataszę.

– Może by chciała o coś mnie spytać.

Przetłumaczył moje słowa, a dziewczyna potrząsnęła w milczeniu głową. Cały czas nie puszczała mojej ręki.

– No i bardzo dobrze – stwierdził Andrzej. – Zostawiam was w takim razie. Macie czas do wieczora, inkwizytorze. Zameldujcie się u księżnej po zmroku i radzę, byście byli raczej wcześniej niż później, jeśli nie chcecie spotkać się z przyjęciem, które wyda wam się gwałtownie niemiłe.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

Otworzył drzwi i przystanął jeszcze na progu.

– Kiedy nauczycie się już z nią rozmawiać, błagam was raz jeszcze, uważajcie na słowa.

– Dobrze – odparłem.

– Nie okazujcie w jej obecności złości ani gniewu w stosunku do innych ludzi.

– Będzie ją to martwić?

Westchnął ciężko.

– Nie, inkwizytorze. Ona im robi krzywdę, może nawet ich pozabija, żeby odsunąć od was kłopoty, bronić was i wam się przypodobać.

– Och. – Podniosłem rękę Nataszy i pocałowałem wewnątrz jej dłoni. – Jakie to słodkie.

Dziewczyna powiedziała coś z uśmiechem i pogłaskała mnie po policzku. Odwróciłem się w stronę Andrzeja.

– Co mówi?

– Spytała, czy może urodzić wam dzieci – przetłumaczył z bardzo niewyraźną miną, a potem westchnął. – Myślę, że to taki żart, ale świadczący o tym, że na pewno was polubiła. Zamelduję więc księżnej, że wygląda na to, iż świetnie się dogadujecie.

Skinął mi głową, skłonił się Nataszy niemal tak głęboko, jak kłaniał się księżnej, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostaliśmy sami, a wtedy pojawiła się niezręczna cisza, która trafia się ludziom nie tylko nie bardzo wiedzącym, na jaki temat mieliby w zasadzie rozmawiać, ale nie znającym nawet języka, w którym mogliby to uczynić.

– Myślę, że będziemy razem szczęśliwi – powiedziała wreszcie cichutko melodyjną łaciną.

Otworzyłem szeroko oczy.

– Dziewczyna z ruskich bagien mówi po łacinie – rzekłem. – Cóż za wspaniała niespodzianka! Czy chcesz, abyśmy zachowali to w tajemnicy?

Uśmiechnęła się.

– To bardzo uprzejme i delikatne z twojej strony, że pytasz – odparła. – Ale to niekonieczne. Ludzie mogą wiedzieć, co tylko chcą. Zresztą byłoby nam niewygodnie udawać i słuchać tych

kulawych tłumaczeń z ruskiego na łacinę – zaśmiała się. – Ale chciałam posłuchać, co mówicie, kiedy myślicie, że ja nie rozumiem. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Spodobało mi się to, co mówiłeś.

– W jaki sposób poznałaś łacinę? Na Rusi to niezwykle, a jeszcze tu, pod Kamieniami...

– Mateczka zna łacinę – wyjaśniła. – Zna też z całą pewnością grekę, chociaż akurat greki żadnej z nas nie uczyła.

Cóż, w Cesarstwie również zdarzało się, że ludzie wykształceni i możni, czasem nawet wybitnego pochodzenia, nagle odkrywali w sobie chęć do pustelniczej samotności i deklarowali, iż resztę życia spędzą w puszczy, na bagnie czy w dalekiej górskiej dolinie. A przecież decyzja o takiej raptownej zmianie życia nie odbierała im ani zdolności, ani zdobytych poprzednio umiejętności. Byli, kim byli... A kim była w takim razie wiedźma z peczorskich trzęsawisk, zanim została wiedźmą? Księżniczką? Szlachcianką? Z Moskwy? Z Nowogrodu? A może z jakiegoś innego kraju? Któż po jej starczych rysach twarzy rozpoznałby teraz, do jakiego narodu należała? Równie dobrze mogła urodzić się w Persji, chociaż jak daleko stąd mogło być do Persji? Ha! Zapewne człowiek mógłby wędrować całe życie i nie dojść do celu.

– A skąd ty, Nataszka, wzięłaś się u niej? – zapytałem.

Zdrobnienie jej imienia weszło mi na usta bez namysłu, jakby było całkowicie naturalne i jedynie właściwe. Była taka delikatna i sprawiała wrażenie wiotkiej i kruchej. I była też jasna, jakby rozświetlona wewnętrznym światłem przebijającym przez skórę.

– Znalazła mnie. Nas wszystkie znalazła i mówiła, że dostrzegła w nas to coś, co jest ważne dla świata... – Natasza uśmiechnęła się nieśmiało.

No cóż, jeśli dla świata ważne jest, aby z tych niewinnych dziewczyn uczynić magiczne zabawki dla starych, parszywych ruskich czarnoksiężników, to rzeczywiście można powiedzieć, iż wiedźma się starała. Inna sprawa, że za dziewczyny doskonale

jej płacono. Bo chociaż Ludmiła nie wyjawiała mi, ile konkretnie kosztowała ją pomoc czarownicy i jaką przysługę była jej winna, to sądząc po tym, w jaki sposób władczyni się zachowywała, można było wnioskować, iż cena była naprawdę znacząca i nieobojętna, nawet jak na książęce możliwości.

– Byłaś dzieckiem, jak cię wzięła do siebie?

– Chyba nawet bardzo małym dzieckiem – odparła niepewnie.

– Mateczka Olga mówiła, że to nieważne, bo przeszłość zostawiamy za sobą. Czy byliśmy córkami drwała, czy króla, to obojętne dla tego, kim będziemy w przyszłości – dodała.

Cóż, podobne słowa były mi znajome, gdyż używano ich w stosunku do inkwizytorów. Również nam wbijano do głów, że nie liczą się majątek ani pochodzenie rodziny. Nie są istotne ani koligacje, ani nazwiska, ani dokonania przodków. Liczy się tylko, że jesteśmy braćmi inkwizytorami winnymi lojalność wobec Boga oraz wobec własnych towarzyszy. Nie dobru i blichrowi tego świata mamy służyć, lecz sprawom wiecznym.

– Inkwizytorom też każe się zapomnieć, skąd pochodzą – wyjawilem. – Bo ważne jest tylko to, dokąd zmierzamy.

– Byłeś dzieckiem, jak cię zabrali? – spytała ciekawie.

– Nie zabrano mnie – odparłem. – Sam chętnie poszedłem. Miałem trzynaście lat, lecz zwykle dzieje się to nieco wcześniej.

– Pamiętasz swoich rodziców?

– Pamiętam matkę.

– Kim była?

– Mieszkała w wielkim mieście, była bardzo piękna i bardzo bogata – odrzekłem. – Ale nietrwale są zamki zbudowane na piasku – dodałem sentencjonalnie. – Bowiem tylko ten, który słyszy słowo Boże i wciela je w życie, buduje dom swój na skale.

– Czy ona żyje?

Sam zadawałem sobie czasami to pytanie. Szczerze mówiąc, sądziłem, że nie jest możliwe, aby żyła. Ale nawet gdyby tak było, ani nikt by mi o tym nie powiedział, ani sam nie miałbym

możliwości się o tym dowiedzieć.

– Raczej nie – odparłem.

– Tęsknisz za nią?

No proszę, a więc mam do czynienia z przesłuchaniem, pomyślałem. Bardzo grzecznym i delikatnym, lecz jednak przesłuchaniem. A zresztą może to i dobrze, że dziewczyna, z którą przez najbliższy czas będę dzielić nie tylko łożę i życie, lecz jeszcze coś na kształt mistycznych wizji, była mną zainteresowana? Chyba byłoby gorzej, gdyby przypominała nieruchomą kłodę zanurzoną w bagnisku.

– Tęsknię za czasami niewinności – odparłem szczerze.

Nie sądziłem, by mnie zrozumiała, ale chyba jednak pojęła, co miałem na myśli, bo pogłaskała mnie po policzku i uśmiechnęła się.

– Aby być bez grzechu, bez winy i bez strachu – powiedziała smutno. – Jaka szkoda, że nigdy się to nie ziści.

Chciałem powiedzieć: „Może wtedy, kiedy umrzemy i trafimy do Królestwa Bożego”, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. Przyszło mi bowiem na myśl, że jeśli Natasza bierze tak dosłownie wypowiedzane zdania, to z uczucia do mnie może przyspieszyć moją podróż do nieba i sama udać się w nią wraz ze mną.

– Słyszałaś i rozumiałaś wszystko, co mówił do mnie Andrzej, prawda?

– Oczywiście. – Spojrzała na mnie szczerymi, błyszczącymi oczami. – I powiem ci jedno, mój miły: nie jestem taka głupia.

– O, w to nie wątpię. – Uśmiechnąłem się.

– Odróżniam zdania wypowiedziane żartobliwie od zdań wypowiedzianych poważnie – wyjaśniła. – Dobrze wiem, że jeśli mówimy komuś: „Łapy ci połamię, jeśli dotkniesz moich rzeczy”, to nie zawsze mamy właśnie to na myśli.

– Nie zawsze... – powtórzyłem zamyślony.

– Kłóciłam się czasami z moimi siostrami i potrafiłyśmy

bardzo wrzeszczeć jedna na drugą, ale nigdy żadna z nas nie zrobiła innej niczego paskudnego. No, kiedyś Tamarze wyrwałam pęk włosów. – Roześmiała się. – Ale ona ugryzła mnie w rękę, więc chyba byliśmy kwita.

– O, widzę, że wesoło miała z wami mateczka Olga... Kij często był w robocie?

Natasza spojrzała na mnie poważnie.

– Mateczka nigdy nas nie biła – odpowiedziała i milczała przez chwilę. – Są dużo gorsze sposoby, by ukarać kogoś, kto nie robi tego, co chcesz – dodała.

Przez chwilę nie odzywaliśmy się, aż wreszcie zapytałem:

– Chciałabyś napić się czegoś, zjeść coś? A może jesteś zmęczona? Może chcesz spać?

Westchnęła i pokręciła głową.

– Sama nie wiem... A czego ty byś chciał?

– Żebyś była zadowolona – odparłem.

– Naprawdę? – Przysunęła się do mnie. – Naprawdę tak myślisz?

Cóż, mili moi, możecie wierzyć lub nie waszemu pokornemu i uniżonemu słudze, ale naprawdę tak myślałem. Ludzkie serca zdobywa się bowiem często dobrocią i współczuciem i tym łatwiej następnie podporządkować tak zdobytych ludzi naszej woli. Ale poza wszystkim Natasza była miła, ładna i miałem z nią spędzić wiele, wiele czasu. Być może nawet więcej, niż którekolwiek z nas by sobie życzyło. A w takiej sytuacji zawsze lepiej mieć obok siebie kogoś, do kogo nie czuje się niechęci czy obrzydzenia, lecz kogo uważamy za budzącego choć trochę życzliwości.

– Wiem, jak to jest być samotnym wśród ludzi, których ani się nie zna, ani nie chciało się poznać – rzekłem. – To jak bagno, czy może w twoim przypadku: gorzej niż bagno. – Uśmiechnąłem się. – Więc pomyślałem, że może po prostu pomogę ci przejść je suchą nogą... Co ty na to?



– Chcesz być moim przyjacielem? – Niespodziewanie położyła mi dłonie na ramionach i wpatrzyła się z bliska prosto w moje oczy. Jej źrenice stały się wielkie i błyszczące. – Nie chcesz tylko korzystać ze mnie i tłumaczyć to, co zobaczę, by w ten sposób obronić swoją księżną? Naprawdę pragniesz, żebyśmy byli razem?

– Oczywiście – odparłem znów zgodnie z prawdą, choć nieco zaskoczony tym, jak niesłychanie poważnie potraktowała moje słowa i ile dla niej, jak widać, znacząły.

– No cóż, w takim razie bądź ze mną na złe i dobre – powiedziała tym razem lekkim tonem i szybko pocałowała mnie prosto w usta.

A potem przeskoczyła na środek łóżka i zawołała:

– A teraz spać!

Potem poderwała na chwilę głowę.

– Nie będziesz rozczarowany? – zapytała z nagłym niepokojem. – Nie chciałeś czego innego?

– A czy nam się gdzieś spieszy?

Uśmiechnęła się do mnie z wyraźną wdzięcznością, zawinęła się w koc, przytuliła twarz do poduchy i zasnęła. Na początku sądziłem, że żartuje. Że figlarnie udaje tylko sen, ale kiedy sprawdziłem, to zobaczyłem, że nie – dziewczyna naprawdę spała. Było to niespodziewane i jednocześnie zabawne. Okryłem futrzaną mufką nagie stopy, które wystawiła za kołdrę, a potem wstałem z łóżka. Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić do wieczora, i pomyślałem, że może przejdę się po fortecy i zobaczę, jakimi torami toczy się w niej życie, co i jak robią w niej jej mieszkańcy. Ale potem pomyślałem, że Natasza może się przestraszyć, kiedy obudzi się sama w obcym miejscu, więc położyłem się obok niej, podłożyłem sobie ręce pod głowę i zasnąłem.



Inkwizytorzy są nadzwyczajnymi istotami ludzkimi, gdyż łączą wielkie walory ducha i ciała z pokorą oraz skromnością. Przynajmniej powinni tacy być w teorii, gdyż zdarzały się i w naszym bractwie przypadki funkcjonariuszy mylących chwalebnią pewnością siebie z grzeszną próżnością. Na szczęście ja nie należałem do osób cechujących się podobną przywarą. Mówię o tym dlatego, byście się nie zdziwili, mili moi, że obudziłem się dokładnie wtedy, kiedy chciałem się obudzić, a więc kiedy promienie zachodzącego słońca prześwitywały brudnokrwawym różem poprzez szpary w okiennicach. To była zdolność wyćwiczona latami treningów. Zasypiania w jednej chwili, kiedy się chce, i budzenia się o tej porze, którą człowiek upatrzył sobie za najodpowiedniejszą. Otworzyłem oczy natychmiast. Przytomny, czujny jak drapieźnik, gotowy moment po przebudzeniu albo do ataku, albo do jego odparcia. Natasza siedziała naprzeciwko mnie ze skrzyżowanymi nogami i przyglądała mi się z lekkim uśmiechem.

– Chrapiesz – stwierdziła, jednak nie tonem wyrzutu, lecz raczej rozbawienia.

– Obudziłem cię?

– Nie. – Machnęła ręką. – Nie takie rzeczy słyszałam, jak mateczka wzywała demony...

– Wzywała demony?

Parsknęła.

– Żartuję przecież. – Szybkim ruchem położyła się obok mnie i oparła głowę na moim ramieniu. – Gdzie niby demony by hałasowały, jak mateczka je wzywała? Trzymały pyski na kłódki, bo już by im mateczka dała, gdyby tylko nas pobudziły...

Z ręką na sercu nie wiedziałem, czy znowu sobie ze mnie kpi, czy też naprawdę uważała i wierzyła, że wiedźma przyzywała demony. Zresztą... zastanowiłem się. Ta czarownica była naprawdę bardzo silna. Może rzeczywiście potrafiła wzywać i kontrolować piekielne istoty? Ale jeśli tak, to jakie to były

demony? Małe i słabe, chociaż nadal niebezpieczne i złośliwe, czy też naprawdę potężne potwory, wymagające zakuwania ich w mistyczne kajdany wielkiej trwałości?

– O czym myślisz?

– O tym, co naprawdę potrafi ta twoja mateczka – odparłem szczerze. – Jaka jest jej rzeczywista moc i jakie są granice tej mocy.

– Gdybyś spotkał ją u siebie, w Cesarstwie, to co byś zrobił?

– Uwięziłbym ją, przesłuchał i zapewne na koniec spalił – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Mnie byście też spalili – nawet nie zapytała, ale stwierdziła smutnym tonem.

– Prawa Cesarstwa są inne niż prawa Rusi – rzekłem po chwili.

– Ale nie znaczy to, że są nieomyślne. Na szczęście jesteśmy nie w Cesarstwie, lecz na Rusi – dodałem lżejszym tonem. – A tu nie tylko nikt nie chce cię ścigać, ale wszyscy bardzo cię szanują. – Pogłaskałem ją po włosach.

– Musisz iść, prawda?

– Służba nie drużba – odparłem. – Co gorsza, księżna będzie zapewne chciała, bym spał pod jej pokojami. – Westchnąłem. – Na to mi właśnie przyszło, robić za psa stróżującego...

– Czy ona będzie chciała spać z tobą? – Ton głosu Nataszy wyraźnie się zmienił.

– Mój Boże, nie! – rzekłem stanowczo. – Andrzej opowiadał mi historię o mnichu, któremu wydawało się, że księżna potrzebuje tego rodzaju towarzystwa – dodałem. – A ponieważ braciszek pomylił się w ocenie, to rozgnieciono mu przyrodzenie kamieniami.

Natasza roześmiała się szczerym śmiechem młodej, rozbawionej kobiety.

– Musiał bardzo wrzeszczeć – stwierdziła.

– Też tak podejrzewam.

– Ale ten mnich na pewno nie był taki młody i ładny jak ty. –

Przyglądała mi się z uśmiechem. – Więc nie wiadomo, czy przy tobie wola i ochota księżnej przypadkiem się nie odmienia.

Inkwizytorzy szkoleni są, by tam, gdzie zwykły człowiek planuje ruch naprzód, oni wiedzieli, co zjedzą na kolację po wygranej partii. Dlatego nie ukrywam, iż przewidywałem, że podobna sytuacja może się zdarzyć. Czy życzyłem sobie, by się zdarzyła? Na pewno nie! Dość miałem kłopotów, by pakować się w jeszcze jeden. A gdyby rozkochana Ludmiła nie chciała mnie już nigdy wypuścić z Peczory? A gdyby czymś urażona postanowiła potraktować mnie podobnie jak swojego świętej pamięci małżonka i wywiesić w żelaznej klatce, by na śmierć tam poszarpały mnie głód, pragnienie oraz mróz? A gdybym nawiązując z nią intymne stosunki, naraził się żołnierzom, oficerom, miejscowym kupcom czy szlachcie i postanowiliby usunąć mnie z drogi? Drugą, mniej istotną sprawą było to, że Ludmiła nie budziła we mnie żywszych uczuć. Przypominała chudego, nastroszonego ptaka o twardym dziobie, a ja lubię raczej kobiety miękkie i figlarne niczym dokazujące kociaki. Oczywiście mężczyzna jest w stanie obcować cielesnie z niemal każdą kobietą, która nie jest na tyle paskudna, by jej widok zamienił jego żelazo w miękkie ciasto, więc i ja pewnie dałbym radę zaspokoić peczorską władczynię, lecz nie sądzę, że czyniłbym to z własną przyjemnością. Trzeba przyznać, że kobiety często bezlitośnie wykorzystywały cechę rodzaju męskiego, którą człowiek złośliwy nazwałby chutliwością, a która odzywała się, zwłaszcza kiedy potężnie opiliśmy się wina czy gorzałki. I wtedy właśnie mieliśmy mniej sił, by odmówić nawet takim kobietom, których wygląd czy zachowanie nie budziły w nas żywszego bicia serca... A może po prostu byliśmy nie chutliwi, lecz miłosiernie wielkoduszni i nie chcieliśmy sprawiać przykrości nawet najszkaradniejszym maszkarom?

– Mam nadzieję, że moje stosunki z księżną pozostaną takie, jakie są teraz – odparłem stanowczo.

– Jeśli zamiary księżnej by się jednak odmieniły, powiedz jej, że ja nie pozwalam – oznajmiła lodowatym tonem.

– Oczywiście – rzekłem, będąc pewnym jednego: kiedy dojdzie do takiej nieprzyjemnej sytuacji, to w żadnym razie nie wmieszam w awanturę z Ludmiłą mojej towarzyszki. A jeśli obcowanie z księżną miałoby być ceną za jej łaskawość, to trudno: jakoś to przeżyję.

– Mój miły. – Położyła mi poufałym gestem dłoń na policzkach. – Mówię bardzo poważnie. Powiedz jej, że Natasza nie pozwala.

Nagle oderwała dłoń od mojej twarzy i roześmiała się.

– Powiedz, że rzuciłam na ciebie klątwę – zawołała. – Że w każdej innej kobiecie twoje nasienie zmieni się w drapieżne czarne robaki, którą wypalą i wyżrą jej trzewia. Zginie w wielkich mękach!

– Nataszka, a kto w to uwierzy?

Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Jak to kto? Wszyscy!



Kiedy stanąłem przed drzwiami prowadzącymi do komnat księżnej, za oknami pojawiła się dopiero późnopołudniowa szarówka, której w żadnym wypadku nie można byłoby nazwać wieczornym zmrokiem. Na ławie po dwóch stronach drzwi siedziała para znudzonych żołnierzy. Tak bardzo znudzonych, że nie gadali nawet jeden z drugim, tylko opierali zwieszony głowy na pięściach. Gdybym tylko chciał, zabiłbym ich obu szybciej, nim zdołaliby narobić hałasu. Zapewne przysporzyłoby mi to sławy i zdyscyplinowało pozostałych strażników do pełnienia pilniejszej służby, ale wydaje mi się, że po takim spektaklu sam musiałbym uważać na każdym kroku, by nie oberwać nożem w brzuch, strzałą w plecy lub nie znaleźć w jedzeniu grzybków

o szczególnie gwałtownym działaniu. Powstrzymałem się więc nawet od palnięcia bliższego z nich otwartą dłonią w hełm, a tylko zatrzymałem się krok od nich i chrząknąłem głośno. Podnieśli na mnie spojrzenia, a ten będący bliżej drzwi wskazał klamkę niedbałym ruchem. Potem obaj znowu zwiesili głowy i przestali zwracać na mnie uwagę. No cóż, jak widać, żołnierska dyscyplina nie była priorytetem na peczorskim dworze. Zważywszy na niebezpieczeństwa czyhające na księżną, mogło to dziwić. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. W pierwszym pokoju gruba dworka, o twarzy wyglądającej jak płat mięsa długo wymoczonego w wodzie i rozbitego następnie tłuczkiem, zagadała do mnie coś po rusku. Szybko i oczywiście kompletnie niezrozumiale. Ale przynajmniej wskazała mi kolejne drzwi.

Księżna Ludmiła, która znajdowała się w następnej komnacie, była najwyraźniej w dobrym nastroju, gdyż uśmiechnęła się szeroko na mój widok.

– Och, mój *canem ducissam*. Jesteś akurat o czasie. Zjesz ze mną wieczerzę.

– Jestem zaszczycony – odparłem.

Machnęła ręką.

– To nie cesarski dwór, ani nawet Nowogród, nie przestrzegamy tak surowo zasad etykiety. Zresztą co jest domeną władców, inkwizytorze?

– Że robią, co chcą, a ich kaprysy są prawem dla poddanych.

– Brawo! – zaklaskała żartobliwie. – Widzę, że nie tylko świetnie się dogadasz z tą małą Nataszą, ale również ze mną.

– Do usług, Wasza Książęca Mość.

Usiedliśmy przy stole tylko we dwójkę, a słudzy zaraz zaczęli znosić tace z jedzeniem i winem. Starczyłoby tego wszystkiego nie tylko dla nas dwojga, ale pewnie też dla naszych rodzin, przyjaciół i znajomych.

– Mój francuski kucharz zachorował – zdradziła księżna.

– Coś takiego – zmartwiłem się nieszczerze, gdyż pamiętałem,

że potrawy, które przygotowywała ta kreatura, były niemal niezjadliwe. Może ów Francuz widział kiedyś kucharza na własne oczy, ale na pewno jedynie z daleka. – A cóż takiego mu się przytrafiło, jeśli wolno wiedzieć?

– Wyobraź sobie, że wpadł do studni – odparła.

– Zmarł? Połamał nogi?

– Utopił się – wyjaśniła.

– Ach, to ten rodzaj nieuleczalnej choroby... – mruknąłem.

– Ano ten – przytaknęła. – Dlatego dzisiaj gotował dla mnie nasz własny kucharz. Rusin jak i ja.

Dopiero teraz uważnie przyjrzałem się daniom, które przed nami postawiono, i rzeczywiście zarówno wyglądały, jak i pachniały inaczej. Dużo bardziej smakowicie. Kury miały złotą i wyglądającą na chrupiącą skórkę, pokrojona w płaty dziczyzna sprawiała wrażenie miękkiej, a ryby obłożono ziołami i dałbym sobie głowę uciąć, iż ich mięso było soczyste.

– Wygląda to wszystko znakomicie. I pachnie również znakomicie...

Ludmiła wygoniła służących z komnaty niecierpliwym gestem ręki, a ja, widząc to, wstałem, by jej usłużyć przy stole.

– Siadaj i jedz – odgoniła mnie. – Ja na razie tylko się napiję. – Siorbnęła wino nalane do złotego pucharu.

Wina księżna miała nie najgorsze, bo przywożone z Nowogrodu (tam z kolei sprowadzano je z Cesarstwa, Bizancjum albo Węgier), lecz miałem wrażenie, że po drodze kupcy nie wahali się fałszować trunku, licząc zapewne, że na tej barbarzyńskiej dziczy pod Kamieniami i tak nikt się nie pozna, czy do prawdziwego mozelskiego, reńskiego wina lub tokaju nie dolano jakiegoś sikacza.

– Z przyjemnością, Wasza Wysokość – rzekłem nawet szczerze, bo po pierwsze, byłem naprawdę głodny, a po drugie, wyglądało na to, że tym razem wieczerzy u księżnej nie przypłacę niestrawnością.

– On nie był francuskim kucharzem, prawda? – zagadnęła.  
– Ośmielę się przypuszczać, że oszukiwał – odparłem.  
– Tak sądziłam – skinęła głową – że niemożliwe, by ludzie aż tak podle jedli nawet we Francji.  
– Ale obecny kucharz Waszej Wysokości... – rzekłem, jak wypadało, z pełnymi ustami. – Przyznam, że jest znakomity. Mięso wprost rozpływa się w ustach.  
– No, popróbujesz jeszcze, jak przyrządza bobrze ogony duszone w miodzie. – Uśmiechnęła się szeroko. – To jest dopiero niebo w gębie. No jedz, jedz. – Przyglądała mi się z zadowoleniem, z jakim pan patrzy na psa, któremu szczególnie smakuje porcja wrzucona do michy. Zresztą sama przecież mówiła, że byłem jej *canem ducissam*. Mogłem sobie tylko chwalić, że przynajmniej na razie byłem psem pokojowym, a nie podwórzowym.  
– Musisz się zabrać za Nataszę – powiedziała. – Bo dziś nic nie było między wami, jak mi doniesiono...  
Nie powiem, bym nie spodziewał się, że ten temat zostanie poruszony, więc nie zaskoczyła mnie bezpośredniością. Zresztą w końcu od początku wiedziałem, do czego ja mam służyć księżnej i do czego ma służyć jej Natasza oraz nasze wspólne obcowanie.  
– Doniesiono? – zapytałem tylko.  
– Nie słyszano, żebyś sobie z nią używał.  
– Może była cicha... – Uśmiechnąłem się samymi kącikami ust.  
– Jutro z samego rana – nakazała. – Kiedy tylko wrócisz ode mnie, pójdziesz do Nataszy i zrobicie, co trzeba. A potem opowiesz mi, co i jak.  
– Stanie się, jak Wasza Wysokość sobie życzy.  
– Czemu dziś nic nie zrobiłeś? – Zmarszczyła brwi. – Nie podoba ci się? Andrzej mi mówił, że wcale się jej nie boisz, więc...?  
Przełknąłem kawałek mięsa i popiłem szybko winem. Tak jak



sądziłem, było rozcieńczane. Co prawda nie najgorsze, ale jednak nie miało w sobie prawdziwej mocy i aromatu mozelskiego trunku.

– Wasza Wysokość, chciałem, by dziewczyna trochę się przyzwyczaiła i do mnie, i do bycia w Peczorze. To tak jak z psem czy koniem. Im mniej jest zestrachany, kiedy zaczynamy go tresować, tym lepsze są efekty owej tresury.

– Hm... – Podparła brodę palcem wskazującym. – Może i masz rację – zgodziła się po chwili zastanowienia. – Ale nie mamy czasu dłużej czekać. A pewnie do ciebie nawet lepiej i szybciej się przyzwyczai, kiedy się nią zajmiesz jak mężczyzna.

– Tak też być powinno – odrzekłem. – I mam nadzieję, że tak właśnie będzie – dodałem.

– Jakby ci było trzeba, to mam baby i znachorów, którzy potrafią uwarzyć zioła pomagające mężom w bojach. Żeby włócznia, choć całą noc używana, ani razu się nie ugięła. – Ludmiła uśmiechnęła się. – A powiem ci, że jak świętej pamięci mąż mój, książę Dymitr, wypił takie zioła, to na drugi dzień ledwo nogi zwlekałam z łoża... – Roześmiała się i klasnęła dłońmi w uda.

Ponieważ tak niedawno spotkałem się już z ową bezpośredniością dotyczącą spraw, które według mojego mniemania powinny nie być ujawniane w obecności poddanych, więc tym razem nie zdziwiłem się podobnie szczerym wyznaniem.

– Nie zawaham się poprosić o pomoc, jeśli tylko będę jej potrzebował – zapewniłem. – Ale Natasza jest tak ładna i miła, że nie wiem, co mogłoby się wydarzyć, by mój rumak potrzebował kłucia ostrogami.

– O, to się chwali. – Uniosła palec. – No jedz, jedz. – Zręcznym ruchem włożyła mi półgęsek na talerz.

Nie wiem czemu, ale przypomniała mi się stara i opowiadana w Cesarstwie od wielu dziesiątek lat bajka o dzieciach, które

wygnane przez złą macochę, przestraszone, samotne i głodne, trafiły do wiedźmiej chaty. Były tam dobrze traktowane i świetnie karmione. A wszystko po to, by kiedy już zostaną utuczone, upiec je w piecu i pożreć. No cóż, ja do pożarcia byłem zapewne zbyt kościsty, ale pewne jest, że Ludmiła chciała mi poczęstunkiem i dobrym traktowaniem dodać otuchy. W końcu w mojej obecności przy własnym boku upatrywała szansę na przetrwanie, póki nie pojawi się prawdziwy wołch (jeśli oczywiście w ogóle się pojawi, co przecież wcale nie było takie oczywiste). A ja musiałem pamiętać o jednym. Teraz byłem zagrożeniem dla wrogów Ludmiły, ale kiedy związę się z Nataszą i kiedy dzięki temu księżna zacznie być chroniona silniej niż przedtem, to stanę się dla owych wrogów najważniejszym celem do zabicia. Tak jak wcześniej celem stał się stary Jegor i jego obłąkana Swietłana... A jeśli mój związek z Nataszą nie przyniesie żadnych skutków? Jeśli najpierw Swietłana, a potem wiedźma z bagnisk, widzące we mnie kogoś, kto będzie umiał tłumaczyć mistyczne wizje, po prostu się myliły? Jeśli nie posiadałem takich zdolności? Co wtedy się stanie? Czy Ludmiła pozwoli mi wrócić do domu? Wiedziałem, że nie mam co się łudzić. Nawet jeśli nie przydam się jej jako magicznie sparowany z wychowanką czarownicy, to i tak będzie chciała korzystać z mojego inkwizytorskiego doświadczenia. A poza tym fakt, że uratowałem ją przed zamachowcem, na pewno budził w niej zaufanie do moich zdolności i umiejętności. Gdybyż wiedziała, że moja rola była wyłącznie pomocnicza! Że to Arnold Löwefell, inkwizytor stokroć ode mnie doświadczeńszy, przejrzał zamiary skrytobójcy i on kazał mi go obezwładnić. Gdyby księżna to wszystko wiedziała, teraz właśnie Löwefell siedziałby przy stole Ludmiły, a ja jechałbym rażno w stronę Cesarstwa, na każdym postoju ćwicząc wesołe sztuczki z uroczą Mauretanką. Ach, piękna Nontle, wychowanka bezkresnej pustyni, afrykańska księżniczka, powabna niczym czarna róża i groźna niczym

czarna mamba, rozmarzyłem się. Z jednej strony była młoda kobietą pełną żywiołowej radości w korzystaniu z uroków życia, z drugiej strony była również Hildegardą Reizend, podróżniczką, badaczką, znawczynią magii i tropicielką potworów. Musiała być dużo starsza, niż wskazywałby jej wygląd. Jak dużo? Ani nie pytałem, ani jak sądzę, nikt by mi na takie pytanie nie odpowiedział. Lecz miałem nadzieję, że teraz i tutaj na inne moje pytanie odpowie Ludmiła.

– Czy mogę o coś zapytać, Wasza Książęca Mość?

– Pytaj, o co chcesz – odparła.

– Owa... – chciałem powiedzieć „wiedźma z trzęsawisk”, ale natychmiast przypomniałem sobie, jak za użycie tego określenia zrugął mnie Andrzej – owa matka Olga jest potężną zaklinaczką...

– Możesz przy mnie nazywać ją czarownicą lub wiedźmą – zezwoliła pobłaźliwie. – Nie w nazwach tkwi sprawa.

– No właśnie, bo jakkolwiek by ją nazywać, to potrafi posługiwać się silną magią. Musiałbym mieć więcej czasu, by dokładnie tę siłę zbadać i właściwie ją pomierzyć, ale wiem jedno: to nie jest byle hokus-pokus.

Ludmiła skinęła głową.

– Słusznie mówisz. Zwłaszcza że zapewne zobaczyłeś kamyczek wystający spod ziemi, a reszta głazu chowa się pod powierzchnią.

Tego już nie byłem taki pewien, jednak nie zamierzałem wątpliwości formułować na głos.

– Chciałem więc zapytać, czemu Wasza Wysokość nie każe jej, by przeniosła się do Peczory i tu pilnowała spraw Waszej Wysokości.

Ludmiła uśmiechnęła się. Zobaczyła, że nie mam w pucharku wina, więc hojnie mi dołała.

– A co bym miała zrobić? Zakuć ją w kajdany? Kazać żołnierzom zaciągnąć ją do Peczory? Niedobrze by się to skończyło dla nas wszystkich, zapewniam cię...

– Kupić jej usługi? – poddałem.

Tym razem księżna zaśmiała się już na głos.

– Nie sądzę, by ktokolwiek mógł zapłacić tyle, by matka Olga zdecydowała się wynieść z bagien. Od kiedy pamiętam, zawsze tam mieszkała. Jeszcze mojej babce, gdy była dzieckiem, opowiadano o niej różne historie, a już wtedy czarownica była stara.

To święta prawda, że wiedźma wyglądała na wiekową, ale przecież nie na aż tak leciwą, by babka Ludmiły, będąc dzieckiem, słyszała opowieści o niej. Prawdopodobnie na bagnach mieszkała wtedy inna czarownica, a obecna przejęła po niej imię, moc oraz dom. I nikt nie wnikał, czy to na pewno ta sama osoba, bo niby kto by miał odwagę i chęć na podobne śledztwo? Oczywiście, mili moi, Mordimer Madderdin, absolwent sławetnej Akademii Inkwizytorium, nie jest idiotą. Zdaję sobie sprawę, iż istnieją magiczne metody przedłużania życia i młodości, że można również sprzymierzyć się z demonami, które takie cuda obiecują i nawet obietnic tych w pewien sposób dotrzymują. Ale wszystko ma swoje granice. Nadchodzi chwila, kiedy ludzkie ciała i umysły, nawet wspomagane zakazaną magią, załamują się i obumierają. Niemniej zawsze dobrze jest być otoczonym legendą nieśmiertelności lub nadzwyczajnej długowieczności, w którą wierzą zabobonni prostaczkowie. I matka Olga z takiej właśnie wiary wydawała się umiejętnie korzystać.

– Ale dziewczynę jednak oddała Waszej Księżęcej Mości i jakąś zapłatę zdecydowała się przyjąć.

Uśmiech spelzł z ust księżnej. Widziałem, że nie jest na mnie zagniewana, tylko spoważniała, bo jak widać, temat był poważny.

– Po to trzyma te dziewczyny, po to je wychowuje, by potem odsprzedać je możliwym ludziom – odparła. – Książętom i nie tylko książętom. Każdemu, kogo uzna za... – zawahała się –

wypłacalnego. Nawet z bardzo daleka przyjeżdżają do niej poselstwa.

– Z jak daleka, jeśli to nie tajemnica?

– Z Kazania, ale i z Samarkandy. Wiesz, gdzie jest Samarkanda, inkwizytorze?

– Niedaleko Persji – odparłem z wahaniem.

Skinęła głową.

– Sam widzisz, jak daleko sięga sława matki Olgi – rzekła. – Mówią, że Jugrowie wzięli od niej dwie dziewczyny, ale nie dla siebie, tylko gdzieś sprzedali je hen na koniec Szlaku Jedwabnego, dla samego cesarza Kitaju.

Potrząsnąłem głową, niepewny, czy należy traktować te opowieści jako tylko legendę rozsnuwaną przez samą wiedźmę, czy też tkwiło w nich ziarno prawdy.

– To byłoby niezwykle – powiedziałem.

– Tak naprawdę niezwykle jest to, że ktoś taki jak ona siedzi gdzieś na peczorskich bagniskach... Tuż pod moim nosem. – Ludmiła uśmiechnęła się. – Kto by pomyślał, prawda?

Rzeczywiście, było to zastanawiające. Czy matka Olga nie chciała nikogo widzieć i dlatego pragnęła żyć po swojemu we własnym mokradlanym królestwie, czy też może raczej nie życzyła sobie, by to ją zobaczono? A jeśli tak, kogo mogła się bać?

– Jeśli to pytanie nie urazi Waszej Książęcej Mości, proszę mi wybaczyć, lecz to nie wścibstwo, a jedynie...

– Chcesz wiedzieć, jaką cenę zapłaciłam? – przerwała mi.

Skinąłem głową.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie można dać jej więcej tego samego, by skłonić ją, żeby się tu przeniosła. Chociaż na miesiąc czy dwa. Albo lepiej: do końca zimy.

Ludmiła westchnęła.

– Nie można dać jej więcej, niż ja jej dałam – odparła nieoczekiwanie ponurym głosem. – Nie mówmy już o tym – dodała zaraz potem. – Zapewniam cię, inkwizytorze, że żadna

siła nie ruszy matki Olgi z bagien. Tam jest jej dom i tam jest jej forteca, i tam przebiegają granice jej świata, które sama sobie wytyczyła tak, jak chciała. Nie wyobrażam sobie nawet, a i ona pewnie sobie nie wyobraża, jak mogłaby zamieszkać w peczorskiej twierdzy, tak daleko od bagnisk i lasu.

Cóż, moim zdaniem w całej tej przeklętej krainie nie było ani jednego miejsca, z którego byłoby prawdziwie daleko do najbliższych moczarów lub najbliższej puszczy, ale zrozumiałem, o co chodzi księżnej. Wtedy też przyszła mi do głowy pewna myśl. A mianowicie podejrzenie, iż wiedźma z peczorskich trzęsawisk swoją moc czerpała wprost z bagien, na których się osiedliła. I kto wie, może w innym miejscu, oddalona od domu byłaby słabsza albo nawet bezbronna czy niemal bezbronna. Jako człowiek gruntownie wykształcony i biegły w meandrach antycznej sztuki oraz literatury, pamiętałem mit o Anteuszu, synu Posejdona i Gai, który zmierzył się w zapaśniczej walce z Heraklesem. Anteusz potrafił czerpać siłę z ziemi, a więc każde obalenie go na nią czy przyciśnięcie do niej tylko potęgowało jego moc i regenerowało siły. Mądry Herakles uniósł więc Anteusza w powietrze i trzymając wysoko nad głową, udusił. Czy ten mit mogłem w jakiś sposób wykorzystać? Cóż, na razie czarownica nie była moim wrogiem, a wręcz zdawała się sprzymierzeńcem. Lecz nawet jeśli masz kogoś za przyjaciela, pamiętaj, aby dokładnie poznać jego słabości. Po to by w chwili, kiedy nieszczęsnym zrządzeniem losu stanie się twoim wrogiem, móc go natychmiast zwyciężyć. A wiedźma na pewno nie była moim przyjacielem...

– Andrzej wspomniał mi o głazie, na którym stoi domostwo matki Olgi – rzekłem.

– Ach, ten głaz. – Pokiwała głową. – Spadł prosto z księżycy i ludzie mówią, że ma w sobie moc, jakiej nie ma nic na naszej ziemi.

Obserwowałem niegdyś, dawno temu, kometę, która wlokła

swój świetlisty ogon nad Koblencją (jak twierdzili ludzie, wieszcząc nieszczęścia oraz zagładę), ale wiedziałem również, że raz na jakiś czas spadają na ziemię kamienie zrodzone w kosmicznych głębiach. Czasami są to właśnie zwyczajne skalne okruchy, a czasami odłamki twardego czarnego metalu. Niektórzy nazywają je gwiazdnymi kamieniami. Tu jednak nie mielibyśmy do czynienia z bryłką wielkości pocisku z procy czy nawet wielkości pocisku z katapulty. Głaz, na którym stał dom więdźmy, musiał być niegdyś ogromny. Przecież ja zobaczyłem zaledwie jego wierzch, a ileż kryło się jeszcze zanurzone pod błotem trzęsawiska! Oczywiście wszystkie te domysły można było snuć przy założeniu, że skała naprawdę pochodziła z nieba, a nie że jest to kolejna bajda.

– Dawno temu spadł? – spytałem.

Potrząsnęła głową.

– Nie było tu jeszcze nikogo z naszych. Ani z Moskwy, ani z Nowogrodu, ani z Kazania czy skądkolwiek indziej. Nikt tu nie mieszkał, tylko Jugrowie, a ich było niewiele...

– Ach, czyli to historia opowiadana przez Jugrów...

Przytaknęła.

– Opowiadali, że ten kamień zmiotł i zdruzgotał pół lasu, zanim wbił się w bagno. Ale minęły setki lat i puszcza znowu wyrosła, wielka i gęsta. A głaz z gwiazd pogrążył się w bagnisku i zostało z niego tyle, ile sam widziałeś.

– Rozumiem – odparłem.

Żałowałem, że nie ma ze mną Arnolda Löwefella, przede wszystkim jednak chyba żałowałem, iż nie mogę spytać o radę Barnaby Bibera, który tak wiele wiedział o tak wielu sprawach i który był prawdziwym uczonym. Może któryś z nich potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, czy kamień z gwiazd mógł przynieść również magię z gwiazd? Ha, czy ktokolwiek słyszał kiedykolwiek o podobnie nieprawdopodobnej historii?

– Dlaczego pytasz o ten głaz, inkwizytorze?

– Zastanawiam się, czy może być on w jakiś sposób powiązany z magią więdźmy – odrzekłem szczerze.

Ludmiła nałozyla sobie na talerz kawalek ryby i milczala przez chwile.

– Tu, pod Kamieniami, wszystko ze wszystkim jest powiazane – odparla powaznie. – Magia zawsze pulsowala w tej ziemi, gotowa poddac sie i oddac tym, ktorzy po nia umiejtnie siegną. I gotowa wyzanc, zniszczyć i przenicowac kazdego, kto bedzie zbyt slaby, by nad nia zapanowac.

Przez chwile oboje milczelismy. Ksiezna znowu opróżnila pucharek, chcialem jej dolac wina, ale zakryla naczynie dlonia i pokręcila glowa.

– Czyli czarownica w zaden sposob nie pomoze juz Waszej Wysokosci? – spytalem.

– Pomogla tyle, ile chciala, wiec zadcac wiecej byloby niegrzecznościa. – Ksiezna spojrzala na mnie wzrokiem bez wyrazu. – A wiedz, inkwizytorze, ze niedobrze, kiedy matka Olga uzna, iz ktos okazuje jej brak szacunku.

Coz, w Cesarstwie, kiedy my, inkwizytorzy, mielismy do czynienia z więdźmami, to zazwyczaj mialy one powazniejsze problemy na glowie niz klopotanie sie brakiem szacunku. Ale rzeczywiscie, nie raz i nie dwa slyszalo sie o magach czy czarnoksiężnikach dumnych jak pawie, pewnych siebie i sprawiajacych wrazenie, jakby zjedli wszystkie rozумы. Większość z nich byla zreszta zaledwie sprytnymi szalbierzami, chcącymi wykorzystac wiarę w magię. Wiarę silną nie tylko u prostego ludu, lecz również u hrabiów, baronów i księząt, ktorzy nie tylko dawali niezle zarobic owym oszustom, biorac ich kręactwa i cyrkowe sztuczki za dobrą monetę, ale również chronili ich przed surową i karzącą ręką Świętego Officjum.

– A jak dlugo moze potrwać, zanim do Peczory dotrze biegły wołch?

Machnela tylko ręką.



– Na to ja w ogóle nie liczę – odparła, po czym skrzywiła usta. – Więc i ty nie przyzwyczajaj się do myśli, że kiedy z Nowogrodu przyślą mi wołcha, to wypuszczę ciebie. Wielki książę Włodzimierz wie o moich kłopotach, sama mu przecież o nich doniosłam, a pewna też jestem, że ma tu szpiegów. No i jak sędzę, śmieje się teraz w kułak, że utkwiałam niczym komar złapany w kropli żywicy.

Cóż, mogło i tak być, pomyślałem. Ale jeśli książę był mądry i jeśli potrafił przedkładać interes nad urazy, to wiedział, że śmierć Ludmiły oznaczałaby dla niego tylko kłopoty. Bo Ludmiła przynajmniej była lojalna. A jeśli ona umrze, może pojawić się ktoś, kto będzie chciał być lojalny raczej wobec wielkiego księcia Iwana z Moskwy czy wielkiego księcia Nestora z Kazania. I wtedy trzeba będzie stoczyć wojnę o Peczorę. Powiedziałem o swoich przemyśleniach księżnej, a ona skinęła głową.

– Makary też mnie zapewnia, że wielki książę pomoże. Zażąda wielkiej ceny, ale w końcu pomoże.

Ludmiła wspomniała Makarego. Był to jej doradca, szumnie zwany kanclerzem. Znałca praw i obyczajów. Stary i ślepy na jedno oko, ale Ludmiłę znał od dziecka i Ludmiła mu ufała. Może i słusznie. W końcu komuś trzeba ufać więcej niż innym. Albo chociaż nie ufać mniej niż innym, jeśli inaczej się nie da. Stary doradca siedział tuż obok księżnej, kiedy dokonano na nią zamachu (zamachu nieudanego dzięki zręczności waszego uniżonego sługi, który własnym ciałem zasłonił władczynię), asystował jej również, w czasie kiedy przesłuchiwałem skrytobójcę. Zwykle na oficjalnych spotkaniach albo na ucztach zajmował miejsce po prawej ręce Ludmiły. Zastanowiło mnie, jaka była jego rola w spisku, który księżna uknuła przeciw swemu mężowi, i czy popierał wywieszenie księcia Dymitra w klatce nad bramą fortecy, by ów skonał tam z głodu, pragnienia i wychłodzenia. Kto wie, może i popierał, gdyż księżna przekazała swym wrogom jasny sygnał: dla nikogo nie

będzie litości, nawet dla męża i księcia, będącego krewniakiem władcy Nowogrodu. Jak wyobrażacie sobie, mili moi, tym bardziej ja – człowiek pozbawiony tutaj poparcia i przyjaciół – musiałem uważać, by nie wzbudzić gniewu władczyni. A może nawet nie gniewu, gdyż Ludmiła nie sprawiała wrażenia osoby podejmującej decyzje pod wpływem tego czy innego uczucia, lecz aby nie doprowadzić do tego, by uznała moją obecność za szkodzącą jej interesom. Bo wtedy albo mogła mnie odesłać do Cesarstwa, albo uczynić to samo, co uczyniła ze swoim niby-francuskim niby-kucharzem – wrzucić do studni. Gdyż nie miałem przecież żadnych wątpliwości, że ów nieszczęsny szalbierz wylądował na dnie z rozkazu władczyni, która uznała, jak widać, że pośmiewisko, na jakie ją wystawił, jest zbyt duże. To też był jasny sygnał: Ludmiłę możesz oszukiwać tylko do czasu, kiedy oszustwo się wyda. A kiedy się wyda, kara będzie bezwzględna.

– Wiesz, ile zapłacił ojciec mojego świętej pamięci męża, księcia Dymitra, za starego Jegora? – zagadnęła.

Jegor był owym wołchem, który wraz ze służącą mu dziewczyną, Swietłaną, zginął w zamachu dokonany za pomocą czarnej magii. Widziałem go w czasie uczyty i muszę przyznać, że wyglądał tak, iż nawet obłąkani żebracy w Cesarstwie uważaliby się za lepszych od niego. No ale przecież nie wygląd świadczył o człowieku i jego znaczeniu. Potrząsnąłem głową.

– Tyle złota, ile Jegor ważył. – Uśmiechnęła się.

– Dziadek był co prawda niski i chudy, ale zawsze to wielki wydatek – zgodziłem się.

– Za młodych lat nie był taki chudy. – Księżna zmrużyła oczy, jakby starała się wywołać pod powiekami obraz starego wołcha z przeszłości. – Z pięć pudów ważył wtedy jak nic. A buty? A ubranie?

Cóż, o pięciu pudach złota mogłem jedynie pomarzyć tak samo

jak o gwiazdce z nieba. Ale powołanie inkwizytorskie nie służyło do tego, by się bogacić. Przynajmniej mogłem być dumny, iż Święte Officjum bogaciło się na postępowaniach, jakie przeprowadziłem. Majątki, które skonfiskowano za moją sprawą występny heretykom, świętokradcom i gorszycielom, były warte setki tysięcy koron. Inna rzecz, że tak się sprawy nieszczęśliwym zrządzeniem losu ułożyły, iż nie odebrałem za swoje wysiłki stosownej nagrody. Mogłem jednak pocieszać się myślą, że przecież nie w nadziei na zyski wstępowałem do Inkwizytorium, a jedynie by z gorącym sercem i chłodnym umysłem służyć Bogu.

– Teraz zażąda dużo, dużo więcej – westchnęła Ludmiła. – I coś mi się widzi, że rachunek trzeba będzie uiścić nie w samym tylko złocie.

Zamyśliła się ponuro, a ja widziałem, że zastanawia się, jaką polityczną cenę będzie musiała zapłacić za łaskę Włodzimierza. Z tym że sam wielki książę Nowogrodu też nie powinien przesadzać z mitrzeniem się targami, gdyż jeśli zagrożenie było prawdziwe i niebezpieczne (a biorąc pod uwagę los poprzedniego wołcha i jego dziewczyny – było), to niedługo może się okazać, że nie będzie się już z kim targować.

– Powiedz mi jeszcze, inkwizytorze, co sądzisz o Zygfriedzie?

Zygfried był oficerem służącym Świętemu Officjum, który poprosił o pozwolenie, by zostać na służbie peczorskiej księżnej. Ponieważ misja za Kamieniami została z powodzeniem wykonana, więc nie robiono mu przeszkód. Zwłaszcza że, jak podejrzewam, sądzono, iż obecność Zygfrieda może również zwiększyć szanse na przeżycie waszego uniżonego sługi. Nie żeby w Inkwizytorium jakoś szczególnie rozpaczano z powodu mojej śmierci, ale miałem wrażenie, że moim towarzyszom wyprawy za Kamienie szczerze zależy, bym wrócił do Cesarstwa. Nie wiem, czy wynikało to z szacunku dla moich zdolności, z profesjonalnej lojalności, czy też z sympatii, jaką niewątpliwie

budziłem, lecz samej tej chęci byłem pewien. A że zostawili mnie w Peczorze? No a cóż innego mieli uczynić? Powodzenie misji było ważniejsze od życia każdego z nas, również mojego. I kiedy ten fakt zaakceptowałem, to nie tylko nie mogłem mieć pretensji, iż mnie porzucono, ale wręcz musiałem uważać to porzucenie za jedyne zręczne wyjście z konfliktowej sytuacji. Chociaż, oczywiście, jak łatwo się domyślać, nie byłem z tego powodu szczęśliwy.

– Znam go tyle, co z czasu wyprawy – odparłem. – Z tego, co widziałem, trzymał swoich ludzi krótko, ale był sprawiedliwy. Jeżeli został wybrany, by jechać z nami aż za Kamienie, to najwidoczniej mu ufano.

– Ma cię pilnować.

– Też tak sędzę. Ale to doświadczony oficer, jak mniemam, przyda się Waszej Wysokości.

– Na naszej głuszy zawsze brak ludzi – odparła. – Włóczęgów, bandytów, zbiegów... o, takich to znajdziesz co niemiara. – Wzruszyła pogardliwie ramionami. – Ale fachowców, którzy znają się na tym, co robią, nie jest wielu. Chyba że chodzi o sprawianie futer. W tej dziedzinie akurat moi poddani są mistrzami. A chociaż wszyscy uczyli się od Jugrów, to nie tylko im dorównali, ale sędzę, że daleko ich prześcignęli.

– Jeśli mógłbym coś zaproponować... – zacząłem.

– Śmiało.

– Wasza Wysokość mogłaby powierzyć Zygfrydowi pieczę nad żołnierzami, którzy mają cię chronić...

– O, widziałeś zapewne strażników przed moimi drzwiami – domyśliła się.

– Wasza Wysokość wie?

– Wiem wszystko – westchnęła. – Ale takie to już u nas obyczaje. Na murach fortecy będą słuchać, pilnować i uważać. W obozie za fortecą tak samo, a nawet jeszcze bardziej. Ale tutaj? Na korytarzach i przed drzwiami komnat czują się bezpieczni.

Ciepło ich rozleniwia... Co z tego, że każę ich wychłostać, skoro kolejni prędzej czy później postąpią tak samo? Jedyne, czego się doczekam po kilku takich karach, to że moja własna straż zacznie mnie nienawidzić.

– No tak, to rzeczywiście niebezpieczna sytuacja – przyznałem.

Przypomniała mi się opowieść, nie wiem, na ile prawdziwa, a na ile zmyślona (fakt jednak, że obecna w zapiskach rzymskich kronikarzy), o cesarzu Walerianie, pobożnym chrześcijanie, który bezlitośnie kazał karać własnych pretorianów, kiedy widział, że nie dość gorliwie oddają się modlitwie. Póki kazał ich tylko chłostać, jakoś jeszcze byli to w stanie ścierpieć. Ale kiedy jednemu czy drugiemu kazał obciąć nos, miarka się przebrała. Pretorianie rozłupali cesarzowi łeb wielkim drewnianym krzyżem (nie pytajcie mnie, czemu nie użyli mieczy, może uznali za zabawne, że tak pobożny władca zginie od ciosu zadanego symbolem naszej religii), a potem wyrzucili zwłoki Waleriana na pałacowy dziedziniec. Stamtąd rozradowany tłum zawłókł je na nabrzeże i utopił w Tybrze. Taki był właśnie niesławny koniec cesarza Waleriana i jego nieudanych pomysłów na dyscyplinowanie osobistej straży. Opowiedziałem tę historię księżnej, a ona w zamyśleniu pokiwała głową.

– Twój towarzysz obiecywał, że każe mi przysłać książki drukowane w Cesarstwie. Może będzie o tej obietnicy pamiętał. Chętnie bym przeczytała więcej takich dających do myślenia opowieści. – Uśmiechnęła się nieznacznie.

– W razie czego, póki książki nie nadejdą, służę Waszej Wysokości moją pamięcią – odparłem uprzejmie.

– Dobrze – odparła. – A temu twojemu Zygfrydowi kazałam obejrzeć fortecę, obejrzeć wojsko, przepatrzeć magazyny z bronią i napisać raport, co o tym wszystkim sądzi tak doświadczony cesarski oficer. – Skrzywiła lekko usta, więc domyśliłem się, że owego sformułowania użyła w rozmowie z samym Zygfrydem. – No więc będzie miał zajęcie na długo...

– Ufam, że tego typu meldunek naprawdę przyda się Waszej Książęcej Mości.

Skinęła głową.

– Może i tak – stwierdziła. – Chociaż nie da się wszystkich obcych roślin przesadzić na naszą ruską ziemię, nawet jak ktoś bardzo by chciał. Takie, a nie inne mamy obyczaje w wielu sprawach i obcemu ciężko byłoby je zmienić. A jeśli zmieniałby je zbyt gwałtownie, to i wielka szkoda mogłaby go spotkać...

– Wasza Książęca Mość! – Do komnaty wpadł młody dworzanin, chłopaczek może dwunastoletni, teraz zadyszany, poczerwieniały i najwyraźniej niesamowicie przejęty. – Wasza Książęca Mość, Zwiezda właśnie się oszczeniła!

Ludmiła poderwała się z krzesła, jakby wypchnięta z niego jakąś potężną dłonią.

– Chodź! – krzyknęła do mnie, na jej twarzy widziałem podniecenie i radość. – Ile? Wszystkie żyją? – zwróciła się do chłopaczka.

– Pięć, wasza mość! Wszystkie!



Poznałem tego psa od razu. Suka, teraz leżąca tak spokojnie i zmęczona porodem, była jedną z dwóch bestii, które zagryzły nieszczęsnego Mikołaja, skrytobójcę usiłującego dokonać zamachu na księżną. Nie miałem pojęcia, że jeden z tych dwóch psów, które na arenie rozszarpały zbrodniarza, był suką, i to na dodatek szcenną. Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że oba są samcami. Może było to spowodowane wielkością owych stworzeń i powagą ich wyglądu, wielkimi grzywami, które okalały ich głowy. A może wynikało to z tej typowej dla męskiego gatunku błędnej oceny istot rodzaju żeńskiego, które zwykliśmy uważać za mniej agresywne i krwiożercze od samców?

W pokoju czekali już treser psów (ten sam, który prowadził je

do skazanego na śmierć Mikołaja), gruba dworka o czerwonej twarzy (teraz jeszcze bardziej czerwonej, bo widać było, że przed chwilą płakała) oraz Andrzej, rozczochrany i w niepełnej odzieży. Kiedy stanąłem obok niego, poczułem obezwładniająco wręcz silny odór piwa.

– Kąпалиście się w tych smrodliwych szczynach czy co? – mruknąłem.

Malusieńkie, popiskujące kłębuszki futra skupiły się przy sutkach suki. Trzy były rude, jeden czarny, a jeden biały jak śnieg. Oczywiście, nie było powiedziane, że takie właśnie będą mieć umaszczenie w przyszłości, gdyż takie maluchy mogą zmienić kolor w ciągu najbliższych dni, tygodni czy miesięcy. Nie znałem się jakoś szczególnie na zwierzętach, jednak to akurat wiedziałem.

Księżna zamieniła kilka zdań z dworką, a ja trąciłem Andrzeja.

– Co mówią?

– Dwie suki, trzy psy – odparł bełkotliwie.

Ludmiła usłyszała i odwróciła się w naszą stronę.

– Będziemy mieli z nich pociechę – powiedziała rozradowana.

– Rok temu też rodziła, ale były tylko trzy szczeniaki i wszystkie martwe.

Postaliśmy jeszcze chwilę, księżna pytała o coś opiekuna, który odpowiadał jej głęboko pochylony i ze spojrzeniem wbitym w podłogę przed jej stopami. Nie pytałem już Andrzeja, o czym mówią, bo widziałem, że mój tłumacz ma nie tylko kłopoty z zachowaniem równowagi, ale chyba wręcz z zachowaniem przytomności. Jak można się było aż w takiej ilości ożłopać tego paskudnego ruskiego piwka?

W końcu księżna skinęła na mnie, zostawiliśmy zmęczoną sukę, jej śpiące szczeniaczki i otaczających ich ludzi i wróciliśmy do prywatnych komnat. Tam Ludmiła skinęła mi łaskawie dłonią i zniknęła w swojej sypialni (usłyszałem dźwięk zasuwanej skobla), a mnie wskazano posłanie z futra i poduch pod jej

drzwiami. Wyglądało nawet dosyć wygodnie. Zastukałem jednak jeszcze do księżnej.

– Wasza Książęca Mość, upraszam o wybaczenie, ale czy wasza mość zamknęła okiennice?

– Zamknęłam.

– Czy na skobel?

– Tak, na skobel. – Usłyszałem w jej głosie nutę rozbawienia.

Ale to nie było wcale zabawne. Znałem ludzi, którzy potrafili dzięki odpowiednim narzędziom oraz niezwykłym umiejętnościom wchodzić po wysokim kamiennym murze. A Peczora była drewnianą fortecą. O wiele łatwiej wbić haki w drewno niż pomiędzy cegły albo kamienie, prawda? Wolałem, by nie doszło do sytuacji, że oddana pod moją straż księżna zostaje znaleziona martwa w swojej sypialni. Najprawdopodobniej i ja już długo bym nie pożył przy takim rozwoju wydarzeń i pewnie nawet opieka Nataszy, której wszyscy tak podobno się bali, nie zdałaby się na wiele.

– Niech Bóg czuwa nad snem Waszej Książęcej Mości – rzekłem jeszcze tylko, ale już mi nie odpowiedziała.

Ja również sprawdziłem skoble przy drzwiach i okiennicach, upewniłem się, iż są solidnie zamknięte, potem przyjrzałem się jeszcze uważnie ścianom, ale nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Czy to możliwe, żeby znajdowały się tu sekretne drzwi, tajne przejścia? Wiele zamków w Cesarstwie (ale też wiele klasztorów) słynęło ze świetnie ukrytych tajnych korytarzy i komnat. Czasami budowano je z rzeczywistej potrzeby, czasami były niczym więcej jak figlem lub pogonią za modą (tak samo jak labirynty z żywopłotów sadzone w ogrodach). Ale czy to możliwe, by podobne rozwiązania zastosowano przy konstrukcji peczorskiej twierdzy? I czy możliwe, że jeśli je zastosowano, to księżna o niczym nie wiedziała? Przecież fortecę kazał budować Dymitr i tylko on znał w takim razie dokładne plany stworzone przez architektów czy budowniczych. Co się stało z tymi



planami? I co się stało z budowniczymi? Czy byli wynajętymi rzemieślnikami, którzy po zakończeniu pracy wrócili do swoich miast, czy też zostali uciszeni raz na zawsze i ich zwłoki zgniły gdzieś na trzęsawiskach?

Zastanawiałem się chwilę, co robić, potem westchnąłem ciężko i zastukałem do drzwi. Raz, a potem drugi. Drugi raz mocniej.

– Czego chcesz? – usłyszałem w końcu.

– Wasza Wysokość, muszę wejść.

Przez chwilę za drzwiami panowała cisza. Wreszcie ku mojemu zdziwieniu nie usłyszałem dalszych pytań, lecz szcęk skobla. Ludmiła stała w progu oświetlona blaskiem płonącego za jej plecami świecznika. Miała na sobie długą koszulę sięgającą od brody aż po kostki.

– Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie – zauważyła.

– Przepraszam Waszą Księżęcą Mość, ale mówiąc „muszę wejść”, miałem na myśli, że naprawdę muszę wejść do środka, bo samo stanie na progu, niestety, nie wystarczy...

Spoglądała na mnie przez chwilę z zagadkowym wyrazem twarzy, a potem odsunęła się o krok, robiąc mi miejsce w przejściu. Wszedłem.

– Czy Wasza Księżęca Mość wie, kto budował fortecę w Peczorze? – spytałem.

Przeszła w stronę łóżka i położyła się na nim, przykrywając kołdrą. Oparła się na wysokich poduchach.

– Mój świętej pamięci mąż, oczywiście – odparła.

– Skąd miał architektów i co się z tymi ludźmi potem stało?

– Wielki książę Włodzimierz użyczył mojemu mężowi jednego ze swoich architektów – wyjaśniła. – Kiedy on i jego ludzie wykonali pracę, wrócili do domu. Uprzedzając twoje pytanie: nie, nie zabito ich. – Skrzywiła usta. – Ani Peczora nie jest takim cudem, byśmy nie chcieli pozwolić na zbudowanie drugiego podobnego, ani nie ma tu żadnych wielkich sekretów.

– Może nie ma, może są – odrzekłem.

– Myślisz, że znajduje się tu coś, o czym nie wiem, prawda?

– Czy kiedy księżę Dymitr żył, to była to jego sypialnia? – Powiodłem dłonią wokół.

– Tak, to były wszystko jego pokoje – odparła. – Ja miałam swoje gdzie indziej. Czasami mąż odwiedzał mnie, a czasami ja przychodziłam na jego zaproszenie.

– Sądzę, że w tej komnacie jest sekretne przejście – rzekłem z pewnością w głosie, chociaż w sercu takiej pewności wcale nie miałem. Ale inkwizytorska intuicja i inkwizytorskie przeczucia oraz podejrzenia są często czymś więcej niż pewność u zwykłego człowieka.

Milczała i widziałem, że się zastanawia. Może starała się przypomnieć sobie jakiś obraz lub jakąś rozmowę z przeszłości, które mogłyby potwierdzić podobne podejrzenia?

– Czy Wasza Wysokość wie o jakichś tajnych drzwiach, przejściach, korytarzach w innych częściach fortecy?

– Nic nie wiem o podobnych sprawach. Mówiłam ci już, że u nas nie ma wielkich tajemnic. – Potrząsnęła głową. – Nawet jeśli chodzi o nasz skarbiec, to każdy wie, gdzie się dokładnie znajduje. Tyle że jest to pokój bez okien, za żelaznymi drzwiami i zawsze pilnowany, a ja jedna mam klucz. – Położyła dłoń na piersi.

– Wasza Książęca Mość, może to tylko intuicja, może zaledwie zbyteczny strach, ale ufam, że gdzieś w tym pokoju skrywa się tajemnica. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, to ową tajemnicą są sekretne drzwi i sekretny korytarz. Wszystko skonstruowane, by właścicielowi umożliwić szybką ucieczkę w razie niebezpieczeństwa. Nie zbadam tego teraz. Nie po ciemku i nie bez narzędzi, ale chciałbym, abyś pozwoliła mi, pani, w świetle dnia obejrzeć całą komnatę.

Skinęła wolno głową.

– Wyjściem zawsze można również wejść, czyż nie?

– Zazwyczaj – odparłem. – I tego właśnie się boję.

– Nigdy nie za dużo ostrożności, prawda?

– Tak jest – zgodziłem się z nią. – I dlatego muszę prosić Waszą Wysokość, abym mógł przenieść się właśnie tutaj na tę jedną noc. Póki nie upewnię się, że jest naprawdę bezpiecznie.

Wzruszyła ramionami, po czym uśmiechnęła się.

– Czemu nie? Przynieś sobie swoje futra i zostań w takim razie. A... – Uniosła palec. – Skorzystam z okazji, że jesteś, i poczytasz mi książkę. Dorzuc też dREW do kominka. Umiesz ładnie czytać, mam nadzieję?

– Postaram się zadowolić Waszą Książęcą Mość – odrzekłem.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że podobne wyznanie mogło zabrzmieć nieco dwuznacznie, a i chyba Ludmiła zrozumiała ową dwuznaczność. Jednak ufałem, że wiedziała, iż była ona niezamierzona.

– Słusznie – rzekła księżna. – Bowiem rolą poddanych jest rozpieszczanie władców przyjemnościami. I poddani nigdy – zaakcentowała mocno to słowo – nie powinni o tym obowiązku zapominać. Więc teraz popraw mi poduszki i zacznij czytać.



Rzecz jasna, przez całą noc nie zmrużyłem oka, gdyż wizja otwierającego się sekretnego przejścia, którym wchodzi napastnik i przebija księżnej serce, skutecznie nie pozwalała mi zasnąć. Ludmiła nie miała podobnych problemów. Zasnęła jeszcze w trakcie lektury, nakryła się kołdrą po czubek głowy, a następnie zaczęła sapać, jakby wspinała się na wysoką górę. Potem natomiast sapanie to zamieniło się w przeciągłe chrapanie z pogwizdywaniem. Znam znakomity sposób na chrapiących ludzi, a jest nim zwinięcie skrawków materiału w kłębuszki i wsadzenie ich do nozdrzy śpiącego. Byłem jednak pewien, iż księżnej nie spodobałoby się, gdyby obudziła się z nosem zatkanym kulkami wetkniętymi tam przez strażnika, którego

denerwowało jej chrapanie. Zresztą po pierwsze, i tak nie zamierzałem zasypiać, a po drugie, potrafiłbym zasnąć nawet na sali pełnej wrzeszczących biesiadników, gdybym tylko uznał, że jest mi to potrzebne. Zdmuchnąłem świece, zostawiając jedynie drwa dogasające na kominku. W ich różowym poblasku widziałem zaledwie środek komnaty, a ściany pozostawały spowite mrokiem. Nie przeszkadzało mi to jednak, gdyż wiedziałem, że nie ma człowieka tak szkolonego i tak zręcznego, bym nie usłyszał, iż otwiera tajne przejście (które w dodatku było zapewne już od dawna nieużywane) i bym nie usłyszał, że stąpa po podłodze. Chociaż... Deski były wyścielone kobiercami i futrami, więc stąpania mógłbym jednak nie usłyszeć. Przemyślałem ten problem i zdecydowałem, że zapalę świece w dwóch świecznikach i ustawię je przy przeciwległych ścianach. Teraz źródła blasku tworzyły trójkąt, którego jednym wierzchołkiem był kominek, a dwoma pozostałymi świeczniki. Ja przysunąłem sobie krzesło i usiadłem u wezgowia łóżka. W ten sposób mogłem nie tylko obserwować cały pokój, lecz również byłem bardzo blisko Ludmiły. Tak blisko, że nie znalazłby się człowiek wystarczająco szybki, by zdążył ją zaatakować, zanim zdołałbym zaatakować jego lub przynajmniej osłonić władczynię przed ciosem. Prawdopodobieństwo ataku właśnie dzisiejszej nocy wydawało mi się iluzoryczne, doskonale jednak wiedziałem zarówno z zapisków dawnych pamiętnikarzy, jak i ze współczesnych opowieści, że wielu ludzi, którym niebezpieczeństwo wydawało się nieprawdopodobne, kończyło sześć stóp pod ziemią. A ci, którzy dmuchali na zimne, miewali się całkiem nieźle.

Gdybym snuł jarmarczną opowieść, zatrwożyłbym was teraz historią skrytobójców wyłaniających się zza sekretnego przejścia. Do pokoju Ludmiły wsunęłyby się ubrane na czarno, zakapturzone postacie. Ktoś trzymałby sztylet o długim, wąskim ostrzu, ktoś inny garotę. A może w towarzystwie skrytobójców

szedłby demon, okutany w płaszcz, z zasłoniętym pyskiem i z ruchów przypominający i naśladowający człowieka? A o jego demonicznej postaci przekonałbym się dopiero wtedy, gdy w trakcie walki zdarłbym mu kaptur ze łba.

Ale moje życie nie jest jarmarczną opowieścią, lecz zaledwie i aż zapisem najprawdziwszej i najbardziej rzeczywistej prawdy. A prawda jest taka, że zupełnie nic się nie wydarzyło aż do wschodu słońca (poza tym, że w środku nocy księżna przewracała się z boku na bok z bolesnym jękiem i puszczała gazy), kiedy to, właśnie niedługo po tym, jak przez szpary okiennic zaczął wpadać blask świtu, usłyszałem do drzwi opętańcze łomotanie i głos dworki wrzeszczącej:

– Inkwizytor! Wasza Książęca Mość, nigdzie nie ma inkwizytora!

Na tyle bowiem pojąłem ten barbarzyński język, by zrozumieć tak proste zdanie. Odsunąłem skobel i odemknąłem drzwi. Wrzeszcząca dworka zobaczyła mnie i urwała krzyk w pół zdania. Stałem przez kilka chwil w progu, przyglądając jej się w milczeniu i mierząc ją zimnym spojrzeniem, a ona najpierw opuściła głowę, potem cofnęła się o krok. Wtedy dopiero zamknąłem drzwi i znowu zasunąłem skobel. Zerknąłem na łożo. Ludmiła albo spała, albo udawała, że jeszcze śpi, w każdym razie w żaden sposób nie dała poznać po sobie, że słyszała cały ten rwetes. Cóż, na dworach możnych służba wstawiała zazwyczaj równo ze świtem albo niewiele później, ale zegar pana domu pokazywał zawsze tylko taką godzinę, na jaką tenże pan zdecydował się, by właśnie była pokazywana. Ot, jeden z wielu przywilejów ludzi mających władzę nad innymi ludźmi.

– Każ, by przyniesiono mi śniadanie – odezwała się niespodziewanie księżna całkowicie trzeźwym głosem, w którym nie było słyhać nawet cienia rozespania.

– Ufam, że Wasza Książęca Mość dobrze spała – odparłem i znowu przesunąłem skobel. – Czy Wasza Książęca Mość ma

jakieś szczególne życzenia?

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby to w mojej twarzy zamierzała odczytać spis potraw. Twarz miała z jednej strony wymiętą i czerwoną od przyciskania poduszki.

– Polewka piwna z serem – zdecydowała wreszcie. – Tylko ma być gorąca.

Otworzyłem drzwi, wyszedłem za próg i nagle zdałem sobie sprawę, iż nie mam najmniejszego pojęcia, jak po rusku wyrazić życzenie Ludmiły. Wziąłem więc pierwszą z brzegu dworękę (siedziały ich tam cztery) za rękę i wciągnąłem ją do sypialni.

– No tak, jeszcze się nie nauczyłeś – stwierdziła wzgardliwym tonem Ludmiła, po czym obróciła spojrzenie na służkę i wydała jej polecenia.

– Spało mi się rzeczywiście dobrze – rzekła już do mnie, po czym zastanowiła się chwilę. – Wiesz, że nawet lepiej niż ostatnimi czasy. – Wyciągnęła palec wskazujący w moją stronę. – Zobaczymy, czy to twoja obecność tak dobrze na mnie działa.

– Zawsze do usług Waszej Księżęcej Mości. – Przyłożyłem dłoń do piersi.

– Otwórz okiennice i zabieraj się za szukanie – rozkazała.

– Czy mogę przedtem zadać pytania Waszej Księżęcej Mości?

– Skoro musisz...

– Czy w tym pokoju zdejmowane są dywany z podłogi?

– A jak to sobie wyobrażasz? – prychnęła. – Oczywiście, że są zdejmowane. Inaczej dawno by zgniły. Trzepie się je i suszy.

Sądząc po wyglądzie i zapachu kobierców, nie zdarzało się to zbyt często, lecz dobrze wiedzieć, że w ogóle się zdarzało.

– Pod spodem, jak rozumiem, jest podłoga... – powiedziałem.

Wzruszyła tylko ramionami. Miałem wrażenie, że moje pytania ją drażnią. Zapewne wołałaby, abym tylko skupił się, zmrużył oczy i już szóstym oraz siódmym zmysłem odgadł, gdzie znajduje się tajne przejście. Niestety, sprawy tak nie działały. Woląłem wypytać księżną, niż dokonywać w jej sypialni dzieła

zniszczenia, by odnaleźć sekret, o którym przecież w ogóle nie byłem przekonany, czy istnieje.

– Czy mąż Waszej Wysokości, książę Dymitr, był silnym mężczyzną?

To ją zainteresowało. Spojrzała na mnie żywszym wzrokiem.

– Bardzo silnym – odparła. – Widziałeś nasze falkonety?

– Tak jest, widziałem.

– Dymitr potrafił dźwignąć jeden pod jedną pachą i drugi pod drugą pachą i wejść tak z nimi na mury.

Pokręciłem głową z podziwem. Peczorskie armaty były śmiesznie małe w porównaniu z cesarskimi kolubrynami, ale to nadal były jednak odlane z żeliwa działa. Każde ważyło tyle, co rosły mężczyzna, więc książę potrafiący wnieść oba po schodach na mury musiał mieć niezwykłą wręcz krzepę. Być może poradziłbym sobie z uniesieniem jednego z nich, na pewno z przeciągnięciem po równej, twardej nawierzchni. Ale unieść oba? Wnieść po stopniach? O takim dokonaniu nie miałbym nawet śmiałości marzyć. Zapewne podobna próba w moim wypadku skończyłaby się pękniętym kręgosłupem.

Ściana zewnętrzna, na której ulokowano okna, nie mogła ukrywać tajnego przejścia. Podobnie rzecz się miała z przepierzeniem dzielącym sypialnię od dziennej komnaty, gdzie rezydowały teraz dworki. Zostawała nam więc podłoga i dwie pozostałe ściany. Jeśli była to podłoga, to tylko pod wielkim i ciężkim łóżkiem Ludmiły mogła znajdować się kłapa. Dymitr, skoro był takim mocarzem, dałby radę je przesunąć. Ale przecież nie zasunąłby go z powrotem, prawda? Napastnicy, którzy wdarliby się do jego sypialni, od razu zauważyliby, którędy wymknęła im się ofiara, i ruszyliby jej tropem. A przecież w sekretnym przejściu chodziło też o to, by pozostało sekretne jak najdłużej.

W sypialni oprócz łóżka były jeszcze dwa wielkie meble: skrzynia oraz szafa. Ze skrzynią był podobny problem jak

z łóżkiem: nie dałoby się jej zasunąć po skorzystaniu z kłapy prowadzącej na dół. A więc zostawała szafa. Był to piękny dwuskrzydłowy mebel, zbudowany z litego dębu i rzeźbiony w sceny biblijne, z kolumnami zwieńczonymi postaciami aniołów. Musiał ważyć tyle, że gdyby na kogoś spadł, to rozgniółłby go na miazgę. Ludmiła powiodła wzrokiem w ślad za moim spojrzeniem.

– Czy mogę otworzyć szafę, Wasza Wysokość?

Skinęła głową na znak zgody. Sięgnęła pod koszulę nocną i po chwili wyciągnęła klucz. Zapewne nosiła go zawieszony na łańcuchu na szyi. No cóż, nie było to zbyt wygodne, ale komuż można ufać, jak nie sobie samemu? Wziąłem od niej klucz, przekręciłem w zamku (chodził zdumiewająco lekko), uchyliłem skrzydła i zajrzałem do środka. Szafa wyładowana była z jednej strony złotymi lub złoconymi naczyniami, z drugiej zaś różnego rodzaju materiałami i ubraniami. Naczynia były z pewnością ogromnie kosztowne, materiały również wyglądały na bardzo cenne. Wspomniałem już wam, mili moi, że szafa była szeroka, wysoka i głęboka. Była również wyładowana po brzegi. A jej dno stało na wygniecionym kobiercu. Tego mebla nie przesunąłby nawet taki siłacz jak książę Dymitr (prędzej mebel rozpadłby się w trakcie prób albo przynajmniej połamał nogi). A jeśliby go nawet przesunął, to z całą pewnością nie dałby go rady zasunąć, gdyby znalazł się już za plecami szafy.

Rozejrzałem się raz jeszcze po całym pokoju. Owszem, słyszałem o sekretnych przejściach znajdujących się w kominkach i uznałem, że taką ewentualność również należy zbadać, kiedy zostaną wyczerpane inne możliwości. Jednak kiedy wróciłem spojrzeniem do szafy, to coś mnie tknęło. Coś mi mówiło, że jeśli mam szukać sekretnego przejścia, to będzie ono właśnie tutaj. Uklęknąłem, po czym zacząłem dokładnie oglądać mebel. Jego niezajęte przez nic dno, nad którym wisały przetykane złotem i nabijane drogimi kamieniami kaftany oraz



suknie, obito złotymi blachami. Złotymi kwadratami oraz prostokątami poukładanymi w rzędy i szeregi. Spojrzałem na nie i chyba zrozumiałem, gdzie kryje się sekret. Odstępy między kwadratami oraz prostokątami miały przysłonić prawdziwy wygląd tej podłogi. Otóż linie dzielące figury geometryczne nie pozwalały tak łatwo dojrzeć, że część z nich wcale nie była zwykłymi liniami. To były krawędzie kłapy. Tak jest, przysiągłbym, że tu właśnie znajdowała się kłapa. Wyciągnąłem nóż i wsadziłem w szpary pomiędzy blachami. Dość szybko poczułem, że w pewnym miejscu ostrze wchodzi głębiej. Wbiłem je więc. Potem podważyłem całość i zobaczyłem, że jestem na właściwym tropie, bo cała powierzchnia, zajmująca mniej więcej cztery stopy na cztery stopy, wyraźnie drgnęła. Po kilku próbach udało mi się unieść kłapę, potem szybko podstawiłem drugi nóż i odchyliłem deskę obitą blachami. Pod nią była ciemna dziura. Wstałem szybko i zdjąłem z szafki świecznik. Zbliżyłem się z nim do odkrytego schowka. Musiałem uważać, żeby nie podpalić materiałów i ustawić go tak, by blask oświetlał dziurę, a nie oślepiał mnie samego. Dałem radę zbliżyć płomień wystarczająco blisko. I zobaczyłem, że w tej wąskiej dziurze, w tym kominie, jak nazwałem owo przejście, jest żelazna drabina. Ktoś, kto znał tajemnice skrytki, mógł wejść do szafy, otworzyć kłapę, zamknąć drzwi szafy od wewnątrz, opuścić się na drabinę, po czym zatrzasnąć sobie kłapę nad głową. Jeśli nie popełniłby żadnego błędu, to napastnicy nie mieliby szans, by szybko wpaść na pomysł, jak zniknął. Zapewne przeszukując pokój, niszcząc sprzęty, zrywając dywany, doszliby, gdzie zostało ukryte przejście. Ale wtedy książkę byłby już daleko. No właśnie: jak daleko? Gdzie konkretnie? Dokąd prowadził komin? Odwróciłem się. Wiedziałem, że Ludmiła stoi blisko za moimi plecami, bo cóż ze mnie byłby za inkwizytor, gdybym nie zorientował się, że tuż koło mnie znajduje się inny człowiek. Zarówno słyszałem jej przyspieszony oddech (a oddychała chrapliwie, gdyż miała

katar), jak i czułem jej zapach. Zapach kobiety, która nie myła się co najmniej od kilku dni i spocila się, śpiąc pod ciepłym nakryciem. Nie był to raj dla mojego czułego i wrażliwego nosa, ale nie z takimi woniami miałem w życiu do czynienia. Wiedziałem, że nigdy nie polubię smrodu wydzielanego przez ludzi, ale musiałem z tym jakoś żyć. W Cesarstwie też sprawy różnie się układały. Coraz więcej trafiało się miłośników łaźni, kąpeli oraz zażywania towarzyskiej i ablucyjnej przyjemności w termach, ale też wciąż za wielu było takich, którzy mycie uznawali za wynalazek diabła. Ba, podobne twierdzenia wysuwali niektórzy księża (krzywiąc się, że dbanie o ciało przeszkadza w dbaniu o duszę) oraz niektórzy lekarze. Medycy owi twierdzili, że zbyt częste kąpiele zanadto oczyszczają pory skóry, przez które potem do organizmu trafiają trujące wyziewy i miazmaty. I człowiek, który zbyt często się myje, w związku z tym choruje i umiera. Cóż, z całą pewnością wielu ludzi nigdy się niemyjących nie słyszało o tych teoriach, co nie przeszkadzało im zakazu kąpeli wiernie przestrzegać. Ba, zdarzali się tacy osobnicy nawet wśród wielkich bogaczy, możnej szlachty czy wśród książąt krwi.



– Znalazłem skrytkę, Wasza Wysokość – rzekłem na głos. – To jest przejście, dzięki któremu człowiek, który opuści się na dół po widocznej tu drabinie, prześlizgnie się pomiędzy ścianami. Tak

jakby w pionowym tunelu. Jakby w kominie – dodałem, bo to najcelniej tłumaczyło budowę owego przejścia.

– Ha! – Ścisnęła mnie za ramię z taką siłą, że aż boleśnie. – Widzę, że naprawdę dobrze zrobiłam, że zażądałam, byś został.

Poklepała mnie po policzku gestem łaskawego pana, który to gest przyszedł jej zresztą łatwo i naturalnie. Bo właśnie taki był. A Ludmiła wyglądała na naprawdę rozradowaną.

– A więc schodzimy! – zawołała z zapalem.

– Za przeproszeniem, Wasza Książęca Mość, ale nie „my”. Ja schodzę – stwierdziłem stanowczo.

– Co takiego? – Zmrużyła oczy.

– Wasza Wysokość, czasami w takich sekretnych przejściach zakłada się pułapki, które zna tylko właściciel. Nawet nie sidła czy paście na wilki, ale choćby zostawia się zwykłą obłuzowaną deskę z kolcem pod spodem – powiedziałem tonem wyjaśniającym i pojednawczym. – Wasza Książęca Mość nie może ryzykować podobnej przygody. Proszę mi pozwolić wszystko zbadać.

Księżna zacisnęła usta. Miała najwyraźniej ogromną ochotę na, jak to określiłem, „podobną przygodę”, ale zrozumiała również, że na pewno mam rację.

– A jeśli będę szła krok za tobą?

– A jeśli całe przejście się zawali? – odpowiedziałem natychmiast pytaniem. – Na dobrą sprawę, Wasza Książęca Mość, my nawet nie wiemy, czy ten ukryty tunel został dokończony. Czy był kiedykolwiek używany.

Skinęła głową z niezadowoloną miną i odsunęła się o dwa kroki.

– Idź więc – rozkazała. – Tylko wróć.

– Nie ośmieliłbym się umrzeć i zaśmierdnąć w ścianach fortecy Waszej Książęcej Mości. To byłoby bardzo kłopotliwe i wysoce niegrzeczne.

Parsknęła, po czym usiadła w fotelu.

– Idź już, idź...

Oczywiście nie zamierzałem wędrować w głąb wąskiego korytarza z kilkuramiennym świecznikiem w dłoniach. W drugim pokoju widziałem na stole zamkniętą lampkę olejową, niewielką i poręczną, której płomień, co ważne, będzie chroniony przed podmuchami wiatru. Poszedłem więc po tę lampkę, wzbudzając u dworek zdziwienie, ale wodziły tylko w milczeniu za mną wzrokiem i siedziały nieruchomo niczym kury na grzędzie. Założyłbym się, że zastanawiały się, dlaczego spędziłem noc i rano w sypialni władczyni, i zapewne również myślały nad tym, jakie będzie to miało konsekwencje. No cóż, szczególnie podobał mi się fakt, iż mogę zostać wzięty za kochanka Ludmiły, a podobne plotki z całą pewnością powstaną. A walka z nimi co najwyżej mogłaby dolać oliwy do ognia, zresztą ja sam w żaden sposób z takimi łgarstwami nie mógłbym się mierzyć, choćby z uwagi na fakt, że nie znałem języka.

Kiedy wróciłem do sypialni, księżna klęczała z wypiętym w górę kuprem i wsadzała głowę do szafy. No cóż, może zdziwię was, mili moi, ale nie był to wcale widok ponętny. Nie był to również widok zabawny, ponieważ dla poddanych bardzo niedobrze jest oglądać władców w sytuacjach, które mogą się wydać uciężne lub błazeńskie. Dlatego też odwróciłem się tyłem i zacząłem nieco hałasować przy przygotowywaniu lampki. A kiedy już sprawdziłem, czy ma oliwę, czy ma wystarczająco długi knot i odpaliłem płomień od świecy, to Ludmiła nie klęczała w groteskowej pozycji, lecz stała przy szafie z poważną miną.

– Nic nie widać – oznajmiła.

– Mogę się mylić – odparłem – ale sędzę, że ten komin schodzi pomiędzy murami aż pod ziemię. I tam, pięć, sześć stóp pod ziemią, zamienia się w tunel. Tunel z kolei powinien prowadzić za mury fortecy. Tylko taki widzę sens, aby księżę mógł się uratować na wypadek zamachu lub przegranego oblężenia.

– Aż za mury – powtórzyła zamyślona. – To może być niebezpieczne, prawda?

Oczywiście, że eksploracja tajnego przejścia, o którym kompletnie nic się nie wiedziało, mogła być niebezpieczna. Ale nie zamierzałem podsycać niepokoju i podejrzeń Ludmiły, gdyż bałem się, że może mi zabronić zbadania groźnego sekretu. A nie bardzo wyobrażałem sobie, kto inny mógłby owego zadania się podjąć, by jeszcze tego samego dnia nie zaczęli o tym kominie plotkować wszyscy mieszkańcy Peczory.

– Nie sądzę, Wasza Wysokość – odparłem lekkim tonem. – Skoro przejście miało uratować życie księciu, powinno być solidnie wykonane. A jeszcze Wasza Książęca Mość wspominała, że nad peczorską twierdzą pracowali rzemieślnicy z Nowogrodu przysłani przez wielkiego księcia.

– Mnie jednak nie chciałeś puścić...

– Wasza Książęca Mość, upraszam o wybaczenie, ale z całym szacunkiem: ja jestem inkwizytorem. Przez całe życie przygotowywano mnie, bym mierzył się z różnymi niebezpieczeństwami nie tylko duchowej, lecz też czysto fizycznej natury.

Głupi władcy nie lubią słuchać o tym, że ktokolwiek może być w czymkolwiek od nich lepszy. Natomiast rozumni władcy wiedzą, że mądrość polega na tym, by do realizacji własnych celów wykorzystywać ludzi zdolniejszych od siebie w tej czy innej dziedzinie. Ludmiła na szczęście była rozumna, gdyż powiedziała:

– No to idź, inkwizytorze. I nie zawieź mnie.

Uśmiechnąłem się w duchu, bo pomyślałem, że gdybym zginął w tym tunelu w jakimś parszywym wypadku, to Ludmiłę naprawdę trafiłby szlag. Dopiero co zapłaciła ogromną cenę za dziewczynę dla mnie, a oto okazałoby się, że owa dziewczyna jest całkowicie czy w dużej mierze bezużyteczna. No ale nie zamierzałem umierać w tak kompletnie nierozumny i wręcz

groteskowy sposób. Wyobrażacie sobie, mili moi, historię o inkwizytorze, który dokonał żywota w przejściu pomiędzy murami drewnianej, gnijącej ruskiej twierdzy? Przecież ludzie słuchający podobnej opowieści w karczmach czy na jarmarkach wpadaliby pod stoły ze śmiechu...

Komin był naprawdę wąski. Przesuwałem się w nim ostrożnie, jednak bez szczególnego trudu, natomiast wyobrażałem sobie, że dla mocniej zbudowanego ode mnie Dymitra musiało to być bardziej niewygodne. Jedyne, co mogłem zrobić, to w migotliwym żółtym blasku lampy spoglądać na ścianki korytarza, czy nie umieszczono w nich pułapki. Szczerze mówiąc, byłbym zdumiony, gdyby się okazało, że ktoś wpadł na podobny pomysł w tak małym pomieszczeniu, w którym w dodatku należałoby poruszać się szybko i w zdenerwowaniu (bo jeśli człowiek musi korzystać z tajnej drogi ucieczki, to należy zakładać, że jego sytuacja życiowa potoczyła się w sposób właśnie denerwujący). Badałem ostrożnie szczelbę stopą przed oparciem się na nich ciężarem ciała, bo akurat prostą pułapkę polegającą na obluzowaniu jednego czy kilku szczelbli mogłem sobie wyobrazić. Pytanie, na ile taka pułapka byłaby w ogóle skuteczna w wąskim przejściu, gdzie zręczny człowiek poradziłby sobie z opuszczeniem ciała, nawet nie korzystając z wbudowanej drabiny.

Jeśli spojrzeć by na konstrukcję budynku, to znajdowałem się w załomie pomiędzy krawędziami dwóch ścian. Szpary pomiędzy belkami zostały szczelnie zatkanie i zasmołowane, więc nie było nawet żadnej szczeliny pomiędzy nimi, by zerknąć i przekonać się, gdzie dokładnie jestem. Dlatego tylko liczenie szczelbli pozwoliło mi mniej więcej zorientować się, że miałem rację, przedstawiając księżnej swoje podejrzenia. Komin schodził jakieś dziesięć stóp poniżej poziomu dziedzińca i zamieniał się w poziomy korytarz. Korytarz ów, jak od razu zauważyłem, był nachylony w dół. Bardzo słusznie, bo przy tych deszczach i tej

wilgoci tajne przejście w innym wypadku szybko wypełniłoby się wodą lub błotem. A tak istniała szansa, że wszystko spłynie. Poza tym chodnik, chociaż wąski i niski, był naprawdę solidnie wykonany. Na ziemi ułożono płaskie kamienie, a ściany i sufit wzmocniono okutymi belkami i podparto solidnymi stemplami. Gdyby korytarz nie był tak wąski, to przypominałby zapewne jakąś prymitywną kopalnianą sztolnię. Widać, że czy to Dymitr, czy nowogrodzcy budowniczowie zadbali, by w razie nieszczęścia książę nie wpadł z deszczu pod rynnę i zamiast zginąć od mieczy wrogów, nie stracił życia w zawalonym podziemnym przejściu. Podobna ostrożność bardzo mnie cieszyła, bo i ja przecież życzyłem sobie stąd bezpiecznie i jak najszybciej wyjść.

Szedłem naprawdę powoli, krok po kroku, bacznie przyglądając się posadzce, sufitowi i ścianom, oglądając stemple oraz belki. Nic nie budziło moich podejrzeń, ale oczywiście wiedziałem, że nawet jeśli skonstruowano tu coś niebezpiecznego, to właśnie w taki sposób, by podejrzeń nie budziło. Korytarz cały czas łagodnie się obniżał i nagle w migotliwym świetle dostrzegłem, że kończy się uskokiem.

– I co, mam teraz skoczyć w ciemność? – mruknąłem do siebie.

Bardzo ostrożnie, trzymając się tuż przy ścianie, zbliżyłem się na sam skraj chodnika. Wyciągnąłem przed siebie, najdalej jak potrafiłem, dłoń trzymającą lampę, ale i tak niewiele zobaczyłem. Ale za to coś usłyszałem. Szum wody. A więc na dole znajdowała się podziemna struga, czy też podziemny strumień, który prawdopodobnie gdzieś wypływał i następnie łączył się z rzeką Peczorą, niedaleko której stała forteca (dla ułatwienia chyba i z braku rozumu pozwalającego zapamiętać wiele różnych nazw dla wielu różnych miejsc Rusini zarówno fortecę, osadę, rzekę, jak i całe księstwo nazywali jednym mianem: Peczora). Uklęknąłem i zobaczyłem, że w ścianę prowadzącą w stronę podziemnej rzeki wbite są żelazne klamry. Ot, akurat



takiej szerokości, by postawić na nich stopę. No dobrze, skoro powiedziało się „sto”, trzeba dopowiedzieć „s”, pomyślałem i zacząłem schodzić, modląc się, by haki były naprawdę dobrze umocowane. Bo kąpiel w lodowatej podziemnej rzece, której ujście w dodatku nie wiadomo gdzie się znajdowało, była naprawdę ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem w ten wilgotny i zimny poranek.

Zgodnie z zasadami sztuki ucieczkowej, przynajmniej na ile ją znałem, nie tyle z praktyki, ile z jarmarcznej literatury, po zejściu powinienem trafić na wąski brzeg, a na owym wąskim brzegu powinna czekać przycumowana łódka. I tak właśnie się stało. Łódka była nasmołowana, zabezpieczona skórą, w jej środku leżały, również zawinięte w skóry, dwa wiosła w dobrym stanie. A więc narzędzia ucieczki przygotowano. Oczywiście wydostanie się z fortecy stanowiło dopiero pierwszy etap prowadzący do ocalenia życia. Czy książę Dymitr miał opracowany plan kolejnych działań? To na razie ani mnie nie obchodziło, ani nie zamierzałem tego sprawdzać.

Zastanawiałem się, czy nie użyć łódki i nie wrócić dookoła przez peczorską bramę, ale byłoby to dość ryzykowne, gdyż nie miałem przecież wiedzy, w którym miejscu wypływa podziemny strumień. No i zaraz też przypomniałem sobie, iż Andrzej w imieniu księżnej zakazał mi opuszczania fortecy i pewnie niedobrze by się stało, gdybym taki rozkaz zlekceważył. Co gorsza, zapewne wywołałbym zaciekawienie i zadawano by sobie pytanie, jak to się stało, że nikt nie widział mnie wychodzącego za mury, a nagle przychodzę spoza nich. Jeśli oczywiście kogokolwiek by to obeszło, bo czasem miałem wrażenie, że większość Rusinów zainteresowana jest tylko tym, by nażreć się, napić i resztę dnia spędzić, dłubiąc patykiem w zębach. Mogło się wydawać dziwne, że w ogóle udało się zbudować jakiegokolwiek państwo z takimi obywatelami, gdyby nie to, że książęta i bojarzy znaleźli sposób, by swoich poddanych

motywować do pracy. Sposobem tym był „bat”, zmieniany czasami na „jeszcze więcej bata”. Może nie była to metoda finezyjna, ale jak widać, całkiem skuteczna, gdyż Ruś nie tylko się rozrastała, ale wcale śmiało przeciwstawiała się Mongołom.

Tak więc przeszedłem z powrotem chodnikiem, wdrapałem się na górę kominem pomiędzy ścianami i znowu wylądowałem w pokoju księżnej. Można powiedzieć, że odbyłem dzięki tej magicznej wręcz szafie podróż do podziemnej krainy, z której istnienia nikt nie zdawał sobie nawet sprawy. Niestety, na śmiałego wędrowca nie czekały tam ani skarby, ani sława, ani królewska korona (chyba że za skarb uznać życie, jakie można uratować dzięki owej podróży). Wygrzebałem się z wnętrza i zobaczyłem, że Ludmiła siedzi na łóżku. Rozpromieniła się, kiedy zobaczyła, że wracam i że wracam nietknięty.

– Opowiadaj! – zawołała.

Podszedłem blisko niej.

– Przejście prowadzi do podziemnego korytarza, a stamtąd do podziemnej rzeki – wyjaśniłem cicho, na wypadek gdyby, czego byłem niemal pewien, ktoś podsłuchiwał pod drzwiami. Wprawdzie rozmawialiśmy z księżną po łacinie, ale przezorności nigdy za wiele. – Znalazłem przycumowaną na brzegu łódkę. Obejrzałem ją tylko, jest nawet nieszczęśliwie ruszona zębem czasu, ale Wasza Książęca Mość wybaczy, nie popłynąłem nią, gdyż nurt jest dość silny i nie byłem w stanie stwierdzić, czy dałbym radę wrócić tą samą drogą, a nie chciałem wzbudzić niczyjej ciekawości.

– Słusznie – pochwaliła mnie.

– Prawdopodobieństwo, że ktoś przejdzie od wyjścia do wejścia, jest niewielkie, ale z całą pewnością istnieje. Za pozwoleniem Waszej Książęcej Mości mógłbym przygotować zabezpieczenie, aby to sekretne przejście mogło zostać wykorzystane tylko do wyjścia z twierdzy, a nie do wejścia do niej.

– Słusznie – rzekła znowu księżna.

– Najusilniej proszę o wybaczenie, Wasza Książęca Mość, ale ośmielię się zasugerować, by Wasza Wysokość nie wspominała nikomu o tej przygodzie.

Spojrzała na mnie i ściągnęła usta. Nie wiedziałem, czy zastanawia się nad moimi słowami, czy jest to wyraz niezadowolenia, iż moje rady poszły zbyt daleko. W końcu władcy sami wiedzą najlepiej, co wypada im czynić, czyż nie?

– Dobrze, że już jesteś – powiedziała po chwili. – Bo przyniesiono mi śniadanie, ale krzyknęłam, że jestem zajęta. Już ja wiem, co oni sobie wyobrażają, jakie to było zajęcie. – Parsknęła śmiechem i nagle jej twarz pod wpływem tego naturalnego, szczerego śmiechu złagodniała i odmłodziła.

Zsunęła z palca złoty pierścień, w którym kamienie ułożono tak, by przypominały kwiat o trzech płatkach. Płatki były z szafirów, a łodyga ze szmaragdów. Klejnot był tak misternie wyczelowany, iż nie wierzyłem, by pochodził z Rusi.

– Masz – powiedziała. – Żebyś wiedział, że doceniam dobrą służbę. – A potem znowu się roześmiała. – Już sobie wyobrażam, że kiedy zobaczą go na twoim palcu, to będą pewni, za jakież to rodzaj służby go dostałeś...

– Pokornie dziękuję Waszej Książęcej Mości – odparłem i nałożyłem klejnot na mały palec. – Pierścień jest prawdziwie piękny, ale najpiękniejsza jest dla mnie myśl, że przysłużyłem się waszemu, pani, bezpieczeństwu.

Pogłaskała mnie po twarzy.

– Uważaj, uważaj, bo jeszcze wyrośnie z ciebie zręczny i gładki dworak – rzekła. – A ty masz być ostry i groźny jak moje psy. No dobrze, idź już do swojej Nataszy i zabierz się za nią, jak należy. – Machinalnie ścisnęła jedną dłoń drugą dłoń, aż chrupnęły jej kości. – Potem opowiesz mi o wszystkim. – Tym razem spojrzała na mnie wzrokiem już ani żartobliwym, ani łagodnym. – I lepiej, aby było co opowiadać – dodała.



Kiedy wychodziłem od Ludmiły, dworki wgapiały się we mnie co najmniej tak, jakbym miał rogi, ogon i stukał po podłodze kopytami. Nic nie mówiły, nie drgnęły nawet, tylko czułem na plecach ich natrętne spojrzenia. No cóż, zdaje się, że będę musiał przywyknąć do tego, iż w Peczorze wiele osób właśnie tak będzie na mnie teraz spoglądało. Po drodze do tej części twierdzy, w której znajdowała się kwatery Nataszy, spotkałem Andrzeja. Siedział na parapecie i wyraźnie czekał na mnie.

– No, no, Peczora aż huczy od plotek! – zawołał na mój widok. Przysiadłem obok niego.

– Całkiem niesłusznie – westchnąłem.

Zerknął na szafirowo-szmaragdowy pierścień na moim palcu.

– Piękny klejnocik – zauważył.

– Darujcie sobie insynuacje albo złośliwości – powiedziałem. – Ani mi w głowie zdobywanie podobnych zasług, a co ważne, ani to w głowie waszej księżnej. Muszę wam jednak zdradzić tajemnicę – dodałem głosem obniżonym, ponurym i tajemniczym. – Ktoś snuł mroczne zaklęcia, czułem magię płynącą od źródła jakiegoś pradawnego zła. W związku z tym musiałem roztoczyć wokół księżnej kokon przenajświętszej inkwizytorskiej mocy.

– Jezu Boże! – Wykonał szybko znak krzyża i zgniótł go w pięści.

– Ano widzicie, tak właśnie sprawy się mają – westchnąłem, mając nadzieję, że było to szczere westchnięcie.

Przeżegnał się raz jeszcze i zaszeptał coś szybko po rusku, wznosząc oczy do powały. Potem potrząsnął głową.

– Daj Boże, że wy i Natasza coś pomożecie – powiedział z wielką nadzieją. – Że coś ujrzycie, że coś... – zamachał dłońmi – że coś się stanie dobrego – dokończył.

Najlepsze by było, gdyby wszystkich was święta ziemia

pochłonęła, a ja żebym mógł wrócić do domu, pomyślałem, ale rzecz jasna, nie powiedziałem na głos niczego podobnego. Inkwizytorzy muszą mieć ogromną zdolność dostosowywania się do warunków, w których przychodzi im żyć, gdyż tylko wtedy możemy skutecznie przysługiwać się naszej świętej wierze. Oczywiście mógłbym przysparzać chwały Panu zarówno na afrykańskiej pustyni, jak i na Islandii skutej w lodzie i w zastygłej lawie. Ale nie ma co ukrywać, że w jednych miejscach służyło się wygodniej, a w innych o wygodzie nie było nawet mowy.

– I co teraz? – zagadnął.

– Teraz? Idę do Nataszy.

– A co?

– A jak myślicie, a co... – mruknąłem.

– Ach, te sprawy... – Chyba bezwiednie zakręcił młynka palcami.

– Takie jest polecenie księżnej – rzekłem. – Tylko, z łaski swojej, nie opowiadajcie o tym na prawo i lewo, bo nie chcę mieć widowni pod drzwiami.

Zaśmiał się.

– I tak będziecie mieli! No co wy, świata nie znacie?

Prawdopodobnie miał rację. Odwiedziny inkwizytora u dziewczyny wychowanej przez wiedźmę i przygotowywanej do usług wołchom musiały być dla znudzonych dworzan i służących prawdziwym wydarzeniem. Oczywiście mogli się bać Nataszy, nawet wręcz mogli się jej panicznie bać, ale przecież nie przeszkadzałoby im to w staniu przed wejściem do jej komnat lub w przytykaniu uszu do ścian. A może nawet strach przed tym, że Natasza otworzy nagle drzwi i ich zobaczy, budził obok prawdziwej trwogi również rozkoszny dreszczyk emocji?

– No to bywajcie na razie. – Skinąłem mu głową.

– Cóż wam mogę życzyć? – Uśmiechnął się. – Bawcie się dobrze.

Ano spróbuję, pomyślałem. Postaram się nie myśleć, że jest to

szczególna i wyjątkowa dziewczyna, do obcowania z którą zmuszają mnie, by uzyskać od nas sprowadzone za pomocą magii informacje. Postaram się traktować ją jak zwyczajną młodą i ładną kobietę, z którą połączyły mnie zarówno los, jak i zapał.

Na korytarzu po drodze do kwatery Nataszy nikogo nie spotkałem, ale byłem pewien, że służący doskonale wiedzą, kto i w którą stronę idzie. Obawiałem się, niestety, że wiedzą również, w jakim celu idzie. Dotarłem do drzwi i zastukałem. Raz, potem drugi i trzeci. Zacząłem się już niepokoić, ale wtedy szcęknął skobel. Natasza stała w progu w zapiętej pod szyję czarnej sukni, sięgającej aż na posadzkę. Suknia była utkana z grubego materiału i miała kremowy pas oraz kremowy kołnierz. Natasza wyglądała w niej jeszcze delikatniej i drobniej, ale co dziwne, również w jakiś sposób dostojnie.

– Spałeś dziś u Ludmiły – powiedziała chłodnym tonem, nawet nie siląc się na uprzejmość.

– O, jak szybko rozchodzą się wieści po zamku – odparłem z udanym podziwem. – Wszyscy już o tym gadają?

Skinęła głową, cały czas uważnie mi się przyglądając.

– Czy mogę wejść, Nataszka, czy będziemy rozmawiać na progu?

Odsunęła się na bok i przepuściła mnie. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Natasza siedziała na łóżku sztywno wyprostowana i przyglądała mi się nieszczerze przychylnie.

– Ostrzegłeś ją o robakach?

– Nie było potrzeby, Nataszka. Ja jej tylko pilnowałem. Przez całą noc siedziałem na krześle.

– Hm.

– Nie oszukałbym cię, gdyby było inaczej – zapewniłem.

– Nie oszukałbyś mnie? – zapytała i zmrużyła oczy. – Wiedząc, że prawda mnie zrani?

– A czy kłamstwo nie zraniłoby cię jeszcze bardziej?

Westchnęła.

– Może jestem głupia, ale naprawdę ci wierzę – przyznała.

– Muszę ci jednak koniecznie opowiedzieć o czymś innym...

Zbliżyłem się do niej, objąłem ją i przytuliłem usta do jej ucha. Pochyliła się w moją stronę w miękki i naturalny sposób.

– Znalazłem tajne przejście w komnacie księżnej – zaszeptalem. – Nikt o nim nie wie. Tylko Ludmiła, ja i teraz ty.

– Och! – Odsunęła się i spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

– Prawdziwa tajemnica! Chcę je zobaczyć!

Wcześniej sam myślałem, by pokazać Nataszy ukryte drzwi oraz przeprowadzić ją przejściem aż za same mury. Kto wie, może będzie to w jakiś sposób przydatne dla jej wizji, może ten widok pozwoli jej sięgnąć w przeszłość i zobaczyć, kto korzystał z sekretnego pasażu, lub sięgnąć w przyszłość i dojrzeć, kto będzie nim kiedyś przechodził.

– Zapytam księżnej, czy zezwoli na to, ale sądzę, że uzna, iż możesz się przydać.

– Na pewno uzna – odparła.

– Wiesz co, Nataszka... – Odsunąłem się na kilka cali. – Muszę ci coś powiedzieć...

Byłem nadspodziewanie i nieoczekiwanie zakłopotany, kiedy patrzyłem na tę młodą, tak niewinnie wyglądającą i rozświetloną wewnętrznym urokiem dziewczynę. Oczywiście inkwizytorzy doskonale wiedzą, jak złudne jest zwracanie uwagi na zewnętrzne pozory, i dlatego przecież powtarzamy zawsze: „Na osobę względu nie będziesz miał żadnego”, co zarówno oznacza, iż nikt nie może się cieszyć szczególnymi przywilejami w oczach Świętego Officjum, jak i to, aby nie nabierać o ludziach dobrego czy złego wyobrażenia li tylko pod wpływem ich wyglądu. Niemniej, tak czy inaczej, pierwszy raz znalazłem się w sytuacji, kiedy siła inna niż moja własna nieprzymuszona wola pchnęła mnie w stronę jakiejś kobiety i nakazała: oto z nią oddasz się cielesnemu pożyciu i nic w tej mierze nie masz do gadania.

– Księżna życzy sobie... – spojrzałem na nią i westchnąłem – żebyśmy zaczęli ze sobą obcować. Powiedziałbym nawet, że życzy sobie tego bardzo stanowczo – dodałem.

– Po to tu przecież jestem – odparła po chwili.

Wzięłem ją za rękę.

– Jeśli nie jesteś jeszcze całkiem gotowa, jeśli nie chcesz, zawsze mogę opowiedzieć księżnej, że nic nie zobaczyłem albo że wszystko było zamazane, albo...

– Miły mój – przerwała, kładąc mi palce na ustach – całe życie wiedziałam i rozumiałam, że moim powołaniem i obowiązkiem będzie oddawanie się jakiemuś staremu, śmierdzącemu dziadydze. Jakiemuś capowi, który będzie traktował mnie niczym przedmiot albo zwierzę – prychnęła. – A Bóg chciał, że dostałam ciebie. Młodego, ładnego i uprzejmego chłopca. – Nagle uśmiechnęła się promiennie. – Jak sądzisz, czy bardzo żałuję, iż sprawy nie potoczyły się tak, jak zawsze myślałam, że się potoczą?

Szczerze przyznam, że nie myślałem do tej pory od tej właśnie strony o naszych wzajemnych sprawach, czy raczej o sprawach, które miały nas połączyć. Ale przede wszystkim w słowach Nataszy usłyszałem szczerą. Może była zakłopotana, może była przejęta czekającą ją rolą, ale na pewno nie była ani smutna, ani zagniewana.

– Wierz mi, że bardzo się cieszę – powiedziałem z ulgą i przysunąłem usta do jej ust.

Pocałowała mnie całkiem nawet zgrabnie, a potem zarzuciła mi ramiona na szyję.

– Wiesz, ta suknia... – szepnęła mi w ucho.

– Tak?

– Ma mnóstwo haftek...

– Spróbuję sobie z tym poradzić – obiecałem.





Cóż mogę wam opowiedzieć o miłości z Nataszą, mili moi? Mógłbym opowiedzieć wszystko, ale tak naprawdę nie chcę ani nie życzę sobie opowiadać niczego silącego się na wulgarną dosłowność. W życiu człowieka pojawiają się bowiem takie rzeczy, które muszą w jego sercu, umyśle oraz duszy dojrzeć niczym dobre wino, zanim zostaną kiedyś rozlane do kielichów oraz podane. Pozostańmy przy tym, że ten dzień był niezwykle niczym zielony zachód słońca lub niczym pomarańczowe morskie bałwany. Był cudowny niczym statki dostojnie płynące po niebie pod rozwiniętymi żaglami, a czasami również przerażający niczym pełne błyskawic powietrzne trąby hulające nad opustoszałą planetą. Ten dzień niósł urok i cudowność czystej, radosnej fizyczności, ale owiewał też rozum tchnieniem trudnej do zgłębienia mistycznej tajemnicy. Ten dzień połączył nasze ciała, ale dzięki temu dniowi zawarliśmy również przymierze dusz. Wiedziałem o tym i wiedziała o tym Natasza. Czytałem to w jej oczach, które lśniły niczym gwiazdy czy niczym brylanty, za jakkolwiek trywialne uznać by to porównanie. Tak jednak właśnie było... A poza tym, co połączyło nas jako dwoje ludzi, oboje wiedzieliśmy również, że znaleźliśmy się na progu tajemnicy. Czy raczej: Prawdziwej Tajemnicy. Tego sekretu, z racji którego zdecydowano się nas zjednoczyć. Wiedzieliśmy, że staliśmy się narzędziami, które posłużą do zdarcia magicznych zasłon. Narzędziami zmieniającymi świat, ten jego niewielki wycinek, zmieniającymi go tu i teraz. Zmieniającymi jednak na zawsze, a razem z nim i siebie. Czy na dobre, czy na złe? Czy na zbawienie, czy na potępienie? To jeszcze zobaczymy. I być może, jak to aż zbyt często bywa w ludzkim życiu, odpowiedź wcale nie będzie jednoznaczna...



Natasza oderwała się ode mnie naga, mokra, z potarganymi

włosami i oczami, które były dalej tak samo wielkie i błyszczące jak jeszcze przed chwilą. Ale teraz widać było, że wróciła już do naszego świata, a jej wzrok błędził po mnie i po pokoju, a nie po wytworach rozszalałej wyobraźni.

– O mój Boże! – Oparła się o ścianę, biorąc głęboki wdech. – Bardzo się darłam?

Skinąłem głową.

– Bardzo – odpowiedziałem z uśmiechem. – Ale po rusku, więc nie rozumiałem...

– O mój Boże – powtórzyła. – Nie wiedziałam, że to tak jest...

Cóż, gwoli prawdy ja też nie wiedziałem, że to tak jest. Obcowanie z Nataszą było nie tylko ekscytującym aktem miłosnym z bardzo ładnym, bardzo zgrabnym i bardzo uroklivym dziewczęciem, rozplómiowanym w dodatku miłosną pasją. Było również aktem mistycznym, a mówiąc ściślej, aktem magicznym. Czuję tę magię, która nas otaczała w czasie miłosnych poczynań, i przecież niezwykle, przerażające wizje, których zaznałem, były właśnie jej manifestacją. Jaka to była magia? Czy pochodziła z piekielnych otchłani? Cóż, my, inkwizytorzy, twierdzimy, że interesuje nas skuteczność działania. Jeśli broń przeciwnika może posłużyć nam do naszych własnych celów, to użyjemy tej broni. Chętnie czy mniej chętnie, ale będziemy próbowali wykorzystać wszystko, by zwyciężyć. Wizje, jakie pojawiły się przed moimi oczami, mogły nas poprowadzić do zwycięstwa i to przede wszystkim się liczyło.

Ująłem dłoń Nataszy, a ona przechyliła się i wpadła w moje objęcia, tak jakby nie było to lekkie dotknięcie, ale silne szarpnięcie. Objęła mnie za szyję.

– Często będziemy to robić? – zapytała, patrząc mi w oczy. Nadal były wielkie i błyszczące.

– A jak byś chciała?

– Ciągle – odparła, potem przewróciła oczami. – No, może ciągle to nie, bo nie wytrzymałabym... – Spojrzała w stronę okna.

– Patrz, słońce zaraz będzie zachodzić.

Powiodłem w ślad za jej wzrokiem.

– Rzeczywiście – odparłem ze zdziwieniem, gdyż nie przypuszczałem, że zrobiło się aż tak późno. Zawiodło mnie poczucie czasu, a to nie zdarzało mi się niemal nigdy.

– Chcę wyjść na spacer – zdecydowała nagle.

– Teraz? – zdziwiłem się.

– Właśnie teraz. – Uśmiechnęła się radośnie. – Przy świetle zachodzącego słońca. Będziemy oglądać zachód słońca i trzymać się za ręce. A potem wrócimy przy blasku księżyca i gwiazd.

Zastanawiałem się, skąd pochodzi ta sentymentalna wizja wspólnie spędzanego czasu. Z rozmów z innymi dziewczętami u czarownicy? Z opowieści samej więdźmy? Z ksiązek, które im dawała do czytania, jeśli w ogóle jakieś im dawała?

– Nataszka, czy ty umiesz czytać?

– Oczywiście, że umiem czytać – obruszyła się. – Mateczka uczyła nas wszystkiego, co potrzebne.

A to, swoją drogą, było interesujące. Do czego dziewczynie mającej przeżywać mistyczne uniesienia w czasie uprawiania fizycznej miłości miałyby się przydać umiejętność pisania i czytania?

Zręcznym ruchem wskoczyła mi na kolana i objęła mnie udami w biodrach.

– A później będziemy szaleć do samego wschodu słońca! – dokończyła wizję naszej najbliższej przyszłości.

Kiedy spoglądałem na jej radosną twarz i na jej idealnie wyrzeźbione ciało, kiedy czułem jej ciepło i jej zapach, to pomyślałem, że może nie trzeba wcale czekać do nocy...

– O nie! – krzyknęła i roześmiała się. – Czuję, co tu się wyprawia, i nie zgadzam się! Najpierw spacer!

Pocałowała mnie w usta.

– Apetyt będzie większy, kiedy głód troszeczkę cię przyciśnie – zaszeptała mi do ucha. – Nie martw się, będziesz mnie miał

zawsze, kiedy będziesz chciał i jak będziesz chciał. – Potem oderwała się ode mnie i spojrzała figlarnym wzrokiem. – Oczywiście i ty masz być gotowy na niestrudzoną służbę dla Nataszy – stwierdziła teatralnie poważnym głosem.

– Oczywiście – odparłem tak samo poważnym tonem.

Ubraliśmy się oboje, a Natasza niedbale skręciła włosy, spięła je na czubku głowy i schowała pod czapkę. Ale ciekawe, że teraz w tej czapce zasłaniającej długie loki i w obszernym płaszczu skrywającym kształty nadal wyglądała jak ładna dziewczyna, a nie jak chłopak o delikatnym obliczu. Było w jej oczach, w jej ustach, w rysach twarzy coś, co mówiło każdemu patrzącemu, że bez wątplenia mamy do czynienia z kobietą.

Wyszliśmy na korytarz i idąc w stronę wyjścia, ani razu nie spotkaliśmy żadnego ze służących ani dworzan. Było to o tyle zastanawiające, iż zwykle od służby roило się wszędzie, powiedziałbym nawet, że ich ciągła i wszechobecna aktywność była mocno denerwująca. Zwłaszcza że w większości wypadków miałem wrażenie, iż nie robią niczego użytecznego, tylko po prostu snują się, udając zajmowanie się ważnymi sprawami. No ale kwestia obserwowania i dyscyplinowania czeladzi nie była na szczęście moim zmartwieniem.

– Mateczka mówiła, że tak będzie – powiedziała Natasza niby obojętnym tonem, ale chyba było jej przykro.

– Że wszyscy będą się ciebie bali?

Skinęła głową.

– Nie tylko nie będę miała przyjaciół, ale nawet nikt nie będzie chciał ze mną porozmawiać – rzekła, po czym przytuliła się do mojego boku. – Dobrze, że ty ze mną jesteś...

Wyszliśmy na dziedziniec, tam oczywiście dostrzegliśmy służących, gdyż wielu miało zajęcia, których nie mogli porzucić, ale widziałem, jak rozchodzą się po kątach, niszach lub chowają za drzwiami.

– Może pojedziemy konno? – spytałem.

Zastanawiała się chwilę, potem pokręciła głową.

– Lepiej chodźmy – zdecydowała.

Wrota twierdzy były otwarte, a krata podniesiona, więc nikogo nie musieliśmy prosić, by nas wypuścił na zewnątrz, na teren podgrodzia. Peczerskie podgrodzie było miejscami ściśle przytulone do fortecy, a miejscami wychodziło daleko poza mury. Mieszkali tam wszyscy, którzy byli potrzebni w utrzymaniu samej twierdzy, ale również znajdowały się warsztaty rzemieślników (czy raczej patrząc na jakość ich wyrobów, powiedziałbym: partaczy, gdyż z kunsztem cesarskich mistrzów rzemiosła niewiele ich produkty miały wspólnego). Na podgrodziu stały również domy mieszkalne, nawet całkiem przyzwoicie wybudowane, ale ponieważ lasów z pięknymi drzewami było w okolicy pod dostatkiem, więc i budulec znajdowano pierwszorzędną. Były sklepy, były szynki, były nawet dwa zamtuzy pełne dziewczek podobnych do zaniedbanych prosiaków, dużo dalej stała nawet garbarnia, z której smród wiatr przywiewał do samej fortecy. Wzniesiono także browar, gdzie warzono obrzydliwy w smaku i zapachu napój, który Rusini z niewiadomych przyczyn nazywali piwem. Warzono go zresztą głównie z czarnego żyta, co prawowiernemu chrześcijaninowi już powinno starczyć, by trzymać się od niego z daleka. W naszym błogosławionym Cesarstwie zakazano bowiem siejby tego diablego zboża, a tutaj, na zimnej Rusi, wiele znajdowało się miejsc, gdzie było ono główną uprawą. Wysiewano je z racji tego, że przetrzymywało niemal każdą pogodę i wyrastało na niemal każdej glebie. I nikomu nie przeszkadzało, że była to przeklęta roślina zsyłająca niekiedy na ludzi szaleństwo oraz śmierć.

Przez całe podgrodzie aż do bramy prowadziła bita droga. No cóż, może „bita” i może „droga” nie do końca właściwie opisywały ten szlak, gdyż był to po prostu błotnisty pas ziemi rozjeżdżony kołami wozów, rozgnieciony końskimi kopytami

i stratowany setkami ludzkich stóp. Oczywiście nie ma chyba sensu nadmieniać, jak bardzo to wszystko śmierdziało. Niestety, tak złośliwie sprawy się ułożyły, że jako człowiek o czułym powonieniu powinienem zajmować się wążaniem kwiatów, perfum, balsamów, eterycznych olejków, co skutkowałoby przeżywaniem zapachowych misterii lub nawet aromatycznych orgii. A tymczasem jako inkwizytor miałem do czynienia z najgorszymi odorami, miazmatami i smrodami, jakie wymyślić mogła machina ludzkiego ciała. Dźwigałem z pokorą ten krzyż, ale nie zamierzałem udawać, że go nie dostrzegam.

Nataszy też nie podobał się otaczający nas smród, bo w pewnym momencie przysłoniła twarz rękawem.

– A mówiłem, żeby wziąć konia? – mruknąłem. – Szybciej byśmy dojechali w miłe miejsce, gdzie moglibyśmy się trzymać za ręce i spoglądać w stronę zachodzącego słońca...

– Oj, wiem, że jesteś mądrzejszy – powiedziała. – I wiem, że miałeś rację. Ale skoro tak, to czemu nie potrafiłeś tej racji bronić? – Zerknęła na mnie przekornie.

– Może chciałem, żebyś sama się przekonała? Zobacz, sukienkę masz całą w błocie...

Zerknęła na dół sukni i westchnęła.

– Widziałam na obrazkach pałacowe sale, w których tańczono. – Uśmiechnęła się. – Były tam piękne kobiety w takich cudownych sukniach, że nie wiedziałam nawet, że takie suknie mogą istnieć. – Jej spojrzenie rozjarzyło się.

– Nieważne, ile piękności by zebrano w balowej komnacie, ty byłabyś wśród nich najpiękniejsza – stwierdziłem.

Pocałowała mnie prosto w usta.

– Ale sukienki nie mam – powiedziała.

– Może porozmawiam z jakimś kupcem z Nowogrodu? Muszę wysłać meldunek do Świętego Officjum, więc mogę też skłonić kupca, by przywiózł dla ciebie piękny strój.

– Naprawdę? – ucieszyła się i klasnęła.

Nagle dostrzeżliśmy Andrzeja i on również zobaczył nas, bo cofnął się i najwyraźniej chciał dać dyla.

– Chodźcie, chodźcie! – zawołałem pospiesznie.

– Chodź do nas! – zawtórowała mi Natasza i ścisnęła mnie porozumiewawczo za rękę.

Chcąc nie chcąc, przydreptał w naszą stronę.

– Za przeproszeniem, ale nie powinno was tu być – odezwał się niechętnym tonem. – Mówiłem wam wyraźnie, że księżna zabrania.

– To ja nalegałam – stwierdziła Natasza stanowczo.

– To w takim razie zupełnie co innego! – zawołał szybko dworzanin i zasłonił się rękami, jakby przed ciosem. – Oczywiście możecie robić, co tylko sobie życzycie.

– A wy co, na spacer żeście się wybrali?

– Księżna kazała mi sprawdzić skazańców.

– Jakich znowu skazańców?

– Chcecie obejrzeć?

Zerknąłem na Nataszę, gdyż nie wiedziałem, czy oglądanie skazańców nie kłóci się u niej z wizją sentymentalnego wieczoru we dwoje, ale najwyraźniej się nie kłóciło, gdyż skinęła głową.

– Czemu nie – odparła.

Podeszliśmy w stronę, w którą poprowadził nas Andrzej, by zobaczyć znudzonego żołnierza siedzącego na grubym zwalonym pniu. Żołnierz monotonnym ruchem kołysał się to w przód, to w tył. W odległości może dwudziestu kroków od niego wystawały z ziemi trzy ustawione w rzędzie głowy. Głowy najwyraźniej żyły, bo jedna mrugała, druga jęczała boleśnie, a trzecia gadała coś wściekłym tonem, co pomimo iż nie rozumiałem języka, brzmiało mi na przekleństwa. Dwie głowy były czarnobrode i czarnowłose, a ta jęcząca głowa była całkiem siwa. Cóż, karę zakopywania żywcem w ziemi stosowano również w Cesarstwie, może nie często, ale zdarzało się. Pamiętałem z czasów buntu Hakenkreuza, że bohater tej wojny

Ludwik Bastard kazał właśnie tak karać pojmanych buntowników. Tylko jeśli dobrze sobie przypominałem, to tam od razu zlatywały się do nich ptaki i żywcem wydziobywały im oczy. Tu ptaków nie było. Może odstraszały je przekleństwa jednego ze skazanych, a może sama obecność strażnika? Może właśnie ten strażnik miał odpędzać dzikie zwierzęta?

– Za co ich ukarano? – zapytałem Andrzeja.

– Tych? Nie płacili podatków.

– I to ma ich niby skłonić do płacenia?

– Nie – roześmiał się Andrzej serdecznie. – To ma przekonać innych, by jednak płacili. – Potem spowaźniał. – Powiem wam, jak sprawy się mają, żebyście dokładnie wiedzieli. Każdy, kto chce na Rusi handlować skórami lub futrami, musi mieć książęce zezwolenie. A takie zezwolenie całkiem sporo kosztuje. I każdy musi również płacić podatki. Połowa zysku jest dla księcia, druga połowa zostaje już dla kupca. To uczciwy układ, nie sądzicie?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie znam się na kupcach i podatkach. My, inkwizytorzy, płacimy podatek z całego naszego życia. Ale płacimy go Bogu, nie ludziom.

Andrzej zerknął na mnie szybko, po czym zakasłał.

– No tak, tutaj jednak trzeba płacić złotem – rzekł. – Czasem jednak niektórzy obwiesie próbują być sprytniejsi od książęcych poborców, sprytniejsi od książęcych nadzorców i sprytniejsi od książęcych żołnierzy. – Uśmiechnął się szeroko. – Myślą, że lepiej zaryzykować i zrobić majątek dwa razy szybciej.

Spojrzałem na twarz pierwszego mężczyzny. Spacerowały po niej mrówki, a on mrugał oczami, sądząc widocznie, że je w ten sposób odpędzi.

– I rolą księcia jest pokazać, że nie, że tak wcale nie jest lepiej – poddałem.

Andrzej skinął głową.

– Właśnie – rzekł. – Nikomu nie wolno tym ludziom w żaden



sposób pomagać, ani ich poić, ani karmić. Ale nikomu też nie wolno im w żaden sposób zaszkodzić... Tego, by wszystko odbyło się zgodnie z obyczajem, pilnuje żołnierz.

Żołnierz jakby zrozumiał, że o nim mowa, obrócił się w naszą stronę i wyszczerzył zęby w szczerbatym uśmiechu. Zamachał dłonią i cmoknął w stronę Nataszy, lecz wtedy Andrzej powiedział coś szybko i raczej wściekłym tonem po rusku, a żołnierz wówczas poderwał się na równe nogi i zaczął również mówić coś bardzo szybko, z opuszczoną głową i składając dłonie na piersiach. Natasza odezwała się tylko jednym słowem, a on wtedy pochylił się głęboko. Zobaczyłem wielką ulgę na jego twarzy.

– No właśnie – mruknął Andrzej. – O czym to ja...?

– Że nie wolno im w żaden sposób szkodzić.

Jak znałem obyczaje, to ów ostatni nakaz nie był bynajmniej przejawem łaskawości prawa czy litości panującego. Chodziło po prostu o to, by jakaś miłosierna lub przekupiona ręka nie skróciła cierpienia tych nieszczęśników.

– Ano tak. Niech sobie sami zdychają, kiedy im tam chęć wypadnie...

– A dzikie zwierzęta? – spytałem.

– On ma je odpędzać – wyjaśnił dworzanin, wskazując głową w stronę żołnierza, który stał teraz jak najdalej od nas i miał ciągle pochyloną głowę. Byłem pewien, że najchętniej zwiąłby gdzie pieprz rośnie, ale powstrzymywał go lęk przed gniewem Ludmiły. – Nie chcemy, żeby ich tu zeżarły psy czy dziki.

– A mrówki?

– Mrówki, komary, osy niech sobie tną, kiedy chcą – zaśmiał się Andrzej.

Cóż, jak widać, jeśli można skazanemu dostarczyć dodatkowego cierpienia, to prawo mówiło wtedy: a czemuż by nie?

– Nieprzyjemnie – skrzywiła się Natasza i wskazała ruchem

głowy na zakopanego mężczyznę. – Mrówki wejdą mu w oczy i je zjedzą. Nieprzyjemnie – powtórzyła, marszcząc nos.

Potem otrząsnęła się. Widziałem, że od kiedy zobaczyła tych trzech skazańców, to wyraźnie spochmurniała. Czyżby była tak delikatna? Kto wie? W końcu w chacie wiédźmy nie widziała, co na co dzień wyprawiają ludzie z innymi ludźmi, zwłaszcza kiedy chcą ich ukarać. Obywatele Cesarstwa byli do widoku śmierci i tortur przyzwyczajeni, szczególnie kiedy mieszkali w wielkim mieście. Bo przecież na wieść o interesującej egzekucji prowadzonej przez uzdolnionego kata na plac skazań potrafiły schodzić się tak wielkie tłumy, że nie starczało dla wszystkich miejsca. Sądzę, że gapie lubili w tym wypadku nie tylko rozrywkę, jaką zapewniało im cierpienie ofiar, ale również cenili sobie możliwość uczestnictwa w spektaklu wykonującej się sprawiedliwości. No i oczywiście miło było pomyśleć, że cierpi i umiera ktoś inny, a samemu jest się tak całkowicie bezpiecznym. I można było wtedy serdecznie westchnąć do Pana Boga w podziękowaniu za szczęsny los.

– Chodź, miły mój – powiedziała, odwracając wzrok od skazańców. – Pójdziemy nad rzekę.

– Jak sobie życzysz.

– Na Jezu Boga, błagam, uważajcie na siebie – niemal zaskomlił Andrzej. – Pamiętajcie, że nie każdy wie, kim jest Natasza. Ot, ten żołnierz grubo sobie zażartował, bo przecież, dureń jeden, nic jeszcze nie wiedział...

– Wrócimy bezpiecznie – stwierdziła Natasza.

Jej głos nie brzmiał wcale uspokajająco. To była chłodna i rzeczowa informacja co do zdarzenia, które na pewno będzie miało miejsce i co do którego zajścia nie istnieją żadne wątpliwości.

Kiedy rozstaliśmy się już z Andrzejem i odeszliśmy od skazańców, zagadnąłem:

– Nataszka, czy ty widzisz, co wydarzy się w przyszłości?

Przytuliła się do mojego ramienia.

– Czasami tak, czasami nie, a czasami sama nie wiem – przyznała, co nie do końca może było odpowiedzią, jakiej się spodziewałem, ale zawsze było jednak jakąś odpowiedzią.

Spojrzała jeszcze raz na wystające z ziemi głowy nieszczęśliwych skazańców i westchnęła.

– Szkoda ich trochę, co?

– My, inkwizytorzy, mawiamy, że nawet jeśli ktoś został skazany niesłusznie, to tym większe ma szanse, by w Królestwie Bożym odebrać wiekiową nagrodę za swoje cierpienie i męczeństwo.

– No tak. – Wzięła mnie za rękę i poszliśmy wolnym krokiem w stronę rzeki. – Ale w ogóle trochę szkoda, prawda?

– Nataszka, każdego człowieka szkoda, jeśli nie zrobił niczego bardzo złego – odparłem. – Tyle że jeśli księżę pozwoli, by raz go okradziono, to już wszyscy i ciągle będą go okradać. A od lekceważenia władcy do zamordowania go droga nie jest wcale taka długa... Im okrutniej ukarzesz kogoś za przestępstwo, tym lepiej zastanowi się ktoś, kto chciałby popełnić podobne.

Skinęła głową.

– Wiem – powiedziała z niespodziewaną powagą. – Tak naprawdę jest.

Nad rzeką zbudowano przystań, która składała się z kilku baraków magazynów oraz wypuszczonego w głąb nurtu pomostu, przy którym cumowały barki i łodzie. Jak mi powiedziano, rzeka Peczora miała niemal tysiąc mil długości i z wielu powodów latem wygodniej było dostarczać towary właśnie łodziami. Oczywiście kupieckie karawany i konwoje ciągnęły również lądem (bo na przykład do Nowogrodu nie było jak dopłynąć rzekami), ale z rzek korzystano tutaj chętnie, gdyż były spławne. Chyba że skuwał je lód, co w zimie zdarzało się zawsze. A mówiono mi też, że gdyby bardziej pójść na północ, to Peczora jest skuta lodem przez więcej niż połowę roku.

– Nasza rzeka wpada do wielkiego północnego oceanu – objaśniał mi niedawno Andrzej.

– Byliście tam kiedyś? – zaciekałem się.

– No co wy? – zdumiał się. – Trzeba płynąć kilka tygodni, koniecznie w lecie. I potem albo zaraz wracać, albo już zimować w tych strasznych śniegach. – Wzdrygnął się. – Ale ludzie dużo gadają, bo są u nas tacy tropiciele i podróżnicy, którzy nawet tam się zapuścili.

– Po co?

Wzruszył ramionami.

– Jak zwykle. Szukać lepszego świata.

– A co znaleźli w zamian?

– Czemu sądzicie, że nie znaleźli lepszego świata?

– Bo jeśli lepszy świat byłby na północy, to pewnie w Peczorze już by nikogo nie było. No więc? Co znaleźli?

– Wielkie, skute lodem morze. Skały. Pustkowia ciągnące się setkami mil, a pewnie i tysiącami, bo tego przecież nikt nie wie. Białe niedźwiedzie. Widzieliście kiedyś białego niedźwiedzia?

Owszem, słyszałem o tych bestiach zamieszkujących daleką północ, ale nigdy, rzecz jasna, żadnego nie widziałem.

– Polują na zwierzęta i polują na ludzi. Czasem płynie taki człowiek łodzią, a tu spod wody, bo wiedzcie, że one pływają i nurkują niczym ryby, wynurza się łapa. – Dworzanin machnął gwałtownie ręką w powietrzu przed samą moją twarzą. – I już ściąga człowieka z pokładu. No i tyle go widzieli...

– Smutna sprawa.

– Mówią, że jedzenia jest w bród: i ryb, i ptaków, i fok. Widzieliście kiedyś fokę? Ale najgorsze jest to, że przez pół roku trwa tam noc. Widzieliście?

Skinąłem głową. W czcigodnej Akademii Inkwizytorium uczono nas, że na dalekiej północy dzień co prawda trwa pół roku, ale noc w zamian za to również trwa pół roku.

– Niewielu jest na tyle odważnych, by zostać na północy, kiedy

rozpoczyna się noc – stwierdził ponuro. – A z tych, co się odważyli, niewielu już wróciło. I najczęściej nie chcieli nawet gadać, co zobaczyli, póki trunek nie rozplątał im języków. A kiedy opowiadali, to... – Znowu się wzdrygnął. – Aż straszno było słuchać...

Pewnie, pomyślałem, a co mieli opowiadać? Że towarzysze zdechli z głodu lub zimna? Że zgubili się gdzieś w śnieżycy i zamarzli? Że utonęli, spadając z wywrotnej łodzi? Że pokieroszował ich niedźwiedź? Nie, wygodniej było zwalić wszystko na demony i inne istoty z piekła rodem. Bo opowiadając o takich potworach, można przynajmniej doczekać się następnych kolejek darmowego trunku i wzbudzić nie tylko zainteresowanie, ale i pełen trwogi podziw gawiedzi.

– Mówili o białych potworach, które śpią w śniegu i lodzie przez cały polarny dzień, a wychodzą na żer dopiero w czasie polarnej nocy i najbardziej upodobały sobie smak ludzkiego mięsa. Mówili o tańczących demonach, które spadają wraz z błyskami polarnej zorzy otwierającymi piekielne wrota. Mówili o kobietach z płetwami zamiast nóg, które wciągają nieostrożnych pod pokrywę lodu i tam pożerają. I mówili o grobach. O tysiącach lodowych grobów...

– O grobach? – zdziwiłem się.

Pokiwał głową.

– Leżą tam jakieś postacie, skute lodem od wieków, martwe i nieruchome, ułożone szeregami jeden przy drugim, tysiące ich są i tysiące... I leżą tam również włochate słonie, tak wielkie, że gdyby stanęły, to grzbietami sięgnęłyby najwyższych drzew. Leżą tam oni wszyscy nieruchomi, zastygli i czekający, aż obudzi ich mroczna sztuka, aż ktoś tchnie iskrę życia w zlodowaciałe truchła...

Byłem pewien, że nie mówi własnymi słowami, tylko cytuje kogoś. Może opowieść jakiegoś podróżnika, a może kazanie kapłana?

– W zwłoki lodowych wojowników sprzed wieków może bym jeszcze uwierzył – rzekłem. – Ale w wielkie, włochate słonie? No proszę was...

– Nie ma na szerokim świecie tak niezbadanych przestrzeni jak nasze – powiedział Andrzej podniosłym tonem. – I tu, u nas, i tam, na dalekiej północy, możecie iść całymi dniami i być pewni, że żadna ludzka stopa nie deptała przed wami tej ziemi. – Spojrzał na mnie. – Ludzka nie, ale kto wie czy nie jakaś inna?

Taka to rozmowa przypomniła mi się, kiedy szedłem z Nataszą niedaleko brzegu rzeki i kiedy patrzyliśmy na jej leniwie toczący się nurt. Skierowaliśmy się w górę, by znaleźć się nieco dalej od zabudowań i ludzi. Przyglądaliśmy się barce, która płynęła samym środkiem. Jakiś człowiek szedł, zataczając się, po pokładzie, aż w końcu poślizgnął się i z wielkim pluskiem wpadł do wody. Jego stojący nieopodal towarzysz zaczął miotać się w łodzi, najwyraźniej szukając czegoś, co mogłoby pomóc w wyciągnięciu kompana z topieli.

– Jak kruche jest ludzkie życie – zauważyłem.

Człowiek na pokładzie złapał w końcu kawał liny i przechylił się przez burtę. Słyszeliśmy wyraźnie jego krzyk, ja oczywiście nie rozumiałem słów, ale domyślałem się, że nawołuje towarzysza, który na razie nie wypływał. Łódź zachybotała się i mężczyzna z pokładu, rozpaczliwie wymachując rękami, również wpadł do wody.

– Boże Jezu – westchnęła Natasza, po czym przytuliła się, ujęła dłońmi moją głowę i obróciła ją w swoją stronę. – Nie patrzmy tam – poprosiła. – Pocałuj mnie, dobrze?



Służący, który zobaczył nas w korytarzu, przylgnął plecami do ściany tak silnie, jakby chciał wtopić się w nią i udawać albo jedną z belek, albo jeszcze lepiej: wzorzysty kobierzec. Ten

kobierzec przedstawiałby człowieka z wybałuszonymi oczami i pobladłą twarzą. Zaczął mówić coś bardzo cicho i bardzo szybko.

– Musisz iść do księżnej, miły mój – wyjaśniła Natasza.

– Oczywiście – odparłem.

– Będzie chciała, żebyś jej wszystko opowiedział, prawda?

– Z całą pewnością. Czy chciałabyś... – urwałem, po czym nachyliłem się do jej ucha i wyszeptałem: – Czy chciałabyś, abym czegoś na razie nie mówił?

Nie chodziło mi w tym pytaniu, jak mogliby przypuszczać ludzie co bardziej powściągliwi, bynajmniej o rodzaj i częstotliwość figli, jakie wspólnie wyprawialiśmy. Zastanawiało mnie, czy Natasza nie chciałaby, żebym z jakichś powodów poczekał z opowiedzeniem księżnej o pewnych elementach jej wizji. Ale dziewczyna tylko pocałowała mnie w usta.

– Bądź grzeczny, opowiedz jej wszystko i wracaj do mnie. Powiedz, że może dzisiaj spać sama. – Ściągnęła usta. – Bo na pewno nic jej nie grozi. Poza tym ja pragnę i życzę sobie, żebyś spał ze mną – dokończyła stanowczo.

Cóż, chciałbym mieć taką samą pewność, jaką miała Natasza, co do tego, że księżnej nic nie grozi. Ale to w końcu ona była dziewczyną wołcha, a ja nie byłem nawet wołchem, więc musiałem ufać, że o niektórych sprawach będzie wiedziała więcej niż ja. Ale pamiętałem również, że jestem inkwizytorem, a inkwizytorzy nie ufają nikomu, nawet sobie samym, a jedynie Bogu Najwyższemu w niebie. Dlatego nie mogłem się przyzwyczaić, by zapewnieniom Nataszy wierzyć bez reszty i bez wątpliwości. Nie dlatego, bym jej nie ufał (choć my, inkwizytorzy, uważamy zaufanie za monetę, która podlega wielkiej dewaluacji), ale dlatego, że przecież mogła być w błędzie. Była szkolona przez silną czarownicę, to prawda. Ale nie wiedziałem, jakie są jej zdolności, gdzie przebiega ich granica, jaka jest możliwość, że się myli lub że została oszukana.

Dlatego musiałem uważać zawsze i na każdym kroku. Cóż, nic nowego w życiu inkwizytora...

Pocałowałem Nataszę w policzek, sam dziwiąc się, jak bardzo naturalnie przychodzą mi te czułości, a jednocześnie będąc zadowolonym z tego, jak ona chętnie i naturalnie je odbiera. A pomyśleć, że inkwizytorzy są na ogół powściągliwi w okazywaniu uczuć! Ja w dodatku nieszczerze lubiłem dotykać obcych ludzi i chociaż dla pięknych dam byłem skłonny czynić wyjątki, to w przypadku Nataszy lubiłem jej bliskość w każdej postaci. Czy to miało być muśnięcie palców lub ust, czy uścisk dłoni, czy przytulenie policzków lub trzymanie w objęciach.

No dobrze, na razie o czułościach nie było co myśleć. Księżna wzywała, a ja byłem pieskiem, który miał przybiegać na jej gwizdnięcie, i innej mojej roli zapewne sobie w tym zakresie nie wyobrażano. Poszedłem więc za służącym i kiedy tylko zameldowano, że jestem, zostałem szybko przyjęty przez Ludmiłę.

– Mój dzielny chłopiec. – Uśmiechnięta szeroko księżna poklepała mnie po ramieniu i policzku. – Chcesz wina? Zjesz coś?

– Pokornie dziękuję Waszej Wysokości – odparłem. – Jak rozumiem, Wasza Wysokość została poinformowana o powodzeniu mojej misji.

Roześmiała się na głos.

– Cała Peczora została poinformowana. Większość z nich zresztą słyszała krzyki tej małej na własne uszy.

– Naprawdę? – zdziwiłem się. – Wiem, że była dość głośna...

– Dość głośna! – parsknęła Ludmiła. – Mniej więcej tak samo, jak niedźwiedź jest dość owłosiony. – Mocno zaakcentowała słowo „dość”.

– Coś takiego – zdziwiłem się. – Nie odniosłem aż takiego wrażenia...

No cóż, mogło być i tak, i tak. Pamiętałem przecież, że dzień



upłynął nam niespodziewanie szybko i wręcz niezauważalnie, tak jakbyśmy uprawiając miłosne zapasy, wpadali w dziwne dziury, w których czas zastygał, za to ten czas na zewnątrz nich gnał niczym oszalały. Ale wiedziałem również, jak bardzo służba lubi plotkować i wszystko wyolbrzymiać, i jak każde wydarzenie w oczach i ustach znudzonych monotonią ludzi rośnie do niebywałych wręcz rozmiarów.

– Opowiadaj! – rozkazała.

– Mój Boże, Wasza Księżęca Mość, to było niezwykle – powiedziałem szczerze i gorąco, bo naprawdę chciałem, by Ludmiła zdawała sobie sprawę z wyjątkowości owego przeżycia.

– Młode, zręczne ciało, ładna buzia, nic więc dziwnego, że jesteś wniebowzięty – odparła żartobliwym tonem, ale jej oczy były czujne i poważne.

– Widziałem... widziałem wszystko...

Obrazy przemykające przed oczami w czasie ekstatycznych uniesień z Nataszą znowu pojawiły mi się pod powiekami. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że usiadłem w fotelu, a księżna nadal stała. Było to wyjątkowo niegrzeczne złamanie zasad etykiety (nawet jeśli tak lekko traktowanej jak ta w Peczorze), ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero po chwili. Poderwałem się.

– Proszę wybaczyć, Wasza Księżęca Mość, ale to... to było tak... – rozłożyłem ręce – przejmujące. Te obrazy... na chwilę wróciły...

Ludmiła machnęła tylko ręką.

– Siedź, stój, rób, co chcesz, abyś opowiadał.

Opowiedziałem jej wszystko od a do zet, od alfy do omegi, nie ukrywając żadnych szczegółów, nawet jeśli dotyczyły nie obrazów, które się pojawiły przed moimi oczami, ale związanych z nimi nad wyraz prywatnych i intymnych szczegółów. Byliśmy z księżną pośrodku tak wielkiej sprawy, iż z całą pewnością nie było tu miejsca na wstyd. Ludmiła słuchała bardzo spokojnie, bardzo uważnie i z bardzo poważnym wyrazem twarzy. Kiedy skończyłem, długo milczała. Tak długo, aż zacząłem zadawać

sobie pytanie, czy we właściwy sposób opowiedziałem tę historię. Czy udało mi się odmalować obrazy, jakie widziałem, i związane z nimi przeżycia w sposób na tyle plastyczny i na tyle inteligentny, by trafiły również do kogoś, kto nie był naocznym świadkiem? Wiedziałem przecież z doświadczenia, jak ciężko jest czasami podzielić się z drugim człowiekiem naszymi emocjami i wrażeniami. Jak opowiedzieć o niezwykłym uczuciu, o widoku, o zapachu, o barwach i o smakach? Jak za pomocą ograniczonego zasobu słów i pojęć, jak za pomocą zwykłej mowy przywołać przed oczy drugiej osoby widowisko, którego było się świadkiem? Jak spowodować, by w duszy innego człowieka zostały potrącone pod wpływem opowieści o samym przeżyciu te same struny, co we mnie grają wciąż żywym wspomnieniem? Być może wielka sztuka dramaturga połączona z wielkim talentem aktora w odpowiedni sposób potrafiłaby odzwierciedlić to, czego zaznałem za sprawą Nataszy. Ale ja byłem zaledwie inkwizytorem. Bóg hojnie obdarował mnie talentami, za co byłem mu niezmiernie wdzięczny, lecz przecież nie uczynił mnie dramaturgiem ani aktorem. Nie sądzę, by ktokolwiek i kiedykolwiek opisał moje życie, ale przecież gdyby taki cud się zdarzył, to autorem nie byłbym na pewno ja sam, lecz człowiek, który nawet wśród mistrzów pióra mógłby uchodzić za równego Homerowi i Wergiliuszowi. Cóż, w każdym razie starałem się najlepiej jak umiałem i teraz mogłem tylko pilnie czekać, jaka będzie reakcja Ludmiły.

– Mówisz, że obrazy były wyraźne? – zapytała wreszcie.

– Były jak wspomnienie sprzed niewielu dni. Świeże, pełne detali i barw. Mógłbym opowiedzieć krok po kroku, jak wyglądała droga, którą szedłem...

– Opowiedzieć... – powtórzyła. – Hm, a czy potrafiłbyś to namalować?

– Wasza Wysokość myśli o mapie? Jak kartograf?

– Myślę o obrazie. Jak malarz.

Potrząsnąłem głową ze smutkiem.

– Bóg w swojej łaskawości nie dał mi talentu malarskiego. Zresztą nie potrafiłbym nawet zmieszać farb.

– Ja w Peczorze mam malarza, inkwizytorze – odparła. – Nawet bardzo zdolnego. Siedzi teraz co prawda w lochu, ale jeśli może się na coś przydać, to każę go uwolnić... Albo – zastanawiała się przez chwilę – lepiej każę dać mu do celi farby i wszystko inne, czego będzie potrzebował.

Tak, to była myśl. To była nawet, powiem więcej, bardzo dobra koncepcja. Pamiętałem, że nie tak przecież dawno temu w Christianii spotkałem człowieka obdarzonego przez Pana wyjątkowym talentem. Twarze narysowane przez tego człowieka zdawały się należeć do żywych ludzi, wydawało się, że za chwilę zmarszczą oni czoła albo zamrugają oczami. Jeżeli malarz księżnej był chociaż w podobnym stopniu utalentowany jak ów christiański rysownik, to rzeczywiście mogliśmy z jego pomocą odtworzyć moje wizje i przelać je na płótno czy na drewno, czy na jakikolwiek inny materiał, na którym uwieczniał on wytwory swego talentu.

– To wspaniała idea, Wasza Księżęca Mość. Rozumiem, że Wasza Wysokość sądzi, że miejsca, które widziałem, istnieją naprawdę?

– A ty jak uważasz?

Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, Wasza Wysokość. Nie wykluczam tego, ale mogłem również widzieć nie to, co istnieje naprawdę, tylko to, co istnieje w wyobrażeniu Nataszy. Sądzę, że w miarę zacieśniania i intensyfikacji naszych wzajemnych kontaktów zacznę rozumieć, gdzie przebiega granica pomiędzy prawdą a wyobrażeniem czy ułudą.

Ludmiła roześmiała się nagle.

– Zacieśnianie i intensyfikacja – powtórzyła po mnie kpiącym tonem i potrząsnęła głową. – No coś takiego! Jakże

skomplikowanych słów użyłeś na opisanie po prostu częstego i solidnego chędożenia...

To prawda, że w sensie fizycznym właśnie do tego sprawy się sprowadzały. Ale coś mi mówiło, że gdyby nie uczucie wzajemnej czułości, gdyby oprócz połączenia ciała nie nastąpiło połączenie dusz, gdyby Natasza nie czuła się szczęśliwa i bezpieczna, to wizje nie byłyby tak perfekcyjne i tak wyraziście doskonałe.

– Ech... – westchnęła Ludmiła. – Dawno nie miałam porządnego chłopca, żeby mnie zdrowo ujeździł...

Ledwo co powstrzymałem się, by nie przełknąć głośno śliny z wrazenia, gdyż jednak ciągle nie mogłem się przyzwyczaić do bezpośredniości, z jaką traktowano na Rusi kwestie cielesne. Oczywiście jeśli robili to ludzie z plebsu, to i w Cesarstwie przecież sprośność bezwstydem poganiała lubieżność. Jakież to ja piosenki i wierszyki słyszałem wywrzaskiwane po karczmach i po zamtuzach! Ale szlachetnie urodzone damy raczej nie były skore do dzielenia się opowieściami o swych przeżyciach miłosnych ze sługami, i w dodatku do dzielenia się nimi za pomocą języka tak dosłownie opisującego owe intymne sprawy. Czyż dama nie powinna raczej posługiwać się (jeśli już w ogóle ma zamiar opowiadać!) językiem opowiastek z „1001 nocy sułtana Alifa”? „Jej jaspisowe wrota złaknione były, by rozewrzeć się przed obsydianowym jeźdźcem, i marzyła, by jego rozbrykany rumak do utraty tchu cwałował w jej dolinie...” O właśnie, czyż nie tak powinny wyrażać się wielkie panie? No ale Ludmiła była tylko prostą Rusinką, a nie żadną damą i nie można było od niej zbyt wiele wymagać...

Księżna zerknęła na mnie.

– Historię mojego mnicha ci opowiedziano? – zapytała.

– Tak jest, Wasza Wysokość – odparłem.

– Może byłem zbyt pochopna – westchnęła. – Oczywiście, nie żebym żałowała tamtego świniopasa – prychnęła z odrazą. – Ale wyznam ci, że kobiecie ciężiej po takim wydarzeniu zadzierzgnąć

bliższą znajomość z jakimkolwiek mężczyzną. Nawet bojarzy boją się mnie jak ognia – westchnęła powtórnie.

– A że tak ośmielę się zapytać: Wasza Wysokość nie ma ochoty wyjść za mąż?

– Ochota może by była, tylko kandydata nie bardzo widać na horyzoncie. – Ludmiła chyba zamierzała cały oddech wyczerpać na westchnienia. – Kto by mnie i zechciał, to ja jego nie chcę i na odwrót. A teraz, jak te nasze sprawy... – zatoczyła koło ręką – są, jakie są, to i tak nikomu nie spieszo ryzykować głowy. Bo wielu się wydaje, że ani mną, ani księstwem mogliby nie nacieszyć się zbyt długo...

To, niestety, była prawda. Echa morderstwa starego wołcha i jego dziewczyny, przez który to wypadek zostałem zmuszony, by zostać w tej przeklętej dziczy, musiały rozejść się szeroko i daleko po kraju. I wszyscy zastanawiali się, któż, ach, któż będzie następną ofiarą. Podejrzewam, że najpierw sądzono, iż Ludmiła, teraz myślę, że obstawiano raczej waszego unizonego i pokornego sługę. No cóż, zamierzałem zapracować, aby owe zakłady okazały się przegrane...

Jeśli chodzi o Ludmiłę, to księżna raczyła pominąć jeszcze jeden szczegół. Otóż poza groźącym nam wszystkim niebezpieczeństwem również wchodziła w grę inna sprawa. Przypomnę wam bowiem, mili moi, iż Ludmiła swojego poprzedniego męża zamknęła w żelaznej klatce i powiesiła na peczorskiej bramie, by umarł. Nie do końca mogło to zachęcać kolejnych kandydatów do jej ręki.

– Tak więc sam widzisz, inkwizytorze, że możesz się przysłużyć, nie tylko by chronić moje życie, ale również by uwolnić mnie od niechcianej wstrzeźliwości – dodała już żartobliwym tonem. – No ale dość o mnie. Kujmy żelazo, póki gorące... – Zatarła ręce.

Przez jakąś wariacką, szaloną chwilę pomyślałem, że te słowa dotyczą miłosnych igraszek, którym Ludmiła zdecyduje się ze

mną oddać, ale oczywiście miała na myśli zupełnie co innego.

– Jutro po mszy pójdziemy razem do mojego malarza, ma na imię Wasyl – rzekła. – A ja jeszcze dzisiaj rozkażę, by przygotowano dla niego wszystkie materiały, które są potrzebne do wymalowania obrazów.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego ten człowiek został uwięziony?

– Zabił ludzi – wyjaśniła Ludmiła.

– Rozumiem. A jeśli Wasza Wysokość pozwoli: dlaczego w takim razie nie skazano go na śmierć, bo takie przecież, podobnie jak i w Cesarstwie, jest prawo i obyczaj na Rusi?

Księżna przyglądała mi się chwilę z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Bo być może będzie mi kiedyś potrzebny, by zabijał dla mnie – odparła wreszcie.



Rusini nie czcili niedzieli tak jak my, ludzie cywilizowani, żyjący w cywilizowanym państwie i pamiętający, iż tego właśnie dnia Jezus zdobył Jerozolimę, obalił władzę tetrarchy Heroda i ogłosił się imperatorem Cesarstwa Rzymskiego. Rusini świętowali sobotę, gdyż podobno tego właśnie dnia urodził się ich traktowany niemal na równi z Jezusem Chrystusem patron Gunderyk. Również w sobotę tenże Gunderyk wyruszył z Germanii na wschód i także w sobotę wysłał swoich synów, by podbijali nowe ziemie i zakładali nowe królestwa, które stały się podwalinami dla dzisiejszych ruskich wielkich księstw. Jak mi mówiono, również w sobotę jego synowie bohaterowie dokonali swych najbardziej chwalebnych czynów, takich jak zwyciężanie smoków, zdobywanie twierdz czy chędożenie wyjątkowo urodziwych księżniczek po uprzednim obcięciu głów ich chcącym przeszkadzać ojcom. Czyli robili to, co robić powinien każdy szanujący się bohater. Z tym że oni jakoś najbardziej

polubili sobotę.

Tak naprawdę, kiedy odrzucić legendę i opowiadki, sędzę, że w ruskiej obyczajowości chodziło przede wszystkim o to, by odróżnić się od nas – prawowiernych chrześcijan. Trudno było hołocie wyjaśniać różnice doktrynalne, za to przetłumaczyć komuś, że dobry człowiek świętuje w sobotę, a kanalia w niedzielę, było już dużo łatwiej. Rusini mieli swoje kościoły, świątynie czy chramy, mieli również piękne katedry, sam widziałem taką w Nowogrodzie, a wiele słyszałem o „zbudowanej ze złota”, jak mówiono, katedrze moskiewskiej. W Peczorze oczywiście próżno byłoby szukać wspaniałych świątyń. Kilkanaście mil od twierdzy, w zakolu rzeki Peczory, na niewielkim wzgórzu wznosił się klasztor. Ten sam klasztor, skąd pochodził ów nieszczęsny wykastrowany mnich, który chęć księżnej do korzystania z lektury niefrasobliwie pomylił z chęcią do korzystania z czegoś całkiem innego. Niedaleko za murami fortecy stała natomiast drewniana świątynia, w której posługiwało dwóch brzuchatych kapłanów. Ludmiła nie zwracała na nich szczególnej uwagi, chociaż jak mi powiedziano i jak wiedziałem, bardzo poważała zamordowanego wołcha, starego Jegora, który tak paskudnie zakończył życie, zniszczony potężnym uderzeniem czarnej magii.

W każdą sobotę o świcie w Peczorze odbywało się uroczyste nabożeństwo, odprawiane jednak nie w kościele, ale przez kapłanów stojących na krużganku twierdzy. Cały dziedziniec wypełniony był tłumem wiernych, a ta msza, czy raczej plugawa, heretycka imitacja mszy, trwała bez przerwy aż do południa, w dodatku cały czas wymagając od zebranych klękania, bicia pokłonów, wstawania, tłuczenia głową w ziemię. I tak na zmianę przez bite sześć godzin. W międzyczasie śpiewano, wznoszono okrzyki, a nawet czasami niektórzy wierni pogrążali się w czymś w rodzaju ekstatycznego tańca i w trakcie tego pląsania najbardziej przypominali marionetki szarpane sznureczkami

przez szalonych a skłóconych lalkarzy, z których każdy chce pokierować je w inną stronę. Oczywiście jako inkwizytor widziałem nie takie rzeczy. W Cesarstwie również zdarzali się ludzie pomyleni, którzy mylili chwalebne oddanie Panu z obłąkaną nadgorliwością. Swego czasu ulicami naszych miast przetoczyły się pochody flagelantów, których ideą i pomysłem na bogobojne życie było podróżowanie wielkimi gromadami po całej Europie i biczowanie grzesznych cielsk. Batożyli się różgami, sznurami, korbaczami, a co bardziej pobożni używali nawet lin szpikowanych żelaznymi ostrzami. Ci ostatni zazwyczaj podróżowali z gromadą najkrócej. Kościół oraz Święte Officjum przyglądały się na początku owym biczownikom z zainteresowaniem i uwagą, może nawet z pewną podejrzliwością, ale na pewno bez gniewu. Jednak kiedy niektórzy przywódcy flagelantów doszli do wniosku, że powinnością człowieka, który sam został dobrze wychłostany, jest chłostać innych, nawet jak ci wcale sobie tego nie życzą, zaczęliśmy spoglądać na ich obyczaje dużo uważniej. A kiedy zaczęli głośno nawoływać do biczowania biskupów, wtedy zabrano się do nich na poważnie. Inkwizytorium raczej nie mieszało się w rozprawę z flagelantami (pomysł biczowania biskupów nieszczególnie wzruszał władze Świętego Officjum), ale sprawę załatwiły sądy miejskie i sądy biskupie. I jakoś wszystko w końcu się rozeszło, czy to ze strachu, czy z poczucia beznadziejności całego ruchu, czy też po prostu była to chwilowa histeria, która szybko wygasła. Byłem zresztą pewien, iż prędzej czy później pomysł będzie się odradzać, gdyż nie wiedzieć czemu wielu ludzi uważało, że kiedy wychłostają cielsko, nie dadzą mu jeść i pić oraz wystawią na mróz i skwar, to w ten sposób utorują sobie łatwą drogę do Królestwa Niebieskiego. Wiedziałem oczywiście, jakimi zawiłymi meandrami plątały się ich myśli, ale szczerze mówiąc, nie potrafiłem zrozumieć, czemu uważali, że łaska Boga logicznie ma wynikać z braku szacunku dla boskiego



daru, jakim jest ciało człowieka.

Tutaj, na Rusi, podobny obyczaj nie był w żaden sposób zabroniony. Któregoś dnia Andrzej opowiadał mi z uśmiechem o żyjącej w lasach gromadzie.

– Nienawidzą wszystkiego, co związane z cielesnością – tłumaczył. – A żeby odsunąć od siebie demony grzechu oraz nieczystości, kastrują się, rozgniatając sobie przyrodzenie na miazgę i potem ucinają to, co pozostało...

Pokręciłem głową.

– Dlaczego akurat nasze śniadanie uznaliście za dobry moment na opowiadanie o podobnych obyczajach?

Prychnął i machnął ręką.

– Nie mówcie, że jesteście tacy wrażliwi.

Oczywiście, że nie jestem wrażliwy, gdyż aby skutecznie pełnić zaszczytną powinność inkwizytora, musiałem już dawno temu moje czułe serce obić stalową blachą. Ale jednak opowieści o brutalnej kastracji budziły we mnie niepokój, który podobne historie budzą chyba u każdego mężczyzny obdarzonego na tyle bujną wyobraźnią, by przedstawić sobie siebie samego na miejscu owych obłąkańców dokonujących czynu tak nieodwracalnego.

– A jeszcze powiem wam, że całkiem niedaleko, może dwa dni drogi od nich, w innej partii puszczy żyje sobie gromada, która uważa, że obcowanie cielesne jest świętym darem od Boga. I głoszą, że im częściej to robimy i z im większą liczbą ludzi, tym Bóg jest bardziej z nas zadowolony.

– Ten sposób czczenia naszego Pana uznałbym za dużo bardziej fortunny – zauważyłem. – Z dwojga złego wolałbym mieszkać z gromadą rozpustników chcących nakłonić mnie do rozpusty niż z gromadą kastratów chcących przekonać mnie do kastracji.

– Zwłaszcza że rozpustnik może bez trudu zostać kastratem, kiedy mu się odmienią wiara i myśli, a w drugą stronę raczej

ciężko przewędrować – dodał Andrzej z westchnieniem. – A mówię wam to wszystko, byście zobaczyli, jak dziwnie plecie się wiara w naszym ruskim narodzie. I to ludzie, którzy żyją niemal obok siebie, a tak są różni...

Wszystko to wina waszych plugawych wierzeń, pomyślałem. I tego, że nie ufacie Jezusowi, a znaleźliście sobie jakieś bożki w rodzaju Gunderyka i jego siedmiu synów. Oczywiście nie powiedziałem tego na głos, bo chociaż mój towarzysz nie sprawiał wrażenia nadmiernie czułego na punkcie religii, to jednak nie było najmniejszego sensu, by go prowokować i taką prowokacją uczynić sobie z niego nieprzyjaciela.

– Kiedyś zdarzało się, że ci pierwsi porywali wędrowców do rozpusty, a ci drudzy do kastracji – dodał jeszcze Andrzej. – Ale już książę Dymitr wybił im z głowy podobne pomysły.

Na szczęście teraz, kiedy patrzyłem na nabożeństwo odbywające się na fortocznym dziedzińcu, widziałem, że nie ma mowy ani o rozpuszcie, ani tym bardziej o kastracji. Ci ludzie się modlili. Oczywiście na swój barbarzyński, zdziczały i prymitywny sposób, ale jednak był to jakiś rodzaj hymnów wznoszonych do Pana.

Przyglądałem się chwilę temu obrzędowi, nie kusiło mnie jednak, by zostać dłużej. Na szczęście nikt nie wymagał ode mnie uczestnictwa w podobnym świętowaniu, może księżna uznała, że domaganie się od inkwizytora, by brał udział w heretyckim kulcie, spowodowuje niepotrzebny konflikt. A może po prostu kompletnie jej na tym nie zależało. Zresztą jak zauważyłem, sama brała udział tylko w pierwszej, krótszej części mszy, potem wracała do swoich komnat. Wyznam wam, mili moi, że gdyby zależało od tego moje życie czy powodzenie mojej misji, czy nawet powrót do domu, to, rzecz jasna, czciłbym choćby bałwany, święte drzewa czy czarne kozły. Bo nie jest ważne, co okazujemy na zewnątrz, lecz czy dzięki tej manifestacji osiągniemy zbożny cel. Ważna jest wiara, jaką mamy w sercu.

Tylko głupiec unosi się honorem wobec przeważającej siły wroga, tylko dureń nie potrafi schować swych poglądów, idei i przekonań do kieszeni, kiedy ich ujawnienie mogłoby zagrozić jego życiu. Najważniejsze jest przetrwanie, gdyż tylko ten, który przetrwa, może pokusić się o zwycięstwo. A ten, który bohatercko zginie, nie zdąży już uczynić niczego pożytecznego dla naszej świętej wiary. Ja nie zamierzałem ginąć. Ani bohatercko, ani tym bardziej przez upór czy głupotę. Jednak tak jak powiedziałem wcześniej, nie zmuszano mnie do uczestnictwa w ruskich obrządkach, ale też nikt nie bronił mi się im przyglądać. Po prostu ignorowano mnie, co zresztą odpowiadało mi bardziej niż bardzo.

Niedługo potem, jak nabożeństwo się skończyło, wezwano mnie do księżnej. I razem z nią poszedłem do części budowli, której jeszcze nie odwiedzałem. W peczorskiej fortecy znajdowały się piwnice, lecz nie takie, jakie znamy z warowni Cesarstwa. Nie były to kamienne labirynty lochów, wielopoziomowe i ciągnące się pod samym zamkiem oraz dziedzińcem, a czasami jeszcze nawet pod murami. Tutaj były to niewysokie, diabło wilgotne podziemia. Woda stała w nich po kostki i śmierdziało zgnilizną. W kilku zamkniętych pokojach, jak mi objaśniono, trzymano bryły i tafle lodu, które cięto zimą na rzece i które bez trudu wytrzymały aż do przyjscia kolejnego mrozu. A dzięki temu można było przechowywać nie tylko mięso czy wędliny, ale również owoce, które w tym dzikim kraju były zarówno rzadkością, jak i przysmakiem. Ów malarz wegetujący w podobnych warunkach musiał nie być szczególnie zachwycony. No ale więzienia generalnie nie są od tego, by ludzie się nimi zachwycali. I tak najwyraźniej miał wielkie szczęście, że nie skrócono go o głowę. Albo nie zakopano w mrowisku. Ach, właśnie, mili moi, nie wspominałem wam o kolejnym miłym i wdzięcznym ruskim obyczaju, a mianowicie karze śmierci wykonywanej poprzez przywiązanie nagiej ofiary

tuż przy mrowisku. A kopce ruskich mrówek były naprawdę wielkie, natomiast same mrówki duże i wściekle tnące. No i zjadały człowieka żywcem, czasem, aby nie umarł zbyt szybko, odpędzano je na trochę, by po jakimś czasie pozwolić im wrócić. Za co stosowano tę karę? Jeśli dobrze pamiętałem, była to jedna z dopuszczalnych kar za bluźnierstwo, ale zdarzało się, że również musiał w ten sposób cierpieć zabójca. I tak wszystko zależało od urzędnika wydającego wyrok lub od samego księcia.

Ze mną i z Ludmiłą szli dwaj strażnicy z lampami, jeden niósł poza tym dużą skrzynię, a drugi ładnie przygotowane tablice z cienkich deseczek. W naszym cywilizowanym świecie malarze najczęściej kreowali dzieła na płótnie, a malowanie na deskach odeszło w zapomnienie, chyba że chodziło o ozdabianie ścian domów lub mebli. Tutaj, na Rusi, drewno było natomiast najczęściej stosowanym materiałem malarskim. W Peczorze widziałem liczne malowidła (najczęściej bardzo marnej jakości) i wydaje mi się, że wszystkie one zostały przygotowane na deskach. No cóż, może za sto lub dwieście lat ich artyści dojdą do tego, do czego nasi artyści doszli sto lub dwieście lat temu... Poza tym towarzyszył nam nieodłączny Andrzej, który co oczywiste, został zaproszony, by księżna nie musiała się trudzić tłumaczeniem moich słów malarzowi (i na odwrót). Nie zdążyłem zamienić z dworzaninem słowa na temat tego, za cóż to został zamknięty ów artysta. Że zabił, to słyszałem. Ale kogo? W jaki sposób? Z jakiego powodu? Co w tym zabójstwie lub w nim samym było na tyle interesującego, że księżna wymyśliła sobie, iż może jej się to kiedyś przydać? Na razie te pytania musiały zostać bez odpowiedzi.

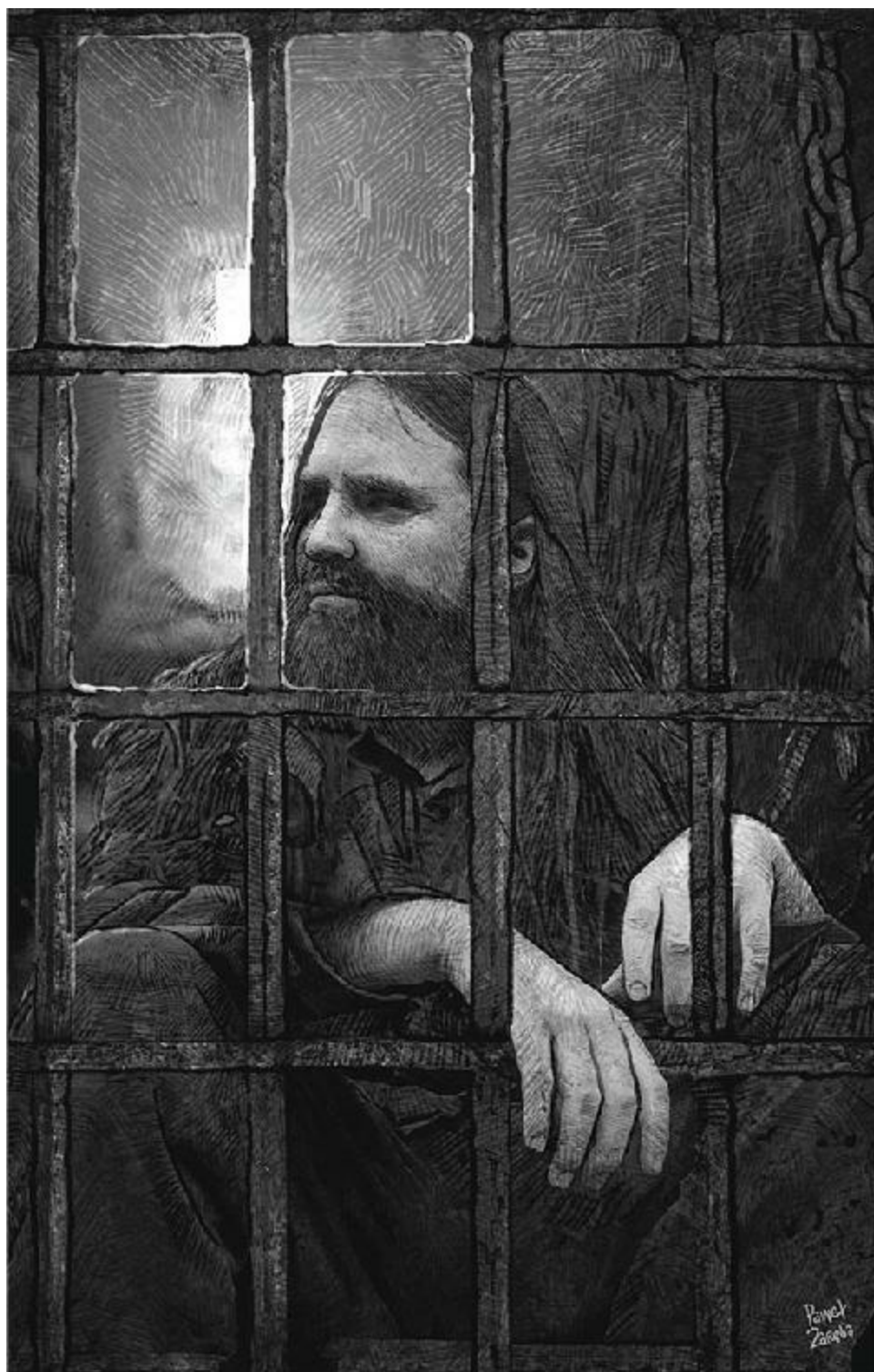
Drzwi, przed którymi stanęliśmy, były zamknięte na skobel, a poza tym zabezpieczono je również w ten sposób, że dwie żelazne klamry wpuszczone w belki blokował łańcuch spięty kłódką. Księżna wyciągnęła z kieszeni klucz do tego zamka. No cóż, więźnia traktowano naprawdę poważnie, skoro sama

władczyni strzegła, by nikt poza nią nie mógł otworzyć jego więzienia.

Drzwi zaskrzypiały z potępieńczym zgrzytem zardzewiałych zawiasów. Pierwszy wszedł strażnik z lampą w wyciągniętej dłoni.

– Na kolana, Wasylu! – zawołał tubalnym głosem. – Miłościwa pani idzie!

Weszliśmy wszyscy do środka. Pokój był nawet całkiem spory i o dziwo, wyglądał lepiej niż reszta tych płytkich podziemi. Był bowiem nawet wyposażony w prawdziwe łóżko z futrami i siennikiem. Oczywiście śmierdziało tu przeraźliwie stęchlizną, wilgocią i pleśnią, ale przynajmniej więzień nie musiał spać na zalanych wodą kamieniach. Siedział za to na środku łóżka, z nogami założonymi pod siebie i wpatrywał się w wążutkie, zakratowane okienko przy samym suficie. Był ubrany w postrzępiony płaszcz, miał skudłone włosy na głowie, skudloną brodę i śmierdział moczem oraz kałem. Zauważyłem już wcześniej wiadro stojące w kącie, ale to wcale nie od kubła zalaływał odór, tylko od więźnia. Ani słowa żołnierza, ani nasze wejście nie wytrąciły go ze spokojnej zadumy, czy może nawet letargicznego zniecieruchomienia.



– Dzień dobry, Wasylu – powiedziała łagodnym głosem księżna.

Wtedy dopiero odwrócił na nas wzrok. Przesunął spojrzeniem

obojętnie po naszych twarzach, nawet nie zdziwiło go, że widzi mnie, człowieka przecież obcego na peczorskim dworze.

– Palce wciąż mnie bolą od wilgoci – poskarżył się zbolalym głosem. – Nie minie miesiąc, a zegną mi się jak konary starego drzewa. Nic już ze mnie nie będzie...

Księżna rozejrzała się po celi.

– Rzeczywiście, wygod to ty tutaj, biedaku, nie masz – zauważyła.

– W plecach mnie łupie, kiedy się zginam – dodał znowu i znowu ze zrezygnowanym smutkiem. – W kolanach mi strzyka i zacząłem kaszleć tak, że mało płuc nie wypluję...

Odetchnął mocno na próbę, po czym rozkaszłał się rzeczywiście z paskudnym charkotem. Rzęził dłuższą chwilę, aż wreszcie splunął flegmą w kąt i otarł usta.

– Tak to właśnie jest... – stwierdził tym razem z jakąś dziwną satysfakcją w głosie.

– Niedobrze – rzekła Ludmiła i pokręciła głową. – A ja, popatrz, kazałam ci przynieść i drewniane tablice, i składniki, żebyś utarł sobie farby... Wszystko mam.

– Nie będę już więcej malował – oznajmił więzień z ponurą zawziętością. – Nawet mowy o tym nie ma!

– Ale kto ci każe malować ludzi?! – rozeźliła się nagle księżna. – Nie możesz malować zwierząt? Albo drzew? Albo rzeki? Albo zachodzącego słońca nad rzeką? Albo zwierząt stojących nad brzegiem rzeki w promieniach zachodzącego słońca?

Więzień westchnął.

– Może to i piękne by było, i w wielkiej sztuce pewnie rzadko spotykane, ale... – Wzruszył ramionami. – Nie dowierzam sobie samemu. – Spojrzał nagle mocnym wzrokiem w naszą stronę. – Pokusa byłaby zbyt wielka...

Zastanawiałem się, o co w tej rozmowie chodziło i na czym polegał konflikt pomiędzy Ludmiłą a malarzem. Świtało mi w głowie i tak domniemywałem z wypowiedzianych przez oboje

słów, że ten oto malarz sądził, iż jego portrety wyrządzają ludziom krzywdę, zapewne nawet zabijają ich. Być może uważał, że nad nim samym albo nad jego dziełami ciąży jakaś klątwa, i nie chciał się jej poddawać. Cóż, o podobne podejrzania nie było trudno, nie tylko w przypadku tak przesadnego, zabobonnego, zacofanego i prymitywnego ludu jak Rusini. Przypuśćmy, że malarz namalował portret kogoś i ten ktoś zaraz potem umarł, a potem namalował portret innej osoby i ta również zaraz potem odeszła z tego świata. Przypuśćmy jeszcze, że obie te śmierci były tragiczne i niespodziewane. I na koniec wreszcie przypuśćmy, że ktoś lub wielu ktosiów połączyło portretowanie przez malarza z późniejszymi dramatycznymi wypadkami, a potem owo podejrzanie rozgłosiło wśród ludu. I już. Sprawa dla wszystkich była jasna. Czarna magia. Klątwy. Albo nawet ingerencja istot z piekła rodem. Jeżeli sprawy tak się miały, jak sądziłem, to więzienna cela była chyba najbezpieczniejszym miejscem dla Wasyla.

– Każę zabrać cię na górę, dam ci wygodną kwaterę i postawię przy tobie strażnika, który będzie ci się przyglądał i uważał, byś nigdy nie namalował człowieka. Co ty na to?

Słowa Ludmiły potwierdziły moje podejrzania, ale więzień tylko wzruszył ramionami.

– Kreatura ze mnie przeklęta – rzekł. – Dawno bym się powiesił, ale nie mam na czym...

Och, tutaj przesadzał, i to bardzo. Gdyby rzeczywiście chciał targnąć się na własne życie, to nie byłoby z tym żadnych kłopotów. Z łóżka można odłupać drzazgi i rozciąć sobie nimi żyły (ja wiem, nie jest to łatwe, ale można się chociaż postarać), z koca, płaszcza czy też spodni można ukreślić całkiem zręczny powróż i powiesić się na okiennej kracie. Artysta musiał mieć wyobraźnię, więc skoro do tej pory nie popełnił samobójstwa, to znaczy, że popełnić go wcale nie chciał i nie zamierzał. Dlatego też zrozumiałem, iż on tak naprawdę pragnie, by go przekonano,



tyle że trzeba dobrać do tego przekonywania odpowiednie argumenty.

– Wasza Wysokość, czy mogę przemówić do tego człowieka? – spytałem.

Niezdziwiona Ludmiła skinęła głową.

– Jeśli wolno – dodałem. – Ale jeszcze strażnicy...

– Wynocha – machnęła palcem księżna, a obaj mężczyźni ulotnili się w mgnieniu oka.

Jeden z nich wcześniej podał lampę Andrzejowi, drugi swoją postawił na posadzce.

– Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem inkwizytorem z Cesarstwa – zacząłem.

– Ano coś strażnicy gadali, że jest tu u nas taki cudak, ale myślałem, że bredzą, co im ślina na język przyniesie. – Wasyl przyjrzał mi się uważnie. – Wcale nie wyglądacie na inkwizytora – dodał.

Nie wiem, jak ów człowiek wyobrażał sobie inkwizytora, ale mogłem przypuszczać, że zapewne jako siwego starca w czarnym habicie, który w jednym ręku trzyma krzyż, a w drugim pochodnię. Tymczasem natknął się na kogoś takiego jak ja.

– A jednak właśnie nim jestem – odrzekłem. – Powiem ci też, Wasylu, że związana jest ze mną jeszcze ciekawsza historia. Otóż pod nieobecność wołcha Jegora, który zginął w wyniku ataku czarnej magii, stałem się opiekunem dziewczyny wołcha...

– Swietłany? – Na jego twarzy odmalowało się zdumienie. – Jesteście z Szaloną Swietą?

– Nie, Swietłana również zginęła – odparłem. – Do fortecy została sprowadzona nowa dziewczyna. Ma na imię Natasza.

– Ha! – Patrzył na mnie z zadziwieniem, a jednocześnie z ciekawością. – Ale żeście wylądowali, nie ma co! Wytrzymujecie jakoś?

– Wytrzymuje, wytrzymuje – wtrąciła Ludmiła. – Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że ma wizje.

– Ho, ho – rzekł Wasyl, tym razem z wyraźnym szacunkiem w głosie. – A więc naprawdę masz moc, inkwizytorze.

Potem dodał jakieś zdanie po rusku, którego już mi nie przetłumaczono.

– Co on powiedział? – spytałem.

Andrzej machnął ręką.

– A nic takiego, sprośne żarty, ciężko przetłumaczyć...

Od razu wiedziałem po tonie głosu, że kłamie. No cóż, nie zamierzałem jednak się upierać, zważywszy, że prawdopodobnie i tak byłoby to bezcelowe.

– Najjaśniejsza pani pragnie, abyś dzięki swemu wielkiemu talentowi odmalował moje wizje – oznajmiłem. – I od razu wyjaśnię, że nie było w nich żadnych ludzi ani żadnych zwierząt.

Wolałem nie mówić, iż były w tych imaginacjach obecne stworzenia będące przerażającymi hybrydami gatunków. To wyjdzie w czasie malowania, a po co niepokoić go teraz i tutaj, kiedy miał podejmować decyzję. Kiedy ją podejmie, nie tak już łatwo będzie mu się wycofać.

Milczał długą chwilę ze zmarszczonymi brwiami i ściągniętymi ustami.

– A co ja z tego będę miał? – zapytał wreszcie opryskliwym tonem.

Trzeba przyznać, że był to człowiek zdumiewająco śmiały, jak na Rusina. Przedstawiciele tego narodu bowiem władzy zwykle co prawda nienawidzą, ale w kontaktach z nią biją czołem tak zapalczywie, że aż od tych hołdów całkiem głupieją. Tymczasem ten mężczyzna nie obawiał się rozmawiać z władczynią jak równy z równym, a nawet, jak słyszeliśmy, targować się z nią.

– Dostaniesz suchą i wygodną komnatę na górze. Dobre jedzenie, dobre trunki i nawet wypłacę ci lafę – obiecała Ludmiła. – I zawsze kiedy będziesz malował, będzie nad tobą czuwał ktoś, kto dopilnuje, byś przypadkiem nie malował ludzi. Wtedy pokusa nie będzie cię zżerać...

Wasył zaczął cmokać i kręcić głową, najwyraźniej był to jego sposób na pomaganie sobie w zastanawianiu.

– A dziewczki? – zapytał w końcu.

– Dostaniesz i dziewczki – zgodziła się szybko księżna.

Widziałem, że mimo wszystko nadal nie jest przekonany.

– Pomyśl, że będziesz pierwszym malarzem na całym szerokim świecie, który namaluje wizje oglądane przez dziewczynę wołcha oraz inkwizytora – rzekłem uroczystym tonem. – Twoje obrazy przejdą do historii. Nawet jeśli ktoś dokona podobnego wyczynu kiedyś i później, to zawsze wszyscy powiedzą: „Ale Wasył z Peczory był pierwszy”.

Poderwał głowę i zapatrzył się na mnie.

– Wiem, że mnie chcecie wziąć pod włos, wiem doskonale, ale wiem też doskonale, że to najświętsza prawda... – powiedział rozgorączkowany.

– Gdyby nie była to prawda, nie mówiłbym tego – odparłem.

Zerwał się z łóżka zręcznym skokiem tak szybko i gwałtownie, że aż nas obryzgał kroplami wody, która chlapnęła mu spod stóp, kiedy wylądował na posadzce.

– Idę! – zawołał radośnie. – I namaluję dzieło, które jeszcze po upływie wieków będzie pamiętane...

– Słuszna decyzja – pochwaliła go księżna serdecznym tonem.

A potem spojrzała na mnie, uśmiechnęła się z zadowoleniem i kiwnęła mi głową.



Minęło trochę czasu, zanim Wasył przygotował się do pracy. Najpierw go wykąpano, nieco przystrzyżono i dano mu czyste szaty. Później musiał w oddanej mu kwaterze rozłożyć przygotowane do malowania deski (a przygotowanie takie było dużo bardziej skomplikowane niż przygotowanie zwykłego płótna!) oraz utrzyć farby. Oczywiście dostał również jeść i pić.

Kiedy w towarzystwie Andrzeja wszedłem do jego pokoju, Wasyl właśnie wyklócał się ze strażnikiem.

– Jakże ty, tumanie, głupcze i durniu, chcesz, by wielki artysta pracował bez podlania go winem, gorzałką czy choćby piwem? – mówił głosem na poły wściekłym, na poły obrażonym. – Przynoś mi tu zaraz trunki, kanalio jedna!

Strażnik nic nie mówił, wybałuszał tylko oczy i spoglądał raczej głupkowato, ale nawet nie drgnął. Może i nie był za mądry, lecz jak widać, nie palił się do bycia nieposłusznym. Księżna kazała mu pilnować, to zamierzał pilnować i nie ruszać się z miejsca, choćby góry się waliły, a ziemia pękała w posadach. Nic zresztą dziwnego, bo gdyby nie wypełnił rozkazów, to wściekle, ochryple pokrzykiwania malarza wydałyby mu się szmerem wiosennego wietrzyku w porównaniu z nauczka, jaką otrzymałby od Ludmiły.

– Dość – rozkazał Andrzej zdumiewająco twardym tonem.

Potem jeszcze mówił przez dłuższy czas równie stanowczo i gniewnie, aż wreszcie malarz zachnął się, bluznął coś wściekłym głosem, a wtedy jak oberwał w twarz od Andrzeja, to aż zatoczył się na stół. Był to naprawdę niezły cios. Zbyt powolny, by trafił kogoś tak wytrenowanego jak wasz pokorny i uniżony sługa, i zbyt lekki również, by zdołał mnie obalić, nawet gdyby dotarł do celu. Ale na Wasyla wystarczyło. A ja naprawdę po spokojnym dworzaninie Ludmiły nie spodziewałem się takiej zręczności i takiej złości. Malarzowi błysnęły oczy i już widziałem, że szykuje się, by skoczyć na mojego towarzysza, ale wtedy stanąłem na jego drodze i wyciągnąłem mu kułak pod sam nos.

– Powąchaj, kurwisynu – warknąłem.

Zatrzymał się, jego twarz się ściągnęła, oczy przygasły i nagle zaczął mu się trząść podbródek, a sam malarz rozplakał się.

– Wybaczcie interwencję – poprosiłem Andrzeja. – Ale nie chciałem dopuścić do bitki ani żebyście uszkodzili tego łobuza.

Bo jak, nie daj Boże, złamalibyście mu rękę, to niby jak miałby potem malować? A przyznam, że cios macie całkiem niezły... – Uśmiechnąłem się.

Dworzanin nie był zachwycony, że się wtrąciłem, i doskonale widziałem to po wyrazie jego twarzy. Był rozgniewany i gniewny, najchętniej sam dokończyłby sprawę z malarzem, ale naprawdę nie mogłem do tego dopuścić. Gdyby Wasylowi stało się coś złego, to Ludmiła policzyłaby się z nami. Z Andrzejem i ze mną. I podejrzewam, że obu nam oberwałoby się równo, niezależnie, który bardziej zawinił.

– Powiedzcie mu, że ma natychmiast przestać – rozkazałem, patrząc na łkającego artystę. – Jak się dobrze spisze, to dam mu butelkę wina z własnych zapasów. Odżałuję już, niech będzie moja strata...

Andrzej wyrzucił z siebie kilka zdań gniewnym tonem, a wtedy Wasyl jak na rozkaz uspokoił się.

– Powiedzcie mi, dlaczego artyści to zawsze taka swołocz. – Spojrzałem na Andrzeja i pokręciłem głową. – Chociaż od malarzy nie wiem, czy nie gorsi są poeci. Zazwyczaj rymy mają tak słabe jak silny apetyt na wino i dziewczki... Tak czy inaczej, wszystko to kanalie, jeden w drugiego.

– Z malarzy to tylko tego tu znam. – Dworzanin pokazał podbródkiem Wasyla, który nucił coś sobie już wesoło i krzątał się wśród swoich szpargałów. – A poetów u nas wcale nie ma, jeśli chcielibyście rozumieć przez to geniuszy takich jak Homer czy Wergiliusz...

– Takich to nigdzie już nie ma. – Machnąłem ręką.

– Mamy pieśniarzy i lirników, ale komu znanemu by się chciało taki kawał drogi jechać do Peczory? – westchnął. – Czasem jacyś trafiają do nas, bo przyjadą razem z kupcami, ale to najczęściej tacy, co nigdzie indziej nie potrafili znaleźć publiczności, więc próbują szczęścia u nas... I tu rzeczywiście, zamiast oberwać zgniłą rzepą, to dostają spanie, jedzenie i nawet

kilka miedziaków.

– A teatr?

Potrząsnął tylko głową ze smutkiem.

– A szkoda. – Uniosłem palec. – Bo powiem wam, że aktoreczki to najbardziej rozpustne stworzenia na świecie. – Uśmiechnąłem się. – Nie wiem, czy w samej tej profesji jest zawarta właśnie owa cecha, ale wyznam wam śmiało: chcecie mieć dobrą kurwę, weźcie sobie aktorkę... A wam co się stało? – spytałem, urywając myśl, bo widziałem, że Andrzej pobladł i silnie mruga oczami.

Odwróciłem się. W progu stała Natasza i przyglądała mi się z nieznacznym uśmiechem.

– Chętnie posłucham o aktorkach. Nigdy nie widziałam żadnej – powiedziała.

To jednak było zaskakujące, że otworzyła drzwi i weszła do pokoju, nie wzbudzając mojej uwagi. Inkwizytorów raczej nie szkolono w taki sposób, by dawali się zachodzić od tyłu. A na pewno w taki sposób nie szkolono mnie... Cóż, jak widać, miała ta moja dziewczyna wybitne talenty.

– Wiesz, Nataszka, ja tylko powtarzam, co gadają ludzie w Cesarstwie – odparłem szybko. – Nie żebym sam wiedział z doświadczenia, no bo i skąd? – Wzruszyłem ramionami.

– Tak właśnie myślałam. – Podeszła do mnie i objęła mnie w pasie. – Skąd byś mógł wiedzieć, prawda?

Obróciliśmy oboje wzrok na Wasyla, który skulił się za swoim stołem i starał się udawać, że wcale go nie ma w komnacie.

– Chciałam zobaczyć, jak on namaluje to, co widziałeś – powiedziała. – Opowiadałeś mi wszystko, ale to jednak inaczej zobaczyć obraz własnymi oczami, a inaczej tylko o nim słuchać. Myślisz, że mu się uda? – Krytycznym wzrokiem spojrzała na malarza.

– Nie mam pojęcia. – Pokręciłem głową. – A wiesz, co o nim plotą, Nataszka?

– Nie. Co?

– Że jak kogoś namaluje, to ten ktoś umiera...

– Nie „plotą”, tylko tak właśnie jest – sprostował mnie Andrzej niechętnym tonem, a ta niechęć spowodowana była na pewno moim sceptycyzmem.

– Och, bardzo ciekawe. – Natasza obróciła znowu uważny wzrok na Wasyla, który z pochyloną głową ucierał farby.

– Dlatego ma być pilnowany, by go przypadkiem nie podkusiło – rzekłem jeszcze.

– Myślisz, że to prawda?

– Nie sędzę. Podejrzewam raczej, że to najzwyczajniejszy przypadek. Opowiem ci historię, chcesz? Wy też posłuchajcie. – Odwróciłem się do Andrzeja. – Otóż kiedyś w Koblencji, to wielkie miasto w Cesarstwie, jedno z największych, była sobie pewna słynna krawcowa. I pech chciał, że trzy jej klientki, bogate mieszcзки, zmarły jedna po drugiej. Ktoś odkrył ten związek. Trzy kobiety, ta sama krawcowa i trzy śmierci. Więc oskarżono ją o czary...

– Ha! – rzekł Andrzej.

– Została aresztowana przez Święte Officjum, zresztą tylko dzięki temu uratowała życie, bo tłum by ją rozszarpał na strzępy, gdyby nie została uwięziona...

– Skoro to opowiadacie, podejrzewam, że nie była winna, prawda?

– Pewien inkwizytor zauważył, że wszystkie trzy suknie były czerwone, a materiał farbowano w jednej i tej samej farbiarni, w dodatku jednego i tego samego dnia...

– Trucizna – zawołał Andrzej. – Jak w szacie Dejaniry!

– Trucizna – potwierdziłem. – Więc słusznie nawiązaliście do dramatu i smutnego końca Herkulesa. Bowiem w tym wypadku do koszenili dodano arszeniku. To taka popularna trucizna – wyjaśniłem, na wypadek gdyby nie wiedzieli.

– Ale czemu? – otworzyła szeroko oczy Natasza. – Czemu chcieli zabijać niewinnych, przypadkowych ludzi? Po co?

– Uczniowi farbiarskiemu wpadła do kadzi butla z arsenikiem przygotowanym do tępienia szcurków – wyjaśniłem. – Bał się przyznać i nikomu o tym nie powiedział. Cała reszta była tylko konsekwencją jego tchórzostwa i milczenia.

– Ty byłeś tym inkwizytorem – domyśliła się Natasza i wypowiedziała te słowa z wyraźną dumą. – Ty to wykryłeś, prawda?

Uśmiechnąłem się.

– A co stało się z krawcową? – spytał ciekawie Andrzej.

– Spalono ją – odparłem.

– Dlaczego?!

– Bo nie umarła. Więc uznano, że przewyciężyła działanie trucizny dzięki czarom, a zresztą sama się do tego przyznała w trakcie przesłuchania.

– A uczeń?

– Powieszono go. W drodze łaski, gdyż miłosiernie uznano, że zawinił tylko nieostrożnością i tchórzostwem.

– Dziwnie wygląda wasza sprawiedliwość – westchnęła Natasza.

– Ale jednak był związek pomiędzy sukniami a śmiercią trzech kobiet! – Andrzej wymierzył we mnie palec. – Nie taki, jak sądzono, lecz był. Może więc między malowaniem portretów przez Wasylą a śmiercią jego klientów też jest związek? Ha!

– Nie ma – odparłem. – Sprawdziłem to.

Rzeczywiście tak właśnie było, gdyż pogadałem z jedną z dworek księżnej, znającą łacinę. Zresztą nie musiałem jej nawet zbytnio ciągnąć za język, bo była zachwycona, że ktoś jeszcze w Peczorze nie zna tej historii i można mu ją opowiedzieć. No i dowiedziałem się, że każda z ofiar zginęła w inny sposób. Upadek z konia na polowaniu, choroba i przypadkowa śmierć w czasie bójki. Malowanie obrazów przez Wasylą nie mogło mieć z tym nic wspólnego.

– Chyba że naprawdę potrafi zsyłać klątwę na ludzi – zamyśliła



się Natasza. – Mateczka potrafi to robić specjalnie, czarami, to może on umie niespecjalnie i malowaniem...

– Dobry inkwizytor niczemu nie daje pochopnie wiary, ale i niczego nie wyklucza – odparłem. – Więc z wielu powodów będzie lepiej, by Wasyl nie malował ludziom portretów.

Andrzej wzdrygnął się.

– Nie dałbym mu namalować mojego wizerunku, nawet gdyby stu inkwizytorów przekonywało mnie jeden przez drugiego, że te jego portrety nie mają nic wspólnego ze śmiercią portretowanych.

– Och – rzekłem. – Ja też nie pozwoliłbym sobie na pozowanie.

– A więc jednak! – klasnął w dłonie Andrzej. – Boicie się!

– Tak – skinąłem głową – boję się, że ktoś, kto bardzo wierzy w klątwę zsyłaną przez obrazy Wasyla, mógłby pomyśleć, że skoro klątwa nie chce się wypełnić, to on jej w tym wypełnieniu dopomoże. – Wzruszyłem ramionami. – A inkwizytorzy co prawda są przyzwyczajeni, by mieć wielu wrogów i że czyha na nich wiele niebezpieczeństw, lecz nie żywią perwersyjnej chęci ich pomnażania.

Wasyl zachrząkał i powiedział coś cichym głosem, cały czas trzymając opuszczoną głowę.

– Mówi, że jest gotowy – oznajmił Andrzej.

– Skoro tak, to zaczynajmy – zdecydowałem.

I nagle zdałem sobie sprawę, że nie wiem, w jaki sposób ubrać w słowa moje wizje. Owszem, opowiadałem o nich Nataszy, opowiadałem o nich Ludmile, ale one obie miały sobie tylko wyobrazić, co mówiłem. Natomiast Wasyl musiał to namalować. Oddać każdy detal, drobiazg i szczegół. Jak miałem mu to przekazać? Czy powinienem mówić o każdym omszałym pniu, który widziałem? O powyginanych gałęziach? O dziwnym brunatnym słońcu, jakby schlapanym zaschniętą krwią? Co było ważne, a co nieistotne?

Natasza dotknęła mojego ramienia.

– Zamknij oczy, mój miły – poprosiła łagodnym głosem.

Gdybym był sam z szalonym malarzem, nigdy w życiu nie zamknąłbym oczu. Gdybym był w towarzystwie malarza i Andrzeja, uczyniłbym to jedynie z najgłębszą niechęcią. Nawet nie z uwagi na brak zaufania do dworzanina księżnej, ale z obawy, że w razie jakiegoś niespodziewanego zdarzenia i tak by mi nie pomógł. Jednak z Nataszą mogłem czuć się bezpiecznie. Przecież nie raz i nie dwa razy zasypialiśmy we wspólnym łóżu przytuleni do siebie. Nie raz i nie dwa budziła się przede mną i siadała obok mnie. Czasami patrzyła na mnie, a raz zobaczyłem i poczułem, jak palcem wodzi po mojej piersi.

– Co robisz, Nataszka? – zapytałem.

– Piszę – odparła.

– Co piszesz?

– Runy – rzekła.

Dlatego teraz, kiedy poradziła mi, abym zamknął oczy, rzeczywiście zamknąłem oczy. Natasza splotła palce obu dłoni z moimi palcami. Czuję ciepło jej rąk.

– Przypomnij sobie, co widziałeś, przypomnij sobie, co mi opowiadałeś. Zaczynaj od pierwszego kroku. Kiedy znalazłeś się w lesie, to...?

Starłem się przenieść do chwil, w których przepływały przeze mnie wizje. Usiłowałem ubrać je w słowa, nie takie utkane z logicznych myśli, lecz z uczuć, które mną wtedy targwały, i obrazów, które mnie wtedy otaczały i obejmowały.

– Nie otwieraj oczu, miły – mówiła łagodnie Natasza. – Nie patrz. Spojrzysz dopiero na samym końcu i wtedy powiesz, co jest dobrze, a co jest źle.

Przyznam, że nie tak wyobrażałem sobie malarską sesję z Wasylem. Sądziłem raczej, że będę siedział tuż przy nim i dokładnie wyjaśniał, co ma narysować. Drzewo było bardzo szare i miało spękaną korę, ta gałąź była dłuższa, ścieżka węższa i większe kamienie – tak wydawało mi się, że krok po kroku

będzie powstawać to dzieło. Tymczasem po prostu opowiadałem i słyszałem, chociaż jakby przez ścianę i z oddali, tłumaczący moje słowa głos Andrzeja. Natasza trzymała mnie za rękę i czułem ciepło bijące od jej dłoni. Czułem spokój i czułem, że mogę swobodnie umysłem żeglować po krainie, którą wyśniłem. Że widzę tę krainę tak dobrze, tak ostro, tak barwnie i tak wyraźnie i że co ważne, potrafię o niej opowiadać w sposób zdumiewająco płynny i sięgając po sformułowania oraz opisy, jakich sam bym się po sobie nie spodziewał.

– Już nie mogę – usłyszałem w pewnym momencie zmęczony głos malarza. – Dość! Błagam, dość!

Chciałem otworzyć oczy, ale Natasza zakryła mi powieki dłonią.

– Nie, mój miły – powiedziała ciepło, ale stanowczo. – Jeszcze nie teraz. Dopiero kiedy wszystko skończymy. Otworzysz oczy dopiero wtedy, kiedy będziesz mógł zobaczyć wszystko. Całość.

– A kiedy właściwie skończymy? – wychrypiał malarz.

– Skończymy, kiedy skończymy – odparła Natasza. – Przyjdziemy jutro – oznajmiła.



Przychodziliśmy do Wasyla przez tydzień i każdego dnia siedzieliśmy po kilka godzin, zwykle tak długo, aż malarz po raz piąty i dziesiąty błagał, by już kończyć na dzisiaj. Natasza zazwyczaj pozwalała mu odejść od pracy dopiero wtedy, kiedy jego lament wydawał jej się całkiem szczery i bardzo, ale to bardzo rozpaczliwy. A Natasza każdego dnia siedziała przy mnie, trzymała mnie za dłonie, pomagała mi snuć opowieść i konsekwentnie nie pozwalała spojrzeć na powstające dzieło Wasyla. Jedyne, po czym mogłem wywnioskować, co się dzieje, to westchnienia Andrzeja i samego malarza. Dlaczego westchnienia? Ano dlatego, że Natasza surowo zakazała im się

odzywać i w jakikolwiek sposób komentować lub opisywać obraz, który powstaje. Kiedy drugiego dnia Wasyl zaczął mówić coś szybko i podekscytowanym tonem, a w wykrzykiwanych przez niego zdaniach słyszałem wyraźną przejmującą obawę, Natasza nie pozwoliła Andrzejowi tłumaczyć tych słów, lecz powiedziała do Wasyla:

– Jeśli nie umilkiesz, wyrwę ci język. Malarzowi niepotrzebny do niczego.

Więc przez następne dni już milczał.

Opowiadałem im o całej mojej podróży od początku do końca, a potem opowiadałem o niej od końca do początku, a jeszcze potem mówiłem dokładnie o tym, co było pośrodku, z boku, nad głowami i pod stopami. A jeszcze później Natasza zadawała coraz dokładniejsze pytania, coraz bardziej wnikliwe, dotyczące coraz drobniejszych detali. Kiedy nie umiałem od razu odpowiedzieć, potrafiła tak mną pokierować i tak mnie ukoić łagodnymi słowami, że pamięć, o dziwo, w pewnym momencie wracała, i to tak wyraźna, jakby nigdzie i nigdy się nie zgubiła. Obawiałem się tylko jednego: czy ta pamięć naprawdę wraca, czy też w jakiś sposób rodzi się tu i teraz nowy obraz, wydający się rzeczywistym wspomnieniem, ale tak naprawdę będący jego zastępstwem, a powstający tylko dlatego, że nie chciałem zawieść ani Nataszy, ani siebie. Trzeciego dnia, kiedy byliśmy już w sypialni i leżeliśmy przytuleni do siebie tak mocno, że aż sklejeni spoconymi skórami i złączeni nie tylko oddechami, ale również słodkimi myślami, które pozostały po sztormie namiętności, właśnie wtedy podzieliłem się z Nataszą wątpliwościami dotyczącymi mojej pamięci.

– Tak bardzo chcesz, żeby wszystko się udało, że aż tworzysz nowe obrazy w głowie? Byłoby niedobrze, prawda? – zmartwiła się.

– Oczywiście, że byłoby niedobrze – westchnąłem. – Na szczęście te przypomnienia dotyczą tylko detali, nie całości wizji.

Bo całość widzę bardzo dobrze, a z twoją pomocą wręcz doskonale.

– Może nie powinnam aż tak bardzo nalegać na każdy szczegół? – Ściągnęła usta, najwyraźniej zastanawiając się, czy nie popełniła błędu. – Jak sądzisz?

No i taka właśnie była Natasza. Zawsze gotowa, by na chłodno i bez urazy porozmawiać nawet o tym, jakie robi błędy. Było to niezwykle u tak młodej kobiety, i to kobiety zarówno ambitnej, jak i obdarzonej darem, siłą i jednak dużą pewnością siebie. A pomyśleć, że na samym początku wydawała mi się słaba i bezradna...

– O czym myślisz, że się tak uśmiechasz? – zagadnęła.

– Myślę o tym, że kiedy cię spotkałem, wydawałaś mi się taka krucha i bezbronna.

– Byłam bezbronna – odparła po chwili zastanowienia. – W pewien sposób cały czas jestem bezbronna. A ty nigdy nie wyrządziłeś mi żadnej przykrości.

– I niech tak zostanie – odrzekłem.



Nadszedł siódmy dzień naszej pracy i choć Bóg siódmego dnia już odpoczywał po stworzeniu świata, to i my byliśmy bardzo, bardzo blisko zakończenia naszej kreacji. Nieporównywalnej, rzecz jasna, z Bożym Dziełem, ale za to tak ważnej dla wszystkich mieszkańców Peczory, a przynajmniej i na pewno bardzo ważnej dla jej władczyni. Nie widziałem postępu prac, gdyż Natasza cały czas zabraniała mi otwierać oczy, ale kiedy słyszałem, o jakie pyta szczegóły, rozumiałem, że zbliżamy się do końca malowania. A jeśli pytała o detale, to znaczyło, że najważniejsze elementy nie budziły żadnych wątpliwości. I wreszcie kiedy ja byłem już bardzo zmęczony, a Wasyl lamentował, że nie może utrzymać pędzla w obolałych palcach, Natasza nakazała:

– Wyjdźcie wszyscy. Ty, Andrzeju, zostaniesz ze mną.

– Na Jezu Boga, ja też mogę wyjść, jeśli trzeba – niemal zaskomlał dworzanin.

Natasza nawet nie raczyła na tę propozycję odpowiedzieć. Byłem ciekaw, co sobie wymyśliła, ale nie zamierzałem jej przeszkadzać. W dziwny sposób objęła pieczę nad przedsięwzięciem, do którego tak naprawdę nie była nawet zaproszona, jednak miałem pewność, że wyjdzie z tego coś dobrego.

– Długo mamy zostać na zewnątrz? – spytałem.

– Idźcie do kuchni, zjedzcie coś, nie spieszcie się, a potem wróćcie – powiedziała. – Będziemy do tego czasu gotowi.

Kiedy znaleźliśmy się już za drzwiami, obróciłem się w stronę malarza.

– Słyszałeś, co powiedziała? Pójdziemy zobaczyć, co mają w kuchni do jedzenia.

Nie rozumiał mnie oczywiście, więc wykonałem gest, który wszędzie chyba na świecie oznacza jedzenie i picie. I chyba wszędzie na świecie gest ten powoduje, że człowiek, któremu go pokazano, uśmiecha się i staje się nieco bardziej życzliwy.

Wasył okazał się całkiem dobrym towarzyszem, bo szybko zdobył dla nas obfitą kolację, a miałem też wrażenie, że zarówno mnie, jak i jego chciano się jak najszybciej pozbyć z kuchni. No cóż, ja byłem inkwizytorem, cesarskim czarownikiem czy demonem, czy jak tam ci zabobonni, ogłupiali Rusini nazywali inkwizytorów, a Wasył był malarzem sprowadzającym śmierć na porządnych ludzi. Nic więc dziwnego, że nikt nie pragnął znaleźć się w naszym towarzystwie na dłużej, niż było to absolutnie konieczne. I żaden z kuchcików, podkuchennych czy kucharzy nie tylko nie chciał żadnego z nas dotknąć, ale widziałem, iż starali się trzymać jak najdalej od nas, jakby widzieli w nas trędowatych, których dotyk, muśnięcie, a może nawet powiew powietrza wywołany ich przejściem spowoduje zarażenie.

Kiedy szliśmy już w stronę schodów na piętro, szybkim krokiem podszedł do nas zaaferowany Andrzej.

– Dobrze, że jesteście. – Odetchnął, widząc nas. – Wszystko gotowe, możecie wracać.

– I co? Natasza była bardzo straszna? – Mrugnąłem do niego. Obrócił na mnie wzrok.

– Wiecie, co mi powiedziała, kiedy nie chciałem wejść na szczyt drabiny? Że wcale nie szkodzi, jak spadnę, bo to już ostatnie przybicia i każdy inny poradzi sobie z tym bez trudu...

– Empatia to drugie imię Nataszy – westchnąłem. – Ale o jakich przybiciach mówicie? Jaka znowu drabina?

Tym razem uśmiechnął się, lecz zauważyłem, że nagle w połowie uśmiechu zadrżały mu usta.

– Sami zobaczcie – mruknął i wzdrygnął się.

No i rzeczywiście zobaczyłem. Zobaczyłem, kiedy tylko weszliśmy do komnaty, w której spędziłem ostatni tydzień. Była ona rozjarzona blaskiem lamp i świec, a niemal cała ściana została zamieniona w wielki obraz. Wpatrywałem się w tę ścianę oszołomiony i znieruchomiały, nie mogąc oderwać wzroku od gigantycznego malowidła, które tutaj, w tym blasku, w tych kładących się na nim i zdających się je ożywiać płomieniach i cieniach, wydawało się bramą do innego świata. Do koszmarnego, zdegenerowanego i wynaturzonego uniwersum z moich wizji. Ten wielki obraz składał się z kilkunastu mniejszych namalowanych na drewnie, które połączone razem w pionie i poziomie tworzyły dzieło zarówno olśniewające, jak i przerażające.

– Boże w niebiesiech jedyny – wykrztusiłem wreszcie ze wzrokiem cały czas utkwionym w tym niezwykłym tworze.

Usłyszałem hałas i kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że Wasyl klapnął na podłogę. Siedział teraz wpatrzony rozwartymi szeroko oczami w ścianę, na której jednocześnie pyszniło się i potworniało jego arcydzieło...

– Nigdy, nigdy, przenigdy nie stworzyłem czegoś wspanialszego... – wyjąkał.

Patrzyłem na niego ze zdumieniem, bo on nagle po prostu zaczął szlochać. Miał ściągniętą twarz, a łzy ciurkiem płynęły po jego wychudłych i bladych policzkach. Zrozumiałem doskonale, że płacze z zachwytu nad własnym dziełem, ale co ciekawe, wcale nie z zachwytu nad samym sobą i własnym talentem. Nie było dla niego w tym momencie ważne, iż to on, nikt inny, stworzył owo przejmujące arcydzieło. Ważny był fakt samego istnienia owego arcydzieła i tego, że Wasyl mógł teraz i tutaj wraz z nami je podziwiać.

– Nikt nigdy nie stworzył czegoś wspanialszego – dodał ze łzawą egzaltacją.

Nie jestem znawcą sztuki, nie umiem jej wartościować i porównywać inaczej, jak posługując się niezwykle prostymi, by nie rzec: prostackimi kategoriami bazującymi na słowach „podoba mi się” lub „nie podoba mi się”. Nie mam pojęcia, czy wytrawny znawca sztuki uznałby ten gigantyczny obraz za godny miana wiekopomnego arcydzieła. Wiem jednak, że sięgał on do samych trzewi i do samego serca, że poruszał duszę i umysł, że budził strach. Że patrząc w mroczną otchłań, do której prowadziła ostatnia ścieżka wśród bagien, czuło się wstrętą wilgoć oblepiającą włosy i twarz. Że patrząc na to malowidło, wydawało się, iż brniemy w zatykającym dech w piersiach odorze zgnilizny. Widziałem oczy przyglądające nam się spośród krzewów, z koron drzew, z pękających purchli bagiennej toni. Słyszałem złowieszcze, nienawistne szepty, które krążyły w powietrzu, cichły lub potęgowały się. I czułem zło. My, inkwizytorzy, odczuwamy je często jako doznanie fizyczne, jako bolesny szturm na nasze ciało i nasz umysł. I ja to właśnie czułem.

Ten obraz był w pewnym sensie magiczny. Teraz, im dłużej mu się przyglądałem, tym lepiej to widziałem i wiedziałem.



Jednego byłem pewien: w Cesarstwie spalilibyśmy zarówno samo dzieło, jak i jego autora.

– To niezwykle – rzekłem wreszcie tylko, bo sam nie wiedziałem, co mogę powiedzieć, skoro aż tak bardzo brakowało mi słów.

– To wasze wspólne dzieło – powiedziała Natasza.

– Bez ciebie, Nataszka, mielibyśmy tylko puste, gołe deski – odparłem. – Bez ciebie nie powstałaby ani jedna kreseczka, ani jedna plamka.

– Naprawdę tak uważasz? – Spojrzała na mnie, a mnie zdziwiło jej zdziwienie.

– Jakżeby inaczej? – odparłem. – I nie chodzi mi tylko o to, że moje wizje zawdzięczam tobie. Chodzi mi o to, jak byłaś tu ze mną przez tydzień, jak trzymałaś mnie za rękę, jak pomagałaś mi, bym wskrzesił z pamięci wywołane wizjami obrazy... – Westchnąłem i uśmiechnąłem się. – Może ja jestem kołem młyńskim, a on – wskazałem głową Wasyla – jest żarnami mielącymi zboże, ale to ty, Nataszka, jesteś strumieniem, który nadał sens działania całej maszyny.

Przytuliła głowę do mojego ramienia i wpatrywaliśmy się w obraz jeszcze długą chwilę, badając każdy jego detal, każdą plamę, kreskę i smugę, czy może raczej wydawało nam się, że wszystko widzimy, bo za chwilę dostrzegaliśmy coś nowego...

– A więc w taki sposób ty postrzegałaś to, co ja widziałam – rzekła poważnie Natasza. – Teraz rozumiem, na czym polega nasza wspólna moc. Kiedyś tylko wiedziałam, teraz potrafię już zrozumieć...

– Patrz, wilk – rzekłem nagle. – Nie widziałem nigdy wilka w moich wizjach.

– Gdzie wilk? – Natasza zmrużyła oczy.

– Boże Jezu, jaki wilk?

Podszedłem bliżej do ściany, ale wtedy wilk zniknął, stając się po prostu jednym z cieni. Czyli był widoczny tylko przy

odpowiednim oddaleniu. Tak bywa z wielkimi obrazami. Znowu stanąłem na poprzednim miejscu i powiedziałem:

– Patrz, Nataszka. To grube drzewo, którego kora wygląda, jakby wprasowano w nią twarz chorego człowieka. Widzisz które?

– Widzę.

– Idź na prawo, w stronę kałuży w bagnie. Tej, z której wystaje oko zza pokrywy zielonego szlamu. Omiń oko...

– Idę...

– Widzisz ścierwo tego czegoś, co ma rogi i pazury? Teraz spójrz w prześwit pomiędzy drzewami. Tam, pod gałęziami, które wyglądają jak dłonie z uciętymi końcami palców...

– Wilk – szepnęła.

– Cień wilka – sprostowałem. – Nie mówiłem, aby nic takiego malować.

– Nie mówiłeś – zgodziła się.

– Powstał sam z siebie – rzekłem zamyślony. – Jako uboczny efekt kładzenia farby, tworzenia blasków i cieni. Wasyl pewnie nawet nie wie, że go namalował.

– Jest... ogromny.

– Jezu Boże, ja też go widzę – usłyszałem drżący głos Andrzeja.

– To tylko obraz – powiedziałem. – Martwy przedmiot. – Spojrzałem na niego. – Nie bójcie się obrazu, lecz tego, co on przedstawia – dodałem.

I bójcie się również, bo jak znam życie, to każą nam tam właśnie, w to miejsce pójść, pomyślałem. Ale tych słów nie wypowiedziałem już na głos, gdyż nie miałem zamiaru dodatkowo znęcać się nad i tak przerażonym dworzaninem.



Ostatni tydzień musiał być dla mnie bardziej wyczerpujący, niż rozumiałem i czułem na początku. Wydawało mi się, że owszem,

odczuwam zmęczenie, ale jest to zmęczenie, które przejdzie wraz z krótkim, sycącym snem. Lecz kiedy przymknąłem oczy, obudziłem się dopiero po całej nocy, całym dniem i całej kolejnej nocy nieprzerwanego snu. Co ważne i co dobre, nie miałem żadnych majaków, koszmarów i zwidów. Nie miałem również żadnych marzeń, a przynajmniej ich nie pamiętałem. Pamiętałem tylko, że od czasu do czasu przewracałem się na drugi bok, że układałem głowę to na lewym, to na prawym ramieniu, i jak przez mgłę pamiętałem również twarz Nataszy. Raz widziałem dziewczynę śpiącą obok mnie, a raz kiedy kładła mi chłodną dłoń na policzku i karku.

– Niemożliwe – rzekłem na głos, kiedy dowiedziałem się, jak długo spałem. – Wierzyć mi się nie chce...

– Byłam bardzo grzeczna i wcale cię nie budziłam – odparła z uśmiechem. – I mam nadzieję, że docenisz, jak długo byłam całkowicie i wręcz boleśnie wstrzemięzliwa... – Uśmiechnęła się.

– Bardzo doceniam. – Pocałowałem ją w usta.

Wstała z łóżka, podeszła do drzwi i krzyknęła pełnym głosem: „Śniadanie!”. Potem sięgnęła po dzbanek ze stołu i nalała płyn do kubka.

– Woda z liśćmi mięty – wyjaśniła. – Sama czerpałam wodę ze studni, sama gotowałam, sama zbierałam zioła. Pij spokojnie. Zaraz przyniosą śniadanie, bo kazałam im, żeby byli przygotowani.

Po tylu godzinach snu woda z miętą była niczym fontanna krystalicznej rozkoszy tryskająca na wyschnięte podniebienie oraz język. Wypiłem zawartość kubka jednym tchem, a Natasza natychmiast napełniła mi znowu naczynie. Jej zastrzeżenia co do tego, bym się nie obawiał trucizny, były ze wszech miar miłe, ale my, inkwizytorzy, jesteśmy szkoleni również w wykrywaniu toksyn. Chociaż tutaj, w tym barbarzyńskim miejscu, kto wie czy truciele nie mieli jakichś sposobów, o których w Cesarstwie nie wiadomo, albo nie stosowali roślin nierosnących w żadnym

cywilizowanym kraju.

– Usychałem – westchnąłem z wdzięcznością.

– Ja też. – Mrugnęła do mnie.

Zrozumiałem oczywiście, że usychała z innego powodu, i było mi więcej niż miło to słyszeć.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał cię już zostawić na tak długo – rzekłem.

– Będziesz musiał – westchnęła, a potem szybko zeskoczyła z łóżka, zanim zdążyłem spytać, co ma na myśli. – Aha, niosą! – zawołała. – Leniwe niecnoty!

Ludzi, którzy przynieśli śniadanie w czasie nie starczającym nawet na odmówienie koronki, nie nazwałbym niecnotami, nawet gdybym był nie wiem jak wymagający. Widać, że Natasza wzięła ich do galopu w sposób wręcz niewyobrażalny. Zwłaszcza niewyobrażalny na ruskim dworze, gdzie nawet kiedy ktoś nie wykonał rozkazu przełożonego, to myślał sobie: „A może jakoś to będzie? A może nie zauważą, że cały dzień przedrzemałem w kącie przy piecu?”. I dużą część z tych ludzi jedynie bat potrafił skłonić do roboty. Nawet nie zagrożenie batem, ale właśnie bat. Zresztą czyż stare ruskie przysłowie nie mówiło: „Jeśli chcesz, by cię słuchano, najpierw chłostaj, dopiero potem wydawaj rozkazy”. Jednak, jak widać, Natasza potrafiła sobie świetnie poradzić z owym lenistwem, nieróbstwem i lekceważeniem, i to bez użycia siły.

Przyznam również, że zadbała o mnie po królewsku. Postawiono przede mną tacę wypełnioną jedzeniem. A stały na tej tacy półmiski z jeszcze ciepłą i parującą pieczeńią, miska piwnej polewki z serem, zimna szynka, gorąca kiszka, gruba niczym męskie przedramię, ryba obłożona ziołami, pieczone ptasie udka ze złotą i, głowę dałbym, chrupiącą skórką!

– Na miecz Pana, a któż to niby wszystko ma zjeść? – spytałem w zachwycie i dopiero wtedy poczułem, jak bardzo, bardzo jestem głodny.

Więc zabrałem się do niszczenia tych zapasów, a Natasza, popijając wodę z miętą, przyglądała mi się z uśmiechem na poły rozbawienia, a na poły satysfakcji.

Kiedy wydawało mi się, że już nic, kompletnie nic nie mogę zmieścić, wówczas postanowiłem nie poddawać się i przez chwilę jeszcze jadłem, już nie z głodu i nawet nie z apetytu, ale z grzesznego i godnego potępienia łakomstwa. Cały czas i w każdym kęsie usiłowałem znaleźć zapał z początków posiłku, lecz rzecz jasna, już go nie odnalazłem. Rozparłem się więc wygodnie w krześle i popiłem jeszcze jednym kubkiem polewki.

– Wiesz, Nataszka, że w Afryce są takie węże, które jedzą raz na pół roku? Są przeogromne i potrafią połknąć nie tylko człowieka, ale nawet całego konia z kopytami i łbem. Niektórzy mówią też, że mogą nawet połknąć słonia, kiedy dorosną do naprawdę wielkich rozmiarów. A potem przez pół roku leżą w swej kryjówce pogrążone we śnie czy w jakimś rodzaju letargu i zajmują się jedynie trawieniem.

– Nie dam ci pół roku. – Podniosła palec. – Dam ci pół godziny.

Na początku wydawało mi się, że to zdecydowanie zbyt mało czasu, by odzyskać siły i, przede wszystkim, lotność ducha przytłoczonego ku ziemi tak wielkimi ilościami jadła. Ale kiedy w pewnym momencie Natasza wstała, ściągnęła koszulę przez głowę, uniosła ramiona i uśmiechnęła się do mnie zachęcająco, uznałem, że pół godziny to wystarczający czas na odpoczynek po posiłku...

Zabawiliśmy dość długo, tym razem ciesząc się zwyczajnymi (i nadzwyczajnymi) figlami, na szczęście bez żadnych niespodziewanych dodatków w rodzaju koszmarnej wizji, fantasmagorii, majaków i przywidzeń. Właśnie ta zdolność bycia razem bez przeżywania nadnaturalnych perypetii mogła nam przynajmniej na chwilę dawać złudzenie, iż jesteśmy zwykłymi ludźmi cieszącymi się wzajemną bliskością, a nie dwojgiem dziwadeł wykorzystywanych przez złąkioną władzę księżną.

Pocieszające było chociaż, iż służyliśmy dobrej sprawie, a przynajmniej czemuś, co na pierwszy rzut oka wydawało się dobrą sprawą. Inkwizytorzy bowiem doskonale wiedzą, iż w życiu bywa i tak, że zwycięstwo małego dobra oznacza czasami wielki triumf zła, a zwycięstwo małego zła prowadzi do wielkiego triumfu dobra. Oczywiście może być i tak, że ów wielki triumf dobra prowadzi potem do monstrualnej wiktorii zła. Aby jednak nie popadać w zwątpienie, trzeba powiedzieć, iż monstrualna wiktoria zła może poprowadzić ku niezmiernemu i miażdżącemu panowaniu dobra. I dlatego właśnie nigdy nie wiadomo, co tak naprawdę trzeba czynić, a my, inkwizytorzy, zdajemy się nie tyle na wyrozumowaną logikę działania, ile na łaskę Pańską, wierząc, że to Bóg powiedzie nas tą drogą, którą uważa za najszlachetniejszą.

– Ależ mi się chce spać – westchnęła Natasza. – Jestem zmęczona, jakbym Kamienie przeniosła w tę i z powrotem.

– To chyba dobrze – odparłem.

Przez chwilę czułem się jeszcze tak, jakby każdy mój mięsień żył własnym życiem i drgał w rytmie tylko znanej melodii, kompletnie zresztą innej niż jego pozostali towarzysze. Ale kiedy ucichł już łomot serca i pulsowanie krwi w głowie, przesunąłem się na skraj łóżka i zsunąłem nogi na podłogę.

– Hej, nie zostawiaj mnie... – usłyszałem zaspany już głos Nataszy.

– Po tych dwóch dniach nieróbstwa może bym trochę rozruszał nogi... – odparłem.

– No co ty, jeszcze się nie rozruszałeś? Ech... No dobrze, idź sobie, tylko bądź grzeczny...

Ubrałem się i wyszedłem, sam nie bardzo wiedząc, co właściwie chcę zrobić. Księżna, od kiedy odkryłem tajne przejście i od kiedy regularnie sypiałem z Nataszą, nie wymagała już, bym czuwał pod jej drzwiami czy w jej komnacie. Wydawało się, że czuła się teraz całkowicie bezpieczna, a ja zastanawiałem

się tylko, czy nie pokłada zbyt wielkiego zaufania w naszych zdolnościach do przewidywania niebezpieczeństwa. Na wszelki wypadek własnoręcznie i dokładnie zabiłem długimi gwoździami kłapę prowadzącą do tajnego przejścia. Księżna co prawda krzywiła się, że w ten sposób niszczę cały sens posiadania sekretnej drogi ucieczki, ale jednak udało mi się ją przekonać, że przynajmniej na razie lepiej trzymać to przejście zamknięte, zwłaszcza że zamknięte zostało jedynie prowizorycznie. A poza tym zawsze wystarczą zwykłe obcegi i chwila pracy, by z powrotem przywrócić je do działania. My, inkwizytorzy, znamy też pewne modlitwy i symbole, które mają chronić pomieszczenia przed złymi mocami. Użyłem ich, by jak najsolidniej zabezpieczyć sypialnię Ludmiły, lecz doskonale zdawałem sobie sprawę, że w konfrontacji z naprawdę silną czarną magią pomoc może tylko osobista obecność inkwizytora, a nie zostawione przez niego znaki.

Ponieważ księżna nie traktowała mnie już jak przedpokojowego psa stróżującego, miałem wręcz nadzieję, że może niedługo dorobię się z jej łaski własnej kwatery. Nie żebym nie lubił towarzystwa Nataszy, bo bardzo je lubiłem, lecz czasami człowiek potrzebuje odrobiny samotności. Teraz właśnie miałem chęć nie tylko na spacer (rzeczywiście chciałem się trochę rozruszać, jak tłumaczyłem Nataszy), ale również na chwilę samotności. Postanowiłem, że przejdę wzdłuż murów i postaram się z nikim nie wdawać w żadne konwersacje. Zresztą była to obietnica łatwa do spełnienia, ponieważ cały czas nie znałem po rusku żadnych słów poza najprostszymi, a zresztą nie widziałem nigdy nadmiaru chętnych chcących spijać złote myśli z moich ust. Przyglądać mi się z ukrycia, podążać moim śladem w grzesznej ciekawości, gdzie idę i co robię (nawet gdy szedłem za potrzebą) – o tak, to było typowe zachowanie peczorskich służących. Ale poza sytuacjami, kiedy koniecznie musieli się do mnie zbliżyć, starali się trzymać ode mnie z daleka. I powiem

szczerze: wcale mi to nie przeszkadzało.

Jednak moje marzenia o samotnej przechadzce prysły w chwili, kiedy zobaczyłem Andrzeja. Dworzanin księżnej wyszedł zza rogu korytarza i wycelował we mnie palec.

– Wreszcie jesteście – rzekł. – Przyznajcie sami, jakie mam wycucie, by trafić na was po dwóch dniach nieobecności.

– Kazaliście któremuś ze służących pilnować, kiedy wyjdę od Nataszy, i wtedy miał on was o tym zawiadomić – odparłem. – Zrobiliście to, jestem pewien, na rozkaz księżnej. Dostaliście wiadomość od służącego, więc wysłaliście go, by przekazał ją Ludmile, a sami wyszliście mi naprzeciw. Ot, cała tajemnica...

Machnął ręką i wzruszył ramionami.

– Ech, odzieracie tajemnicę z magii... – mruknął.

– Cóż chcecie – powiedziałem. – Inkwizytor, zanim zacznie wierzyć w przypadki, które oczywiście nie tylko się czasami zdarzają, ale potrafią być naprawdę zdumiewające, musi najpierw zbadać logikę zachodzących wydarzeń. Ale jeśli pozwolicie, to chciałem wyjść na spacer...

– O, doskonale, będę wam więc z radością towarzyszył – zaoferował.

No i tyle wyszło z samotnej przechadzki, w czasie której miałem zamiar udać się w fascynującą podróż w głąb własnego umysłu. No cóż, zobaczymy, co dzień jeszcze przyniesie. Towarzystwo Andrzeja nie było przecież najgorszą możliwością.

– Wiecie, że Wasyl powiedział, że woli umrzeć, niż spać w tej komnacie, i nie chce nigdy do niej wchodzić ani nigdy więcej nie chce widzieć swojego obrazu? – zagadnął Andrzej.

– Ha! – odparłem. – A przecież tak był dumny z tego arcydzieła...

– Myślę, że nadal jest dumny. Ale jest również przerażony. Mówi, że obraz szepce do niego...

– Szepce – powtórzyłem. – Cóż, oddał dziełu wiele sił i talentu, więc uważa je, i słusznie, za w jakiś sposób magiczne...



– Myślicie, że tam... – Zagryzł usta i odwrócił wzrok. – Że nie ma się czego bać?

– Zawsze należy bać się gniewu Bożego – odparłem wymijająco.

Skrzywił się.

– Nie o to mi chodzi. Czy tam naprawdę nie ma magii? Czarnej magii?

– Boicie się, że coś wyjdzie z tego obrazu?

Przeżegnał się gwałtownie trzy razy i obiema dłońmi zgniótł ślad po krzyżu.

– Jezu Boże, nie! Nie mówcie tak nawet!

– Że was coś wciągnie do środka?

– Przestańcie! – wrzasnął. – Też już nigdy nie wejdę do tego pokoju!

– Nie zastrzegajcie się, bo i tak zrobicie, co księżna wam każe. – Uśmiechnąłem się złośliwie.

– Specjalnie mnie straszycie – burknął i klapnął z impetem na stojący pod ścianą zydeł. Objął ramiona dłońmi, chyba bezwiednie, bo ten dziecięcy czy kobiecy gest nie pasował przecież do dorosłego mężczyzny.

– Obrazy to obrazy – rzekłem. – To płótno, deska lub ceramika, to podkłady i farby. Obrazy są przedmiotami, takimi samymi jak kubek, kielich czy szafa. Nie są mistycznymi bramami do innych światów.

– A skąd niby możecie wiedzieć... – Wzdrygnął się. – Słyszałem kiedyś o szafie, z której prowadziła droga do innego świata...

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

– Tak samo jak o kijach samobijach, stoliczku nakryj się, złotej rybce czy demonie z butelki... Jako dziecko również słyszałem wiele klechd, bająn, baśni, opowieści i legend. Jako człowiek dojrzały i inkwizytor usłyszałem ich zapewne jeszcze więcej. I co z tego?

– A ja tam wolę dmuchać na zimne – powiedział z uporem

w głosie.

– No i dobrze... A właściwie czym wam mogę służyć, skoro czekaliście na mnie?

– Jej Wysokość wezwała do Peczory kilku tropicieli – wyjaśnił.  
– Będą oglądać obrazy namalowane z waszych wizji. Kto wie, może rozpoznają, skąd i dokąd prowadzą drogi, które żeście widzieli...

– Może i tak – odparłem bez szczególnego przekonania.

– Nie wierzycie?

– Sami wszyscy wy, Rusini, chwalicie się tym, jak wielkie, niedostępne i nierozpoznane są wasze lasy oraz bagna. A tu chcielibyście, aby jakiś tropiciel poznał, czego dotyczy jeden obrazek? I żeby się okazało, że akurat w tym sportretowanym lesie kiedyś był?

– Ktokolwiek trafił w to miejsce, na pewno je zapamiętał – odparł Andrzej cicho.

– Z tym chętnie się zgodzę. Ale jeszcze przed wszystkim należy przyjąć śmiało założenie, iż to miejsce w ogóle istnieje, a nie jest jedynie wytworem mojego umysłu, jakąś przemienioną rzeczywistością, nieprzypominającą prawdziwego obrazu bagien.

Milczał dłuższą chwilę.

– Same kłopoty, co? – odezwał się w końcu.

– Kłopoty. Wątpliwości. Pytania. Nazwijcie to, jak chcecie, ale ten splot gordyjskich węzłów nie zapowiada się na łatwy ani do rozsypłania, ani nawet do rozcięcia.

Pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Chodźcie ze mną – rzekł wreszcie. – Księżna siedzi u Wasyla w komnacie i ogląda wasze dzieło. Pragnie, abyście jeszcze raz na nie spojrzeli.

– Pan każe, sługa musi – odrzekłem.

Z jednej strony wcale nie byłem zachwycony, iż będę oglądał to monstrualne arcydzieło, z drugiej jednak byłem bardzo

ciekaw, jakim okiem spojrzę na nie teraz, po dwóch dniach odpoczynku. Nie byłem już w tym dziwnym stanie uważnej ekstazy i wyostrenia zmysłów, w jakim współuczestniczyłem w tworzeniu obrazu, więc oględziny mogły stać się tym bardziej interesującym doświadczeniem. Zastanawiałem się bowiem, w jaki sposób odbiorę dzieło z umysłem zimnym i trzeźwym, spokojnym i wypoczętym.

Kiedy weszliśmy do kwatery Wasyla, wnętrze było oświetlone w podobny sposób, w jaki to zapamiętałem z dnia, w którym pierwszy raz oglądałem malowidło. Jediną różnicą było, że Ludmiła siedziała na krześle z wysokim oparciem ustawionym na środku pokoju. Siedziała i wpatrywała się w obraz.

– Wasza Książęca Mość, zgłaszam się do usług Waszej Książęcej Mości – oznajmiłem grzecznie.

– Gdyby nie ta twoja, to kazałabym cię za łeb zerwać z wyra i dobrze ochlustać zimną wodą. Kto to widział tyle spać!

Och, dzięki ci, Nataszko, pomyślałem z wdzięcznością, gdyż oczywiście doskonale zrozumiałem, kogo Ludmiła ma na myśli, mówiąc „ta twoja”.

– Stań obok i patrz – rozkazała.

– Czy Wasza Wysokość widzi cień wilka?

– Nie widziałam, ale od kiedy mi pokazali, gdzie jest, widzę go już bez kłopotu...

Zerknęła na mnie.

– Kiedy zobaczyłeś ów cień, pomyślałeś o tym przeklętym łotrze, prawda?

Mówiąc „przeklęty łotr”, Ludmiła miała oczywiście na myśli skrytobójcę, który w czasie przesłuchania (ale prowadzonego bez stosowania tortur) wyznał, iż prowadzono go do lasu, do wielkiego czarnego wilka z pałającymi ślepiami. I ten właśnie wilk kazał mu zamordować księżną.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Nadal jednak dziwię się, dlaczego leśne demony, których istnienia, jak przypominam, nikt

jeszcze nie udowodnił, miałyby wynajmować takiego pomyleńca.

– Trafił im się – wtrącił Andrzej.

– Próbują wymacać to tu, to tam. Sprawdzić, gdzie jest słabizna – wyraziła przypuszczenie księżna.

– Być może – zgodziłem się. – I w takim razie najbardziej zastanawiałby mnie fakt, dlaczego nic niepokojącego nie dzieje się teraz.

– To chyba dobrze, że jest spokojnie – znowu odezwał się Andrzej.

– Niekoniecznie – powiedziałem. – Przygotowaniom do ataku towarzyszy zwykle spokój.

– Cisza przed burzą – dopowiedziała księżna i zmrużyła oczy. – No dobrze, na razie patrz, inkwizytorze. Może dojrzysz coś nowego.

Znowu obróciła wzrok na malowidło.

– A powiem ci tylko jeszcze, powiem wam obu, że nigdy nie widziałam czegoś podobnego jak ten obraz. Ale ze mnie co, zwykła wiejska baba, co ja w życiu w ogóle widziałam poza Peczorą? – Wzruszyła ramionami. – Więc ty mi powiedz, inkwizytorze, bo jesteś człowiekiem bywałym w świecie, czy słyszałeś kiedyś o podobnym obrazie?

Pomyślałem chwilę nad odpowiedzią.

– Jeśli chodzi o wielkość, Wasza Książęca Mość, to owszem, widziałem obrazy takie i nawet większe, jak chociażby freski w koblenckiej katedrze czy fresk w siedzibie Świętego Officjum w Hez-hezronie, żeby wymienić tylko najsłynniejsze. Pomimo że ten obraz jest wielki, to widziałem nawet większe płótna, choć zapewne nie ma ich wiele. Jeśli chodzi o artystyczny kunszt... – kontynuowałem – nie mam wystarczająco dużo wiedzy, by go ocenić, ale wydaje mi się idealnie i w sposób godny podziwu odzwierciedlać rzeczywistość. Drzewa wyglądają tu jak prawdziwe, bagno wygląda, jakby za chwilę miało zbulgotać i wysłać smrodliwy opar... Widać niemal każde źdźbło trawy,

nawet krople na liściach i słupek tych spotwornianych rdzawych kwiatów... A więc chociaż nie wiem, czy doskonała imitacja jest artyzmem, to jeśli nim jest, to tak, mamy tu do czynienia z artyzmem...

Księżna westchnęła.

– A wydawało mi się, że zadałam proste pytanie – powiedziała.  
– Mów dalej – dodała zaraz, więc zrozumiałem, że moja długa odpowiedź raczej ją zaciekawia, niż irytuje.

– Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę wrażenie, jakie to dzieło wywiera, to z ręką na sercu mogę powiedzieć, że nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałem. Kiedy patrzę na ten obraz, to w pewnym momencie nie chce mi się wierzyć, iż jest tylko kreacją, na którą składają się zręcznie przygotowane deski i umiejętnie położone farby. Krajobraz tu przedstawiony zdaje się żyć, pulsować, oddychać... Zdaje się do nas przemawiać i przez nas przenikać, tak jakbyśmy patrząc na ten obraz, coraz bardziej stawali się częścią tamtego świata, a oddalali się od naszego...

– Na Jezu Boga, przestańcie! – wykrzyknął zdławionym głosem Andrzej.

Ludmiła uśmiechnęła się samymi kącikami ust. Nie zganiała dworzanina, lecz sama, jak widać, nie poddawała się łatwo magicznej atmosferze.

– To prawda, tak właśnie jest – zgodziła się ze mną.

– Jeśli wolno mi zapytać, czy Wasza Księżęca Mość dojrzała może coś, czego nie dojrzał nikt inny?

– Zobaczyłam klatki – powiedziała i zerknęła na Andrzeja. – Andrzej mówi, że nikt wcześniej ich nie widział. Tak?

– Nic nie wiem o żadnych klatkach – odparłem zdziwiony.

– Spójrz w sam dolny lewy róg – poradziła. – Tam gdzie gałęzie splątują się jak macki zakończone pazurami. One zasłaniają... widzisz już co?

– Klatka – rzekłem. – I chyba kawałeczek kolejnej – dodałem,

mrużąc oczy. – Tak jakby ich szereg miał się ciągnąć dalej, tam gdzie nie sięga już obraz.

– Będziesz dzisiaj w nocy siedział tu ze mną – rozkazała Ludmiła. – Każ mu przynieść krzesło, Andrzej – zwróciła się do dworzanina. – Bo chcę, żeby myślał o obrazie, a nie o tym, że bołą go nogi.

– Tak jest, Wasza Wysokość...

– Byłbym wielce zobowiązany Waszej Wysokości, gdyby powiadomiono Nataszę, iż nie wrócę na noc – wtrąciłem.

– Tak, koniecznie – zgodziła się Ludmiła i zwróciła na mnie kpiące spojrzenie. – Bo przecież ta dziewczka rozwali mi zamek, jeśli zacznie podejrzewać, że coś złego dzieje się jej inkwizytorowi...

– Nataszka jest po prostu wrażliwa – powiedziałem.

Ludmiła uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– O, na pewno – zgodziła się ze mną ironicznie.



Być może jest to zdumiewające, mili moi, ale przyznam, że noc w towarzystwie Ludmiły upłynęła mi całkiem przyjemnie. Oczywiście, jeśli za przyjemne można uznać wpatrywanie się przy migoczącym blasku świec w arcydzieło koszmaru. Siedzieliśmy w milczeniu, od czasu do czasu tylko wymieniając się uwagami typu:

– Spójrz, inkwizytorze, czy to przypadkiem nie jest jakiś rogaty potwór?

– Nie wydaje mi się, wasza miłość. Sądzę, że to raczej zagięty liść...

A potem księżna pochwaliła mnie nawet.

– Dlatego chciałam ciebie. Ty jeden potrafisz mi powiedzieć prawdę. No, może jeszcze Makary – dodała, myśląc o swoim kanclerzu. – Ale on jest prawie ślepy, więc tu by mi się wcale nie

przydał.

– Mówienie prawdy jest dowodem szacunku – stwierdziłem.

Skinęła głową, ale zaraz potem dodała:

– Niektórzy władcy za tym nie przepadają.

Później milczeliśmy już dość długo, aż wreszcie z rozbawieniem usłyszałem z fotela Ludmiły ciche pochrapywanie. Spojrzałem i zobaczyłem, że księżna przechyliła głowę na oparcie i zasnęła. No cóż, bardzo mnie cieszyło, że magiczne oddziaływanie tego obrazu kompletnie nie robiło na niej wrażenia. Wasyl zwariował niemal ze strachu, a Andrzej zachowywał się niczym zabobonny barbarzyńca (no dobrze, uczciwszy prawdę, właśnie tym był, pomimo pozorów wykształcenia: zabobonnym barbarzyńcą). Oczywiście w samym dziele nie zawarto magii rozumianej jako nasycenie czarem lub urokiem. Był po prostu niezwykły, nadzwyczajny kunszt malarza, wsparty aurą grozy wynikającą nie tylko z przedstawienia samego miejsca, ale też sposobu, w jaki owo przedstawienie się dokonało. Ponieważ wizje Nataszy i moje były niewątpliwie mistyczne i dotyczyły miejsca zamieszkiwanego przez istoty uprawiające jakiś rodzaj czarnej magii, więc owa nadnaturalna aura w oczach obserwatorów otaczała również samo malowidło. Ale tak jak powiedziałem wcześniej – pomimo artystycznej niezwykłości prawdziwej magii zaklęto w nim tyle, co w starej szafie z drzewa jabłoni.

Do rana pilnowałem światła, zmieniając świece, kiedy było to potrzebne, a Ludmiła w tym czasie chrapała, gwizdała, poświstywała i wydawała z siebie różne inne dziwne odgłosy, których śpiący nie zauważają, a których bardzo, ale to bardzo nie lubią ci, którzy usiłują zasnąć w ich towarzystwie. Ja oczywiście nie tylko nie zasnąłem, ale nie miałem najmniejszego zamiaru próbować zasnąć. Po pierwsze, byłoby to niewłaściwe, po drugie, naprawdę chciałem jeszcze raz spokojnie i dokładnie przyjrzeć się obrazowi. Jednak pomimo najszczerzych chęci nie

dostrzegłem w nim nic, czego nie zauważyłbym wcześniej. W jarmarcznej opowieści pewnie zasnąłbym i obudził się już na tych złowrogich mokradłach, zmuszony walczyć ze stworami wypełzłymi z zarośniętej rzesą toni. Albo jakaś demoniczna istota z trzęsawisk opanowałaby mój umysł, bym w rezultacie został jej posłuszną marionetką. Albo pojawiłaby się precudnej urody nimfa wodna, która zauroczyłaby mnie i zaprosiła na płasy, w trakcie których okazałoby się, że jest rozkładającym się ścierwem ohydnej staruchy wiedźmy. Tak, tak by pewnie było. Ale moje życie to nie jarmarczna opowieść snuta ku rozkoszowaniu gawiedzi dreszczykiem grozy. Dlatego nie spodziewałem się po tej nocy żadnych cudów i żadne cuda nie nastąpiły. Chyba że za cud uznać, iż Ludmiła w niewygodnej przecież pozycji smacznie przespala całą noc. A kiedy obudziła się o świcie, spojrzała na mnie.

– Chyba przymknęłam oko na chwilę lub dwie... – powiedziała.

– Nie zauważyłem – odparłem z kamienną miną.

Dostrzegła światło dnia wyłaniające się spomiędzy szpar okiennic i roześmiała się.

– Mówienie prawdy jest wyrazem szacunku – rzekła, grożąc mi żartobliwie palcem.

No cóż, trzeba przyznać, że księżna potrafiła być urocza na swój sposób.



Andrzej powiadomił mnie, że księżna wezwała do siebie kilku tropicieli.

– Będą oglądać te obrazy namalowane z waszych wizji – wyjaśnił. – Kto wie, może rozpoznają, skąd i dokąd prowadzą drogi, które żeście widzieli...

– Może i tak – odparłem bez szczególnego przekonania.

Kilka dni później do komnaty Nataszy zastukał blady jak



śmierć chłopczyna. Uciekając ze wzrokiem, wydukał coś po rusku.

– Księżna mnie wzywa – wyjaśniła Natasza i nie usłyszałem w jej głosie zdziwienia.

Wstałem, a przysłany służący zaczął mówić coś jeszcze szybciej, jeszcze bardziej niewyraźnie i jeszcze mocniej wbijał wzrok w podłogę.

– On mówi, że tylko ja mam iść – stwierdziła i położyła mi rękę na ramieniu. – Coś nowego, ty będziesz czekał na mnie... – Uśmiechnęła się.

– Nie podoba mi się to – mruknąłem.

Oparła się o mnie i przysunęła usta do mojego ucha.

– To takie słodkie, że się martwisz – zaszepotała. – Ale nie bój się, że ktoś zrobi mi krzywdę. – Potem liznęła mnie w ucho. – To ja jestem od robienia krzywdy – dodała ze śmiechem.

Cóż, ta wrażliwa, delikatna dziewczyna wezwana na audiencję do barbarzyńskiej księżnej, władczyni znanej z tego, że potrafi postępować z bezlitosnym okrucieństwem, dziewczyna, która będzie przebywała w towarzystwie na pół dzikich puszczańskich tropicieli, mówiła mi, abym się nie przejmował. I wiecie co, mili moi, naprawdę chyba nie musiałem się przejmować.



## Rozdział czwarty

# Dom bez ścian



**W** Peczorze nie kłopotano się zazwyczaj pukaniem i każdy byle sługa wchodził do czyichkolwiek komnat jak do swoich. Na szczęście w pokoju Nataszy było solidne zamknięcie na żelazny skobel i dziewczyna używała go zarówno wtedy, kiedy była sama, jak i wtedy, gdy byliśmy razem. Co prawda akurat Nataszy bardzo się lękano i słudzy nadzwyczaj niechętnie odwiedzali jej pokój, jeśli ona w nim była. A posłanie kogoś do niej z pytaniem czy zadaniem uważano wśród książęcych dworzan za wyraz niełaski zwierzchnika wydającego podobny rozkaz.

Łomotanie do drzwi obudziło nas oboje. Natasza zdjęła ze mnie nogę, westchnęła i odwróciła się na drugi bok.

– To po ciebie – mruknęła sennie. – Idź.

Potem naciągnęła kołdrę na sam czubek głowy tak, że spod poszwy sterczała tylko kitka jej jasnych włosów. Zerknąłem w stronę okiennic i przez szpary zobaczyłem, że światło dnia ledwo, ledwo rozprasza nocne ciemności. Taką porę trudno nazwać nawet porankiem i na pewno nie jest ona odpowiednim czasem na wstawanie. Zwłaszcza dla człowieka, którego towarzyszką była nocą w naprawdę figlarnym nastroju i energicznie dawała temu wyraz.

Wstałem z niechęcią (bo pod kołdrą było przynajmniej ciepło, a poza łóżkiem zimno) i zbliżyłem się do wejścia.

– Kogo diabli niosą? – warknąłem.

Zza drzwi odezwał się ktoś, kto gadał tak szybko, że nawet gdyby mówił po łacinie, a nie po rusku, to pewnie i tak bym nie zrozumiał, czego chce.

– Idź do diabła – rozkazałem i odwróciłem się.

– Otwórz mu – dobiegł mnie od strony łóżka głos Nataszy.

Westchnąłem, odsunąłem skobel i uchyliłem drzwi. Na progu stał zaaferowany, czerwony na twarzy chłopak i kiedy mnie ujrzał, znowu zaczął gadać z taką prędkością, jakby startował w zawodach na liczbę słów, które można wyrzucić z paszczy w czasie trwania jednego oddechu.

– Ubierz się i idź do księżnej. Czeka na ciebie – dobiegł mnie znowu głos Nataszy.

Usłyszałem skrzypnięcie łóżka, a kiedy odwróciłem głowę, zobaczyłem, że dziewczyna obróciła się w moją stronę, oparła łokieć na poduszce i podparła brodę na dłoni. Dworzanin aż się cofnął, kiedy ujrzał jej wzrok, a przecież ani nie była zła, ani zdenerwowana. Po prostu słuchała.

– I lepiej zrób to szybko – westchnęła. – Bo nie wiadomo czemu księżna jest zła jak osa.

– Wspaniała pobudka – burknąłem i machnąłem ręką, rozkazując słudze, żeby sobie poszedł.

Zamknąłem drzwi i znowu przesunąłem skobel.

– Idź, idź – przykazała mi jeszcze Natasza z łóżka, po czym znowu ułożyła się i nakryła kołdrą.

Nie jest dobrze wstawać rano. Nie jest dobrze wstawać rano, kiedy nie można tego zrobić z miłą perspektywą zjedzenia smacznego śniadania lub leniwego potapiania się w balii z ciepłą wodą. Albo chociaż ochlapania twarzy zimną. Kiedy nie można nawet pomyśleć o przytuleniu się do krągłości młodej i chętnej kobiety, bo zaraz usłyszysz się głos: „Co robisz?! księżna wzywa! nie ma czasu na głupstwa!”. Kiedy nie można założyć czystego, suchego odzienia, bo wszystkie materiały są wilgotne i sprawiają wrażenie stęchłych.

– Może księżna każe mi chociaż podać śniadanie – mruknąłem pod nosem.

– Nie liczyłabym na to – usłyszałem jeszcze głos Nataszy dobiegający spod kołdry.

No proszę bardzo, ktoś tu miał naprawdę świetny słuch. A niedługo miało się również okazać, że ten sam ktoś miał znakomite zdolności przewidywania. Bo o poczęstunku śniadaniem nie było nawet mowy.

To, że Ludmiła była w złym humorze, dało się poznać na pierwszy rzut oka. Siedziała pochylona w fotelu, włosy miała w nieładzie, a zamiast sukni ubrana była w długą po kostki koszulę z szarego płótna i narzucony na ramiona sobolowy serdak. Aha, i miała jeszcze na stopach buty, też futrzane. Jeden z szarego, drugi z rudego futra.

– Wreszcie – powitała nas nieprzyjemnym tonem.

„Nas”, gdyż wraz ze mną był Andrzej, któremu również kazano się stawić.

Nie poprosiła, byśmy usiedli, a ponieważ w Peczorze panowały dość swobodne obyczaje i księżna była raczej łaskawa dla najbliższych dworzan, więc tym bardziej odebraliśmy jej zachowanie jako dowód niełaski lub zdenerwowania. Ale jeśli niełaski, to czym wywołanej? A jeśli zdenerwowania, to z jakiego powodu?

Księżna przyglądała nam się długą chwilę wzrokiem handlarza kupującego stare konie. Handlarza, który doskonale wie, że oferowane mu zwierzęta są co prawda łykawe i ochwaczone, ale zastanawia się, do czego jeszcze mógłby ich użyć, zanim zdechną. Zaczęła bębnić palcami po poręczu fotela. Zastanawiałem się, jak długo jeszcze potrwa ta komedia okazywania niezadowolenia, bo tego, że mamy do czynienia z komedią, byłem pewien. Oczywiście wierzyłem, iż Ludmiła z jakiegoś powodu jest naprawdę wściekła, ale to, że ową wściekłością chciała podzielić się z nami, było już tylko jej

złośliwym wyborem. A może wcale nie złośliwym? Może w jakiś sposób uzasadnionym? No cóż, zaraz zobaczymy i zaraz się dowiemy...

– Mam dla ciebie misję, inkwizytorze – odezwała się wreszcie i przerwała na chwilę bębnienie.

– Pilnie słucham, Wasza Wysokość – odparłem.

– Wiem, że pilnie słuchasz, więc nie musisz wtrącać swoich uwag pomiędzy zdania, które wypowiadam – odparła ostro.

Otworzyłem już usta, ale po ledwo zauważalnej chwili zamknąłem je i tylko pochyliłem głowę.

– O właśnie. – Ludmiła uniosła palec wskazujący. – To zadanie dotyczy również ciebie, Andrzeju. – Palec księżnej wymierzył prosto w pierś mojego towarzysza.

Andrzej, nauczony moim doświadczeniem, nic nie powiedział, jedynie również skłonił głowę.

– Pamiętasz Modesta Dobrynicza, Andrzeju? – zagadnęła.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Opuścił Peczorę ponad dwa lata temu – tym razem mój towarzysz odpowiedział tak szybko, by księżna nawet nie zdążyła pomyśleć, że zbyt długo czeka na jego respons.

– Właśnie tak – zgodziła się z nim księżna. – A ja teraz życzę sobie, by do Peczory wrócił, i właśnie wam wyznaczam zadanie, byście go do tego przekonali.

– Ależ, Wasza Wysokość! – Po tonie głosu słyszałem, że Andrzej był prawdziwie i nielecho zdumiony. – Dlaczego on miałby mnie niby posłuchać?

Przyznam, że zdziwiła mnie jego odwaga, bo księżna nie była tego ranka w nastroju ani do dyskusji, ani do odpowiadania na pytania.

– Posłuchać ma mnie, a nie ciebie – odparła Ludmiła lodowato. – Ty zaledwie poniesiesz mu moje życzenie i mój rozkaz.

– Na litość Jezu Boga, Wasza Wysokość! – Andrzej złożył dłonie jak do modlitwy. – Modest mnie pewnie ledwo pamięta, może

uznać za despekt, że przybywa do niego ktoś tak mało ważny jak ja!

– Uznać za despekt, że ktoś niesie mu moje słowo? – Ludmiła zmarszczyła brwi.

Andrzej pobladł.

– Wasza Wysokość, on miał tu przyjaciół, towarzyszy, dlaczego oni nie pójdą?

Milczałem podczas tej rozmowy, bo niby po co miałem się odzywać, ale oczywiście pilnie się przysłuchiwałem, gdyż konwersacja zboczyła w niespodziewanym kierunku. Podważanie rozkazu Ludmiły nie było najrozsądniejszym, co mógł robić człowiek na peczorskim dworze, nawet jeśli był zaufanym, może nawet ulubionym dworzaninem. Podważanie rozkazu w dzień taki jak ten, kiedy była najwyraźniej rozeźlona, mogło skończyć się rzeczywistą niełaską. Ale przecież Andrzej nie paliłby się do podobnego postępowania, gdyby nie widział ku temu ważnych powodów. Jakie to były powody? Czego mógł się bać, poszukując owego Modesta Dobrynicza? Że straci życie? Cóż, wszyscy boimy się utraty życia, lecz narażenie się na niełaskę Ludmiły również nie było właściwym wyborem. No i kim był ów Modest Dobrynicz, którego tak bardzo chciała widzieć księżna i którego Andrzej tak bardzo nie chciał przekonywać do powrotu?

O dziwo, Ludmiła nawet się nie zagniewała, słysząc słowa Andrzeja, tylko westchnęła.

– Natasza kazała, byście to właśnie wy jechali, więc właśnie wy pojedziecie – rzekła.

– Natasza? – tym razem ja nie wytrzymałem. – Moja Natasza?

– Ani ona należy do mnie, ani do ciebie, inkwizytorze – odparła zamyślona Ludmiła. – Ona należy tylko do tych wiatrów, które targają jej duszą...

– Jak również jej rozumem – dodałem kąśliwie.

Księżna obróciła na mnie wzrok, potem przeniosła spojrzenie

na Andrzeja.

– Odnoszę wrażenie, że wy dwaj wyobrażacie sobie, iż zaprosiłam was na naradę – rzekła już zimnym, wrogim głosem.

– A więc zapewniam was, że jest to wrażenie mylne. Jutro o świcie wyruszacie, a jeśli nie przywieziecie Modesta, to przysięgam na krew Jerozolimy, że bat pójdzie w ruch.

– Stanie się, jak Wasza Wysokość rozkaże – zapewnił szybciotko Andrzej, a i ja wymruczałem coś w sposób niezwykle koncyliacyjny.

– Makary o wszystkim wam opowie i każe was wyposażyć na drogę – dodała. – A teraz wynocha! – Machnęła ręką w stronę drzwi.

Andrzej zaczął się szybko cofać, cały czas zgięty w głębokim ukłonie, lecz ja postanowiłem nie dać tak łatwo za wygraną.

– Wasza Wysokość, jeżeli mam strzec Waszej Wysokości, to w jaki sposób będę mógł to uczynić, udając się na wyprawę? – spytałem stanowczo. – Nie mam nic przeciwko wykonywaniu rozkazów Waszej Książęcej Mości, jakiegokolwiek one by były – zapewniłem. – Ale co w takim razie z moim głównym zadaniem, czyli czuwaniem nad waszym, pani, bezpieczeństwem?

Andrzej aż się skrzywił, słysząc moją perorę. Zresztą czekał już oparty plecami o drzwi, by śmignąć za próg, kiedy tylko będzie to możliwe. Jednak, o dziwo, Ludmiła zarówno musiała usłyszeć troskę w moich słowach, jak i uznała moje zastrzeżenia za roztropne lub przynajmniej uzasadnione.

– Ano bieda, że muszę cię wypuścić z Peczory – westchnęła. – Jednak góra w dziesięć dni obrócić, więc może żadnego nieszczęścia z tego nie będzie...

Spojrzała na mnie zmęczonym, smutnym wzrokiem.

– Tak się czasem plotą sprawy, że jak trzeba, to trzeba – dodała.

Pomilczała znowu chwilę i wreszcie machnęła ręką.

– Wynoście się, bo mnie rozgniewacie – przykazała, lecz w jej



głosie nie było złości, a tylko rezygnacja.

Obaj wyszliśmy już bez słowa, a ja zamknąłem za nami drzwi. Andrzej odetchnął głęboko.

– Ale mieliście szczęście, ale mieliście szczęście... – Pokręcił głową.

Wzruszyłem ramionami.

– Dziwne by było, gdybym uraził księżną tym, iż troszczę się o jej bezpieczeństwo – odparłem. – Chyba źle oceniacie własną panią.

– Kiedy księżna zła, to lepiej milczeć i słuchać.

– Taaak? A kto pierwszy otworzył dziób i zaczął kwestionować rozkazy?

Skinął głową.

– Tak mnie zaskoczyła z tym Modestem, tak mnie zdziwiła, że nie wytrzymałem.

– No dobrze, ale...

– Bat pójdzie w ruch... – Andrzej najwyraźniej dochodził do siebie, bo powtórzył słowa księżnej głosem co prawda zduszonym, lecz jednak gniewnym. Zresztą mógł sobie na to pozwolić, bo byliśmy nie dość, że sami, to jeszcze dobre kilkanaście kroków od komnat Ludmiły. – Oby tylko nie musiała chłostać naszych martwych ciał.

– Co tu się w ogóle dzieje? – zapytałem. – Czego księżna od nas chce? Kim jest ten Modest i do czego jest jej potrzebny? Dlaczego ja mam jechać po człowieka, którego nie znam i który nie zna mnie, a który o inkwizytorach ma pewnie równie złe zdanie jak większość mieszkańców Rusi?

– Na to ostatnie pytanie może wam raczej wasza Natasza odpowie, a nie ja, co? – zauważył złośliwie.

– Odpowie, odpowie – zapewnilem go. – A moje pierwsze pytanie?

– Modest Dobrynicz był naszym najlepszym tropicielem – wyjaśnił Andrzej. – Najlepszym tropicielem w całym księstwie,

a kto wie czy nie na całym Bożym świecie.

No tak, do przesady w słowach Rusinów zdążyłem się już przyzwyczaić. Biorąc na logikę: skąd mieliby wiedzieć, jak jest na „całym Bożym świecie”, skoro zazwyczaj nie wyściubiali nosów poza swoje bagna i puszcze?

– ...mieszkał wiele lat razem z Jugrami, ale potem prześcignął najlepszych tropicieli i najlepszych myśliwych wśród Jugrów.

– Zapewne sam o tym opowiadał – wtrąciłem.

– Może was zdziwię, ale nie. Inni tropiciele tak o nim mówili. Z szacunkiem i kto wie czy nie obawą. – Andrzej uniósł znacząco palec. – Ba, gadano, że zawarł pakt z borowymi, by obdarowali go nadzwyczajnymi zdolnościami.

Wiedziałem, że borowymi czy leszymi nazywała miejscowa ludność leśne demony, które miały jakoby rządzić zarówno samą puszcza, jak i zamieszkującymi ją zwierzętami. Demony owe wedle ruskich podań nie były z gruntu złe, a ludziom potrafiły zarówno szkodzić, jak i pomagać. Generalnie jak ktoś je szanował, to zostawiały go najczęściej w spokoju albo nawet otaczały opieką. Podobne bajędy opowiadano również w Cesarstwie, a w zależności od prowincji demony nazywały się tak albo siak. Ale rolę pełniły zazwyczaj wszędzie podobną – opiekunów lasu i zwierząt.

– A czym mógł zapłacić takiemu borowemu za przysługę? – spytałem.

Andrzej rozejrzał się szybko, czy aby nikogo nie ma w pobliżu.

– Oni potrzebują kobiet. Młodych, zdrowych kobiet o szerokich biodrach – wyjaśnił.

No i tak to już jest. Prędzej czy później w czasie rozmowy o demonach lub o czarownicach pojawia się temat chędożenia. Zawsze. Tak jakby w samym akcie płciowym było cokolwiek demonicznego.

– Skoro o szerokich biodrach, to rozumiem, że te leśne demony pragną się rozmnażać? – spytałem, aby się upewnić.

Poważnie skinął głową.

– Rodzą się potem z tych związków mieszańce i spotwornione kreatury, ni to zwierzęta, ni to ludzie...

– A na cóż przydaje się demonom taka menażeria?

– Bo czasami, choć bardzo rzadko to się zdarza, narodzi się ktoś wyjątkowy – rzekł Andrzej. – Bohater o wielkiej sile i urodzie, obdarzony w dodatku zdolnością rozkazywania zwierzętom. Gadają też, że sam potrafi zamienić się w wilka, niedźwiedzia, odyńca lub łosia... W co tam tylko zechce. I zawsze, ale to zawsze zwierzę, w które się zamieni, jest czarne niczym smoła, a jego oczy płoną ogniem.

Obróciłem się w jego stronę.

– To dlatego tak wszystkich przeraziły zeznania Mikołaja! – zawołałem.

Mikołaja, czyli skrytobójcy, który usiłował zamordować księżną Ludmiłę. W czasie przesłuchania zeznał (i to z własnej woli, zanim nawet zdążyłem użyć narzędzi, by nakłonić go do spowiedzi), iż w środku lasu spotykał się z czarnym wilkiem o pałających ślepiach i od tego właśnie wilka otrzymał rozkazy, by zabić Ludmiłę.

Andrzej westchnął.

– Ano nie da się ukryć. Jeżeli to prawda, że tuż obok nas, w naszych lasach, żyje taki odmieniec – mój towarzysz splunął przez lewe ramię – który w dodatku zawziął się na księżną, źle z nami będzie...

– A wy naprawdę wierzycie w te banialuki czy boicie się, że sprawy mogą się kiepsko ułożyć, bo inni w nie wierzą? – zainteresowałem się.

Wzruszył ramionami.

– A dacie głowę sobie uciąć, że w środku puszczy, w których nigdy nie powstała ludzka stopa, wszystko układa się po bożemu?

To była niewątpliwie celna riposta. Świat był, jest i najprawdopodobniej po kres czasów będzie pełen tajemnic,

a im bardziej miejsce jest niedostępne i odludne, tym bardziej ludzie chcą wierzyć, iż zostało wypełnione sekretami. Nie zawsze jest to zresztą prawda, gdyż czasami wielkie tajemnice można odnaleźć nie na pustkowiu, lecz wśród tłumu.

– Czy nawet kronikarze rzymscy nie wspominali o wilkołakach? – dodał.

– Tu żeście trafili akurat jak kulą w płot – prychnąłem. – Bo owe wilkołaki to nie było nic innego jak młodzi mężczyźni, którzy narzucali na siebie wilcze skóry, by nocami napastować czy gwałcić kobiety oraz dziewczęta.

– No może jeśli chodzi o Rzym, to rzeczywiście to prawda, że to nieprawda – przyznał po namyśle. – Ale u nas nie takie rzeczy widywano.

– Po pijaku, we mgle i w świetle księżyca – skwitowałem lekceważącym tonem. – Według takich zeznań w Cesarstwie czarownice latają po niebie, drzewa spacerują, a zwierzęta gadają ludzkim głosem.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Jakiś dziwny z was inkwizytor – zauważył po chwili.

– Nie ja jestem dziwny, ile wasze wyobrażenie o inkwizytorach jest całkowicie niewłaściwe – odparłem pobłaźliwie. – Bycie inkwizytorem nie polega na bezmyślnym uwierzeniu we wszystko, co gadają ludzie, aby tylko wplątali w tę gadaninę słowa: potwory, demony, wiedźmy czy czary. Naszym zadaniem jest odsianie ziarna od plew, rozumiane nie tylko jako odsianie prawych od nikczemników, ale również prawdy od łgarstwa.

Podrapał się po brodzie.

– Jasne, że wierzyć nie można każdemu – zgodził się. – I różne rzeczy ludzie bajają, a to ze zwykłej chęci zadziwienia innych, a to by komuś drugiemu zaszkodzić.

– Bardzo słusznie. A teraz pozwólcie, że z tej długiej podróży po świecie dygresji wrócimy do Modesta Dobrynicza. Wiem już, że księżna potrzebuje tropiciela. Aż boję się spytać po co, ale

obawiam się, że zarówno wy, jak i ja dowiemy się o tym szybciej i dokładniej, niżbyśmy sobie życzyli.

Oczywiście miałem graniczące z pewnością podejrzenia, do czego potrzebny jest Ludmile nowy tropiciel. Najwyraźniej ci, których wezwała na naradę, zawiedli i nie potrafili rozpoznać obrazów namalowanych przez Wasyla wedle moich wskazówek. Najwyraźniej księżna liczyła, iż ktoś tak niezwykle doświadczony i ceniony jak ów Modest Dobrynicz wskrzesi z pamięci wymalowane drogi i ścieżki, że coś w tej pamięci obudzą dziwne i złowieszczo wyglądające miejsca.

Andrzej pokiwał głową z ponurym wyrazem twarzy.

– Co się stało, że ten człowiek opuścił Peczorę i nie chce już do niej wracać?

– Wydarzyła się wielka tragedia i jemu, i bliskim, i wszyscy o tym gadali przez wiele dni – westchnął. – I od tego czasu szkopał w tym, iż Modest, nasz najlepszy tropiciel, nie chce już tropić.

– Tak, to prawdziwa bieda – odparłem. – Mniej więcej taka jak ze statkiem, który nie chce pływać.

Spojrzał na mnie z wyraźną naganą we wzroku.

– Mam nadzieję, że siłę przekonywania macie lepiej wyszkoloną niż dowcip.

– A to niby ja będę go przekonywać? – prychnąłem.

– My obaj – przyznał Andrzej. – Ale że ja nie wiem, jak z nim rozmawiać, i też wcale nie wiem, jak go przekonać, to wydaje się, że właśnie na was spadnie cały ciężar konwersacji.

– Znakomicie – mruknąłem. – Na szczęście i tak nie gadam po rusku, a on pewnie nie rozumie po łacinie. Prawda? – Zerknąłem na mojego towarzysza. – Ruski tropiciel, który spędził większość życia wśród drzew, nie mówi po łacinie, czy tak?

– Byłoby dziwne, gdyby mówił – odparł Andrzej. – No dobrze, umówmy się tak, że ja chętnie wam pomogę opróżnić te butle, które chowacie na kwaterze, a w zamian opowiem wam

wszystko, co wiem o Modeście. Aha, Natasza jest u was w komnacie?

– A gdzie ma być? – Wzruszyłem ramionami. – Pewnie jeszcze śpi. Poza tym to jej komnata, nie moja. Moja jest na progu sypialni księżnej – dodałem z ironią, choć na szczęście już niezgodnie z prawdą.

– Nie prosiliście, aby wam dano własny kąt? – zdziwił się.

– Oczywiście, że prosiłem. – Wzruszyłem ramionami. – Ale księżna powiedziała, że mój czas mam dzielić między nią a Nataszę, więc własna kwatery i tak mi niepotrzebna.

Zaśmiał się i klepnął w uda.

– Cieszę się, że was rozbawiłem – burknąłem.

– Ale z Nataszą dobrze się dogadujecie, prawda? – spytał już poważnie.

– Zdumiewająco dobrze – odparłem szczerze.

Pokiwał głową z uznaniem.

– Jeśli mi jednak wybaczyacie, wolałbym napić się z wami samymi i rozmawiać nie w jej obecności – powiedział i uciekł ze wzrokiem.

– O, nie ma mowy! – zaprotestowałem. – Natasza jest odpowiedzialna za to, że będziemy musieli wytrząść tyłki na pustkowiu i gadać z szaleńcem. Chcę, aby posłuchała, co macie do powiedzenia.

Wywnioskowałem po minie, że pomysł wcale a wcale mu się nie podoba, lecz nie zamierzałem ustępować. Natasza nie była dzikim zwierzęciem, które rzuci się komuś do gardła. Chociaż zważywszy na wesołe perypetie kupca Durowa, nie dziwiłem się respektowi przejawianemu przez Andrzeja. Tyle że respekt a paniczny strach to dwie różne rzeczy. Pierwszy często pozwala zachować życie i zdrowie, drugi bardzo ułatwia ich utratę.



Drzwi były zamknięte na skobel, więc najpierw musieliśmy wysłuchać marudzenia Nataszy, że jest za wcześnie, potem narzekania, że nie wie, gdzie jest jej koszula nocna („poszukaj pod łóżkiem” – poradziłem), a potem wreszcie utyskiwania, że podłoga jest zimna, a bambosze diabli wzięli. W trzecim przypadku nic nie było prawdą, bo futra zaścielające podłogę może były brudne i wilgotne, ale stóp raczej nie ziębiły, a futrzane bambosze Nataszy widziałem leżące na parapecie okna. Jednak posłusznie i bez słowa odczekaliśmy, aż dziewczyna szczęknęła skoblem. Andrzej ukrył się za moimi plecami.

– Nataszka, coś ty naopowiadała księżnej? – zacząłem od razu od progu. – Dlaczego to właśnie ja mam jechać po jakiegoś oszalałego tropiciela?

– A śniadanko chociaż przyniosłeś? – spytała Natasza rozkapryszonym tonem.

– Na śniadanko to o mało nie dostaliśmy batów od Ludmiły – odparłem, celowo nieco wyolbrzymiając gniew księżnej.

– Ja zaraz powiem, żeby śniadanie przynieśli! – zawołał Andrzej. – Zaraz wszystko zarządzę w kuchni jak trzeba!

I zanim zdążyłem go zatrzymać, wyskoczył za próg i zniknął w korytarzu.

– No i masz – westchnąłem. – A miał mi opowiedzieć o tym tropicielu.

– Boi się mnie, ale wróci – odparła z uśmiechem. – Podejrzewa tylko, że może się pokłócimy, i nie chce być, jak to się będzie działo.

– Nie mam zamiaru się z tobą kłócić – rzekłem szczerze, bo rzeczywiście kłótnia byłaby kompletnie bezcelowa. – Chciałbym się tylko dowiedzieć, co ci strzeliło do tej pięknej główki...

Zachichotała.

– Zobaczyłam go we śnie. Był w futrzanej szubie i pokłonił mi się bardzo pięknie. „Modest Dobrynicz jestem”, powiedział takim

głębokim basem. – Natasza zmieniała intonację, by pokazać mi, jak bardzo głęboki był to głos. Wyglądało to zabawnie, bo zmarszczyła przy tym nos i czoło, by udawać starszą. – A potem zobaczyłam ciebie – kontynuowała. – Jak siedzisz na koniu i że trzymasz go na smyczy niczym psa. I sen się zaraz skończył, ale zrozumiałam, że to właśnie ty musisz po tego Dobrynicza pojechać i przywieźć go do Peczory. Nikt inny.

Machnąłem tylko ręką, bo dla mnie sen Nataszy można było rozumieć, jak kto chciał, i wcale nie musiał znaczyć, że właśnie ja mam tropiciela namawiać do powrotu. No ale skoro Natasza skłoniła księżną do podjęcia takiej decyzji, nie było wyjścia. I jedyne, co pozostawało, to tak zaplanować i przeprowadzić całe przedsięwzięcie, by nikt po drodze nie ucierpiał.

– Gniewasz się? – spytała smutnym głosem.

– Nie gniewam się – odparłem. – Jesteś, jaka jesteś. Robisz, co uważasz za słuszne.

– Nie bój się, nic ci się nie stanie – zapewniła gorąco. – Jak będziesz miał umrzeć, ja pierwsza to zobaczę, mówię ci!

– A to szczerze pocieszające – rzekłem.

Usiadła na łóżku.

– Plecy mnie bolą – poskarżyła się zbolalym głosem.

– Plecy? A od czegoż to?

– Nie wiem, może od leżenia pod tobą...

– Może i tak... Pomasować cię?

– Już ja wiem, jak się kończy twoje masowanie. – Uśmiechnęła się. – Nie żebym nie chciała, ale przecież ten mały zaraz tu będzie. Niech opowie coś o Dobryniczu, żebyś przed wyjazdem wszystko wiedział. A my przed twoją podróżą jeszcze wiele zdążymy zrobić...

Cóż, to była akurat szczerza prawda...

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wiedziałem oczywiście, że to Andrzej.

– Wejdz – rozkazałem i zaraz obróciłem się w stronę Nataszy,



bo dostrzegłem na jej twarzy delikatny psotny uśmiezek. – Nataszka, błagam cię, nie strasz go, bo ucieknie i już nie wróci, a ja naprawdę chcę się z nim rozmówić.

Wzruszyła ramionami.

– Doobrze – mruknęła i usłyszałem rozczarowanie w jej głosie.

Andrzej nie przyszedł sam, prowadził ze sobą czerwonego na twarzy służącego. I tym razem nie Andrzej chował się za czyimiś plecami, lecz ten młody chłopak zerkał zza ramienia dworzanina, który zabrał od sługi tacę i kazał mu zmykać (sformułowania „paszoł won, durak”, oznaczającego mniej więcej tyle samo, co „możesz odejść, nie będziesz już potrzebny”, nauczyłem się w pierwszych dniach pobytu na Rusi). Na tacy były chleb, kilka plasterów mięsa i trzy metalowe kubki, co do których, jak się domyśliłem, Andrzej spodziewał się, iż napełnią je winem. Jeśli chodzi o liczbę, to trzy kubki przyniósł zupełnie niepotrzebnie, bo Natasza wina nie piła. Czasem tylko sączyła bardzo słabe piwo. Ale w sumie, pomyślałem, nie ma przeszkód, by któryś z nas skosztował wina z obu kubków... Natasza miała w dzbanie wodę, po którą zresztą zawsze sama chodziła do studni.

– Boisz, że cię otrują, Nataszka? – zapytałem, kiedy zdarzyło się to po raz kolejny. – Nic się nie martw, inkwizytorzy są szkoleni w wykrywaniu trucizn. Zawsze możesz pić to, czego ja sam wcześniej spróbuję.

– Wino najłatwiej zatruć – odparła. – Dużo łatwiej niż piwo. No może polewkę jeszcze łatwiej – zastanowiła się. – Ale poza tym, jak ktoś pijany, to już i smak gorzej czuje. Dasz mu dwa dzbanki dobrego wina, trzeci zatrujesz, a on ten trzeci z ochotą wypije.

– To akurat prawda. A wiesz, że był taki cesarz dawno temu w Rzymie, nazywał się Oktawian. I ten cesarz bardzo się bał, że go otrują. Nikomu już nie wierzył, nawet własnej żonie...

– To akurat całkiem nie dziwne – zaśmiała się.

– ...pił tylko wodę i jadł figi z własnego drzewa.  
– Figi? – Zmarszczyła brwi.  
– Takie miękkie, słodkie jabłuszka – wyjaśniłem, może nie do końca dokładnie, ale chyba zrozumiale.  
– I co?  
– No i żona zatrula mu te figi rosnące na drzewie – odparłem. – Nasączyła trucizną tuż przed tym, zanim je zerwał.  
– A nie mówiłam? – Uniosła palec. – Żona jest zawsze winna. Kochance mężczyzna może ufać, bo będzie chciała wyjść za niego za mąż, więc po co ma go zabijać? Przynajmniej dopóki jej nie odmówi – dodała po namyśle. – Ale żona? Żona niczego już nie chce poza majątkiem, więc i łatwiej jej podjąć decyzję, by sama z tym majątkiem została.

Pokręciłem głową.

– Rozumiem, że to mądrości dziewcząt mieszkających u więdźmy – powiedziałem.

– A co, nie jest tak, jak mówię? – oburzyła się.

– Czasami jest... – przyznałem.

Teraz jednak nie rozmawialiśmy o złych żonach, tylko usiedliśmy, a ja wlałem wino do kubków. Chociaż pochodziło z zapieczętowanej butelki, to dokładnie go popróbowiałem, roztarłem po podniebieniu, a następnym łykiem przepłukałem usta.

– I co? Dzisiaj jeszcze nie zatrute? – spytała Natasza kpiąco.

– Za naszą wyprawę, Andrzeju – zignorowałem pytanie dziewczyny i wzniosłem naczynie.

Wypiliśmy, a dworzanin westchnął głęboko i zmrużył oczy.

– Dobrze. Słodkie – pochwalił.

– Wasze miody też są naprawdę niezłe.

– Prawdziwie dobre są prawdziwie drogie – odparł. – Hołota pije takie rozcieńczane piątaki czy szóstaki, ale jak znajdziecie gdzieś królewski miód, a jeszcze jak będzie doprawiony, czy to sokiem z poziomek, czy ziołami, to mówię wam: niebo w gębie.

Zresztą najlepszy jest miód lipowy, a gdzie tu u nas niby lipy rosną? Dobrze przynajmniej, że mamy czarne żyto. Jak kwitnie, to żebyście widzieli te roje pszczoł, które wszystkie aż ciągnie do słodocy...

– Zjadłabym miodu – stwierdziła nagle Natasza.

– Miodu nie ma, ale możesz napić się wina – odrzekłem.

– Napiłabym się gorącego mleka z miodem – dodała, dziabiąc palcem wskazującym w płat mięsa leżący na tacy.

– Nataszka, zmiłuj się – powiedziałem. – Skąd ja ci teraz wezmę gorące mleko?

– Może ja pójdę – poderwał się Andrzej.

– Siedź! – syknąłem. – I gadaj, co wiesz o tym Modeście, do którego Nataszka nas tak beztrosko posyła.

Natasza nie zwróciła na mnie uwagi, tylko westchnęła.

– Może chociaż bym dostała gotowane jajko? – Znowu dziabnęła palcem w mięso. – Spójrz, ile tu tłuszczu. Takie żyły jakieś...

– Nataszka, sam zaprowadzę cię do kuchni i każę, żeby dali ci wszystko, co tylko mają najlepszego – obiecałem. – Tylko błagam, niech nam Andrzej opowie najpierw o tym tropicielu.

– Modest Dobrynicz jest szalony jak kura z uciętym łbem – zaśmiała się Natasza. – Wiecie, że tak mi się też śnił? Biegał po podwórzu bez głowy i na kurzych łapach. A jego głowa leżała pod korytem całkiem niedaleko i mówiła strasznie poważnym tonem: „Ja was bardzo przepraszam, Andrzeju Andrzejewiczu, ale skoro własnego ciała już nie mam, to w takim razie nieodwołalnie będę musiał zabrać wasze”.

– Na Jezu Boga! – Nagle poblady Andrzej zacisnął dłonie w pięści. – Jestem zgubiony!

– Nataszka, a tak cię prosiłem... – westchnąłem i obróciłem twarz w stronę dworzanina Ludmiły. – Napijmy się, Natasza żartuje sobie z was. To świetnie, bo znaczy, że jest w dobrym humorze... – dodałem, żeby go trochę pocieszyć.

Wypełniłem trunkiem nie tylko jego kubek, ale również swój i ten trzeci, który do tej pory stał pusty. Miałem nadzieję, że miła perspektywa uraczenia się podwójną porcją wina poprawi mu humor. No rzeczywiście, kiedy wypił, policzki mu się nieco zaróżowiły i poweselał. Ja wypilem również i teraz, przy drugim kubku, poczułem ciepło rozchodzące się po ciele. Spojrzałem na Nataszę, która przyglądała mi się, lekko kiwając głową na boki.

– Spróbować, nie spróbować, spróbować, nie spróbować... – wyczytałem z ruchu jej ust.

– Spróbuj, Nataszka, spróbuj, choćby tylko dla zaspokojenia ciekawości – podpowiedziałem.

– Może naprawdę kropelkę?

– A co piłyście u matki Olgi? – spytałem.

– Wodę z bagien – odparła z kamienną miną, ale zrozumiałem, że żartuje.

Za to Andrzej wziął jej słowa całkiem serio i przeżegnał się żarliwie. Napełniłem swój kubek do połowy i podałem Nataszy.

– Powąchaj i skosztuj. Jak ci nie posmakuje, to ja wypiję...

Powąchała, umoczyła ostrożnie usta, po czym podniosła na mnie wzrok.

– Słodkie – powiedziała ze zdziwieniem.

Biedna dziewczyna, nie tylko nigdy nie próbowała wina, ale nie widziała nawet nigdy winogron. Ani rodzyneków. Cóż, takie to były uroki życia na samym krańcu świata. Spróbowała po raz drugi i zamlaskała.

– Szczypie w język – zaśmiała się. – I smak taki jakiś, jak nigdy niczego innego... – dodała po zastanowieniu.

A potem już przechyliła kubek i wypila drobnymi łyčzkami cały trunek, jaki w nim był.

– Gorąco – zauważyła ze zdziwieniem po dłuższej chwili. – Nie wiedziałam, że tu jest aż tak gorąco.

Wstała z krzesła i przytrzymała się krawędzi stołu.

– Ojej – powiedziała.

Przyglądałem się jej z uśmiechem, z jakim stary, doświadczony pies musiałby obserwować małego, chwiejącego się na nogach szczeniaczka stawiającego pierwsze kroki, by poznać świat. Było to jednocześnie wzruszające i jednocześnie trochę smutne, gdyż wiedziałem, że ja sam nigdy już nie przeżyję podobnego zadziwienia i zachwyty.

Wszystko już przeżyłem, wszystko widziałem, a świat był dla mnie niczym dobrze znana, dobrze zmierzona i gruntownie zbadana trumna. Tylko nieboszczycy w środku się zmieniali...

Natasza spojrzała na mnie. Jej oczy były wielkie i błyszczące. Zawsze była bardzo ładna, ale tym razem pod wpływem niewielkiej ilości trunku jej twarz nabrała dodatkowego powabu i zdawała się jeszcze bardziej promienna i jeszcze bardziej urokliwa niż zazwyczaj.

– Żeby tak muzykanci zagrali! – wykrzyknęła i odsunęła się od stołu.

Chciała zakręcić się na pięcie, ale nagle zachwiała się, straciła równowagę i wylądowała prosto na kolanach Andrzeja.

– Proszę, proszę, nie wydlubuj mi oczu... – zaskomlił mój towarzysz.

Zbladł niczym dobrze wybielona ściana, a ręce schował za siebie, aby nikt nawet nie mógł podejrzewać, że próbuje dotknąć Nataszy. Ona tymczasem zręcznie i ze śmiechem poderwała się z jego kolan.

– Aha, historię kupca Durowa ktoś tu słyszał! – zawołała wesoło.

Potem wskoczyła na łóżko i nierówno naciągnęła na siebie kołdrę.

– Idę spać, bo spiłam się jak bąk – obwieściła.

– Połową kubka wina – powiedziałem. – Zuch dziewczyna.

Ale Natasza nic już nie słyszała, bo zachrapała całkiem nie po dziewczęcemu.

– Moja siostra, jak pierwszy raz napiła się wina, to też tak

miała. – Andrzej mówił cicho, by przypadkiem nie obudzić Nataszy.

– Macie siostrę?

– Ano mam.

– I gdzie ona?

– Teraz to mieszka na dworze wielkiego księcia Włodzimierza – wyjaśnił. – Ciekaw jestem, czy kiedyś jeszcze ją zobaczę – dodał ze smutkiem.

Przypomniałem sobie, jak Barnaba Biber opowiadał, że Ludmiła, kiedy doszła do władzy, wysłała zakładników na dwór nowogrodzkiego wielkiego księcia. Oczywiście oprócz wiernopoddańczych listów, zapewnień hołdu i bogatych darów. Można było mieć nadzieję, że póki Ludmiła dochowa wierności Włodzimierzowi, ludzie z Peczory nie będą mieli w Nowogrodzie źle, bo niedobrze świadczyłoby o wielkim księciu, gdyby nie zadbał o poddanych wasala. No ale jeśli Ludmiła by zdradziła lub się zbuntowała, lub nawet czymś naraziła Włodzimierzowi, to los zakładników mógł stać się prawdziwie paskudny, gdyby wielki książę zapragnął dać za ich pomocą odstraszający przykład innym wasalom. I pewnie dlatego Andrzej się martwił.

– Żeby jej tylko znaleźli dobrego męża – powiedział. – Żeby nie poszła dziewczyna na zmarnowanie. Bo wiecie, my, znaczy ja i ona, nikogo już nie mamy poza sobą. Rodzice umarli, starszy brat umarł. – Wzruszył ramionami. – Cóż, wola Boga...

– Moją rodziną jest Święte Oficjum – rzekłem. – Tak jak i każdego inkwizytora. W służbie zapominamy o nazwisku i pochodzeniu, wszyscy jesteśmy równi wobec Pana.

– To pewnie pozwala człowiekowi nie być samotnym – westchnął.

Znowu napełniłem nam kubki. Mój towarzysz ujął swój i podniósł.

– Za rodzinę, inkwizytorze! – rzekł nieco głośniejszym głosem i zaraz przestraszony spojrzał, czy aby nie obudził Nataszy. Ale ona

spała jak suseł.

– Za rodzinę – zgodziłem się.

Wypiliśmy.

– Dobrze, jak człowiek ma rodzinę i bardzo ją kocha – stwierdził Andrzej. – Bo wtedy można wymóc na nim, co się chce, grożąc, iż się tę rodzinę skrzywdzi.

Cóż, trudno było nie zgodzić się z podobnym postawieniem sprawy.

– Dobrze również, jak człowiek ma majątek, bo można mu go odebrać, jeśli nie zechce postępować tak, jak byśmy sobie życzyli – dodał mój towarzysz. – Ale Dobrynicz nie ma ani rodziny, ani majątku.

– Jednak każdy człowiek zawsze ma wolność, ma zdrowie i ma życie. Z braku lepszych wyborów można mu zagrozić odebraniem choćby tego – zauważyłem.

– No tak, ale jak chcecie, by tropiciel dla was tropił, jeśli go zabijecie albo zamkniecie w klatce?

– Prawda – przyznałem.

– A znowu jeśli zmusicie go, nie wiem jak, ale zmusicie, to na niby się zgodzi, jednak za pierwszym drzewem czmychnie gdzie pieprz rośnie. I szukaj wtedy wiatru w polu! Bo co potrafi dobry tropiciel oprócz tropienia?

– Jak miemam, potrafi równie dobrze się ukrywać.

– Ano właśnie. Więc nie ma wyboru i z Modestem Dobryniczem trzeba się dogadać i przekonać go, żeby służył księżnej z własnej i nieprzymuszonej woli.

– A czemu odszedł ze służby?

– Żona mu umarła – wyjaśnił Andrzej.

– I co z tego? – zdziwiłem się. – W czym to niby miało przeszkadzać mu w tropieniu?

– Nie chciał widzieć ludzi na oczy, a zapragnął żyć jak jakiś pustelnik. Zresztą u nas to nic dziwnego. Wielu łowców czy zbieraczy futer żyje w lesie samotnie i tylko dwa razy do roku

przyjeżdżają na targ, by sprzedać, co upolowali. No i wtedy zabawiają się tak, żeby im wystarczyło na następne pół roku – zaśmiał się.

– Księżna go tak łatwo wypuściła?

– Księżna nie miała jeszcze wtedy nic do gadania, bo to książę Dymitr rządził Peczorą – odparł Andrzej. – I uznał widać, że ma innych tropicieli i że mu wystarczą, a tego jednego nie ma co zmuszać do służby, skoro służyć tak bardzo nie chce.

– W sumie słusznie – stwierdziłem.

– Widzicie, problem w tym... – Andrzej podrapał się po brodzie – że Modest po żonie co prawda rozpaczał, ale przecież każdy w Peczorze wie, że sam tę żonę zabił, kiedy ją przyłapał zabawiającą się z dwoma myśliwymi.

– Z dwoma... – Pokręciłem głową. – To naprawdę niedobre dla mężczyzny zobaczyć, że wybrał sobie tak chutliwą kobietę, która w dodatku woli swawolić poza domem.

– Ano niedobrze – przyznał mi rację Andrzej. – Walki tam żadnej nie było, bo myśliwi byli pijani i bez broni, więc Modest ich ogłuszył, a potem obu żywcem oskórował.

– Na miecz Pana! – skrzywiłem się. – Co za podła śmierć!

– Przepięknie popełnili niewielkie, a kara wielka – zauważył mój towarzysz. – Nie było to sprawiedliwe...

– Cóż uczynił z żoną?

– Nie wiadomo, co chciał zrobić, bo do szopy wpadli książęcy żołnierze, więc Modest żonie tylko podciął szybko gardło, zanim go schwytano. No a tych biedaków, co ich oskórował, to zaraz dobito, żeby więcej nie cierpieli. – Andrzej wzdrygnął się.

– Jednak książę darował mu życie...

– Modest miał całkiem spory majątek, więc wszystko mu skonfiskowano i podzielono równo pomiędzy rodzinę żony i rodziny tych dwóch myśliwych.

– Sprawiedliwie. – Skinąłem głową.

– Książę myślał, że to dobrze, iż taki człowiek odchodzi



z dworu, bo nie wiadomo, czego się po nim spodziewać. Ale życie rzeczywiście mu darował, bo po pierwsze, rozumiał gniew na cudzołóstwo, a po drugie, Dobrynicz miał wielkie zasługi. No i samego księcia kiedyś uratował z wielkiej opresji, więc mówili, iż Dymitr nawet był zadowolony, że może dług spłacić raz na zawsze i nawet z nawiązką i więcej tym długiem nie zaprzętać sobie głowy.

Rozlałem wino do kubków i wypiliśmy. Andrzej zamyślony i najwyraźniej zasepiony wyobrażeniem oskórowania wrogów przez Modesta Dobrynicza, który to obraz wywarł zgubny wpływ na jego humor oraz wyobraźnię.

– Ale nas przecież nie będzie chciał zabić? – zapytałem po chwili na wszelki wypadek.

– Nie – zachnął się Andrzej. – Raczej nie – dodał już z mniejszą pewnością w głosie.

– Raczej – powtórzyłem. – Raczej...

– Jak go nie rozsierzimy, to raczej nie – rzekł stanowczo i teraz zastanawiałem się, czy ta stanowczość wynika ze szczerego przeświadczenia, czy też Andrzej pragnie przekonać sam siebie. – No co wam mogę więcej powiedzieć? Sami zobaczycie, że jest nieco... zdziwaczały.

Milczałem przez chwilę.

– Zdziwaczały – powtórzyłem znowu. – Ładne określenie. Ale powiedzcie mi, czy ów Modest jest zdziwaczały jak staruszka karmiąca koty w całej okolicy, czy zdziwaczały jak staruszka uwielbająca kąpać się we krwi młodych dziewcząt? Bo różne są kategorie zdziwaczenia i wolałbym być przygotowany na to, z którą kategorią będziemy mieć do czynienia w czasie tej wyprawy...

– Będzie, jak Bóg pozwoli – rzekł Andrzej, wznosząc spojrzenie ku niebu.

Z całą pewnością owa odpowiedź nie zaspokoila mojej ciekawości, lecz zrozumiałem, że nie mam już po co go więcej

nagabywać, gdyż nie powie mi nic bardziej rozsądnego. Najwyraźniej miałem przekonać się na własnej skórze, jak sprawy się mają.



Natasza spała nieprzerwanym snem aż do rana, twardo jak głaz, i nawet nie miałem serca jej budzić, pomimo że całkiem ponętnie wyglądała (zresztą kiedy ona nie wyglądała ponętnie?). Wreszcie obudziła się, w czasie kiedy świt zapominał już o tym, że niedawno przedzierał się przez szare niebo.

– Ojej, głowa mnie okropnie boli – zajęczała na dzień dobry.

Wiedziałem, że tak właśnie może być, więc przygotowałem jej w dużym kubku ciepłą wodę z miętą i sokiem z czarnych jagód. Wypiła wszystko duszkiem, po czym zawisała mi na ramionach.

– Nigdy o nic nie prosiłam Boga, a On dał mi ciebie – wyznała z płaczem. – To więcej, niż kiedykolwiek chciałam!

Rozczuliła mnie i rozbawiła, ale oczywiście tego rozbawienia, broń Boże, nie okazywałem. Przysługa była malutka, a wdzięczność wielka, lecz rozumiałem, że Natasza jest w tym swoim pierwszym potrunkowym bólu tak zrozpaczona, iż każdy przejaw życzliwości wywołałby w niej serdeczne uczucia. Niemniej jakiegokolwiek były przyczyny tej serdeczności, to miło było usłyszeć podobnie ciepłe i pełne miłości słowa.

Opadła na poduszki i odetchnęła.

– Musisz już jechać, a ja spałam! – zawołała nagle z wyrzutem.

– Nawet cię nie pożegnam, jak należy!

– Sama mówiłaś, że oczekiwanie pobudza apetyt – odpowiedziałem. – To tylko najwyżej dziesięć dni. A przecież chyba wrócę, prawda?

– Wrócisz, wrócisz – zapewniła i uścisnęła mi dłoń.

– A wiesz, że wtedy jak powiedziałeś, że ja żartuję, to ja wcale nie żartowałam? – zagadnęła.

Obróciłem się do niej zaniepokojony, gdyż natychmiast zrozumiałem, co ma na myśli.

– Naprawdę śnił ci się tropiciel bez głowy, biegający na kurzych łapach?

– Naprawdę. Śmieszne, co?

– I chciał zabrać Andrzejowi ciało?

– Aha.

– Może to tylko taki sen – próbowałem pocieszyć i ją, i siebie.

– Może i tak – odparła niepewnie.

Byłem już przygotowany do drogi, więc tylko powiedziałem:

– No dobrze, Nataszka, całus na pożegnanie i uciekam.

– O nie! – Poderwała się i zeskoczyła z łóżka.

Widziałem, że skrzywiła się w trakcie tego zeskakiwania, ale dzielnie nawet nie jęknęła.

– Idę z tobą – zdecydowała. – Odprowadzę cię do bramy.

Obrzuciłem ją spojrzeniem. Była ubrana tylko w grubą co prawda i sięgającą po kostki, ale jednak płócienną koszulę.

– Będzie ci zimno – odparłem.

– No tak.

Otworzyła skrzynię i wyciągnęła z niej futrzaną szubę. Pogłaskała włosie, uśmiechnęła się, a potem zarzuciła ją na ramiona. Wyszliśmy na korytarz, ale Natasza skierowała się nie w stronę głównego wyjścia, lecz do części fortecy, którą zajmowała księżna i jej najbliżsi dworzanie. Wiedziałem, że nie robi tego przez roztargnienie czy pomyłkę, a ponieważ nic nie tłumaczyła, więc i ja o nic nie pytałem. Służący, których żeśmy mijali, sprawiali wrażenie, jakby chcieli nie tylko przykleić się do ścian, ale jeszcze zajmować na tych ścianach jak najmniej miejsca. Natasza zupełnie nie zwracała na nich uwagi. Wreszcie wkroczyła do książęcych apartamentów. W pierwszym pokoju siedziały trzy dworki i zajmowały się jakimiś kobiecymi sprawami, wyszywaniem czy haftowaniem, czy też tkaniem. Szczerze mówiąc, nigdy do końca nie wiedziałem, czym różni się

pierwsze od drugiego i trzeciego. Widząc wchodzącą Nataszę, poderwały się z miejsc. Były tak spłoszone jej niespodziewanym wtargnięciem, że miałem wrażenie, iż mnie nie zauważyły wcale. Tymczasem moja dziewczyna przyjrzała się każdej uważnym, oceniającym spojrzeniem, a każda z nich tym bardziej bladła i zaciskała usta, im bardziej ten wzrok na niej się koncentrował. Wreszcie Natasza wybrała. Wyciągnęła palec w stronę grubej dworki i wskazała wiszący na jej piersi naszyjnik. Był to naprawdę ładny złoty drobiazg o grubych ogniwach, zakończony oczkiem z podwieszonym na nim, również zakutym w złoto, kamieniem. Kamień był zielony, pięknie wypolerowany i błyszczący. Z daleka nie byłem pewien, czy to szmaragd, czy tylko umiejętnie spreparowany zielony granat, ale niezależnie od gatunku klejnotu była to naprawdę ładna ozdoba.

– Daj – nakazała Natasza nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Dworka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się jednak ani słowem, tylko szybko przełożyła ręce na kark i zaczęła mocować się z zapięciem. Zauważyłem, że jej usta drżą tak, jakby weszła właśnie w mróz albo oblano ją lodowatą wodą. Wreszcie udało jej się zdjąć naszyjnik i na wyciągniętej dłoni podała go Nataszy. Głowę opuściła tak, że spoglądała na własne stopy. Moja towarzyszka obejrzała klejnot, schowała do kieszeni futrzanej szuby i odwróciła się na pięcie w stronę drzwi. Wyszliśmy, ja – starając się udawać, że wcale mnie w tej komnacie nie było. Kilka kroków za drzwiami Natasza zatrzymała się i wyciągnęła w moją stronę zabrany dworce wisiołek.

– Weź go i miej zawsze przy sobie. Przyda ci się.

Zamknęła moją dłoń na klejnocie.

– Pamiętaj. Przyda ci się – powtórzyła z naciskiem.

– Nataszka, a co byś zrobiła, jak ona by ci nie oddała naszyjnika? – zapytałem ciekawie, bo sam słyszałem, jak ten babsztyl kiedyś wrzeszczał na służbę, i widziałem, że rękę miał

równie szybko jak język.

– Czemu miałyby nie oddać, skoro prosiłam? – zdziwiła się Natasza w bardzo naturalny sposób.

No tak, jeśli słowo „daj” wypowiedziane zimnym tonem można uznać za prośbę, pomyślałem.

– Ludzie zazwyczaj dają mi to, o co ich proszę – dodała.

– A ja ci nie dałem mleka z miodem. – Uśmiechnąłem się.

– Bo ty się mnie nie boisz, tylko mnie kochasz – powiedziała bardzo poważnie. – A jak kogoś się kocha, to nie zawsze spełnia się jego życzenia. Zresztą spełniasz ich tyle, ile trzeba, żebyś spełniał, i wiem, że nie jestem ci obojętna, że dbasz i martwisz się o mnie.

Roześmiałem się, słysząc tę przemowę, objąłem ją i pocałowałem prosto w usta. Jakiś służący, który wyszedł z za żałomu korytarza, aż przysiadł, kiedy nas zobaczył.

– Idź sobie – powiedziała do niego Natasza, a sama wtuliła się we mnie. Pachniała głównie sobolowym futrem. – A spróbuj tylko nie wrócić – szepnęła mi w ucho. – Znajdę twoją duszę i ściągnę ją do siebie. Nigdy nie trafisz do nieba...

– Do nieba jeszcze mi nie spieszno – odparłem. – A poza tym gdzie ja w niebie znalazłbym taką dziewczynę jak ty?



Przed stajniami czekał już Andrzej wraz ze stajennym – niechlujnym starcem o skołtunionej i tak śmierdzącej brodzie, że lepiej było zbliżyć się do niego od zawietrznej strony. Ale na koniach znał się znakomicie, nawet sypiał z nimi w stajni, co zapewne było mile widziane przez służących, z którymi w innym wypadku musiałby dzielić kwaterę. Rusini nie należeli co prawda do ludzi, którym brud, smród i robactwo spędzałyby sen z oczu, ale ten dziadyga nawet wśród nich mógłby uchodzić za wielkiego księcia fetoru czy nawet potężnego cara miazmatów i patriarchę

wyziewów.

Przygotowano nam dwa konie pod wierzch i jednego jucznego, a jak rozumiałem, jeśli uda się nam przekonać Modesta Dobrynicza, to zwierzę posłuży jako wierzchowiec właśnie dla niego. Stajenny rozmawiał z Andrzejem, odwrócony do nas bokiem, ale kiedy zauważył zbliżającą się Nataszę, odsunął się dwa kroki w tył. I widziałem, że wyraźnie się waha, czy w ogóle nie dać dyla do środka stajni. Natomiast Andrzej, jak widać, oswoił się z Nataszą na tyle, że jej obecność nie zrobiła na nim większego wrażenia. Opuścił tylko oczy, by nie pomyślała, że ośmiela się bezczelnie jej przyglądać.

– Mamy wszystko, co trzeba – oznajmił. – Zapasy, narzędzia, porządny skórzany namiot, futra...

Rzeczywiście trzeci koń był objuczony całkiem solidnie, co mnie ucieszyło, bo doskonale wiedziałem, że im wszechstronniej człowiek jest przygotowany do podróży, tym ta podróż będzie przyjemniejsza i bezpieczniejsza.

– Źle, że was samych księżna puszcza – rzekł stajenny, kręcąc głową. – Pilnujcie się wilków, pilnujcie się niedźwiedzi. Ty, Andrzej, znasz nasze lasy, więc staraj się za dwóch, bo na tego tu – wskazał mnie podbródkiem – nie masz co liczyć. Tyle on ci się przyda w puszczy, co jajko pod podkutym butem...

Cóż, nie było to może zbyt uprzejme stwierdzenie, ale chyba zawierało ździebełko racji. Nie byłem bowiem człowiekiem obznajomionym w badaniu dziczy i tropieniu mieszkających w niej zwierząt. Jedyne niedźwiedzie, które widziałem do tej pory, zabawiały ludzi, tańcząc do melodii wygrywanej przez muzykantów. I szczerze mówiąc, wolałbym, aby moje kontakty z tymi dzikimi i groźnymi zwierzętami pozostały właśnie na tym poziomie, chociaż rozumiałem również, że kiedy zobaczę niedźwiedzia, to skuteczną przed nim obroną nie będzie wyjęcie skrzypeczek...

Natasza postąpiła krok do przodu. Stajenny tego już nie

wytrzymał, czmychnął do stajni i zniknął gdzieś w jej mroku. Ale Natasza nie zamierzała wcale zwracać się do niego, tylko podeszła do Andrzeja.

– Pilnuj mojego mężczyzny – powiedziała, przypatrując mu się obojętnym wzrokiem. – Bo jak nie upilnujesz, to pamiętaj, że i sam nie masz po co wracać.

Potem odwróciła się w moją stronę, wtuliła na chwilę, pocałowała mnie w policzek i westchnęła mi prosto w ucho.

– Będzie mi się nudzić – mruknęła.

A później zawinęła już koszulę wokół łydek i ruszyła w stronę fortecy.

Usłyszałem, że Andrzej cicho się modli i czyni znak krzyża.

– Zbierajmy się – nakazałem, nie zwracając na niego uwagi.

I dopiero kiedy wyjechaliśmy za bramę fortecy, zdecydowałem się odezwać do mojego towarzysza.

– Nie przejmujcie się tym, co mówi Natasza – poradziłem, by mu poprawić humor. – Ona w ten sposób żartuje. Trochę ją bawi, że ludzie tak jej się boją. – Wzruszyłem ramionami. – Chowała się w głuszy, więc próbuje teraz różnych rzeczy, które wydają jej się zabawne.

Milczał długą chwilę.

– Ona chce, żebyście tak myśleli – odezwał się w końcu bardzo ponurym tonem. – Że to tylko dziewczęce żarty. Ale my wszyscy tu dobrze wiemy, że to żadne żarty, a szczerą prawdą. Stałoby się wam coś, wtedy zabije mnie. Zresztą... – Tym razem on wzruszył ramionami, tyle że dużo gwałtowniej niż ja poprzednio. – Sam bym wolał przebić się mieczem, niż wrócić bez was do Peczory. Przynajmniej od miecza miałbym lekką śmierć...

Machnąłem tylko ręką. Doskonale wiedziałem, że jak ludzie wbiją sobie coś do głowy, to czasami nikt nie jest w stanie im przetłumaczyć, że nie mają racji. A jeszcze jeśli owo wbicie jest spowodowane zabobonem czy przesądem, to już w ogóle umarł w butach...

– Myślicie, że ona ma uczucia podobne jak my wszyscy, co? – Pokręcił głową. – Do was i owszem, ma, bo jesteście jej własnością. Ale zabić dla niej obcego człowieka to jak dla was rozdeptać pająka. Nawet brew jej nie drgnie.

Tknięty nagłą myślą, obrócił się w siodle, a ja odwróciłem głowę, idąc w jego ślady. W jednej z wieżyczek na murze forticznym, tuż nad bramą, stała Natasza. Wiatr rozwiewał jej włosy. Uśmiechnąłem się i pomachałem jej radośnie ręką.

– Na Jezu Boga, mam nadzieję, że nie słyszała, co mówię – wyjęczał Andrzej.

– Stuknijcie się w głowę. Mówiliście cicho, a od murów dzieli nas ze sto kroków. Musiałaby mieć słuch jak puchacz, żeby cokolwiek usłyszeć. A poza tym sądzicie, że ona nie wie, co wszyscy o niej myślą? Wie, i wie również, że nikt tego nie zmieni. Zresztą przecież dla niej to lepiej, że wszyscy się jej boją...

– Miałem takie spokojne życie – powiedział zrezygnowanym tonem. – Księżna była zawsze dla mnie łaskawa, jeść i pić miałem co, mieszkanie ciepłe, odzienie zacne, wypłata nie najgorsza... Dobrze mi było. Za dobrze widać i Złego skusiło moje szczęście. To musieliście przyjechać wy, cesarscy, a księżna musiała kazać mi zajmować się inkwizytorem i jego czarownicą. Czy ja jestem przeklęty?

– A podopieczne mateczki Olgi to wypada nazywać czarownicami? – spytałem złośliwie, bo przypomniałem sobie, jak wcześniej sam mnie poprawiał.

– Ach, dajcie spokój. – Machnął ręką. – W Peczorze ta wasza Natasza patrzy na mnie jak sowa na mysz, a za Peczorą czyha na nas wściekły szaleniec, który obdarł ludzi ze skóry. Tak jakby to była ich wina... A co oni winni, że wystawieni na pokuszenie nie potrafili zwalczyć samczej chuci i jej pofolgowali? Suka daje, to pies bierze...

– Niemniej zgodzicie się chyba, że dla męża była to bardzo niemiła niespodzianka – zauważyłem. – A żeby jeszcze grzeszyła



z jednym, ale z dwoma? I to z oboma naraz?

– Nikt nie lubi, jak mu przyprawiać rogi – zgodził się Andrzej. – Ale co to za pomysł, by od razu obdzierać za to żywcem ze skóry? Nie można dać zwyczajnie siekierą w głowę?

Cóż, trudno było nie przyznać tym słowom racji. Albo nasz tropiciel naprawdę bardzo, ale to bardzo kochał żonę, albo miał ogromnie wysokie poczucie własnej godności i oszalał, kiedy je tak rażąco naruszono.

Zresztą pewnie obie te sprawy zaważyły na wybuchu jego szaleństwa.



Wyszliśmy za linię drzew i stanęliśmy na skraju polany porośniętej wysoką, gęstą trawą. W odległości kilkudziesięciu kroków od nas przebiegało coś w rodzaju ogrodzenia czy płotu ustawionego z krzywych patyków nie połączonych nawet poprzecznymi sztachetami. Na czubkach wielu z tych patyków nabite były czaszki małych zwierząt.

– A to co ma być? Czary jakieś? – mruknąłem.

– Nie, nie czary – zaprotestował od razu Andrzej. – Zwykle oznaczenie granicy. Ostrzeżenie.

– Że to niby jego włości. – Pokiwałem głową. – Rozsądne. Gdzie jest w takim razie sam dom?

– Modest żyje w ziemiance – wyjaśnił Andrzej. – Czy raczej lepiej powiedzieć: w norze wykopanej pod ziemią – dodał dość nieszczęśliwym tonem. – Tak mi przynajmniej powiedziano.

– Na pewno nie wejść do dziury w ziemi – stwierdziłem bardzo stanowczo. – Czego jak czego, ale tego nie uczono inkwizytorów.

Bo rzeczywiście człowiek, który wczołga się w ciemną jamę, może być świetnie wyszkolonym wojownikiem, a i tak nic mu z tego nie przyjdzie, kiedy spotka stworzenie, czy to zwierzę, czy

człowieka, wiedzące, jak owa jama jest zbudowana, i umiejące się w niej poruszać. Co prawda jednym z symboli Inkwizytorium był kret (obok ptaka oraz ryby), ale nie oznaczało to nic poza symbolicznym stwierdzeniem, że nasza władza sięga wszędzie, w każdy zakątek świata.

– Nikt od was tego nie żąda – burknął mój towarzysz.

Potem przyłożył zwinięte dłonie do ust.

– Modeście! – zawołał. – Modeście Dobryniczu! Przychodzimy od księżnej Ludmiły z pozdrowieniem i podarunkami! Wyjdźcie no, proszę!

Rozglądałem się uważnie, by nic nas nie zaskoczyło, ale tylko wiatr kołysał długimi źdźbłami trawy, nic poza tym.

– Modeście Dobryniczu! – zawołał znowu Andrzej silniejszym głosem niż poprzednio. – Bardzo was proszę, pogadajcie z nami!

Potem odczekał długą chwilę i kiedy nadal nic się nie działo, wzruszył nerwowo ramionami.

– Możemy jedynie czekać – przyznał zrezygnowany.

– Może go nie ma – zaryzykowałem przypuszczenie. – Wyszedł gdzieś czy co... A to na pewno jest właśnie ta polana?

– Na pewno, na pewno – burknął Andrzej. – Może i wyszedł – zgodził się ze mną po chwili.

– Ano wyszedłem – usłyszeliśmy twarde głos za plecami.

Inkwizytorska edukacja nie polega jedynie na studiowaniu ksiąg i modlitwie, choć rzecz jasna, sfera ducha jest dla nas najważniejsza. Byśmy jednak mogli szkolić się i doskonalić w owej sferze ducha, wpierw musimy wiedzieć, w jaki sposób bronić sfery ciała. My, inkwizytorzy, umiemy walczyć za pomocą noża, miecza i własnych pięści, wiemy, jak osłaniać się tarczą, a wielu z nas pojęło również tajniki strzelania z łuku czy kuszy. Uczono nas także reagować na niebezpieczeństwo, bez mała jakbyśmy byli węzem, który usłyszał trzaśnięcie gałązki pod stopą człowieka. Dlatego też wyszarpnąłem długi nóż, odwróciłem się, odskoczyłem i przywarowałem. Kilka kroków od

nas stał chuderlawy człeczyna przyodziany w skórzany kaftan i skórzane spodnie. W dłoniach nie miał żadnej broni, a cechą, która go wyróżniała, była blada, ziemista twarz okolona skudloną czarną brodą. Czaszkę z kolei miał ogoloną niemal na łyso i pokrytą rozdrapanymi parchami.

– Dajże no spokój, ty tam – zwrócił się do mnie, a Andrzej szybciotko i cicho tłumaczył. – Jakbym chciał was zabić, tobyście już nie żyli.

Istniało spore prawdopodobieństwo, iż jego słowa nie były jedynie czczą przechwałką, ale miały oparcie w rzeczywistych umiejętnościach owego człowieka. Bo też zręczność, z jaką pojawił się za naszymi plecami, nie alarmując nas w żaden sposób, była prawdziwie zdumiewająca. Mógłbym być wściekły na siebie, iż dopuściłem do podobnego rozwoju wydarzeń, ale zamiast tego wolałem powziąć nadzieję, iż być może, jeśli Bóg da, to czegoś nauczę się od tego tropiciela. Gdyż w dziedzinie podchodzenia zwierzyny mógł rzeczywiście być niedoścignionym w okolicy mistrzem.

– Witajcie, Modeście Dobryniczu – powiedział Andrzej łagodnym tonem, ale z wyraźnym napięciem w głosie. – Księżna Ludmiła zasyła wam pozdrowienia i przygotowała dla was podarunki, a także kazała mi spytać, czy dobrze żyjecie i czy wam czego przypadkiem nie trzeba.

Tropiciel zachichotał.

– Póki Ksenia i ja jesteśmy razem i we dwoje, to nic nam więcej do szczęścia nie trzeba – wyznał, szczerząc połamane i poczerńnięte zęby.

Kim była owa Ksenia, o której mówił? Ukochaną koźą? Bo przecież chyba żadna kobieta nie mieszkałaby z nim w jamie pod ziemią. Zresztą Andrzej nic nie mówił, byśmy mieli tutaj natknąć się na innego niż Modest człowieka.

– Czego księżna chce ode mnie? – zapytał już bez uśmiechu i tym razem opryskliwym tonem. – Powiedz jej, że nic z tego –

dodał od razu, nie czekając nawet na odpowiedź.

– Modeście Dobryniczu, nie mówcie no byle czego – odważył się zaprotestować Andrzej. – Wiecie, jak księżna was szanuje, i wiecie, jak czeka waszego powrotu. Nie za długo już żyjecie w ponurej samotności? – Zauważył gniewny grymas przebiegający przez twarz tropiciela i dodał od razu, choć nieco niepewnym tonem: – Tak za ledwie samodwoje w tej głuszy...

Modest patrzył na niego przez chwilę, potem pokiwał głową.

– Może i za długo – przyznał z głębokim westchnieniem. – Ale co robić, jak do ludzi wracać nam się wcale nie chce...

– Księżna was pilnie potrzebuje – rzekł Andrzej z naciskiem.

– Nie jestem taki głupi, by wierzyć, że przysłała cię, tylko żebyś pytał o moje zdrowie – burknął tropiciel. – A podarki naprawdę masz?

– A podarki mam naprawdę – szybko odpowiedział mój towarzysz, jednocześnie cichutko mi tłumacząc wszystko na łacinę. – Najlepsze moskiewskie narzędzia z dobrej stali.

– A ty kto? – Tropiciel, który wcześniej nie zwracał na mnie uwagi lub wydawał się jej nie zwracać, teraz obrzucił mnie przenikliwym, może nie wrogim, lecz na pewno badawczym wzrokiem.

– To nowy pies stróżujący księżnej – zaśmiał się Andrzej.

– Nie nasz on, co? Nie rozumie po naszymu.

– Jestem poddanym cesarza – odparłem.

– Iwana znaczy? – Modest zmarszczył brwi.

– Nie, nie – zaprotestował szybko Andrzej. – Oni nazywają moskiewskiego Iwana wielkim księciem, nie cesarzem. A on – pokazał na mnie palcem – jest poddanym rzymskiego cesarza. Tego, co włada krainami za morzem.

– Aaaa... – Tropiciel spojrzał na mnie może nie z szacunkiem, ale z nieudawaną ciekawością. – Po coś tu przyjechał, hm?

– Byliśmy za Kamieniami – odparłem – z zadaniem powierzonym przez cesarza. A potem księżna Ludmiła zażyczyła

sobie, bym został w Peczorze.

Kiedy skończyłem wypowiadać te dwa zdania, zdałem sobie sprawę, jak bolesne jest to, iż tymi kilkunastoma słowami można opisać wszystko, co mi się przytrafiło. Ale gdzie było w tym opisie miejsce na zmagania z demonem i czarami, na niebezpieczeństwa, które omal nie kosztowały nas życia całej wyprawy, na intrygi, na spotkanie z wielkim księciem Nowogrodu i poddanie mnie księżnej Ludmile? Gdzie w tych słowach zawierała się moja utracona przyszłość i moje wspomnienie po cywilizacji, niknące i blednące pośród tej dzikiej ruskiej głuszy? I gdzie wreszcie w tych dwóch zdaniach kryła się opowieść o fascynującej Nontle, Mauretance, która być może nie podbiła mego serca, ale na pewno wyrzeźbiła w nim swój trwały wizerunek?

– Skoro księżna sobie życzy, strach nie spełnić jej życzenia – roześmiał się tropiciel. – Czy nie tak, Andrzej? – Obrócił wzrok na mojego towarzysza.

– Właśnie tak – zgodził się Andrzej.

– Kim byłeś tam u siebie? Żołnierzem? Szybko się ruszasz. Dobrze stoisz na nogach. Dobrze trzymasz nóż.

Sam byłem zaskoczony, że owe słowa sprawiły mi przyjemność. Nie powiedziałbym może, iż wbiły mnie w dumę, wasz uniżony sługa ma bowiem zbyt wiele pokory w sercu, by łatwo przychodziło mu chełpienie się nawet przed samym sobą, jednak na pewno poczułem się mile połączony, iż docenił mnie człowiek znający się na rzeczy.

– To inkwizytor – wyjaśnił Andrzej.

Jak widać, wyszedł ze słusznego założenia, że kłamstwo mogłoby w tym przypadku zaszkodzić, gdyż Modest, jeśli pójdzie z nami, to z całą pewnością prędzej czy później dowie się od kogoś, kim jestem. A wtedy fakt, że został oszukany, mógłby go mocno rozsierdzić.

– Rzymski diabeł... no, no... – Tropiciel przekręcił głowę

i wpatrzył się we mnie uważnie.

Jednak w jego wzroku nie widziałem wrogości, gniewu lub podejrzliwości, czyli tak typowej dla Rusinów reakcji na słowo „inkwizytor”.

– Nigdy nie byłem w Rzymie – powiedziałem, starając się utrzymać lekki, przyjacielski ton. – I zapewniam was, że nie jestem również diabłem ani wcale nie chciałbym nim zostać, ani z nim się zaprzyjaźnić.

– Słusznie. – Modest przeżegnał się zamasyście i ucałował własną pięść. – Bardzo słusznie – dodał.

Potem znowu odwrócił się w stronę mojego towarzysza.

– No więc powiedz, Andrzej, szczerze i z ręką na sercu, czego chce ode mnie księżna?

– A czegoż można chcieć od najlepszego tropiciela?

– Nie zostawię Kseni samej. – Modest pokręcił głową z nachmurzoną miną. – Nawet mowy o tym nie może być, aby żonę porzucić.

– Nie zostawiaj, ależ nie zostawiaj – wpadł mu szybko w słowo Andrzej. – Zabierz żonę ze sobą. Księżna będzie jej bardzo rada!

Żonę, pomyślałem. Czyżbyśmy więc mówili o ludzkiej istocie z krwi i kości? Ciekawe. I jednak Modest pocieszył się, jak widać, po śmierci pierwszej żony, z powodu której opuścił Peczorę.

– Ludzie nie lubią Kseni. – Tropiciel spochmurniał jeszcze bardziej. – Toteż żyjemy sobie tutaj, by nikomu nie wadzić.

– Będziecie mogli wrócić natychmiast, kiedy tylko pomożecie księżnej...

Andrzej wyraźnie uderzył w proszące tony. Miałem wrażenie, iż obawia się, że spokojna do tej pory ryba nagle zaczęła się szarpać i zapragnęła zerwać się z wędziska.

– A jakie żeście mi przywieźli podarki? – zainteresował się nagle Modest, a jego oczy błysnęły.

– Chodźcie, to sami obejrzycie – zaproponował Andrzej serdecznym tonem. – Zostawiliśmy konie kilka kroków stąd.

– Wiem, gdzie zostawiliście konie. – Tropiciel skrzywił kąciki ust. – No to chodźmy – zdecydował. – Jak podarki będą piękne, to może jeszcze pogadamy. A dla Kseni... – Zatrzymał się nagle jak koń, któremu gwałtownie ściągnięto cugle. – A dla Kseni coś macie?

Byłem bardzo ciekaw, jak Andrzej wybrnie z tego kłopotu, gdyż miałem pewność, że nie wiezie w jukach niczego, czym można by było obdarować kobietę. Nawet taką, która mieszka w podziemnej jamie.

– Dla Kseni sama księżna uszykowała niespodziankę, która, wierz mi, bardzo się jej spodoba – skłamał Andrzej z taką szybkością, wprawą i gładkością, iż zdecydowałem, że będę mu się od tej pory przyglądał jeszcze baczniej niż dotychczas.

– Dla Kseni nie przywieźliście żadnego podarku, a tylko nędzne, bałamutne obietnice? – Twarz tropiciela stężała, a jego oczy nagle zrobiły się zaskakująco mętne. Teraz spoglądał na nas już z nieukrywaną wrogością.

– Jakżeby nie – rzekłem nagle, bo w tej właśnie chwili zrozumiałem, dlaczego Natasza dała mi złoty łańcuch z zielonym kamieniem. – Jak by to wypadło bez podarku przyjeżdżać w gości – dodałem. – Oczywiście, że mamy podarek dla twojej żony.

Andrzej tłumaczył moje słowa blady jak śmierć, bo i on, patrząc przed chwilą na tropiciela, zrozumiał, co się święci i co za chwilę może nas spotkać. A ta bladość nie ustępowała, bo po pierwsze, nie wiedział, czy nie próbuję tylko zyskać na czasie, po drugie, nie wiedział, co chcę dać w prezencie, a po trzecie, zastanawiał się, czy szalony tropiciel w ogóle rozumie jeszcze, co się do niego mówi. A i historia o oskórowaniu przez Modesta przeciwników chyba też musiała się Andrzejowi przypomnieć.

Wyciągnąłem z za pazuchy naszyjnik zawinięty pieczolowicie w sobolową skórę. Tak jak klejnot był pomysłem Nataszy, tak zabezpieczenie go przed uszkodzeniem było już osobistą

inicjatywą waszego unizonego sługi. Ale zanim podałem prezent Modestowi, rozłożyłem sobolowe futerko. Bo widzicie, mili moi, bardzo nie chciałem, żeby tropiciel i łowca, który w futrach dzikich zwierząt mógłby się tarzać, pomyślał, że jedynym prezentem, jaki mam dla jego żony, jest kawałek sobolowej skóry. Dlatego rozpakowałem zawiniątko, a naszyjnik pięknie wtedy zalsnił w promieniach słońca. Zalsnił i złotem ogniwi, i zielenią kamienia.

– A to się Ksenia ucieszy – powiedział Modest Dobrynicz z prawdziwym, jak mi się wydawało, zachwytem w głosie. – Mogę? – poprosił, spoglądając na mnie wzrokiem posłusznego psa, który widzi w ręku swego pana pięknie pachnący kawałek mięsa, ale nie jest pewien, czy ta porcja jest aby na pewno dla niego.

– Ależ bierzcie, to przecież dla was – pozwoliłem serdecznie.

Tropiciel bardzo ostrożnie i delikatnie ujął ogniwa klejnotu w palce, po czym rozwiesił naszyjnik na pełną długość.

– Wiele świata musiała ta błyskotka przewędrować – zauważył.

Zdanie było nadspodziewanie rozumne, gdyż klejnot pochodził prawdopodobnie z Nowogrodu albo z Moskwy, bo tam obaj książęta zatrudniali wielu wybornych złotników. Ale kto wie, może widział jeszcze więcej świata? Może pochodził z Cesarstwa, a może z Persji? Któż to mógł wiedzieć, w jakich stronach go wykuto i przez jakie przechodził ręce. A może też ile krwi rozlano, by go pozyskać.

– Gdzie ją zrobiono, nie mam pojęcia – rzekłem zgodnie z prawdą. – Oprócz tego, że jest piękna, i wygląda też na starą. A z biżuterią tak już jest, że im starsza, tym cenniejsza.

Tropiciel pokiwał głową, potem ku mojemu zdziwieniu wyciągnął w moją stronę rękę z klejnotem.

– Dajcie go sami mojej Kseni, bardzo was proszę – powiedział.

– Oczywiście – odrzekłem i z powrotem zawinałem klejnot



w sobolową skórę.

– No dobrze, poczekajcie tu na mnie. Zawołam Ksenię, wezmę, co tam mam, i jestem gotów, by z wami jechać... Zapasowe konie macie?

– Jednego – odparł Andrzej z kamienną twarzą. – Bo myśleliśmy, że będziecie chcieli jechać z żoną w jednym siodle.

– O tak! – Tropiciel uniósł wskazujący palec. – Bardzo słusznie, bardzo przezornie. No dobrze, czekajcie – powtórzył.

Potem odwrócił się i poszedł szybkim krokiem w stronę swojej ogrodzonej posiadłości. Dopiero kiedy był naprawdę dosyć daleko, Andrzej obrócił się w swoją stronę.

– Na Jezu Boga, skąd mieliście ten naszyjnik? – zaszeptał, a po jego drżącym głosie poznałem, że jeszcze nie doszedł do siebie.

– Tak pomstujecie na moją Nataszę, a to był jej pomysł. To ona uratowała nam życie – wyjaśniłem.

Przeżegnał się szybko i ucałował pięść, nawet trzy razy i z wyraźnym uczuciem.

– Nic nigdy złego o waszej kobiecie nie mówiłem, a to, co mówiłem, to tylko prawda, jakie one wszystkie są – powiedział szybko. – Widziałem już ten naszyjnik gdzieś, widziałem... – dodał.

– Taka gruba dworka go miała. Pyskata, z czerwoną twarzą.

– Ach, Agafia. Wiem – klasnął, ale zaraz sposepniał. – Natasza ją zabiła?

– Czy wyście zgłupieli?! Po prostu poprosiła, żeby jej dać.

Andrzej odetchnął z ulgą, ale chyba bardziej wynikającą z faktu, że gniew Modesta nie skrupił się na nas, niż z uwagi na to, że gruba dworka przeżyła spotkanie z Nataszą.

– Myślicie, że by nas zabił? – zapytał po chwili.

– Myślę, że jest szalony – odparłem, bo przypomniało mi się, jak w jednej chwili zmieniły się oczy tropiciela. – Więc pewnie tak: starałby się nas zabić. Chociaż – zastanowiłem się przez moment – może by nas tylko przegnał? Diabli wiedzą. Lepiej

powiedźcie, co to za Ksenia?

– Ni czorta nie wiem – odparł Andrzej. – Jak mi Bóg miły, wszyscy słyszeliśmy, że mieszka sam i od ludzi zupełnie się odgradził, z nikim nie chce się widzieć ani z nikim gadać. A tak w ogóle to skąd on wytrzasnął kobietę? I co ona? Mieszka z nim w tej norze?

– Może to nie kobieta – mruknąłem.

– A kto? Demon z puszczy? – zadrwił Andrzej.

Wzruszyłem tylko ramionami.

– Wymyśl. Majak. Zwid wywołany chorobą wyobraźni.

– Czyli że Modest gada do powietrza?

– Może i tak być.

– A to ciekawe, w jaki sposób ofiarujecie Kseni naszyjnik, skoro okaże się, że jest bezcielesna i żyje jedynie w umyśle tego wariata?

Ale zaraz potem Andrzej zaniepokoił się.

– Jeśli macie rację, to co powinniśmy robić?

– Traktować jego fantazję, jakby była całkiem prawdziwa – odparłem. – Nie narzucajcie się owej wymyślonej Kseni i najlepiej trzymajcie gębę na kłódkę, bo z takim szaleńcem nigdy nie wiadomo, co uzna za podejrzone.

Andrzej wzdrygnął się.

– Cztery dni nas dzielą od Peczory. – Pokręcił głową i westchnął. – Nie tylko nie zasnę, ale nawet powieki nie zmrużę, żeby ten wariat nie obdarł nas ze skóry. A jak sobie wymyśli, że mamy ochotę spać z tą jego wymyśloną żoną? O na Jezu Boga! – Mój towarzysz zadrżał jeszcze wyraźniej i zacisnął dłonie w pięści.

Miał rację, podróż nie zapowiadała się spokojnie i bezpiecznie. No, pewnie z tak wybornym tropicielem nie zaatakują nas ani wilki, ani niedźwiedzie, pytanie tylko brzmiało, czy on sam nie zechce zabawić się w drapieżnika na tej scenie, gdzie my staniemy się uciekającą ofiarą.

– A może by go tak zabić? – poddał szeptem Andrzej. – Trupa rzucimy w bagno, a księżnej powiemy, żeśmy Modesta nigdzie nie znaleźli. Co wy na to? Nie będzie tak lepiej dla wszystkich?

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Poczekajmy – odparłem. – Zobaczmy, co się stanie, i przede wszystkim zobaczymy, kim jest ta Ksenia.

– Mielście takie przypadki? – Znowu zadrżał. – Widzieliście już ludzi gadających z wymyślonymi stworami?

– Widziałem – rzekłem. – Znałem też ludzi, którzy gadali z demonami.

– Wymyślonymi?

– Niektórzy z wymyślonymi...

– O mój Boże – jęknął Andrzej. – Mówię wam: zabijmy go – uczepił się swojego pomysłu.

– To nie jest tylko kwestia mojej decyzji i obawy narażenia się na gniew księżnej – rzekłem. – To też kwestia praktyczna. Niekoniecznie byłoby nam łatwo zabić takiego człowieka. A gdyby uciekł i zniknął w lesie? – Spojrzałem na dworzanina Ludmiły. – Jak będziecie się czuć, wracając przez cztery dni do Peczory i w każdej minucie wiedząc, że waszym śladem podąża najlepszy tropiciel księstwa? Tropiciel wściekły, że chcieliście go zabić, i nierozumiejący, dlaczego tak postąpiliście, skoro nie zrobił wam nic złego...

Andrzej załamał tylko rękę.

– A Natasza? – dodałem. – Założę się, że od razu by wiedziała, co się naprawdę wydarzyło. A chyba nie byłaby zachwycona, skoro ona sama przecież uznała, iż właśnie my powinniśmy jechać po Modesta...

Miał mi po chwili coś odpowiedzieć, lecz zobaczyliśmy, jak tropiciel wyłania się nagle spośród traw. Tym razem miał na sobie wielką i kudłatą futrzaną szubę, a w rękach niósł opartą o ramię deskę wysokości człowieka.

– No dobrze, Ksenia jest deską, jak mi się zdaje – powiedziałem

niemal samym ruchem ust, mimo że mówiłem przecież po łacinie, a było niemożliwe, by taki człowiek jak Modest znał łacinę. To znaczy prawie niemożliwe, bo na Rusi ludzkie losy toczyły się czasem tak zdumiewająco, iż dziwiły nawet człowieka podobnego do mnie, który z niejednego pieca chleb jadał i słuchał spowiedzi niejednego przestępcy. – To lepiej, niż gdyby pochodziła całkowicie z wyobraźni.

– Ciekawe, czy dziura jest w tej desce – zaśmiał się Andrzej nerwowo.

– Jeśli chcecie stracić życie albo życie wraz ze skórą, spytajcie go – odparłem zimno. – Podejrzewam, że na drugiej stronie tej deski wymalował coś, co ma przypominać kobietę. Może twarz, może kształt... – dodałem już spokojniej.

– Jezu Boże, pozwól mi wrócić do domu – zaszeptał mój towarzysz.

Tymczasem uśmiechnięty Modest Dobrynicz zbliżył się do nas. W ogromnym futrze, całkiem zresztą sprawnie zszytym z różnych skór, wyglądał o wiele potężniej. Jak jakiś niewyrośnięty niedźwiedź o ludzkiej twarzy.

– Jak obiecałem, tak jestem – rzucił wesoło. – A wy poznajcie moją Ksenię, mój promyczek słoneczka w tej głuszy – niemal chlipnął.

Obrócił deskę w naszą stronę i wtedy mogliśmy łatwo dostrzec, iż Ksenia nie jest bynajmniej wymalowaną na owej desce postacią. Ksenia bowiem była prawdziwym człowiekiem, czy może lepiej powiedzieć: resztkami prawdziwego człowieka. Tak naprawdę była tylko wysuszoną, zmumifikowaną czaszką obleczoną pergaminową, zmiętą skórą z czarnymi kamyczkami zamiast oczu. Z głowy sterczały jej wiechcie włosów, czy zrzęczniejsz rzecz: kłaków. Z czego Ksenia składała się dalej, tego już nie mogliśmy poznać, gdyż do przybitej do drewna czaszki ściśle przylegała suknia z wysokim kołnierzem. Ubranie to chyba było niegdyś piękne i kosztowne, lecz teraz zetlało, wyblakło,

a materiał znaczyły większe i mniejsze dziury oraz dziurki. Na dole strój był cały postrzępiony, ale za to powiewały przypięte do niego jakieś wstążeczki czy tasiemki. Ani butów, ani nóg Ksenia nie miała.



Miałem nadzieję, że Andrzej nie okaże zaskoczenia, a ponieważ przydługa cisza również mogła być podejrzana, szybko powiedziałem:

– Chwali się, że wasza dama zgodziła się z wami dzielić trudy traperskiego życia – zauważyłem serdecznym tonem, a mój towarzysz natychmiast przetłumaczył te słowa.

– Oj tak, oj tak – rzekł z przekonaniem Modest Dobrynicz. – Kwatery w lesie czy na polu to nie jest dobre miejsce dla kobiety. Tyle dobrego, że – twarz tropiciela stężała – żadnych pokus nie ma w takiej dziczy...

– Pozwolicie, Modeście Dobryniczu, że wręczonej waszej żonie podarek? – zapytałem grzecznie, bo rozmowa zmierzała w złym kierunku.

– Kseniuszka, podarek ci przywieźli! – zawołał radośnie tropiciel. – O, widzicie, jak to się cieszy, głupia baba, aż zęby do tych błyskotek szczyrzy... – dodał z serdeczną i ciepłą pobłażliwością.

Owa groteskowo wykrzywiona, zaschnięta czaszka w ogóle sprawiała wrażenie na pół przerażające, a na pół uciężne, w tym dziwnym rodzaju paskudnej i pełnej grozy uciężności, jaki widuje się czasami na jarmarkach lub wśród karnawałowych przebierańców. Czego jednak byłem pewien, to tego, że owo oblicze w żaden sposób nie zmieniło swego wyrazu. Zdawało się złośliwie uśmiechać poszczerbionymi i powyłamywanymi zębami wystającymi zza skruszałych ust. I ten uśmiech przecież miał trwać dopóty, dopóki ktoś owej czaszki nie rozłupie czy nie zgniecie.

– Zawieście go żonie na szyi – poprosiłem i zbliżyłem naszyjnik w stronę Modesta.

On przyjął go ode mnie i gruchając coś przymilnie (ale co, tego Andrzej tym razem nie tłumaczył), umocował podarowany klejnot w taki sposób, że rzeczywiście wydawał się ozdabiać dekolt Kseni. Czy raczej miejsce, w którym owa deska z suknią miałaby dekolt, gdyby była prawdziwą kobietą.

– Jak wypiękniała, gołąbeczka moja. – Modest Dobrynicz cofnął się o krok i zacmokał głośno.

– Jesteście gotowi do podróży? – spytałem. – Wybaczcie, że pośpieszam, ale księżna kazała, byśmy wracali jak najszybciej – zwróciłem się w stronę tropiciela.

Ten skinął głową.

– Książęcy rozkaz rzecz święta – stwierdził uroczyście.

Kiedy Modest zajęty był pakowaniem się na konia, układaniem juków i jednocześnie przymilnie coś gaworzył do swojej deski, ja znalazłem okazję, by przemówić do Andrzeja.

– Jeśli wam życie miłe, nie zbliżajcie się na popasie do tej jego ukochanej – przykazałem.

– Są w niej czary? Zaklęty demon? Wyczuwacie to inkwizytorską mocą? – Andrzejowi znowu drżał głos.

– Nie, durniu – syknąłem. – On tę deskę z przybitymi do niej szczątkami traktuje niczym żywą kobietę. Może uznać, że się spoufalacie. A wiecie, co zrobił z tymi, którzy poprzednio spoufalili się z jego żoną?

– Jezu Boże, niech to wszystko się już wreszcie skończy. – Mój towarzysz przymknął oczy, tak zrozpaczony sytuacją, w jakiej się znalazł, że nie zareagował nawet na słowo „durniu”.

Zresztą, jak mi opowiadano, Rusini na ogół uznawali, że jak ktoś ich spierze po pysku albo nawyzywa, to znaczy, że miał do tego prawo dane mu przez wyższą władzę. I tym bardziej takiego człowieka szanowali.

– Pomyślcie, jak księżna się ucieszy, że wypełniście zleczone zadanie – powiedziałem, by go pocieszyć.

Rozchmurzył się na chwilę. A ja nie chciałem mu już mówić, że skutkiem wykonania trudnej misji zlecanej przez władcę jest zazwyczaj to, że po jakimś czasie dostaje się w darze misję jeszcze trudniejszą... Tak już jest zbudowany nasz niedoskonały świat i obawiałem się, że będąc sługami ruskiej księżnej, w pełni owej niedoskonałości poprobujemy...





Modest Dobrynicz nieoczekiwanie okazał się dobrym, niekłopotliwym towarzyszem. Ja i Andrzej uważaliśmy na każdy nasz krok i każdy ruch, ale jednocześnie wiedzieliśmy, iż musimy zachowywać się całkowicie naturalnie i nie skłonić go do żadnych podejrzeń. Jednak tropiciel przez większość podróży zajmował się swoją Ksenią, gadaniem do niej, uśmiechaniem się i nawet śpiewaniem jej piosenek. Na popasach szybko wpełzał do namiotu, deskę ustawiał od ściany, sam się do niej przytulał i zasypiał. Szczerze mówiąc, trochę mnie dziwiła jego beztroska, gdyż przecież ostrzegano nas przed wilkami i niedźwiedziami. Na wszelki wypadek strażami zamienialiśmy się z Andrzejem. Jeden z nas spał, drugi czuwał przy ognisku.

– Albo nie zależy mu na życiu, albo wie, że nic złego nas nie spotka – zaszeptał mi w ucho Andrzej pierwszej nocy.

Rzeczywiście mogło tak być. Ale mogło być i tak, że Dobrynicz żył w tak fantastycznym świecie własnej ułudy, iż po prostu obecności wilków i niedźwiedzi lub możliwości ataku nie brał nawet pod uwagę. Człowiekowi zdrowemu i sprawnemu umysłowo ciężko pojąć mechanizmy rządzące postępowaniem szaleńców.

Czwartego dnia spytałem Andrzeja:

– Jak daleko jeszcze do Peczory?

– A co, sami nie widzicie? – zdziwił się.

– Co mam niby widzieć?

– Nie poznajecie, że kiedy wyjechaliśmy rankiem z fortecy, to tu, dokładnie w tym miejscu znaleźliśmy się, kiedy słońce stało między południem a zachodem?

– Jestem człowiekiem z miasta – stwierdziłem z naciskiem. – Wszystkie te diabelskie drzewa wyglądają dla mnie tak samo. A porę dnia zazwyczaj poznaję, patrząc na zegar, nie na słońce...

– W Peczorze mieliśmy zegar, tylko że się zepsuł – westchnął Andrzej. – Ale w Kazaniu widziałem nawet wieżę zegarową.

– Daleko jeszcze? – powtórzyłem.

– No przecież wam odpowiedziałem.

– A tak, rzeczywiście – mruknąłem po chwili. – W ten pokrętnie barbarzyński sposób naprawdę odpowiedzieliście. Pojedziecie w takim razie przodem, jak najszybciej się da. Zawiadomicie księżną, kogo jej przywozimy, i opowiecie, w jakim ten człowiek jest stanie, nie ukrywając niczego. Niech księżna wie, jak wygląda sytuacja, niech też decyduje, co robić. Bo jeśli przywieziemy jej taką wyjątkową niespodziankę, nie uprzedzając, jak bardzo jest ona wyjątkowa, to księżna może nie być zadowolona...

Andrzej pokiwał gorliwie głową.

– Jeśli księżna zdecyduje się go zabić, to niech, z łaski swojej, zrobi to tak, by przy okazji nie zabito również mnie – dokończyłem.

Dodałem to zdanie, gdyż przypomniało mi się, że kiedy bronilem Ludmiłę przed skrytobójcą, to jej strażnicy o mało nie zadźgali mnie włóczniami. Nie przez pomyłkę i nie z premedytacją, ale po prostu z wojennego zapału, który w czasie zamieszania kazał im atakować wszystko wokół, co nie jest ich panią...

– Wszystko powiem, ruszę z kopyta! – zapewnił mnie Andrzej.

Byłem przekonany, że oprócz chęci przypodobania się Ludmile wielkie znaczenie dla tego entuzjazmu miał fakt, iż nie będzie musiał chociaż przez ostatnich kilka godzin podróżować w towarzystwie szalonego tropiciela. Modest jednak cały czas sprawiał wrażenie całkowicie nieszkodliwego. Jechał, kołysząc się na boki, i podśpiewywał coś cichutko w stronę deski trzymanej między końskim łbem a własną pierśią. Przybitej do niej czaszki nie widziałem, gdyż zwrócona była w odwrotnym kierunku, dostrzegałem tylko wstążki sukni powiewające na wietrze.

– Piękny widok taka zakochana para gołąbeczków – powiedziałem. – Aż serce rośnie, jak spojrzeć.

Andrzej nawet nie odwrócił wzroku w stronę tropiciela.

– To ja już pojedę – rzucił tylko.

– Opowiedzcie się przedtem Modestowi – nakazałem. – Lekkim tonem oznajmicie, że księżna kazała wam wcześniej się powiadomić, kiedy przyjeżdżamy, żeby przygotować powitanie i poczęstunek. Rozumiecie? Tylko niech to przypadkiem nie zabrzmie jak pytanie albo tłumaczenie się. Jesteście księżęcym dworzaninem i wykonujecie rozkazy swojej pani, a towarzyszy informujecie tylko dlatego, iż poza tym jesteście człowiekiem dobrze wychowanym. Tak ma to zabrzmieć, zrozumieliście?

– Zrozumiałem.

– Nie czekacie na żadną odpowiedź, bo żadna nie jest wam potrzebna – dodałem. – Po prostu robicie swoje.

– Dobrze.

Nagle tknęło go coś.

– Wiecie, że nie będziecie mogli dogadać się z Modestem? – zapytał nagle.

– Skoro ja nie mówię po rusku, a on nie mówi po łacinie, jest to rzecz oczywista. – Wzruszyłem ramionami.

– A jeśli z tego wyniknie jakaś bieda? – zaniepokoił się Andrzej.

– Nie, nie mogę was zostawić – dodał dość stanowczo, ale jednak z wyraźnym rozczarowaniem. Widać obowiązek walczył w nim z chęcią natychmiastowego wzięcia nóg za pas.

Domyślałem się, że owa dbałość o całość mojej skóry nie wynikała z dobrego serca i gorącej przyjaźni, lecz ze strachu. Po pierwsze, przed Ludmiłą, po drugie, przed Nataszą. Chociaż ciekawe, co tak naprawdę było w tym wypadku „po pierwsze”, a co było „po drugie”.

– Zbierajcie się i nie kłóćcie ze mną – nakazałem stanowczo. – Księżna musi wiedzieć, czego ma się spodziewać.

Zagryzł usta.

– Zaprzysięgniecie się, że to ja kazałem – dodałem. – Uwierzają wam.

– Na Jezu Boga, mówicie tak, jakbyście mieli już nigdy nie wrócić! – spłoszył się.

– Wrócę, wrócę – zapewniłem go. – Przecież to nie jest jakaś nierozumna bestia.

Obaj jak na komendę obróciliśmy spojrzenie na Modesta Dobrynicza. Tropiciel jechał, kołysząc się na boki w rytm melodii nuconej pod nosem piosenki. Spoglądał miłośnie na swoją Ksenię i co pewien czas z uczuciem całował ją prosto w zeschnięte usta.

– O, widzicie, jakaż z niego wielce sentymentalna natura – powiedziałem.

– Jezu Boże, za jakie grzechy spuszczasz szaleństwo na głowy człowiecze? – zamamrotał Andrzej i odwrócił wzrok.

– Zapewniam was, że mogło być gorzej – rzekłem. – Byłem kiedyś w związku ze służbowymi powinnościami w pewnym przybytku, gdzie trzymano ludzi niespełna rozumu. I wierzcie mi, że nasz przyjaciel uchodziłby wśród nich za ostoję rozsądku. No dobrze, dość o tym. Jedźcie!

– Dajcie mi pierścień.

– Co takiego?

– Dla Nataszy – rzekł. – Na znak, że wykonuję wasz rozkaz. Na znak, że to nie ja wymyśliłem, iż zostanieie sami z tym... tym człowiekiem.

Pokręciłem głową i zsunąłem z palca klejnot otrzymany od Ludmiły. Zszedł opornie, dopiero po kilku próbach. Zakręciłem pierścień w dłoni, westchnąłem, a potem podałem go Andrzejowi.

– Nie zgubcie go, bo to pamiątka – przykazałem.

– Założę, dobrze?

– A zakładajcie. Tylko żebym potem nie musiał wam go zdejmować razem z palcem, jeśli się zaklinuje...

Uśmiechnął się.

– Uważajcie na siebie – przykazał.

– I vice versa – odparłem.



Księżna czekała przed bramą, dosiadając siwego ogiera o długiej, zaplecionej w warkoczyki grzywie. Ale nie tylko wierzchowiec, przybrany czaprakiem z kolorowymi chwostami, prezentował się tu wspaniale. Ludmiła ubrana była w aksamitny płaszcz wykładany sobolowym futrem, a włosy miała upięte wysoko i spięte złotymi broszami. Obok niej siedział na koniu kanclerz. Jego wierzchowiec był zarówno drobniejszej budowy, jak i mniej rzucający się w oczy, lecz i sam mężczyzna był przecież wądry i zgarbiony. Obok tych dwojga stali żołnierze z włóczniami w dłoniach. Było ich ośmiu. A z boku, kilkanaście kroków dalej, siedział na koniu Zygfryd i przyglądał się wszystkiemu uważnym wzrokiem. Kiedy mnie zobaczył, skinął mi ledwo dostrzegalnie głową. Przyznam, że byłem zdziwiony, a może lepiej użyjmy zwrotu: potężnie zdumiony, iż księżna z tak wielkim przepychem i ceremoniałem (przynajmniej jak na peczorskie warunki) wita zwykłego tropiciela. No może nie „zwykłego”, lecz wyjątkowo uzdolnionego, jednak zawsze to tylko tropiciel. Prostak. Sługa. Człowiek wywodzący się z plebsu.

– Widzicie, księżna na was czeka – oznajmiłem.

Wiedziałem oczywiście, że Modest Dobrynicz mnie nie rozumie, ale słowa wyrzekłem tonem tak uroczystym i wskazując tak wyraźnie na grupę zgromadzoną przed bramą, by nie mogło być wątpliwości ani co do sensu wypowiedzianego zdania, ani jego intencji. Tropiciel wpatrywał się w ludzi stojących u progu fortecy z wyrazem twarzy na poły ogłupiałym, na poły uszczęśliwionym. Sądziłem, że w jego małym, dzikim mózgu nie zaświtała nawet myśl o tym, iż przed peczorską bramą witać go będą zarówno sama władczyni, jak i jej najbliżsi dworzanie. Wiedziałem, że Ludmile z jakiegoś powodu zależy na powrocie tropiciela, jednak nie wiedziałem, że zależy jej na tym aż tak bardzo!

Sto kroków przed bramą Modest Dobrynicz zsiadł z konia i prowadził go za uzdę, a kiedy od księżnej i jej świty dzieliło go mniej więcej trzydzieści kroków, wtedy padł na kolana i dalej sunął już właśnie w tej pozycji. I tak dobrze, że dzisiaj przez cały dzień świeciło mocne słońce i droga nie zamieniła się w błotniste bajoro. Ja również uprzejmie zeskoczyłem z siodła, ale oczywiście nie zamierzałem aż tak się korzyć. Po pierwsze dlatego, że nie uważałem tego za konieczne dla uszczęśliwienia kogokolwiek, po drugie, że inkwizytorzy na kolana padają jedynie przed Bogiem lub damą swego serca, a po trzecie, że tylko stojąc, mogłem czuwać nad tropicielem, gdyby chciał zachować się w nierozsądny sposób. Cóż, może zważywszy na zwinność i doświadczenie Dobrynicza, słowo „czuwać” było nieco na wyrost, jednak przynajmniej mogłem się starać. W miarę sił oraz możliwości. A teraz moglibyście spytać mnie, mili moi, cóż w czasie całej tej komedii działo się z naszą ulubioną, słodką Ksenią, piękną żonką Modesta Dobrynicza, czyli jak przypomnę: co działo się z tym kawałem dechy, do którego przybito wysuszoną ludzką głowę oraz zetłale szaty, mające w nieudolny sposób naśladować ludzką postać? Otóż ową deskę tropiciel trzymał w objęciach, unosząc ją nawet dość wysoko, tak aby przypadkiem nie zahaczyła o drogę czy nie utaplała się w błocie. Z uwagi na to obciążenie sunął z jeszcze większym móżolem, niżby wskazywała sama trudność przesuwania się na klęczkach, ale jednak sunął całkiem dziarsko i z widocznym animuszem.

Ani na obliczu Ludmiły, ani na żadnej twarzy należącej do otaczających ją ludzi nie odmalowało się zdziwienie czy obrzydzenie na widok tego dziwnego człowieka prącego przez błoto ze szczątkami martwej kobiety w objęciach. Wszyscy przyglądali się tropicielowi ze spokojem, a wręcz z obojętnością, tak jakby widowisko, które im właśnie zaprezentował, było czymś całkiem zwyczajnym.

Andrzej zbliżył się do mnie po łuku i uściśnął serdecznym gestem mój łokieć.

– Bogu dziękować Jezusowi, że jesteście, że nic wam się nie stało – zaszeptał gorączkowo.

– Natasza zdrowa?

– Aż za bardzo – zaszeptał już ledwo słyszalnie. – Jak ona mnie zwyzywała, jak skłęła od najgorszych, Jezu Boże! – Aż dreszcz nim wstrząsała. – Księżna dopiero ją ugłaskała i zapewniła, że trzeba w was wierzyć, że na pewno nic się wam nie stanie... No i waszym pierścieniem świeciłem jej w oczy, może to ją trochę uspokoiło. A właśnie, pierścień... – Andrzej objął palec i zaczął mocować się z klejnotem.

– Modest był greczny niczym trusia – wyjaśniłem. – Nawet nie zatupał ani razu. – Uśmiechnąłem się. – Kiwał się w siodle i śpiewał swojej ukochanej piosenki. Tyle że zmusił mnie, byśmy zatrzymali się na obiad, i ugotował potrawkę z królika z leśnymi ziołami. W dodatku pyszną.

– Nie otruł was, mam nadzieję... – Andrzej zbladł.

– Czemu miałyby mnie otruć? – Skrzywiłem się. – Jakby mu się coś nie spodobało, toby mnie pewnie zarznął czy zakłuł jak porządny człowiek.

– No tak, pewnie i tak – uspokoił się mój towarzysz.

Podał mi pierścień, a ja z zadowoleniem włożyłem klejnot na palec, bo od kiedy go oddałem, cały czas dziwiła mnie ta niepokojąca pustka na dłoni.

Tymczasem Modest Dobrynicz znajdował się już kilka kroków od księżnej. Ludmiła zeskoczyła z siodła, nad podziw lekko i zgrabnie, a potem stanęła tuż przed tropicielem.

– Witaj, kochany i drogi przyjacielu – powiedziała jednocześnie tonem serdecznym i uroczystym, a Andrzej szybko i cichutko tłumaczył mi wszystkie słowa. – Smutno było nam bez ciebie i bez twoich zdolności. Toteż cieszymy się, że jesteś i będziesz już z nami, by właśnie nam na zawsze służyć. A my

przrzekamy, że odpłacimy ci tym, co najlepsze...

Modest Dobrynicz przytulił się do butów księżnej i łkał rozpaczliwie wtulony w jej cholewki. Zauważyłem jednak, że deskę trzymał cały czas ostrożnie, nieco wyciągniętą na bok, tak aby o nic nie zahaczyła ani by przypadkiem nie wymusnęła mu się z dłoni i nie runęła w błoto.

– Wstańże, Modeście, wstań – rozkazała Ludmiła łaskawym, ale jednocześnie mocnym głosem.

Kiedy tropiciel podniósł się na nogi i stanął przed nią ze wzrokiem wbitym w czubki własnych butów, księżna powiedziała:

– A cóż to, syneczku drogi, trzymasz w ręku?

– To... to Ksenia. Żona znaczy, za pozwoleniem waszej miłości, już jeśli mogę, wasza mość, pokazać, by przedstawić ją w ten czy inny...

– Modeście – przerwała mu silnym głosem księżna – przecież to zwykła deska z przybitym trupem i zniszczonymi szatami.

Kątem oka zauważyłem, że Zygfryd położył naładowaną kuszę na końskim łbie. Wymierzył i oparł palce na dźwigni. Zobaczył moje spojrzenie i mrugnął w moją stronę.

– Mój drogi przyjacielu, jakże dojadło ci życie, że zamiast towarzystwa ludzi wolisz zeschniętego trupa przytwierdzonego do starej deski! Zabierzcie to od niego! – zawołała nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Zbliżyło się dwóch żołnierzy. Obaj byli bladzi, obaj mieli czoła zroszone potem, ale obaj nie mieli również wyboru. Zygfryd uśmiechnął się nieco szerzej.

– To Ksenia, pani moja, to Ksenia! – zaszlochał nagle Modest lamentem pozbawionym gniewu, a tylko pełnym rozpacz i niedowierzania. – Nie zabierajcie mi Kseni, wasza mość!

– To nie jest żadna Ksenia – rzekła księżna, tym razem nie tylko z wielką mocą, ale też z wielką pogardą w głosie.

Postąpiła na bok, wyrwała silnym ruchem deskę z rąk Modesta



i wręczyła ją żołnierzom.

– Spalcie to! – syknęła.

Potem obróciła twarz do tropiciela.

– Jak śmiałeś mnie zostawić? – spytała złym głosem. – Zostawić mnie wtedy, kiedy cię najbardziej potrzebowałam? Jak śmiałeś wymalować deskę i przybić do niej kości, by przed ludźmi udawały żywą istotę? Chciałeś oszukać Boga? Twoja sprawa! Ale przyznaj: czy chciałeś oszukać również mnie?!

Dłonie Ludmiły zacisnęły się na ramionach Dobrynicza. Ten, bardziej pod presją tego uścisku niż z jego rzeczywistej siły, z powrotem upadł na kolana.

– Jesteś moim tropicielem – rzekła z mocą Ludmiła. – Jesteś moim sługą, a nie sługą własnych obłąkanych myśli. Znajdę ci kobietę, Modeście, która ogrzeje ci łożę i która zastawi ci stół jedzeniem. Zapłacę ci godny żołd. I dam ci też to, co mogę dać najcenniejszego: książęce wybaczenie i książęcą łaskę... Jeśli tego pragniesz, możesz zostać. Jeśli pragniesz czego innego, odejź.

Przez chwilę milczała.

– Jeśli tylko zechcesz, twoja deska z przybitym do niej trupem zostanie ci zwrócona – oznajmiła, znowu nadając głosowi ten ton lodowatej pogardy. – I wracaj wtedy do siebie, żyj w swojej jamie pod ziemią i gadaj czułości do zaśmierdłego kawałka drewna. Tego chcesz, Dobryniczu? Czy może chcesz mojej łaski i żywych ludzi wokół książęcego biesiadnego stołu? Wybieraj! – Niechętnym ruchem strąciła jego twarz ze swojego buta. – Wybieraj, tropicielu!

– Wóz czy przewóz? – zaszeptał Andrzej.

Nie widziałem twarzy tropiciela, bo była ukryta za nogą księżnej i w dodatku przesłonięta ramionami samego Modesta, więc mogłem tylko ryzykować przypuszczenie bez choćby jednego zerknięcia na to, jak odmieniło się oblicze Modesta pod wpływem słów Ludmiły.

– Wóz – zdecydowałem wreszcie.

– Ano i ja myślę, że wóz – zgodził się Andrzej.

Zerknąłem na Zygfryda, który nadal czujny i napięty niczym cięciwa jego własnej kuszy, śledził rozgrywającą się przed naszymi oczami scenę. Jego palec wciąż nie schodził z dźwigni. Zastanawiałem się, czy podejrzewa, jak szybki i zwinny jest Dobrynicz, i czy wie, że wcale nie tak łatwo będzie oddać celny strzał do tego człowieka. Na szczęście żałośnie łkający Modest nie sprawiał wrażenia kogoś, kto życzyłby sobie zaatakować własnego władcę. Wiedziałem jednak z inkwizytorskiego doświadczenia, że w przypadku ludzi szalonych humory potrafią zmieniać się szybciej niż pogoda w górach na wiosnę. Jakże krótka droga u takich pomyleńców dzieliła niewinne rozweselenie od wściekłego, zajadłego gniewu. Jakże łatwo przechodzili od słodkich słówek o miłości do wbicia zębów czy pazurów w twarz i szarpania w ekstazie żywego, krwawiącego mięsa człowieka, którego jeszcze przed chwilą zapewniali o swym uczuciu. Ale nagle pośród tego łkania, szlochu i zawodzenia w Modeście Dobryniczu coś pękło raz a dobrze i rozryczał się już pełnym głosem, wołając z całej siły:

– Zostanę, wasza miłość, zostanę!

– Dobrze – rzekła tylko Ludmiła.

Zaraz potem odwróciła się od skulonego i cały czas płaczącego tropiciela, podeszła do wierzchowca, po czym wskoczyła na siodło po grzbiecie klęczącego przy strzemieniu oficera.

– Pokażcie kwaterę Modestowi Dobryniczowi – rozkazała mocnym głosem. – Będzie mieszkał z nami, póki nie pobudujemy mu domu.



Przez podworec, rozchlapując błoto, biegł w naszą stronę chłopaczek w zabrudzonej sukmanie. Biegł i wrzeszczał coś, machając rękoma.

– Czego on chce? – Zmarszczyłem brwi.

– Mówi, że Natasza czeka na was w łaźni – wyjaśnił Andrzej. – Lepiej idźcie tam, jeśli możecie, bo ten chłopak odchodzi od zmysłów ze strachu.

– Ano widzę...

Krytycznie spojrziałem na trzęsącego się niedorostka i wzruszyłem ramionami.

– A co on tak w ogóle? Chory na umyśle?

Andrzej uśmiechnął się nieznacznie.

– Wasza Natasza zagroziła, że jeśli was nie znajdzie i nie przyprowadzi, to rzuci na niego zły urok.

– Na miecz Pana! – Pokręciłem głową. – Powiedzcie mu, żeby się tak nie trząś, bo wygląda jak dureń.

– Idźcie do niej, idźcie – rzekł. – Skoro dama czeka, nie wypada się spóźniać, prawda?

– Ano prawda. Księżna nie będzie chciała mnie zobaczyć?

– Księżna wie, że Natasza chciała być pierwsza. – Andrzej rozłożył ręce. – A że Natasza była już wyjątkowo wściekła, iż zostawiłem was samego, to księżna nie zamierzała się kłócić.

– No, no... godna podziwu ustępliwość – zauważyłem.

Odwróciłem się w stronę skamlącego służącego i obrzuciłem go niechętnym spojrzeniem.

– Niech on się wreszcie przestanie trząść! – warknąłem.

Potem ruszyłem w stronę łaźni, a Andrzej zawołał jeszcze za mną:

– Wiecie co, inkwizytorze, straszna jest ta wasza Natasza, to święta prawda. Ale zazdroszczę wam, że ktoś na was czeka, kiedy wracacie z wyprawy. A ja co? Ech, pójdę może do szynku, wypiję kilka dzbanków piwa, to może rozochocę się wtedy na tyle, żeby pofiglować z jakąś tłustą dziewczką o brudnych stopach...

Wstrzymałem krok i obróciłem się w jego stronę. Czułem, że w tej żartobliwej formie jego wywodu pobrzmiwa prawdziwy smutek.

– Chętnie pogadam z wami później o kobietach i może będę wam mógł coś poradzić na miarę moich skromnych możliwości, jeśli oczywiście zechcecie mi się zwierzyć – powiedziałem. – Ale teraz musicie mi wybaczyć, bo ten głuptak – wskazałem brodą na służącego – zaraz do reszty zdurnieje ze strachu. Jeśli już nie zdurniał...

– Wiem, wiem. – Machnął ręką. – Życzę wam, żeby Natasza tak gorąco was przyjęła, jak mnie wściekle zwymyślała.

Uniosłem rękę.

– To się nazywa przyjacielskie życzenie – rzekłem.

A potem już bez zbędnego gadania szybkim krokiem ruszyłem w stronę łaźni. Miałem ochotę na kąpiel, miałem ochotę na odpoczynek. Ale jeszcze większą ochotę miałem, by zobaczyć rozjaśnione uśmiechem oczy Nataszy.

W przedśionku blady jak upiór sługa (zdaje się, że musiał wcześniej usłyszeć kilka zdań od Nataszy i stąd wyglądał, jak wyglądał) pomógł mi się rozebrać i wręczył mi płócienny ręcznik. Potem otworzył przede mną drzwi prowadzące do wewnętrznego pokoju. Był on nieduży, pełen nasyczonego wilgocią powietrza, gorący i duszny. Jednak nie na tyle pogrążony w parze, bym nie dostrzegł, że na środku stoi Natasza. Była całkiem naga, a włosy miała mokre i rozpuszczone na ramiona. Wyglądała jak zjawa albo nimfa. Albo jak czarodziejka, która pojawiła się w obłokach mgły. Cóż, jak bardzo mokra czarodziejka, szczerze mówiąc.

Podszedłem do niej, chwyciłem ją w objęcia. Pisnęła i wbiła mi paznokcie w ramiona.

– Wreszcie! – zawołała.

– Uratowałaś nam życie naszymi, który mi dałaś – wyznałem. – A jeśli nawet nie życie, to wybawiłaś nas obu z wielkich, naprawdę z ogromnych kłopotów. Dziękuję ci, Nataszka, że jesteś...

Pocałowała mnie prosto w usta.

– Jesteś moim mężczyzną i muszę o ciebie dbać. Bo jak nie zadbam o ciebie i umrzesz, to gdzie ja takiego drugiego znajdę?

Przytuliła się do mnie nagim, rozgrzanym ciałem i podniosła głowę, tak aby nasze spojrzenia mogły się spotkać.

– Źle mi było samej bez ciebie – powiedziała i zakołysała biodrami. – Puste dni i puste noce...

– Wyobraź sobie, Nataszka, jak mnie było źle. Nie dość, że bez ciebie, to jeszcze w towarzystwie szalonego tropiciela, który żywcem oskórował ludzi i który kochał się w desce z przybitym do niej trupem...

Roześmiała się i nagle objęła mnie mocno prawym ramieniem, i tak niespodziewanie i jednocześnie zręcznie wskoczyła, obejmując udami moje biodra, że w jednej chwili zamieniliśmy się w jedno ciało.

– Jesteś moim skarbem, Nataszka – wyznałem, przytulając ją.

– Przecież wiem – zamruczała mi prosto w ucho.

Potem na chwilę odsunęła się ode mnie, cały czas jednak obejmując mnie nogami w pasie.

– Pamiętasz, jak mnie brałeś od mateczki?

Rzecz jasna, że pamiętałem, w końcu nie było to tak dawno temu, a poza tym cóż byłby ze mnie za inkwizytor, gdybym nie przypominał sobie dokładnie wizyty u groźnej czarownicy.

– Oczywiście.

– Widziałeś, co mateczka zrobiła na koniec?

Tak, ja to, rzecz jasna, dojrzałem, w przeciwieństwie do Ludmiły i Andrzeja. Im wydawało się, że czarownica ostrzega mnie tylko, ale ona tak naprawdę rzuciła klątwę. „Jeśli uczynisz jej krzywdę, ciebie niech dwakroć spotka krzywda” – tak powiedziała, a ja poczułem moc, która w tym momencie eksplodowała. Krótka, lecz gwałtownie.

– Rzuciła na mnie klątwę – odparłem.

– Rzuciła na ciebie klątwę – potwierdziła poważnie Natasza.

– Trudno – rzekłem, a potem dodałem: – Próbowałem się jej

pozbyć, nie dlatego, że chciałbym cię kiedykolwiek skrzywdzić, ale dlatego, że nie podoba mi się świadomość, iż wiedźma rzuciła na mnie urok. – Wzruszyłem ramionami. – Ale nie potrafię go zdjąć, bo tak naprawdę nawet go nie widzę. Kto wie, może zresztą go i zdjąłem. – Znowu wzruszyłem ramionami.

– Nie, nie zdjąłeś – odparła pewnie i spokojnie.

– Naprawdę widzisz klątwę, którą na mnie rzuciła? – zapytałem zdziwiony i zaciekawiony. – W jakiej formie ją dostrzegasz?

– Hej, nie uciekaj! – zawołała nagle ze śmiechem i zakręciła biodrami.

Znowu przytuliła się do mnie, przylgnęła rozgrzanym ciałem i zaszeptała:

– Nie uciekaj, nie uciekaj... Zostań ze mną...

No cóż, po chwili jej szeptów i ocierania się nie było nawet mowy, bym z nią nie został, nawet gdyby bardzo chciała się oderwać. Ale ona wcale sobie tego nie życzyła.

– Widzę ją, jakby była małutkimi czarnymi muszkami krążącymi nad twoją głową – mówiła leniwie. – Widzę ją tylko wtedy, kiedy przymrużę oczy w taki sposób, w jaki nie potrafią tego uczynić zwykli ludzie.

– Trudno, jak jest, to niech sobie będzie – mruknąłem, bo od pewnego czasu było mi w głowie trochę co innego niż zdejmowanie klątwy.

– Jeśli masz mnie porzucić, to mnie porzuć – powiedziała poważnie. – Bo wiesz, co myślę, mój miły? Myślę, że gdy naprawdę kogoś kochasz, to pozwolisz, aby złamał ci serce, jeśli właśnie to ma uczynić go szczęśliwym...

– Nataszka, nie chcę cię porzucać i Bóg mi świadkiem, nie chcę łamać ci serca – odparłem zdecydowanie.

– A ja nie chcę cię trzymać na siłę. – Przylgnęła do mnie jeszcze mocniej. – Chcę, abyś był wolny, mój miły! Więc powiedz: mam zdjąć klątwę?

– Niech zostanie... – Wzruszyłem ramionami.

Odsunęła się na kilka cali i spojrzała na mnie oczami błyszczącymi od łez.

– Zdjęta – rzekła.





## Rozdział piąty

# Dom potworów



Tego uczucia nie da się pomylić z niczym innym. Ono tkwi gdzieś w głowie, gdzieś pomiędzy uszami, nosem, gardłem i podniebieniem. Jest jak odór palonych tłustych włosów i jednocześnie jak smak zgniłego mięsa pękającego na języku. Jest jak ucisk w uszach, jak narastający w nich szum i gwizd przypominający świstanie wiatru wnikaącego przez szparę w drzwiach. W taki właśnie sposób inkwizytor może poczuć, że obok niego znajduje się potężna i biegła w swym fachu czarownica. Nie zawsze tak się zdarza, nie każdy również funkcjonariusz Świętego Oficjum jest nastrojony niczym precyzyjny instrument wyczuwający drgnienia mrocznej materii. Na szczęście w tym zakresie Bóg nie poskąpił mi zdolności, nie przecież dla mojej własnej chwały, lecz bym mógł zwalczać zło i szerzyć w ten sposób chwałę Jego imienia...

Zastukałem bardzo mocno do drzwi. Bardzo mocno i bardzo niegrzecznie, bo najpierw pięścią, a kiedy nikt mi nie odpowiedział, to również czubkiem buta.

– Chcesz rozbić drzwi, inkwizytorze? – Głos Ludmiły, o dziwo, nie był ani poirytowany, ani zaniepokojony. – Zaraz cię wpuszczę. Poczekaj.

Szczęknął przesuwany skobel i ujrzałem na progu księżną. Ubrana była w suknię, w której widziałem ją za dnia, tyle że na wierzch narzuciła obszerny wełniany robdeszan. Odsunęła się o krok i wpuściła mnie do środka. Nie sprawiała wrażenia, aby

działo się coś złego, więc kiedy zobaczyłem siedzącą w kącie pokoju czarownicę z trzęsawisk, ową mateczkę Olgę, jak ją nazywano, zrozumiałem, iż jest ona tutaj na życzenie czy rozkaz, czy też prośbę Ludmiły. Cóż, czarownica budziła we mnie, rzecz jasna, obrzydzenie, jak budziłaby je u każdego prawowiernego inkwizytora, ale najwyraźniej znowu mieliśmy być sojusznikami w jakimś przedsięwzięciu. Mogłem też być wdzięczny, gdyż właśnie ona oddała mi Nataszę, ale oczywiście wdzięczny nie byłem. To, że między mną a dziewczyną sprawy ułożyły się dobrze, a nawet lepiej niż dobrze, było tylko naszą zasługą. Kobiety oraz mężczyźni, którzy tak sobie odlegli i przymuszeni okolicznościami oraz wolą obcych ludzi, potrafili jedno z drugim zbudować mosty pomiędzy sercami a duszami. No a w każdym razie lubiliśmy się i świetnie bawiliśmy się w łożu, co też należało traktować jako szczęśny dar od losu.

– Witaj, wiedźmo – powiedziałem.

– Witaj, psie – odparła.

Tym razem mówiła po łacinie, ale przecież już od Nataszy wiedziałem, że świetnie zna nasz język. Dziwne tylko, że jej wymowa zdawała się nieco chropawa. W każdym razie na ile można to było wywnioskować z zaledwie dwóch wypowiedzianych słów.

Gdybym nie był tak doświadczony i tak bystry, jak byłem, mógłbym przypuszczać lub podejrzewać, iż wiedźma wleciała przez okno na miotle. Iż przemierzyła nocną ciemność wokół fortecy, by wylądować na parapecie książęcego pokoju niczym jakieś wielkie, zwiastujące śmierć ptaszydło straszdyło. Ale po pierwsze, nigdzie nie dostrzegłem miotły, a po drugie, świetnie przecież pamiętałem, iż odkryłem dla Ludmiły tajne przejście prowadzące za mury. Najwyraźniej starucha skorzystała właśnie z niego, by niepostrzeżenie dla strażników, bez wzbudzania zdziwienia czy strachu znaleźć się w samym środku fortecy. Oczywiście nie podobało mi się, iż księżna zdradziła sekret przed

czarownicą, nie podobało mi się również, że najwyraźniej powyrywała gwoździe, którymi zabezpieczyłem sekretną kłapę w podłodze szafy. Jednak nie zamierzałem w żaden sposób dawać poznać tego niezadowolenia. Nie uzyskałbym nic poza niechęcią, a może gniewem Ludmiły, a miałem wystarczająco dużo kłopotów, by nie brać sobie na głowę kolejnego. A zresztą może wiedźma wcale nie skorzystała z tajnego przejścia, może po prostu dotarła do kwatery księżnej incognito, z zasłoniętą twarzą? Ludmiła czasami przyjmowała jakieś znachorki, jakieś baby wiedzące, jakieś zielarki, co zresztą szczególnie mi się podobało ze względów bezpieczeństwa.

– Tego księżnej nie przetłumaczycie – rzekł Andrzej, kiedy zwierzyłem mu się z kłopotu.

– A to czemu?

– Księżna szuka recepty na przedłużenie młodości...

– Na to już chyba za późno – mruknąłem.

– Jezu Boże, nigdy sobie z tego nie kpicie – przeraził się. – Jak ktoś usłyszy i doniesie, będziecie zgubieni.

Ludmiła nie wydawała mi się aż tak próżna i przeczulona na tym punkcie, ale kto wie, może jej dworzanin wiedział lepiej.

– Zastanówcie się – powiedziałem. – Jeżeli ta wiedźma, ta matka Olga, tak potężna czarownica, nie znalazła panaceum na przedłużenie młodości, to znajdzie ją byle zielarka z lasu?

Andrzej westchnął.

– Mnie to wytłumaczycie – rzekł. – Ale kobiecie? Powiedzcie tylko, że coś wygładza zmarszczki albo rozświecila skórę, a każda baba, czy stara, czy młoda, nasmaruje się od stóp do głów byle najgorszym łajnem, licząc na cud nagłego upiększenia.

– Też prawda – przyznałem. – Dziwnie naiwne i bezbronne są pod tym względem nawet te kobiety, które w innych dziedzinach uważane są za bystre i przewidujące.

– Czyli u was jest tak samo? – zagadnął, a ja zrozumiałem, że mówiąc „u was”, ma na myśli Cesarstwo.

– Jakżeby inaczej? – prychnąłem. – Powszechnie znamy historię pewnej italskiej księżnej, która mordowała dziewice i kąpała się w ich krwi, aby zyskać olśniewającą urodę oraz wieczną młodość...

– Pomogło jej to coś? – zapytał ze zbyt żywym, jak na mój gust, zainteresowaniem.

– Podobno kiedy po miesiącu tortur wiedziono ją na stos, wyglądała jak wykoślawiona starucha. – Skrzywiłem usta. – Więc ciężko powiedzieć...

Niezależnie od tego, w jaki sposób matka Olga dostała się na teren fortecy, sądziłem, że jej obecność oznacza przede wszystkim kłopoty. I niestety, byłem pewien, że oznacza je dla mnie.

– Zręcznie mnie wywęszyłeś – stwierdziła czarownica i tym razem upewniłem się: ta wymowa była chropawa. Nie słyszałem nigdy wcześniej podobnego akcentu.

– Nie było to trudne. Smród czarownicy jest dla wytrawnego inkwizytora niczym rozkładająca się padlina.

Księżna roześmiała się nawet szczerze, a wiedźma z trzęsawisk po chwili jej zawtórowała.

– Masz odważnego psa, Ludmiło – stwierdziła. – A w każdym razie odważnie szczeka – poprawiła się. – Natomiast czy dzielnie gryzie, to jeszcze zobaczymy...

Czy tylko przekomarzała się ze mną, czy też rzeczywiście zbliżała się chwila wymagająca działania? Postawiłbym brylanty przeciwko orzechom, że sprowadzenie Modesta Dobrynicza i teraz odwiedziny staruchy były zapowiedzią czegoś wielkiego. A przynajmniej czegoś dużego. A przynajmniej czegoś, w czym można bez najmniejszego trudu stracić życie.

– Skoro już jesteś, to zostań – zezwoliła Ludmiła. – Bo rzecz dotyczy i ciebie, i twojej Nataszy.

Pomysł mieszania Nataszy w jakiegokolwiek niebezpieczeństwa wcale mi się nie podobał, lecz nie dałem nic znać po sobie.

Rozsądny człowiek najpierw słucha, by mieć pełny obraz całej sytuacji, a potem dopiero protestuje.

– Ruszymy do samego środka bagien, inkwizytorze – objaśniła wiedźma z jakimś dziwnym, rozmarzonym uśmiechem. – Ruszymy tam, gdzie i ja sama do tej pory nie wchodziłam, bo nie miałam po co...

– A więc teraz jest po co – stwierdziłem, a nie zapytałem.

– Bestię trzeba wysłedzić w jej legowisku i tam ubić – wtrąciła Ludmiła. – Mateczka obiecała, że wspomocze mnie swoją mądrością. Pójdzie razem z nami i zabierze wszystkie swoje dziewczęta.

Księżna twierdziła, że za pomoc matki Olgi zapłaciła wielką cenę. A przecież chodziło tylko o dziewczynę. Jedną z pięciu wychowanek wiedźmy. Jaką więc cenę przyjdzie zapłacić Ludmile za to, że czarownica wesprze ją swoją mocą? Że razem ze wszystkimi dziewczętami ruszy w głąb lasu, opuszczając bezpieczne trzęsawisko i wchodząc na ziemię należącą do kogoś innego? Do jakiegoś nie do końca rozpoznanego, a za to bardzo niebezpiecznego wroga. Cóż, a może czarownica sama poczuła się zagrożona? Może owa rosnąca potęga szczyrzy kły również na nią? A może po prostu matka Olga była znudzona i chciała rozprostować kości? Zabić sobie kilka potworów w przerwie pomiędzy jednym spacerem po bagnach a drugim... Kto ją tam wie, staruchę.

– Co was to może obchodzić? – zwróciłem się do wiedźmy. – Żyjecie sobie z dala od ludzi, we własnym, odgrodzonym świecie, więc co was obchodzą jacyś głupi książęta głupio zrzucający z tronów jeden drugiego?

Po twarzy Ludmiły przebiegł grymas, ale była zbyt roztropna, by gniewać się o słowa, które wypowiedziałem najzupełniej świadomie, celowo i prowokacyjnie. Czarownica wzruszyła ramionami.

– W razie zwycięstwa dostanę wiele, w razie klęski stracę

wszystko – rzekła. – Ja nie dam rady bez Ludmiły, a Ludmiła nie da rady beze mnie. Siła, która rośnie w lasach, prędzej czy później zje i ją, i mnie. Mnie później. – Zastanowiła się. – Może nawet dużo później, a może nawet wcale, ale kłopotów mi narobi bez wątpienia.

– Te wściekłe psy są jeszcze słabe – dodała księżna. – A ja nie chcę, by urosły w siłę i nas zagryzły.

– Czasami mówią o mnie, że opiekuję się ludem, który tu mieszka. – Wiedźma wzruszyła ramionami, jakby podobne przypuszczenia wydawały jej się niedorzeczne...

– Bo się opiekujesz... – przerwała jej Ludmiła.

– W pewien sposób – przyznała po chwili starucha. – I na pewno nie podoba mi się wiele spraw, które ostatnio potężnieją.

– Co na przykład? – spytałem po chwili.

– Nie chcę, żeby ktoś tkał zabójcze czary na mojej ziemi – rzekła twardo. – A Swieta była moją dziewczyną. Moją wychowanicą. I mimo to ośmielili się ją spalić mrocznymi zaklęciami. – Wyciągnęła kościsty palec w moim kierunku. – Karą za skrzywdzenie takiej dziewczyny jest śmierć, wiesz o tym, prawda, inkwizytorze?

– Wiem.

– Pozwól, by wrogowie bezkarnie zabijali twoich poddanych, a nie minie wiele czasu, kiedy sięgną po ciebie – stwierdziła i było to zdanie, które mógłby wypowiedzieć władca. Zresztą ona najpewniej w jakiś sposób czuła się właśnie władczynią na tej ziemi.

– Zgadza się – rzekłem.

– W naszych puszczech ginie wielu ludzi – ciągnęła starucha. – Od chorób, z zimna, z głupoty, od dzikich zwierząt, z ręki drugich... Przyzwyczailiśmy się.

Podniosłem głowę i spojrzałem na wiedźmę uważnie.

– Ale zaczęło się dziać coś do tej pory niespotykanego – domyśliłem się.

Skinęła głową.

– Peczora jest wielka, ale do moich uszu dochodzą wieści stąd czy stamtąd, w ten czy inny sposób dostarczone. Zbyt wiele młodych, silnych kobiet znika z wiosek, osad i chutorów. Znika i nigdy nie wraca. Bez śladu, bez choćby znalezienia szczątków...

Przypomniała mi się opowieść Andrzeja o tym, czego pragną owe leśne demony rzekomo żyjące w głębi puszczy: pragną zdrowych kobiet, by urodziły im niezwykle potomstwo.

Ale może gdzieś w głębi trzęsawisk mieszkało po prostu plemię, podobnie jak mitologiczni Rzymianie, pozbawione towarzystwa kobiet? I tak jak Rzymianie porwali Sabinki, tak oni porywali kobiety z okolicznych osad? Mogło nie być w tym żadnej mistycznej tajemnicy, lecz zwykła chęć prokreacji oraz żądza czerpania przyjemności z cielesnego obcowania. Oczywiście magiczny atak na Swietlanę i wołcha był faktem, lecz reszta pozostawała zaledwie w sferze domysłów.

– Jaka ma być moja rola, Wasza Wysokość? – spytałem. – Bo skoro dopuszczono mnie do tak bliskiej konfidencji, za co jestem szczerze zobowiązany, to podejrzewam, że jakaś ta rola musi być...

– Będiesz szedł przez świat za światem – oznajmiła starucha.  
– Będiesz naszym psem tropiącym i zwiadowcą, który ostrzeże nas przed pułapkami i zasadzkami. – Zaśmiała się sucho.

A więc taką rolę mi przeznaczono! – niemal się wzdrygnąłem, gdyż doskonale wiedziałem z doświadczenia, że podróże do nie-świata mogą oznaczać dla mnie śmierć oraz zagładę duszy. A na pewno oznaczają przerażający, wręcz wydający się nie do zniesienia ból. A potem wielkie osłabienie.

– Wasza Wysokość – zwróciłem się do księżnej – nie będę krył, że naprawdę potrafię wniknąć w świat demonów niedostrzegalny i niedostępny dla zwykłego człowieka. Nazywamy go nie-światem i jest on pełen niebezpieczeństw wręcz niewyobrażalnych, które są zarówno fizycznej, jak

i duchowej natury. A ja jestem w tym świecie... – przez chwilę szukałem słowa – nikim. Jestem niemal bezbronny, wystawiony na ból nie do zniesienia i...

– Wojna nie jest ani łatwa, ani przyjemna – przerwała mi Ludmiła lekceważącym tonem. – A żołnierz idzie tam, gdzie mu każą.

– Wasza Wysokość, tylko że ja daleko nie zajdę! – Usłyszałem w swoim własnym głosie strach. – Nie dlatego, że bym nie chciał, ale po prostu dlatego, że nie potrafię.

Ludmiła zerknęła na matkę Olgę. Wiedźma przyglądała mi się uważnie, potem wzruszyła ramionami.

– Boi się. Naprawdę się boi – rzekła. – Nie kłamie. Więc powiedz, jak to jest, że tyle czarownic spaliłeś, a sam boisz się śmierci? – zwróciła się do mnie z pogardą.

– Nie boję się śmierci – odparłem zimno. – Bo po śmierci czeka mnie najsurowszy i najsprawiedliwszy Sąd Pański, po którym, jak ufam, stanę w jednym szeregu z Aniołami śpiewającymi „hosanna”. W przeciwieństwie do ciebie, która będziesz przez wieczność smażyć się w płomieniach.

Czarownica uśmiechnęła się szeroko.

– Boję się jednak rzeczywiście, a mianowicie tego, że zostanę na zawsze tam, w nie-świecie, skąd nie ma już ucieczki ani do Boga, ani do ludzi... – dokończyłem.

– Tak, tak, tak... – Wiedźma poważnie pokiwała głową, po czym wydeła usta. – Tak może się naprawdę zdarzyć, ale ja – uniosła palec wskazujący, długi i węzlasty niczym zeschnięty patyk – pomogę ci, żebyś wyszedł z tego cało. Albo żebyś umarł dopiero wtedy, kiedy będzie już po wszystkim – dodała ze złośliwym grymasem.

Mogła sobie szydzić czy znęcać się nade mną, lecz niestety, w moich słowach brzmiała szczerza prawda. Podróż do nie-świata, zwłaszcza dłuższa i w niebezpiecznym otoczeniu, mogła zakończyć się śmiercią. Ale nie musiała. Mogła zakończyć się



wiecznym przepadkiem duszy i martwością ciała. Ale nie musiała. No i mogła zakończyć się uratowaniem duszy i ciała oraz powrotem do naszego świata. Tyle że zostawiała tak poważne rany, tak niszczyła wewnętrzne narządy, że człowiek prędzej czy później wykrwawiał się i umierał. A ja byłem młody i chciałem żyć. Nie dla siebie, nie dla egoistycznych celów, nie dla folgowania doczesnym żądzom i zachciankom, nie dla próżnej, beznadziejnej i bezcelowej wegetacji... Ja chciałem żyć na chwałę Pana naszego Jezusa Chrystusa i naszej świętej wiary. A nie wyobrażałem sobie, by moja śmierć na ruskich bagniskach w służbie szalonej księżnej i przeklętej czarownicy miała przysłużyć się w czymkolwiek triumfowi chrześcijaństwa. Był tylko jeden, bardzo poważny problem. Bezwzględna władczyni i równie bezwzględna wiedźma przygotowały dla mnie ważne miejsce w szykowanej przez siebie mozaice planów. I jeżeli odmówię uczestnictwa w tych planach, to z pewnością spróbują mnie zmusić. A byłem przecież inkwizytorem na tyle długo, iż doskonale zdawałem sobie sprawę, że człowieka można nakłonić niemal do wszystkiego. Tyle że po seansie wywierania presji nie jest już tak zdrowy jak przed owym seansem. I takiego kłopotliwego rozwoju spraw musiałem za wszelką cenę uniknąć.

– Wasza Wysokość, w żadnym razie nie cofam się przed wypełnieniem moich obowiązków, zwłaszcza jeśli mowa o walce z czartowskim nasieniem – stwierdziłem. – Chcę powiedzieć tylko jedno: w nie-świecie jestem niczym dziecko wyrzucone nocą na bagnie, a zważywszy na przysyłający mi zdolność myślenia ból, to może to jest nawet zbyt słabe porównanie. I tylko to chcę powiedzieć Waszej Książęcej Mości: że moja pomoc może nie okazać się w tym wypadku tak przydatna, jak Waszej Książęcej Mości powiedziano czy zasugerowano.

Ludmiła milczała dłuższą chwilę, wreszcie obróciła wzrok na wiedźmę.

– Co ty na to?

– Przygotuję wszystko tak, by utrzymać go przy życiu – zapewniła. – Nałożę na niego zaklęcia, które go ochronią. Możesz wierzyć moim umiejętnościom, Ludmiło. Możesz wierzyć, że z jego pomocą dojdziemy tam, gdzie chcemy dojść, i tam, gdzie musimy dojść...

– Wierzę ci bez zastrzeżeń – rzekła księżna. – Ale może wcześniej wypróbujesz inkwizytora? Może przeciwicysz z nim to, co ma zrobić w przyszłości?

Wiedźma potrząsnęła głową.

– Tego nie mogę uczynić – odparła.

A ja wtedy zdałem sobie sprawę, iż czarownica dlatego nie chce poddać mnie próbom czy treningowi, gdyż obawia się, że w ich trakcie umrę. Może miałem być zwiadowcą i tropicielem przemykającym przez przerażającą pustkę nie-świata, ale zdaje się, że nie pokładano szczególnych nadziei, iż wrócę do domu. I sądziłem, że jeśli cała misja zakończy się triumfem, to akurat faktem, że ja w trakcie jej trwania szczełem i zniknąłem, chyba niewielu się przejmie. Może jedna Natasza...

Niedługo potem wróciłem właśnie do Nataszy, a ona od razu poznała, że stało się coś niedobrego. Opowiedziałem jej wszystko, co usłyszałem, a także wszystko, co sam powiedziałem i co sądziłem na temat wyprawy, w której miałem wziąć udział. Wysłuchiwała mnie bardzo uważnie i bardzo spokojnie, nie wtrącając się i nie zadając pytań, póki nie skończyłem. Potem przytuliła się do mojego ramienia. Poczułem, że ma wilgotną twarz.

– Nie mogę ci pomóc – wyznała z ogromnym smutkiem.

– Wiem, Nataszka, że nie możesz – odparłem, gdyż byłem pewien, że tak właśnie sprawy będą się miały. – Powiedziałem ci tylko, żebyś wiedziała.

Pomogła mi się rozebrać, a potem, sama również naga, położyła się obok mnie.

– Ona ma władzę nad nami, nad nami wszystkimi – szeptała

mi w ucho, czułem jej gorący oddech. – Nie możemy się jej przeciwstawić.

– Opór nic nie da – zgodziłem się z nią. – Z twoją wiedźmą może bym sobie poradził, ale co z tego, skoro nie dam rady Ludmile i jej żołnierzom...

Natasza znieruchomiała nagle, a później szybkim ruchem przekręciła się na brzuch. Oparła usta niemal na moich ustach. W mroku widziałem jej błyszczące, zwielokrotnione bliskością oczy.

– Księżną możesz zostawić mnie – zaszepotała. – Jeśli zabijesz wiedźmę, to ja uratuję twoją skórę przed Ludmiłą...

Delikatnie ująłem jej głowę w dłonie.

– Chcesz, żebym zabił twoją nauczycielkę, twoją mistrzynię?

– Przecież tym właśnie jesteś, prawda? Zabójcą czarownic...

– Tak właśnie jest – zgodziłem się z nią. – Aczkolwiek w tym dzikim kraju muszę chyba ostrożniej wybierać, kogo zabijać, a kogo nie...

– Wtedy będę naprawdę wolna – westchnęła i przytuliła się do mnie tak mocno, jakby chciała stworzyć ze mną jedno ciało, razem poruszające się, razem oddychające i z jednym bijącym sercem.



Peczorska forteca była okazałą budowlą wzniesioną z pewnego rodzaju architektonicznym wdziękiem oraz kunsztem. W końcu pracowali nad nią budowniczy z Nowogrodu, a więc ludzie, którzy fachu zapewne uczyli się od najlepszych cesarskich architektów, a przynajmniej mieli okazję podejrzeć, jak pracują najlepsi cesarscy architekci. Dlatego pomijając fakt, że twierdza była po prostu stosem drewna, należy przyznać, że ten stos całkiem udanie ułożono. Główny budynek miał balkony, tarasy i krużganki, wieże oraz wieżyczki, a mury okalające fortecę

najeżono basztami. Wzdłuż tych umocnień można się było swobodnie przechadzać. Lubiłem spacerować na murach, chociaż nie można było z nich wiele zobaczyć z uwagi na panującą zazwyczaj mgłę i zachmurzone niebo. Czasami księżycowi udało się wyłonić zza zasłony i przez chwilę oświetlił okolicę, otulony w coś na kształt kaptura zwanego tutaj lisią czapą. I w takim właśnie blasku nagle zobaczyłem czarownicę siedzącą w jednej z baszt, może dziesięć kroków ode mnie. Jej widok był tak niespodziewany, że mało brakowało, bym z wrażenia nim wywołanego cofnął się o krok. I dziwne, zastanawiające oraz niepokojące wydało mi się również to, że w żaden sposób nie wyczułem wcześniej jej obecności.

– Witaj, wiedźmo – powiedziałem tylko.

– Witaj, psie – odparła.

Siedziała na drewnianym występie, przygarbiona i przyglądająca mi się spod siwych kosmyków opadających jej na czoło. Wyglądała jak zmęczona gospodyni, która czeka, aż młody parobczak poda jej rękę, by łatwiej wstała. Ale ja byłem inkwizytorem, nie młodym parobczakiem i jedyne, co bym chętnie jej podał, to płonąca pochodnia na stos.

– Jak żyjesz z Nataszą, co? – zagadnęła.

– Jest miła i mądra – odparłem. – Dobrze ją wyhodowałaś.

– O tak. – Skinęła poważnie głową. – Moje dziewczęta są miłe i mądre. I również bardzo groźne. Wiesz o tym, prawda, inkwizytorze?

– W Peczorze trudno byłoby o tym nie wiedzieć, skoro wszyscy obchodzą Nataszę szerokim łukiem i trzęsą się na jej widok ze strachu.

Roześmiała się śmiechem, który wydawał mi się szczery i naturalny.

– Historię kupca Durowa jeszcze pamiętają? – spytała.

– Opowieść o człowieku, któremu wyłupiono oczy i je zjedzono, gdyż zbyt śmiało dotknął dziewczyny, jest raczej

niełatwa do zapomnienia – odparłem.

– Ano prawda. Dobrze otoczyć się aurą, prawda? Czy wymyśloną, czy prawdziwą, ważne, że można w nią uwierzyć...

– Ale Durow żył naprawdę i naprawdę przydarzyło mu się to, co mu się przydarzyło, czyż nie?

– Co o Durowie mówią, to wszystko prawda. – Skinęła głową. – A dziewczętom takim jak Natasza podobne historie bardzo pomagają w radzeniu sobie z wami, mężczyznami... – Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźną pogardą.

– Też sędzę, że takie opowieści pozwalają, by każdy pamiętał, iż Natasza jest wyjątkowa.

– Natasza to drapieżnik – rzekła. Teraz patrzyła mi prosto w oczy. – Śliczny drapieżnik, który potrafi być również słodki i rozkoszny niczym rozdokazywane kociątko.

Słowa „słodki”, „rozkoszny”, „rozdokazywane” i „kociątko” zabrzmiały na tyle dziwnie w ustach starej czarownicy, że o mało się nie uśmiechnąłem.

– Każdy z nas jest drapieżnikiem – zgodziłem się z nią. – Jestem ostatnią osobą, która odważyłaby się widzieć w tym coś złego.

– Czy moja Natasza złożyła ci już propozycję?

– Jaką propozycję? – zdziwiłem się w sposób, mam nadzieję, szczerzy oraz naturalny.

Wiedźma uśmiechnęła się życzliwie. Wyglądała teraz niczym stara gospodyni, która zaraz serdecznie i z humorem opowie o tym, jak miło minął jej dzień.

– Czy namawiała cię już, abyś mnie zabił?

Zaśmiałem się. Znowu w niewymuszony, naturalny sposób.

– Na miecz Pana, dlaczego miałyby to robić?

– Bardzo dobrze kłamiesz – pochwaliła mnie. – Gdybym była młodsza, pewnie byś mnie nabrał, ale za stara ze mnie sowa, by taka myszka jak ty mnie oszukała! – Wstała przy ostatnich słowach.

Zrobiła to naprawdę bardzo szybko. Wydawała się wyższa

i potężniejsza, niż zapamiętałem to z ostatniego spotkania. Kij, który trzymała w dłoni, sięgający jej niemal do głowy, zdawał się niknąć w mroku, pomimo że w baszcie wcale nie było aż tak ciemno. Jego koniec wydawał się drgać, jakby kłębiły się na nim setki maleńkich czarnych robaczek.

– Uważaj, wiedźmo – syknąłem. – Uważaj, jaki zrobisz następny krok.

Przez chwilę spoglądała na mnie płonącymi z wściekłości oczami, a potem nagle uśmiechnęła się i opadła z powrotem na mur. Znowu była tylko podpierającą się na kosturze, niewysoką starowinką o twarzy przypominającej pieczone jabłuszko.

– Nie brakuje ci odwagi – pochwaliła. – Ale przyjmij ode mnie radę: nie zawieraj układu z Nataszą.

Rozłożyłem ręce.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale studia w przesławnej Akademii Inkwizytorium przygotowały mnie również, by toczyć dysputy retoryczne na wszelkie możliwe tematy – kontynuowałem. – Nawet jeśli te tematy są jedynie nierealnymi hipotezami lub fantasmagorycznymi bytami stworzonymi w czeluściach rozedrganego umysłu. Dlatego zapytam: z jakich powodów miałbym nie układać się z Nataszą?

– Bo nie dasz mi rady – odparła prosto z mostu. – Jeśli spróbujesz mnie zamordować, spełniając życzenie swojego słodkiego kociątka, to będę musiała cię zabić albo poranić, a wtedy nie przydasz mi się w czasie wyprawy. A bez twojego udziału będzie mi dużo trudniej – wyznała i w jej głosie zabrzmiała szczerść.

– Nie rozumiem, dlaczego Natasza miałaby pragnąć śmierci swojej nauczycielki i mistrzyni. Wydaje się szczerze cię lubić...

– Och, sądzę, że dobrze mnie wspomina i szanuje – zgodziła się wiedźma. – Ale jeśli czarownica zabija czarownicę, to często nie ma w tym nic osobistego, inkwizytorze...

– Nataszka nie jest czarownicą – prychnąłem.

– Czyżby? – Przyglądała mi się rozbawiona.

– Nie jest – stwierdziłem stanowczo.

– Jest rzeczywiście kimś innym niż ja i kimś innym niż istoty, które do tej pory spotykałeś. Ale nie jest powiedziane, że nie chciałyby kiedyś zostać również kimś takim jak ja, cały czas pozostając tym kimś, kim jest w tej chwili...

– Próbujesz mi w ten zagmatwany sposób wyjaśnić, że Natasza chciałyby przejąć twoją moc? – Zmrużyłem oczy.

– Każda z nich by chciała. Tylko każda doskonale wie, że to droga w jedną stronę, i to je też powstrzymuje.

– Karą za bunt jest śmierć?

– Kara za bunt jest gorsza niż śmierć – odparła lodowato. – I pozwól, że nie będę ci opowiadała, na czym ona dokładnie polega. Poproś swoją Nataszkę – ironicznie zaakcentowała zdrobnienie – to może ona ci opowie, bo sama kiedyś dokładnie widziała, jak to się odbywa.

W tonie czarownicy zabrzmiała nuta takiej bezwzględności i złośliwości, że aż przeszedł mnie mimowolny dreszcz.

– Poradzę sobie z tobą, inkwizytorze, jeśli mnie zaatakujesz – rzekła bardzo poważnie. – A potem zabiorę się za Nataszę. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparłem.

– Jeśli będziesz jeszcze żył, zobaczysz, jak bardzo ona cierpi...

Wiedźma się mnie bała. Bała się, co może przynieść konfrontacja, i nie była pewna jej wyniku. Gdyby się nie bała, nie posuwałaby gróźb aż tak daleko. Ale trzeba również przyznać, że te groźby były skuteczne.

– No dobrze, mój mały – odezwała się nieoczekiwanie zmienionym, pogodnym tonem, a jej twarz znów przybrała dobrotliwy wyraz. – Był kij, teraz będzie marchewka. Obiecuję ci, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uratować twój inkwizytorski łeb i wyciągnąć go cało i zdrowo ze świata poza światem...

– A czymże zasłużyłem sobie na taką wspaniałomyślność?

– Możesz mi się jeszcze przydać. – Wyciągnęła kościsty palec w moim kierunku. – Wyprawa, którą podejmiemy, wcale nie musi być ostatnia, a na tych wściekłych pustkowiach niewielu znalazłabym ludzi tak utalentowanych i przygotowanych jak ty. Ujmę to w ten sposób: jesteś moją nową miotłą. Więc postaram się, byś mi się zanadto nie wystrzępił.

– No, no, jestem prawdziwie zobowiązany...

– Idź już sobie, psie. Przemyśl to, co mówiłam.

– Przemyślę – obiecałem.

– Jesteś młody. Nie daj się ponieść młodzieńczemu zapałowi...

– ...bo w nim spłoniesz – dokończyłem szyderczo.

– Bo w nim spłoniesz – powtórzyła ona, ale w przeciwieństwie do mnie bardzo poważnym tonem.

Kiedy wróciłem do pokoju, Natasza siedziała na łóżku i rozczesywała włosy.

– Nie było cię i nie było – rzuciła kapryśnym tonem. – Dlaczego? Co robiłeś? Czekałam, aż prawie zasnęłam.

Pokręciłem tylko głową i przyłożyłem palec do ust, a potem powiedziałem na głos:

– Spacerowałem. Myślałem o tym, co nas czeka.

Jej wzrok był już teraz czujny, a z twarzy zniknęło zabawne nadąsanie. Odłożyła grzebień na bok.

– Oj, chodź już do mnie, plecki mi pomasujesz – odezwała się nadal kapryśnym głosem, do którego tak bardzo nie pasowały bystro spoglądające oczy. – Tylko świece przedtem zdmuchnij.

Zdmuchnąłem świece, rozebrałem się i szybko wsunąłem się do niej do łóżka. Przytuliłem usta do jej ucha.

– Rozmawiałem z wiedźmą.

Wbiła mi palce w udo.

– Przyleciała tu? – Usłyszałem w głosie Nataszy trochę złości i trochę strachu. Sam nie wiem, czego było więcej.

– Przyszła, przyleciała, nie wiem...



– Czego chciała?

– A jak sądzisz, czego mogła chcieć? – Potem wzruszyłem ramionami. – Domyśliła się, co mi zaproponujesz, i przyszła złożyć kontrpropozycję...

Natasza westchnęła.

– Mateczka nie przeżyłaby tylu lat, gdyby nie była chytra. Jest jak mucha, ty ją pac, a ona bzz koło ucha – wypowiedziała te słowa takim tonem, jakby cytowała dziecięcy wierszyk czy wyliczankę.

– Zagroziła mi, że jeśli wystąpię przeciwko niej, to zrobi ci... – urwałem. – Mówiła, że wiesz co, że sama widziałaś.

Natasza zadrżała, jakby przewiał ją nagły podmuch zimnego wichru. Wtuliła się mocniej we mnie.

– Powiedz mi, jak sądzisz: poradzisz sobie z nią? – zapytała tonem, który raczej nie wskazywał, iż spodziewa się odpowiedzi „tak”.

– Przecież ja jej nawet nie znam – westchnąłem. – Widzę drzewo, ale jakie ma korzenie, to niby skąd mam wiedzieć? Ty ją znasz. Ty mi powiedz – zdecydowałem się przejść do kontrataku.

Natasza westchnęła.

– Jest bardzo silna i bardzo stara. Bardzo doświadczona.

– Nataszka, to są wszystko oczywiste oczywistości. Ale aby wydać komuś wojnę, trzeba dokładnie wiedzieć, kim ten ktoś jest, co umie i jak się zachowuje. Jakie są słabe strony więdźmy? Co potrafi? Czego się boi? Przecież mieszkałaś z nią kilkanaście lat. Musisz coś wiedzieć!

Milczała dłuższą chwilę.

– Gdyby to było takie łatwe – westchnęła wreszcie cichutko.

Przypomniała mi się wyprawa na bagna i zakłęcia, które musiałem zwalczyć. Ale przypomniało mi się też, że na tych bagnach sądziłem, iż upłynęło nam na podróży parę godzin, a tymczasem minęła cała noc. Opowiedziałem o tym Nataszy i zapytałem:

– Dlaczego tak się stało? Czy to były jej czary? Co z nami zrobiła, jeśli w ogóle zrobiła cokolwiek?

Przypomniały mi się stare podania i legendy traktujące o czarnoksiężskich miejscach zwanych wzgórzami elfów. Pamiętacie je może, mili moi? Opowiadały one o ludziach, którzy trafiali na ucztę do pałacu elfów, a kiedy wychodzili z niej po całej nocy ucztowania, tańców i pijaństwa, okazywało się, że na Bożym świecie przeminęły w tym czasie całe pokolenia. Jednak dla nich, według tego, co oni sami czuli i pamiętali, minęła tylko jedna noc. Edukacja w przesławnej Akademii Inkwizytorium zawsze uczy nas dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie wiercie w nic bezkrytycznie i bezwarunkowo, nie mając w ręku dowodów. A po drugie, nie odrzucajcie niczego bez dowodów. Przecież w niemal każdej opowieści można znaleźć ziarenko prawdy. Czasem będzie ono naprawdę malutkie i trudne do odszukania, niczym jeden wybrany skalny okruch na gołoborzu, ale czasami na naszych oczach może wyrosnąć z tego ziarenka potężne drzewo. Tak, tak, więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż to się śniło nawet najbiegłym inkwizytorom.

– Nie wiem. – Potrząsnęła głową. – Naprawdę nie wiem.

– Nie pomagasz mi, Nataszka – powiedziałem, ale zrobiłem to jednak łagodnym tonem, bo widziałem, że rozmowa przychodzi jej z trudnością.

Milczała.

– Więc nie ma o czym mówić – zdecydowałem. – Nie narażę cię na zemstę staruchy, skoro nie wiem, czy dałbym jej radę. Mogę ryzykować moje własne życie, ale nie zaryzykuję twojego.

Położyła się na mnie i przytuliła twarz do mojej twarzy.

– Może wszystko się uda, co ona zamierza, i wtedy da nam już spokój – powiedziała.

Obawiałem się, że może być wręcz odwrotnie i że sukces może sprowokować wiedźmę do tego, by wykorzystwała mnie i Nataszę w kolejnych wojnach. Chyba że kolejnych wojen miało już nie

być i starucha znowu zniknie na bagnach, zajmując się swoimi sprawami. Nie zwracając nikomu głowy, nie chcąc być niepokojona i sama nie niepokojąc nikogo.

– A może... – Natasza miała usta tuż przy moim uchu i jej cichusieńki szept dobiegał do mnie razem z łaskotaniem. – Może dostrzeżesz jakąś szczelinę, jakąś słabość... A może w czasie walki zostanie zraniona i będziemy mogli ją dobić?

Jak na wychowanicę mateczki Olgi, były to słowa co najmniej zastanawiające, ale inkwizytorzy są przyzwyczajeni do przeróżnych ludzkich zachowań. Dobrze też wiemy, że ludzi rzadko kiedy da się oceniać jednoznacznie, gdyż ich postępowanie zależy nie tylko od okoliczności, ale i od tego, wobec kogo tak, a nie inaczej się zachowują.

– Naprawdę zrobiłaby ci krzywdę czy tylko opowiadała o tym, bo chciała mnie nastraszyć?

– Naprawdę zrobiłaby mi krzywdę – odparła jeszcze ciszej.

– Naprawdę widziałaś, jak ukarała inną dziewczynę?

– Naprawdę.

– I to była aż tak straszna kara?

– Była... była... więcej niż straszna.

Potem wtuliła się we mnie całym ciałem, jakby zamieniła się nagle w mokrą koszulę, która chce mnie oblepić i przyłgnąć do mnie każdym skrawkiem.

– Kochaj się ze mną, proszę cię, kochaj się ze mną... – poprosiła zrozpaczonego głosem.



Andrzej przydybął mnie w drodze do wychodka. Zobaczyłem go i westchnąłem.

– Wasza obecność zwiastuje nieprzyjemne rozkazy i niechciane obowiązki – rzekłem mu na dzień dobry. – W czym wam mogę tym razem usłużyć?

– Ja jestem tylko posłańcem – odparł skwaszony. – I chociaż nikt nie lubi złych wieści zwiastuna – dodał, cytując Sofoklesa – to powstrzymajcie się przed ścinaniem mu głowy.

– Dobrze, już dobrze. – Machnąłem ręką. – Jakaż to misja znowu nas czeka? Dokąd to ja, Polideukes, powiodę ciebie, Kastorze?

Tym razem się uśmiechnął. Może nie był to najweselszy i najszczęśliwszy uśmiech, ale zawsze jednak uśmiech.

– Mamy iść z najjaśniejszą panią i Modestem, by obejrzeć obraz. I zabierzcie ze sobą Nataszę.

– O, widzicie? I już mimo wszystkich zastrzeżeń zaraz traficie do komnaty z obrazem, bo przecież nie sądzicie, że księżna będzie zabawiała się w mojego tłumacza.

Zagryzł wargi i stuknął pięścią w otwartą dłoń. Chyba rzeczywiście w jakiś dziwny sposób wyobrażał sobie, że odprowadzi nas do drzwi i zostawi na progu. A sprawy tak przecież nie działały... Potem zasepił się jeszcze bardziej.

– Dlaczego nazwaliście siebie Polluksem, a mnie Kastorem? – spytał.

– Dla żartu – odparłem zdziwiony. – Nie chciałem was w żaden sposób urazić...

– Choć byli bliźniakami, to Polluks był nieśmiertelnym synem Zeusa, a Kastor zaledwie śmiertelnym synem króla Sparty.

Uniosłem dłonie obronnym gestem.

– Dobrze, w takim więc razie wy bądźcie sobie Polideukesem, a ja będę Kastorem. Czy teraz dobrze?

Prychnął, wyraźnie by okazać mi swoje niezadowolenie, pomilczał chwilę, po czym odezwał się wreszcie:

– Idźcie po Nataszę i stawcie się pod komnatą księżnej. Tylko pospieszajcie, bo nasza pani dzisiaj nie w humorze.

Ba, nie było się czemu dziwić, gdyż Ludmiła żyła w ciągłym lęku o własne życie, a to nie sprzyja dobremu nastrojowi. Poza tym tej przyzwyczajonej do ostrych przejazdów kłaczy po prostu

potrzebny był wytrwały i pomysłowy jeździec, który będzie ją często dosiadał. A tu nie dość, że nie było jeźdźca wytrwałego, to nie było żadnego. Więc ciężko się dziwić, że księżna miewała humory. I tak przecież nie była ani podła, ani okrutna w takim stopniu, w jakim potrafiło to wielu innych władców lub arystokratów. Czyż nie znałem ludzi, którzy biczowali swe sługi lub niewolników, tylko by z lubością słuchać ich pełnych bólu wrzasków? Czyż nie znałem takich, którzy za byle przewinienie kazali zgniatać kciuki, zakuwać w dyby lub obcinać uszy albo którzy torturowanych więźniów nazywali swymi najwspanialszymi śpiewakami?

Niedługo potem czekaliśmy na księżną wszyscy pod drzwiami jej komnaty. Ja i Natasza, Andrzej i Wasyl, no i wreszcie Modest Dobrynicz, który wyglądał jakoś dziwnie niegroźnie, domowo i swojsko w kapocie z szarego sukna i z ogromnym drewnianym krzyżem wiszącym na szyi, który to krzyż wyobrażał Jezusa Chrystusa odwróconego tyłem do świata. W dodatku tropiciel głowę miał opuszczoną na piersi i mamrotał coś do siebie pod nosem, co dodatkowo potęgowało wrażenie, iż jest całkowicie nieszkodliwy. Jednak jak sprawy miały się naprawdę, wiedzieliśmy wszyscy doskonale. A ja zastanawiałem się tylko, czy Modest pewnego dnia, całkowicie dla wszystkich niespodziewanie, nie wybuchnie niczym rzucony w ognisko pojemnik nabity czarnym prochem. No cóż, nawet jeśli coś takiego się kiedyś wydarzy, to miałem nadzieję, że zarówno ja, jak i Natasza nie będziemy musieli ani w tym uczestniczyć, ani nawet obserwować tego z bliska.

Wreszcie szcęknęły drzwi i z pokoju wyszła Ludmiła. Wpatrzona gdzieś przed siebie, nie zwróciła na nas najmniejszej uwagi, lecz zdecydowanym krokiem ruszyła w głąb korytarza. A my oczywiście za nią, bo cóż mieliśmy robić? Rozkazu nie było, ale ten rozkaz rozumiał się sam przez się. Tylko Modest na chwilę został z tyłu, pogrążony w rozmowie sam ze sobą, jednak

zaraz zorientował się, że wszyscy zniknęli, więc rozejrzał się i szybko potruchtął w ślad za nami.

– Mam nadzieję, że Dobrynicz coś rozpozna – zaszeptał mi Andrzej niemal do ucha. – Bo księżna wściekła, że inni tropiciele nic nie wiedzą, nic nie powiedzieli, a tylko przelękli się jak diabli...

– Czego wymagać od prostych ludzi? – Wzruszyłem ramionami. – Obraz naprawdę robi wrażenie nawet na mnie... A wy? Przecież jesteście dobrze edukowanym, czytającym młodzieńcem, a boicie się go, jakby był bez mała bramą, z której diabeł wciągnie was prosto do piekła.

– Przestańcie! – wrzasnął tak głośno, że Ludmiła zatrzymała się gwałtownie w miejscu i obróciła w jego stronę.

– Jeżeli masz ochotę sobie pokrzyczeć, to zaraz mogę dać ci ku temu powody – stwierdziła złym głosem.

Andrzej skulił się i schował głowę w ramiona. Wymamrotał coś pod nosem, jakieś nieskładne i niesłyszalne nawet tłumaczenia, bardzo, ale to bardzo żałosnym tonem. Ludmiła przyglądała mu się jeszcze chwilę z obrzydzeniem, po czym odwróciła się i znowu ruszyła naprzód.

Do komnaty Wasyla weszła najpierw księżna, potem sam Wasyl (uciekający wzrokiem tak, by nie spojrzeć przypadkiem na własne dzieło), a za nimi Natasza, ja i Andrzej. Tym razem nie blask świec i lamp oświetlał pokój, lecz światło dnia z rozwartych na oścież okien. Dzień był dość jasny, więc znakomicie widzieliśmy każdy detal malowidła. Chociaż przyznam też, że obraz robił teraz nieco mniejsze wrażenie niż przy blasku świec. Może złote migotanie, pełganie, lśnienie i układanie się cieni i blasków na farbie dodatkowo ożywiały dzieło i nadawały mu pozory lustra czy bramy do innego świata? A może to po prostu ja już się przyzwyczailem do ekstraordynaryjności owego widoku i nie robił on na mnie tak wielkiego wrażenia jak przedtem? Jako ostatni wszedł Modest Dobrynicz, który chyba

w ogóle nie wiedział, w jakim celu go wezwano, co ma zrobić i czego się od niego wymaga. Ot, kazano mu iść, to szedł. Na początku w ogóle nie spojrzął na ścianę zajętą przez obraz, tylko dalej mamrotał coś do siebie. Wsłuchałem się i usłyszałem, że podśpiewuje piosenkę, w której powtarzają się słowa: „Modest Dobrynicz, on nasz gieroj, ubił monstra, wypił wodku, ojoj”.

– Modeście Dobryniczu! – ostry głos księżnej wyrwał tropiciela ze stuporu.

Podrzucił głowę i spojrzął na Ludmiłę.

– Hę? – zapytał w sposób zupełnie pozbawiony dworskiego szacunku.

Uczynił tak jednak na pewno nie z lekceważącego wyrachowania, ale po prostu dlatego, że najprawdopodobniej nadal przebywał w świecie własnych urojeń i własnej piosenki.

– Patrz tutaj. – Księżna wyciągnęła dłoń, wskazując malowidło.

Tropiciel obrócił spojrzenie, raczej zaciekawione i pogodne, w stronę wskazaną przez księżną i nagle, kiedy już objął wzrokiem obraz, jego twarz ściągnęła się i zmartwiała. I Modest Dobrynicz zawył! Zawył ze zgrozą i bólem. A ja w tym samym momencie przesunąłem się o trzy kroki, stając między nim a księżną, i położyłem dłoń na rękoności sztyletu. Zauważyłem tylko, że przyglądająca się wszystkiemu uważnie Natasza powoli kręci głową. Ten gest trochę mnie uspokoił, chociaż oczywiście nie spowodował, bym całkowicie wyzbył się ostrożności. Tymczasem Modest Dobrynicz podbiegł do obrazu, padł przed nim na kolana i zaczął walić czołem w podłogę, tym razem rozpaczliwie płacząc. Posadzka na szczęście była wyścielona grubym kobiercem, więc przynajmniej wiedziałem, że nie rozwali sobie na drzazgi głupiego łba, chociaż trzeba przyznać, że naprawdę się starał, bo uderzał z pełnym zapałem rozmachem.

Ludmiła odsunęła mnie i podeszła do tropiciela. Położyła mu dłoń na ramieniu. Po wyrazie jej twarzy widziałem, że jest prawdziwie poruszona, ale też chyba bardzo zadowolona

z powodu nadziei, jaka się pojawiła. Bo przecież reakcja tropiciela wskazywała, iż ten obraz coś mu przypomniał. A jeśli tak, to może będzie można się dowiedzieć, co zostało przywołane oraz jak do tego czegoś dotrzeć.

– Wasyl płakał, jak zobaczył ten obraz, teraz ten dureń też płacze – odezwałem się z niesmakiem, ale cichutko. – Czy wy, Rusini, jesteście wszyscy tacy płaksiwi?

– Ty uważaj no, żebym ja tobie nie dała powodów do płaczu – warknęła Ludmiła.

Nie miałem pojęcia, że usłyszy moje słowa, bo wymówiłem je naprawdę cicho i kierowałem do Andrzeja, a Ludmiła stała przecież dość daleko od nas, obok szlochającego tropiciela. Ot, jak widać, stara sowa miała wyborny słuch... A ja, cóż, okazałem się głupio nieostrożny.

– Modeście Dobryniczu, a co to znowu za zachowanie! – krzyczała księżna po rusku twardym tonem, a Andrzej tłumaczył mi szeptem jej słowa. – Co to za wygłupy, błazeństwa i wybryki? Wstawaj mi tu zaraz!

Jeśli sądzicie, mili moi, że do tropiciela od razu dotarły rozkazy księżnej i podziały na niego jak ostroga na konia, to odpowiem wam: nie, nie dotarły i nie, nie podziały. Modest jeszcze dłuższy czas lamentował, tłukł łbem w podłogę, ale wreszcie osłabł i już tylko pólleżał z osłoniętą ramionami głową na ziemi i z kuprem tak wypiętym, jakby był gotową do pokrycia samicą jakiegoś leśnego zwierzęcia.

– Wstawaj w tej chwili! – rozkazała Ludmiła już naprawdę wściekłym głosem.

Tym razem księżna nie udawała. Rozsierzdziło ją, że tropiciel nie reagował na jej słowa, chociaż byłem pewien, iż czynił tak nie dlatego, że je lekceważył, lecz po prostu dlatego, że ich nie słyszał. Był tak skupiony na przeżywaniu własnego bólu czy strachu, iż nic innego poza nimi go nie obchodziło. Wreszcie jednak do Dobrynicza dotarło, że czegoś od niego chcą, i podniósł



się do pozycji klęczącej. Pomimo że podłoga była wyściełana kobiercem i futrami, zdołał sobie rozkrwawić czoło i nos. Wyglądał teraz jeszcze bardziej żałośnie niż poprzednio. I pomyśleć, że tego właśnie człowieka tak bardzo się baliśmy, przemknęło mi przez głowę, i w dodatku trzeba się go obawiać nadal, ponieważ pomimo żalosego wyglądu nigdy nie wiadomo, co strzeli mu do łba, dodałem.

– Co to za obyczaj, Modeście? – kontynuowała Ludmiła surowym tonem. – To tak się zachowujesz w obliczu swej władczyni? Całkiem zdziczałeś w tej swojej norze i głuszy!

Dobrynicz wymruczał coś tak niewyraźnie, że nawet Andrzej tylko wzruszył ramionami i nie przetłumaczył mi jego słów.

– Co tam mamlesz pod nosem? – zapytała zezłoszczona księżna.

– Chcę wrócić do domu – wyjęczał tropiciel żalosem. – Nie chcę już tu wcale być...

– Patrzże tutaj! – Księżna chwyciła Modesta za kudły i obróciła go głową w stronę obrazu.

Syknąłem i już bez żadnych ceregieli wyciągnąłem sztylet z pochwy. Zasłoniłem go rękawem, ale w każdej chwili mogłem użyć. Księżna igrała z ogniem, a ja nie zamierzałem dopuścić, by ją ten ogień poparzył.

– Nie chcę! Nie chcę! – zawołał żałośnie tropiciel.

Wydawał się przerażony i zrozpaczony, a przecież wszyscy dobrze wiedzą, jak cieniutka linia dzieli przerażenie i rozpacz od wściekłej agresji. Jeśli Ludmiła przyprze Dobrynicza do ściany jak szczura, to ten może zacząć kąsać jak szczur...

– Patrz tam! – Uderzyła go otwartą dłonią w głowę, a ja postąpiłem krok naprzód. Moje mięśnie i nerwy były napięte niczym cięciwy łuków. Zerknąłem na Nataszę i zauważyłem, że tym razem ma skupioną, poważną twarz.

Dobrynicz, o dziwo, uchylił powieki i spojrzał na malowidło. Przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Diabelstwo – powiedział z przekonaniem.

– Co to za miejsce? – spytała Ludmiła.

Tropiciel wzruszył ramionami.

– A czort go wie, ja nigdy wcześniej nic takiego nie widziałem.

Trzeba było urodzić się idiotą, by uwierzyć tym zapewnieniom, składanym z zadęciem wioskowego głupka, który oszukuje w najprostszej sprawie, licząc, wierząc i ufając, że nikt nie jest w stanie przejrzeć jego łgarstw.

– Nie kłam, Modeście – przykazała księżna, tym razem z łagodną pobłażliwością. – Powiedz mi, gdzie jest to miejsce i jak do niego trafić, a ja w nagrodę spełnię każde twoje życzenie.

Tak niedookreślone obietnice udzielane przez władców na pewno pięknie brzmią, lecz kiedy przychodzi czas ich spełnienia, lepiej nie domagać się tegoż spełnienia zbyt usilnie.

– Na siedmiu synów, ażeby mnie tak zhora mordowała, jak wiem, co to za miejsce i gdzie ono! – zaklął się Modest potężnym głosem i na poparcie swych słów strzelił się w pierś obiema pięściami.

Teraz patrzył prosto w twarz Ludmiły szczerym wejrzeniem szeroko otwartych ocząt. Prędzej uwierzyłbym wilkowi, że jest mamusią trzech świnek, niż jemu... Ale nie wątpiłem, że samemu Modestowi zdawało się, iż jest bardzo sprytny. Przez twarz księżnej przeszedł cień, chciała już chyba znowu wybuchnąć, lecz w pewnym momencie ściągnęła usta i odetchnęła głębiej.

– No cóż, w takim razie idź sobie, skoro nie potrafisz mi pomóc – rozkazała obojętnie. – Wynocha! – dodała gwałtowniej.

Dobrynicz zerwał się na równe nogi, paroma krokami dopadł drzwi, szarpnął klamkę i zniknął za nimi.

– Kłamie, swołocz – warknęła Ludmiła, już zwracając się do nas.

– Był tam – rzekłem. – Co prawda nie dałbym za to głowy, bo jednak zbyt ją cenię, ale założyłbym się o roczne pobory, że kiedyś widział to miejsce...

– I boi się go.

– Albo boi się tego, czego co prawda na obrazie nie widzimy, ale o czym on sam wie, że ukrywa się poza naszym wzrokiem.

– Na Jezusa Boga, a wy ciągle swoje! – krzyknął Andrzej i postąpił dwa kroki w tył, tak by oprzeć się plecami o ścianę przeciwległą do ściany z malowidłem.

– Jak go przekonać? – spytała księżna.

Przypomniała mi się rozmowa, którą prowadziłem z Andrzejem, kiedy zastanawialiśmy się, w jaki sposób można do czegokolwiek skłonić człowieka podobnego do Dobrynicza. Zmusić go torturami i wziąć na smycz? Toż powiedzie cię w jakieś ostępy, trzęsawiska i w zemście utonie razem z tobą. To nie było dobre rozwiązanie.

– Nikt go nie przekona – odezwał się Andrzej. – Dobrynicz potrafił sam jeden, tylko z nożem w dłoni wejść do gawry i zadźgać w niej niedźwiedzia. Jeśli taki człowiek czegoś się boi... – nie dokończył i wzruszył ramionami.

– To nawet nie jest zwykły strach – dodałem. – To najbardziej prymitywna trwoga, to panika, o jakiej bajali starożytni Grecy, a jaką potrafiły zasiać w ludziach leśne demony. Nie będzie z niego żadnego pożytku.

Ludmiła uderzyła pięścią w blat stołu.

– W tej dzikiej głowie są informacje, których potrzebuję jak oddechu. Są w niej, wszyscy to przyznajecie! Zamknięte niczym w skarbcu. Muszę, muszę, muszę się do nich dostać. – Przy każdym „muszę” waliła w stół coraz mocniej i mocniej.

Wasył patrzył na nią osłupiały, bo przecież nie rozumiał, o czym rozmawiamy, a nagły wybuch złości księżnej napełnił go przerażeniem. Przykucnął pod ścianą i opuścił głowę. Chyba zamierzał na wszelki wypadek udawać, że wcale go tu nie ma i nigdy go tu nie było...

– Wasza Wysokość – odezwała się niespodziewanie Natasza miękkim, cichym głosem – mam nadzieję, że będę mogła pomóc

Waszej Wysokości, jeśli Wasza Wysokość pozwoli...

Wszyscy spojrzeliśmy na nią. Ja ze zdumieniem i obawą, Andrzej z lękiem, a Ludmiła z nadzieją.

– Z ogromną przyjemnością cię wysłucham, moje dziecko – odparła księżna łagodnie i z uśmiechem.

Natasza obróciła się w naszą stronę, moją i Andrzeja.

– Panowie wybaczą, ale to nie są sprawy, które by was interesowały – rzekła tonem na poły grzecznym, na poły żartobliwym.

Andrzej, jeszcze bardziej przełęczniony, spojrział na Ludmiłę. Jako dworzanin księżnej nie mógł przecież w jej obecności przyjmować rozkazów od kogoś innego.

– No to wynocha – zdecydowała księżna. – I zabierzcie tego tu!  
– Wskazała podbródkiem malarza.

– Chodź, Natasza, usiądź sobie, opowiedz, co ci leży na sercu – powiedziała tonem tak różnym od tego, jakim odzywała się do nas.

Cóż było innego do roboty, jak nie wziąć Wasyla pod pachy i wyjść z jego pracowni, zostawiając Ludmiłę sam na sam z Nataszą?

– Nic z tego dobrego nie wyjdzie – zajęczał (ale jednak bardzo cicho) Andrzej, kiedy już zatrzasnęły się za nami drzwi. – Mówię wam, będzie z tego jakaś bieda...

Nie byłem na tyle pogrążony w czarnowidztwie, by się z nim zgodzić, ale konszachty Nataszy i Ludmiły rzeczywiście i mnie się nie podobały. Zwłaszcza że przypomniałem sobie, iż jeszcze niedawno musiałem jechać po Dobrynicza, ponieważ właśnie Natasza stwierdziła, że to ja powinienem owo zadanie wykonać.

Z drugiej strony miała pewnie rację, iż spowodowała wysłanie właśnie mnie. A na pewno miała rację, dając mi naszyjnik, który wręczyłem tropicielowi i bez którego nasza misja zakończyłaby się jeśli nie klęską, to przynajmniej niepowodzeniem. A kto wie czy również nie rozlewem krwi, i to w dodatku tej najcenniejszej,

czyli mojej. Tak więc choć pomysły Nataszy budziły moje zaniepokojenie, to komu miałem ufać w tym dzikim i barbarzyńskim kraju, jak nie jej? Oczywiście wliczając tylko ludzi, gdyż przede wszystkim ufałem przecież Bogu Najwyższemu, który, jak wierzyłem, zawsze prowadził mnie ścieżkami niewinności i prawości, łaskawości i wierności...



Śniło mi się, że lataliśmy z Nataszą pod słonecznym niebem. Pędziliśmy wśród chmur, mijaliśmy szczyty wysokich jodeł, goniliśmy się z ptakami i dokazywaliśmy, zaśmiewając się i od czasu do czasu muskając się w locie pocałunkami. Wszystko to byłoby niewątpliwie piękne i wzruszające, gdyby nie fakt, że lataliśmy w wielkich otwartych trumnach, w których dodatkowo leżały zwłoki. Co ciekawe, w czasie trwania owego snu ani trumny, ani trupy nie wydawały mi się ani niestosowne, ani niepokojące. Ot, pojazd jak każdy inny. Helios miał swój rydwan ciągnięty przez słoneczne rumaki, Natasza i ja mieliśmy trumny. Dopiero kiedy się obudziłem, zacząłem się zastanawiać nad sensem tego sennego marzenia czy sennego koszmaru, zależy, od której strony na niego spojrzeć.

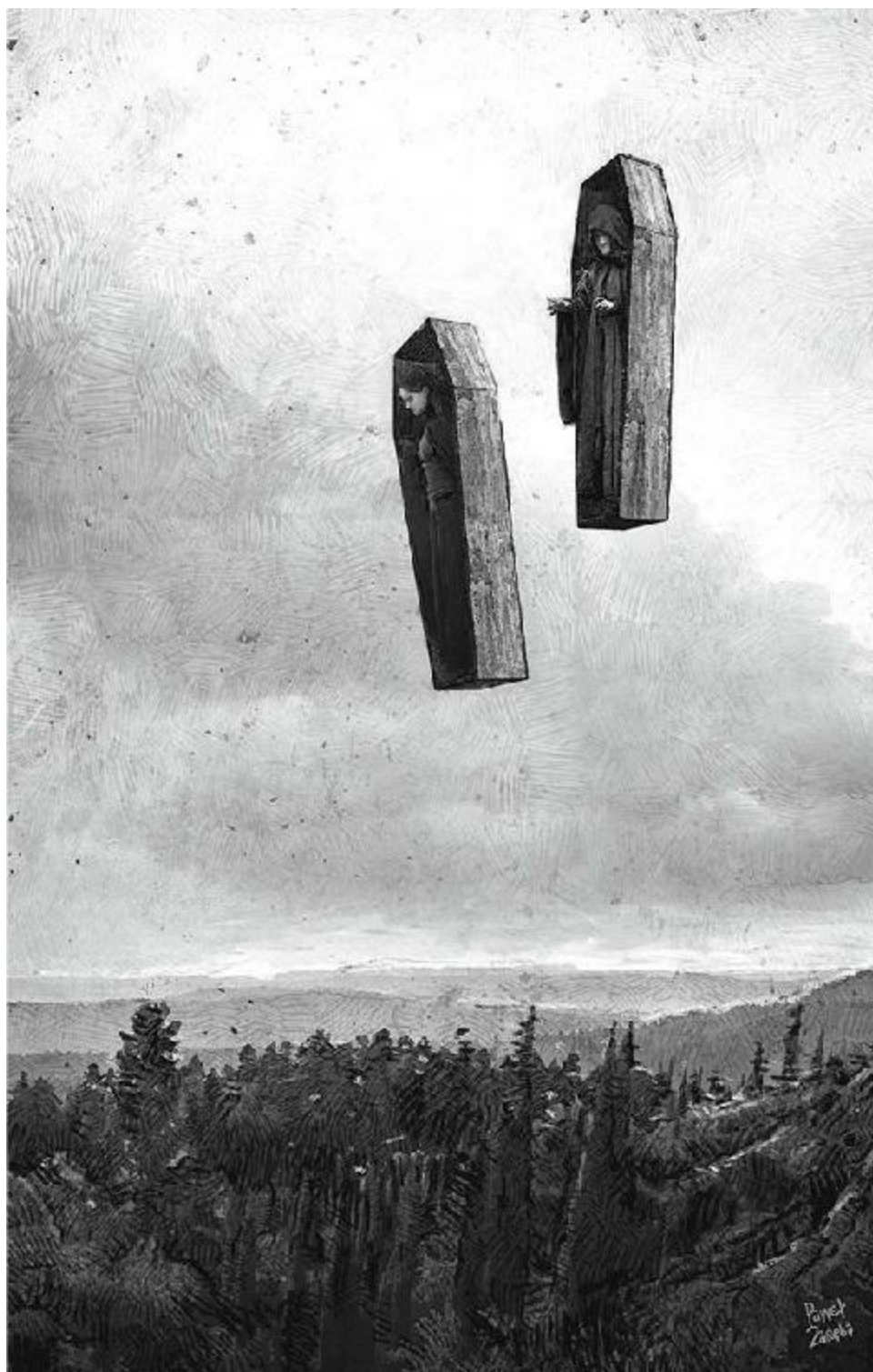
– Ależ miałam piękny sen. – Natasza przeciągnęła się z rozmarzonym uśmiechem.

– Latałaś? – domyśliłem się niespodziewanie dla samego siebie.

– Latałam. – Obróciła się do mnie ze zdziwieniem.

– W trumnie?

– W trumnie! – Klasnęła w dłonie. – Miły mój, mamy nawet takie same sny! Jesteśmy dla siebie stworzeni! Całowaliśmy się. A pamiętasz tę sowę? Ale się nas przestraszyła!



Jeśli miałbym jakieś wątpliwości, czy Natasza nie koloryzuje, zgadzając się z moimi wspomnieniami o lataniu, to w tej chwili tych wątpliwości bym się pozbył. Rzeczywiście ucieczka

spłoszonej sowy była niezwykle charakterystycznym momentem snu. Natasza śmiała się tak, że o mało nie wypadła z trumny...

– Sny odzwierciedlają dążenia naszej duszy i naszego umysłu – rzekłem. – Albo ukazują nasze obawy. Albo ostrzegają nas przed niebezpieczeństwem. Jak myślisz, jakie było zadanie tego snu?

– Czy sen nie może być po prostu przyjemnością? Odsunięciem na bok codziennych kłopotów?

Przytuliła się do mnie.

– Chciałabym latać z tobą – wyznała z tęsknotą w głosie. – Było tak pięknie. Tak jasno. Tak bezpiecznie. Tak radośnie.

– Marzymy o wolności, Nataszka – westchnąłem. – I przyznam, że to słodkie, iż marzymy o wspólnej wolności... – dodałem, zastanawiając się, czy trumny nie oznaczały przepowiedni, iż ową wolność zdobędziemy i wyszarpiemy dla siebie jedynie po trupach innych ludzi. No cóż, jak dla mnie, nie było to szczególnym problemem, pod warunkiem, że wiedziałbym, których konkretnie ludzi mam zabić, by ową wolność uzyskać czy też odzyskać...

Natasza posmutniała i odsunęła się ode mnie.

– Nigdy jej nie zaznamy – stwierdziła tym razem przygnębionym tonem.

Zobaczyłem, że w jej oczach pojawiły się łzy.

– Dostaniemy to, o co będziemy chcieli walczyć – odparłem.

Położyła się i obróciła do mnie tyłem. Widziałem smukłą linię jej pleców przechodzącą w zgrabne pośladki. Pogłaskałem ją, przebiegając koniuszkami palców od szyi w dół.

– Nie mam ochoty – poskarżyła się żalonym tonem.

Odgarnąłem jej włosy i pocałowałem ją za uchem. Wiedziałem, skąd wynika jej zły nastrój. Oto jeszcze przed chwilą była wolna, radosna i swobodna, szybowała w przejrzystym powietrzu i oddychała pełną piersią, a obudziła się w ponurej fortecy, gdzie musiała wypełniać wolę dwóch bezwzględnych kobiet: księżnej oraz wiedźmy, która ją owej księżnej sprzedała. Z mojego punktu

widzenia miłe było, że w radosnym śnie odgrywałem rolę towarzysza Nataszy. Oczywiście, że również chciałbym z nią latać. Może nie w trumnie, ale na przykład na skrzydłach niczym Dedal i Ikar (no dobrze, wystarczy „niczym Dedal”, zapomnijmy o Ikarze). Albo w zaprzęgu prowadzonym przez żurawie. Albo w podniebnym pojeździe wznoszącym się dzięki dążącym ku słońcu kroplom rosy.

– Może potem nabierzesz...

– Może – odpowiedziała tonem wcale nie zwiastującym, że tak się łatwo stanie.

– Nataszka, co ty knujesz z Ludmiłą? – tym razem zaszeptalem jej pytanie do ucha.

– Zobaczysz – mruknęła.

– A nie możesz mi powiedzieć?

– Jest mi smutno... Może byś się mną jakoś zajął, a nie rozmawiał w łóżku o Ludmile?

– Nataszka, kiedy próbowałem się tobą zająć, to powiedziałaś, że nie masz ochoty...

– Może bym nabrała tej ochoty – odparła z rozgoryczeniem. – Ale ty zrezygnowałeś tak szybko, że nawet nie zdążyłam się zastanowić.

– Miałem nie rezygnować, kiedy mówiłaś, że nie chcesz? – upewniłem się.

– Czy ja mam ci mówić, co masz robić? – spytała zrezygnowana. – Naprawdę sam nie wiesz?

Uznałem więc po chwili, że dobrze: jednak wiem. A po jeszcze dłuższej chwili Natasza powiedziała zdyszana:

– O widzisz, mój miły, jak popchnąć cię we właściwą stronę, to nawet całkiem zgrabnie idziesz.

A potem wbiła mi paznokcie w ramiona, napała na mnie całym ciałem i zawołała tonem już raczej ożywionym i wesołym:

– Oj, chyba humor mi się poprawia!

Tak czy inaczej, ani tego, ani następnego dnia nie uzyskałem



odpowiedzi na pytanie, jaką propozycję Natasza złożyła Ludmile, i zresztą nie nalegałem już specjalnie, zadowolając się stwierdzeniem, że sam się dowiem w swoim czasie. Zaniepokoiło mnie tylko jedno: rozmowa z Andrzejem.

– Dobrynicz uciekł – obwieścił gorzkim tonem i pokręcił głową.  
– Można się było tego spodziewać.

– A księżna? – spytałem natychmiast. – Bardzo jest wściekła?

Zdziwił się i przetrwał przez chwilę moje pytanie.

– A wiecie, że nawet wcale nie – odparł. – Dziwne, prawda? – zapytał chyba bardziej sam siebie niż mnie.

No cóż, może dla niego było to dziwne, ja jednak, szczerze mówiąc, czegoś podobnego się spodziewałem. Natasza najwyraźniej obiecała księżnej, że zna sposób, by skłonić tropiciela do mówienia. Jaki to był sposób, że Ludmiła zgodziła się go zastosować i nie chciała przy tym wcale skorzystać z mojego inkwizytorskiego doświadczenia? Jaką propozycję Natasza mogła złożyć władczyni Peczory? Niestety, miałem okazję przekonać się o tym czwartego dnia po tym, jak przedstawiliśmy Modestowi obraz w pracowni Wasyla. Wtedy, a było już późno wieczorem, Natasza wzięła mnie za rękę.

– Pokażę ci coś – powiedziała. – Ale obiecasz, że nie będziesz się gniewał?

– No, to teraz zaczynam się naprawdę bać – odpowiedziałem, i ta odpowiedź nie była wcale całkowicie i kompletnie żartobliwa.

– No obiecaj, proszę... – Złożyła dłonie na piersiach.

– Dobrze – westchnąłem – obiecuję.

– To chodź, idziemy...

– Daleko?

– Niedaleko.

Najpierw jeszcze otworzyła skrzynię, niemal w niej zanurkowała, po czym wyciągnęła duży trójzębny klucz na kółku i łańcuszku. I rzeczywiście, do celu nie było daleko. Zeszliśmy do

piwnic, przechodząc obok strażników (jak zwykle, kiedy Natasza obok kogoś przechodziła, ten ktoś kulił się przy ścianie), potem ciemnymi, podmokłymi i zatęchłymi korytarzami doszliśmy do masywnych drzwi. I to właśnie do nich pasował klucz Nataszy. Musiała napierać obiema rękoma, żeby przekręcił się w zamku. A potem weszliśmy w ciemność rozjaśnioną zaledwie niewielkim światelkiem lampki niesionej przez Nataszę i Natasza zatrzasnęła za nami drzwi.

– Czekaj, czekaj, gdzie jest ten świecznik... – mruknęła.

Znalazła, odpaliła knoty od swojej lampki i postawiła świecznik na stole. Pokój był niemal pusty. Stał w nim tylko stół, trzy zydle (w tym jeden połamany), a przy ścianie dwudrzwiowa szafa z nieheblowanego, upstrzonego zaciekami, zbrązowiałego drewna. Stół był poznaczony brunatnymi plamami i smugami. Jeśli nawet była to krew, to zaschnięta i dawno wsiąkła w deski. Nie czułem jej zapachu.

– Domyślam się, że celem naszej wycieczki jest szafa – powiedziałem ostrożnie. – A raczej to, co się w niej kryje.

Natasza pokiwała radośnie głową.

– Zobaczysz, co mi się udało, mój miły – odparła z pogodnym entuzjazmem. – Sama nie wiedziałam, czy tak potrafię...

– Umieram z ciekawości – rzekłem.

I z niepewności, dodałem w myślach.

Natasza trzymała w prawym ręku świecznik, a lewą otworzyła na oścież drzwi szafy.

– Tadam! – zawołała.

Na szerokiej półce stała klatka. W klatce znajdowała się żelazna misa. A w misie tkwiła głowa Modesta Dobrynicza. Głowa miała zamknięte oczy.

– Mój Boże – mruknałem tylko.

Potem obróciłem wzrok na Nataszę.

– Nataszka, nie chciałbym być nieuprzejmy, ale czy sądzisz, że martwy tropiciel z obcięłą głową jest dla nas bardziej przydatny

niż żywy tropiciel?

– Oj tam, nie rozumiesz! – Dała mi kuksańca w bok, ale żartobliwie, nie gniewnie. – Spójrz tylko.

Wyciągnęła dłoń w stronę głowy. Trzymała malutki pędzelek, który wydawał się poruszać w jej dłoni tak, jakby na jego włoski ciągle dmuchano. To dziwne, bo w piwnicznej celi było duszno, a nie przewiewnie.

Natasza powiodła pędzelkiem najpierw po powiekach tropiciela, potem po jego ustach. Coś sobie przy tym cichutko podśpiewywała pod nosem, ale ani nie rozpoznawałem tych słów, ani nie potrafiłbym ich powtórzyć. I nagle, a było to gwałtowne i niespodziewane, Modest Dobrynicz (czy raczej jego głowa) otworzył jednocześnie usta i oczy. Otworzył je bardzo szeroko. Spojrzenie miał wypełnione przerażeniem i najwyraźniej chciał krzyczeć, lecz nie mógł i jego usta rozwierały się w bezgłośnej panice.

– No pięknie – szepnąłem.

Nie wyczuwałem nawet śladu, nawet subtelnego, przelotnego cienia czarnej magii. A przecież ta magia musiała być, i musiała być niezwykle silna, by ożywić odciętą głowę. Owszem, w czasie edukacji w prześwietnej Akademii Inkwizytorium słyszałem o podobnych zabiegach czarnomagicznych, lecz nigdy nie widziałem ich efektów na własne oczy. Zresztą zapewniano nas, że w naszych czasach w Cesarstwie nie spotkamy już ludzi potrafiących posługiwać się tak paskudnie mocnymi zaklęciami. Ta wiedza podobno miała zagaść dawno temu, zostać już wykorzeniona przez Święte Officjum. No ale tu, na Rusi, Inkwizytorium przecież nie działało.

– Głowa musi mówić prawdę – oznajmiła Natasza radośnie. – Musi nas poprowadzić tam, gdzie chcemy, nie może nas oszukać i nie może nas wywieść na manowce. A jak będzie grzeczna, to zostanie nagrodzona... – Uśmiechnęła się.

– Będziesz potrafiła z powrotem przyłączyć ją do ciała?

– Tak jak odłączyłam, tak i przyłączę – powiedziała Natasza, patrząc w stronę głowy.

– A w jaki sposób on mówi?

– Musiałabym go jeszcze połaskotać pod brodą. – Zakręciła w dłoniach pędzelkiem. – To wtedy zaczęłyby gadać. Ale nie chcę, bo strasznie wtedy wrzeszczy. – Skrzywiła się.

Przyjrzałem się tej bezgłośnie krzyczącej głowie wybałuszającej oczy pełne przerażenia i pomyślałem, że Natasza zadziwia mnie bardziej niż ktokolwiek.

– Sądziłem, że twoim zadaniem jest przeżywanie i przekazywanie magicznych wizji – powiedziałem. – Nie myślałem, że zostałeś w ten sposób... – zawahałem się, jakiego słowa użyć – wyedukowana.

– Ale jesteś ze mnie dumny czy nie? – Zmrużyła oczy.

– Nataszka, to niezwykle. To niesamowite. To porażające – powiedziałem ze szczerym zapalem i przykładając dłoń do piersi. – Nigdy nie spotkałem kogoś, kto potrafiłby dokonać czegoś podobnego. Ale przyznam, że to również trochę przerażające – dodałem.

Jej oczy się rozjaśniły, a uśmiech wrócił na twarz.

– Ja wiem, sama głowa, ughhh – wzdrygnęła się teatralnie. – Dziwnie było, jak ją odcinałam.

– Ty ją odcinałaś? – upewniłem się.

– Trzeba wiedzieć, jak odcinać. – Uniosła znaczącym gestem palec wskazujący. – Nie wiesz jak, popełnisz błąd, to zabijesz i koniec. – Wzruszyła ramionami. – Okropnie się bałam, że zawiodę... I tak bardzo się cieszę, że mi się udało. – Przytuliła się do mnie. – Nie wiesz nawet, jak bardzo. Że mogłam pomóc nam wszystkim...

Pocałowałem ją w policzek.

– Jesteś bardzo dzielna i bardzo mądra, Nataszka... – stwierdziłem.

– Księżna kazała go schwytać, zanieść tu i przywiązać, a ja

zrobiłam resztę. Trzeba ciąć na żywo. – Skrzywiła się. – I to jest bardzo nieprzyjemne.

– Ludmiła już widziała Modesta w tym... stanie?

– Och, nawet z nim rozmawiała. Była ogromnie zadowolona.

– Nie dziwiła się?

– Trochę się dziwiła – przyznała Natasza. – Ale w końcu wychowywała mnie mateczka Olga, więc nauczyłam się tego i owego.

Przyglądałem się tej odciętej głowie, która teraz już nie krzyczała, ale patrzyła na nas wzrokiem pełnym trwożnego ogłupienia.

– Tego i owego – powtórzyłem.

Potem westchnąłem.

– Może uspij go z powrotem, co? W końcu nie zrobił nam nic złego, żebyśmy go dręczyli, prawda?

Pokiwała głową.

– Nie lubię robić nikomu krzywdy, jeśli nie jest to konieczne – odparła.

Cóż, i znowu, jak widać, mieliśmy z Nataszą kolejną rzecz wspólną.

A potem szybciotko tym samym pędzelkiem (który jednak wyglądał jakby trochę inaczej, gdyż wydawało mi się, że zmienił kolor) powiodła znowu po oczach i ustach tropiciela. I znowu coś tam sobie cichutko nuciała. Nie minął nawet pacierz, a gęba Modesta zamknęła się z głośnym kłapnięciem zębów, a powieki opadły na oczy.

– No to tak to wygląda – rzekła Natasza, zamykając szafę.

– A co z ciałem?

– Nie wiem, księżna gdzieś kazała wyrzucić. Psom może dała albo w fosie utopiła. – Natasza zamyśliła się. – I tak już z tej fosy tak okropnie śmierdzi, że nic jej chyba nie zaszkodzi...

To akurat była prawda. Z fosy cuchnęło tak, że człowieka aż mdliło, kiedy przechodził obok niej albo kiedy wiatr zawiał od jej

strony.

– Więc jak chcesz przyłączyć mu głowę? – zapytałem.

– Miły mój, ja tylko tak mówię, żeby chętniej nam służył – wyjaśniła. – Nikt nie potrafi połączyć odciętej głowy z ciałem, nawet mateczka Olga – dodała szczerze. – Jak Modest grzecznie zrobi wszystko, co będę chciała, to pozwolę mu umrzeć... I tyle.

Pokiwałem głową. To prawda, że czasami zezwolenie na śmierć stanowiło najwyższą nagrodę, jaką mógł otrzymać człowiek. My, inkwizytorzy, coś o tym wiedzieliśmy...

– On nie był dobrym człowiekiem, prawda? – powiedziała, nawet bardziej stwierdzając, niż pytając. – W końcu dwóch ludzi żywcem obdarł ze skóry. I to za co? Że jego żona ich skusiła i że się z nią zabawili... A czyja to była wina? Ich niby? Suka daje, to pies bierze! Było nie wybierać sobie takiego pomiotła za żonę...

– Szszsz, Nataszka, nie denerwuj się – przerwałem jej łagodnie, nie okazując rozbawienia, że powtórzyła przysłowie, którego Andrzej użył, opowiadając o tym samym problemie. Jak widać, w sprawach zdrady Rusini zgadzali się niezależnie od płci i wychowania.

– Oj, bo aż mnie skręca – burknęła.

Pocałowałem ją w szyję.

– Jesteś piękna, mądra i utalentowana – stwierdziłem.

Odwróciła się do mnie i splotła dłonie na moim karku.

– I w dodatku bardzo cię kocham – dodała z uśmiechem.



Obudziłem się i otworzyłem oczy. Natasza klęczała nade mną, naga, z rozpuszczonymi włosami i ze sztyletem w prawej dłoni. Miała skupioną, zaciętą twarz.

– Ani słowa – syknęła. – Nie ruszaj się.

A potem jej oczy zapłonęły przez moment ogniem, uniosła broń wysoko i z piekielną szybkością opuściła ostrze, celując

w moją szyję. No dobrze, powiedzmy dokładniej: celując tuż obok mojej szyi. A jeszcze dokładniej: celując na grubość paznokcia od mojej szyi. Jej długi nóż, przypominający kształtem przecięty na pół liść laurowy, przebił poduszkę i wbił się w siennik aż po rękojeść. Czułem, jak metal prześlizguje się po mojej skórze. Twarz Nataszy złagodniała, a ja dopiero wtedy pozwoliłem sobie odetchnąć.

– Co, u diabła? – zapytałem.

Wysunęła sztylet i ujęła coś w palce. Wydawało mi się początkowo, że po prostu ściska powietrze, tak jak dzieci udające, że przenoszą niewidzialne przedmioty. Ale kiedy skupiłem wzrok, zobaczyłem, że coś naprawdę znajduje się między jej palcami. Coś długiego, niemal przezroczystego, co pojawiała się tylko na mgnienie oka jako podłużny kształt z wyrastającymi na wszystkie strony wiciami. A potem zaraz zniknęło i znowu wydawało się, że Natasza nie ma nic w palcach.

– Na gniew Pana, co to za piekielny potwór? – zapytałem i sam nie wiedziałem, czy jestem bardziej zdumiony, zły, czy przestraszony. A nade wszystko oczywiście wdzięczny Nataszy i pełen podziwu dla niej. Za chwilę miało również do tych uczuć dołączyć zaniepokojenie i rozczarowanie, dlaczego ja sam nie rozpoznałem i nie wyczułem niebezpieczeństwa.

– Nazywamy ją pijawką – wyjaśniła zamyślona Natasza. – Ale ta jest wyjątkowo duża, nie widziałam wcześniej takiej.

– Co ona robi?

– A co niby robią pijawki? – Popatrzyła na mnie z politowaniem. – No przecież, że ssą...

– Domyślam się jednak, że to coś nie wysysa krwi tak jak zwykła pijawka – odparłem spokojnie. – Więc czym się żywi?

Pokręciła głową.

– To zależy – odparła.

– Od czego?

– Od tego, jak ją przygotowano. Może wysysać siłę i wtedy

człowiek choruje, i jest ciągle słaby, i nic mu się nie chce. Leży, leży, a potem umiera. – Wykonała gest dłonią. – Ale pijawka może też wysysać rozum i wtedy człowiek staje się coraz głupszy...

– A wiesz, co ta robiła? I jak długo?

Roześmiała się.

– Nie bój się, dopiero co wpelzła. Od razu ją zobaczyłam. Ale co miała robić, tego nie wiem – westchnęła. – W każdym razie nie wyrządziła ci żadnej krzywdy, bo widzisz, taka pijawka musi ssać wiele nocy, żeby coś złego z tego wynikło.

– Bogu dziękować – rzekłem szczerze, a potem zastanawiałem się przez chwilę. – Więc to jest, jak rozumiem, coś podobnego do zmory...

Skinęła głową.

– Podobna. Jest słabsza, przez co trudniej ją odkryć. Działa powolutku, za to skutecznie.

Wzięłem nóż z ręki Nataszy i przyglądałem się dłuższą chwilę stworzeniu nabitemu na ostrze. Nie ruszało się, lecz nadal było prawie niewidoczne. Trzeba było naprawdę się skupić, by dostrzec ten przezroczysty kształt. Oddałem broń Nataszy i pocałowałem ją.

– To ja miałem cię strzec, ale widzę, że ty strzeżesz mnie. Dziękuję ci, Nataszka.

Pomyślałem sobie, co by się działo, gdybym stopniowo, dzień po dniu tracił rozum. Gdyby zniknęła gdzieś moja inteligencja, błyskotliwość, swoboda wypowiedzi, rozsądek, wiedza zdobyta podczas edukacji, zdolności dedukcji oraz logicznego rozumowania. Z bogacza stałbym się nędzarzem. Czy miałbym w ogóle świadomość powolnej utraty tego umysłowego i duchowego majątku, jaki otrzymałem z łaski Boga? Skoro proces był powolny, zapewne miałbym świadomość owej degradacji i degeneracji. Bolesną i pełną niezrozumienia świadomość. Czekwałyby mnie straszne dni i straszna przyszłość.



Gdyby nie Natasza. Pocałowałem ją jeszcze raz.

– Jesteś mój, więc dbam o ciebie – powiedziała beztroskim tonem, ale widziałem, że tak naprawdę jest zadowolona. Zapewne zarówno z tego, że przechytryła naszych wrogów, jak i z tego, że nie przeszło to niezauważone i niedocenione.

– Niektóre z nich zatruwają człowieka – dodała. – Zaczyna wtedy nienawidzić całego świata i wszystkich, którzy znajdują się wokół. – Przytknęła palec do brody. – Kto wie, to byłoby pewnie najzręczniejsze – dodała. – Gdybyś skrzywdził mnie albo jeszcze lepiej: od razu Ludmiłę.

O tak, pomyśl, że inkwizytor dokonuje zamachu na władczynię, której miał pilnować, był całkiem niezły.

– A wiesz, co mi się podoba? – Natasza odwróciła się do mnie gwałtownie, a jej piersi uroczo podskoczyły w trakcie tego ruchu.

– Co?

– Że tak bardzo mi ufasz! – wyjaśniła, patrząc na mnie rozjarzonymi oczami. – Ja nad tobą z nożem w ręku, a ty nic... – Klasnęła.

– Nataszka, a co mi zostaje, jak nie ufać ci? – Uśmiechnąłem się. – Jeśli mnie zdradzisz lub zabijesz, to może umrę głupi, ale przynajmniej nie zatruwając sobie wcześniej życia podejrzeniami... Jak dla mnie, wygląda to na całkiem niezłą transakcję.

Oczy Nataszy zaszklily się. Położyła się na mnie i przytknęła nos do mojego nosa.

– Jesteś mój. Zawsze będę cię kochać i nigdy cię nie zdradzę – stwierdziła uroczyście.

Było to słodkie. I rozczulające. Wielu ludzi uwierzyłoby w to wyznanie bez zastrzeżeń. Ja też wierzyłem w szczerość myśli Nataszy formułowanych teraz i tutaj. Ale jednocześnie byłem przecież inkwizytorem i wiedziałem, jak często słowa „nigdy” oraz „zawsze” zmieniają się na słowa „do czasu”, a słowo „kocham” z płonącej żagwi przeistacza się w popiół, który można

rozwiąć jednym podmuchem.



Oreżem inkwizytorów nie są ani miecz, ani włócznia, ani topór, ani łuk. Oreżem inkwizytorów są wiara, rozum oraz intuicja. Ale stalowe ostrze w garści czasami przydaje nam się tak jak każdemu zwyczajnemu człowiekowi. Byłem więc uzbrojony w dobry kordelas z hiszpańskiej stali, z trójwąsowym jelcem tak umiejętnie zagiętym, by chronił całą dłoń, i z klingą tak ostrą, że można nią było mięso kroić na cienkie plastry. Na czas wyprawy dostałem również pałasz ze zbrojowni księżnej, ciężki, zagięty jak szabla, z szeroką głownią i potężną gardą. Nie był tak wyważony i precyzyjny jak mój kordelas, ale z pewnością, z uwagi na długość, dużo wygodniej byłoby nim walczyć z siodła. Wykuto go w kuźniach moskiewskich płatnerzy, a ci uchodzili na Rusi za najbardziej utalentowanych i najprzedniejszych. Dostałem solidną, sięgającą za pas kolczugę i spiczasty hełm w mongolskim stylu. Ale wiedziałem, że jeśli przegramy bitwę, nic mi to nie pomoże. Ani kordelas, ani pałasz, ani kolczuga. One wszystkie najwyżej szybciej wciągną mnie swoim ciężarem w głąb trzęsawiska. Ale jednak człowiek czuł się pewniej, kiedy wiedział, że jest w jakiś sposób chroniony przed przypadkowym ciosem, że kolczuga i hełm osłabią uderzenie, a może nawet ześlizgnie się ono po metalu, nie czyniąc żadnej krzywdy.

W wyprawie na bagna księżna postawiła wszystko na jedną kartę. Po pierwsze, uwierzyła, że Modest Dobrynicz naprawdę wie, gdzie znajduje się miejsce ukazane w moich wizjach. Po drugie, uwierzyła, że w tym miejscu znajdzie cokolwiek lub kogokolwiek, kogo będzie można zabić albo pochwycić w niewolę. Po trzecie, uznała, że siła jej żołnierzy i siła wspomagającej ją wiedzy są wystarczające, by zmierzyć się z tym czymś, co zapadło na mokradłach i co z tych mokradeł

bezkarnie wysyłało magiczne uderzenia. Ludmiła nie stanęła na czele wielkiej armii, gdyż słusznie rozumowała, że o przewadze nie zadecyduje liczba zbrojnych. Do wyprawy przygotowanych zostało dwudziestu pięciu ludzi. Wszyscy dobrze uzbrojeni i na dobrych koniach. Co ciekawe, wszyscy byli ochotnikami, skuszonymi wysoką nagrodą, ale też doskonale wiedzącymi o niebezpieczeństwie. Oprócz żołnierzy maszerowało z nami czterech tropicieli oraz Andrzej jako dworzanin księżnej (zapewne chętnie by z tego przywileju zrezygnował, gdyby owa rezygnacja nie wiązała się z dożywotnią niełaską, a kto wie, może i przegnaniem na cztery wiatry z Peczory), no i ja z Nataszą. Towarzyszyła nam również głowa Modesta Dobrynicza, zamknięta w drewnianej skrzyni i przywiązana do końskiego grzbietu. Czyli z Peczory miało nas wyruszyć trzydzieścioro troje, a jeśli policzymy głowę Modesta za osobę, to nawet trzydzieścioro czworo. Nie było żadnej czeladzi, żadnej służby, żadnych pomocników. Tylko i wyłącznie ludzie, którzy mogli się przydać w czasie bitwy. Oczywiście wiedziałem, że już po wejściu do puszczy miała do nas dołączyć wiedźma ze swoimi czterema dziewczętami.

– Kupiłem talizman – pochwalił się jadący tuż obok Andrzej i pokazał mi wyciągnięte spod płaszcza, zawieszane na łańcuszku metalowe koło wielkości dłoni, z wygrawerowanymi na nim dziwnymi napisami i symbolami.

– Przed czym ma chronić?

– Kiedy zejdem z drogi na trzęsawisko, to znaki na nim wyryte rozjarzą się.

– Och, to bardzo przydatna zdolność – stwierdziłem. – A ja, widzicie, mam magiczne buty, działające w bardzo podobny sposób...

– Jak to?!

– Ano tak to. Kiedy stąpnę w bagno, zapadają się po cholewki. Zmrużył oczy, potem zrozumiał kpinę i pokręcił głową.

– Nic w was nie ma wiary.

– Mam mnóstwo wiary dla kupieckiej pomysłowości – odparłem. – I w związku z tym opowiem wam historię. Wyobraźcie sobie, że kiedyś pewien kupiec proponował, że sprzeda mi amulet chroniący przed pociskami.

– Coś takiego! I co?

– Kazałem mu go założyć i strzeliłem do niego z samopału.

– I co?!

– A jak sądzą?

– Nie ochronił go – zaryzykował po namyśle. – Zabiliście go?

– No, nie przesadzajmy – powiedziałem. – Trzeba potem pisać raporty, tłumaczyć się przed przełożonymi, wyjaśniać... Na co to komu? Postrzeliłem go tylko w dłoń, zresztą nieszkodliwie, bo zaledwie urwało mu mały palec.

– Zaledwie – mruknął z przekąsem mój towarzysz.

– Sprzedawał potem magiczne obrączki chroniące przed ugryzieniem zwierząt, a brak małego palca był dowodem na ich skuteczność.

Andrzej znowu zmarszczył brwi.

– A w jakiż niby sposób?

– Bo mówił, że akurat na ten palec zapomniał założyć obrączki. Ale że wszystkie pozostałe palce miał w całości, to ludziska mu tym bardziej uwierzyli, że magia działa, i chętnie kupowali te jego pierścionki.

Dworzanin Ludmiły tylko machnął ręką.

– Może i są wśród kupców... – zaczął, lecz nie dokończył, bo oto przez bramę wyjechała księżna w towarzystwie dwóch oficerów.

Znowu była okuta w stal, jak to zapamiętałem z nocnej podróży przez mgłę, kiedy to miałem szczęście i sposobność na końcu owej podróży poznać Nataszę. Podobnie wyglądali porucznicy księżnej, a ja, raz jeszcze patrząc na nas wszystkich, opancerzonych, z ciężką bronią, wiodących konie niosące ciężkie juki, pomyślałem, że jeśli źle pójdzie, to wszyscy będziemy

pięknie i łatwo tonąć w trzęsawisku. A talizman Andrzeja będzie mógł nie tylko się rozjarzać, ale zamienić się w małe słońce, a i tak nic nam to nie pomoże...



Przez pierwsze trzy dni tropiciele księżnej świetnie wiedzieli, którędy i w jaki sposób należy nas prowadzić, bo tereny, którymi przechodziliśmy, mnie wydawały się co prawda dzikie i nietknięte ludzką stopą, jednak Rusini twierdzili, że w tych okolicach ciągle się kręcą a to myśliwi, a to bartnicy. I rzeczywiście, kilka razy widziałem cienie przemykające wśród drzew, a na zawołania naszych tropicieli cienie te wychodziły, okazywały się poddanymi Ludmiły i biły czołami przed swoją panią. Czwartego dnia wjechaliśmy na obszar, który już wyraźnie niepokoił naszych przewodników. Tym razem jechali oni wszyscy na czele pochodu i kilkakrotnie zatrzymywali się oraz naradzali. Puszcza zamieniała się w mokradła. Las, do tej pory wysoki i gęsty, teraz stał się niższy, a drzewa wyglądały na starsze, jakby chore i miały zdecydowanie bardziej powykrzywiane gałęzie. Zaczęło mocniej śmierdzieć zgnilizną, pomiędzy drzewami unosiły się sine języki mgły, a co gorsza, słońce zasnuły chmury przypominające zmoczone kłębki wełny schlapane inkaustem. Krótko mówiąc: okolica z mili na milę sprawiała coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Nie trzeba było mieć sokolego wzroku, by spostrzec, że żołnierzom podoba się to coraz mniej. Nie trzeba było mieć również wybitnej inteligencji, by dojść do wniosku, że niektórzy z nich chętnie daliby nogę z powrotem do Peczory. Oczywiście nie mieliby powrotu na służbę księżnej, ale najwyżej zaciągnęliby się do jakiejś kupieckiej wyprawy idącej za Kamienie. I w tej chwili zdaje się, że co najmniej kilku z nich było przekonanych, iż jest to całkiem dobry pomysł.

Piątego dnia rano zjawiała się wiedźma i jej dziewczęta. Nie wiem, w jaki sposób trafiły do nas, w jaki sposób znalazły się nagle tuż przy pochodzie, wydawało się, jakby wychynęły z mglistych, sinych oparów snujących się między drzewami. Trzeba przyznać, że na wszystkich wywarły wielkie wrażenie tym niespodziewanym pojawieniem się. Żołnierze również odzyskali nieco humor. O mateczce Oldze krążyły przecież legendy w całym księstwie, a oto ci ludzie mieli okazję zobaczyć ją jako sprzymierzeńca i w dodatku zobaczyć służące jej całkiem apetyczne młode dziewczęta. I pomimo że wychowanek czarownicy wszyscy się bali, to jednak były one ładnymi kobietami i żołnierze nie zamierzali okazywać przed nimi, iż boją się kogokolwiek innego. Wraz z wiedźmą i jej wychowaniami przydreptały dwa osły objuczone workami. Bardzo byłem ciekaw, co może znajdować się w tych pakunkach...

Stara czarownica powiedziała do mnie tylko jedno zdanie: „Przygotuj się, bo zabieram cię wieczorem w podróż”. Oczywiście świetnie rozumiałem, że chodzi tu o wyprawę do nie-świata czy też świata poza światem, jak ona nazywała to przekłete i przerażające uniwersum. Wiedziałem, iż ta chwila nastąpi, ale wiedza o tym, że nastąpi już niedługo, wcale nie poprawiła mi humoru.

Wcześniej jeszcze od grupy oderwała się jedna postać i podbiegła w naszym, moim i Nataszy, kierunku. Była to Tamara, owa ruda wiewióreczka, którą przeznaczono dla mnie, a którą nieoczekiwanie dla wszystkich ubiegła Natasza. Dziewczyna była ubrana w długi płaszcz, wysokie skórzane buty i czapkę, pod którą skrywała płomieniste włosy. Tylko kilka kosmyków wymykało jej się na czoło i policzki. Uśmiechnęła się do mnie promiennym uśmiechem, a zaraz potem podbiegła i uściskała Nataszę.

– Siostrzyczko! – zawołała.

Natasza oddała jej uścisk, i co ciekawe, w żadnej z tych dziewcząt nie dostrzegłem owej charakterystycznej dla kobiet obłudy, która każe im serdecznie, acz fałszywie obejmować nielubianą konkurentkę i dzielić się pozorowanymi całusami.

– Jaki on jest? – Zerknęła na mnie figlarnie. – Jak ci z nim?

Doceniłem fakt, że z grzeczności mówiła po łacinie. Jak widać, ją też mateczka Olga dobrze wyedukowała. No i widać również, że z Nataszą miały tę samą nauczycielkę, gdyż mówiły z identycznym akcentem.

– Jest mój – odparła poważnie Natasza, tak jakby to krótkie zdanie wszystko wyjaśniało.

– Och! – Tamara popatrzyła najpierw na nią, potem na mnie i chyba w jej wzroku dostrzegłem zarówno zazdrość, jak i uznanie.

Zaraz potem uśmiechnęła się znowu i zatarła rękę.

– Jakżeż jestem ciekawa, co się zdarzy! – zawołała. – Jak myślisz, zabijemy dzisiaj kogoś? A może jutro?

– Może kogoś, a może coś – odparła Natasza. – Oby...

Człowiek taki jak ja, który wiele w życiu widział (pomimo iż nie wskazywałyby na to jego wiek), nie dziwi się zbyt często. Ale jednak dwie młode, ładne i niewinnie wyglądające dziewczyny rozmawiające o tym, kogo dzisiaj zabiją, budziły we mnie uczucie, jak by to ująć... zaciekawienia.

Zbliżyły się do nas pozostałe dziewczęta, każda z nich objęła i ucałowała Nataszę, każda też grzecznie i skromnie spuszczać oczy, przywitała się ze mną. I tylko Tamara cały czas popatrywała na mnie z jakimś figlarno-rozbawionym wyrazem twarzy.

– Wiem, że ona ci się podoba – stwierdziła Natasza później, kiedy szykowaliśmy się już do wieczornego postoju. Ale ton miała raczej smutny niż gniewny.

– Kto, Nataszka? – zapytałem.

I naprawdę nie udawałem niezrozumienia, bo pochłonięty

byłem całkowicie czym innym, a mianowicie skoncentrowany na tym, by uciszyć mój umysł tak, aby wszystkie zmysły uległy nadzwyczajnemu wyostrzeniu. Poza tym, przyznam wam szczerze, mili moi, diablo się obawiałem podróży do nie-świata. Zawsze w czasie takiej eskapady jestem całkowicie bezbronny. Zarówno w przerażającym świecie poza światem (jak nazywała go wiedźma), jak i w świecie rzeczywistym, w którym moje ciało znajduje się w stanie letargu i może doznać krzywdy od każdego, kto zechciałby je zaatakować. A poza tym podróż do nie-świata wiąże się z bólem. Zawsze i bez wyjątków. Ten ból jest tak zdumiewający, że kiedy wydaje ci się, iż większego już nie ma i nie może być, wtedy nadchodzi niczym sztorm ból jeszcze większy. I trzeba sobie z nim poradzić, by wypełnić misję lub po prostu by przeżyć. Gdyż nie-świat pełen jest istot, które chętnie by zapolowały na kogoś, kto ujawnił swoją obecność i odsłonił swoje słabości.

– Tamara – odparła.

Spojrzałem na nią.

– Tamara? Ach, Tamara... Jest ładniutka, to prawda.

– Ma krzywe zęby. I mniejsze piersi ode mnie.

Przyznam, że chociaż Tamara uśmiechała się do mnie, to za nic w świecie nie przypominałem sobie, by miała krzywe zęby. A małe piersi? No cóż, żadna z dziewcząt wiedźmy nie miała kształtów bujnych niczym Pomona. Jeśli jednak Natasza (która pewnie nie raz widziała Tamarę nago) mówiła, że tamta ma mniejsze piersi od niej, to pewnie wiedziała, co mówi. Albo była złośliwa. Jedno z dwojga.

– Nataszka, jesteś najpiękniejsza nie tylko dlatego, że po prostu jesteś najpiękniejsza, ale też dlatego, że jesteś moja i chcę tylko ciebie – powiedziałem, obejmując ją.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Bo powiedziałeś to jakoś bez żaru...



Westchnąłem ciężko.

– Nataszka, za chwilę będę musiał przejść do nie-świata z wiedźmą u boku, której zamierzeń ani motywów nie znam. W związku z tym nie wiem, czy przeżyję to doświadczenie... Więc wybacz, że mam kłopoty z żarliwym mówieniem o twojej urodzie.

Ściągnęła usta, ale zaraz potem rozpogodziła się.

– Wiem, wiem... Nie bój się, wydaje mi się, że raczej przeżyjesz. Naprawdę bardzo w to wierzę. – Przytuliła się do mojego ramienia i ścisnęła mnie z całą mocą.

Jak się domyślicie, mili moi, jej zapewnienia nie poprawiły mi humoru tak, jak Natasza spodziewała się, że mogą go poprawić. Była bardzo szczerą i chyba nawet można powiedzieć: beztroską w swojej szczeroci. Ale czyż takie zachowanie nie było lepsze niż puste obietnice całkowitego bezpieczeństwa? Od początku wiedziałem, że będę musiał w najbliższym czasie uważać, niczym mysz rzucona do gniazda węży, lecz teraz, po tym, co powiedziała Natasza, postanowiłem być jeszcze ostrożniejszy niż ostrożny. Oczywiście przezorność nie mogła mi spętać nóg i przeszkodzić w nieustępliwości i męstwie. Bo tak to właśnie jest w zawodzie inkwizytora. Ciągłe wybory pomiędzy rozwagą a odwagą...

– I ja mam taką nadzieję – rzekłem lekkim tonem. – Bo nie zrobiłem jeszcze z tobą tego wszystkiego, co zrobić chciałem. – Oddałem jej uścisk i pocałowałem prosto w usta. – A teraz życz mi szczęścia, bo idę do twojej wścieklej czarownicy.

Odsunęła się ode mnie raptownie.

– Chyba nie myślisz, że cię zostawię? – Spoglądała ze zdziwieniem i oburzeniem.

– Wiedźma powiedziała: „Masz przyjść sam” – odparłem.

Oczywiście, że wolałbym, aby w takiej chwili, chwili tak strasznego zagrożenia życia znajdował się przy mnie ktoś życzliwy. Ktoś, kto w razie czego będzie potrafił osłonić moją

pozbawioną duszy fizyczną powłokę i sprawić, że będę miał do czego powrócić.

– Nie obchodzi mnie, co gada wiedźma – warknęła Natasza. – Chodź i nie bój się...

Cóż, miałem się nie bać, ponieważ byłem eskortowany przez niemające nawet dwudziestu lat dziewczę. Niech i tak będzie.

Specjalnie z myślą o wiedźmie rozbito duży skórzany namiot, przed którym stał żołnierz oparty o drzewce włóczni. Namiot znajdował się daleko, kilkaset kroków od reszty obozowiska. W normalnych warunkach nie byłoby to ani zwyczajne, ani bezpieczne, ale my nie mieliśmy do czynienia z normalną sytuacją i też schronienie nie było zajęte przez zwyczajnego lokatora. Strażnik, o dziwo, nie wpatrywał się bezmyślnie w jeden punkt, nie przysypiał ani nie dłubał patykiem w zębach, jak mieli to nader często w obyczaju ruscy wartownicy, lecz rozglądał się wokół. Sprawiał wrażenie czujnego. Kiedy tylko nas zobaczył, odstąpił o krok.

– Mateczka czeka – oznajmił z szacunkiem w głosie.

Odgarnąłem zasłonę przy wejściu, a potem jeszcze jedną, tym razem nawet szczelniejszą. W środku było niemal całkiem ciemno. Jedynie w przeciwległym kącie żarzył się na czerwono punkcik, tak jakby końcówka patyczka wyjętego z ogniska.

– I co dalej? – spytałem w mrok.

Obok ognika pojawiła się poświata, która potem zamieniła się w blask olejowej lampy. Zobaczyłem, że obok tej lampy siedzi wiedźma, która zdejmuje z niej właśnie klosz.

– Miałeś przyjść sam, psie – stwierdziła nieprzyjaznym tonem.

– On już nigdy nie będzie sam – odparła Natasza, zanim w ogóle zdążyłem się odezwać.

Starucha milczała przez chwilę.

– Ach, młodzi – rzekła wreszcie, tym razem bardziej zamyślona niż rozzłoszczona. – Jeszcze myślą, że słowa „nigdy” oraz „zawsze” są prawdziwe w naszym świecie.

Nie skomentowałem tego, co powiedziała, lecz pomyślałem, że przecież jeszcze kilka dni temu miałem tę samą smutną, a wynikającą z doświadczenia obserwację.

– Chodźcie i siadajcie obok mnie – dodała.

Zbliżyliśmy się

– Rozbierz się do naga – rozkazała.

– Do naga... – powtórzyłem.

Spoglądała na mnie w milczeniu wzrokiem, w którym nie było ani zdenerwowania, ani nacisku. Po prostu obojętnym. Tak głąz mógłby się wpatrywać w żabę, która przycupnęła obok niego.

Nie wstydzę się swojego ciała, gdyż wszystko, nawet nagość, może być orężem w ręku inkwizytora. Obawiałem się jedynie bezbronności. Oto miałem odłożyć kordelas, zdjąć kolczugę, potem pozbyć się każdego skrawka odzieży. Jakże łatwo będzie mnie wtedy skłuć sztyletem lub ciachnąć ostrzem. Z drugiej strony czy gdyby wiedźma chciała wyrządzić mi krzywdę, to uciekałaby się do podobnych metod? Jej orężem była przecież magia, a nie noże. A poza tym, kiedy przebywam w nie-świecie, to i tak jestem całkowicie bezbronny, niezależnie od ekwipunku, jaki mam na sobie. Równie dobrze mógłbym być odziany w płytową zbroję i obwieszony orężem, a nie dałoby mi to nic w konfrontacji z człowiekiem ze szpilką w dłoni. Dlatego zacząłem się rozbierać, zrzuciłem buty, zdjąłem zbroję, odłożyłem broń. Po chwili stałem nagi, jak Pan Bóg mnie stworzył.

– Dobrze ci wybrałam, co, Nataszka? – Wiedźma przyglądała mi się wzrokiem taksującym i jednocześnie rozbawionym.

– Mam stać? Mam usiąść?

– Połóż się na plecach, wyprostuj nogi i podciągnij ramiona pod głowę – nakazała.

To było jeszcze gorsze. Czyż nie jest to pozycja, która najbardziej naraża człowieka na atak? Ba, nie tylko człowieka! Nawet zwierzęta, dzikie czy domowe, wystrzegają się, by nie pokazywać brzucha, a jeśli decydują się coś tak śmiałego uczynić,

świadczy to o wielkim zaufaniu i wielkim poczuciu bezpieczeństwa. Ja nie miałem do wiedźmy nawet uncji zaufania, więc o poczuciu bezpieczeństwa nie mogło być mowy. Owszem, towarzyszyła mi Natasza, lecz doskonale wiedziałem, że pomimo aury, jaką stworzyła czy stworzono wokół niej, dziewczyna nie jest wszechmocna. Zwłaszcza gdyby doszło do konfrontacji z czarownicą, która ją wychowała i wszystkiego nauczyła. Ale cóż było robić? Skoro zgodziłem się na współpracę z wiedźmą i skoro przyszedłem tutaj, nie mogłem się wycofać. No cóż, może powiedzmy ściślej: mogłem. Gdyż człowiek wolny zawsze ma wybór. Oto jest łaska i oto jest dar, jaki otrzymaliśmy od Boga Wszechmogącego. Ale jeśli dokonamy wyboru niewłaściwego, to kolejny wybór może już dotyczyć tylko tego, gdzie i w jaki sposób chcemy umrzeć (a czasem nawet tej możliwości nam nie pozostawiają). Czy Ludmiła kazałaby mnie zabić, gdybym naraził na szwank wyprawę, którą podjęła w celu ratowania własnego życia oraz własnego księstwa? A czy wilki mają zęby? Czasem tak sprawy się układają, że jedynym wyborem jest wskoczyć do studni albo poczekać, aż powieszą cię na jej kołowrocie. No więc z dwojga złego ja wolałem wskoczyć do studni, choć nie miałem pojęcia, co znajduje się na dnie.

– No dobrze, Natasza, skoro już przysłaś, to przydad się chociaż na coś, nieposłuszna dziewucho – wymruczała wiedźma.  
– Chodź, pomóż mi, bo to ciężkie.

Usłyszałem z drugiej strony chrapanie, sapanie i chrząkanie, zrozumiałem więc, że cały czas siedział z nami, tylko w milczeniu, ten pokrak, który usługiwał wiedźmie w domu na bagnach, a który, jak widać, przybył tutaj razem z nią. No i zresztą gdzie miałyby być, jak nie ze swoją panią, kiedy walczyła ona o władzę, a może nawet o życie...

Było mi coraz chłodniej. Leżałem na kawałku zniszczonego futra, nie miałem czym się nakryć, czułem, jak wyskakuje mi gęsia skórka, zatrzęsły mną dreszcze. Inkwizytorzy są

przyzwyczajeni, by ignorować niewygodę, ale nasze ciała, cóż, są tylko ciałami i reagują zgodnie z prawami wyznaczonymi przez reguły rządzące anatomią. Przymknąłem oczy i zacząłem równomiernie oddychać, by uspokoić zarówno umysł, jak i ciało.

Ktoś stęknął szczególnie głośno przy moim uchu, a kiedy odchyliłem powieki, zobaczyłem, że ów pokrak, cały zasłonięty i zawinięty w jakieś koszule, szale i czapki, spod których nie było widać nawet skrawka skóry, więc że ten właśnie pokrak ciągnie z trudem ciało nagiego mężczyzny i układa je po mojej prawej ręce.

– A cóż to za diabelstwo? – Postanowiłem zignorować nakazy więdźmy i usiadłem. – Co to ma niby być? – dodałem ostrzejszym tonem.

– Chcesz żyć? – spytała czarownica z ciemności. – To słuchaj, co kaźę robić. Słuchaj mnie, a bezpiecznie wyjdiesz i bezpiecznie wrócisz. Nie posłuchasz, to będziesz miał to, co zwykle, tylko jeszcze duźo trudniej...

Słowa „będziesz miał to, co zwykle” nie napawały optymizmem, zwaźywszy, że zwykle zagrożeniu życia towarzyszył przeraźający strach oraz ogłuszający ból. A jak się obawiałem, groźba dotyczyła nie tylko ziemskiej powłoki, lecz i duszy.

– Miły mój, musisz uwierzyć – dobiegł mnie głos Nataszy. – Stanie się, co stać się musi, abys był bezpieczny i abys wrócił do mnie ten sam i taki sam, jak odszedłeś...

No cóż, te słowa miały być uspokajające i w jakimś sensie takie były, chociaż całe zdanie jednak brzmiało również nieco podejrzenie. Co miałem jednak robić? Położyłem się z powrotem, a ów sapiący pokrak przyciągnął martwe ciało bliżej i częściowo oparł je na mnie. Skóra tego mężczyzny była jeszcze ciepła, więc musiano zabić go niedawno. Kim w ogóle był? Skąd się tu wziął? I nagle jego głowa przechyliła się, a ja poczułem ciepły oddech wydobywający się z jego ust, wyczułem też bicie serca.

– Na miecz Pana, on jeszcze żyje! – krzyknąłem.

– Leż spokojnie! – syknęła wściekle wiedźma tuż przy moim uchu.

W jaki sposób znalazła się koło mnie?! Jej oczy zapłonęły czerwienią, widziałem twarz ściągniętą gniewem.

– Oczywiście, że żyje! Jakże miałyby nie żyć? Przecież wtedy sprawy nie działałyby tak, jak działać powinny.

Obróciła głowę w ciemność.

– Szybciej, Natasza! – rozkazała niecierpliwie.

– Oj, już, już, bo ciężki jest – usłyszałem głos Nataszy.

I zaraz potem obie ułożyły częściowo na mnie, częściowo obok mnie drugiego mężczyznę. Ten również żył i nie tylko oddychał, ale nawet charczał. Śmierdział zastarzałym brudem, piwem i uryną.

Ujrzałem w mroku lśnienie ostrza. To w ręku czarownicy pojawił się nóż. Chlasnęła tym ostrzem i rozcięła żyły mężczyznom, którzy na mnie leżeli. Poczułem żelazisty zapach krwi i poczułem, jak spływa na mnie gorąca fala... W jakiejś sytuacji znalazłem się ja, dobry chrześcijanin i prawowierny inkwizytor? Oto tkwiłem tu nagi i bezbronny niczym niemowlę, przywalony dwoma konającymi ludźmi, których krew spływała mi na twarz, na brzuch, na pierś i na genitalia, oto byłem poddawany jakiemuś parszywemu rytuałowi czarnej magii i nie wiedziałem, co robić. Czyż miałem wyskoczyć z krzykiem oburzenia lub wręcz rozprawić się z wiedźmą? A czy uratowałbym w ten sposób życie tych dwóch? Czy dzięki temu wygrałbym wojnę, jaką Ludmiła wytoczyła demonicznym pomiotom? Czy ocaliłbym własne życie oraz życie Nataszy? Odpowiedź na wszystkie te pytania brzmiała: nie. A więc wybór znowu był tak naprawdę zdumiewająco prosty. Obrzydliwy, jednak prosty. Należało iść dalej. A raczej lepiej powiedzieć, odwołując się do poprzedniej myśli: należało cały czas spadać w głąb owej czarnej, smrodliwej studni. Licząc, że na dnie

pozostawiono nagrodę, a nie kamienie, o które roztrzaskam sobie łeb.

Nagle ujrzałem tuż przed sobą ściągniętą, zastygłą niczym okrutna maska twarz wiedźmy.

– Idziemy, psie! – Wpatrywała się we mnie oczami, które wydawały się ogromne niczym u sowy, tyle że mieniły się odcieniami czerwieni.

– Co mam robić? – zapytałem, sam słysząc bezradność we własnym głosie.

– Rób to, co robisz zwykle – rozkazała.

Położyła dłonie na mojej piersi i przez chwilę jej twarz wykrzywił uśmieszek.

– Ładne runy napisała ci Natasza. Mocne i zgrabne – pochwaliła.

– Staralam się – dobiegł mnie gdzieś z tyłu głos Nataszy.

– Dalej, psie! Szybciej, bo czasu szkoda. – Starucha znowu obróciła na mnie ostry wzrok.

Dziwne, że w obecności tej parszywej czarownicy oraz przykryty ciałami umierających ludzi miałem rozpocząć modlitwę do naszego łaskawego Pana, która to modlitwa pozwala mi dzięki wrodzonym umiejętnościom przenieść się do nie-świata, zdegenerowanego odbicia naszego uniwersum, zamieszkanego przez istoty nienawidzące życia. Rozpoczęcie podróży zawsze wymaga skupienia i koncentracji, wielkiego zaangażowania ducha i myśli. Sprzyja mi w tym modlitwa.

– *Ojcze nasz, któryś jest w Niebie, święć się imię Twoje...* – zacząłem wolno i z namaszczeniem.

Obraz powoli zacierał się przed moimi oczami. Wszystko zdawało się przemieszczać, jakby ten właśnie świat był zaledwie malowidłem naniesionym na falujący aksamit. Zaczynałem czuć, że staję się lekki, tak jakbym mógł bez trudu oderwać się od ziemi, jakbym mógł unieść się niczym piórko poderwane podmuchem powietrza. Jakbym mógł wirować w tym powietrzu,

unosić się coraz wyżej i wyżej...

– ...i pozwól nam, byśmy nie wybacжали naszym winowajcom...

Czułem ciepłą krew płynącą po całym ciele, tak jakbym kąpał się w jakichś demonicznych termach. Ta krew żyła i pulsowała, kładła się na mnie i otulała mnie kleście, jakby była nie cieczą, ale gęstą masą, wciąż zmieniającą się i dopasowującą do moich kształtów.

I nagle znalazłem się już pod dachem namiotu. Nie istniał dla mnie mrok, a w każdym razie nie był on żadną przeszkodą. Widziałem wszystko tak wyraźnie, jakbym obserwował otoczenie w krystalicznym powietrzu i świetle słonecznego dnia. Widziałem własne ciało otoczone pulsującą masą, chronione przez nią i niemal spod niej niewidoczne. Widziałem również tych dwóch mężczyzn, którzy posłużyli wiedźmie, by wspomóc moją podróż. Postrzegałem ich jako dwa wijące się w trwodze i boleści kształty, bryzgające wokół fontannami czarnego szlamu. I dostrzegłem również wiedźmę. Wyglądała dokładnie tak samo jak w świecie rzeczywistym, co nie mogło być prawdą. Nie-świat pozwala zobaczyć prawdziwą istotę rzeczy, przeniknąć magiczne bariery, odsunąć magiczne zasłony i obnażyć prawdę, kiedy jest ona okryta skorupą kłamstwa. Pozwala na to niemal zawsze, chyba że ktoś jest tak silny, iż potrafi nawet w nie-świecie stworzyć iluzję przysłaniającą jego prawdziwe oblicze. Jak więc miałem okazję po raz kolejny się przekonać, wiedźma była silna. Ta siła mnie cieszyła, gdyż teraz dotyczyła mojego sprzymierzeńca. Ale ta siła również mnie martwiła, ponieważ miałem graniczące z pewnością przeświadczenie, iż kiedyś los postawi nas nie obok, ale naprzeciw siebie.

– Idź naprzód, psie – dobiegł mnie jej głos. – Patrz, daję ci smycz, byś mógł wrócić...

Wokół szyi zaplotła mi się srebrna, połyskująca lina, której drugi koniec tkwił w dłoni wiedźmy. Nie było to jednak upokarzające, lecz zapewniające bezpieczeństwo. Doskonale to



rozumiałem. Przeniosłem wzrok na Nataszę. Spoglądała na mnie z niepokojem, smutkiem i troską. Ale patrzyła nie na mnie unoszącego się pod dachem, lecz na moje bezwładne, pogrążone w letargu i bezsilne ciało.

– Wracaj do mnie, mój miły – szeptała. – Wracaj do mnie...

Tu, z poziomu nie-świata, widziałem ją w nieco innej postaci. Była wyższa i miała twarz tak jasną, że wyglądała niczym wykuta z lodu. Jej włosy były czasami srebrne, a czasami połyskiwały odcieniem zimnego błękitu. Z oczu Nataszy spływały łzy, które jednak nie skapywały na ziemię, ale podrywały się w powietrze niczym srebrne trzmiele o pękatych odwłokach i migoczących niebieskością skrzydłach. Te trzmiele frunęły niczym strzały i wbijały się wprost w moje serce. Czułem, że napełniają mnie siłą i spokojem...

– Biegnij, psie! – rozkazała nagłym tonem wiedźma. – Biegnij i wiesz...

Smycz, która okalała moją szyję, zapłonęła przez moment boleśnie parzącym ogniem. Nie miałem o to pretensji do czarownicy. W nie-świecie łatwiej niż łatwo utracić nie tylko kontrolę nad własnym postępowaniem i nad własnymi myślami, ale zdecydowanie zbyt łatwo utracić też najmniejszy nawet ślad własnej woli. Jeżeli nie zostanie się pokonanym i wchłoniętym przez kreatury zamieszkujące nie-świat, to można rozplynać się w samym nie-świecie. Stać się jedną z miliardów kropli składających się na owo przeklęte uniwersum.

Wystrzeliłem wprost w niebo, bez trudu przenikając poprzez ściany namiotu, które dla mojej bezcielesnej woli nie stanowiły żadnej przeszkody. Wiedziałem, doskonale wiedziałem, że od dawna powinien mnie drażnić, nicować, rozrywać i szarpać na strzępy nieznośny, nieporównywalny z niczym ból. Tak jest zawsze, kiedy wchodzę do nie-świata. Męka jest nie do opisanego, a w każdej chwili, kiedy wydaje się, że nie może już być większa, nagle ona większa się staje... Tym razem ból się nie pojawił. Tak

działała zesłana przez wiedźmę magia krwi. Ale nie miałem się co oszukiwać. Ta męka istniała, wiedziałem to teraz bardzo dobrze. Istniała, lecz została skierowana na kogoś innego. Ktoś przyjmował ból należny mnie, abym ja mógł bezpiecznie i skutecznie szybować po nie-świecie. I przyznam, że nigdy nie byłem jeszcze w tak niezwykłej, w tak wygodnej sytuacji, kiedy nie cierpiałem, kiedy nie musiałem rozpraszać męki modlitwą i koncentracją, lecz mogłem spokojnie i rozważnie, mając wszystkie zmysły wyostrzone, badać otaczające mnie uniwersum.

– Musisz znaleźć jego oczy, psie – wyjaśniła wiedźma, a jej głos dobiegł mnie tak wyraźnie, jakby stała tuż obok mnie.

– Oczy?

– Zobaczysz je, lecz one nie zobaczą ciebie. Powinno być czworo, może pięcioro oczu, które strzegą włości Wilka. Musisz wszystkie oślepić.

Pomyślałem, że cóż z tego, iż oślepię jakieś magiczne oczy, skoro zamieszkujące las potwory mają niewątpliwie inne sposoby, by obserwować świat. Może wytresowane zwierzęta, może półdemoniczne istoty przyczajone w drzewach, w liściach, pod gęstą rzęsą zalegającą na trzęsawisku?

– Tylko magiczne oczy zobaczą, że również ja idę do Wilka – wyjaśniła wiedźma, a ja nie zdziwiłem się nawet, że usłyszała moje myśli. A może wcale ich nie usłyszała? Może mówiłem głośno? W nie-świecie ciężko oddzielić złudę od rzeczywistości... – Tylko wtedy, kiedy Wilk nie zobaczy mnie, możemy zwyciężyć.

– A więc po to byłem potrzebny. Żeby go oślepić – powiedziałem. – Dobrze więc, zrobię to.

Przez myśl przebiegło mi podejrzenie, że kiedy już zniszczę magiczne oczy, wiedźma wypuści z dłoni smycz i zostanie tu na zawsze, najpierw zabłąkany, a potem scalony z otaczającym mnie koszmarnym światem w jedno. Nigdy nie zobaczę Bożej światłości...

– Przestań o tym myśleć, psie – usłyszałem ostry, zdecydowany głos czarownicy. – To są naprawdę twoje myśli, ale one będą podsycane i potęgowane, by cię omamić i zwieść. Jeżeli w nie uwierzysz, przepadniesz...

A co niby ma mówić wiedźma, pomyślałem. Przecież zrobi i powie wszystko, abym tylko wykonał jej rozkazy, a potem pfff... puści linę i nigdy już nie trafię do obozowiska, do Nataszy, do własnego ciała. Na pewno lepiej wrócić teraz, kiedy jeszcze mogę to uczynić, kiedy mogę odzyskać ciało. A potem niech się dzieje, co chce. Nawet jeśli zginę w rzeczywistym świecie, to przecież trafię przed najsprawiedliwszy Sąd Pana, a przed Jego obliczem nie muszę się niczego lękać...

– Inkwizytorze! – Głos wiedźmy był zaniepokojony, a ja z rozbawieniem dostrzegłem, że nie nazwała mnie tym razem psem. – Jeszcze nie czas na śmierć i na Sąd Boży. Jesteś odpowiedzialny za Nataszę. Dałam ci ją i dałam cię jej. Ona należy do ciebie, a ty należysz do niej. Tylko od ciebie zależy teraz jej los...

Och, Natasza. Jak bardzo za nią tęskniłem w tym obcym, zimnym i wrogim świecie. Jak bardzo chciałbym zobaczyć jej oczy, jej twarz, poczuć zapach jej włosów, poczuć ciało przylegające do mojego tak mocno, jakby stanowiły jedność.

– Tylko czworo oczu, inkwizytorze – powiedziała z naciskiem wiedźma. – I będziesz mógł wrócić do Nataszy. No, może w najgorszym wypadku pięcioro. To będzie dla ciebie jak zabawa. Jakbyś rozdeptywał ślepe, nieruchome ropuchy skryte w cieniu kamieni...

– Nie rozdeptywałem nigdy ropuch – odparłem urażony i myśl, by odlecieć gdzieś daleko od tego nieprzyjemnego głosu, stawała się coraz bardziej natrętna. Czy smycz, na której trzymała mnie wiedźma, wytrzyma, kiedy ją naprawdę mocno szarpnę?

– Natasza – rzekła z naciskiem wiedźma. – Jeśli zawiedziesz, skrzywdzę ją... Bardzo ją skrzywdzę.

Przez chwilę nie do końca rozumiałem słowa, jakie wypowiedziała, jednak już po chwili dotarły one do mnie wyraźnie.

Zacząłem się modlić, by odzyskać kontrolę nad własnym umysłem, i z chwili na chwilę coraz bardziej mi się to udawało.

– Te oczy – odezwałem się w końcu i wręcz namacalnie poczułem ulgę, z jaką wiedźma przyjęła moje słowa, a raczej fakt, że znowu zacznę mówić z sensem. – One mnie nie zobaczą, prawda?

– Nikt cię nie dostrzeże. Jesteś mocny, piesku, naprawdę mocny. – Wyczułem rozbawienie, ale też nutę szacunku w jej głosie. – Dawno nie widziałam kogoś tak mocnego. Niewielu mogłoby cię dostrzec.

– Ty dostrzegasz...

– Och, ja to co innego...

– No dobrze. – Wzbiłem się nieco wyżej pod ołowiane niebo. – I gdzie te oczy? Jak mam ich szukać? Jak będą wyglądać? Naprawdę przypominają oczy?

– Wybacz, inkwizytorze, ale muszę coś z tobą zrobić – stwierdziła. – To trochę zaboli, więc się nie przestrasz.

Mówiąc to „trochę zaboli”, równie dobrze mogłaby powiedzieć, że Kamienie, te dwutysiącmetrowe góry oddzielające Europę od Azji, są „trochę rozległe”. Bo zabolęło jak diabli. Jakby ktoś przytknął mi rozpaloną blachę do brzucha.

– Wiem, wiem, piesku, że boli – przemówiła łagodnie. – Ale tak być musi. Poza tym i tak boli dużo mniej niż zwykle, prawda?

Ano tak, przynajmniej w tym miała rację. Ból, o którym mnie uprzedziła i który chyba na mnie sprowadziła (miałem nadzieję, że zaraz się dowiem, w jakim celu), był naprawdę niewiele znaczący w porównaniu z męką towarzyszącą zwykle odwiedzinom w nie-świecie. To, co teraz czułem, był to solidny, jednostajny i bardzo nieprzyjemny ból. Ale w żadnym razie nie mogłem go określić mianem monstrualnego cierpienia

narastającego z każdym oddechem i każdą myślą.

– Ten ból będzie malał – rzekła wiedźma. – Każde oślepienie oko spowoduje znaczące jego zmniejszenie. Ba, ból będzie malał również w miarę zbliżania się do któregoś z oczu. Właśnie tak poznasz, czy kierujesz się w dobrą stronę.

– Ból jako busola – rzekłem. – Całkiem interesująca koncepcja. Usłyszałem jej śmiech.

– Leć i szukaj – nakazała. – Jeśli się nie pośpieszysz, mogę stracić możliwość chronienia cię.

Wzdrygnąłem się. Myśl o tym, że do cierpienia spowodowanego magią wiedźmy mogłoby dołączyć to zazwyczaj towarzyszące podróżom do nie-świata, wręcz obezwładniała mnie strachem.

– Nie martw się, inkwizytorze – powiedziała tym razem uspokajającym tonem. – Na razie wszystko idzie jak trzeba. Nie masz się czym niepokoić. Ale musisz działać bez zwłoki.

Tak, to na pewno była racja. Zacząłem więc działać. Nigdy, przenigdy nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem, gdyby wiedźma nie zdjęła ze mnie bólu. Ten, który cierpiałem, ten, który nazwałem busolą, był zaledwie nieprzyjemnością czy niedogodnością w porównaniu z niewymowną męką, jakiej doznawałem podczas wcześniejszych wypraw do nie-świata. A poza tym rzeczywiście zmniejszał się, kiedy po kolei oślepiełem magiczne oczy. Było ich pięć. Pięć szarych kul utworzonych z czegoś na kształt pulsującej galarety z dołączonymi dziesiątkami wijących się nici. A na końcu każdej z tych nici znajdowało się coś na podobieństwo malutkiego, pozbawionego powiek oka. Niszczyłem te twory po kolei, a one rozbryzgiwały się wprost w ołowiane niebo nie-świata, zamieniając się w strzępy, które po krótkim czasie topniały i niknęły.

W tropieniu magicznych oczu w nie-świecie nie przeszkadzał mi ból, ale nie przeszkadzał mi również strach. Nie widziałem bowiem owych zdumiewających, budzących obrzydzenie i lęk

bezkształtnych stworów, które zazwyczaj napotykam, kiedy żeglują po ołowianym niebie niczym uosobienie najczystszej grozy. Tym razem owo niebo, chociaż brudne i przygnębiające, sprawiało wrażenie pozbawionego jakichkolwiek oznak życia. Pustego. Jakby wymiecionego. Czy była to zasługa miejsca? A może czarownicy? A może magii związanej z mokradłami i rządzącym na nich Wilkiem? Oczywiście rzeczywistość przepływającą pode mną postrzegałem w ten dziwny magiczny sposób, w jaki może ją oglądać obserwator z nie-świata. Był to świat podobny do rzeczywistego pod względem ukształtowania, lecz stanowił jednocześnie jego spaczoną, spotworniałą i zdegenerowaną karykaturę. Oczka bagiennych stawów zdawały się rozwartymi paszczami napełnionymi zgnilizną, niektóre drzewa przypominały wyłaniające się spod ziemi zakrzywione pazury, rozmiękła, pełna jadowitych purchli ziemia wydawała się kurczyć i rozpręzać niczym przegniłe płuca jakiegoś wynaturzonego giganta.

Gdyby wyobrazić sobie, że prawdziwy świat pozwolono by namalować obłąkanemu (i przerażonemu swoim obłądem) malarzowi lecącemu na grzbiecie ptaka, to zapewne namalowałyby uniwersum właśnie zbliżone wyglądem do nie-świata.

– Nie domyślą się, że stracili strażników? – zagadnąłem wiedźmę.

– Wilk? Nie zdąży – odparła.

– To wszystkie? – spytałem, kiedy piąte oko zostało rozszarpane na kawałki. – Na pewno wszystkie?

Przez długą chwilę milczała, a potem odrzekła:

– Wszystkie. Czas wracać.

– Może pofrunę dalej? – zaproponowałem, gdyż czułem się wypełniony mocą i energią. – Może obejrzę jego leże? Jego siedzibę? Czy nie będzie nam wtedy łatwiej?

– Jesteś psem, nie lwem – warknęła. – Wracaj, jeśli nie chcesz

umrzeć.

Te słowa wydały mi się tak nieuprzejme i tak niesprawiedliwe, że zastanawiałem się, czy nie powinienem zerwać smyczy. Być może po prostu poradzę sobie sam i z Wilkiem, i z jego demonicznymi sługami. W końcu byłem zarówno silny, jak i niewidzialny. A jeśli nawet samotnie nie rozgromię całej armii, to chociaż przygotuję pole dla wojsk Ludmiły. Tak, im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej ten pomysł wydawał mi się intrygujący i godny moich niezwykłych, a przecież do tej pory niewłaściwie wykorzystywanych zdolności...

– Natasza, inkwizytorze – rzekła z naciskiem wiedźma. – Chcesz ją zostawić samą? Bez opieki?

Przypomniałem sobie, jak wszyscy wokół boją się Nataszy i że jest ona chyba ostatnią osobą, która potrzebowałaby piastowania, ale o dziwo, ta właśnie myśl przywróciła mnie do rzeczywistości i otrzeźwiła mi umysł.

– Wracam – oznajmiłem. – Ciągnij mocno smycz, wiedźmo, jeśli potrafisz...



Po powrocie z nie-świata choruję tak, jakby mnie otruto. Nie mam sił, by chodzić, by się poruszać, by myśleć logicznie. Wymiotuję z wysiłku i bólu. Jedyne, o czym marzę, czego pragnę i co może mi pomóc, to sen. Zwinąć się w kłębek i zasnąć snem bez snów, spać tak długo, póki ciało oraz umysł nie poczują, że znowu są w stanie udźwignąć ciężar istnienia. Tak właśnie zawsze mają się sprawy po eskapadzie do tego straszego, nieludzkiego uniwersum. Ale tym razem wszystko wyglądało inaczej. Ocknąłem się, czując własne ciało, i nawet nie byłem zmęczony. Może leciutko otumaniony, jak po dniu wypełnionym ciężką pracą, ale też w pewien sposób euforycznie wypełniony siłą, jak ktoś, kto co prawda zmęczył się przy robocie, lecz jest

dumny z tego, że wykonał ją nawet więcej niż solidnie i uczciwie. Zepchnąłem z siebie zwłoki dwóch mężczyzn i wstałem.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie – rzekłem, wykonując nad nimi znak krzyża.

– To nie byli dobrzy ludzie – prychnęła wiedźma lekceważąco.  
– Nie musisz się za nich modlić.

– Jesteś! – Natasza, nie zważając na to, że jestem pokryty zaschniętą krwią, przywarła do mnie całą sobą. – Jesteś, miły mój, jesteś!

Przytuliłem ją, a kiedy poczułem jej oddech na szyi i niespokojnie bijące serce obok mojego, wtedy dopiero zrozumiałem, że naprawdę znalazłem się w domu. I że jestem bezpieczny. Przynajmniej na razie bezpieczny, bo przecież wykonaliśmy dopiero pierwszy krok. I nawet nie wiedziałem, czy jest to krok wystarczająco ważny, by znacząco przybliżyć nas do zwycięstwa.

– Chodź, miły, pomogę ci się umyć. – Natasza wzięła mnie za rękę i poprowadziła do cebrzyka z wodą.

Zacząłem opłukiwać twarz i pierś, a ona w tym czasie mokrym ręcznikiem przemywała mi plecy.

– Czy to było bardzo niezwykle? – zapytała.

– Nie wiesz, jak tam jest, prawda? Jest pusto – odparłem, nie czekając na odpowiedź. – I smutno, i obco, i samotnie, i beznadziejnie. Ale jakaś część ciebie chce jednak tam zostać, tak jakbyś czuła, że jesteś częścią tamtego świata. – Westchnąłem. – I zazwyczaj podróży towarzyszy ogromne cierpienie. Teraz tego cierpienia nie było...

– Było – powiedziała cichutko Natasza.

Milczałem przez chwilę.

– Tak, wiem, było. – Skinąłem wreszcie głową. – Na kogo skierowano to cierpienie? Na tych krwawiących mężczyzn?

– Oni byli potrzebni żywi do twojej ochrony, nie wytrzymaliby aż takiego uderzenia męki – rzekła wiedźma z głębi namiotu.



– Więc na kogo ją skierowałaś? – Wyprostowałem się.

– Poświęciłam własną służkę dla twojej wygody – odparła oschle. – Doceń, co dla ciebie zrobiłam.

– Służkę? – Nie zrozumiałem w pierwszej chwili. – Ach, mówisz o tym sapiącym pokraku. To była kobieta? Nawet nie wiedziałem... nie przypuszczałem, że to kobieta.

– Miała na imię Galina. Gala... – wyjaśniła ze smutkiem Natasza.

– Tak. Szkoda – odparłem, ale dość obojętnie, bo sądziłem, że pewnie teraz ów pokrak ma o wiele lepiej niż za życia. A przynajmniej istnieje dla niego jakaś nadzieja, której w tym życiu już nie miał.

– Idźcie już sobie – rozkazała czarownica zmęczonym głosem. – I kaźcie moim dziewczętom, aby przyszły.

Ubrałem się w milczeniu i wyszliśmy z namiotu czarownicy. Kiedy wchodziliśmy do tegoż namiotu, słońce świeciło naprzeciwko samego wejścia, teraz natomiast znajdowało się daleko ponad lasem po prawej stronie. Ile czasu upłynęło mi na wędrówce przez nie-świat? Na pewno byłem tam dłużej niż kiedykolwiek wcześniej i dotarłem dalej. Czy w jakiś sposób mi to zaszkodzi? Czy nie-świat wszedł we mnie niczym trucizna o przedłużonym działaniu, na pozór i na pierwszy rzut oka niewidoczna i nierozpoznawalna, która jednak niepostrzeżenie zaczyna pustoszyć ciało? Cóż, nawet gdyby tak było, nie sądziłem, bym od kogokolwiek usłyszał odpowiedź. Przekonam się już niedługo, jakie konsekwencje będzie miała ta wyprawa. I czy w ogóle jakieś się pojawią... Objąłem ramiona Nataszy.

– Chyba wróciłem dla ciebie – wyznałem, pamiętając, jak bardzo kusila mnie w pewnym momencie wizja pozostania na zawsze w demonicznym uniwersum i stopienia się z nim w jedność.

Obróciła na mnie wzrok.

– Wiem – odparła.

Położyła mi dłoń na policzku.

– Kiedy już wrócimy do Peczory, zawsze wszystko będzie dobrze. – Zobaczyłem, że jej oczy wilgotnieją. – I zawsze będziemy bardzo szczęśliwi razem – dodała.

– Tak, Nataszka – odpowiedziałem, przytulając ją. – Zawsze...



Następnego dnia nadszedł czas Modesta Dobrynicza. A raczej nieszczęsnej głowy nieszczęsnego tropiciela, który popełnił tak wielki błąd, że nie chciał po dobrej woli pomóc swojej władczyni. I miał ogromnego pecha, iż znalazł się ktoś taki jak Natasza, kto umiał zmusić go do posłuszeństwa. Głowy Modesta nie pokazano żołnierzom, by ich niepotrzebnie nie przerażać. Znajdowała się ona w rękach wiedźmy idącej na czele pochodu. Za staruchą sunęły wszystkie jej dziewczęta, dopiero kilkadziesiąt kroków za nimi szli pierwsi żołnierze. Ludmiła, Andrzej i oficerowie znajdowali się pośrodku tego wojennego orszaku, a ja wraz z nimi. Warto dodać: pieszego orszaku, gdyż wierzchowce zostawiliśmy pod strażą w bezpiecznym miejscu. Tymi ścieżkami, którymi się przedzieraliśmy, zwierzęta iść z nami nie mogły. Pakunki niesione przez osły zostały rozdzielone pomiędzy żołnierzy, a wiedźma w najsurowszych słowach zabroniła otwierania tych worków i kazała obchodzić się z nimi z taką delikatnością, jak gdyby były głowami dmuchawca, z których nie wolno uronić ani jednego pyłku.

– Właściwie powiedziała: „Dbajcie o nie jak o własne jaja, bo jeśli nie zadbacie, ja sama te jaja wam urżnę” – rzekł Andrzej. – Ale porównanie z dmuchawcami wydało mi się bardziej poetyckie.

Mimo woli uśmiechnąłem się.

– Myślę, że porównanie z jajami zostanie jednak lepiej zrozumiane i dzięki niemu nakazy oraz zakazy będą ściślej

przestrzegane – rzekłem.

Byłem zły, że musiałem zostawić Nataszę, ale wiedźma w żaden sposób nie chciała się zgodzić, bym szedł z jej dziewczętami.

– Tylko byś zawadzał – rzuciła wrogim tonem.

Wtedy Natasza pogłaskała mnie po wierzchu dłoni i wzruszyła bezradnie ramionami, a ja cóż miałem zrobić? Posłusznie zająłem wyznaczone mi miejsce obok księżnej.

Głowa Modesta Dobrynicza prowadziła nas przez cały dzień. To nie była łatwa, szybka wędrówka leśną ścieżką. To było przeskakiwanie z wysepki na wysepkę pomiędzy bulgoczącymi kałużami, to było przedzieranie się przez zasieki z połamanymi drzew, to było balansowanie na konarach, chwiejnych, często na pół zgniłych. Wszystko to działo się w przygnębiającym półmroku i wszystko to działo się w prawdziwie plugawym smrodzie. Sądzę, że tego dnia opuściłaby nas połowa żołnierzy, a może i więcej, gdyby nie fakt, że opuścić nas po prostu nie mogli. Żaden z nich nie trafiłby już samodzielnie do Peczory, a byli na tyle mądrzy, by nie wybierać samotnego i beznadziejnego przedzierania się przez trzęsawiska, gdyż wiedzieli, że zakończyć się ono może tylko w jeden sposób: śmiercią. A tutaj, w zbrojnym pochodzie, w obecności czarownicy, księżnej i przyjaciół, mogli przynajmniej łudzić się nadzieją, że z tej przygody wyjdą jednak cało. Tak jak mówiłem wcześniej, czasem człowiekowi nie zostaje nic poza lotem w głąb studni. Bo cofnąć się już nie można.

Na noc zatrzymaliśmy się na czymś w rodzaju wysepki położonej pośrodku gąszczy poskręcanych konarów wyrastających z błotnistej mazi pokrytej burozieloną rzęsą. Wiedźma wcześniej schowała głowę Dobrynicza do kosza, by nie niepokoić i nie przerażać żołnierzy tym bluźnierczym, czarnoksiężskim zjawiskiem. Żołnierze próbowali rozpalić ogień, ale nie udało im się, więc całą noc spędziliśmy w smrodliwej,

wilgotnej ciemności pełnej dziwnych odgłosów. Było to nie tylko bulgotanie i chlupanie mokradeł, sprawiające wrażenie, jakby coś co chwila wylańało się z toni i zaraz się w niej pogrążyło. Były to również jękliwe, zawodzące odgłosy dobiegające gdzieś z boku i z góry, rozlegały się także dziwnie niepokojące szelesty, jakby coś pełzło z wysiłkiem przez maź zasnutą zgnikłymi konarami, słyszeliśmy też przenikliwe gwizdy i świsty dochodzące to stąd, to stamtąd, czasem przesywające powietrze, jak gdyby były strzałami posyłanymi ze wschodu na zachód i z północy na południe.

– To tylko zwierzęta, to tylko zwierzęta – szeptał do samego siebie Andrzej w przerwie pomiędzy modlitwami.

W nikłym blasku olejowej lampki widziałem jego zsiniałe usta. Natasza przytulała się do mojego ramienia (tym razem pozwolono nam być razem) i smacznie spała. Przyznam, że właśnie ten jej spokojny, ufny sen podnosił mnie na duchu. Bo jeżeli Natasza nie miała żadnych złych przeczuć, jeżeli nie obserwowwała otoczenia, czujna niczym dziki ptak, to mogło oznaczać, iż doskonale wiedziała, że nic nam nie grozi. Chociaż równie dobrze mogło to oznaczać, że bardzo, ale to bardzo myli się w ocenie...

Rano, kiedy nad mokradłami nie tyle wzeszło słońce, ile niebo rozjaśniło się z czerni do ołowianej, smutnej szarości, zobaczyliśmy, że brakuje trzech żołnierzy. Nikt nie wiedział, co ani kiedy się z nimi stało. Jak domyślacie się, mili moi, owo wydarzenie nie poprawiło humorów pozostałym poddanym Ludmiły.

– Dzisiaj wszystko się rozstrzygnie – zapowiedziała mocnym głosem księżna, by podtrzymać ich na duchu. – A każdy z was dostanie dwa razy większy żołd, niż obiecałam wcześniej. I dostaniecie też zwolnienie ze służby, jeśli tylko będziecie chcieli. Staniecie się bogatymi ludźmi – dodała z szerokim uśmiechem.

Przyznam, że upiornie wyglądał ten uśmiech na zmęczonej, ubłoconej i poszarzałej z wyczerpania twarzy. Ale słowa Ludmiły wlały otuchę w serca jej poddanych. A nawet jeśli nie wlały otuchy, to chociaż pozwoliły im na chwilę przenieść się do świata marzeń, do wyobrażenia o wspaniałej przyszłości, w której byli szanowani, wolni oraz cieszyli się dostatkiem.

A zaraz potem wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, że wiedźma posiada specjalną magiczną maść, która dodaje sił oraz zapewnia szczególną ochronę temu, kto zostanie nią posmarowany. Kto pierwszy tę plotkę rozpuścił? Tego nie wiedziałem. Ale od początku doskonale zdawałem sobie sprawę, iż było to działanie celowe. Niemal wszyscy żołnierze pragnęli zostać wzmocnieni owym czarem, lecz starucha krygowała się i wymawiała, mówiła, że maści ma bardzo mało i że chociaż naprawdę chroni ona przed uderzeniami, to jednocześnie dodaje aż za dużo śmiałości i tyle odwagi, iż chyba żaden z nich aż takiej mężności nie potrzebuje, bo przecież są zwykłymi żołnierzami, a nie bohaterami jak synowie Gunderyka. Łatwo się domyślić, mili moi, iż podobne słowa tylko roznieciły ciekawość wojaków i wzmogły ich pragnienie, by właśnie oni zostali wybrani przez wiedźmę. A sama mateczka Olga wyglądała tutaj i teraz niczym pocziwa przekupka, łagodna i uśmiechnięta, dbająca, by wszyscy byli zadowoleni i by nikt nie czuł się niedoceniony ani poszkodowany. Żołnierze tłoczyli się obok niej (choć jednak szacunek pozostał na tyle duży, iż to „obok” oznaczało, że trzymali się kilka kroków dalej) i przekrzykiwali, któremu z nich najbardziej należy się wyróżnienie.

– Może to jest dobry pomysł taka ochrona, jak sądzicie? – zagadnął mnie nieśmiało Andrzej.

Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem.

– Przyglądajcie się uważnie tej zaciętej walce o prawo do noszenia koszuli Dejaniry – powiedziałem.

Pobladł.

– Nie sądzicie przecież...

– Sądzę, że ci, których wybierze wiedźma, o, wybaczcie, mateczka Olga – poprawiłem się szyderczo – będą mieli szczęście, jeśli dożyją do wieczora. Co zresztą nie oznacza, iż nie zapamiętamy ich jako bitewnych bohaterów – dodałem.

Nie musiałem być wytrawnym inkwizytorem, by wyczuć, że ta maść jest produktem czarnoksięskiej magii. W moich oczach, oczach prawowiernego chrześcijanina, jawiła się ona niczym czarny szlam. A w pewien złowrogi i zdumiewający sposób był to żywy szlam. Tak jakby na potrzeby stworzenia owej maści rozgnieciono obłę, oślizłe i miękkie czarne robaki, które jednak w zdumiewający sposób przeżyły. I mimo rozbicia na miazgę teraz ruszały się i pulsowały jak jeden bluźnierczy, zdegenerowany organizm.

– Jak to paskudztwo działa? – szepnąłem w stronę Nataszy.

– Pomaga w walce – odparła również szeptem. – Naprawdę pomaga. Sam zobaczysz.

Wiedźma nasmarowała czoła i skronie pięciu wybranym żołnierzom, którzy jako pobłogosławieni w ten sposób chełpili się i puszyli przed towarzyszami. Oni właśnie, ta piątka, zajęli teraz miejsce na samym czele.

Okolo południa wyszliśmy pierwszy raz od dawna na wolną przestrzeń. Było to rozległe, podmokłe karczowisko, na którym pnie sterczały z bajora, ścięte do wysokości męskich kolan, niczym armia jakichś przedziwnie skarłałych żołnierzy. Poręba miała dobrych kilkaset stóp długości i niewiele mniej szerokości. Na samym jej przeciwległym końcu ujrzałem sylwetki. Zmrużyłem oczy. Należały do ludzi czy zwierząt? W oparach mgły unoszących się nad karczowiskiem trudno było odróżnić szczegóły. Ruszyliśmy w rzadkim błocie sięgającym ponad kostki, ale mając pod nogami twardą ziemię, a nie bagnisty, zdradliwy muł.

– Wydają nam bitwę na naszych warunkach – powiedziałem

zamyślony. – Na niemal otwartym polu. Zamiast atakować z zasadzki, w nocy, zamiast wybijać nas jednego po drugim, oni decydują się na wojnę. Czemu?

– Bo ich wódz chce być człowiekiem – odparła Natasza. – Tak sądzę.

Może i tak. Może w jakiś sposób wydawało mu się nobilitujące, że staje z otwartą przyłbicą na wolnym polu. Że nie kryje się i nie razi z ukrycia jak dzikie zwierzę. No cóż, ambicja i duma są często złymi suflerami. Przecież my, ludzie, od wieków i na wielu frontach prowadzimy coś, co można nazwać walką partyzancką. Czyż nie w wyniku takiej właśnie podstępnej batalii zniszczono trzy rzymskie legiony w Lesie Teutoburskim? I nie był to dla Germanów powód do hańby, lecz wręcz przeciwnie, do wielkiej chwały, a Arminiusz, zwany inaczej Hermanem, na wieki pozostał ich wspominanym w legendzie oraz pieśni bohaterem.

– Ich wódz – powtórzyłem. – Nie ma go tam, prawda?

Potrząsnęła głową.

– Czeka i obserwuje. Patrzy, czy przedrzemy się przez pierwszą linię jego wojowników.

– A przedrzemy się?

Ścisnęła moją dłoń.

– Mateczka przygotowała dla nich niespodzianki, o jakich nigdy nawet nie śnili – powiedziała dziwnie rozbawionym tonem.

Cóż, bardzo byłem ciekaw tych niespodzianek. Nie tylko jako członek wyprawy, którego życie zależało zarówno od niego samego, jak i od zdolności pozostałych towarzyszy. Obserwowałem i zamierzałem obserwować wiedźmę również jako inkwizytor, jako człowiek, który musi poznawać sekrety wroga, by kiedyś móc tego wroga pognać i zwyciężyć.

A tymczasem wiedźma kazała zebrać tajemnicze worki niesione przez żołnierzy i otworzyła je. Wszyscy poddani Ludmiły starali się trzymać jak najdalej, jakby spodziewali się, że

zaraz z tych worków, niczym z puszek Pandory, ulecą wszelkiego rodzaju zarazy, zmyry i plagi gotowe, by unicestwić nas wszystkich. Ale w workach nie było nic poza pieczołowicie owiniętymi w skóry glinianymi butlami. Wiedźma wyjęła jedną z nich i uniosła ją wysoko nad głowę. Zaczęła tłumaczyć coś żołnierzom, a ja widziałem, jak ich twarze powoli się rozjaśniają, zarówno pełne podziwu, jak i bitewnej ochoty. Potem starucha obróciła się do mnie.

– Grecki ogień – wyjaśniła ze złośliwym uśmiechem.

– Prawdziwa receptura dawno zaginęła – odparłem, ale i tak byłem pod wrażeniem, gdyż każda łatwopalna substancja mogła nam pomóc w walce i wszcząć panikę wśród wrogów. Oczywiście pod tym tylko warunkiem, że to właśnie nieprzyjaciel stanie w płomieniach, a nie rzucający owym pociskiem.

– Zaginęła, mówisz... – Skrzywiła się. – Niech ci będzie, że zaginęła... Ta pali się jednak tak samo pięknie.

– Nawet w wodzie?

– W wodzie najlepiej... – odrzekła.

Worki pełne butelek dostali nasi tropiciele. To oni przecież musieli mieć silne ręce i bystre oczy, to oni również byli lekko odziani, a jak wiadomo, ani łuczników, ani miotaczy nie powinno się obciążać pancierzami. Muszą być zwinni i szybcy, by dobrze wykonać swe zadania.

Podchodziliśmy coraz bliżej i coraz wyraźniej widziałem już czekające na nas postacie mieszkańców bagien. Były to wilki. Stado może stu, a może nawet więcej wilków, wyjących, szarpiących się, warczących. Za nimi stało kilka, przynajmniej sześć niedźwiedzi, a obok nich sylwetki przypominające ludzkie, ale albo odziane w futrzane kapoty, albo porośnięte futrem. To nie był przyjemny widok. Wrogów było wielu, zbyt wielu na naszą garstkę zbrojnych. A przecież oni tworzyli zapewne zaledwie pierwszą straż. Ich wódz w otoczeniu, jak sądziłem, najbardziej elitarnych wojowników czekał, jak twierdziła



Natasza, gdzieś poza zasięgiem naszego widzenia.

– Naprzód, dzieci Gunderyka! – krzyknęła wiedźma wielkim głosem, wskazując dłonią skowyczące i tłoczące się wilki.

Pięciu śmiałków, którzy otrzymali od wiedźmy błogosławieństwo czarnoksięskiej maści, pobiegło ciężkim truchtem w stronę linii wroga. Zauważyłem, że wiedźma i jej dziewczęta ustawiły się w krąg, wzięły się za ręce i zaczęły śpiewać jakąś dziwną, pozbawioną słów melodię głosami tak wysokimi, że zdawałoby się, iż docierają niczym igły do każdego zakątka duszy, serca oraz umysłu.

Pięciu wojowników biegło cały czas niestrudzenie i wydawało się nawet, że szybciej niż na samym początku. Wilki runęły w ich stronę niczym szara fala przyboju. Nie pięć, dziesięć czy dwadzieścia. Do ataku ruszyły wszystkie. Pędziły szeroką ławą i wiedziałem, że samą swoją masą zgniotą, zdeptają. Żołnierze rozdzielili się. Biegli teraz każdy w odstępach przynajmniej trzydziestu stóp od drugiego. I kiedy zobaczyłem ten manewr, najwyraźniej nakazany im przez wiedźmę, wtedy zrozumiałem również, jaką rolę mają odegrać. Nie byli bynajmniej szturmowcami, czy nawet berserkerami. Byli po prostu branderami. I tak jak owe statki wypełnione beczkami ze smołą i wpływające pomiędzy flotę wroga, i oni mieli właśnie zginąć tam, dokąd pobiegli. I mieli tylko jedno zadanie: zabrać ze sobą jak najwięcej nieprzyjaciół. A może zresztą mieli jeszcze kolejne: pozwolić, by czarownica dokładnie poznała siłę przeciwnika, by przyjrzała się, jak wrogowie walczą i jak zabijają, i gdzie znajdują się ich słabe punkty.

Ława wilków dopadła żołnierzy i tak jak się spodziewałem, zwała ich, wdeptała w błoto oraz nakryła wyjąłym, warczącym, rozedrganym dywanem.

I wtedy pod niebo wystrzeliła pierwsza eksplozja ognia. Była niczym wybuch beczki, a może nawet lepiej powiedzieć: kilku wielkich beczek czarnego prochu. Usłyszałem tylko przerażający

skowyt, jazgot, zobaczyłem pióropusze ognia i smolisty dym, a zaraz potem wystrzeliły cztery kolejne wybuchy. Wszyscy staliśmy jak oniemiaли wśród wciąż rosnącego, świdrującego w uszach śpiewu czarownicy i jej dziewcząt. Nie widzieliśmy nic poza oparem gęsto zasnuwającym pole bitwy. Słyszałem, jak żołnierze się modlą, zobaczyłem, jak kilku pada na kolana, widziałem, jak jeden płacze, rozcierając łzy po brudnej twarzy. Nagle z chmury dymu wybiegł wilk z płonącym futrem i urwaną łapą, ruszył kilka kroków w naszą stronę, po czym upadł pyskiem w błoto, by zaraz potem zdechnąć w drgawkach.

– Na miecz Pana... – westchnąłem.

Gdyby tych żołnierzy wypchać czarnym prochem od gardła aż po pięty, może wtedy efekt byłby podobny do tego, który zobaczyliśmy. Ale przecież oni nie zostali wypchani prochem, a jedynie posmarowani czarnoksięską maścią i poddani następnie działaniu jakiegoś piekielnego zaklęcia o nieznanym mi pochodzeniu. Mateczka Olga miała rację. Bez ludzi Ludmiły nie udałooby się jej przeprowadzić podobnej operacji. Zresztą to był dopiero początek, a kolejni żołnierze mieli już walczyć, nie ginąć niczym ruchome pułapki. I zrozumiałem również, z jakich powodów wiedźma pragnęła, by przywódca tej hordy nie dowiedział się o jej obecności. Bo wtedy zapewne zachowałyby się ostrożniej i nie wysłał wilczego stada wprost w oko magicznej zagłady.

– Po zwycięstwo! – ryknęła czarownica iście spizowym głosem.

– Po zwycięstwo – zawtórowała jej księżna Ludmiła, a zaraz za nią krzyknął to samo Andrzej, krzyknąłem ja, aż wreszcie krzyknęli żołnierze.

Było ich piętnastu, tych, którzy zostali. Dwóch pilnowało koni, trzech zginęło w czasie nocnego czuwania na bagnach, przed chwilą poległo pięciu kolejnych. Zostało więc piętnastu. Czy widzieliście kiedyś, mili moi, piętnastu zbrojnych przyszykowanych do wojny? Piętnastu ludzi odzianych

w kolczugi, z włócznieami, toporami czy mieczami w dłoniach? Piętnastu ludzi osłoniętych dużymi tarczami, z twarzami zakrytymi szłomami ze stalowym nosalem? Nie jest to taki widok, by powiedzieć z lekceważeniem: ech, jest ich tylko piętnastu... To jest widok, który wzbudza szacunek, zwłaszcza kiedy żołnierze potrafią iść w szyku i równym krokiem. Oczywiście jeszcze większy szacunek wzbudziłoby stu pięćdziesięciu wojaków albo pięciuset, lecz wiercie mi, że piętnastu też może wiele zdziałać. Widziałem również naszych czterech tropicieli, przyczaili się z łukami oraz z zapasem butelek z greckim ogniem wśród płataniny konarów. Zaraz za żołnierzami szła księżna, mając po bokach mnie oraz Andrzeja. Jeszcze za nami kroczyła wiedźma wraz ze swymi dziewczętami. Słyszałem, jak wszystkie monotennie nuciły w języku, który na pewno nie był ruskim, a który budził we mnie mimowolnie podniosły nastrój, niczym muzyka organów grana w przepastnej katedrze. I w miarę jak ta muzyka potężniała, to wydawało mi się, iż owa wyobrażona katedra rozjaśnia się tysięcznym blaskiem świateł, ujawniającym monumentalne witraże przedstawiające Aniołów o srebrnych skrzydłach oraz ognistych mieczach.

Czarny dym zalegający nad rozpościerającym się przed nami karczowiskiem powoli rzedł i znikał. Nie zobaczyliśmy trupów naszych towarzyszy, ale za to ujrzelśmy spalone, przypalone, upieczone, a nawet zwęglone truchła wilków. I wszędzie nad tym pobojuwiskiem unosił się ohydny, mdlący smród spalonego futra. Ale żołnierzom to nie przeszkadzało. Oto zobaczyli przed sobą prawdziwe świadectwo mocy. Wielkiej, przeogromnej wręcz mocy. Nie martwiło ich, że zginęło pięciu towarzyszy, gdyż zdawali sobie doskonale sprawę, że dzięki tej śmierci sami mają znacznie większe szanse przeżycia. Zresztą wiedzieli, że teraz do boju idziemy wszyscy, z księżną i wiedźmą na czele. I jeśli zginieemy, to również wszyscy.

Co wydarzyło się dalej? Bezrozumne niedźwiedzie runęły na nas w szale równie bezrozumnym jak one same. Nie pojmowały, jak wielką zagładę zgotowaliśmy ich wilczym towarzyszą, więc same zostały zgładzone. Naszpikowano je płonącymi strzałami i obrzucono greckim ogniem, zanim w ogóle zdołały zbliżyć się do żołnierzy. Kilka pobiegło przed siebie, płonąc i wyjąc w wielkiej bolesti, kilka innych drgało lub rzucało się w przedśmiertnych konwulsjach.

– Co jeszcze ma dla nas przygotowane w zanadrzu? – spytałem Andrzeja. – Dziki? Jelenie? Łosie? Tury?

Mój towarzysz wzdrygnął się.

– Widziałem kiedyś tura, więc oby nie... – odparł drżącym głosem.

Ale władca tego lasu miał innych żołnierzy. Te postaci, które wcześniej widziałem między zwierzętami, okazały się jakąś wynaturzoną, zdegenerowaną formą ludzi. Niscy, włochaci, uzbrojeni w dzidy z kamiennymi grotami i maczugi nabijane ostrymi złómkami skał. Mieli brązowe, małpie twarze okolone skudłonymi włosami i zarośnięte postrzępionymi brodami. Pierwsze, z czym mi się skojarzyli, to greccy satyrowie, tyle że ci stojący przed nami byli jeszcze brzydsi i jeszcze bardziej spotworniali, chociaż nie mieli ani kopyt, ani rogów, ani nabrzmiałych, monstrualnych fallusów.

– A cóż to za diable nasienie? – mruknąłem.

Ilu ich było? Może z pięćdziesięciu. Ilu uciekło? Ani jeden. Zginęli wszyscy, co do ostatniego, żaden się nie cofnął, żaden nie prosił pardonu. Czy byli tak głupi, czy też opętani jakimś rodzajem magii, tego nie byłem w stanie poznać. Sam zabiłem trzech z nich, bo choć byli zapalczywi i silni, to mieli niczym nieosłonięte ciała, a do boju szli z wściekłością pozbawioną rozumu oraz zmysłu taktycznego. Nie mogli być przeciwnikami dla okutych w stal wojów, osłoniętych tarczami, trzymających szysk i wyszkolonych w używaniu stalowej broni. A i strzały

naszych zwiadowców uczyniły wśród wrogów spustoszenie. Straciliśmy zaledwie dwóch ludzi, jeden był martwy, drugi tylko nieprzytomny.

Ruszyliśmy dalej przesieką wśród drzew. Tam, gdzie zza zarośli i oparów wyłaniało się coś na kształt obozowiska. To stamtąd właśnie biła wyczuwalna i namacalna wręcz groza.



Bestia była wielka. A raczej ogromna. Gigantyczna. Wspominałem zapewne, mili moi, że widziałem niegdyś lwy w cesarskich ogrodach. Wydaje mi się, że ten czarny Wilk był nawet potężniejszy od owego afrykańskiego zwierza nazywanego przecież królem dżungli. Smoliste futro błyszczało na grzbiecie, otaczało kryzą potężny łeb. Paszcza była do połowy rozwarta i najeżona lśniąco, ostrymi kłami, chyba chciał się nam pokazać w całej groźnej okazałości. Wyglądał niczym mityczny potwór, który wynurzył się wprost z normańskich klechd o Fenrirze. Podejrzewałem jednak, patrząc na to, co go otaczało, że więcej znajdę w nim z Lykaona. I chociaż nie poczęstował mnie ludzkim mięsem, to zamierzałem zabić go tak samo, jak Zeus zabił owego podłego władcę Arkadii. Tyle że ja zamierzałem użyć do tego, za pozwoleniem świętej łaski naszego Pana, mojej gorącej wiary, nie pioruna.



– *A któż jest wilkiem?* – rzekłem na głos, cytując święte słowa naszego Pana. – *Czyż nie diabeł?*

Obrócił na mnie żółto-pomarańczowe ślepie. Bardziej

przypominały kocie niż wilcze, gdyż miały pionowe źrenice. Wiedziałem, że jego spojrzenie ma oszalać trwogą, ma oteplić i ma paraliżować zarówno ciało, jak i umysł. Ale inkwizytorów po to szkolono, by z otwartą przyłbicą stawali do boju z pomiotami diabła. Szkolono, by w chwili próby ich nogi nie zaczęły dygotać, osłabłe dłonie nie wypuściły broni, a zdrętwiałe usta nie zapomniały słów modlitwy. Ja miałem w tym momencie czysty umysł, do którego nie dopuszczałem ani zwątpienia, ani martwoty, miałem również niewzruszone serce, zamknięte na klucz przed bojaźnią. Czegóż miałem się bowiem lękać, skoro Pan mój był ze mną i wiedziałem, że nawet jeśli umrę, to weźmie mnie za dłoń, powiedzie na niebiańskie łąki Raju?

– *My jesteśmy z Boga i ten, który zna Boga, słucha nas* – zacząłem mocnym głosem. – *Kto nie jest z Boga, ten nas nie słucha. W ten sposób poznajemy ducha prawdy i ducha fałszu. I tego, kto nie jest dzieckiem Boga, skazujemy na potępienie.* – Wyciągnąłem dłoń, wskazując Wilka. – *Więc powiedz mi, bestio, czy jesteś gotów wyrzec się grzechu i oddać cześć Jezusowi Chrystusowi? Czy jesteś gotów ukorzyć się, wyznać grzechy, odpokutować winy, zadośćuczynić skrzywdzonym i wraz ze mną, pokornym Sługą Bożym, pokłonić się przed Bogiem Jedynym i Prawdziwym?*

Sam słyszałem i czułem, że mój głos brzmi niczym spiżowe trąby, które obaliły mury Jerycha. Nie byłem aż tak pyszny i głupi, by dufać, że zawdzięczam to własnej sile. Zawdzięczałem to bowiem chwale łaski Bożej, która spłynęła na mnie i otuliła niczym ręką miłosiernego magnata okrywająca kosztownym płaszczem ciało trędowatego. Moja dłoń wyciągnięta w stronę potwora emanowała złotym blaskiem, widziałem również, że otaczające Wilka potwory, maskary i straszydła cofają się lub przynajmniej opuszczają głowy albo przymykają ślepia, nie mogąc znieść widoku poświaty, która mnie otaczała.

Wilk zaryczał donośnie i chrapliwie. Kątem oka zauważyłem, że stojący kilka kroków za mną żołnierze, jak i Andrzej, padają na kolana, osłaniając głowy dłońmi. Dziwne, gdyż na mnie ten ryk nie zrobił wielkiego wrażenia. To prawda, że był odrażający, ale ani szczególnie przerażający, ani na tyle głośny, bym miał zasłaniać uszy.

– Musisz się bardziej postarać, parszywa paskudo, by pognębić inkwizytora – rzekłem pełnym głosem.

Zastanawiałem się, czy ktokolwiek w ogóle mnie rozumie, prawdopodobnie nie, lecz miałem nadzieję, że ton mojego głosu oraz postawa przemawiają dobitniej nawet niż same słowa.

Potwór stanął na tylnych łapach. W zdumiewający sposób trzymał się w tej pozycji prosto i bez najmniejszego trudu, w zdumiewający też sposób zaczął przypominać nie stojące na dwóch łapach zwierzę, lecz jakąś zdegenerowaną ludzką postać, z ciałem uformowanym niezgodnie z regułami anatomii i owłosionym ponad wszelką miarę.

– Natasza – rzekł głosem, który był zdumiewająco ludzki. – Należysz do mnie, Natasza!

Ku mojemu zdumieniu rozumiałem słowa, które wypowiadał. A raczej nie tyle rozumiałem same słowa, gdyż potwór mówił po rusku, ile mój umysł odczytywał bez żadnej wątpliwości ich znaczenie. A więc monstrum mówiło jednocześnie do ludzkich uszu i do ludzkich umysłów. Niebezpieczna zdolność.

Natasza zbliżyła się do mnie i stanęła tuż obok, dotykając ramieniem mojego ramienia. Wydawała mi się dziwnie smukła i dziwnie zimna. Niczym lodowy sopel wbity w zatechłą burą zieleń trzęsawiska. Tak jakby w tym momencie jej wizerunek był czymś pośrednim pomiędzy Nataszą widzianą w świecie realnym a Nataszą widzianą w nie-świecie.

– Jesteś moja. Byłaś przeznaczona dla mnie i tylko dla mnie – mówił dalej potwór.

Jego głos był nie tylko ludzki, lecz również w pewien sposób



zawiedziony i rozżalony. Jednak co dziwne, raczej spokojny. O co mu mogło chodzić? Czyżby mateczka Olga zamierzała sprzedać swoją wychowanicę plugawej bestii? Ale jeśli tak, w jakim dokładnie celu zamierzała to uczynić? Jaką korzyść miał taki handel przynieść jej samej, a jaką korzyść demonowi?

– Miałaś być moją oblubienicą. – Opadł na cztery łapy i uniósł wysoko głowę. – Nasz syn miał rządzić światem... – zawarczał z wściekłością. – A ty wybrałaś tego nędznego ludzika.

My, inkwizytorzy, jesteśmy zbyt pokorni, by się obrażać. Nawet jeśli „nędznymi ludzikami” nazywa nas monstrum, które w cesarskim cyrku uchodziłoby za główną atrakcję. Jednak uznałem, że dość już tych pogaduszek. A poza tym Wilk niebezpiecznie się zbliżył. Nadal był jeszcze w odległości niepozwalającej mu na dopadnięcie nas jednym skokiem, jednak ta odległość znacząco się zmniejszyła.

– Widziałeś kiedyś wykastrowanego wilka? – zapytałem, postępując krok do przodu. – Bo zaręczam ci, że niedługo będziesz mógł zobaczyć go w lustrze.

Myślałem, że wzmianka o kastracji rozjuszy go lub przynajmniej ściągnie na mnie jego uwagę, ale Wilka, wydawało się, zupełnie nie obchodziły moje słowa. Nadal pałającym wzrokiem wpatrywał się w Nataszę. Bardzo mnie to rozczarowało, bo koncept z kastracją uważałem za całkiem dowcipny. A może nie zrozumiał kpiny i groźby, gdyż nie wiedział, co to lustro? Gdzie przeglądał się, kiedy chciał zobaczyć swoje ponętne oblicze? W kałuży z bagienną wodą?

– Załatwmy to szybko – rzekłem. – A później wrócę do domu i zjem kolację. Co ty na to?

Nadal nie tylko nie zwrócił głowy w moją stronę, lecz nawet nie łypnął na mnie ani nie zastrzygł uchem na znak, że usłyszał, co mówię. Zaczęło mnie to złościć. Ale może taki był właśnie jego cel? Może zamierzał wyprowadzić mnie z równowagi, wiedząc, że rozgniewany wróg nader często zamienia się w bezmyślnego

wroga? Choć kiedy tak mu się przyglądałem, to coraz bardziej odnosiłem wrażenie, że po prostu nie dostrzegał i nie chciał dostrzegać nikogo poza Nataszą. To ona teraz była dla niego najważniejsza i nie zamierzał poświęcać nikomu innemu uwagi.

Dziewczyna wpatrywała się w niego obojętnym, pozbawionym emocji wzrokiem.

– Ani nie jesteś pierwszy, ani nie będziesz ostatni z tych, co wyłaniają się z bagien – powiedziała wreszcie spokojnym, choć donośnym głosem. – Zginiesz, jak zginęli wszyscy przed tobą i jak zginą wszyscy po tobie. Chciałbyś rządzić światem? – Roześmiała się nagle. – Czy ty w ogóle wiesz, jak wygląda świat? Czy w ogóle wiesz, czym jest dzisiaj świat?

Potwór przyglądał się jej. Miałem wrażenie, że jest zaskoczony tym zimnym, lekceważącym tonem, ale też zdumiony samymi słowami.

– Na świecie żyją setki tysięcy ludzi, miliony – mówiła dalej Natasza. – Jest ich więcej niż drzew w twojej puszczy. Mają królów, a ci królowie mają armaty plujące stalowymi pociskami i ogniem, mają miasta otoczone kamiennymi murami i tysiące rycerzy okutych w pancerze. Mają kapłanów i inkwizytorów. Takich jak ten, który stoi obok mnie, tylko są ich tam krocie. Starszych i bardziej doświadczonych... Jak chciałbyś zdobyć podobnie urządzone świat? Jak chciałbyś nim władać?

Natasza ku mojemu zaniepokojeniu postąpiła dwa kroki do przodu. Wydawało mi się, że teraz znalazła się już na pewno w zasięgu Wilka, gdyby tylko ten chciał skoczyć w jej stronę.

– Wasz czas się skończył – rzekła. – Możecie jeszcze mordować zabłąkanych ludzi, topić ich, pożerać, zsyłać złe uroki, wysyłać zmary, ale nigdy nie będziecie nad nimi panować. Powiedz mi – aż syknąłem, bo zrobiła jeszcze jeden krok do przodu – kto nawadzał ci do tego futrzanego łba takich bredni? – mówiła tym razem z pobłażliwą lekkością. – Kto cię namówił do tego dziwnego buntu? Mogłeś przecież żyć całkiem spokojnie tu,

gdzie żyłeś... A teraz umrzesz.

Ku mojemu zdumieniu Wilk cofnął się, jakby słowa Nataszy odpychały go od niej. Nie zamierzałem udawać, że umiem bezbłędnie odczytać uczucia malujące się na tym wynaturzonym pysku, ale wydawało mi się, że monstrum jest zdumione. Czy tym, że nikt do niego wcześniej tak nie przemawiał, bez lęku i kpiąco? Czy może tym, że nikt mu nie powiedział, jak wygląda świat? Cóż mógł sobie roić? Że świat to Peczora ze swoim drewnianym fortem? Aż tak głupi chyba nie był, ale rzeczywisty ogrom naszej cywilizacji mógł być dla niego tak samo niewyobrażalny jak ogrom oceanu dla węgorza pływającego w leśnym stawie.

Kątem oka zauważyłem, że szybkim krokiem zbliża się do nas wiedźma. A za nią półkolem idą jej cztery dziewczęta. Magia, która wokół nich wszystkich wibrowała, buzowała i pulsowała, była aż bolesna.

– Dość pogaduszek, Natasza – rzekła mateczka Olga i rozpostarła ramiona, a jej palce lśniły srebrnymi nitczkami, tak jakby tysiące pajaków utkało i ułożyło na niej swe sieci.

Dziewczęta wiedźmy nuciły coś cicho, sprawiając wrażenie pogrążonych w mistycznym transie i niewiedzących tak naprawdę, gdzie są, w czym uczestniczą i co dzieje się wokół nich. Byłem pewien, że albo wiedźma w jakiś sposób czerpie z ich mocy, albo one same tą mocą ją nasycają.

I wtedy Wilk skoczył. Skoczył, rozwierając paszczę, potężny, szybki, niczym czarny demon. Zresztą tym właśnie przecież był. Demonem. Z rąk czarownicy wyprysnęły srebrem nici i oplotły łapy, pysk, futro, tułów potwora. Ale to nie spowolniło go nawet na moment. Jedno uderzenie gigantycznej łapy trafiło w wiedźmę, uniosło ją i skręciło w powietrzu. Nawet nie wiem, skąd wziął się ptak o błoniastych skrzydłach, który chwycił w pazury bezwładne ciało mateczki Olgi i łopocząc skrzydłami, unióś ją w bagna. Drugi ptak wychynął z nicości obok mojej

głowy, ale zdążyłem się odchylić i ciałem kordelasem prosto, równiutko i lekko, obcinając łeb zawieszony na długiej, sępiej szyi. Wilk zawył. Zobaczyłem, jak jeden z łuczników wali się na kolana, jak inny, ogłupiały i otumaniony, wypuszcza strzałę w niebo. Ujrzałem też, jak jeden z żołnierzy biegnie wprost w bagno, by za chwilę pogrążyć się w burozielonej brei, a inny rzuca się na drzewo, tnąc mieczem omszały pień, aż wreszcie pada z gardłem rozerwanym przez coś, co zza tego pnia wyskoczyło wprost na niego.

On zaraz zabije ich wszystkich, pomyślałem zimno i trzeźwo. Jeśli czegoś nie zrobię, wszyscy żołnierze Ludmiły zaraz zginą. Potem zginę również ja, a jeszcze później ten potwór skrzywdzi Nataszę.

– *W Bogu uwielbiam Jego słowo* – rzekłem z pełną mocą. – *Wielbię słowo Pana, Bogu ufam i niczego się nie lękam. Cóż bowiem może uczynić mi człowiek?* – Postąpiłem krok naprzód. – *Cóż może mi uczynić demon?* – Spojrzałem prosto w przekrwione oczy Wilka. – *Poznam, że Bóg mój jest ze mną* – mówiłem dalej, a w tym momencie skrwawiony kordelas w mojej dłoni zapłonął nagle ogniem, tak jakby krew zamieniła się w płomienie.

Potwór skoczył. Ale nie na mnie, lecz prosto na Nataszę! Z rozwartą paszczką najeżoną kłami. Z głuchym, przerażającym warkotem.

– *Błogosławieni, którzy w Panu umierają już teraz!* – krzyknąłem i gwałtownie ruszyłem w bok, zasłaniając dziewczynę własnym ciałem.

Potwór runął na mnie całym ciężarem, całym futrzanym, wielopudowym cielskiem, smrodliwym, pełnym kłów i pazurów, pełnym wściekłego, głuchego warkotu i pełnym nienawistnego jazgotu. Albowiem zastąpiłem mu drogę do tego, co uważał za swoją zdobycz, zabrałem przeznaczony dla niego łup.

Uderzył we mnie z ogromną siłą, niczym rozpędzony taran o baranim łbie szturmujący bramę twierdzy. I wiedziałem, że to

uderzenie powinno mnie ogłuszyć. Pomimo hełmu i kolczugi. Ale jednak nie ogłuszyło. Zwinąłem się, zanim zdążył na mnie upaść, i kiedy lądował obok mnie na czterech łapach, wtedy ciąłem kordelasem przez ten straszny wyszczerzony pysk i przez uszy, obrzynając połowę jednego z nich. Zaskowyczał i okręcił się w moją stronę, ale ja już byłem krok dalej i ciąłem znowu, tym razem jego bok, i choć futro miał grube, to stal miecza wyrzeźbiła w mięsie krwawiącą ranę.

– *I jak w Adamie wszyscy umierają, tak w Chrystusie wszyscy będą ożywieni!* – wykrzyczałem z mocą i uchyliłem się przed kłapnięciem potężnych szczęk. Obryzgała mnie gorąca, cuchnąca ślina.

Skierowałem ostrze tym razem w łopatkę, mocno i głęboko, wyraźnie poczułem, że stal zgrzytnęła o kość. I znowu odchyliłem się, tym razem przed uderzeniem łap, a w głębokim przechyleniu przejechałem klingą jeszcze przez te łapy, przez ich nie porośnięte futrem, lecz pokryte zrogowaciałą skórą poduszki. I jeszcze raz mój wróg zawył, jednak tym razem brzmiała w tym wyciu już nie tylko wściekłość. To była bezradność i niezrozumienie. Jak to, słyszałem w tym wyciu, jak to nie mogę sięgnąć tego nędznego, małego człowiczka, jak to nie mogę go nawet drasnąć ani potrącić, ani obalić? Jak to nie mogę rozgnieść jego kości, rozszarpać gardła, pławić się w fontannie tryskającej z jego żył? I ten skowyt, który rozumiałem tak dobrze lub który wydawało mi się, że rozumiem tak dobrze, napełnił mnie nowymi siłami i jeszcze potężniejszą nadzieją.

A potem wreszcie na osłabionego potwora zaczęło działać zaklęcie wiedźmy i srebrne nici niczym stalowe powrozy unieruchomiły Wilka, przygięły go do ziemi, zmusiły do potępieńczego skowytu, do tego, by bezsilną paszczką kłapał i zgrzytał, by zaciskał zębiska na srebrnych niciach, ale że nici te utkano z magii, więc jego zęby nie mogły ich naruszyć. Więc szarpała się bestia na wszystkie strony w bezsilnej męce

i wydawało mi się, że im bardziej się miota, tym bardziej te więzy zaciskają się na jej ciele.

Przyklęknałem, opierając się na rękojeści miecza.

– *Tobie oddam ofiary pochwalne, bo ocaliłeś moje życie od śmierci, abym dzięki Tobie chodził w światłości życia* – rzekłem i poczułem, jak wypełniająca mnie moc powoli odpływa, niczym rzeka przekierowana w inne koryto. Było to bardzo smutne uczucie utraty czegoś cennego i niezwykłego. Jakiejś cząstki boskości. Sacrum znowu zamieniało się w profanum. I nagle stałem się tak słaby, że tylko miecz wbity w miękką ziemię, na którym się opierałem, chronił mnie przed upadkiem. Teraz Wilk, gdyby chciał, mógłby mnie rozerwać na strzępy, teraz zdeptałby mnie łapami, poszarpał pazurami, zmiażdżył moje kości w zębach. Tyle że na szczęście zrobić tego nie mógł. Jedyne, co mógł, to wściekle wyć, szarpać się w pajęczych, srebrnych więzach i bezradnie, chociaż zajadle kłapać tryskającą śliną paszczą. Kiedy patrzyłem na niego, tak bezradnego w gniewie, zrobiło mi się trochę lepiej.

Żołnierze obok cały czas walczyli ze służącymi Wilkowi potworami, lecz teraz byli natchnieni mocą zwycięstwa, natomiast potwory – złamane widokiem swego uwięzionego i poranionego wodza. To już nie mogło długo potrwać. Natasza uklękła obok mnie.

– Zasłoniłeś mnie – powiedziała z głębokim zdumieniem w głosie. – Zasłoniłeś mnie własnym ciałem.

– Nataszka, jesteś moja, więc dbam o ciebie – odpowiedziałem jej słowami, które sama niedawno wypowiedziała, tymi, które usłyszałem od niej, kiedy zabiła magiczną pijawkę wysłaną, by mnie zniszczyć.

A ona tylko objęła mnie bardzo, bardzo mocno i oparła się na mnie całym ciężarem, i choć byłem wyzuty z sił i zmęczony, to trzymałem ją z całą mocą, byśmy razem nie przewrócili się w błoto.

Ale już po chwili poczułem, że Natasza sztywnieje w moich ramionach.

– Chodź, mój miły, chodź – nakazała, podnosząc się. – To jeszcze nie koniec.

To prawda, samo pokonanie wodza hordy i jego przybocznych nie kończyło jeszcze walki. Gdzieś niedaleko musiało znajdować się obozowisko potworów, miejsce, w którym Wilk i jego podwładni spali, ucztowali czy naradzali się przed bitwą. Czy było ono szczególnie chronione? Sądziłem, że raczej nie powinniśmy trafić na wielki opór, gdyż zapewne wszystkie siły zostały rzucone przeciwko nam. Ale oczywiście należało się zabezpieczyć.

Podszedłem do Ludmiły i wskazałem ręką ścieżkę ginącą w mroku pochylonych drzew.

– Tam – powiedziałem.

Poklepała mnie po policzku.

– Dzielny chłopiec – rzekła.

Oczywiście zrozumiałem, że owa pochwała nie odnosi się do moich słów, lecz do tego, w jaki sposób stawałem w czasie walki.

Księżna położyła mi dłoń na ramieniu.

– Jesteś człowiekiem prawdziwej wiary, inkwizytorze – oznajmiła uroczystym tonem.

Wyglądało to tak, jakby w jakiś dziwny sposób pasowała mnie na rycerza. I kto wie, może naprawdę tak właśnie było? Może w jej oczach po tej właśnie bitwie stałem się kimś godniejszym, zacniejszym i szlachetniejszym?

– Chociaż jesteś też bardzo głupi – dodała zaraz potem Ludmiła, po czym spojrzała na Nataszę. – A ty, dziewczyno, masz nieliczne szczęście, że trafiłaś na mojego inkwizytora...

– Nie wiem, czy większym szczęściem jest mieć kogoś, kto chce poświęcić dla ciebie życie, czy też większym szczęściem jest mieć kogoś, dla kogo warto to życie poświęcić – zachrypiałem.

Ludmiła z zastanowieniem skinęła głową i milczała przez

chwile.

– Odpowiedź na to pytanie zostawmy filozofom – rzekła wreszcie. – A teraz naprzód! – Machnęła mieczem w powietrzu.

Jej oficerowie zaczęli skrzykiwać pozostałych przy życiu żołnierzy i wreszcie wszyscy gromadą ruszyliśmy mroczną ścieżką prowadzącą wśród skarłałych, powykręcanych drzew. Nie musieliśmy długo iść, by zobaczyć wielką polanę zabudowaną niskimi, prymitywnymi szałasami, pomiędzy którymi wytyczono coś na kształt ścieżek czy szlaków. Szalasy zbudowano z drewna i skór i niemal wszystkie sprawiały wrażenie, jakby tak naprawdę nikomu nie zależało, by porządnie wyglądały i chroniły mieszkańców. Niektóre miały oberwane dachy, inne zerwane ściany, jeszcze inne przekrzywiono w dziwny sposób, a znowu w kolejnych nie kłopotano się zrobieniem wejścia, ale po prostu wycięto nierówno niczym nieosłoniętą dziurę w ścianie.

– Ktoś tu bardzo chciał być człowiekiem – powiedziałem cicho. – Ale nie do końca wiedział, jak to zrobić...

Ludmiła obrzuciła mnie przelotnym spojrzeniem i skinęła głową. Natasza mocniej ścisnęła moją dłoń.

Nikt nas nie atakował, obozowisko sprawiało wrażenie opustoszałego. Może wyrzneliśmy już wszystkich jego mieszkańców, a może ci, co zostali, uciekli gdzieś w gęstwinę, w panice i świadomości pewnej klęski? Oczywiście pomimo tego bezruchu, spokoju i pustki wszyscy szliśmy w bojowym szyku, z wyciągniętą bronią i czujni niczym wilki na polowaniu. Zerknąłem na Nataszę, która z uniesioną głową i przymrużonymi oczami zdawała się węszyć w powietrzu. Cały czas silnie ścisnęła moje palce, ale kiedy zauważyła moje spojrzenie, nieznacznie pokręciła głową.

– Nie sądzę, żeby coś nam tutaj groziło. – Miała spokojny głos.

Za linią namiotów i szałasów zobaczyliśmy szereg klatek. Zbudowane były co prawda z drewna, ale z solidnych i grubych



pni. Czy cień lub fragment tych właśnie więzień widzieliśmy na obrazie namalowanym przez Wasyla? Klatek było sześć i w każdej z nich siedziała jedna kobieta. Miały w środku jakieś futrzane barłogi, jakieś drewniane miski, odziane były w skóry i futra. Co najmniej trzy z nich były w ciąży, a przynajmniej właśnie po tych trzech ciąży było widać na pierwszy rzut oka.

Widząc nas, żołnierzy i prawdziwych ludzi, a nie leśne bestie, nie swoich dotychczasowych strażników i prześladowców, wszystkie te kobiety zaczęły krzyczeć radośnie i nawoływać. Jedna padła na kolana i wznosiła modły, druga błogosławiła wszystkich znakiem krzyża, trzecia przytuliła się do krat i wysuwała ramiona poprzez pręty, aby chociaż tylko końcami palców dotknąć przechodzących żołnierzy.

– Biedne – powiedziała Natasza, a ja w jej głosie usłyszałem prawdziwy żal i niekłamane, szczerze współczucie.

Księżna dłuższą chwilę wpatrywała się w uwięzione kobiety martwym wzrokiem, a ja domyślałem się, jakie myśli i uczucia w niej buzują i jak odpowiedzialność spiera się z miłosierdziem. Wreszcie zdecydowała.

– Zabijcie je wszystkie – rozkazała twardo.

Trzeba przyznać, że żołnierze, pomimo iż wyhodowani w surowych ruskich regułach posłuszeństwa wobec władcy, nieoczekiwanie się zawahali. Nie żeby odmówili wykonania rozkazu, lecz każdy z nich czekał, kto rozpocznie rzeź, i żaden nie chciał być tym pierwszym. Żaden prócz smągłolicego oficera o imieniu Jewsej, który chwycił pierwszą z branek za włosy, przyciągnął ją do krat i przekłuł jej ciało mieczem. I wtedy już, zgodnie z moimi przewidywaniami, kilku z żołnierzy poszło śladem dowódcy. Uwięzione kobiety zaczęły uciekać aby jak najdalej od godzących przez pręty włóczni, zaczęły krzyczeć i spazmować, bezsilnie szarpać pręty palcami, kompletnie nie rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego wybawcy zamienili się nagle w rzeźników. Ludmiła przyglądała się temu wszystkiemu

martwym, zgaszonym wzrokiem.

W szóstej klatce kobieta, a właściwie dziewczyna, czy nawet lepiej mówiąc: prawie jeszcze dziecko, rozdarła koszulę na piersiach, obnażając niemal jeszcze nie rozkwitłe piersi, i wołała coś z płaczem, głosem do głębi przejmującym i żalnym.

– Prosi, żeby jej nie zabijano, mówi, że dopiero wczoraj ją tu przywieźli, że nawet nic jej nie zdążyli zrobić, że ciągle jest dziewczicą... – tłumaczyła smutnym głosem Natasza.

– Wóz czy przewóz, inkwizytorze? – dobiegł mnie zza pleców ponury głos Andrzeja.

– Przewóz – odparłem.

– I ja tak sądzę – mruknął dworzanin.

Niemal w tym samym momencie Ludmiła dała znak dłonią i jeden z żołnierzy dźgnął włócznią przez kraty prosto w pierś dziewczyny. Dźgnął tak mocno, że ostrze weszło pod jej mostkiem, a wyszło aż plecami. Ona jęknęła chrapliwie, chwyciła drzewce skurczonymi w męce palcami, wpatrzyła się w żołnierza wzrokiem pełnym bólu i niezrozumienia, po czym jęknęła raz jeszcze i skonała.

– Dobrze, czyste pchnięcie – stwierdziłem ze smutkiem.

I naprawdę byłem szczerze zadowolony, że nie sprawiono tej biedaczce cierpienia. Natasza zrozumiała, jaką miałem intencję, wypowiadając owe słowa, gdyż objęła mnie w pasie i przytuliła głowę do mojego ramienia.

Potem, po dokonaniu tej wstydlivej, okrutnej rzezi i obejściu raz jeszcze obozowiska, nie mieliśmy już nic innego do zrobienia, jak wrócić do miejsca, gdzie pod strażą tkwił Wilk, spętany magicznymi więzami.



Patrzyłem na znieruchomiałego Wilka z satysfakcją, z jaką dzielny łowca może przypatrywać się szczególnie pięknemu

okazowi upolowanej zwierzyny.

– Szkoda, że nie ma z nami Modesta Dobrynicza – powiedziałem z żalem. – Bo mógłby cię szybko i zgrabnie żywcem obdrzeć ze skóry, w czym, jak wiemy, ma doświadczenie i co całkiem zręcznie mu wychodzi.

Demon wpatrywał się we mnie z nienawiścią. Ale jedyne, co mógł zrobić, to wściekle warczeć i szarpać się w magicznych łańcuchach.

– Taaak... – Przyglądałem mu się przez chwilę. – Mamy tu jednak kilku innych tropicieli, którzy robią, co tylko w ich mocy.

Przykucnąłem przy nim.

– Nie myśl, że twoja bolesna i długa śmierć ma zaspokoić moje pragnienie zemsty albo moją żądzę okrucieństwa – rzekłem. – Tak naprawdę jest mi wszystko jedno, kim jesteś, co zrobiłeś i co chciałeś zrobić... Po prostu dzięki tobie i twojemu cierpieniu wszyscy, jak Ruś długa i szeroka, będą opowiadać, że cesarski inkwizytor pokonał potężnego leśnego demona, obdarł go żywcem ze skóry i położył ją sobie przed kominkiem – parsknąłem. – Mam nadzieję, że jesteś ciepłutki i mięciutki, bo Nataszka ma delikatne stopy...

Zaryczał szczególnie złowrogo i tak rzucił się w pętach, że kłapnął mi paszczą przy samym ramieniu. Roześmiałem się i zamachałem palcem wskazującym.

– Nie, nie, nie... Bardzo niegrzecznie byłoby, gdybyś odgryzł mi rękę w chwili mojego triumfu, więc to się na pewno nie zdarzy – powiedziałem. – A teraz wybacź, że zostawię cię już samego z naszymi kuśnierzami, ale muszę iść i poszukać mateczki Olgi... Gdzieś ty nią cisnął, psotniku? Aha... – Odwróciłem się jeszcze. – Wiesz, co się robi ze złymi psami? Kastruje się je, żeby były łagodniejsze. No to i ciebie to czeka. – Uśmiechnąłem się. – A twoje zasuszone jaja podaruję wiedźmie, żeby zrobiła sobie z nich grzechotkę...

Nie chciało mi się już z nim gadać, byłem jednak pewien, że

z jego ścierwa zostanie odzyskanych mnóstwo części, które przejdą do legendy i będą kosztować krocie. Przecież miał nie tylko futro i genitalia, ale pazury, kły, czaszkę, kości. No i narządy wewnętrzne. No i krew. Nikt nie pozwoli, by takie dobro zostało zmarnowane. Przez całe wieki posłuży jako amulety czy magiczne relikwie, a jeszcze za sto, dwieście i trzysta lat ludzie z zadziwieniem będą oglądać pozostałości po potworze... Czy wspomną przy tym imię waszego pokornego i unizonego sługi? To było naprawdę całkowicie nieistotne. Ważne jedynie, by wspomnieli o triumfie Światła nad Ciemnością i zwycięstwie Boga Jedyngo i Prawdziwego nad pomiotami, które wypełzły z otchłani pełnej mroku...

Kiedy odchodziłem, słyszałem wściekłe wycie bestii i byłem zaskoczony, a jednocześnie rozbawiony faktem, że potwór tak łatwo dał się sprowokować. Cały czas też zastanawiałem się, czy rozumie łacinę, czy też rozumie raczej moje myśli. I podejrzewałem, że w grę wchodzi ta druga ewentualność. Oczywiście żałowałem, że musimy go zabić. Byłby niezwykłym i fantastycznym obiektem inkwizytorskich badań. Gdyby taka bestia trafiła się nam w Cesarstwie, jestem pewien, iż zainteresowałiby się nią natychmiast najbardziej doświadczeni inkwizytorzy. Ale tutaj, na dzikiej Rusi? Pozostawienie przy życiu potwora, którego możliwości nikt tak naprawdę nie znał i którego stale musieliby pilnować ludzie nieobeznani z podobną pracą, byłoby proszeniem się o kłopoty. O wielkie kłopoty. I byłem wdzięczny wszystkim świętym w niebiosach, że Ludmiła nie powzięła szalonej myśli, iż wjedzie na potężnym wilkołaku do Nowogrodu, a może nawet Moskwy. My, inkwizytorzy, znaleźmy bowiem i z opowieści, i z doświadczenia historie zbyt ambitnych ludzi, którzy beztrąsko uznali, że są na tyle silni, by podporządkować sobie istoty z piekła rodem. Jeśli niekiedy i przez pewien czas im się to nawet udawało, ich pewność siebie rosła i coraz bardziej rezygnowali z ostrożności. Więc zawsze, ale

to zawsze podobne przygody źle się kończyły. Albo z takim człowiekiem robiliśmy porządek my, albo robiły go same demony. Bogu dziękować, że peczorskiej księżnej nie zaświtała podobna myśl w głowie. Bogu też dziękować, że również wiedźma z trzęsawisk nie pragnęła uczynić z tej bestii swojego sługi. Bo tak jak Ludmile można byłoby zapewne wyperswadować podobny pomysł, tak dużo trudniej byłoby zawrócić czarownicę, gdyby z pełnym przekonaniem obrała podobną drogę.

No cóż, a co do czarownicy, to musiałem jej poszukać. Może nie tyle musiałem, ile bardzo mnie ciekawiło, w jakim stanie znajduje się po groźnym i niespodziewanym ataku wilkołaka. Zapewne najlepiej dla wszystkich byłoby, gdyby nie żyła, ale raczej trudno było liczyć na aż tak szczęśny splot okoliczności.

Musiałem iść ostrożnie, gdyż naprawdę wyjątkowo niefortunnym zdarzeniem byłoby utonąć w trzęsawisku już po wygranej bitwie. Ale miałem ze sobą kij, którym w razie potrzeby macałłem drogę, a poza tym na szlaku, którym szedłem, leżały ciężkie kłody, bale i zwalone drzewa, więc dawałem radę zręcznie skakać z jednego bezpiecznego miejsca w drugie. Pomyślałem, że całkowicie ironicznym obrotem spraw stałoby się, gdybym odnalazł mateczkę Olgę pogrążoną po czubek głowy w kłopotach i gdybym ją z tych kłopotów uratował. No cóż, nie takie rzeczy zdarzały się ludziom na świecie, a ważniejsza była odpowiedź na pytanie, czy ratować bym ją w ogóle chciał?

Drewniane kłody i bale skończyły się, a spoza gęstwiny krzewów wyzierała polana. Nawet dość bezpiecznie wyglądająca na pierwszy rzut oka. Oczywiście podmokła jak diabli, jednak sprawiała wrażenie, że kiedy człowiek postąpi krok, to nie wciągnie go od razu po czubek głowy. Wiedziałem, że wiedźma musi być gdzieś tam, po drugiej stronie polany, czułem to bardzo wyraźnie i miałem nadzieję, że intuicja mnie nie zawodzi... Wtedy coś wyskoczyło wprost przede mnie z mroku pomiędzy

pniami i konarami. Stał przede mną niewielki stwór, przypominający dziwną hybrydę ni to wilka, ni to borsuka, ale za to z wylupiastymi oczami obdarzonymi pionowymi źrenicami. Stał zjeżony, sprężony do ataku i warczał, wysuwając długie i ostre niczym dłuta kły zza drgających z wściekłości sinych warg. Jeśli chodziło o wielkość, to nie było nawet co porównywać go z potężnym czarnym Wilkiem, którego pokonałem i którego zaraz miano obedrzeć ze skóry. Ale inkwizytorzy, a zresztą wszyscy rozsądnie rozumujący i doświadczeni ludzie wiedzą, że nie w wielkości tkwi prawdziwa siła. Ryś lub rosomak są bardziej niebezpieczne od krowy, a słyszałem też o łowcy, który nieumiejętnie chwycił bobra, co kosztowało go ciachnięcie zębami po tętnicy i szybką śmierć z wykrwawienia. Człowiek ostrożny nie może się bać, lecz uważać musi zawsze. Dlatego nie zamierzałem lekceważyć tego zwierzaka wielkości przerośniętego borsuka. I słusznie, gdyż kiedy skoczył na mnie, zrobił to z oszalamiającą szybkością, gracją i precyzją. Szarpnąłem się w bok, odbiłem go przedramieniem, świsnąłem w powietrzu kordelasem. Zdołał haratnąć mnie pazurami w przód i bok głowy. Poczulem, że na oczy spływa mi krew, i zamrugąłem gwałtownie. W takiej chwili niedobrze mieć kłopoty z dostrzeganiem ruchów wroga. Stwór siedział przykucnięty i warczał. Wydawało mi się, że jego noga jest nienaturalnie wykręcona, a na pewno też został zraniony moim ostrzem. Widziałem plamę krwi rozlewającą się po gęstym futrze. Postąpiłem krok do przodu i ściągnąłem lewy rękaw daleko aż za końce palców. Pomyślałem, że byłoby niedobrze, gdyby te ostre jak brzytwa pazury lub zęby zahaczyły o mój przegub.

Zostało mu jeszcze tyle sił, by rzucić się na mnie znowu. Ale tym razem był już nieco wolniejszy. Nie zszedłem mu z drogi, a wręcz przeciwnie, uderzyłem go osłoniętą rękawem dłonią. Kiedy wbił zęby w materiał, dźgnąłem kordelasem w sam środek

jego tułowia. Zaskowyczał i upadł. Nim zdążył poderwać się do ucieczki, przyszpiliłem go do ziemi. I wtedy lasem zatrząsł przeraźliwy skowyt Wilka. Skowyt, który zmienił się w posępne wycie. Potwór, którego przybiłem do ziemi, odpowiedział mu podobnie brzmiącym zewem, lecz dużo słabszym i jeszcze bardziej rozpaczliwym. Wtedy domyśliłem się, kim jest.

– Och – powiedziałem. – To chyba twój tatko tak jazgocze, co?

Przekręciłem ostrze w jego ciele, zawył wtedy boleśnie i rozpaczliwie. Szarpnąłem rękojeść i wyciągnąłem kordelas z rany, a on zwinął się i próbował zerwać na nogi. Jednak zaraz potem opadł z bolesnym jękiem i wytoczył z pyska krwawą pianę.

– No dobrze – rzekłem. – To ty sobie tu zdychaj, a ja idę szukać więdźmy...

Przerażające, pełne bolesnej wściekłości wycie odległego od nas i niewidocznego przecież czarnego Wilka niosło się echem wśród trzęsawisk. Potwór leżący i zdychający u moich stóp płakał. Widziałem, jak ze zwierzęcych oczu ściekały mu całkiem ludzkie łzy i spływały po owłosionej mordzie na pokrwawione i wyszczerzone zębiska.

– Założę się, że kiedy zabijaliście ludzi, to wcale nie było wam przykro – rzekłem, ale jego oczy nawet nie drgnęły. Z rozpaczą w spojrzeniu wbijał wzrok w tę część lasu, z której dobiegało nas wycie obdzieranego ze skóry Wilka.



Poczułem ją. Znowu. Tak jak inkwizytor powinien wyczuć więdźmę. To chyba był dobry znak, bo świadczył o tym, iż mateczka Olga jeszcze żyła. W końcu martwego truchła więdźmy chyba bym nie wyczuwał, bo niby w jakim celu? Z drugiej jednak strony nie byłem wcale pewien, czy wiadomość, że czarownica żyje, jest pomyślna. Wojna już się skończyła, wrogowie albo

leżeli martwi u naszych stóp, albo wyli w agonii, więc siła wiedzy nie była nikomu na nic potrzebna. A w każdym razie na pewno nie była potrzebna mnie. Ludmiła być może by się pogniewała, że rozprawiłem się z jej stronnicką, ale nie musi przecież wiedzieć, iż wiedźma nie zginęła w czasie walki. A Nataszka? O tak, Nataszka domyśli się od razu, kto jest odpowiedzialny za tę śmierć, i na pewno jej to nie zmartwi. Jak sądziłem, nie zmartwiłoby to również pozostałych dziewcząt, zwłaszcza owej Tamary, którą nazwałem rudą wiewióreczką, a która chyba miała ogromną chrapkę, by przejąć dom, moc i władzę swojej chlebodawczyni i mentorki. Krótko mówiąc, zabijając wiedźmę, przysłużyłbym się wszystkim i każdemu. Na razie jednak musiałem sprawdzić, w jakim mateczka Olga jest stanie i czy posłanie jej na łono Abrahama, przed najsurowszy Sąd Pański będzie łatwym zadaniem.

Krew ciekła mi po czole, policzku i brodzie, skapywała na dłoń, w której trzymałem kordelas. Nie widziałem na jedno oko, a raczej raz na nie widziałem, a raz nie, w zależności od tego, czy udało mi się mruganiem pozbyć krwi ciekącej na rzęsy. Czarownica leżała trzy kroki ode mnie, zwinięta niczym przyszpilona ropucha. Włosy miała skudłone, odzienie porwane i pokrzwawione, a twarz schłapaną błotem. Zobaczyła mnie, jęknęła i próbowała odpełznąć. Zbliżyłem się o dwa kroki. Chciałem ją trącić czubkiem buta, ale udało jej się cofnąć nogę.

– Nie wyglądasz najlepiej, wiedźmo – rzekłem.

– Wygraliśmy? – zachrypiała.

– Ja wygrałem – odparłem. – Ale czy ty wygrałaś, to jeszcze zobaczymy...

– Chcesz mnie teraz zabić? Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?

– To nic osobistego – powiedziałem i przerzuciłem kordelas z prawej ręki do lewej.

Postąpiłem dwa kroki i wyciągnąłem do niej prawą dłoń.



– No dobra, wstawaj... – nakazałem pobłażliwym tonem.

– Bardzo chwalebne zachowanie, psie – usłyszałem głos wiedźmy za plecami.

Skoczyłem do przodu, już w powietrzu odwracając się tak, by stanąć twarzą do zagrożenia. Czarownica unosiła się pół metra nad ziemią, a tam, gdzie przed chwilą widziałem ją leżącą i cierpiącą, nie było już nic poza pnem obrosniętym zgniłozielonym mchem. Schowałem kordelas do pochwy i zbliżyłem się do wiedźmy. Wyciągnąłem rękę. Pozwoliła mi dotknąć swojego ramienia.

– Tak, tak, teraz to naprawdę ja – mruknęła tym razem ona pobłażliwie.

Kij w jej dłoni wibrował na czubku taką samą czernią, jaką widziałem niedawno. Taką przypominającą szamotanie setek robaczków, na których trudno było skoncentrować wzrok.

– Potrafisz latać wyżej? – zapytałem.

Zaśmiała się i opadła na ziemię. Jej stopy zanurzyły się na cal w błocku.

– Wiele rzeczy potrafię – odparła.

– Właśnie widzę.

– Masz wielki talent, psie – rzekła. – I masz również ogromne szczęście. – Przypatrywała mi się uważnie. – Albo coś, co temu szczęściu w niezwykle sposób pomaga...

– Co to ma znaczyć?

– Że niełatwo cię zabić, i to nie tylko z uwagi na to, że jesteś zręczny i utalentowany.

Podeszła do mnie. Miła, uśmiechnięta babcia o życzliwej pomarszczonej twarzy. Położyła mi dłoń na policzku.

– Coś w tobie jest – powtórzyła.

Inkwizytorzy nie zwykli lekceważyć znaków, sygnałów czy świadectw dawanych przez kogoś, kto dysponuje tak wielką, ciężko wytłumaczalną mocą. Dlatego i ja nie zamierzałem przejść nad tymi słowami do porządku dziennego. Oczywiście wiedźma

mogła mieć pomieszane wszystkie klepki (co przecież wcale nie przeszkadzało jej posługiwać się potężną magią), ale mogła też rzeczywiście wyczuwać we mnie coś niezwykłego i ponadnaturalnego. I jeżeli coś takiego było, to chciałem wiedzieć, co dokładnie...

– Jakże chętnie bym cię rozkroiła, pocięła i pokawałkowała – powiedziała z dziwnie rozmarzoną zadumą, która bardzo mi się nie spodobała i która ku mojemu zaskoczeniu spowodowała, że przebiegł mi dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Ona cały czas trzymała dłoń na moim policzku. – Ale coś mi mówi – kontynuowała, patrząc na mnie oczami zimnymi jak obsydianowe okruchy – że byłoby to bardzo, ale to bardzo nierozważne z mojej strony...

– Pomijając fakt, że bardzo bym nie chciał być rozcięty oraz pokawałkowany, to co takiego mogłoby się stać? – spytałem nieporuszony.

– Któż to wie? – Cały czas przyglądała mi się, a jej wzrok coraz bardziej mi się nie podobał. – Któż to wie, póki nie sprawdzi i się nie przekona... – W jej monotonnym głosie słyszałem echo jakiejś pierwotnej, z trudem tłumionej żądz.

– Uważaj, mateczko – zabrzmiał nagle lodowaty, spokojny głos Nataszy.

I zabrzmiał zza moich pleców. Czy dzisiaj wszystkie istotne rzeczy musiały dziać się za moimi plecami? Czy raczej rozpoczynać zza moich pleców swoje dzianie się?

Cofnąłem się dwa kroki, a dłoń czarownicy spadła wtedy z mojego policzka. Obróciłem głowę i dojrzałem, że przez bagno idzie Natasza, stawiając lekko stopy na powierzchni. I niespecjalnie przejmując się tym, że według mojej oceny powinna się w tym błocie pogrążyć chociaż po łydki, jak nie po pas albo i głębiej.

– On jest mój, mateczko – powiedziała niemal wrogim tonem i stanęła obok mnie.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– Na samym początku powiedziałam ci, że on należy do mnie, jak światło księżycyca należy do nocy, a światło słońca należy do dnia. Nic się nie zmieniło... Spróbuj mi go odebrać, a spalę cię na popiół...

W głosie Nataszy brzmiała dziwna nuta, jakby nie wypowiadała tych słów świadomie, lecz jakby spływały one z niej niczym w transie. Jej oczy stały się wielkie i błyszczące. I wtedy starucha nagle westchnęła. Jej wzrok złagodniał, a kostur przestał drżeć i migotać. Znowu wydawał się tylko sękatym, powykrzywianym konarem. Ot, podpora dla zgrzybiałej starowinki...

– Coś w nim jest – stwierdziła już bez tego przerażającego pragnienia w głosie. – Nie czujesz tego, Natasza?

Dziewczyna przez chwilę wpatrywała się w nią, potem jej stężała twarz nagle się rozluźniła. Oczy już nie były tak ogromne i nie błyszczały w tak niezwykły sposób. Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co czuję dokładnie. Na pewno ma moc. Ale skąd mam wiedzieć, czym różni się od innych, skoro z nikim innym wcześniej nie byłam?

– A chciałybyś? – Obróciłem się do niej.

Spojrzała na mnie zniecierpliwiona.

– Oczywiście, że bym nie chciała – prychnęła. – Jak możesz zadawać takie głupie pytania?

– Nataszka, powiedziałas to takim tonem, jakbyś żałowała braku podobnego doświadczenia, więc dlatego właśnie spytałem...

– Oczywiście, że nie żałuję! – Jej oczy pociemniały. – Ale jak mnie doprowadzisz do szału, to przysięgam ci, że zaraz zacznę żałować!

– Nataszka, w ciekawości nie ma nic złego. Przecież to całkiem naturalne, że...

– Nie! – wrzasnęła. – Nie myślę o tym i nie żałuję, i nie planuję niczego podobnego! I wcale nie jestem ciekawa!

Wzruszyłem ramionami.

– A cóż ja takiego powiedziałem, żebyś aż tak się wściekała?

Nagle obróciłem głowę zaniepokojony.

– Gdzie wiedźma?

Natasza rozejrzała się, a z jej twarzy zniknęło rozdrażnienie. Pokręciła głową i cmoknęła mnie w policzek.

– Chodź no, ty mój bohaterze – nakazała rozbawionym tonem.

– Twojego nieznośnego gadania nie mogła wytrzymać nawet najpotężniejsza wiedźma na Rusi i uciekła...

No cóż, nie sądzę, bym „nieznośnie gadał”, jak chciała tego Natasza. Raczej próbowałem wyjaśnić pewne sprawy, choć przyznam bez przymusu, że rzeczywiście ani czas, ani miejsce nie były do tego odpowiednie. Ale cóż robić? Wiem, że w rycerskim eposie po krwawej bitwie powinny nastąpić patetyczne przemówienia, przyznawanie przez suzerena nagród dzielnym wasalom oraz hołdy dla tych, co zginęli, i wzruszające z nimi pożegnania. I sypanie wysokich kurhanów. Dobrze by też było, aby podczas pogrzebu spadł deszcz, dając kronikarzom asumpt do twierdzeń, że „nawet niebo płakało po poległych bohaterach”.

Powiedzmy więc jasno: spór dwojga kochanków toczony zaraz po bitwie nie pasował do obrazu wielkiej epopei. Żebyśmy jeszcze ruszyli potem do walki z wiedźmą! No ale w tym wypadku nie byłoby przeciwko komu ruszać, gdyż czarownica sprytnie zniknęła, korzystając z tego, że ja i Natasza zajęliśmy się prywatnymi sprawami. Trzeba zresztą przyznać, że zniknęła diablo szybko i diablo zręcznie. W jaki sposób to uczyniła? Iluzja, którą przywołała przed moje oczy, też była godna podziwu. Zastanawiałem się tylko nad jednym: czy wiedźma nadała omszałemu pniowi swój obraz, czy też zmanipulowała mój umysł, bym w ten sposób ów pień postrzegał. Zresztą oba zaklęcia znacznie wykraczały potęgą poza to, co zazwyczaj widywało się w Cesarstwie. A ja w dodatku nie byłem

przygotowany na konfrontację. Może otoczony mocą modlitw oraz świętych relikwii przejrzałbym tę iluzję? Cóż, modlitw znałem wiele, ale niestety, z relikwiami było już gorzej.

– Gdzie ona poszła? Jak myślisz?

– Jak to gdzie? – zdziwiła się Natasza. – Dopilnować, żeby z Wilka zostało dla niej to, co najlepsze.

– No tak, oczywiście. W takim razie ja muszę te plany pokrzyżować.

– Oj... – Spojrzała na mnie zaniepokojona.

– Obiecałem potworowi, że jego futro rozścielę pod twoimi stopami – wyjaśniłem. – Kim bym był, gdybym nie dotrzymał danego słowa?

Uśmiechnęła się promiennie i objęła mnie.

– Zawsze o mnie myślisz, mój miły – powiedziała ciepło. – No to chodźmy, ale nie musimy się bardzo spieszyć, bo mateczce futro na nic i na pewno chętnie je nam odda.

W drodze opowiedziałem Nataszy o pułapce, jaką zastawiła na mnie czarownica. Aż się zatrzymała, słysząc o tym, jak wiedźma nagle pojawiła się za moimi plecami, wcześniej tworząc iluzję siebie samej rannej i bezbronnej.

– Wyczułeś ją? Wyczułeś, że to zasadzka?

Pokręciłem głową.

– Coś mnie tknęło, by nie robić jej krzywdy – odrzekłem. – Poza tym wcale nie chcę jej zabijać – obniżyłem głos.

– Boisz się o mnie...

– Oczywiście, że się o ciebie boję – odparłem. – Ale chciałbym też lepiej poznać, kim tak naprawdę jest ta twoja mateczka, skąd się wzięła jej moc i jak wielka jest ta moc...

Natasza westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Bardzo dobrze zrobiłeś, niezależnie od tego, jakie miałeś ku temu powody. Ale pytasz, kim jest mateczka? Wiedźmą z bagien... Po prostu.

– Nataszka... – Zatrzymałem się i ująłem ją za ramiona. – Ona

nie zawsze była wiedźmą i nie zawsze mieszkała na bagnach, prawda? Kiedyś była kimś innym. Kim?

Natasza pokręciła głową.

– Była tym samym, kim ja, czyli nikim. Porwanym lub kupionym dzieckiem, które zostało wyhodowane przez jakąś wiedźmę i przysposobione. Tak to wygląda, mój miły... Jedne dziewczyny chowa się, by służyły wołchom, a inne chowa się inaczej. Widać w mateczce odkryto zdolności, by mogła robić co innego niż bycie chędożoną przez kapłana starucha.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową.

– Może i tak było – powiedziałem. – Ale widzisz, bardzo chciałbym wiedzieć o wszystkim, co ona wie. A musi wiedzieć bardzo, bardzo wiele...

Natasza wzięła mnie za rękę i spojrzała wzrokiem, w którym chyba wyczytałem współczucie.

– Nie uda ci się być u nas inkwizytorem – rzekła. – Nie przeprowadzisz śledztwa i nie przesłuchasz jej, chociaż nie wiem jak byś się starał.

– Cóż, nawet jeśli o czymś takim myślę, to na pewno nie stanie się to ani dziś, ani jutro – odparłem.

Kiedy dotarliśmy na pole wygasłej już bitwy, wielkiego Wilka pieczołowicie i ostrożnie oskórowywano. Wył i warczał przeraźliwie, ale nadal były to wycie oraz warkot, co prawda rozedrgane opętańczym bólem, lecz jednocześnie groźne oraz wściekłe. Zastanawiałem się, kiedy przemienią się one w pełne bólu skomlenie, w którym jedyną odczytywalną nutą będzie zew pragnienia szybkiej śmierci.

Jestem człowiekiem subtelnym i wrażliwym, wychowałem się w kulcie antycznego smaku, a moje dzieciństwo upływało wśród kosztownych, wyrafinowanych przedmiotów i wśród pięknych ludzi. Bóg chciał, abym zamiast spędzać czas wśród dzieł sztuki, zamiast zgłębiać wiedzę w bibliotekach czy choćby zamiast cieszyć się doczesnymi urokami i dogadzaniem sobie w sferze

łóża oraz stołu, poświęcił swoje życie szerzeniu wiary chrześcijańskiej i walce z jej wrogami. W związku z tym nie tylko widziałem wiele rzeczy, które u zwykłego zjadacza chleba wywoływałyby dreszcz grozy, ale i popełniłem również wiele uczynków, przed którymi zawahałaby się ręka człowieka niemającego wiary tak silnej jak moja. Sprowadzając te dumne słowa do prozy dnia codziennego, mogę powiedzieć, iż wiele napatrzyłem się w życiu na wszelkie ludzkie wydzieliny, nasłuchałem się wiele krzyków lęku oraz lamentów męki, poznałem wiele ohydnych i plugawych uczynków moich bliźnich, które czasami wyznawali oni z szatańską dumą, a czasami już tylko z rozpaczliwym pragnieniem odkupienia. Wąchałem krew, kał, wymioty, zółć, ropę, pieczone ciało i palone włosy. I nigdy, ale to nigdy żadna z tych rzeczy mi się nie podobała. Nie zostałem inkwizytorem, gdyż bawiła mnie udręka ludzi, lecz dlatego, że marzyłem, by oczyszczać świat. Tak jak rolnik oczyszcza pole z chwastów albo stajenny oczyszcza stajnię z nieczystości. Zostałem inkwizytorem, gdyż pragnąłem pomagać tym, którzy nie mogli pomóc sobie sami, i karać tych, których nikt inny ukarać nie potrafił. I choć moja wrażliwa natura buntowała się czasem przeciwko prozie inkwizytorskiego życia, to zawsze powtarzałem sobie: *Non nobis, Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam*. Dlaczego o tym mówię? Ano dlatego, byście zrozumieli, mili moi, iż widząc potworną bestię, złowrogięgo demona, który pragnął śmierci ludzkości, a wielu bezbronnych w obrzydliwy sposób upokorzył, zameczył i zamordował, widząc tego potwora cierpiącego, krwawiącego i wyjącego w męce, nie odczuwałem ani przykrości, ani satysfakcji. Nie miałem zamiaru przyglądać się jego kaźni dla przyjemności, ale nie miałem też zamiaru umykać ze wzrokiem. Wziąłem odpowiedzialność za to, co się działo, i na mój rozkaz czyniono to, co było konieczne oraz właściwe.

– Bardzo dobrze, psie, że kazałeś go utrzymać przy życiu –

pochwaliła mnie czarownica i spojrzała życzliwie. – Większość narządów ma większą siłę, kiedy wycina się je z żyjącego ciała lub niedługo po śmierci. Ach, co za piękne futro...

– Futro jest moje – oznajmiła Natasza lodowatym tonem, lecz bardzo głośno.

– A bierz je sobie – machnęła ręką wiedźma (a więc stało się tak, jak Natasza przewidziała).

Zobaczyłem, że słysząca żądanie Nataszy księżna mocno się skrzywiła. Widocznie też miała ochotę na tę imponującą skórę zawieszoną na ścianie lub rozłożoną przy łóżku czy kominku. A może myślała, by wilka wypchać i ustawić przy książęcym tronie jako wiecznego, martwego strażnika, który przerażałby wszystkich prawdziwymi kłami i oczami zrobionymi z ognistych lub pomarańczowych kamieni albo szkieł? Tak czy inaczej, Ludmiła rozsądnie nie zamierzała się kłócić z Nataszą, jak widać, uznała słusznie, że i nam coś się należy za walkę z demonem. Choć trzeba też przyznać, że rezygnowała z najbardziej atrakcyjnej dla zwykłego człowieka części łupu.

– Ale łeb nie będzie ci potrzebny, prawda, Nataszka? – zagadnąłem łagodnie.

– Nie, łeb mogą sobie zabrać. – Potrząsnęła głową. – Ale chcę pięć pazurów i oba kły z górnej szczęki.

– Niedoczekanie! – warknęła wiedźma.

– Chcę dwa kły i chcę pięć pazurów – powtórzyła Natasza nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Chcę z nich zrobić naszyjnik i amulet mojemu mężczyźnie.

Zauważyłem, że jej włosy uniosły się niczym futro potarte bursztynem. Zjeżenie było ledwo zauważalne, ale ponieważ stałem blisko, to nie tylko je dostrzegłem, lecz i poczułem towarzyszącą zjawisku moc. Włoski na moim karku i rękach również zaczęły się podnosić. Zaniepokoiłem się, bo wyczuwałem, że Natasza jest naprawdę zła. Była przecież zdenerwowana, zobaczyła wielu umierających ludzi i wiele



zdychających potworów, jej samej groziła śmierć, więc wolałem, by teraz nie wybuchła w akcie niekontrolowanej agresji. I to w dodatku z błahego tak naprawdę powodu. Pogłaskałem więc ją uspokajająco po wierzchu ręki, a kiedy odwróciła na mnie martwe spojrzenie, uśmiechnąłem się do niej i pocałowałem wewnątrz jej dłoni. Jej oczy złagodniały. Posłała mi całusa i odwróciła się do mateczki Olgi.

– No dobrze. Pięć pazurów i jeden kiel – oznajmiła stanowczo.  
– Ale to jest moje ostatnie słowo.

– Niech i tak będzie – burknęła starucha.

Wydawało mi się, że w pełne boleści wycie obdzieranego ze skóry demona wdarła się jakaś nowa nuta. Tak jakby to, że stoimy nad nim i dzielimy jego żywe jeszcze ciało na części i spieramy się, kto którą z nich weźmie, spowodowało, że całkowicie przestał już wierzyć, iż wydarzy się coś, co odwróci bieg spraw.

– No i zostałam tylko z łbem – burknęła niezadowolona Ludmiła.

Wiedźma obróciła na nią wzrok.

– I z księstwem – dodała zimno.

– I z księstwem – zgodziła się księżna i chyba trochę się rozpogodziła.

Odeszliśmy z Nataszą daleko na bok, by to ogłuszające wycie nie świdrowało nam aż tak w uszach. Dziewczyna nagle przykucnęła przy jęczącym żołnierzu. Jego towarzysz nieudolnie starał się zatamować rannemu krew lejącą się z rozoranego przedramienia. Wojak aż się skurczył ze strachu, ale Natasza powiedziała coś do niego łagodnym, śpiewnym głosem, potem zgmiotła w dłoni jakieś liście (skąd ona, na miecz Pana, wzięła te liście? Przecież miała przed chwilą puste dłonie, pomyślałem) i zaczęła wcierać je w rany mężczyzny. Żołnierz zaryczał głosem tak pełnym bólu, że na moment aż zagłuszył skowyczącego czarnego Wilka, po czym stracił przytomność i padł łbem

w bagnistą breję. Natasza spokojnym głosem wyjaśniała coś jego kompanowi, wreszcie podniosła się i wzięła mnie znowu pod rękę.

– Nataszka, powiedz mi, proszę, że go nie zabiłaś... – powiedziałem pełen obawy.

Bo zupełnie czym innym jest wydrapanie oczu agresywnemu kupcowi, a zupełnie czym innym zabicie biednego rannego żołnierza, który dzielnie przetrwał bitwę z potworami. I nieważne, czy jest to zabicie celowe, czy przypadkowe.

– Jeśli nie pomyliłam ziół, to nie – odparła.

Potem zaśmiała się, kiedy zobaczyła moją minę.

– Oj, nie pomyliłam, no coś ty... Będzie długo spał, ale przynajmniej się nie wykrwawi.

– Skąd wzięłaś zioła? Nie miałaś ich jeszcze przed chwilą w ręku.

Spojrzała na mnie trochę figlarnie, a trochę pobłaźliwie.

– To, że czegoś nie widzisz, nie oznacza, że to coś nie istnieje.

Nie dało się ukryć, że była to nie tylko szczerą prawdą, ale wręcz jeden z dogmatów rządzących nie tylko Świętym Officjum, lecz i naszą świętą wiarą. A tak naprawdę powinien być to jeden z dogmatów rządzących ludzką cywilizacją.

– Nataszka, co on mówił, że miałaś być jego oblubienicą?

Przysunęła się do mnie.

– Sama chciałabym wiedzieć – zaszepotała.

– Wiedźma miała was pięć, prawda? Było was kiedyś więcej?

Wzdrygnęła się.

– Było – odparła, a jej głos wyraźnie się zmienił.

– Domyśliłem się, że któraś z was została ukarana za bunt przeciw czarownicy, ale interesuje mnie, czy którąś przeznaczono innemu mężczyźnie? Czy jakaś dziewczyna została wybrana albo sama wybrała, tak jak ty mnie?

– Tak było – powiedziała. – Kiedy miałam dziesięć lat, starsze dziewczęta odeszły. Wszystkie w ciągu roku – westchnęła. – Były

dla nas jak siostry – znowu westchnęła.

– Komu je ofiarowano?

Potrząsnęła tylko głową.

– Dlaczego teraz nie ma młodszych dziewcząt? – zapytałem.

Zaśmiała się nagle.

– A kto ci powiedział, że nie ma?

– Jak to?

– To, że czegoś nie widzisz, nie oznacza, że to coś nie istnieje – powtórzyła już znane mi zdanie. – Mateczka ich nie wołała, kiedy przybyliście do jej domu, bo niby po co? Na bagna też nie poszły, bo są jeszcze dziećmi i łatwo by zginęły... Ale jest ich sześć. – Natasza uśmiechnęła się. – Jedna pachnąca jak tatarak, jedna gorzka jak piołun, jedna podstępna jak szalej, jedna sprytna jak powój, jedna silna jak sosna i jedna piękna jak lilia.

– Bardzo ładnie. – Skinąłem głową. – Ale wróćmy do tego przerośniętego wilka. Naprawdę sądzisz, że wiedźma oddałaby cię takiemu potworowi?

Natasza objęła mnie i nachyliła się do mojego policzka.

– Może tak, może nie. Może obiecywała i okłamała, może obiecywała i zmieniła zdanie. A może on prosił, a ona odmówiła. Nie wiem, czy się kiedyś dowiemy, jaka była prawda.

Przypomniałem sobie te zamknięte w klatkach nieszczęsne kobiety, które żołnierze Ludmiły zakłuli włóczniami. Bogu ducha winne ofiary wilczej żądzy i chęci spłodzenia potomka, który zostałby wielkim bohaterem. Nic nie zawiniły, ale nie mogły dłużej żyć. Zapewne codziennie modliły się o wybawienie, a kiedy wreszcie to wybawienie nadeszło, okazało się zagładą.

– Pewnie bym umarła – powiedziała. – A na pewno umarłabym przy porodzie.

– Pewno tak – zgodziłem się.

– Czy takie rzeczy się dzieją? U ciebie w Cesarstwie?

Pokręciłem głową.

– Krążą opowieści o Mrocznych Wiekach, o czasach sprzed

setek lat, kiedy lasy i bagna były pełne demonów, czarownice latały nad wsiami i miastami jak wielkie ptaki, a wiedźmy i czarnoksiężnicy rządzą ludźmi i karali ich oraz nagradzali wedle swojego uznania.

– O, musiało być miło! – Klasnęła.

– Zależy komu – odparłem. – Na pewno nie zwykłym ludziom. Ci zwykli ludzie żyli w strachu, w nędzy i w poniżeniu. Dopóki całego świata nie wyzwolili inkwizytorzy...

– Ach, więc to jest bohatera opowieść! – Mrugnęła do mnie. – Niech zgadnę: opowiada się ją przed snem małym inkwizytorom?

– Zauważyłaś? Wycie umilkło... – Spojrzałem w stronę pobitewnego pola, ale i tak nic nie było widać spoza drzew.

– Albo zdechł, albo mu wycięli język. – Zmarszczyła brwi. – Jak myślisz, czy wilk może wyc albo warczeć, kiedy wytnie mu się język?

– Nie mam pojęcia, Nataszka. Chodź, zobaczymy, czy wszystko dobrze z naszym futrem...

Objęła mnie w pasie i wolnym krokiem poszliśmy w stronę obozowiska.

– Oddycha! Śpi! – zawołał mijający żołnierz (tyle zrozumiałem) i dalej ze złożonymi dłońmi i wpatrzony w Nataszę jak w obrazek mówił coś, czego już kompletnie nie pojąłem, bo było i za szybko, i całkowicie niezrozumiałe.

Natasza nic nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się do niego.

– To miło, że uratowałaś mu życie – przyznałem.

– Jeść mi się chce – zignorowała moją pochwałę. – I spać. I żebyś masaż mi zrobił... I w ogóle... Taka jestem zmęczona. – Ziewnęła. A potem na moment całkowicie otrzeźwiała. – Pilnuj mnie, jeśli zasnę. Będziesz pilnował?

Jej słowa podziały na mnie jak ostroga wbita w koński bok.

– Dlaczego? Co się może wydarzyć? Czego się boisz?

– Od razu boisz... – Wzruszyła ramionami. – Po prostu pilnuj

mnie i już.

– Jak oka w głowie – obiecałem jej.

– Jak duszy? – spytała.

– Jak duszy – odparłem, przykładając dłoń do piersi.

Nawet nie wiem, jak to się stało, że okazało się, iż wiedźma stoi tuż za naszymi plecami. Mimowolnie skrzywiłem się, nawet nie z tego powodu, że nie podobało mi się jej towarzystwo (choć to akurat była prawda: nie podobało mi się), lecz byłem zły na siebie, że znowu ani nie usłyszałem, ani nie wyczułem, kiedy się zbliżała.

– Jeśli mnie się boisz, Natasza, to nie musisz się bać – oznajmiła oschle. – A gdybyś miała się czego bać, to twój inkwizytor i tak cię przede mną nie uratuje.

– Nie boję się ciebie. – Natasza spojrzała śmiało, ale i jak dostrzegłem, wrogo prosto w jej oczy.

– Dlaczego ktokolwiek miałby się bać kogokolwiek? – powiedziałem pojednawczym tonem. – Jesteśmy przecież sojusznikami. Wrócimy do Peczory, będziemy śpiewać, opowiadać bohaterskie historie pełne wojennych przewag, pić wino i przechwalać się... – Uśmiechnąłem się serdecznie.

Natasza ścisnęła moją dłoń.

– Miałam zginąć – oznajmiła.

– Co takiego? – zdumiałem się.

– Spytaj jej. – Wskazała ruchem głowy staruchę. – Miałam zginąć, prawda?

– Twój inkwizytor jest silniejszy i bardziej zdeterminowany, niż sądziłam – odpowiedziała wiedźma, ale przecież te słowa nie były tak naprawdę odpowiedzią, jakiej się spodziewaliśmy.

– Wilk miał zająć się mną, a to by go osłabiło i wystawiło na ciosy. Ja byłam zaledwie przynętą. – Natasza miała zaciętą twarz. Czulem, że jest naprawdę zła. – A ty, miły mój, dostałbyś Tamarę, tak jak to zaplanowano wcześniej... I sprawy wróciłyby w koleiny, które sobie wyrzeźbiłaś, czyż nie? – Spoglądała na

dawną mentorkę jawnie wrogim wzrokiem.

– Nataszka, wszystko dobrze się skończyło – rzekłem łagodnie.

– Czy to nie jest teraz i tutaj najważniejsze?

Obróciła się i spojrzała na mnie smutno. Położyła dłoń na moim policzku.

– Galina była naszą siostrą. Naszą towarzyszką. Kiedyś – rzekła z goryczą.

Gala. Galina. Tak Natasza nazwała owego pokraka, który został poświęcony, abym mógł bezpiecznie wędrować po nie-świecie.

– Mój Boże – powiedziałem. – To ona się zbuntowała, tak? To ona była tą najodważniejszą z was?

– Najgłupszą – pogardliwie prychnęła wiedźma.

– Pocięła jej twarz ostrzami – ciągnęła Natasza rozgorączkowanym szeptem. – Połamała jej ręce i nogi i potem kazała jej pełzać. Biła ją. – Dziewczyna wtuliła się we mnie. – Złamania źle się pozrastały. Ona tak strasznie płakała, czasami tak okropnie wyła. Mój Boże! – Nagle Natasza rozpłakała się.

– Bądź sprawiedliwa, Natasza – przykazała wiedźma spokojnie.

– Co to znaczy „bądź sprawiedliwa”? – zapytałem.

– To jest opowieść Nataszy – odparła starucha. – Niech ona mówi...

– Co to znaczy „bądź sprawiedliwa”? – spytałem, tym razem odwracając twarz w stronę dziewczyny.

Odsunęła się ode mnie.

– Ostrzegała nas – przyznała niechętnie. – Ostrzegała, że każdą z nas ukarze za zdradę, jeśli na taką zdradę się poważymy.

– I? – poddała wiedźma.

– I opisała dokładnie, co wtedy z taką dziewczyną robi – wyjaśniła Natasza jeszcze bardziej niechętnym tonem. – I jak przyszło co do czego, to właśnie to zrobiła...

– Ale ta mała wtedy nie uwierzyła – westchnąłem.

– Była najśmielsza z nas. Najsilniejsza. Najbardziej bystra.

– Nie była gotowa – rzekła czarownica dziwnie przygnębionym tonem. Potem spojrzała na mnie. – Niedobrze tracić uczennicę, nawet jeśli samemu się ją zabija. To, co się wydarzyło, świadczyło o jej głupocie, ale to ja, nikt inny, jestem za tę głupotę odpowiedzialna.

Przyglądałem się jej zdziwiony, bo nie spodziewałem się takich słów po wiedźmie. Może właśnie dlatego była tak silna, iż potrafiła myśleć nie tylko o swojej mocy, ale również o własnych słabościach oraz ograniczeniach?

– Nie chcę cię krzywdzić, Natasza – rzekła wiedźma już twardo. – Cokolwiek uroiłaś sobie w swojej szalonej głowie, to tego bądź pewna: nie zamierzam na siłę zmieniać twojego przeznaczenia.

– Nie istnieje nic takiego jak nieuchronne przeznaczenie – stwierdziłem mocnym głosem. – Nie żyjemy w antycznej Grecji, nie gramy na deskach teatru, a naszego losu nie wypisały Mojry. Żyjemy w świecie ludzi wolnej woli. Wolnej woli, którą otrzymaliśmy w darze od naszego Wszechwiecznego Pana.

Czarownica spojrzała na mnie, wzruszyła ramionami i zaśmiała się złośliwie. A potem odeszła kolebiącym się krokiem w stronę czterech swoich dziewcząt, które gotowe były, by wracać do domu. Przez chwilę przyglądałem się jej, potem odetchnąłem głęboko. Co prawda znajdowaliśmy się jeszcze na trzęsawiskach, we wrogiej, niebezpiecznej głuszy, na niezbadanych dotychczas ostępach, lecz paraliżująca, obeszła groza emanująca z tego miejsca już się ulotniła. Tak jakby ze śmiercią Wilka i jego sług nastąpił rodzaj błyskawicznego oczyszczenia i wyzwolenia. Jakby przekleństwo ciężące nad okolicą ustąpiło. Jakby czarne chmury rozeszły się na bok, odsłaniając może jeszcze nie słońce, lecz przynajmniej szare niebo zwiastujące nadzieję, że i jasne promienie kiedyś się na nim pojawią.



Wracaliśmy upojeni triumfem. Przeświadczeni o wspaniałej przyszłości, jaka nas czeka, i nawet ja dałem się ponieść entuzjazmowi, chociaż przecież w mojej nieszczęsnej sytuacji, niewolnika w dzikim kraju, niewiele się zmieniło. Nawet fakt, że zwyciężyłem wodza tej demonicznej hordy, nie został dostrzeżony przez żołnierzy. Zbytńio sami byli zajęci walką, by zwracać uwagę na zdarzenia toczące się wokół nich czy za ich plecami. Jeżeli niektórzy z nich zauważyli cokolwiek, to najwyżej, że mateczka Olga złapała potwora w srebrną sieć, a więc i jej przypisywali główny udział w zwycięstwie. Nie bolało mnie to szczególnie, gdyż najważniejszy był fakt, że kiedy przyjdzie czas Osądu, przed obliczem Pana będę mógł szczerze zaświadczyć, co się wydarzyło i co uczyniłem ja sam, a co uczynili inni. Wiedziałem również, że Natasza widziała wszystko, co zaszło, i zdałem sobie sprawę, iż tylko tego żałowałbym w całej wojnie: gdyby ona nie była świadkiem mojej walki. Cóż, a więc stałem się przy niej nieznośnie zwyczajny w chęci dostrzeżenia podziwu lub wdzięczności w oczach kobiety. Trudno...

Czas też by opowiedzieć, czy raczej dokończyć historię życia Modesta Dobrynicza, owego niesfornego tropiciela, który miał pecha, by nie usłuchać rozkazu swej władczyni.

– A może nie wyrzucę tej jego głowy? – zamyśliła się Natasza, kiedy zagadnąłem ją, co zamierza zrobić z tropicielem. – Może jeszcze nam się przyda? A zresztą wielkie damy mają śpiewające ptaszki w klatkach, a ja miałabym krzyczącą głowę. – Roześmiała się rozbawiona własnym konceptem.

– Nataszka, nie ma co męczyć człowieka, zresztą obiecałaś mu...

– Oj tam, obiecałaś – nadąsała się. – Wymusknęło mi się i już. Objąłem ją.



– Nataszka, bądź sprawiedliwa. Ja wiem, że dla ciebie ta głowa to świadectwo triumfu twoich umiejętności. Ale przecież jak będzie koniecznie trzeba, to utniesz sobie następną...

Spojrzała na mnie.

– Tak myślisz?

– Oczywiście.

– Może i masz rację – westchnęła.

– W jaki sposób go... – chciałem użyć słowa „zabijesz”, ale w sumie nie wiedziałem, czy jest ono odpowiednie dla gadającej, choć odciętej od ciała głowy, więc dokończyłem: – unicestwisz?

– Jeszcze się zastanowię – zmarszczyła brwi – na razie, kiedy go nie budzę, to zupełnie nic mu się złego nie dzieje, więc nie musisz się martwić, że się męczy...

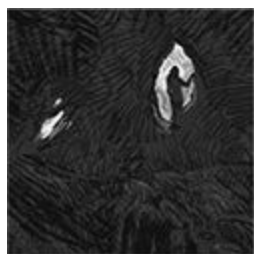
– Przynajmniej to dobre – odparłem, dłużej nie nalegając, ale obiecując sobie, że wrócę do tej sprawy.

W Peczorze dowiedziano się wiele wcześniej o naszym powrocie i ci, którzy wracali, wracali dumni, pewni siebie i butni. Po ich minach, marsowych i wyniosłych, widać było, iż będą się chełpić wojennymi przewagami nie tydzień, nie miesiąc i nie rok, ale pewnie dopóki starczy im życiodajnego tchu w piersiach (a słuchaczom cierpliwości, by słuchać). Największe jednak wrażenie robiła gigantyczna, spreparowana już skóra wilka, którą niesiono rozpiętą na wysokich żerdziach. I w tych dniach wszyscy wiwatujący na drodze książęcego orszaku wierzyli, że od tej pory będzie im się żyło lepiej. Że będą zdrowsi, szczęśliwsi i bogatsi, że wszystko, co złe, zniknie we mgle unoszącej się nad trzęsawiskami, a wszystko, co dobre, zawita do ich domów. Była to ta niezmacona, żywiołowa radość, z jaką prostaczekowie wierzą, że skoro władca obiecał im, iż wszystko będzie dobrze, to naprawdę wszystko będzie dobrze. Z doświadczenia wiedziałem, jak rzadko sprawdzają się podobne nadzieje. Ale również z doświadczenia wiedziałem, że czasami jednak się sprawdzają...



## Rozdział szósty

# Dom zwiastowanej śmierci



**M**inęła jesień i minęła zima, bo w tym dzikim, barbarzyńskim kraju pory roku następowały jedna po drugiej tak samo, jak i w całym cywilizowanym świecie. Tyle że jesień tutaj była naprawdę dżdżysta, a przepływająca nieopodal zwykle raczej spokojna rzeka zmieniała się w rozszalały żywioł, którego wody zalewały nawet podegrodzie. Potem bardzo szybko przyszła zima i zasypała wszystko zwałami śniegu oraz skuła wysokim lodem. Ludzie rzeźbili korytarze w zaspach, by móc przedostać się z domu do domu, a rzeka pokryła się grubą lodową skorupą, po której można było bez obawy podróżować konno, a nawet zaprzężonym w woły wozem. I było przeraźliwie zimno, zwłaszcza nocami i zwłaszcza wtedy, kiedy hulał wiatr.

Przy tym wszystkim jednak w Peczorze panował spokój. Nie taki zauważalny na pierwszy rzut oka (gdyż przecież nadal w zamku rządziły bałagan i pośpiech na zmianę z lenistwem), ale sięgający gdzieś głębiej, roztaczający aurę bezpieczeństwa, dający poczucie spokoju, zaufania i wiary, że wszystkie sprawy toczą się tak, jak powinny się toczyć, a potoczą się jeszcze lepiej.

Od kiedy przeżyliśmy wyprawę na trzęsawiska, od kiedy odnieśliśmy ten wielki triumf, okupiony bólem i śmiercią, ale jednak triumf, Ludmiła stała się spokojniejsza i łaskawsza, tak jakby utwierdziła się w przekonaniu, że książęcy stolec Peczory należy się jej i będzie się jej należał po wiek wieków. Na tyle się rozdokazywała, iż jak sama przyznała w rozmowie ze mną,

wysłała wstępne zaproszenia do rozmów o ślubie. Mnie interesowało oczywiście, czy wreszcie wielki książę Nowogrodu raczy przysłać na jej dwór jednego z doświadczonych wołchów, lecz Ludmiła twierdziła, iż cały czas jest zbywana. Czy była to prawda? No cóż, po wiktorii na bagnach księżna, niestety, zrozumiała, że jestem silną bronią w jej ręku. Bo może żołnierze nie do końca poznali się na moich bitewnych przewagach, ale Ludmiła dostrzegła je znakomicie. I byłem pewien, iż zastanawiała się, po co ma płacić wielkiemu księciu Włodzimierzowi za wołcha, skoro tak naprawdę wystarczam jej ja, którego służba jest niemal darmowa. Nie miałem też żadnych wieści z Cesarstwa, żadnych słów otuchy i wsparcia, żadnych obietnic odmiany mojego losu. Święte Oficjum milczało, jakby nie znajdowało się trzy tysiące mil stąd, ale gdzieś w innym, obcym świecie, w którym pisma przepadają wśród kosmicznej pustki. Zresztą może naprawdę przepadały? Może były konfiskowane w Nowogrodzie, a może już w Peczorze? Byłem pozbawiony nawet towarzystwa jedyne go tu człowieka, który pochodził z Cesarstwa. Zygfyrd został bowiem jeszcze przed zimą wysłany za Kamienie i wraz z żołnierzami zimował wśród Jugrów. Jakie wyznaczono im zadania, tego nie wiedziałem i o to nie dopytywałem, gdyż nie była to moja sprawa.

Ludmiła kazała nam wyszykować nową kwaterę i teraz wraz z Nataszą mieliśmy jeden duży pokój połączony wewnętrznymi drzwiami z osobną sypialnią. Zyskaliśmy również nowego lokatora, a może lepiej powiedzieć: nowego przyjaciela. Na moją usilną prośbę Ludmiła ofiarowała bowiem Nataszy jednego ze szczeniaków owej krwiożerczej Zwiezdy – psa, który wywodził się z rasy zamieszkującej Dach Świata. Ten czarny kłębek futra na jesieni jeszcze w niczym nie przypominał swych groźnych rodziców, ale już zimą łatwo można było dostrzec, iż wyrośnie z niego potężny i budzący grozę pies. Wydaje mi się, że lubił mnie i tolerował, ale w Nataszy był zakochany prawdziwie i po

sam czubek futrzanych uszu. Chodził za nią krok w krok, starał się uprzedzać jej życzenia, a kiedy ktokolwiek oprócz mnie ośmielił się do niej zbliżyć na mniej niż kilka kroków, to sierść na jego lwiej grzywie jeżyła się, a sine wargi podnosiły się do góry, obnażając długie i ostre kły. Natasza uwielbiała się z nim bawić, tarmosić go, żartobliwie ciągnąć za uszy i ogon, a on nie tylko to znosił, lecz domagał się podobnych karesów popiskiwaniami niepasującym do dorastającego już zwierzęcia należącemu przecież do rasy prawdziwych psich morderców.

Czy można uznać za korzyść z zimy, która zamknęła nas w fortecy, że nauczyłem się ruskiego języka? No cóż, może nie władałem nim biegle i ze swadą, ale nie miałem najmniejszych kłopotów, by swobodnie porozumiewać się w tej szeleszczącej, miękkiej mowie. Na pewno zawdzięczałem to nawet nie Andrzejowi, ale przede wszystkim Nataszy, którą bardzo rozbawiło, iż będzie mogła się wcielić w rolę nauczycielki, i która rolę tę odgrywała nie tylko wdzięcznie, lecz przede wszystkim skutecznie. No i Natasza... O tak, piękna, słodka Natasza, która przez jesień i zimę rozkwitła w pełni kobiecej urody. Kiedy szła korytarzami fortecy, widziałem, jak wiele mężczyzn, chłopców, kobiet i dziewcząt nie może pohamować ciekawości i zerka na nią, chociaż na początku tak się bali, że wbijali wzrok w podłogę. Nie żeby przestali się jej bać. Sądzę, iż po legendach, jakie krążyły o wyprawie na mokradła, bano się jej jeszcze bardziej. Sam słyszałem niestworzone historie, jakie o niej opowiadano. Ale do tej bojaźni pętającej ludziom nogi i języki doszedł podziw dla jej urody. Natasza nawet rozczochrana i byle jak odziana wyglądała niczym księżniczka. Owszem, była to księżniczka rozczochrana i byle jak odziana, ale jednak księżniczka...

Nasze sprawy, sprawy moje i Nataszy, układały się więcej niż dobrze. Gdyby powiedzieć, że jedliśmy sobie nawzajem z dzióbeczków niczym ptaszęta, byłaby w tym może pewna przesada, ale nie taka znowu wielka. Oczywiście zdarzały się

nam kłótnie, jednak po pierwsze, nie były one intensywne, a po drugie, pioruny, które mogłyby nastąpić, kierowaliśmy tak, by były w nas w łóżu, gdyż wtedy obojgu nam podobało się to bardziej niż bardzo. Czasami nasza miłość wyglądała jak zwyczajne obcowanie pomiędzy dwojgiem całkiem zwyczajnych ludzi, czasami jednak Natasza niemal traciła przytomność, w jej umyśle kłębiły się fantasmagoryczne wizje i obrazy, a ja to wszystko widziałem już w sposób bardziej zbliżony do rzeczywistości, jaką obserwujemy z oknem pokoju, a nie z okien wyobraźni, dzięki którym zaglądamy w senne koszmary.

Nie było w tych wizjach niczego, co mógłbym uznać za niepokojące. Raz tylko, kiedy leżeliśmy po wyjątkowo intensywnych doznaniach, Natasza oparła się o mnie. Kropelka potu spłynęła z jej nosa i kapnęła na moją pierś. Natasza roześmiała się i zapytała:

– I co zobaczyłeś, mój miły?

– Nic – skłamałem. – A raczej, ściślej mówiąc: nic ciekawego – dodałem. – Widziałem tajne przejście pod pokojem Ludmiły, ale było w nim ciemno i pusto. – Wzruszyłem ramionami. – Może taka jest właśnie przyszłość tego sekretu? Nikt go nie użyje, dopóki nie zawali się ze starości...

– Eee, kłamiesz. – Przyglądała mi się pobłażliwie. – Zawsze wiem, kiedy kłamiesz. Próbujesz mnie chronić, prawda?

– Ja?

Tym razem już się nie odezwała, tylko patrzyła na mnie z łagodnym wyrzutem.

– Zawsze lepiej wiedzieć, co złego może się zdarzyć, gdyż tylko wtedy można się z tym zmierzyć. Czy nie tak właśnie jest?

– Chciałem zobaczyć więcej, zanim ci powiem – odparłem.

– Powiedz teraz.

– Widziałem ciebie.

Skinęła głową.

– Skoro nie chciałeś mi powiedzieć, co widziałeś, to znaczy, że

widziałeś coś złego, prawda?

– Prawda – zgodziłem się.

– Więc co to było?

– Uciekaliśmy – odparłem. – Dobrze czułem, że uciekamy, że jesteśmy w ogromnym niebezpieczeństwie... Słyszałem twój oddech za plecami, a kiedy zerknąłem za siebie, zobaczyłem, że masz zmęczoną, przestraszoną i ściągniętą bólem twarz.

Roześmiała się.

– To takie śmieszne? – Zmarszczyłem brwi.

– Kto nas gonił?

– Nie wiem. Wrogowie.

– Skąd nas gonili?

– Z fortecy – odparłem.

– A myśmy uciekali do wyjścia za mury, tak?

– Tak właśnie to widziałem.

– Czyli niebezpieczeństwo było za naszymi plecami, a wolność była przed nami?

– Nataszka, nie wiem, do czego zmierzasz...

Położyła mi dłoń na twarzy.

– I zostawiłeś mnie z tyłu? Tam skąd mogło przyjść niebezpieczeństwo? Ty?

Milczałem chwilę.

– Różnie sprawy mogą się potoczyć...

Ujęła mnie jej wiara w moją rycerskość, ale trudno było negować całą wizję tylko dlatego, że powinienem biec drugi, a nie pierwszy. Natasza westchnęła.

– Może i tak – przyznała mi niechętnie rację. – Może niebezpieczeństwo mogło być większe z przodu i dlatego biegłeś przede mną...

Przeciągnęła się. Jej piersi były większe i pełniejsze, niż kiedy się poznawaliśmy, co jak się domyślacie, mili moi, wcale a wcale mi nie przeszkadzało. Natasza zobaczyła moje spojrzenie, mrugnęła figlarnie i uśmiechnęła się.

– Nie sądziłam, że będziesz na mnie patrzył takim wzrokiem po kilku miesiącach tego, co wyprawiamy...

– Jakim wzrokiem?

Zaśmiała się.

– Jakbyś chciał mnie zjeść i zastanawiał się tylko, z której strony zacząć. – Przetoczyła się w moje ramiona. – To naprawdę słodkie – zamruczała.

I tak to biegły nasze dni z Nataszą, chociaż spędzaliśmy czas nie tylko w łóżku. Nauczyłem ją jeździć konno, sam zaś opanowałem umiejętność powożenia saniami i czasami, kiedy świata nie darł na strzępy porywisty wicher, zdarzało nam się wyjeżdżać na dłuższe czy krótsze spacery.

Po bitwie na bagnach stosunki moje i Andrzeja stały się może nie przyjacielskie, ale na pewno cieplejsze niż poprzednio. Zawsze byliśmy wobec siebie uprzejmi, lecz tym razem obok uprzejmości pojawiło się zaufanie i pewna doza kordialnej serdeczności. Czasami piliśmy razem wino i w czasie jednego z tych poczęstunków (gdyż trudno było nazwać wielką popijawą opróżnienie raptem dwóch butelek trunku) mój towarzysz zagadnął:

– Nie obrazicie się, jak was o coś spytam? – głos Andrzeja wyrwał mnie z zamyślenia.

– Inkwizytorzy są zbyt pokorni, by się obrażać – odparłem.

– Jak to jest być z taką dziewczyną jak Natasza? – zapytał z wahaniem.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Ci, których dotknął palec Boży, widzą litą ścianę tam, gdzie my, zwykli ludzie, widzimy ścieżki, natomiast ścieżki dostrzegają tam, gdzie nam drogę przegradza lita ściana – rzekłem. – Chociaż nie wiem, czy to jest odpowiedź na wasze pytanie... – dodałem.

Pokiwał głową.

– W pewnym sensie jest – odparł. – A wizje? Obrazy, które Natasza wam ukazuje? Czy to jest bardzo niezwykle?



– Bardzo – odparłem. – Zarówno niezwykle, jak i groźne oraz zaskakujące...

– Zawsze tylko wołchowie mieli styczność z tymi dziewczętami – rzekł. – A wołchom nikt nie zadaje podobnych pytań, jakie ja wam teraz zadałem. Wybaczcie ciekawość...

– Rozumiem waszą ciekawość – odparłem. – To całkiem naturalne.

– Ten obraz, który kazaliście malować Wasylowi... – Andrzej westchnął. – Wiecie, że czasami pojawia mi się w snach?

– Wszyscy go pamiętamy – zgodziłem się z nim. – Nie wiem, czy to dobrze, że... – zawiesiłem głos na chwilę – że go nie zniszczono.

Wzdrygnął się.

– Bóg mi świadkiem, że błagałem o to Jej Wysokość – rzekł. – Dobrze przynajmniej, że kazała zabić drzwi do tego pokoju.

Skinąłem głową.

– Z drugiej strony sam przyznam, że to jest wielkie dzieło – powiedziałem. – Może i księżna ma rację, iż nieprędko coś podobnego powstanie na świecie?

Andrzej jakoś skurczył się w sobie i wpatrzył ponuro w blat stołu.

– Czasami wydaje mi się, znaczy śnię o tym, że zakradam się do tego pokoju – mówił zgaszonym głosem. – I zbliżam się do tego obrazu. Taki mnie wtedy przeraźliwy strach przejmuje, że...

Podniósł kubek drżącą dłonią i wypił trunek do końca.

– Coś dzieje się dalej? – poddałem łagodnie.

– Wchodzę tam – wyjaśnił jeszcze ciszej. – Tam do środka, w tę piekielną czeluść. Boję się, ale jednak wchodzę. Boję się coraz bardziej, a kiedy strach jest już tak... tak... tak... – szukał wyraźnie słowa. – Umieram jakby i zastygam – rzekł wreszcie. – Wtedy się budzę...

– Może stajecie się wołchem? – zażartowałem, by poprawić mu humor. Odplunął, nakreślił w powietrzu znak krzyża i zgniótł go

w pięści.

– Jezu Boże, nie powiedzcie w złą godzinę! – zawołał. – Na szczęście to się stać nie może, bo to, czy ktoś jest wołchem, ujawnia się w dzieciństwie. Czasami taki bąk jeszcze nic nie mówi, a już wiadomo, że ma moc...

– I kto to wykrywa?

– Inni wołchowicze, a czasem nawet zwykli kapłani czują, że w dziecku jest coś niezwykłego. Badają je i posyłają do klasztoru, gdzie jest szkolone tak długo, póki trzeba. Zwykle wiele lat, z tego, co wiem...

– Rodzice nic nie mają do gadania?

– No co wy? – Roześmiał się szczerze. – Zbyt ważne sprawy, by pytać rodziców, czy chcą takiego losu dla dziecka...

– Wołchowicze nie mają u was źle, prawda? Władza, bezpieczeństwo... – Przypomniałem sobie los starego Jegora, spopielonego czarną magią, i poprawiłem się: – Względne bezpieczeństwo, szacunek...

– Są szaleni – machnął ręką Andrzej, po czym spojrzał na mnie badawczo. – A wy? Nic nie czujecie, byście się jakoś zmieniali?

– Niby jak mam się zmieniać?

Wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Sami widzieliście Jegora.

– Dla mnie wyglądał po prostu jak pomyłony dziadyga – odparłem. – Na ulicach naszych miast kręci się takich wielu. Tylko doczekują się raczej kopa w zadek, a nie pięknych, młodych dziewcząt w darze...

– A Natasza?

– Co Natasza?

– Nie jest inna?

Poza tym, że moja towarzyszka stawała się coraz ładniejsza i nabierała więcej przyjemnych krągłości, to nie – wcale nie była inna. Nadal była czuła, figlarna, czasami uparta, czasami miała humorki, które jednak dość łatwo przewyciężała zarówno

dzięki swojej pogodnej naturze, jak i dzięki temu, że starałem się niepotrzebnie nie zaogniać takich niewielkich konfliktów.

– Wiecie, co powiedział Wasyl? – zagadnął znowu Andrzej.

– Wasyl mówił i mówi dużo rzeczy – odparłem. – Kiedy powiedział?

– Wtedy, jak się dowiedział, że żyjecie z dziewczyną wołcha...

A rzeczywiście, przypomniało mi się, że malarz wówczas wypowiedział jakieś zdanie, którego Andrzej mi nie przetłumaczył, a którego ja, nie znając jeszcze wtedy języka, ani nie zapamiętałem, ani nie zrozumiałem. Skinąłem głową.

– Powiedział: *ему повезет, если девушка не уььет его через полгода* – rzekł Andrzej. Teraz już rozumiecie to zdanie, prawda?

Skinąłem głową.

– Oczywiście, że rozumiem. Czemu to powiedział?

– Nie jesteście wołchem – odparł. – Więc nie potraficie postępować z takimi dziewczętami. To prawda, że zdumiewająco dobrze wam się na razie układa, ale... – Spojrzał na mnie i chyba spojrzenie miał bardziej zasmucone niż twarde. – Nie przyzwyczajajcie się do tej myśli...

Przez chwilę zastanawiałem się nad jego słowami.

– Czy ktoś mógłby mnie nauczyć, co mam robić?

Potrząsnął głową.

– Inny wołch. Ale wtedy nie będzie wam potrzebna żadna rada, bo jeśli inny wołch tu przyjedzie, to po prostu zabierze wam Nataszę.

Prychnąłem.

– Życzę szczęścia – rzekłem.

– Nic nie rozumiecie – westchnął. – Natasza nie jest waszą własnością. Nie jest waszą narzeczoną ani waszą oblubienicą. Natasza robi to, co jest jej obowiązkiem i co zostanie jej nakazane.

Milczałem przez dłuższy czas. Myśli kłębiły mi się w głowie,

a Andrzej spokojnie dopijał wino. Coś mi się zdawało, że jest bardziej pijany, niż sądziłem, bo chyba ta nadzwyczajna szczerość została właśnie wywołana nadmiarem trunku. A może nie? Może po prostu zdobył się na szczerość z życzliwości do mnie? A może powody były jeszcze inne?

– Natasza ma własne zdanie i nie sądzę, by ktokolwiek mógł ją zmusić do czegoś, co się jej nie spodoba – rzekłem.

– Już wołchowie mają baty na takie klaczki – zachichotał.

Złapałem go za kołnierz i zacisnąłem garść.

– Uważajcie – syknąłem. – Bo kiedy przekroczycie granicę, to możecie już nie wrócić...

Próbowałem się wyszarpnąć, ale przytrzymałem go na tyle mocno, że twarz mu zsiniała.

– Puście! Puście, do cholery! Proszę!

Oderwałem rękę, a on odchylił się głęboko w oparciu i przez chwilę oddychał głęboko. Zaczął rozmasowywać sobie kark.

– Wybaczcie – powiedział naprawdę skruszonym głosem, nie podnosząc wzroku. – Wcale nie życzę wam przecież źle. Mówię, jak będzie, więc nie dopominajcie się przyjazdu wołcha, bo to może oznaczać dla was kłopoty. Ale on może nigdy nie przyjechać – dodał. – Bo księżna jest z was zadowolona i wcale nie chce jej się płacić wielkiemu księciu...

No tak, a więc sprawy toczyły się tak, jak podejrzewałem, tylko tym razem wychodziło na to, że nieobecność wołcha jest z korzyścią dla mnie. Czy Natasza rzeczywiście zgodziłaby się tak łatwo na podmianę mnie na jakiegoś starego i plugawego obcego dziada? Otóż, mili moi, nie spieszo mi było, by pochopnie zaprzeczać. Bowiem z doświadczenia zarówno inkwizytorskiego, jak i życiowego wiedziałem, jak wielka jest siła obowiązku. Młode, zakochane w rówieśniku dziewczęta wychodziły za mąż za starców, gdyż tak kazali im ojcowie. Niedojrzałe dzierlatki zostawały zakonnicami, bo taką przeznaczono im rolę zaraz po narodzinach (to samo dotyczyło przecież chłopców, którzy

wstępowali do klasztoru i nikt nie pytał ich o zdanie, czy tego chcą). Nasz świat był światem, w którym wola silnych i możnych wyznaczała obowiązki słabym i biednym. A z Nataszą był jednak jeszcze jeden problem: całe życie wychowywano ją w przekonaniu, że jej obowiązki wyglądać będą tak, a nie inaczej. Może związek ze mną traktowała jak dar od losu, będący jednak jedynie chwilową odmianą, po której wszystko wróci na takie szlaki, jakie przeznaczono jej od zawsze?

Uniosłem kubek.

– Dziękuję wam, żeście mi powiedzieli prawdę – rzekłem. – I najuprzejmiej oraz pokornie proszę was o wybaczenie, że szarpałem was za kołnierz.

Wypuścił powietrze przez wydęte usta.

– Wybaczam. Przynieście jeszcze ze dwie butelki, a wybaczę wam już całkowicie.

Podąłem mu rękę.

– Niech i tak będzie – zgodziłem się z uśmiechem.



Śnieg zaczynał tajać, na rzece Peczorze puszczały lody i coraz częściej zamiast skutej litym lodem powierzchni widzieliśmy kry powoli wędrujące z nurtem i słyszeliśmy, jak z hukiem pękają i trą o siebie. Ludzie przestali snuć się po śniegu okutani futrzanymi szubami i z czapkami naciągniętymi na uszy i nosy, a coraz częściej wystawiali twarze ku słońcu. I ta wczesna wiosna była błogosławioną porą dla nas wszystkich, gdyż na świecie nie panowało już przejmujące zimno, a jednocześnie nie zdążyły się jeszcze wylęgnać komary. Więc mieszkańcy Peczory cieszyli się przez tę chociaż niedługą chwilę zarówno względnym ciepłem, jak i względnymi bezpieczeństwem oraz wygodą.

Pewnego ranka Natasza obudziła się z przejmującym płaczem. Przez chwilę przyglądałem się jej zdumiony, gdyż nigdy nie

widziałem jej w stanie takiej rozpacz. Łzy ciekły jej po policzkach, twarz miała wykrzywioną bólem i szlochała tak rozpaczliwie, tak żałośnie i zdawała się tak bezbronna, że aż zamarło mi serce. Pochwyciłem ją w objęcia.

– Nataszka, co ci jest? Nataszka! – zawołałem.

Wtulila się we mnie i chwyciła mnie mocno za szyję, aż przez chwilę myślałem, że mnie udusi.

– Miałam zły sen – wychlipała.

– Jak bardzo zły? – spytałem, gładząc jej włosy. – Czy to nie wy, Rusini, mówicie: „Sen mara, Bóg wiara”? – Pocałowałem ją za uchem.

Moje słowa nie pocieszyły jej. Cały czas drżała, a jej ramionami wstrząsał szloch.

– Opowiedz mi o tym śnie – poprosiłem łagodnie.

Przez chwilę tylko chlipała, wreszcie otrząsnęła się na tyle, by zacząć mówić.

– Byłam w dziwnym, mrocznym świecie – zaczęła. – Stałam na spalonej ziemi, ze spalonymi drzewami, z roślinami, które rozwiewały się w pył, kiedy wiatr zawiał w ich stronę... – mówiła już spokojniejszym głosem. – Nie było tam słońca, a jedynie księżycy świecące na czarnym niebie skorodowanym srebrem i brudną czerwienią.

– Księżycy?

Skinęła głową.

– Dwa księżycy jak dwie stare monety, którymi zapłacono za czyjąś śmierć...



– Boże mój, skąd taki pomysł? – zdumiałem się.  
– Nie wiem – odparła zgaszonym głosem. – Tak mi się właśnie śniło.

Naciągnąłem koc na ramiona Nataszy i cały czas ją przytulałem. Wydawało się, że kiedy zaczęła opowiadać o swoim śnie, to chęć podzielenia się historią przeważała nad strachem i rozpaczą.

– Zobaczyłam, jak z ciemności, z mrocznego wiru wyłaniają się trzy postaci. Niedźwiedź i czarna pantera szli jedno przy drugim, a na ramieniu niedźwiedzia siedział sokół o złotym dziobie. Wszyscy patrzyli na mnie. A ja stałam nieruchomo, nie mogłam ruszyć ani ręką, ani nogą, ani nic nie mogłam powiedzieć. Szli po to, by mnie zniszczyć, by mnie unicestwić... – Wzdrygnęła się i wbiła mi paznokcie w ramiona. – Byli tak zimni, tak obojętni, nadciągali, jakby byli... podmuchem mrozu. I kiedy stali już przy mnie, już całkiem blisko, już zaledwie krok ode mnie, przysięgam, że nie zapomnę ich oczu! były takie obojętne, nieruchome, wtedy się obudziłam...

– A ja? – zapytałem głucho. – Gdzie ja byłem w twoim śnie?

Uniosła głowę i spojrzała na mnie z ponowną rozpaczą.

– Nie wiem – jęknęła. – I dlatego tak strasznie płakałam.

I wtedy, w tym właśnie momencie zaczął wyc nasz pies. Usiadł przy oknie, uniósł łeb i zaczął wyc z tak przejmującą rozpaczą, że po raz drugi tego poranka sądziłem, iż serce zaraz zastygnie mi w piersi. Podskoczyliśmy do niego, lecz on zdawał się nie zwracać na nas uwagi. Natasza objęła go za szyję.

– Dzikar, co ci jest, Dzikar, pieseczku... – przemówiła do niego łagodnie.

Pies zazwyczaj reagował na słowa swojej pani z czułością i entuzjazmem, jednak teraz nawet nie spojrzał w jej stronę. Zadzierając pysk, ciągle wył, modulując głos tak, że brzmiał on cały czas niczym upiorne w swej żalości, nierówne, to rosnące, to cichnące zawodzenie. Od tego wycia przechodził mnie dreszcz, zwłaszcza że nie miałem pojęcia, co może być jego przyczyną.

– Zrób coś, proszę cię, zrób coś! – Natasza zwróciła do mnie ściągniętą bólem twarz.



Chwyciłem psa za uszy i gwałtownie obróciłem jego łeb w stronę swojej twarzy.

– Przestań! – rozkazałem z mocą i złością. – Przestań wyć!

Ku mojemu zdumieniu zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się we mnie ciemnobursztynowymi, głębokimi ślepiami, lecz miałem wrażenie, że te oczy spoglądają gdzieś za mną lub przeze mnie. Wreszcie jednak poruszył łbem i nagłym ruchem przejechał mi językiem po twarzy. Potem wyrwał się z mojego uścisku i przypadł do Nataszy. Skomląc niczym zrozpaczony szczeniak, zaczął się do niej tulić i lizać ją. Spoglądałem na tego wielkiego, groźnego psa zachowującego się niczym bezbronne, skrzywdzone szczenię i znowu przez plecy przebiegł mi dreszcz.

– Boże, co mu się stało? – szepnąłem. – Czemu on to robi?

– Zobaczył śmierć – odparła Natasza z ponownym szlochem.

– Chcesz powiedzieć, że zobaczył własną śmierć? – spytałem z niedowierzaniem.

Spojrzała na mnie oczami pełnymi łez.

– Nie – odparła. – Moją.

**Koniec**



JACEK  
PIEKARA

Ja, inkwizytor

Przekłete  
kobiety

*Fragment następnego tomu*

**K**siężna Ludmiła tego dnia wcale nie wyglądała jak księżna. Była ubrana w stare futro z postrzępionym kołnierzem, miała suknię uwalaną po kolana w błocie i włosy spięte w niedbałą koronę wokół głowy. Wrzeszczała na kogoś tak głośno i z taką wściekłością, że aż zmieniłem kierunek marszu, by podejrzeć, o co chodzi, gdyż większość tego, co działo się na podwórku, zasłaniała mi ściana. Podszedłem kilka kroków i zaraz zobaczyłem trzech mężczyzn klęczących w błocie i pochylonych tak nisko, że ich skołtunione brody również nurzały się w błotnistej brei. Księżna stała nad nimi z rękami podpartymi na biodrach i przeklinała ich w sposób naprawdę plugawy. To akurat świetnie rozumiałem, bo na Rusi czego jak czego, ale przekleństw cudzoziemiec uczy się najszybciej ze wszystkiego. Poza tym dzięki wrodzonym zdolnościom oraz bystrości umysłu w dużej mierze opanowałem już ten barbarzyński język, pełen miękkiego szeleszczenia, tak jakby słowa wymawiał człowiek z gębą wypchaną mokrymi liśćmi. Ale przyznam też, że chociaż w męskich ustach mowa ta brzmiała raczej groteskowo, tak w ustach kobiecych, a zwłaszcza w ustach mojej Nataszy ruski

język nabierał zdumiewająco czulej miękkości oraz wdzięcznego powabu i przypominał raczej ptasie świergotanie. No ale teraz i tutaj, słuchając przekleństw księżnej, o żadnym świergotaniu, rzecz jasna, mowy nie było. Nie wiedziałem, czym narazili się Ludmile owi nieszczęśnicy, a z szybko i wściekle wypowiedzianych zdań nie byłem w stanie wyłapać niczego poza wyzwiskami. Dostrzegłem, że w jednej z wnęk stoi Andrzej, zaufany dworzanin księżnej i ktoś, kogo mimo młodego wieku mogłem przez długi czas nazywać moim ruskim cicerone. Andrzej obserwował z zainteresowaniem rozgrywającą się scenę, a na jego wargach igrał złośliwy uśmieszek. Podszedłem do niego szybkim krokiem.

– Co się dzieje? – zapytałem po łacinie.

– Mówcie po naszemu, bo nawet całkiem dobrze wam już idzie – napomniał mnie. – Ale trzeba stale ćwiczyć, bo na kogo później miłościwa pani będzie zła, że kaleczycie słowa?

– *Что здесь происходит?* – spytałem już zgodnie z jego życzeniem.

– To dwaj stryjowie i starszy brat buntownika – wyjaśnił, nie odwracając wzroku od rozgrywającej się na dziedzińcu sceny.

– Jakiego znowu buntownika?

– A, rozbójnik taki. Napadł na wielki transport futer, obrabował też kupców z Nowogrodu jadących do nas. Księżna właśnie otrzymała wieści. Źle się dzieje... – Pokręcił głową z niezadowoloną miną.

Handel futrami i skórami stanowił jedno z podstawowych źródeł zysków Nowogrodu, a przez zależne od niego Księstwo Peczerskie, będące od niemal roku miejscem mojej nieszczęsnej wędrówki, przechodziły szlaki handlowe prowadzące hen aż za Kamienie. Kamienie były górami ciągnącymi się na tysiące mil z północy na południe i oddzielającymi Europę od azjatyckiej barbarii. To za ich szerokimi, choć niezbyt wysokimi pasmami leżała rozległa, rzadko zamieszкана i diablo bogata Jugra. Od

czasów kiedy rządziła Ludmiła, udało się zaprowadzić pokój na tych ziemiach i kupcy oraz łowcy cieszyli się w Jugrze względnym bezpieczeństwem. A przynajmniej mieli większą niż kiedyś szansę na to, że nie zostaną naszpikowani strzałami przez świetnie znających lasy, wojowniczych tubylców. Zamiast wojny rządził handel i każdy, kto przeszkadzał w owym handlu, każdy, kto podniósł rękę na kupców, ba, każdy, kto nie płacił podatków lub ośmielał się handlować bez wielkoksiążęcego zezwolenia, stawał się natychmiast wrogiem państwa. I jako taki był ścigany z pełną bezwzględnością i karany bez najmniejszej litości. Pamiętałem jeszcze zeszłoroczny spacer z Nataszą, kiedy natknęliśmy się pod peczorskim lasem na ludzi zakopanych żywcem i skazanych w ten sposób na bolesną, powolną śmierć. Taka to była właśnie kara dla tych, którzy bez książęcego pozwolenia eksplorowali Jugrę czy handlowali z Jugrami. Podobne nieprzyjemności spotykały kupców podejmujących próby ominięcia podatków.

– Oni co? Wspólnicy? – zapytałem.

– Gdzie tam! – Machnął ręką. – Dawno z nim byli pokłóceni, dałbym sobie głowę uciąć, że nawet nie wiedzieli, gdzie ta kanalia jest i co wyprawia czy co zamierza.

– Co księżna z nimi w takim razie robi?

Dworzanin wzruszył ramionami.

– Jaśnie pani wie, że to nie są jego przyjaciele. Ale będą musieli udowodnić swoją przydatność i wierność. Bardziej niż ktokolwiek inny.

– W jaki sposób?

– Publicznie go wykląć i wyrzucić z rodu, to po pierwsze. – Wystawił kciuk. – A po drugie, wyłożyć dużą sumę na żołnierzy, którzy wyruszą, by stłumić tę rebelię.

Skinąłem głową.

– A więc inne rodziny będą tym bardziej pilnować, co robią ich członkowie, nawet jak nie są z nimi w bliskich stosunkach –

zauważyłem.

– Otóż to. Księżna uważa, że to ich wina, iż nie dopilnowali młodszego krewniaka. Zauważcie jedno: nie ma tu jego młodszego brata, bo wzywać go za winy brata starszego uznano by za niezgodną z obyczajem niesprawiedliwość.

– Rozumiem.

Stojący obok księżnej żołnierz podał jej nahajkę z zasupłanymi rzemieniami z końskiej skóry. Ludmiła, nie przerywając gniewnej, pełnej wyzwisk i przekleństw tyrady, zaczęła chłostać klęczących u jej stóp mężczyzn. Ci nawet się nie przesunęli, tylko ukryli twarze w błocie i osłonili głowy ramionami. Księżna tłukła ich bez opamiętania, ale pomimo iż zadawała gwałtowne ciosy, to zauważyłem jedno: te uderzenia były mocne i dobrze mierzone. Na pierwszy rzut oka widać było, że Ludmiła ma pewną rękę i raczej nie zmęczy się szybko. Również dostrzegłem, iż żadnego z klęczących przed nią nie wyróżniała i każdemu obrywało się mniej więcej po równo. Pytanie oczywiście, na ile mogła wyrządzić tymi smagnieniami krzywdę ludziom grubo ubranym i dodatkowo zasłaniającym się ramionami. Podejrzywałem, że trochę siniaków z tego będzie, ale wielkich szkód krewni buntownika raczej nie zaznają. Zdaje się, że prawdziwa odpłata za ich rodzinną niedbałość miała nadejść dopiero z chwilą, kiedy Ludmiła sięgnie pełną garścią do ich skarbców.

Księżna przerwała na chwilę chłostanie. Korona jej włosów rozpadła się, a wiatr rozwał je na wszystkie strony. Czerwona, zdyszana, z twarzą skrzywioną gniewem i z batem w rękę wyglądała niczym uosobienie jakiejś ruskiej Furii, która doścignęła wreszcie poszukiwanych grzeszników i wywiera na nich słuszną pomstę. Zaczepnęła głęboko tchu i zaczęła mówić coś uroczystym głosem. Spojrzałem pytająco w stronę Andrzeja, bo chociaż tym razem księżna przemawiała wolno i z namaszczeniem, to i tak rozumiałem piąte przez dziesiąte.

– Albowiem rządzący są postrachem nie dla uczynku dobrego, lecz dla złego – przetłumaczył. – Władza jest bowiem sługą Bożym i mścicielem dla wywarcia srogiego gniewu na dopuszczającym się zła.

– Słusznie. – Skinąłem głową. – I ja znam ten cytat.

Księżna skinęła dłonią na jednego z żołnierzy, a ten ujął w ręce kij i zaszedł klęczących mężczyzn od tyłu. Kij był całkiem solidny. Długi na cztery stopy, gruby na trzy palce i spęczniały na końcu.

– Trochę im się teraz oberwie – zauważył z rozbawieniem Andrzej.

Żołnierz rzeczywiście wyglądał na mocnego. Był wyższy ode mnie, a w barach na tyle szeroki, że i ja i Andrzej moglibyśmy się razem wtulić w jego pierś, gdybyśmy tylko mieli tak zdumiewające życzenie.

– A i tak mają szczęście – dodał mój towarzysz. – Bo powiem wam, że prawdziwie winnych to przepuszcza się u nas nago przez szpaler żołnierzy uzbrojonych w kije. I tłuką ich tak długo, póki ciało nie odpadnie od kości.

Cóż, w Cesarstwie również słyszeliśmy o podobnych karach. A jeśli dobrze pamiętałem, to zachłostanie na śmierć przez współtowarzyszy stosowano również w rzymskich legionach i uważano za karę raczej powszednią niż oryginalną.

Żołnierz zamachnął się znad głowy i wymierzył tęgie uderzenie jednemu z klęczących mężczyzn.

– Uhuhu – skrzywiłem się. – To musiało zboleć nawet przez futro.

– O, ja myślę, że zabolalo – zgodził się ze mną rozbawiony Andrzej.

Ostatni z klęczących mężczyzn uniósł głowę, jednak nie na tyle, by zostało to uznane za bezczelność, lecz jedynie na tyle, by unieść usta znad błotnej kałuży. Widzieliśmy, że coś mówi, ale nie słyszeliśmy co.

– Prosi o łaskę i obiecuje wsparcie – wyjaśnił mój towarzysz.

Byłem jednak pewien, iż również wcale nie dosłyszał wypowiedzianych słów, lecz po prostu wiedział, co w takiej sytuacji każe robić obyczaj. Księżna dała znak żołnierzowi i ten postąpił krok w bok, stając nad środkowym ze skazańców.

– O, widzicie, propozycja na razie nie została przyjęta – zaśmiał się Andrzej. – Negocjacje potrwać dłużej...

Żołnierz grzmotnął kolejnego z mężczyzn tak, że aż jęknęło.

– Wiedzą, że księżna nie chce zrobić im krzywdy, bo gdyby chciała, to kazałaby im zdjąć futra – tłumaczył dalej Andrzej. – Tylko widzicie, jeżeli bardzo ją rozsierdzą, to każe pierwszego i najmniej ważnego rozebrać, zanurzyć w lodowatej studni i potem dobrze wytluc kijami. Wtedy dwóch pozostałych zrobi już, co księżna zechce...

– Ja myślę – odparłem.

– Ale nikt na razie nie życzy sobie, by doszło do aż takich nieprzyjemności – machnął ręką mój towarzysz. – Księżna doskonale wie, że jest taka kara, która wzbudza szacunek zarówno u ukaranych, jak i u obserwujących, ale jest i taka, która wywołuje już tylko nienawiść. Rozumny władca zna granicę pomiędzy tymi karami i stara się jej nie przekraczać...

Tak, to była prawda. Ta zasada obowiązywała również, rzecz jasna, uczciwszy pewne różnice, w naszym błogosławionym Cesarstwie.

– Niech tylko będą mądrzy – dodał Andrzej z zatroskaniem w głosie. – Bo widzicie, najgorzej, to kiedy człowiekowi złoty cielec tak przesłoni wzrok, iż nie widzi już spoza niego nawet furtki pozwalającej mu uciec ze świata martwych do świata żywych.

– Ba! – zgodziłem się z nim, gdyż przecież podobnie nierozsądne zachowania znałem z inkwizytorskiej praktyki.

A czyż nie pamiętałem dawnej ludowej opowieści o chciwym rycerzu, który zażądał od króla tak wielkiej zapłaty za swe usługi, że kiedy unosił worek, ten oberwał się pod jego ciężarem

i rycerz skonał na miejscu ku rozweseleniu obserwujących go gapiów? Opowiedziałem Andrzejowi w kilku zdaniach ową historię.

– Na Rusi znamy podobną – ucieszył się mój towarzysz. – Opowiada o Fiodorze, mądrym carze, i o Durakowie, głupim bojarze...

W międzyczasie trzeci z kupców oberwał taki cios w plecy, że aż z powrotem zarył twarzą w błądki.

– Oj, skąpiradła, skąpiradła – pokręcił głową Andrzej. – Nie rozumieją, że księżna dla nich łaskawa jak nikt. Może się to źle skończyć, mówię wam. Po co się z nią przekomarzają? Dla tych kilku monet?

Z całą pewnością nie chodziło zaledwie o „kilka monet”, jak chciał mój towarzysz, ale rzeczywiście zastanawiałem się, co kupcy chcą osiągnąć głupim uporem. Bo że negocjowanie lepszego okupu warte jest tych paru siniaków, to jasne, ale przecież jeżeli Ludmiła się zgniewa, będzie to przynajmniej jednego z nich kosztować życie albo co najmniej zdrowie. Rozejrzałem się i dostrzegłem, że rozgrywającej się na podwórku scenie przygląda się już wielu, bardzo wielu żołnierzy, dworzan i służących. Księżna musiała okazać siłę oraz zdecydowanie, zresztą od początku to właśnie było celem tak przygotowanego widowiska.

– A co się stało ze złotem? – spytałem.

– Z jakim znowu złotem?

– W waszej bajce. Jak bojar upadł i umarł, co się stało z jego złotem? Zawsze mnie to interesowało, ale tylko raz jedna wersja tej opowieści odpowiedziała na moje pytanie...

– A w jaki sposób odpowiedziała?

Żołnierz trzymający kij w ręku przesunął się znowu za plecy pierwszego kupca. Ten trzeci, ten, który przedtem odzywał się do księżnej, znowu uniósł twarz nad błoto. Tym razem słyszeliśmy żałośnie brzmiący głos, lecz ciężko było rozróżnić choćby jedno



słowo. Andrzej aż zmrużył oczy, jednak chyba też nic wyraźnego nie usłyszał.

– Że złoto uznano za przeklęte i zakopano – odparłem.

Andrzej parsknął pogardliwie.

– Niemożebność.

– Bajki nie są od tego, by opowiadać prawdę – rzekłem.

Żołnierz znowu zamachnął się aż zza pleców i spuścił kij na plecy pierwszego kupca. Uderzenie niemal rozpląszczyło mężczyznę w błocku.

– Dobrze bije ten chłopak, co? – Andrzej pokiwał głową z uznaniem.

Trzeci kupiec przemawiał coraz szybciej, a w jego głosie oprócz błagania pojawiło się coś na kształt niezwykle unżonego nalegania. Tak przynajmniej rozumiałem ton skomleń, chociaż nadal nie rozpoznawałem słów.

– Wóz albo przewóz – powiedział mój towarzysz.

– Wóz – odparłem, przyglądając się uważnie twarzy Ludmiły.

– Ano też sądzę, że wóz – zgodził się po chwili Andrzej, również wpatrzony w księżną i śledzący jej reakcje na słowa kupca.

Ludmiła zbliżyła się do kupca, a ten zasypał jej but pocałunkami, tym razem gadając coś bardzo szybko i bardzo radośnie. Dwaj jego towarzysze również unieśli głowy i wyrzucili z siebie unżone podziękowania, lecz nie zostali zaszczyceni łaską ucałowania książęcego buta. Księżna odwróciła się i odeszła w stronę głównego wejścia.

Idąc, spojrzała w naszą stronę.

– Koniec widowiska – obwieściła. – Wy dwaj, do mnie!

Kupcy pełzli przez podworec w ślad za nią, a ja patrzyłem, jak ich przepięknie uszyte, kosztujące krocie sobolowe futra pokrywają się skorupą błocka i nasiakają wodnistą breją. Kiedy Ludmiła przekroczyła próg, oni zostali na zewnątrz, nadal jeden przez drugiego wyśpiewując dziękczynne i pochwalne peany.

Zbliżył się żołnierz, ten, który ich okładał kijem, a wtedy najstarszy z kupców sięgnął za pazuchę i obdarował go monetą. Dostrzegłem błysk złota.

– Dlaczego mu płacą? – zapytałem zdziwiony. – Przecież wcale nie bił ich słabo...

– Bił mocno, ale uczciwie, bo w sam środek pleców – wyjaśnił Andrzej. – A mógł celować w głowę czy choćby w dłonie. – Wzruszył ramionami. – Przecież lepiej mieć siniaki na plecach niż połamane palce... No chodźmy, chodźmy, pewnie zjemy posiłek z księżną. – Zaczął iść szybkim krokiem w stronę wejścia.

– Dlaczego posiłek?

– Księżna po wychłostaniu kogoś zawsze jest głodna i łaskawa – odparł.

\* \* \*

Pozwolono nam wejść do komnat jednak dopiero dużo, dużo później, bo księżnej wcześniej przyniesiono balię z gorącą wodą i dopiero kiedy się wypluskała, uznała, że może poświęcić nam uwagę. W czasie kąpeli wezwała starego kanclerza, który siedział u niej co najmniej pół godziny, a potem wyszedł z jej pokoju z mocno zafrasowaną miną i nie tylko nie poświęcił nam uwagi, ale nawet nie obdarował nas przelotnym spojrzeniem.

– Niedobrze – mruknął Andrzej.

– Księżna zła?

Pokręcił głową.

– Skoro Makary jest zmartwiony, to znaczy, że księżna wymyśliła coś, co żadnemu z nas na pewno się nie spodoba.

Wreszcie kiedy nas wpuszczono, zastaliśmy księżną siedzącą na krześle tylko w długiej jasnej sukni. Włosy miała wilgotne i rozpuszczone, sięgające za łopatki, a dwie dworki ostrożnie je rozczesywały. W komnacie było ciepło, niemal gorąco, bo po

pierwsze, dzień był raczej letni niż zimowy, a po drugie, na kominku rozpalono mocno buzujący ogień.

– Jak podobało ci się widowisko, inkwizytorze?

– Wasza Wysokość ma bardzo pewną rękę – pochwalilem.

Zaśmiała się i spojrzała na mnie życzliwie.

– Wiesz, jakie jest wśród sług porzekadło, którego celem jest okazanie lekceważenia własnemu panu?

– Nie mam pojęcia, Wasza Książęca Mość.

– Powiedz mu. – Spojrzała na Andrzeja.

– „Chłostał tak, że nawet nie zabolalo” – odparł szybko mój towarzysz.

– Ano właśnie. Ruski lud rozumie tylko knut... – skwitowała i po wymowie poznałem, że najwyraźniej zacytowała jakąś miejscową sentencję. – Tak, tak, możesz tłumaczyć, możesz wyjaśniać, możesz użyć tej waszej – pstryknęła zgrabnie palcami – o, retoryki... Nic z tego. Posłuchają, głowami pokiwiają, obiecują, co zechcesz, a i tak na koniec zrobią wszystko po swojemu. Ale jak skórę jednemu i drugiemu solidnie wygarbujesz, wtedy wykonają co do literki, co kazałeś. Taki nasz lud jest, taki był i taki zawsze będzie...

– *Odi profanum vulgus et arceo* – powiedziałem.

– Kto to napisał?

– Horacy, Wasza Wysokość.

– Horacy – powtórzyła, lecz nie poznałem, czy wcześniej słyszała to imię, czy też było dla niej nowością. – Może i miał rację ów Horacy jako filozof, ale jak rządzić krajem, trzymając się z dala od motłochu? – westchnęła. – Nie da się i już!

Odchyliła głowę do tyłu i przymrużyła oczy. Dworka rozczesywała jej włosy delikatnymi, posuwistymi ruchami.

– Ale nie z motłochem mam teraz kłopoty – stwierdziła Ludmiła. – Tylko z kimś, kogo Andrzej zna, a ty, inkwizytorze, nigdy o nim nie słyszałeś. Książę Aleksander Lwowicz – syknęła.

I wtedy jej twarz zmieniła się jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki, jakby z czaszki zdarto przyjazną, uśmiechniętą maskę, by obnażyć to, co kryło się pod nią. Gniew i odrazę.

– Księżę – dodała potem z pogardą, tak jakby słowo to było nie tylko wyjątkowo podłe, lecz również nieprzyzwoite. – Też mi coś.  
– Wzruszyła na koniec ramionami.

– Kto to? – spytałem bezdźwięcznie, ale wyraźnie poruszając ustami.

Andrzej tylko pokręcił głową na znak, by teraz o nic go nie pytać. Jednak nieoczekiwanie to Ludmiła zwróciła się w moją stronę.

– Aleksander Lwowicz Kamieński – oznajmiła spokojnym już tonem. – Syn uszlachconego kupca. Buntownik i czarcie nasienie.

– Czemu nazywają go księciem? – zapytałem.

– Księżę Dymitr ofiarował mu tytuł kniazia – pospieszył z wyjaśnieniem Andrzej. – I takiego człowieka można z grzeczności nazywać księciem, choć z prawdziwymi książętami krwi niewiele on ma wspólnego.

– Kupcy dają nam swoją pracę i swoje złoto, a my im w zamian ofiarujemy tytuły, które nic nas nie kosztują – uśmiechnęła się Ludmiła. – A ty, Mordimerze, z jakiego pochodzisz stanu? – Jej twarz znowu stała się łagodna. I księżna chyba była naprawdę ciekawa odpowiedzi.

– Inkwizytorzy nie zwracają uwagi na ród ani na przeszłość – odparłem. – Bycie inkwizytorem to więcej niż bycie hrabią, baronem czy księciem. Ale jeżeli Wasza Księżęca Mość chce wiedzieć, w jakiej wychowałem się rodzinie, to była to bogata, naprawdę bogata rodzina mieszczańska z Koblencji.

– Była?

– Spotkało nas nieszczęście i straciliśmy cały majątek – odparłem. – Święte Officjum dało mi nie tylko nowe życie i nowe imię, ale co najważniejsze, wielki cel w tym nowym życiu.

– Widzisz, Andrzej, oto człowiek prawdziwej wiary – rzekła

poważnie Ludmiła. – Niestety, Kamieński również ma w życiu swój cel, a tym celem jest stworzenie wolnej republiki kupieckiej.

– Coś takiego. – Pokręciłem głową. – Bardzo ambitny cel, jeżeli wolno mi wyrazić swoje zdanie.

– Zważywszy, że wiąże się ze zwycięstwem nie tylko nade mną, lecz nad Nowogrodem i Moskwą, to naprawdę trzeba przyznać, że jest to ambitne zamierzenie – zaśmiała się Ludmiła.

– Kamieński mówi: po co mamy oddawać nasze zyski i nasze podatki na bezsensowne wojny toczone przez książąt, skoro możemy założyć własne państwo i z samego handlu żyć w niewidzianym nigdzie na świecie dostatku – kontynuowała.

Pokiwałem głową.

– Jak sądzę, podobna idea przyświecała powstaniu Republiki Weneckiej – stwierdziłem.

– Co się stało z tą Republiką? – zainteresowała się Ludmiła.

– Papieństwo i Cesarstwo mogą się różnić pod wieloma względami, ale pod tym akurat względem, że należy zniszczyć wenecką niezależność, zgodziły się doskonale. Zajęło to wiele lat, z uwagi na niezwykle położenie miasta, wyjątkowo sprzyjające obronie, jednak w końcu się udało.

Ludmiła uśmiechnęła się nieznacznie.

– Nic tak nie jednoczy gwałcicieli wolności jak nawoływanie, by owa wolność zatriumfowała.

– Nic tak nie jednoczy tych, którzy utracili zyski, jak perspektywa ich odzyskania – dodałem.

Księżna uśmiechnęła się jeszcze wyraźniej. A potem przeciągnęła się w fotelu. Dworka przestała ją czesać, póki Ludmiła nie nakazała jej gestem, by kontynuowała.

– Czas rozruszać stare kości – oznajmiła. – Wyruszamy na wojnę.

– Wasza Wysokość, ależ... – zaczął Andrzej.

Ludmiła uniosła dłoń.

– Ani słowa – przykazała stanowczo. – Będzie, jak

postanowiłam.

– Wasza Wysokość tylko straci czas – burknął Andrzej, nieprzejęty jej decyzją i stanowczością. – Kamieński będzie się krył przed wojskiem na bagnach i po lasach, a jak Wasza Wysokość wróci do Peczory, znowu zaatakuje. I tak na okrągło.

– A ty co o tym myślisz, inkwizytorze? – Ludmiła zwróciła twarz w moją stronę.

– Gdyby to był zwykły buntownik, ośmielał się twierdzić, że Andrzej miał rację, opisując, jak by postąpił. Ale Wasza Książęca Mość stwierdziła, że jest człowiekiem, któremu przyświeca wielka idea oraz który ma wielką wizję przyszłości...

Ludmiła skinęła głową.

– Musi więc osiągnąć sukces – kontynuowałam. – Bo jeżeli nie uczyni tego przed jesienią, to ludzie mu się rozleżą na wszystkie strony świata. Obecność Waszej Wysokości uzna więc za dar od losu i możliwość rozstrzygnięcia konfliktu w ciągu jednego dnia. Skusi się...

– I co ty na to? – Tym razem spojrzała na Andrzeja.

– Na jego miejscu zdobyłbym któryś z fortów pilnujących Szlaku – odparł sekretarz Ludmiły. – I tam spokojnie przeczekał, wyprawiając się na trakty i łupiąc kupców.

Ludmiła spojrzała na mnie, czekając, co ja będę miał do powiedzenia.

– Do pewnego momentu to niezły sposób – przyznałam. – Ale taki fort najpierw trzeba zdobyć, a potem utrzymać. Kiedy Wasza Wysokość wyruszy z wojskiem, wtedy każda taka mała forteca zamieni się w pułapkę. Równie dobrze buntownik może naciągnąć sobie pętlę na szyję. Te zameczki są dobre przeciw bandytom takim jak on sam, ale nie przeciw regularnemu wojsku. A przecież Wasza Wysokość ma nawet armaty...

Ludmiła rzeczywiście miała pięć armat, które służyły jeszcze jej mężowi w czasie jednej z wypraw na Jugrów. Były to cztery nieduże falkonety i jedna nawet dość potężna hufnica.

W dodatku księżna miała ludzi, którzy umieli nie tylko o ową broń zadbać, lecz nawet ją obsługiwać. W czasie obrony fortecy podobne armatki mogły narobić wielkiego spustoszenia wśród wrogów, a z kolei w czasie prowadzonego przez nas oblężenia wróg byłby przeciw nim zupełnie bezbronny. Oczywiście dopóki starczyłoby prochu do ich ładowania. Księżna skinęła głową.

– On ma rację, Andrzej – zwróciła się pobłażliwym tonem do oblanego rumieńcem doradcy.

Potem podniosła się z fotela i stanęła kilka kroków od płonącego na kominku ognia.

– Obaj pojedziecie ze mną – zdecydowała.

Można się było takiego postanowienia spodziewać. Z całą pewnością uczestnictwo w wojskowej wyprawie ścigającej buntowników po lasach i bagnach, w błocku oraz w deszczu nie było moim marzeniem, ale też rozumiałem, iż w żaden sposób nie wykpię się od udziału we właśnie tym, istotnym dla Ludmiły przedsięwzięciu.

– Natasza pojedzie z tobą – nakazała księżna.

No tak, to również było logiczne, zważywszy, że miałem pełnić przy księżnej rolę strażnika, rolę, jaką zwykle pełnili ruscy magicy nazywani wołchami. A więc do pełnej realizacji tego zadania potrzebowałem dziewczyny, gdyż sam, bez niej byłem pozbawiony zdolności przeżywania mistycznych wizji, czyli na dobrą sprawę pozbawiony oczu. A może łagodniej mówiąc: pozbawiony koniecznej bystrości spojrzenia.

– Wypytam jeszcze, co rada i oficerowie uważają o tej sprawie, ale nie sądzę, by ktoś mnie przekonał do innego postępowania – rzekła na koniec i zezwoliła, byśmy odeszli.

Już na korytarzu, kiedy upewniliśmy się, że jesteśmy sami z Andrzejem, mój towarzysz rzekł do mnie:

– To wielkie ryzyko. – Widziałem, iż jest prawdziwie zasmucony. – Jedna zabłąkana strzała, a nawet jeden upadek ze spłoszonego w bitwie konia i całe księstwo padnie w tej samej

chwili.

– Co by się wtedy stało?

– Z Nowogrodu przysłaliby nowego księcia. A z Moskwy pewnie przysłaliby wojsko. Mogłaby się zacząć wojna. Jeszcze jak ktoś tutaj... – obniżył głos – z miejscowych, obwołałby się księciem... – Machnął ręką. – Chaos i rzeź – westchnął.

– Z miejscowych?

– Księżna miała braci, ale pomarli. Został jej tylko stryj. – Andrzej prychnął pogardliwie. – Paskudnie ambitna i nieprzyjemna bestia, mówię wam. A zważcie też – spojrzał na mnie złośliwie – że śmierć księżnej i dla was oznaczałaby pewną zagładę. Może nawet zadaną w dość nieprzyjemny sposób – dodał.

– Inkwizytorzy od początku szkolenia są przygotowywani do śmierci i męczeństwa – odparłem bez zmrużenia powiek. – A tym słodsza jest dla nas wizja śmierci za wiarę, skoro wiemy, że jesteśmy najbardziej umiłowanymi ze stworzeń Pana i będziemy się weselić przy Jego stole i u Jego boku.

Przyjrzał mi się podejrzliwie, ale odpowiedziałem mu szczerym, poważnym spojrzeniem, więc tylko wzruszył ramionami.

– Jak tam sobie chcecie – rzekł wreszcie. – Ja jednak wolałbym żyć, a kiedy księżnej przydarzyłoby się coś złego, Boże Jezu w niebiesiech zmiłuj się, to i ja jestem zgubiony.

Nakreślił w powietrzu znak krzyża i zdusił go w pięści.

– A co, nie lubi was ten stryjaszek?

– On nikogo i niczego nie lubi, co należy do księżnej Ludmiły. Zabije mnie dla samej satysfakcji zniszczenia wszystkiego, co do niej należało.

– Ruś – westchnąłem. – Jak ja kocham ten kraj...

– Coś dziwnego jest z tym Izjasławem, bo tak ten łotr ma na imię. Mówią, że diabłu sprzedał duszę – dodał Andrzej.

– Żeby diabeł tak chętnie kupował dusze, jak mu się to



przypisuje... – odparłem.

– Ma miasto otoczone częstokołem, twierdzą na wzgórzu i rozległe uprawne pola, rzecz rzadko spotykana w naszym księstwie, żeby nie powiedzieć: niebywała.

– Czarne żyto – domyśliłem się.

I w tym momencie rzeczywiście uzmysłowiłem sobie, że słyszałem o bogatym grodzie leżącym tydzień drogi od Peczory. Nie wiedziałem tylko, że zarządza nim krewny księżnej. I to tak bardzo niechętny jej krewny.

– Ba, ale jakie żyto! – rzekł z podziwem. – Nigdy, powiadam wam, nigdy u niego czarne żyto ani nie marnieje, ani nie gorzknieje, ani nie przyprawia ludzi o szaleństwo. Zawsze plony mają obfite, a ziarno słodkie. W dodatku jeziora ma zarybione, rzeki spławne, lasy pełne zwierzyny. A że jest taka obfitość jedzenia wszędzie wokół i różnorodność, to ludzie chętnie się osiedlają w okolicy. Bo wiedzą jedno. – Andrzej wystawił kciuk. – Że z głodu nie pomrą. I wiedzą drugie. – Wystawił palec wskazujący. – Że Izjasław obroni ich przed bandytami, bo ma i solidne mury, i dobrze uzbrojonych żołnierzy.

– Tak zaczynały powstawać państwa. – Pokiwałem głową. – Od tego wszystko się zaczynało, że ludziom nie brakowało jedzenia.

– I czarne żyto o wiele lepiej przechowywać niż jakiegokolwiek inne zboże – rzekł jeszcze Andrzej. – Tylko trzeba pilnować przed myszami i szczurami, bo bardzo na nie są łase.

– No dobrze, a oprócz bajd o sprzedaniu duszy diabłu to ktoś ma jakiegokolwiek pojęcie, dlaczego temu Izjasławowi udaje się co roku dobry plon, a innym na świecie podobna sztuka nie wychodzi?

Mój towarzysz wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie zaprzecanie diabłu całkiem nieźle tłumaczy całą sprawę. Bo skoro to jest czarcie zboże, to i czart może się nim w szczególny sposób opiekować.

– Musi być coś w ziemi – powiedziałem w zamyśleniu. – Musiał

obsadzić czarnym żytem jakiś szczególny rodzaj ziemi, który tak bardzo odpowiada tej roślinie.

W najdalszych, najdzikszych częściach Rusi czarne żyto było jedynym zbożem potrafiącym przetrwać krótkie lata i długie, mroźne zimy. Przy swoich wielu strasznych i śmiercionośnych wadach miało jedną niezwykłą cechę. Mogło wyrosnąć nawet na kompletnym ugorze i było niemal całkowicie odporne na mróz. Dojrzałe, niezniszczone kłosa można było zbierać nawet znad śniegu albo kiedy stały zanurzone w lodowatej wodzie. Jedynie silny grad, przewlekła susza czy ogień mogły zniszczyć tę dziwną, nadzwyczajnie odporną roślinę. W naszym błogosławionym Cesarstwie zboże to uznawano za wynalazek diabła, a jego siewu zakazano pod karą śmierci. Zresztą nie było u nas szczególnej potrzeby, by siać i zbierać ową szatańską roślinę, skoro klimat mieliśmy zazwyczaj łagodny i mogliśmy uprawiać zboża nienaznaczone czarcim piętnem. W Cesarstwie bajano, że czarne żyto narodziło się, kiedy Szatan, zstępując na ziemię, nadepnął na jego nasiona bosą stopą. Inni znowu bzdurzyli, iż po zdobyciu Rzymu przez Chrystusa i Jego armię krew bluzgająca z ran pokonanego cesarza Tyberiusza splugawiła zboże, którego nasiona porwał wiatr i zaniósł w najdalsze krańce świata. Dlatego też czarne żyto w Cesarstwie nazywano czasem „plugastwem Tyberiusza”.

A ja pamiętałem jeszcze rozmowę, jaką prowadziłem z uczonym inkwizytorem Barnabą Biberem, kiedy jadąc z Nowogrodu do Peczory, po raz pierwszy ujrzeliśmy gigantyczne pole czarnego żyta, przypominające niezwykłą, smolistoczną, falującą rzekę, której ani końca, ani początku nie było widać.

– Dlaczego Rusini nie boją się uprawiać tego zboża? – zapytałem wtedy.

– Boją się – odparł mój towarzysz. – Ale głód przewycięża trwozę. Na północy, w Księstwie Peczorskim, to jest jedyna jadalna roślina, którą można bez trudu uprawiać.

– Uodpornili się na jej szkodliwe działanie?

– Co to, to nie. Nie wiem, czy podobna odporność jest w ogóle możliwa. Czarne żyto jest nieprzewidywalną rośliną. Jednego roku rodzi soczyste, słodkie ziarna w wielkich, nabrzmiałych kłosach, innego zaś suche i gorzkie, choć nadal jadalne, jeszcze kiedy indziej nie rodzi nic poza pustym kłosem.

Potem Biber dodał jeszcze, że czasami zjedzenie nasion czarnego żyta wywołuje piekielne wizje i obłąd charakteryzujący się tym, iż jego ofiara nabiera niezwyklej siły fizycznej, odporności na ból oraz przepelnia ją żądza zadawania cierpienia i śmierci innym żywym istotom.

– Rusini jednak świetnie radzą sobie z tą klątwą – tłumaczył mi dalej towarzysz ówczesnej wędrowki. – Kiedy kłosa dojrzewają, wybierają spośród swoich człowieka, by ich popróbował. Jeżeli nie zachoruje, wiedzą, że będą bezpieczni, a ten wybraniec w nagrodę nie musi pracować przez resztę roku, gdyż uważają, że przyniósł wszystkim wielkie szczęście. Lecz jeśli zachoruje, wtedy palą uprawę do żywej ziemi, a wybrańca zabijają i tną na kawałeczki. Szczątki rozrzucają po całym polu i spryskują ziemię jego krwią. Wierzą, że tak przeprowadzona ofiara przebłaga Czarne Boga. Czasami też zabijają całą rodzinę owego człowieka, no ale to już zależy od decyzji kapłanów... Raz jest tak, raz inaczej...

– Czarne Boga? – zdumiałem się wtedy.

I wytłumaczono mi, że czarne żyto od zawsze było tak ważne dla Rusinów, iż stworzyli w swych wierzeniach boga zajmującego się tylko i wyłącznie tym zbożem. A wierzyli, że narodził się on z obciętego paznokcia dużego palca u stopy Jezusa Chrystusa.

Tak, tak, mili moi, Ruś to była barbaria i dzicz tak wypełniona plugawymi herezjami, jak łachmany żebraka wypełnione są pluskwami i wszami. Czasami zdarzało mi się już o tym zapominać, ale nadzwyczajnie szybko z powrotem sobie przypominałem.

– Wierzycie w Czarnego Boga? – zapytałem Andrzeja obojętnym tonem, gdyż sprawy wierzeń były na tyle delikatne, iż nie chciałem nadawać głosowi nuty lekceważenia.

– W Czarnego Boga? – prychnął i spojrzał na mnie z politowaniem. – Czy ja wam wyglądam na jakiegoś prostego chłopca wierzącego w byle bajdy?

Cóż, Andrzej na pewno nie był tępym wieśniakiem. Był solidnie wyedukowanym młodzieńcem, władającym biegle łaciną, lecz również znającym lektury, których znajomością powinien się chlubić każdy miłośnik antycznej sztuki i antycznej filozofii.

– Boże broń – zastrzegłem. – Opowiadano mi o Czarnym Bogu i dlatego pytam.

Skrzywił się.

– To, że Izjasławowi tak wspaniale się wiedzie, nie jest zasługą żadnego boga, czy to czarnego, czy białego, czy tęczowego, ale sprawką czarów – stwierdził z przekonaniem. – O tym dużo wszyscy mówią. – Znaczącym gestem uniósł palec.

– O czym?

– Że w zamian za dobre plony ludzie Izjasława składają ofiary demonom lub samemu szatanowi. Najlepiej z dzieci, bo krew niewinna najbardziej się podoba wszelkiemu plugastwu.

Skinąłem głową.

– Ofiary dokonywane z ludzi, by zapewnić dobry urodzaj i dobrą pogodę, to był kiedyś częsty obyczaj na świecie. Uczono nas o tym w przesławnej Akademii Inkwizytorium. Ale wiecie, czego nas jeszcze uczono? – Spojrzałem na niego.

– No?

– Że te krwawe ofiary nie miały tak naprawdę żadnego znaczenia dla plonów czy pogody. Były wymysłem mającym uspokoić plemię lub wieś. Miały zapewnić ludzi, że zrobili wszystko, co zrobić należało, i że nie są winni złemu losowi, który ich spotyka.

– Tu jest Ruś, inkwizytorze – odparł Andrzej pobłażliwym tonem. – A na ruskie pytania nie odpowiedzą ani twoje mądre cudzoziemskie księgi, ani twoi mądrzy cudzoziemscy nauczyciele. – Słowo „mądrzy” zaakcentował tak, bym nie miał wątpliwości, co tak naprawdę sądzi o moich księgach i moich nauczycielach.

– Kto więc odpowie na ruskie pytania?

– Doświadczenie – odparł. – Pobędziecie tu dłużej, a może zrozumiecie. A może i nie. – Wzruszył ramionami. – Bo przecież nie wiadomo, ile jeszcze pożyjecie.

To akurat była szczerą prawdą, gdyż nikt nie był w stanie przewidzieć, kiedy Pan powoła go do swojej Światłości lub zdecyduje się zrzucić go do kotłów z wrzącą siarką. Szczęśliwi ci, którzy na dzień śmierci zdołali się odpowiednio przygotować i mogli wkraczać w bramy Raju z podniesionym czołem, śpiewając „hosanna!”. Bo przecież między innymi właśnie dlatego modliliśmy się: „od nagłej śmierci uchowaj nas, Panie”.

– A wiecie, co czytałem? – ożywił się nagle. – Że kiedy wieszano cesarza Tyberiusza, to z jego parszywego, zgniłego nasienia, którym wytrysnął w czasie ostatnich konwulsji, narodziło się czarne żyto. Ciekawe, co?

– Tyberiusza nie powieszono – odparłem pobłażliwie. – Nasz Pan raczył go własnoręcznie przebić mieczem.

– No wiem, że tak też mówią, pewnie, że wiem... – Pokiwał głową.

No dobrze, czarne żyto czarnym żytem, było ono niewątpliwie ciekawym, chociaż paskudnym elementem ruskich obyczajów, ale bardziej od czarnego żyta interesowała mnie wyprawa, na którą mieliśmy wyruszyć.

– Kim są ludzie, których ten łotrzyk zwerbował? – wróciłem do sprawy buntownika.

Andrzej wzruszył ramionami.

– Bóg jeden wie – odparł. – Im dalej na wschód od Moskwy,

tym więcej kręci się różnych dziwnych ludzi: zbiegłych chłopów, dezertarów, miejskiego plebsu, skazańców. Pozbierał całą tę czeredę, obiecując im złoto i sławę.

– Księżna mówiła, że jemu samemu przyświeca wzniosła, przynajmniej on sam tak myśli, idea. Czy jest w tym pragnieniu stworzenia państwa wolnych ludzi osamotniony?

– Ha, Państwo Słońca... – wzruszył ramionami Andrzej.

– Słucham?

– Civilia Solaris. Nie wiecie, o czym mówię?

– Teraz już wiem. – Skinąłem głową. – Czytałem Liwiusza, Appiana i Plutarcha. Tyle że Spartakus miał sto tysięcy ludzi. Ilu ludzi ma ten wasz Aleksander?

Andrzej prychnął.

– Kilka setek, nie więcej. Wśród nich pewnie kilkunastu myślących tak samo jak on. Reszta to po prostu rabusie, którzy chcą ukraść jak najwięcej, by kiedy zrobi się naprawdę niebezpiecznie, czmychnąć z łupami. Musicie jednak wiedzieć, że tu, na tych, było nie było, pustkowiach, kilka setek ludzi to nie tak mało. – Znacząco uniósł palec. – Wystarczająco dużo, by czuć się bezpiecznie.

To prawda, że sytuacja była nieporównywalna z tym, co znaleźliśmy z Cesarstwa. W naszej cywilizowanej Europie magnaci i szlachta dowodzili zbrojnymi oddziałami, miasta otoczono murami i dysponowały one strażą miejską oraz garnizonami. Nie tak łatwo mogła na tych ludnych terenach przetrwać zbrojna banda. Oczywiście takie gromady się zdarzały, zwłaszcza w górach czy w najbardziej rozległych lasach, ale działania rabusiów czy innych opryszków rzadko kiedy przybierały rozmiar prawdziwie niebezpieczny. Bandyty w Cesarstwie przypominali kąśliwe insekty, chociaż oczywiście podobnie pogardliwa opinia nie mogła przywrócić życia tym, których pokąsały na śmierć. Jednak prawdziwie wielką rewoltę pamiętałem z lat swojego dzieciństwa. Był to okrutny, krwawy

bunt Hakenkreuza, który przetoczył się przez dolinę Renu. Ale przecież pomimo pierwszych sukcesów i pomimo niezwykłych spustoszeń, jakich motłoch dokonał, od samego początku było wiadomo, że wszystko zakończy się krwawą rzezią i zagładą buntowników. I tak właśnie się zakończyło, a z egzekucji samego wodza rewolty uczyniono długie, pouczające i odstrasżające widowisko. Tu, w tej najdzikszej części Rusi, sprawy miały się jednak inaczej. Sukces Aleksandra mógł łatwo zachwiać delikatną i nieszczerólnie stabilną konstrukcją polityczną. W najgorszym razie mógł nawet sprowokować wojnę pomiędzy Nowogrodem a Moskwą. Oczywiście, jak dla mnie, wszyscy Rusini mogliby się nawzajem pozabijać, abym tylko ja sam mógł w konsekwencji takowej rzezi wrócić do Cesarstwa, uwożąc ze sobą moją Nataszę. Jednak zdawałem sobie również sprawę, że znienawidzonemu obcokrajowcowi, takiemu jak ja, ciężko będzie przedostać się przez kraj ogarnięty wojenną pożogą. A też przyznam wam, mili moi, iż zadawałem sobie pytanie, jak Nataszę z jej niezwykłymi zdolnościami potraktowano by w Cesarstwie? Tutaj, na Rusi, cieszyła się szacunkiem i otaczała ją aura strachu, ale czy w naszym świątobliwym imperium nie uznano by jej przypadkiem za czarownicę? Nigdy nie pytałem Nataszy, czy chciałaby mi towarzyszyć w powrocie do Cesarstwa, ale widziałem jeszcze dodatkową trudność: na kobietę taką jak ona inkwizytorzy mogliby patrzeć podejrzliwie, to prawda. Ale jeszcze bardziej podejrzliwie spoglądaliby Rusini na mnie, gdyby dziewczyna wołcha zapragnęła opuścić w moim towarzystwie ich kraj.

Krótko mówiąc, sprawy tak się przedstawiały, że w całej ruskiej układance mogłem liczyć wyłącznie na księżną Ludmiłę. I to też nie na jej łaskę, ale raczej na to, że zostanie zmuszona przez wielkiego księcia Nowogrodu do wypuszczenia mnie z niewoli. A to z kolei pod warunkiem, iż Święte Oficjum i dwór cesarza wywrą stosownie silny nacisk na tegoż wielkiego księcia.

Jak więc sami rozumiecie, mili moi, daleki, a nawet bardzo daleki byłem od spoglądania w przyszłość z nadzieją i radością. Wiedziałem, iż powrót do domu ani nie będzie łatwy, ani nie nastąpi szybko. Jeżeli jednak miałem zachować jakiegokolwiek szanse, by ponownie zaznać dobrodziejstw cywilizacji, musiałem pilnować Ludmiły i jej bezpieczeństwa jak oka w głowie. Czyli wszystko toczyło się zgodnie z jej planem...

\* \* \*

Z Nataszą zajmowaliśmy przestronny pokój i sypialnię, a poza tym, że było nam całkiem wygodnie w tej nowej kwaterze, to nie należy zapominać i ukrywać, iż było nam ze sobą również bardzo dobrze. Natasza była nie tylko słodka jak kociątko (choć potrafiła również pokazać ostre pazurki, kiedy się pogniewała lub rozzłościła, co jednak zdarzało się bardzo rzadko), ale również bystra i zabawna. I miała wielką moc. Udowodniła to nie tylko w czasie chwalebnej wyprawy wojennej i bitwy z potworami mieszkającymi na trzęsawiskach. Udowodniła to również, niszcząc twór zrodzony z czarnej magii, który wysłano, by wyssał ze mnie życie. I wreszcie udowadniała to swoimi wizjami, które jako jedyny byłem w stanie dostrzegać, odczytywać i rozumieć. A że całe to dostrzeganie, odczytywanie i rozumienie zachodziło w czasie cielesnego obcowania z ową piękną i młodą dziewczyną, to jak sami rozumiecie, mili moi, nie miałem powodów, by uskarżać się na koleje losu. Natasza od samego początku była mi więcej niż życzliwa, ale od kiedy naraziłem życie, by uratować ją w czasie bitwy z demonem, wydawało mi się, iż jej uczucia względem mnie osiągnęły kolejny, wyższy poziom. Była nie tylko serdeczna, lecz i czuła tym rodzajem czułości, który każe człowiekowi szukać ciągłej bliskości drugiej osoby. Która nakazuje ująć ją za rękę, przytulić,



pocałować. Zachowywała się tak, jakby moje dotknięcie i moja bliskość były dla niej niczym światło i woda dla spragnionej rośliny. I nie będę ukrywał, że ja sam, bez najmniejszego przymusu, w sposób naturalny i płynący z głębi serca, odpowiadałem jej tym samym.

Lubiłem w Nataszy wszystko, poczynawszy od delikatnej twarzy, głębokich szaroniebieskich oczu i pełnych ust poprzez wysmukłą szyję, jędrne piersi i zgrabną kibić aż po szczupłe, długie nogi (które tak lubiła mi zarzucać na ramiona w czasie miłosnych uniesień!). Lubiłem jej głos, sposób, w jaki się śmiała, w jaki odgarniała włosy, w jaki się ze mną przekomarzała. Lubiłem ją zarówno nagą, jak i ubraną w suknie czy futra. Ale pomimo iż związała nas sfera fizycznego obcowania i zostaliśmy połączeni niezależnie od naszych chęci czy zamierzeń, to zjednoczyły nas nie tylko aura Wenus oraz strzały Amora. Oprócz niewątpliwie uderzającej, gwałtownej namiętności (która wcale nie mijała pomimo wielu spędzonych wspólnie miesięcy!) zespalały nas przyjaźń oraz wzajemny szacunek. I zaufanie. My, inkwizytorzy, ufamy zazwyczaj tylko samym sobie i oczywiście Bogu Wszechmogącemu, ale jeżeli mogę powiedzieć, że komukolwiek kiedykolwiek zaufałem, to tym kimś była Natasza. Ufałem jej nawet wtedy, kiedy w nocy zamierzyła się na mnie śpiącego sztyletem. I ufałem jej nawet w tej chwili, kiedy ostry jak brzytwa brzeszczot miał rozedrzeć moje gardło. Wówczas klinga minęła moją szyję o ułamek cala, gdyż Natasza bynajmniej nie celowała we mnie. Zabiła niewidzialnego potwora, który właśnie pełził w stronę mojej głowy, by pasożytować na moim umyśle i w efekcie mnie zniszczyć. Jednak obudzony z nagłego snu, nic przecież o tym nie wiedziałem. Kto z was, mili moi, przyznajcie to z ręką na sercu, nie zasłoniłby się przed zmierzającym w stronę szyi ostrzem wypuszczonym przez siedzącą nad wami czarownicę o krwiście błyszczącym spojrzeniu? Ja się nie zasłoniłem...

Nataszę otaczała na peczorskim dworze aura strachu. A może nawet lepiej powiedzieć: aura otepiającego przerażenia. Nikomu z dworzan ani sług nigdy nie uczyniła krzywdy, nikomu nie dała żadnych poważnych powodów, by się jej bano, lecz mimo to wszyscy obchodzili ją szerokim łukiem, a każdy, kto ją niespodziewanie spotkał, tracił język w gębie i starał się udawać, że wcale go nie ma w pobliżu. Owszem, podziwiano urodę Nataszy, lecz lęk przed nią jako przed wychowanicą potężnej wiedzy był paraliżujący. Jedynie księżna zachowywała się w jej obecności naturalnie, ale Ludmiła po pierwsze była silną kobietą, po drugie władczynią, a po trzecie mogła być pewna, iż wiele oczu obserwuje ją, kiedy rozmawia z Nataszą. I jeżeli w trakcie takiej rozmowy okazałaby słabość, to na pewno by to znakomicie zapamiętano. A na Rusi niebezpiecznie było być władcą okazującym słabość... Na Rusi niebezpiecznie było również być władcą, który nieopatrznie za bardzo zaufał innemu człowiekowi. Któż dowiedział się o tym lepiej, jak nie książę Dymitr, mąż Ludmiły, przeciwko któremu ona sama przeprowadziła zamach i kazała go powiesić w żelaznej klatce, by umarł z zimna, głodu i pragnienia.

– Rozumiem, dlaczego Ludmiła to zrobiła – powiedziała mi kiedyś Natasza z głębokim westchnieniem. – Ale ja bym tak nie potrafiła. – Spojrzała na mnie ciepło. – Gdybym musiała cię zabić, zrobiłabym to szybko, tak abyś ani chwili nie cierpiał.

– Dziękuję ci, Nataszka, to bardzo miło z twojej strony – odparłem.

– Oczywiście nie wyobrażam sobie, z jakich powodów miałabym cię w ogóle skrzywdzić. – Wzruszyła ramionami. – Albo nawet chcieć skrzywdzić. – Roześmiała się i zarzuciła mi ręce na szyję. – Jesteś moim całym życiem!

Teraz wracałem od księżnej, będąc pewnym, że Nataszy z wielu względów nie spodoba się pomysł opuszczenia Peczory. Mnie oczywiście również się nie podobał, choćby z tego powodu,

iż strzeżenie Ludmiły zamkniętej wewnątrz fortecy zdawało się o wiele łatwiejsze niż strzeżenie Ludmiły dowodzącej armią w polu.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że Natasza leży na dywanie na podłodze i targa za uszy naszego psa, który owe karesy przyjmował nie tylko ze spokojem, ale z rozmarzonym, a wręcz wniebowziętym wyrazem pyska. Zresztą Dzika, jak nazwała go Natasza, wszystko, co robiła jego pani, przyjmował z zachwytem. Mnie tolerował, zapewne nawet lubił, ale Nataszę po prostu ubóstwiał i byłem pewien, że nie zawahałby się stanąć w jej obronie nawet za cenę własnego życia. Był bardzo młody, w zasadzie można go było uznawać jeszcze za szczeniaka, ale już wyglądał groźnie, jak każdy przedstawiciel tej rasy, o której mówiono, że narodziła się w krainach leżących na Dachy Świata. Wokół głowy miał kudłatą lwią grzywę, ogromną i nastroszoną, tak charakterystyczną dla jego gatunku, a wokół oczu jaśniejsze plamy, które nazywano „oczami duszy” i o których wierzono, że pozwalają psu na widzenie świata, którego nie może dostrzec żaden człowiek. Dzika był czarny jak smoła, Natasza jasna niczym śnieg w promieniach księżyca, więc oboje wyglądali pięknie obok siebie. Rozpromieniła się na mój widok, a pies zastrzygł uszami i leniwie zamachał ogonem.

– Ależ cię długo nie było! – zawołała.

– Nie dość, że długo mnie nie było, to nie mam nic wesołego do powiedzenia – mruknąłem.

– Ojoj – usiadła na podłodze – jest aż tak źle?

– Ano źle – odparłem. – Musimy jechać z księżną na wyprawę wojenną – oznajmiłem smętnym tonem. – Tym razem przeciwko ludziom, nie potworom. Sam zresztą nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej.

Natasza wzruszyła ramionami i prychnęła lekceważąco.

– Ja nigdzie nie pojedę.

Usiadłem na dywanie obok niej i wziąłem ją za rękę.

– Obawiam się, że decyzja nie należy do ciebie – zauważyłem.

– Sądzę, że owszem: należy do mnie – odparła stanowczo.

– Nataszka, z Ludmiłą nie ma żartów – powiedziałem trochę zaniepokojony tą stanowczością. – Wiem, że jesteś, kim jesteś, i wiem, jaką cię tu otaczają czcią, ale księżna nie dopuści, by kwestionowano jej rozkazy.

– Czcią jak czcią, boją się mnie i tyle – rzekła z nagłą goryczą w głosie.

Potem wzruszyła silnie ramionami.

– A ja i tak nie pojedę – powtórzyła. – A dlaczego? Bo nie mogę nigdzie jechać, bo obróciłoby się to na złe. – Spojrzała na mnie, a jej oczy błyszczały, jakby zaraz miała wpaść w trans. Miałem wrażenie, że patrzy nie na mnie, lecz przeze mnie, spogląda gdzieś daleko, na świat położony nie za moimi plecami, lecz za moją wyobraźnią.

– Szkoda, że ja nie mogę tak powiedzieć – westchnąłem.

Jej wzrok nagle odzyskał ostrość.

– Nie fantazjuję, mój miły – zapewniła miękko. – Nigdy bym cię nie okłamała. Wiem, że jeżeli wyjadę z Peczory, to wiele rzeczy potoczy się gorzej niż źle. Oczywiście, że również nie chcę wyjeżdżać, ale moje chcenie lub niechcenie nie ma nic do rzeczy.

Milczałem chwilę, zastanawiając się nad jej słowami, jej decyzją i konsekwencjami, które mogą wywołać.

– Cóż, zobaczymy, co na to powie księżna – odparłem i naprawdę zastanawiałem się, jak władczyni odbierze podobne proroctwo. Czy ufała Nataszy na tyle, by jej wierzyć?

– Zresztą wszystko wiem – dodała Natasza. – Dokąd i po co jedziecie. – Potem pokręciła głową. – Co za głupiec, co za głupiec, tylko żal ludzi, którzy zginą...

Miała na myśli oczywiście Aleksandra Kamińskiego. Trudno było się nie zgodzić z jej zdaniem. Rebelia upadnie niezależnie od tego, czy Ludmiła zwycięży w bitwie, czy przegra. Banda buntowników nie opanuje Księstwa Peczorskiego, gdyż było ono

zbyt ważnym ośrodkiem z punktu widzenia księcia Nowogrodu. To na obszarze władanym przez Ludmiłę, jako wasala nowogrodzkiego wielkiego księcia, krzyżowały się szlaki handlowe, to tutaj przygotowywano wyprawy za Kamienie, skąd przywożono wielkie ilości futer i skór. A handel futrami i skórą przynosił władcom dochód w czystym złocie. W gigantycznych ilościach czystego złota. Nikt nie pozwoli, by ten zyskowny proceder został w jakikolwiek sposób zakłócony przez szalonego rebelianta.

– Tak to już jest na wojnach. Ludzie giną – odparłem sentencjonalnie. – Daj Boże, uwiniemy się szybko. A właściwie skąd już wszystko wiesz?

– Wystarczy słuchać, co gada służba. – Uśmiechnęła się. – Plotkują ciągle i chwalą księżną, że dobrze była. Ale była sprawiedliwie, bo z umiarem.

Skinąłem głową. A więc potwierdzały się słowa Andrzeja.

– Nataszka, myślisz, że możemy spróbować przywołać wizje, co spotka nas na wyprawie? Czego trzeba się będzie strzec i jak należy postępować?

Spojrzała na mnie i roześmiała się na głos śmiechem pełnym szczerzego rozbawienia.

– A ty chcesz pofiglować w łóżku czy naprawdę dowiedzieć się czegoś o przyszłości? – spytała.

– Tak naprawdę i pierwsze i drugie – odparłem szczerze. – Ale gdyby drugiego miało nie być, to pierwszego i tak życzyłbym sobie bardziej niż czegokolwiek.

Zarumieniła się, a ten delikatny rumieniec na jej kremowych policzkach i przy jasnych włosach wyglądał nadzwyczajnie uroczo.

– Poświęcę się więc dla dobra przyszłości – odparła teatralnie zrezygnowanym głosem. – A zresztą cóż może zrobić tak słaba dziewczyna jak ja będąca w mocy tak bezwzględnej mężczyzny jak ty?

Wstała, po czym przeszła do sypialni, a ja oczywiście za nią. Spojrzałem na rozścieloną pod naszymi stopami gigantyczną skórę demonicznego Wilka, którego ubiliśmy w czasie wojny na trzęsawiskach. Zanim pokonałem tę kreaturę, obiecałem jej, że Nataszka będzie bosymi stopami stąpała po zdartym z niej futrze. I słowa dotrzymałem. Tymczasem dziewczyna rzuciła się plecami na łóżko, rozłożyła ramiona na boki i zamknęła oczy.

– Bierz mnie więc, skoro musisz i skoro taka właśnie jest wola wszechmocnego Boga! – zawołała z uroczystą powagą.

Wskoczyłem na nią (starając się jednak nie spadać całym ciężarem), a ona wtedy zaczęła chichotać.

– Buty byś chociaż zdjął! – krzyknęła rozbawiona.



STEELHOG.PL



**SROGIE  
DODATKI  
DO TWOICH  
ULUBIONYCH LEKTUR.**

COPYRIGHT © BY Jacek Piekara  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2019

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-427-8

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA  
Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE  
Piotr Cieśliński

PROJEKT OKŁADKI  
„GRAFFICON” KONRAD KUĆMIŃSKI

ILUSTRACJE  
Paweł Zaręba

REDAKCJA  
Małgorzata Hawrylewicz-Pieńkowska

KOREKTA  
ANNA SAMOLEJ, Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl





Zamówienia hurtowe  
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl

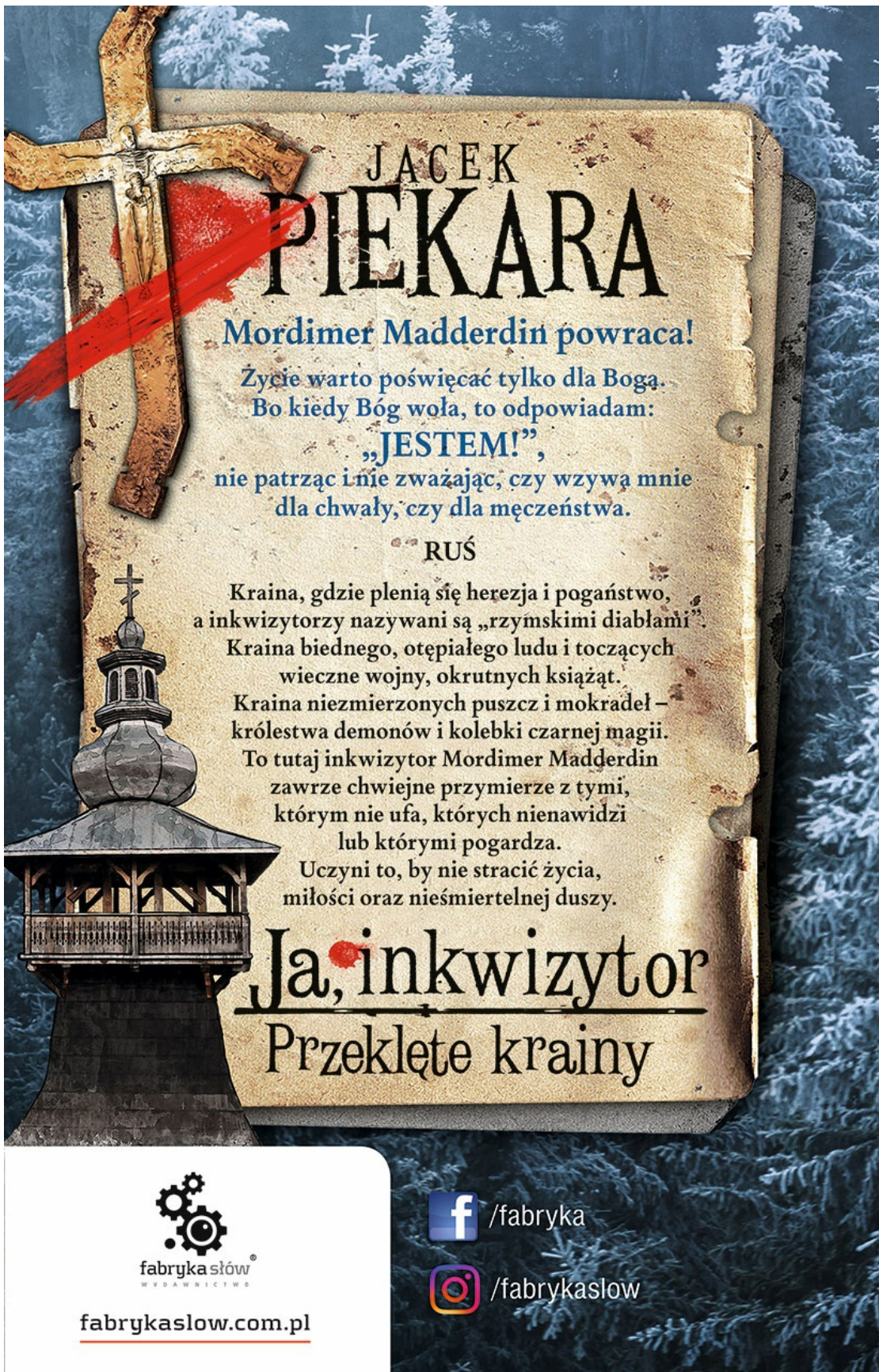


WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)  
[instagram.com/fabrykaslow/](https://www.instagram.com/fabrykaslow/)

# Tytuły w serii:







JACEK

# PIEKARA

**Mordimer Madderin powraca!**

Życie warto poświęcać tylko dla Boga.

Bo kiedy Bóg woła, to odpowiadam:

„JESTEM!”

nie patrząc i nie zważając, czy wzywają mnie dla chwały, czy dla męczeństwa.

## RUŚ

Kraina, gdzie plenią się herezja i pogaństwo, a inkwizytorzy nazywani są „rzymskimi diabłami”.

Kraina biednego, oziębiałego ludu i toczących wieczne wojny, okrutnych książąt.

Kraina niezmiernych puszczy i mokradel – królestwa demonów i kolebki czarnej magii.

To tutaj inkwizytor Mordimer Madderin zawrze chwiejne przymierze z tymi, którym nie ufa, których nienawidzi lub którymi pogardza.

Uczyni to, by nie stracić życia, miłości oraz nieśmiertelnej duszy.

# Ja, inkwizytor

---

## Przekłete krainy



fabryka słów  
WYDAWNICTWO

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)



/fabryka



/fabrykaslow